

ZDANIE

„Trzech na jednego”
z MARKIEM BELKĄ

Ryszard Stemplowski
OD LIBERALIZMU KAPITALISTYCZNEGO
DO SOCJALIZMU LIBERALNEGO

Jerzy J. Wiatr
WSPÓLNE ZWYCIĘSTWO: OKRĄGŁY STÓŁ

Lech M. Nijakowski
MINERAŁY KONFLIKTU

TRZY WCIELENIENIA JÓZEFA KLASY (wywiad)

Marian Stępień

INNE ŻYCIE JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

Krzysztof Mroziewicz

PRUSZYŃSKI, MICKIEWICZ I ŻYDZI

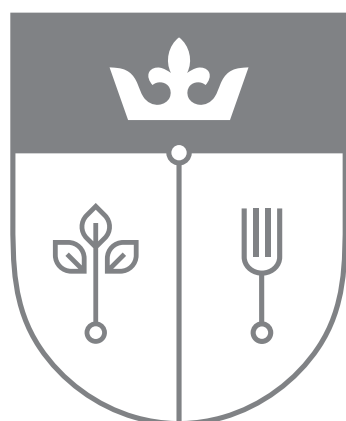
Adam Kulawik

MOJE LALKI. BOLESŁAWA PRUSA CZYTANIE

1-2 (180-181) 2019



 **Kraków**



Europejska Stolica Kultury Gastronomicznej Kraków 2019



www.kulinaryny.krakow.pl

2019



ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

1–2 (180–181) 2019

OD REDAKTORA

Katalog problemów podjętych przez Autorów tego numeru jest bardzo szeroki. Spróbuję zatem zasygnalizować tylko niektóre. Mija właśnie trzydzieści lat, jak przy Okrągłym Stole zasiedli przedstawiciele władzy i opozycji, by znaleźć wyjście z głębokiego kryzysu. Dla jednych osiągnięty wówczas kompromis okazał się wspólnym zwycięstwem, dla innych, w tym dla urzędującego prezydenta Rzeczypospolitej, porozumieniem władzy z jej agentami. Nie pierwszy raz, niestety, ważne dla nas wydarzenia otrzymują absurdalną wykładnię.

Lektura kilku tekstów może okazać się pomocna w zrozumieniu pojęć i terminów zdawałoby się dawno już zdefiniowanych, jak prawica i lewica, kapitalizm, liberalizm

i socjalizm, polityka socjalna, sprawiedliwość społeczna itp. Używane i rozpatrywane przez Autorów w różnych kontekstach, historycznych i współczesnych, nabierają nowych znaczeń. Warto zatem je sobie przyswoić.

W rekomendowanym numerze „ZDANIA” znalazło się miejsce na prezentację osób, których już nie ma od wielu lat z nami, a które zasługują na przypomnienie i zachowanie w naszej pamięci. Są też obecne postaci współczesne, zdawałoby się dobrze nam znane, a tymczasem dopiero rozmowa z nimi pozwala zbudować ich pełniejszy portret.

EDWARD CHUDZIŃSKI

MAREK BELKA CZŁOWIEK PRYZWOITY POWINIEN BYĆ PO LEWEJ STRONIE... (Trzech na jednego)	3
Ryszard Stemplowski OD LIBERALIZMU KAPITALISTYCZNEGO DO SOCJALIZMU LIBERALNEGO?	10
Jarosław Ładosz KU „REPUBLICIE SOCJALNEJ”	16
Jerzy J. Wiatr WSPÓLNE ZWYCIĘSTWO: OKRĄGŁY STÓŁ...	24
Marek Tabin PODWÓRKO. O RZĄDACH PiS	30
Bogdan Galwas EDUKACJA I NAUKA: O PROBLEMACH I KONIECZNOŚCIACH	37
Lech M. Nijakowski MINERAŁY KONFLIKTU	43
Edward Karolczuk JAK EINSTEIN WYOBRAŻAŁ SOBIE ŚWIAT	49
Adam Komorowski SALON, KUCHNIA, ZAKŁAD PRACY	55
Andrzej Pacuła KRAKÓW	58
Jacek Wojciechowski Z ROSJI: WIRÓWKA OPINII	59
TRZY WCIELENIJA JÓZEFA KLASY (wywiad)	66
Leszek Budrewicz WIERSZE	70
Krzysztof Miklaszewski STANISŁAW WINCENTY DOBROWOLSKI. PACYFISTA – SOCJALISTA – DYPLOMATA	71
Karolina Olszowska NĄZIM HIKMET. IDEOWY REWOLUCJONISTA... KOBIECIARZ	74

79	O GŁODZIE I GŁODNYCH NA ŚWIECIE... Rozmowa z MARTINEM CAPARROSEM
82	Stanisław Gębala JEDNAK DWIE POLSKI
84	Krzysztof Mroziewicz PRUSZYŃSKI, MICKIEWICZ I ŻYDZI
91	Jan Güntner LESZEK. OPOWIEŚĆ O CZASIE PRZESZŁYM DOKONANYM
97	Adam Kulawik MOJE ŁALKI. BOLESŁAWA PRUSA CZYTANIE
100	Marian Stępień INNE ŻYCIE JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA
108	Stanisław Burkot OPĘTANY TEATREM. O JERZYM JAROCKIM
112	Marcin Kula PONIŻEJ DNA
115	Jerzy Surdykowski POLSKIE OBOZY KONCENTRACYJNE?
116	Leszek Kamiński BRONISŁAW, BRAT JÓZEFA
118	Stanisław Zygmuntowicz JAK WIELKOPOLSKA WALCZYŁA O NIEPODLEGŁOŚĆ?
121	Paweł Kozłowski (nowy) DZIENNIK PROFESORA NADZWYCAJNEGO
124	KONKURS IM. A. POLEWKI – KORESPONDENCJA
125	Józef Rozwadowski CYWILIZACJA WIZERUNKU
126	Krzysztof Komornicki PREZES OTWIERA WOLIERY
127	Tomasz Goban-Klas POSTRUTH, BULLSHIT I FAKE NEWS
128	Sceptyk NAUCZYCIELOM MNIEJ WOLNO?



Fot. Krzysztof Żuczkowski

trzech na jednego

JEDEN:

MAREK BELKA

TRZECH:

EDWARD CHUDZIŃSKI

JAN ORDYŃSKI

PAWEŁ SĘKOWSKI

CZŁOWIEK PRYZWOITY POWINIEN BYĆ PO LEWEJ STRONIE. I TEGO SIĘ TRZYMAM

EDWARD CHUDZIŃSKI: Pan Premier zrobił sobie selfie, wydając książkę o takim tytule (*Studio Emka*, Warszawa 2016), gdzie na wiele pytań, jakie moglibyśmy zadać, znajduje się odpowiedź. W tej sytuacji spróbujemy dopytać o niektóre nas interesujące kwestie i podjąć nowe, nieobecne w *Selfie*.

MAREK BELKA: Na tę rozmowę umówiłem się z Wami w Warszawie, mam jeszcze dzisiaj dwa spotkania, ale przyjechałem z Łodzi...

CHUDZIŃSKI: No właśnie, po lekturze *Selfie* pomyślałem, że rozmowa z Panem mogłaby mieć tytuł: *Ja jestem chłopak z Łodzi*, tak jak pierwsza rozmowa z tego cyklu z Wiesławem Górnikiem: *Ja jestem chłopak z Woli*¹. Co sprawia, że Pan się czuje tak mocno związany z tym miastem?

BELKA: Więzy rodzinne. Mama była rodowitą łodzianką, ojciec natomiast pochodził z okolic Garwolina. Wojnę i powstanie spędził w Warszawie, gdzie jeszcze przed wojną zaczynał studia na politechnice, a dokończył je w Łodzi. Obydwoje rodzice byli inżynierami – ojciec mechanikiem, mama chemikiem, zrobiła z tej specjalności doktorat.

JAN ORDYŃSKI: W PRL-u byli „oficerami produkcji”.

BELKA: Ojciec był technokratą do szpiku kości, pracował w biurze projektowym i większość życia spędził przy desce kreślarskiej. W domu miał dwie lewe ręce i ja to z dumą po nim odziedziczyłem. Rodzice jak na tamte czasy dobrze zarabiali, więc na sytuację materialną nie mogłem narzekać.

PAWEŁ SĘKOWSKI: Jak to rzutowało na stosunek do Polski Ludowej i w ogóle do ówczesnej rzeczywistości?

BELKA: Rodzice nie należeli do partii. Dziadek, kierownik szkoły podstawowej, przed wojną był zwolennikiem PPS-u, piłsudczykiem. W domu mało się dyskutowało o bieżącej polityce, natomiast dużo o historii i sprawach międzynarodowych. PRL traktowali jak powietrze, którym trzeba oddychać, nawet jeśli śmierdziało. W Krakowie macie taką właśnie sytuację. Mówię to z pewną złośliwą satysfakcją, bo w „przemysłowej” Łodzi powietrze nieco lepsze.

ORDYŃSKI: A do Kościoła jaki mieli stosunek?

BELKA: Do kościoła się chodziło, zostałem ochrzczony, przyjąłem bierzmowanie. Nie pamiętam, w którym momencie zaprzestałem praktyk religijnych, ale w sposób naturalny. To nie był dla mnie żaden przełom światopoglądowy i nie czuję się antyklerykałem. Znam kilku księży, z którymi łączy mnie podobne myślenie w wielu sprawach, ale nie sądzę, żeby takich księży było wielu.

CHUDZIŃSKI: Rodzice zadbali, żeby syna dobrze wyedukować, ponad szkolne standardy.

¹ Wiesław Górniki wtedy, w 1983 roku, był majorem i adiutantem gen. Wojciecha Jaruzelskiego.

BELKA: Rzeczywiście, stosunkowo wcześniej chodziłem na dodatkowe lekcje z języków angielskiego i niemieckiego.

ORDYŃSKI: **W ten sposób szanse dostania się na handel zagraniczny rosły. Kiedy takiego wyboru dokonałeś?**

BELKA: Ja do szkoły poszedłem w wieku sześciu lat, a w drugiej klasie przesunięto mnie o rok, więc maturę zdawałem mając lat szesnaście. Jeden z wujków, braci matki, pracował w handlu zagranicznym i to miało jakiś wpływ na mój wybór kierunku studiów.

CHUDZIŃSKI: **A który był w Narodowych Siłach Zbrojnych?**

BELKA: To chodzi o innego członka rodziny. Ja go na swój sposób podziwiałem. Przeszedł swoje po wojnie, bity i torturowany utracił kawał zdrowia, ale nie robił z tego martyrologii i się z tym nie obnosił. Takich trudnych tematów w dyskusjach rodzinnych było więcej. Jedna z ciotek jeszcze przed wojną wyszła za Ukraińca, który w czasie wojny okazał się być konfidentem i podziemie wykonało na nim wyrok śmierci. Ojciec, człowiek bardzo tolerancyjny, umiał w odpowiednim momencie zareagować, kiedy podczas spotkań rodzinnych rozmowa schodziła na drażliwe tematy.

SEKOWSKI: **Pan, wychowany w takim domu, w takiej atmosferze, w bardzo młodym wieku – na studiach wstępuje do partii. Jak na to zareagowała rodzina?**

BELKA: Dokładnie mówiąc, tuż po studiach. Trzeba pamiętać, że to były pierwsze lata Gierka. Po krótkim okresie akceptacji Gomułki, który powrócił do władzy w 1956 roku, nie było w PRL-u tak szerokiego poparcia jak dla Gierka w pierwszych latach jego rządów, także poparcia ludzi dalekich od jakiegokolwiek lewicowości. Toteż moja rodzina tę decyzję przyjęła z wyrozumiałością. Nikt mnie za to nie pochwalił, ani nie zganił.

CHUDZIŃSKI: **Pan w swojej książce bardzo do wartościowuje Instytut Ekonomii Uniwersytetu Łódzkiego i całe środowisko z nim związane.**

BELKA: Bo na to zasługuje. Na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym najważniejszy dla mnie był Instytut Ekonomii Politycznej, w którym rozpocząłem pracę jako starszy asystent w wieku 21 lat. Tam spotkałem niezwykle osobowości, m.in. profesorów Jana Mujżela i Cezarego Józefiaka. Ale moim mentorem wówczas i starszym kolegą był Jurek Kropiwnicki. To on namówił mnie, żebym został na uczelni i podjął pracę w Zakładzie Ekonomii Politycznej Kapitalizmu, którego kierownikiem był profesor Janusz Górski, późniejszy rektor uniwersytetu, a w „karnawale »Solidarności«” minister szkolnictwa wyższego. Bardzo dobry człowiek i świetny nauczyciel akademicki. Lubiący przez studentów, toteż kiedy jako minister zetknął się z falą strajków i bezpardonowej krytyki na uczelniach, przeżył szok. Można powiedzieć, że historia go „zagryzła” i z tego powodu zmarł przedwcześnie. Pozwalał nam na bardzo wiele, tolerował badania i prace wykraczające daleko poza to, co było postrzegane i krytykowane jako rewizjonizm.

A w ogóle na wydziale było wielu innych znakomitych profesorów, jak Władysław Welfe, autorytet w dziedzinie ekonometrii, profesor Alicja Jarugowa, pionierka nowoczesnej rachunkowości zarządczej.

ORDYŃSKI: **Wart wspomnienia jest też Stanisław Orsza-Broniewski, komendant Szarych Szeregów.**

BELKA: Chciałem go przywołać przy innej okazji, bo szerszej publiczności znany jest nie jako ekonomista. Jak pamiętam, miałem z nim zajęcia. Na uczelni panowała duża swoboda, spiraliśmy się o sprawy fundamentalne, można powiedzieć – braliśmy się za łby i to nas różniło od SGPiS-u, który chyba był za blisko władzy i dlatego pod większą kontrolą. Tam się robiło szybciej karierę, choć wybitnych nazwisk na tej uczelni było co niemiara.

U nas, mimo że to były już lata 70., czuło się jeszcze swąd Marca’68. W chwilach szczerości można się było dowiedzieć, kto był kim, jakie miał pochodzenie, jak się zachowywał. A ja byłem do takiej rozmowy kompletnie nieprzygotowany, bo w dyskusjach rodzinnych temat żydowski podjęto bodaj raz. Żydzi pojawiali się we wspomnieniach babci ze strony mamy, rodowitej łódzianki i nie mogło być inaczej, skoro stanowili tuż przed wojną trzydzieści procent mieszkańców. Ja pierwszego „prawdziwego” Żyda z pejsami zobaczyłem w Nowym Jorku, jak pojechałem tam na stypendium. Marzec’68 przeżywałem jako maturzysta. Do liceum jego echa przenikały w niewielkim stopniu.

ORDYŃSKI: **Za to na uczelniach tzw. wydarzenia marcowe przebiegały w haniebnej atmosferze. Skala represji i niegodziwych zachowań wobec osób żydowskiego pochodzenia przybrała rozmiary niespotykane w innych ośrodkach akademickich w Polsce.**

BELKA: Ja tego nie znam z racji wieku, natomiast następna fala represji na uczelniach w stanie wojennym dotknęła nasz instytut w niewielkim stopniu.

CHUDZIŃSKI: **Kropiwnicki, wtedy już zaangażowany opozycjonista, był internowany...**

BELKA: Ale na to uczelnia nie miała wpływu. Jak tylko zwolniono go z internowania, wrócił do pracy, choć przez pewien czas był odsunięty od dydaktyki. A poza tym wydaje mi się, że bohaterem łatwiej było zostać w 1981 roku niż w 1968. W marcu środowisko akademickie było osamotnione, natomiast w „karnawale »Solidarności«” uczestniczył niemal cały naród.

CHUDZIŃSKI: **Co Pan czuł, jak w stanie wojennym koledzy na Pana ręce jako sekretarza POP oddawali legitymacje partyjne?**

BELKA: Ja też miałem takie ciążoty, ale starsi koledzy mnie przed tym powstrzymywali. Zostałem w partii do końca, potem byłem w SLD, a następnie krótko w Partii Demokratycznej. Pod koniec lat 80., już po wydaniu książki o Miltonie Friedmanie, opozycja szukała ze mną kontaktu, wcześniej zaangażowałem się w „Solidarność” w latach 1980-81, będąc jednocześnie sekretarzem POP na moim wydziale, ale po roku 1989 stałem z boku, nie angażując się specjalnie w nową strukturę lewicy.

SEKOWSKI: **Może pozostał Pan w partii z lojalności...**

BELKA: Może, sam nie wiem, dość powiedzieć, że brałem udział w ostatnim zjeździe w 1990 roku. Natomiast w stanie wojennym, szczególnie po pierwszym szoku, podzieliłem pogląd, że to była ostatnia deska ratunku, o czym się przekonałem dużo później. I nie przekonują mnie argumenty, że wtedy było inne, lepsze wyjście.

2 Panowie Belka i Ordyński znają się jeszcze z okresu studiów w Łodzi i dlatego w tej rozmowie są na „Ty”.



Fot. Krzysztof Żuczkowski

ORDYŃSKI: Co Cię ukształtowało ideologicznie najbardziej, od wstąpienia do partii poczynając.

BELKA: Już o tym mówiłem: środowisko. Wtedy w naszym instytucie najciekawszy i obdarzeni autorytetem ludzie należeli do PZPR. Ja się w tym środowisku czułem dobrze, natomiast przynależność do partii nie miała żadnego wpływu na moją karierę naukową. Jako bardzo młody człowiek po studiach bardziej udzielałem się w SZSP...

ORDYŃSKI: Byłeś wiceprzewodniczącym Zarządu Łódzkiego...

BELKA: To trochę śmieszna sprawa. Mówiłem już, że w tę stronę popychał mnie Jurek Kropiwnicki, który w stanie wojennym dostał wyrok, a ja, będąc przecież sekretarzem POP, uczestniczyłem w organizacji pomocy dla jego rodziny. Zresztą tego nie uważam za jakiegokolwiek przejaw mojej przyzwoitości, a raczej za dowód zaufania, jaki miałem wśród kolegów. On się zajmował teorią koniunktury w kapitalizmie i mnie namówił, żebym podjął podobną tematykę, na przykład inflacji. Doktorat napisałem w dwa lata, bo wcześniej pochłaniało mnie SZSP i życie (post)studenckie.

SĘKOWSKI: Partia, jak sam Pan mówi, nie pomagała w karierze naukowej, ale zrobił ją Pan szybko, zajmując się gospodarką amerykańską i tzw. szkołą chicagowską.

BELKA: To trochę śmieszna sprawa. Mówiłem już, że w tę stronę popychał mnie Jurek Kropiwnicki, który w stanie wojennym dostał wyrok, a ja, będąc przecież sekretarzem POP, uczestniczyłem w organizacji pomocy dla jego rodziny. Zresztą tego nie uważam za jakiegokolwiek przejaw mojej przyzwoitości, a raczej za dowód zaufania, jaki miałem wśród kolegów. On się zajmował teorią koniunktury w kapitalizmie i mnie namówił, żebym podjął podobną tematykę, na przykład inflacji. Doktorat napisałem w dwa lata, bo wcześniej pochłaniało mnie SZSP i życie (post)studenckie. W dzień po jego obronie wyjechałem na stypendium Fullbrighta do USA z zamiarem napisania pracy

o Friedmanie, co podpowiedział mi „na odejdnym” prof. Janusz Górski.

CHUDZIŃSKI: Jak Pana w Ameryce przyjęto, bo skądinąd wiadomo, że takich jak Pan, partyjnych, na swój sposób „obwąchiwano”. A z Pana relacji wynika, że był Pan prywatnie w domu Milтона Friedmana, chyba jako jedyny ekonomista z Polski.

BELKA: Inaczej sprawy wyglądały w roku 1978, kiedy pierwszy raz byłem na stypendium w Nowym Jorku, a inaczej w 1984 – wtedy byłem w Chicago. Za każdym razem stypendystów wybierali Amerykanie. Nie wiem, za kogo mnie uważali, ale mieli na mnie „oko”. Tak mi się przynajmniej wydawało. Atmosfera była taka, że za wiele od nas nie wymagano. Nie mogliśmy na przykład ubiegać się o stopnie naukowe na ich uczelniach, bo chodziło o to, żebyśmy wracali do kraju i byli kłopotem dla władzy. Gdybyśmy tam robili karierę naukową, to by musieli nas zatrudnić u siebie.

SĘKOWSKI: Dobrze inwestowali Amerykanie, zapraszając Pana na stypendium? Po powrocie sprawiał Pan kłopot jako „siła wywrotowa”?

BELKA: Po powrocie napisałem książkę o Friedmanie, zajmowałem się monetaryzmem, choć monetarystą nigdy tak naprawdę nie byłem. Friedmana i szkołę chicagowską oskarżano o popieranie Pinocheta, chociaż on sam odwiedził Chile tylko raz (tak mi mówił) z serią wykładów. To była niezwykła postać. Wyszedł z mocno niezamożnego domu, zaczął studia na raczej drugorzędnej uniwersytecie stanowym, a stał się uczonym światowej klasy, laureatem Nagrody Nobla. W swoich wykładach był bardzo przekonujący, prawie zawsze miał rację. Zajmował stanowisko w szeregu spraw społecznych. Proponował m.in. zawieszenie

obowiązku służby wojskowej w USA, gdyż traktował go jako dolegliwy haracz, rodzaj podatku na rzecz państwa. Z kontaktów z nim wyniosłem przekonanie że jest źle, jeśli w zbyt dużym stopniu państwo ingeruje w gospodarkę. Tak zresztą i dziś uważam.

ORDYŃSKI: Ale...

BELKA: Jakie ale, jak patrzę dzisiaj, co „dobra zmiana” zrobiła z rynkiem energii, to mi coraz bliżej do Balcerowicza. To jest zbrodnia. Żaden prywatny podmiot nie zainwestuje w ten sektor, jeśli nie będzie miał pewności, że ceny energii będą ustalane na rynku i regulowane przez niezależnego regulatora, a tymczasem w Polsce ustalają je minister i parlament. Kapitał amerykański zainwestował w energię wiatrową i został wyrolowany. Kto wyłoży pieniądze na elektrownie atomowe? Nie zaprzeczam, że byłem pod wpływem Friedmana, ale już wtedy uważałem, że jego teoria w istotnym sensie nawiązywała do Keynesa, będąc jego reinterpretacją.

CHUDZIŃSKI: **To brzmi dość paradoksalnie, bo Keynesa jednak kojarzymy z innym myśleniem o ekonomii.**

BELKA: Przy bliższej analizie to już wygląda inaczej. Pewne zależności w gospodarce znajdują się zawsze w centrum rozważań teorii ekonomii, takie jak funkcja popytu na pieniądź. Friedman uważał, że ta funkcja, a więc relacja między ilością pieniądza w obiegu i poziomem aktywności gospodarczej jest stabilna. Ale jak się zmienia charakter rynku, to mamy problem z definicją pieniądza, czyli trudno określić co jest pieniądzem oraz to jak on w gospodarce powstaje. Zmieniły się warunki historyczne i społeczne, a to akurat Marks nauczył nas uwzględniać, i stabilna od dziesięcioleci funkcja pieniądza staje się niestabilna. Inaczej mówiąc, banki centralne „drukują” pieniądź, a inflacja uparcie się nie pojawia.

CHUDZIŃSKI: **A pieniądź wirtualny?**

BELKA: Wyparł niemal całkowicie pieniądź „gotówkowy”, którego w obrocie jest tylko około siedmiu procent całości obiegu pieniężnego. To nie zmienia faktu, że na rynku w Polsce rośnie zapotrzebowanie na gotówkę. Z wielu względów. Jak się sytuacja robi niepewna, to lepiej mieć pieniądź w portfelu. Poza tym niskie oprocentowanie na lokatach sprawia, że ludzie trzymają pieniądze w domu, bo niewiele tracą. Dwadzieścia lat niskiej inflacji spowodowało wzrost zaufania do złotego, który na przykład dla Ukraińców stał się poniekąd quasidolarem i w nim niekiedy lokują oszczędności.

CHUDZIŃSKI: **Dlaczego neoliberalowie lekceważą rolę popytu wewnętrznego? Przecież na tym „koniu” jedzie PiS rozdając pieniądze na lewo i prawo, ludzie je wydają i gospodarka – zamiast się zawalić, czym straszył Balcerowicz – ma się dobrze.**

BELKA: Do czasu. W 2001 roku wisiła nad nami „dziura Bauca” – efekt rządów AWS-u, ale i Balcerowicza. Wiele reform rządu Jerzego Buzka było potrzebnych, niektóre okazały się bardzo kosztowne, a niektóre za daleko idące, jak się okazało z reformą emerytalną. Narodowy Fundusz Zdrowia ustabilizował sytuację, ale sporo kosztował. Natomiast dzisiaj, kiedy jest niskie bezrobocie i do ZUS-u wpływają składki od wynagrodzeń, NFZ jest jednak gwarantem funkcjonowania na elementarnym poziomie służby zdrowia. Kiedy znalazłem się drugi raz w rządzie, byliśmy na skraju

bankructwa, co następuje wtedy, kiedy nie ma chętnych do refinansowania naszego długu. Teraz jest ich duża kolejka, bo jest sprzyjająca koniunktura w kraju i na świecie.

SEKOWSKI: **Czy 500 plus i tym podobne pomysły to jest właściwy kierunek nie tyle polityki społecznej, co gospodarczej?**

BELKA: Sztandarowy pomysł PiS-u można było wprowadzić już za drugiej kadencji Tuska. Były po temu warunki. Ale brakło wyobraźni politycznej. 500 plus to udany projekt polityczny. Dla demografii nie ma on żadnego znaczenia. Natomiast politycy i wielu ekonomistów powstrzymuje się z krytyką, bo 500 plus zmniejszyło wyraźnie strefę ubóstwa.

ORDYŃSKI: **Lewica nie mogła się na to zdobyć?**

BELKA: Nie, bo w 2001 roku – o czym już mówiłem – groziło nam bankructwo, nawet bez takiego wydatku, a jest on rzędu 22 miliardów rocznie. Paradoks polega na tym, że ja pozytywnie oceniam reformy rządu Buzka, natomiast ich koszt spowodował zapaść fiskalną. Obecny rząd PiS-u ma sprzyjające warunki, żeby realizować swoje projekty polityczne.

SEKOWSKI: **Balcerowicz nazywa to rozdawnictwem...**

BELKA: Dopóki z tego powodu nie cierpi gospodarka, a nawet się rozwija, to dla samej zasady nie można kwestionować roli popytu wewnętrznego. Rozdawnictwo brzmi niedobrze, ale skądinąd jest jedną z funkcji państwa. Jeśli natomiast wspominacie Panowie Balcerowicza, to jestem pełen uznania dla jego polityki w pierwszym okresie transformacji.

CHUDZIŃSKI: **Nie było wtedy dla jego planu alternatywy?**

BELKA: Ja się wtedy dopiero uczyłem gospodarki polskiej, gdyż zajmowałem się amerykańską. Ale czy w ogóle był inny plan?

CHUDZIŃSKI: **Może nie w postaci „gotowca”, lecz w kręgu byłych doradców ekonomicznych „Solidarności” skupionych wokół prof. Tadeusza Kowalika pokazywano inny kierunek możliwych reform, biorąc za przykład kraje skandynawskie.**

BELKA: Model skandynawski jest przede wszystkim bardzo drogi i oparty na partnerstwie społecznym. W Polsce nie mamy takich tradycji, a trzeba byłoby do takich wzorów się odwoływać. Przykład, jaki mi się nasuwa, to akcjonariat pracowniczy. Ale wtedy to nie był nawet projekt. Takie myślenie jest ahistoryczne. To jest prezentyzm. Dzisiejszej wiedzy i świadomości nie można odnosić do ówczesnej sytuacji – transformacji ustrojowej. Pewne rzeczy można było robić inaczej, na przykład politykę wobec obszarów wiejskich, PGR-ów itp. Jednak uważam, że rozważanie: co by było, gdyby – nie ma sensu.

CHUDZIŃSKI: **Są kraje, które nie zastosowały terapii szokowej i mają się od nas lepiej, np. Czechy.**

BELKA: Czesi niektóre reformy wprowadzali jeszcze ostrzej, a poza tym znajdowali się na innym poziomie rozwoju gospodarczego. Mieli gospodarkę w stagnacji, ale stabilną. U nas tymczasem szalała inflacja i niedobory – najgorszy ze światów. Tymczasem po trzech dekadach różnica między nami się zmniejszyła, co chyba świadczy na naszą korzyść.

CHUDZIŃSKI: **Ale jakim kosztem? Program 500 plus jest dopiero po 25 latach rekompensatą**

dla tych, co zapłacili za transformację najwyższą cenę.

BELKA: My o tym mało wiemy, ale w Czechach jest bardziej rozwinięta sieć pomocy społecznej, zwłaszcza dla emerytów. A gdy chodzi o poziom frustracji, to jest podobny, albo i większy, głównie z powodu korupcji. Rządzą partia protestu, a zmian na lepsze nie widać.

SEKOWSKI: **Balcerowicz miał szansę zrobić autokorektę, ale jego tzw. drugi plan się nie powiódł.**

BELKA: Oceniam go też bardzo krytycznie. Jego autor zasklepił się w doktrynie. Dalej stawiał na indywidualizm, nie dając ludziom poczucia wspólnoty. Ale to był grzech wszystkich elit politycznych, łącznie z tą, która rządziła Polską w latach 2006-2007.

CHUDZIŃSKI: **W latach 2001-2005 mieliście okazję zrobić poważne korekty i stworzyć ludziom inne możliwości.**

BELKA: Pierwszym naszym zadaniem było posprzątać po poprzednikach.

CHUDZIŃSKI: **Pana ambicją jako premiera było wyprowadzić kraj z zapaści. Interesy partyjne i wyborcze zostały odsunięte na plan dalszy. Czy to była słuszną strategią?**

BELKA: Nie miałem wątpliwości, że lewica przegra wybory. Próbowaliśmy zbudować centrolewicę, lecz za to zabraliśmy się albo za wcześnie, albo za późno, albo ja nie miałem do tego talentu politycznego. Przecież i z LiD-u w późniejszym okresie nic nie wyszło.

ORDYŃSKI: **Dlaczego nie wyszło?**

BELKA: Może między innymi dlatego, że za mało się zaangażował w ten projekt prezydent Kwaśniewski. Ale zapytajcie Wojtkę Olejniczaka albo Grzegorza Napieralskiego, a najlepiej samego prezydenta Kwaśniewskiego. Ja już wtedy byłem w Iraku.

SEKOWSKI: **To zaskakująca informacja, bo mówiło się wtedy, że był ojcem chrzestnym tej nowej formacji.**

BELKA: Wtedy demokratyczne centrum było za, a SLD było na nie. Tam był opór największy.

ORDYŃSKI: **Czym miał być ten LiD? W którą stronę chciał iść? Liberalną czy socjaldemokratyczną?**

BELKA: Gdyby powstał, to by się okazało, dokąd zmierza. Myślę, że byłaby to formacja socjalliberalna, tylko co to znaczy? Ja jako ekonomista uważam, że podatek progresywny nie jest jakąś tam anomalią, tylko produktem cywilizacji. Dlatego sprzeciwiałem się podatkowi liniowemu.

CHUDZIŃSKI: **W tamtych realiach, czy z przekonania?**

BELKA: Z powodów zasadniczych. Pod koniec rządów AWS Balcerowicz przychodził do Kwaśniewskiego, żeby zaakceptował podatek liniowy. I już był blisko uzyskania aprobaty, ale jako doradca prezydenta stopedowałem jednoosobowo ten pomysł. Potem, już za naszych rządów, Miller wprowadził tzw. citopit, który był największą koncesją neoliberalną, ale przebiła go i tak Zyta Gilowska z premierem Kaczyńskim. Obniżyli podatek dochodowy i składki na ZUS, zlikwidowali podatek od spadków – kosztowało to dwa razy więcej niż 500 plus. I wyszło na to, że Miller z Kaczyńskim to najwięksi neoliberalowi po '89 roku.

SEKOWSKI: **A liberalna PO podwyższa VAT, czyli postępuje odwrotnie.**

BELKA: Polityka poznaje się nie po tym, co głosi, tylko co robi. Niewiele brakowało, a lewica wprowadziłaby podatek liniowy.

SEKOWSKI: **Uchodzi Pan raczej za neoliberalą lub socjalliberała, tymczasem w tej rozmowie prezentuje się jako człowiek lewicy. Co Pana z nią łączy?**

BELKA: Jeśli chodzi o etykiety, to ja stoję się bardziej lewicowy z upływem czasu.

ORDYŃSKI: **A może ta Twoja lewicowość to spadek po PRL-u?**

BELKA: W Polsce i w świecie zachodzą procesy, na które trzeba reagować zgodnie z ideałami lewicy. W tej sprawie zarysowały się wyraźnie dwa stanowiska. Jedno prezentują na przykład Balcerowicz i Gwiazdowski, którym bliska jest teza, że każdy jest kowalem własnego losu i od nas zależy, czy wylądujemy na dnie, czy damy sobie radę w życiu.

CHUDZIŃSKI: **Stąd już blisko do Korwina-Mikke.**

BELKA: No właśnie, stanowisko skrajnie indywidualistyczne do takiego wniosku prowadzi. Inni, na przykład Kaczyński, sądzą, że jak ktoś ma pieniądze, to skądś je ma. Jedni więcej, drudzy mniej. Tymczasem reguły i mechanizmy gospodarcze nie znają pojęcia sprawiedliwości.

SEKOWSKI: **Ale lewica z tego pojęcia nie może zrezygnować i dlatego tak ważna dla niej jest redystrybucja dochodów.**

BELKA: Dla ekonomisty, nawet lewicowego, ważniejsze jest, jak się dochód tworzy, a nie dzieli.

CHUDZIŃSKI: **To powtarzał Miller, że także lewica może podzielić tylko tyle, ile wytworzy.**

BELKA: W praktyce to nie zawsze tak wyglądało. Ja dla Millera mam ogromny szacunek za to, że wprowadził nas do Unii Europejskiej i tego dokonania nikt mu nie odbierze. Wałęsa przeskoczył płot, Kwaśniewski przeprowadził lewicę przez „morze czerwone”, a Miller wprowadził Polskę do UE.

CHUDZIŃSKI: **I mamy nową „trójkę świętą”...**

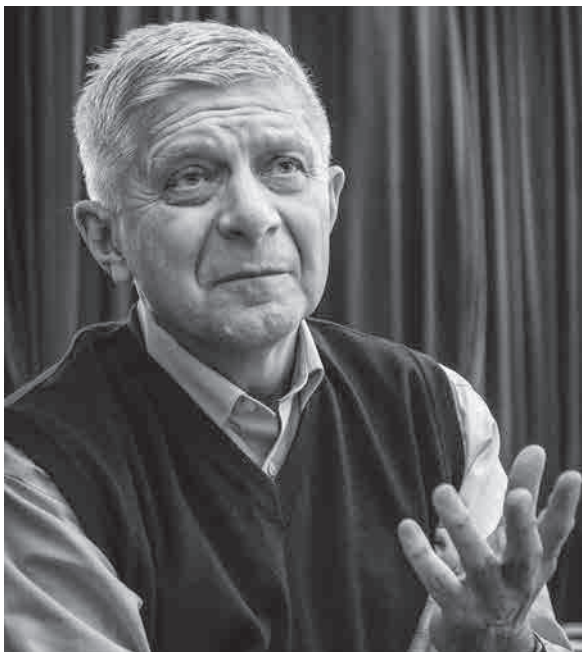
BELKA: Moje poglądy ewoluują, a związki z lewicą polegają na tym, że człowiek przyzwoity powinien być po tej stronie. Szczególnie w dzisiejszych czasach. I tego się trzymam.

ORDYŃSKI: **Kto za młodu nie był lewicowcem...**

BELKA: Bywa i odwrotnie. Lewica przywiązuje dużą wagę do uwarunkowań społecznych. Ale w życiu trzeba też mieć trochę szczęścia. Kierowca w Norwegii zarabia sto razy więcej od kolegi z Nepalu, choć ten ma podobne umiejętności. Rzecz w tym, że jeden miał szczęście urodzić się w odpowiednim miejscu i czasie, co zapewniło mu życie na przyzwoitym poziomie, a drugi nie – i klepie biedę. Teoria rynku pracy nie wszystko wyjaśni.

CHUDZIŃSKI: **Nierówności to immanentna cecha społeczeństw od zarania ludzkości.**

BELKA: Zaradzić temu może paradoksalnie tylko gospodarka rynkowa – najlepsza rzecz, jaką człowiek do tej pory wymyślił. Ale to nie znaczy negowania aktywnej roli państwa. Kiedy ludzie zaczęli się buntować przeciwko wyzyskowi, wprowadzono politykę socjalną. Państwo wzięło na siebie rozliczne obowiązki mające wiele wspólnego z rozdawnictwem. Byle ono nie było bezmyślne, bo takiego żaden ekonomista, niezależnie od poglądów, nie zaakceptuje.



Fot. Krzysztof Żuczkowski

CHUDZIŃSKI: Transformacja ustrojowa polegała m.in. na tym, że od społeczeństwa wymagano wyrzeczeń i zaciskania pasa, żeby przeprowadzić niezbędne acz kosztowne reformy. I doszli do władzy nacjonalpopuliści, którzy za te wyrzeczenia wystawili poprzednikom rachunek. I nie mają zahamowań w rozdawaniu pieniędzy. Jak długo gospodarka to wytrzyma?

BELKA: Pożyjemy, zobaczymy. Na razie zwiększono dochody, skuteczniej ściągając podatki. Ale pomysłu zwolnienia emerytów z podatku gospodarka nie wytrzyma. Tak samo jak czkawką nam się odbije powrót do starego wieku emerytalnego. Patrząc przez pryzmat makroekonomii, sytuacja w naszej gospodarce wygląda nieźle. Oceniam ją między trzy plus a dobrym. To zawdzięczamy niewprowadzeniu wszystkich obietnic wyborczych – przede wszystkim nie obniżono kwoty wolnej od podatku i nie przewalutowano kredytów frankowiczów. Ale za to właśnie się zabrali... Poza tym rozpoczął się festiwal skrajnie nieodpowiedzialnych obietnic przedwyborczych.

ORDYŃSKI: Pełniłeś wiele ważnych funkcji i urzędów, które z nich cenisz sobie najwyżej?

BELKA: Bezcześnie powiem, że nie będę o sobie mówił źle, bo inni mnie w tym wyręczą. Niespełna rok byłem wicepremierem i ministrem finansów w latach 2001-2002. Panowała wtedy opinia, że Polska wchodzi w kryzys. Udało nam się temu zapobiec. Kryzysu nie było, co więcej – zaczęliśmy się rozwijać, nie podnosząc podatków. Tzw. podatek Belki to przecież kpina.

ORDYŃSKI: Do dzisiaj się ostał!

BELKA: Bardziej dotkliwym podatkiem była akcyza na prąd, ale ludzie nam tego nie pamiętają, a te moje 19 procent od zysku na lokatach i owszem.

CHUDZIŃSKI: Czy to były doraźne zabiegi albo wybiegi, czy przemyślany plan wychodzenia z kryzysu?

BELKA: Podjęliśmy razem z Jurkiem Hausnerem szereg działań w gospodarce, niekiedy nazywanych kotwicą Belki, które okazały się skuteczne. Chodziło

o to, żeby odzyskać równowagę w finansach państwa, nie dusząc zanedo popytu wewnętrznego. Nawiasem mówiąc zdarzyło mi się być kilka tygodni ministrem sportu...

ORDYŃSKI: To ministerstwo sam powołałeś.

BELKA: Urząd premiera daje dużo satysfakcji, bo ma się wpływ na politykę zagraniczną. Z tym się wiązą rozliczne kontakty międzynarodowe i do tej roli trzeba być przygotowanym. Choćby z tego punktu widzenia powołanie Morawieckiego na premiera było „dobrą zmianą”. Z innych spraw, za moich rządów przygotowaliśmy ustawę reprivatyzacyjną, ale Sejm nawet nie chciał się nią zająć.

CHUDZIŃSKI: Paru światłych ludzi, m.in. Bronisław Łagowski, twierdzi, że obowiązkiem lewicy było powiedzieć *urbi et orbi*: nie przeprowadzimy reprivatyzacji, bo nas na to nie stać.

BELKA: Tylko że brak reprivatyzacji w formie ustawy gwarantującej częściowy – taki miał być jej zakres – zwrot mienia spowodował, że mamy reprivatyzację na drodze sądowej. A jakie to przybiera formy i ile rodzi patologii, widzimy choćby w Warszawie. Moim zdaniem reprivatyzacja ustawowa ucywilizowałaby sytuację. Ale PiS się do tego też nie pali. Razem z ratuszem – wtedy prezydentem Warszawy był Lech Kaczyński – przygotowaliśmy ustawę o gruntach warszawskich, jednak w pewnym momencie władze miasta się wycofały i kontynuowanie prac przestało mieć sens.

SĘKOWSKI: Czy podały powód?

BELKA: Nie, nie poznaliśmy oficjalnego stanowiska, ale przypuszczam, że „zadziałało” jakieś lobby. Teraz się okazuje, że pod boki Gronkiewicz-Waltz w biurze zajmującym się reprivatyzacją ważne decyzje podejmowali ludzie jeszcze z rozdania Lecha Kaczyńskiego... Po latach widzę, że lepiej być byłym premierem niż premierem. To największy profit z pełnienia tego urzędu.

Jako ekonomista najbardziej odpowiedzialną i pracochłonną funkcję pełniłem, będąc dyrektorem departamentu europejskiego w Międzynarodowym Funduszu Walutowym. Przez niespełna dwa lata znajdowałem się w oku cyklonu – kryzys światowy uderzył także w Europę Środkowo-Wschodnią, za którą odpowiadałem w MFW. Brałem też udział w pierwszej fazie przygotowania planu ratunkowego dla Grecji.

Jednak najfajniejszą robotą była prezesura w Narodowym Banku Polskim. Dlatego, że jest to jedyna instytucja w Polsce oparta na kompetencjach. Podobnie, choć w mniejszym stopniu, jest w Ministerstwie Finansów. W NBP zachowana została ciągłość. Tu nigdy nie było czystek kadrowych.

CHUDZIŃSKI: Mówi się, że ludzie się tam nie zmieniają, ale siatki płac i owszem.

BELKA: Ja przy siatkach płac nie majstrowałem, tylko je uporządkowałem. Za mojej kadencji dyrektorzy zarabiali trochę więcej niż połowę tego, co dostaje obecnie jedna z pań na tym stanowisku, jeśli prawdą jest, że chodzi o kwotę 65 tysięcy.

Natomiast problem, moim zdaniem, nie sprowadza się do wysokości zarobków w NBP, tylko do kompetencji. Mnie jako prezesowi dużo satysfakcji dawała pozycja międzynarodowa tej instytucji. Na najważniejszych konferencjach NBP reprezentował cały region i cieszył się dużym prestiżem. Część tego splendoru spływała

i na mnie, co odczuwam do dziś, nie będąc już prezesem. Wedle mojego rozeznania, obecnie sytuacja wygląda już nieco inaczej.

SEKOWSKI: To co się stało w tzw. międzyczasie?

BELKA: Nie mnie się wypowiadać na ten temat.

ORDYŃSKI: Jak wspominasz epizod iracki? Dla przypomnienia – byłeś tam szefem komitetu koordynacji międzynarodowej (2003) oraz dyrektorem ds. polityki gospodarczej tymczasowych władz koalicyjnych (2003-2004).

BELKA: To była wielka przygoda i nauka.

ORDYŃSKI: Czego?

BELKA: Bliskiego Wschodu. O Amerykanach też dużo się dowiedziałem...

CHUDZIŃSKI: Nie wystarczył dwukrotny dłuższy pobyt w Stanach, żeby taką wiedzę osiągnąć?

BELKA: Okazało się na miejscu, że oni pojęcia nie mają, jak należy robić politykę kolonialną. Ale się jej nie uczą, gdyż są zbyt arogancy i pewni siebie. Kiedy pewnego brytyjskiego dwugwiazdkowego generała zapytałem, po co oni tu w ogóle są, usłyszałem, żeby bronić Amerykanów przed samymi sobą. Oczywiście, oni nie mieli doświadczenia w takiej polityce, w przeciwieństwie do Brytyjczyków, którzy pokazowo ją realizowali na przykład w Indiach. Oni mają przeświadczenie, że jak coś działa dobrze w Ameryce, to będzie tak działać wszędzie na świecie. Tymczasem na ogół jest dokładnie odwrotnie. Poza tym oni zakłócili bardzo delikatną relację między szyitami i sunnitami w Iraku. To była sytuacja niezdrowa za Saddama, ale włożenie palca w ten konflikt musiało się dla Amerykanów skończyć tak, jak to widzieliśmy. Żeby zrozumieć do głębi świat arabski, trzeba by się urodzić tam 500 lat temu.

CHUDZIŃSKI: Powszechnie się sądzi, że przyczyną główną niepowodzenia Amerykanów w Iraku była próba zainstalowania tam zachodniego modelu demokracji.

BELKA: Błędów było wiele więcej. Irakijczycy byli po upadku Saddama gotowi do pełnej współpracy z Amerykanami. Ale jak ci rozwiążali armię, policję i inne formacje zbrojne, to po paru miesiącach mieli przeciwko sobie kilkaset tysięcy ludzi z bronią w ręku. I to ich niczego nie nauczyło. Trump w swojej polityce wobec krajów arabskich robi te same błędy co poprzednicy. Tylko on szyitów obciąża odpowiedzialnością za światowy terroryzm i nas wciąga w ten konflikt.

ORDYŃSKI: A nas czego nauczył Irak, do którego wysłaliśmy nasze wojsko?

BELKA: Jak widać, też niczego.

SEKOWSKI: To może Pan odniósł przynajmniej osobisty sukces, pełniąc w Iraku odpowiedzialne funkcje.

BELKA: Nie odniosłem, na szczęście, żadnego sukcesu. Bo gdyby udało mi się coś osiągnąć, to byłbym podejrzewany o nieczne rzeczy.

CHUDZIŃSKI: A innym się udało?

BELKA: Myślę, że Amerykanom – per saldo – misja w Iraku nie przyniosła wymiernych korzyści. Żadnego interesu tam nie zrobili, poza firmami, które zaopatrywały ich wojsko. Urządziły się tam też prywatne firmy ochroniarskie. W sumie, jeśli o państwa koalicji antysaddamowej chodzi, żadne na misji w Iraku interesu nie zrobiło, choć wiele miało taką nadzieję, my też.

ORDYŃSKI: Jak to się potoczy dalej w Iraku?

BELKA: Sytuacja się powoli stabilizuje, ale do normalności daleko, jeśli to pojęcie ma tam zastosowanie. Generalnie cały Bliski Wschód jest obecnie polem konfrontacji szyizmu z sunnizmem. My, wtykając palce w ten konflikt, niczego nie zyskamy, a stracić możemy.

SEKOWSKI: To przejdźmy na nasze podwórko. Jak Pan widzi dalszy rozwój sytuacji w Polsce?

ORDYŃSKI: Czy czeka nas powrót do III RP, czy marsz ku piątej?

BELKA: PiS nie używa już nazwy IV RP, więc chyba ku piątej nas nie poprowadzi. Zostaniemy w III RP, bo „dobra zmiana” nie zdołała jej całkowicie pogrzebać. Ale jeśli się ostanie, to trzeba będzie ludziom powiedzieć, że przyszłością jest wspólnota, a nie indywidualistyczne podejście. I to musi znaleźć odzwierciedlenie w polityce socjalnej i gospodarczej. Może pojawi się premier, który jak Kuroń będzie wyjaśniał konieczność podejmowania takich a nie innych decyzji, ale zawsze w interesie wspólnoty, a nie większej czy mniejszej liczby jednostek. Oczywiście żadnych flirtów ze skrajną prawicą. A z populizmem wygrać można argumentami i mądrymi decyzjami, jeśli zdobędzie się władzę.

CHUDZIŃSKI: Czy te rozmówki przyszłego premiera z narodem to nie utopia?

BELKA: Czy Kuroń był utopią? Wolę taką utopię od dyktatury, ku której PiS nas prowadzi.

CHUDZIŃSKI: Czy Kuroń miał realną władzę?

BELKA: Nie, był plastrzem władzy na bolesną transformację. Ale sytuacja się zmieniła. Dzisiaj jesteśmy zamożnym – na tle wielu innych – krajem. I niezależnie od tego, jak się ukształtuje w przyszłości konstelacja polityczna w Polsce, jej premier musi mieć odwagę rozmawiać z ludźmi. Oni potrzebują szacunku, rozmowy i poczucia, że ktoś się o nich troszczy. Może to jest utopia, lecz lewica ma z nią wiele wspólnego.

ORDYŃSKI: A Unia? Czy będą nadal nas chcieli?

BELKA: W tej sprawie nie ma dyskusji. Tam jest gwarancja naszej przyszłości. A Polska jest Unii niemniej potrzebna.

SEKOWSKI: Jak widzi Pan przyszłość lewicy?

BELKA: Jest takie znane powiedzenie: za dużo wodzów, za mało Indian. Problem lewicy w ogóle, nie tylko w Polsce, polega na tym, że jej program socjalny został zaanektowany przez inne partie, choćby chadeckie, a przede wszystkim przez populistów. To co pozostało lewicy? Ekologia, ok., ale tym się zajmują także Zieloni; gender, feminizm, równouprawnienie? Ok., choć tradycyjny elektorat lewicy może mieć opory. To jednak nie są wielkie projekty społeczne. A świat się tak zglobalizował, że niezależnie od tego, czy rządzi chadecja czy socjaldemokracja, w gospodarce muszą respektować te same reguły. Dla wyborcy pod tym względem niewiele się różni. No to kogo wybiera? Piratów, piwoszy lub skrajnych populistów, bo lewica zawsze była tylko umiarkowanie populistyczna. U nas na razie święci triumfy populizm prawicowy, który zawłaszczył program socjalny lewicy, a od siebie dodał nacjonalizm i ksenofobię.

CHUDZIŃSKI: Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiali:

Edward Chudziński

Jan Ordyński

Paweł Sękowski

Warszawa, 28 stycznia 2019 r.

RYSZARD STEMPOWSKI

OD LIBERALIZMU KAPITALISTYCZNEGO DO SOCJALIZMU LIBERALNEGO?

Notatki do rozważań o sprawiedliwości społecznej

„Sprawiedliwość społeczna” jest w polskiej debacie publicznej ideą marginalną¹. Wprawdzie o zasadach sprawiedliwości społecznej czytamy w ogólnikowym uzasadnieniu orzeczenia Trybunału Konstytucyjnego, termin ten nie należy jednak do podstawowego słownictwa ani programów rządowych z wnioskami o udzielenie Radzie Ministrów wotum zaufania, ani przedkładanych Sejmowi informacji rządu, podobnie jak równość albo wolność. Rzadko też występuje w programach partyjnych ostatniego ćwierćwiecza. Marginalnie pojawia się w nielicznych wypowiedziach polityków. Pewną jej odmianę pokazały fale „górników” (z łomami) czy „związkowców” (z oponami do podpalenia), które atakowały fałochron policjantów. W pół tysiąca stron liczącym podręczniku akademickim polityki społecznej, znalazłem tylko jedno użycie terminu „sprawiedliwość społeczna”, zastosowanego dla podkreślenia „deklaratywności” art. 2 konstytucji 1997 r. W dyskursie publicznym znajdujemy odniesienia prawie wyłącznie do postulatów redystrybucji dochodów przez budżet państwa.

Zapytałem przed laty kilkunastu znanych mi polityków, sędziów, uczonych konstytucjonalistów: Ponieważ nasza konstytucja wymaga urzeczywistnienia „zasad sprawiedliwości społecznej”, wymieńcie mi choćby dwie takie zasady. Czekam na odpowiedź.

Jednostronne skupienie uwagi na konkretnym postulatcie takiej redystrybucji pojawia się zwykle wtedy, gdy przedtem brakuje skutecznej pracy nad ulepszaniem instytucji ustrojowych i rozwijaniem demokratycznej kultury politycznej, obywatelskiej, czyli swoistej redystrybucji argumentów w dyskursie publicznym. Nie powinna uspokajać sytuacja względnej poprawy w ostatnich latach. Albowiem zapisane zostało w Konstytucji: „Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecz-

nej” (art. 2 K.). To nakaz działania nieustannego. Przedmiotem obywatelskiej refleksji o idei sprawiedliwości społecznej mogą być: elementarna konceptualizacja takiej idei, teza o wspólnym mianowniku zasad sprawiedliwości społecznej, postulaty, ocena wdrażania zasad.

Regulacje w zakresie zasad sprawiedliwości społecznej, w tym redystrybucja bogactwa narodowego, stanowione prawem w powiązaniu z uprawnieniami i obowiązkami obywatela – jako podatnika, pracobiorcy, pracodawcy, właściciela nieruchomości spadkobiercy, beneficjenta zabezpieczenia społecznego itp. – stanowią przede wszystkim składnik ustroju. Tak jest nawet wtedy, gdy jakiś akt prawny czy decyzja pojawiają się w bezpośrednim wyniku radykalnej kampanii; samo formułowanie redystrybucyjnych postulatów nie zastąpi przecież nieustannej pracy nad ustrojową podstawą sprawiedliwości społecznej, w której taka redystrybucja jest tylko jednym ze składników. Swego rodzaju sprawiedliwość ustrojowa (konstytucyjnie definiowana, polityczna), czyli odpowiedni zestaw instytucji (norm) ustrojowych demokratycznego państwa prawnego (wynik polityczności, tzn. nieustannie czynnej zdolności do samoorganizacji społecznej) stanowi warunek konieczny całościowo pojmowanego urzeczywistniania zasad sprawiedliwości społecznej. Instytucje te zaś, łącznie z omawianymi zasadami, podlegają ocenie moralnej także i dlatego, że sprawiedliwość społeczna powiązana jest z godnością człowieka. Dotyczy wszak ludzi. Sprawiedliwość odnosi się do człowieka, a godność człowieka jest niezbywalna, choć w pewnym zakresie zmienna w sferze tożsamości osoby konkretnej. Oczekiwania co do sprawiedliwości współdefiniują tożsamość, a tożsamość wyraża się też w dążeniu do życia godnego w sprawiedliwości. Godność należy do sfery kulturowości, czyli nieustannie czynnej zdolności do formowania swej tożsamości przez człowieka w grupie społecznej, wspólnocie i pluralistycznym społeczeństwie, czyli narodzie politycznym, w warunkach jednoczesnego formowania swej tożsamości przez każdą z tych grup. Polityczność i kulturowość (współ z gospodarnością) są właściwościami tego samego bytu społecznego. Toteż konieczne jest poszukiwanie podejścia całościowego – także w tym sensie, że łącznie ujmującego polityczności i kulturowość i dlatego też rozpatrującego politykę jako (a) sferę aktywności jednostki ludzkiej kierującej się tak-

¹ Tekst niniejszy jest (1) zaktualizowaną adaptacją dłuższego opracowania: R. Stemplowski, *O sprawiedliwości społecznej w polityce polskiej*, [w:] W. Arndt, S. Bober., red., *Sprawiedliwość społeczna w polityce polskiej*, Akademia Ignatianum i Wydawnictwo WAM, Kraków 2016, s. 11-35 (tamże przypisy i bibliografia) i (2) sygnalizacją związku między ideałem sprawiedliwości społecznej a ustrojem. Po opublikowaniu wspomnianego tekstu w wydawnictwie uczelni jezuickiej, powtarzam po trzech latach prośbę o nadsyłanie komentarzy – pytając teraz o zdanie ludzi z innego środowiska zainteresowanego problematyką sprawiedliwości społecznej. ryszard@stemplowski.pl

że normami moralnymi, a zarazem (b) sferę funkcjonowania narodu politycznego, kierującego się także normami etycznymi.

„Sprawiedliwość społeczna” jest składnikiem zasad ustrojowych. Dobrze to ujmie cytowany art. 2 konstytucji. Sprawiedliwość ustrojowa (albo polityczna, w razie traktowania „ustroju państwa” i „systemu politycznego” jako synonimów) wyraża się w formule ogólnej – „demokratyczne państwo prawne”, a „zasady sprawiedliwości społecznej” stanowią konstytucyjnie wyróżnioną właściwość tak określonego ustroju państwa. Zasady te muszą więc być analizowane jak składnik – i w kontekście – zespołu zasad demokratycznego państwa prawnego, a urzeczywistnianie zasad sprawiedliwości społecznej stanowi część urzeczywistniania takiej całości, czyli konstytucyjnie określonego ustroju demokratycznego państwa prawnego.

Wszelka sprawiedliwość jest społeczna i może (musi?) się wiązać, albo (a) z wąskim pojmowaniem („społeczna” jako „socjalna”, „minister pracy i spraw socjalnych” w latach 1987-2003) – i tak zwykle ten termin jest często rozumiany, przy czym chodzi wtedy o sprawy i polityki społeczne z odniesieniem do sprawiedliwości dystrybtywnej (przez budżet państwa), a zatem do niektórych tylko funkcji państwa, albo (b) z pojmowaniem szerokim, jako społeczna w tym sensie, że wynika z ustroju i dotyczy polityki pojmowanej całościowo, włączając w to zakres, o którym mowa w (a), ale z odniesieniem do wszystkich funkcji państwa i narodu politycznego („suweren”, „społeczeństwo”), zatem i do wszelkich potencjalnych polityk społecznych i do stosunku danego państwa do podmiotów zagranicznych. „Sprawiedliwość globalna” jest oczywiście podobnie szeroko społeczna, lecz budowanie dwuznacznej dychotomii „polityka wewnętrzna – polityka zagraniczna” miewa swój odpowiednik w chwytliwej fonetycznie terminologii: „polityka socjalna – polityka globalna” i nie zawsze oznacza to samo, co w językach, z których ten termin jest zapożyczany. Rozpoznanie terminologii jest przesłanką korzystania z prac obcojęzycznych. Najwięcej poznawczo i politycznie obiecuje traktowanie terminu „sprawiedliwość społeczna” jako określenia odnoszącego się do ustroju (i prowadzonej polityki państwa) integralnie, całościowo, natomiast związek sprawiedliwości społecznej z godnością (chronioną na mocy art. 30 K.) ułatwia moralną ocenę zasad sprawiedliwości społecznej nie tylko w odniesieniu do demokratycznego państwa prawnego. Można na to spojrzeć i w ten sposób, że zasady rywalizacji (np. w procesie podziału dóbr) winy być regulowane przez zasady współdziałania mającego na celu wspólne dobro. Jednym z kryteriów jego określania i osiągania można uczynić uznanie, ściślej, stopnie (poziomy) uznania wzajemnego, włączając w to stosowanie art. 30 Konstytucji (nienaruszalność godności człowieka i jej poszanowanie oraz ochrona przez władzę publiczną) w powiązaniu z art. 1, ale i głębiej – problematykę tożsamości człowieka i wyobrażonej tożsamości grupy.

Termin „urzeczywistnianie zasad sprawiedliwości społecznej” jest fragmentem przepisu konstytucyjnego, natomiast wymóg urzeczywistniania zasad sprawiedliwości społecznej jest składnikiem norm konstytuujących, czyli strukturalnie legitymizujących Rzeczpospolitą Polską jako dobro wspólne wszystkich jej obywateli (art. 1 K.), czyli demokratyczne państwo prawne, zasady te

urzeczywistniające (art. 2 K.) i w ten sposób definiujące też konstytucyjną tożsamość polską. Wymaga to zarówno stanowienia, jak i wykonywania powszechnie obowiązujących aktów prawa, w tym – kontynuowania procesu budowania i wykonywania zasad sprawiedliwości społecznej jako składnika ustroju państwa w jego funkcjach założonych i rzeczywistych. Ponieważ sprawiedliwość społeczna wiąże się z godnością i właśnie przez to także podlega ocenie moralnej, przeto i urzeczywistnianie zasad sprawiedliwości społecznej takiej ocenie podlega, a ponieważ zasady te należy rozpatrywać jako składnik całościowo pojmowanej polityki państwa, zatem ocena taka odnosi się do polityki państwa. I odwrotnie, obierając za punkt wyjścia politykę państwa jako całość, przystępujemy do formułowania i urzeczywistniania zasad sprawiedliwości społecznej mając na uwadze moralność, zwłaszcza kryterium etyczne racji stanu.

Konstytucyjna formuła „zasady sprawiedliwości społecznej” (l. mn.) wymaga istnienia zbioru (przypuszczalnie otwartego) zasad sprawiedliwości społecznej, zapełnianego (a) zasadami znajdującymi się w Konstytucji i aktach prawa powszechnie obowiązującego w momencie wejścia w życie Konstytucji 1997 roku, która ustanawia – jako właściwość demokratycznego państwa prawnego – wymóg urzeczywistniania zasad sprawiedliwości społecznej, (b) zasadami pojawiającymi się w tego rodzaju aktach nowych, m.in. zasadami tworzonymi lub rekonstruowanymi przez Trybunał Konstytucyjny. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, czy organ wydający rozporządzenie może ustanowić nową zasadę sprawiedliwości społecznej, jako że rozporządzenie wydane jest na podstawie i w granicach delegacji ustawowej: czy ustawa może do tego upoważniać albo tego wymagać, a przynajmniej nie wykluczać? Czymś innym jest doktrynalnie wyodrębniana, konstytucyjna zasada urzeczywistniania zasad sprawiedliwości społecznej.

Mierzenie poziomu urzeczywistniania zasad sprawiedliwości społecznej wymaga przede wszystkim wzięcia pod uwagę usytuowania Polski w światosystemie instytucjonalnym. Polska znajduje się w fazie przejścia z peryferyjnej strefy rozwoju do centrum światosystemu. Trwa budowa demokratycznego państwa prawnego (i urzeczywistnianie zasad sprawiedliwości społecznej) w sytuacji, w której przemożnie oddziałują członkostwo w UE, a ponadto oddziałują pośrednio model USA, m.in. za pośrednictwem NATO oraz niektórych organizacji międzyrządowych (zwłaszcza MFW). Swoiste pojęta modernizacja odbywa się więc przede wszystkim przez wiązanie instytucji polskich, zachowanych i nowych, z ewoluującym modelem najwyższej rozwiniętych państw, w tym – adaptowanie tamtejszych rozwiązań instytucjonalnych, w których sprawiedliwość społeczna silnie się zaznaczyła w drugiej połowie XX stulecia, występując w instytucjach zachodnioeuropejskiego państwa dobrobytu, społecznej gospodarki rynkowej itp. Uwagi wymaga Traktat o Unii Europejskiej. Termin „sprawiedliwość” występuje w nim pięć razy, w tym raz w preambule. Terminu „sprawiedliwość społeczna” w traktacie nie ma. Należy jednak odnotować użycie (art. 2 i 12) terminów łączonych zwykle z zasadami sprawiedliwości społecznej: niedyskryminacja, tolerancja, sprawiedliwość, solidarność, równość kobiet i mężczyzn, sprawiedliwość bez granic wewnętrznych, wyłączenie społeczne, dyskryminacja, sprawiedliwość i ochrona socjalna, solidarność między

pokoleniami, ochrona praw dziecka, solidarność między państwami członkowskimi. Próbuąc umieścić te rozważania w szerszym kontekście, napotykamy dane odnoszące się do struktury PKB krajów europejskich i USA, w jego podziale na korzyści pochodzące z wynagrodzeń i na pochodzące od kapitału. W skali międzynarodowej do 1910 r., a w USA do 1928 r., rósł udział kapitału, a od tamtych czasów do lat 1950/1970. – udział wynagrodzeń. Od lat 1970/1980. znów rośnie znaczenie kapitału (mimo kolosalnych wynagrodzeń menadżerów największych spółek) i proporcje te są obecnie bliskie tym z pierwszej ćwierci XX w. Jeżeli presja negatywnych czynników kształtujących tendencję światową, zwiększona po Wielkiej Recesji 2008 r., okaże się trwała, może i naszą sytuację bardziej upodobnić do przeciętnej ogólnoświatowej i zwiększyć nierówność.

Przesłanka kolejna rozważań o mierzeniu to inspiracje z teorii sprawiedliwości. W miarę rozwoju analityki politycznej w urzędach obsługi organów władzy państwowej, częstsze stanie się branie pod uwagę ustaleń wynikających z zastosowania przynajmniej niektórych koncepcji ze spotykanych na gruncie filozofii politycznej. Przypuszczam, że już obecnie w pewnym stopniu uwzględniane są najbardziej rozpowszechnione teorie. Rozmaicie wolno je klasyfikować, lecz dla naszych rozważań przydatna jest klasyfikacja „partykularne – kosmopolityczne”. Jak twierdzą autorzy takiej klasyfikacji, te pierwsze (partykularne) skupiają się na tym, co „polityczne”, te drugie (kosmopolityczne) – na tym, co „moralne”. W procesie prowadzenia polityki mamy jednak do czynienia z obydwojoma porządkami i dlatego inspirowanie się teoriami jest z konieczności wybiórcze i „teoretycznie” niekonsekwentne, za to w procesie prowadzenia polityki może nieraz i przydatne. Byłoby dziwne, gdyby wspierający decydentów politycznych analitycy korzystający z prac filozofów nie inspirowali się przede wszystkim tezami głównymi takich teorii.

Rozpowszechnione występowanie terminu „szczęście” nie zdoła przestonąć konieczności mierzenia sprawiedliwości społecznej. Szczęściomierza sieciowego jeszcze nie ma. Jednak rozważania o szczęściu, cokolwiek termin ten miałby oznaczać, już teraz pomagają zrelatywizować funkcję wskaźnika PKB *per capita* jako uniwersalnego miernika poziomu rozwoju i mogą ułatwić rozbudowanie zbioru mierników (kryteriów) urzeczywistniania zasad sprawiedliwości społecznej. Opublikowana niedawno teoria szczęścia została przez jej autora nazwana eudajmonizmem postawy hedonistycznej (*Attitudinal Hedonistic Eudaimonism*). Szczęście jest „Dobrem” (*Good*), a „Dobro” wyraża się w szeroko pojmowanym dobrobycie (*welfare*). Nasuwa się pytanie, czy człowiekowi przyjemnie (hedonistycznie) szczęśliwemu potrzebne są jeszcze zasady sprawiedliwości społecznej? Jeżeli jednak nie jest jeszcze tak szczęśliwy, urzeczywistnianie zasad sprawiedliwości społecznej może traktować jako eudajmonistyczne dążenie do szczęścia. Rozważania tego rodzaju powinny być związane też ze znanymi, platońskimi tezami o republikańskim państwie. Nie ma szczęścia bez sprawiedliwości, ale sprawiedliwość jednostki nie wystarczy, żeby osiągnąć szczęście. Człowiek jest szczęśliwy jako sprawiedliwy dopiero w sprawiedliwym państwie.

Współczynnik Giniego – im niższy, tym dochodowo równiej – spada w Polsce od czasu wstąpienia do UE.

W 2013 r. był tylko o dwie dziesiąte wyższy od przeciętnego w UE i wynosił 30,7, lecz w Danii – tylko 24,0. Teraz spadł u nas poniżej 30. Większa obecnie równość w Polsce przejawia się w spadku odsetka ludności żyjącej w skrajnym ubóstwie z 12 proc. w 2005 r. (apogeum poziomu biedy w Polsce okresu od 1989 r.) do 7,4 proc. w 2013 r. Mamy poprawę, lecz jednak 2,8 mln obywateli żyje w skrajnym ubóstwie; to nadal strasznie dużo, a bieda dotyka przede wszystkim dzieci i bezrobotnych, głównie w województwach warmińsko-mazurskim, podlaskim i świętokrzyskim. Urealnienie urzędowego kryterium ubóstwa podniosłoby jeszcze tę liczbę. Odnotowania wymaga porównanie tendencji polskich (i unijnych), mierzonych jak wyżej, ze światowymi. Przeciętna światowa współczynnika Giniego wynosi 38,8. Jeszcze wyższy współczynnik występuje w USA i stale rośnie, co zaprzecza opinii, że większy poziom rozwoju gospodarczego prowadzi do równiejszej dystrybucji dochodów, a okazuje się też, że wysokie tempo wzrostu gospodarczego – także do tego nie prowadzi (Chiny mają współczynnik Giniego równy 46, USA mają 47).

Wszelkie mierzenie sprawiedliwości społecznej zakotwiczone jest w stosunkach społecznych. Zasady sprawiedliwości społecznej sprowadzone do uprawnień (regulacja prawna i decyzje jednostkowe) mogą być oceniane przez ich korelowanie z poszczególnymi grupami społecznymi. Zabieg ten pozwala uchwycić związek pomiędzy rodzajem grupy a skutecznością jej politycznego oddziaływania, zwłaszcza na posłów i senatorów, co pomaga ocenić prowadzoną politykę rządu i prognozować skutki projektowanych aktów prawnych lub decyzji niższego rzędu. Dostępne są częściowe dane o tym dla takich grup jak bezrobotni, członkowie mniejszości etnicznych, członkowie służby cywilnej, funkcjonariusze służb mundurowych, górnicy, imigranci, nauczyciele, niższy personel medyczny, osoby niepełnosprawne, renciści, rolnicy itd., ale także biznesmani, osoby samozatrudnione, a ponadto grupy formalne – związki zawodowe, stowarzyszenia twórcze itd., ponadto korporacje inwestujące w Polsce (kapitał zagraniczny). Te dane można wykorzystać w powiązaniu z innymi kategoriami analitycznymi, tutaj stosowanymi. Szczególnie owocne jest łączne stosowanie kryterium równości i kryterium niedyskryminacji w odniesieniu do takich grup jak kobiety i mężczyźni, osoby niepełnosprawne, bezrobotni.

Zrozumienie relacji „sprawiedliwość społeczna – polityka” wymaga uwzględnienia możliwie najszerszego kontekstu społecznego, w szczególności kultury politycznej, a w niej – najbardziej rozpowszechnionych i zarazem najwyżej cenionych wartości społecznych w kulturze politycznej. Opinia, że każdy ma swoją wizję sprawiedliwości społecznej, z tym właśnie się wiąże. Poglądy z tym związane zawarte są we wszystkich formach dyskursu publicznego, także w przekonaniach inspirowanych encyklikami papieża, systemach etycznych, ideologiach politycznych, dziełach sztuki, opracowaniach naukowych. Nie jest prawdą, że rozważania o sprawiedliwości społecznej sprowadzają się do postulatów etatystycznych i pomijają samodzielność jednostki kształtującej swoje życie, że sprowadzają wszystko do oczekiwań na pomoc ze strony opiekuńczego państwa. Przejawiają się w świadomości złożonej nie tylko z wiedzy, ale także z empatii.

Zbadanie tego jest wielkim zadaniem socjologa, a wyniki takich badań potrzebne są decydentom. Jednak

uniwersytecki wykładowca nauk społecznych i humanistycznych wie dobrze ze swego doświadczenia pracy ze studentami, że w szkole średniej i mediach nie przedstawia się adekwatnie procesów społecznych w Polsce, na międzynarodowym rynku w świecie ostatniego półwiecza. Młodzi nieuchronnie ulegają multimedialnemu i osobiście doznawanemu efektowi demonstracji wskutek obserwowania konsumpcji oraz instytucji w najwyżej rozwiniętych krajach UE, a niedostatek wiedzy utrudnia im budowanie własnej oceny zmian i budowy nowego ustroju, warunków konkurencji rynkowej (innowacje, koszt siły roboczej), zmieniającego się położenie obywateli w Polsce, Polski w UE i świecie etc. Wiele do nadrobienia ma więc szkoła wyższa, także zresztą wymagająca reformowania, co również należy do sfery sprawiedliwości społecznej.

Wspólny mianownik zasad sprawiedliwości społecznej – obowiązujących i potencjalnych – musi być określany głównie w nawiązaniu do konstytucji, ustaw, rozporządzeń Rady Ministrów i organów administracji rządowej oraz do orzeczeń Trybunału Konstytucyjnego. Wspólny mianownik zasad sprawiedliwości społecznej opiera się na zespole norm (instytucje ustrojowe) sprzyjających budowaniu (umacnianiu) stosunków społecznych w procesie zrównoważonego rozwoju, czyli norm spełniających łącznie i w jak najwyższym stopniu kryteria dobra wspólnego, godności, równości i praw człowieka, odpowiadających aktualnej woli suwerena („Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”; preambuła i art. 4 K.), wyrażanej za pośrednictwem jego demokratycznie powoływanych przedstawicieli, albo bezpośrednio w referendum, a przybierającej ostatecznie postać przepisów Konstytucji i pozostałych aktów prawa powszechnie obowiązującego oraz dyrektyw racji stanu skutecznie wprowadzanych w życie. W związku z tym właściwe organy władzy państwowej powinny w szczególności:

I. obniżyć zaistniały poziom nierówności społecznej zwłaszcza w zakresie dotyczącym osoby znajdujące się w najgorszym położeniu – i redukować nierozłączny z nią niedostatek ochrony godności człowieka, jak również kształtować ustrojowe instytucje tak, żeby jednocześnie zapobiegać pojawianiu się nowych nierówności oraz pogłębianiu się niedostatku ochrony godności, przy tym nie myląc jednak wszystkich nierówności społecznych z nieuchronnymi nierównościami międzypaństwowymi poziomów rozwojowych oraz indywidualnie oddziaływającymi bodźcami niezbędnymi dla gospodarczej (rynkowej) konkurencyjności i społecznej mobilności;

II. przyspieszyć modernizację administracji publicznej, zwłaszcza rządowej, jej urzędów i służb, łącznie z analitycznym wspomaganiem decydentów, jako warunek konieczny właściwego funkcjonowania tych instytucji ustrojowych, a zatem i urzeczywistniania prawa;

III. stwarzać warunki do rozwijania odnośnych prac analitycznych w urzędach władzy publicznej oraz wspomagać prowadzenie takich prac w szkołach wyższych, instytutach badawczych i organizacjach społecznych;

IV. sprzyjać traktowaniu problematyki zasad sprawiedliwości społecznej w ustroju państwa jako przedmiotu stałej aktywności obywateli, szczególnie ich działalności w organach i urzędach każdego z trzech rodzajów władzy państwowej oraz w partiach politycznych, m.in. w celu zapobiegania pasywności wywołanej przez oddziaływanie państwa opiekuńczego; czynić tę problema-

tykę przedmiotem stałej aktywności tych organów, urzędów i partii politycznych w celu ciągłego aktualizowania kryteriów, o których mowa wyżej.

Minimalistyczne i zarazem krótkoterminowe postulaty pod adresem polityków nie są oparte na żadnej idealizacji sprawiedliwości. Celem poniższych postulatów stosunkowo łatwych proceduralnie do wprowadzenia jest skłonienie rządu i partii politycznych, a pośrednio też władzy ustawodawczej, do systematycznego zajmowania stanowiska w sprawie zasad sprawiedliwości społecznej. Realizacja tych postulatów ma otworzyć drogę do dalszego działania.

I. W ustawie o partiach politycznych z dnia 17 czerwca 1997 r. (Dz.U. 2011 Nr 155, poz. 924), należy uzupełnić art. 1 (dodane zaznaczam kursywą): „Partia polityczna jest dobrowolną organizacją, występującą pod określoną nazwą, stawiającą sobie za cel udział w życiu publicznym poprzez wywieranie metodami demokratycznymi wpływu na kształtowanie polityki *demokratycznego państwa prawnego, urzeczywistniającego zasady sprawiedliwości społecznej*, lub sprawowanie władzy publicznej”.

II. Wskazanie przez wnioskodawcę, przedkładającego Sejmowi projekt ustawy, skutków finansowych jej wykonania (art. 118 ust. 3 K.) – większość inicjatyw ustawodawczych pochodzi od rządu – winno zawierać informację uszczegóławiającą czy przy ustalaniu treści tego wskazania został uwzględniony ewentualny związek tych skutków z konstytucyjną klauzulą sprawiedliwości społecznej. Wymóg taki co do wymienionego wskazania może zostać ustanowiony w Regulaminie Sejmu, gdyż nie jest to niezgodne z konstytucją i ustawami.

III. Do rozważenia jest dalej idący wniosek, aby do Regulaminu Sejmu, § 34, ust. 2, pkt 4, dodać wyrazy: z uwzględnieniem zasad sprawiedliwości społecznej. Ewentualny tekst po takiej poprawce: § 34, ust. 2, pkt 4: Do projektu ustawy dołącza się uzasadnienie, które powinno: (...) 4) przedstawiać przewidywane skutki społeczne, gospodarcze, finansowe i prawne, z wymienieniem uwzględnionych zasad sprawiedliwości społecznej.

IV. Sprawozdawca komisji sejmowej rozpatrującej projekt ustawy w drugim czytaniu powinien w sprawozdaniu zastosować odpowiednio postulat, o którym mowa w pkt. (I) i (II).

V. Prezes Rady Ministrów, przedkładając Sejmowi program działalności Rady Ministrów z wnioskiem o udzielenie wotum zaufania, powinien w tym programie zawrzeć informację, jak planowana polityka rządu ma przyczynić się do urzeczywistnienia zasad sprawiedliwości społecznej, ze wskazaniem na treść powoływanych zasad oraz ich związek z pozostałymi składnikami racji stanu.

VI. Przed głosowaniem nad wnioskiem o udzielenie rządowi wotum zaufania (zob. wyżej, pkt IV), Sejm winien zapoznać się z opinią sejmowej Komisji Regulaminowej w sprawie spełnienia przez wniosek warunku, o którym wyżej mowa. Komisja Regulaminowa korzysta z ekspertyzy Kancelarii Sejmu.

VII. Sejm wykonując art. 95 K. (sprawowanie kontroli nad działalnością Rady Ministrów) powinien *expressis verbis* stosować kryterium oceny uwzględniającej wykonanie pkt. (II) i (IV).

VIII. Prezydium Sejmu powinno badać uzasadnienia projektów ustaw oraz działalność sprawozdawców prac

komisyjnych pod kątem uwzględniania przez nich wymogów, o których mowa w pkt. I i II.

IX. Szef Kancelarii Sejmu powinien rozszerzyć w Biurze Analiz Sejmowych zakres prowadzenia podstawowych studiów z zakresu problematyki demokratycznego państwa prawnego (z koniecznym uwzględnieniem zasad sprawiedliwości społecznej), zwłaszcza przez zamawianie w porozumieniu z Wydawnictwem Sejmowym monografii u autorów zewnętrznych (zwłaszcza w dziedzinie filozofii i teorii politycznej, ekonomii politycznej, socjologii prawa) oraz finansowanie przekładów prac obcojęzycznych z tego zakresu.

X. Organy kontroli państwowej i ochrony prawa związane z Sejmem powinny stosować kryterium urzeczywistniania przez organy i urzędy administracji publicznej zasad sprawiedliwości społecznej wymienione w aktach prawa, decyzjach oraz ich urzędowych uzasadnieniach, o których mowa w pkt. (I) i (III).

XI. Konieczne jest poszerzenie dyskursu publicznego o sprawiedliwości społecznej. Takiemu rozszerzeniu sprzyjałoby rozwinięcie instytucji wysłuchania publicznego w Sejmie, zwłaszcza w powiązaniu z projektami ustaw (prace komisyjne).

Owocne wdrażanie postulatów, o których mowa w pkt. IXI, jeśli do niego dojdzie, stworzy warunki do dalszego, możliwie szybkiego zainicjowania, uchwalenia i egzekwowania najpilniejszych zmian:

XII. w prawie podatkowym (dalsze poprawienie położenie rodzin z dzieckiem/dziećmi oraz ludzi do 25 i powyżej 65 roku życia), [szkic oryginalny pisałem w 2014 r., opublikowano go w 2016 r.]

XIII. w ustawie o zasiłkach rodzinnych, pielęgnacyjnych i wychowawczych (dalsze podwyższenie dodatków na dziecko/dzieci) i

XIV. w rozporządzeniu o wynagrodzeniu minimalnym (dalsze jego podnoszenie).

Koszty tych zmian miałyby zostać sfinansowane zwiększonymi – mimo oczekującego nas ustania dopływu środków unijnych – przychodami budżetu, m.in. z tytułu postulowanego zwiększenia progresji podatkowej

Nie trzeba zmieniać konstytucji, żeby sytuację poprawiać. Jeżeli jednak powyższe albo podobne postulaty minimalistyczne i krótkoterminowe nie zostaną wprowadzone jako przepisy prawa lub odpowiedzialnie uzgodniona praktyka, konstytucyjna klauzula zasad sprawiedliwości społecznej będzie miała dla ustawodawstwa i prowadzenia polityki nadal takie albo niewiele poważniejsze znaczenie, jakie ma obecnie. A kto z obecnego stan rzeczy jest zadowolony? Konstytucyjny suweren, „Naród Polski – wszyscy obywatele Rzeczypospolitej”?

Postulaty średnioterminowe zaś to takie, które nie są tu zaliczane do minimalistycznych albo strategicznych (zob. niżej), a zatem większość postulatów pojawiających się w dyskursie publicznym. Nie miejsce tu na określanie, jak ostatecznie taka lista postulatów do dyskusji powinna wyglądać, które należałoby wyróżnić, jak je zhierarchizować, w jakim okresie stopniowo wprowadzać, jak finansować, jak uniknąć przy tym populistycznej nieodpowiedzialności i powiązać z programem długofalowego wzrostu zrównoważonego, którego zasady sprawiedliwości społecznej są jedną z przesłanek. Warto jednak te postulaty systematycznie gromadzić i analizować.

Z kolei, perspektywa strategiczna wymaga (a) rozważenia problemu urzeczywistniania zasad sprawiedliwości społecznej w dłuższym trwaniu państwa i zakłada nie tylko utrwalenie wyników uzyskiwanych w wyniku urzeczywistniania postulatów minimalistycznych (krótkoterminowych) i pewnego zestawu średnioterminowych, lecz przede wszystkim wymaga (b) zoptymalizowania takiego zestawu zasad sprawiedliwości społecznej, których urzeczywistnianie związane byłoby z trwałym, tzn. bardzo długotrwałym i stale zrównoważonym rozwojem kraju w warunkach przyspieszających zmian naukowotechnicznych (sztuczna inteligencja) i rosnących oczekiwań obywateli urodzonych w okresie od lat osiemdziesiątych XX w. i coraz wyraźniej stających (I) wobec bardzo wysokiego prawdopodobieństwa rychłych, rewolucyjnych przemian na rynku pracy i szerzej w egzystencji człowieka (automatyzacja, zmniejszanie się podaży stanowisk stabilnego zatrudnienia jako źródła utrzymania), (II) oceniających swój status (i szanse swego potomstwa) w kategoriach mobilności społecznej i (III) coraz bardziej świadomych, że w praktyce tylko przez urzeczywistnianie zasad sprawiedliwości społecznej, stale rozbudowywanych, można dążyć do złagodzenia głębokich nierówności wynikających z różnic genetycznych i wczesnego wychowania rodzinnego.

Czy jednak da się zbudować zadowalające demokratyczną większość zasady sprawiedliwości społecznej bez fundamentalnej zmiany stosunków własnościowych, poczynając od uzgodnionego skonkretyzowania nowej funkcji społecznej kapitału? Jak głęboko sięgające zmiany możliwe są w kraju członkowskim UE bez takich zmian w całej UE? Jak uogólnić różnice występujące pod tym względem między państwami nordyckimi a Polską?

Wspólna strategia budowanego tandemu UEUSA zwiększyłaby szanse rozwojowe, ale i ona musiałaby ewoluować. Każdy system stosunków społecznych ma swój początek i koniec. Nie wolno więc traktować nierówności tak, jakby ustrój kapitalistyczny w obecnym swym kształcie miał tylko początek i nie miał mieć końca, jakby był finalną fazą polityczności, ostatnim słowem ludzkości. W XX w. klęską była próba stworzenia alternatywnego ustroju do jeszcze wyższej sprawiedliwości społecznej (z trudnymi do rozpoznania implikacjami dla ustroju państwa) próbując stworzyć rządy BRICS, ale najwięcej można oczekiwać po debacie nad kapitalizmem w państwach światosystemowego centrum, szczególnie w UE i USA.

Dalsza ewolucja kapitalizmu w demokratycznych państwach praworządnych, oddziaływającego na cały światosystem, jest nieunikniona. Jednak nawet fundamentalne zmiany, na razie zresztą niewyraźnie zarysowane, najprawdopodobniej nie zniosą konieczności dążenia do jeszcze wyższej sprawiedliwości społecznej, po nowemu pojmowanej w nowej sytuacji. Wprost przeciwnie, te dążenia staną się prawdopodobnie bardziej radykalne, gdyż będą wynikiem najgłębszej w dziejach nowożytnych zmiany człowieczego losu. Sprawiedliwość stanie się podstawową jego przesłanką. Zmieniającą nasz świat, w którym 1 procent ludności świata dysponuje 50 procentami zasobów i jeszcze wyższym udziałem w sprawowaniu władzy. Adam Czartoryski, kiedy był najbliższym doradcą cara Aleksandra, tłumaczył mu w 1803 r.: „Jeżeli chcemy działać na rzecz postępu, musimy sobie postawić cel, którego jeszcze nie osiągnęliśmy, ale jeśli chcemy działać na rzecz postępu

stale, to musimy wysunąć cel, którego nie da się osiągnąć nigdy". Sto pięćdziesiąt lat później, Karl Jaspers napisze: „Wola sprawiedliwości nigdy nie zostanie zaspokojona”. Jakże wiele zależy jednak od tego, w jakim stopniu będzie ona zaspokajana. Można i trzeba dążyć do zasadniczej poprawy istniejącego stanu sprawiedliwości – i to nie tylko w skali państwa, nie tylko w UE, trzeba się przygotować na zmiany w skali światosystemowej i warunkach globalizacji – i więcej, konieczna jest jak najszerza mobilizacja obywatelska na rzecz współtworzenia tych zmian. Chyba że rozpowszechnione oczekiwania w zakresie sprawiedliwości społecznej zostaną przez decydentów potraktowane tak, jak obecnie traktują oni groźbę zmiany klimatycznej. Wiadomo, jak zapobiec katastrofie, ale czy istnieją już siły, które zamierzają tego dokonać? A może istnieje jakaś nierozpoznana i nieprzekraczalna granica absolutna zbiorowego działania na rzecz sprawiedliwości? A jeśli istnieje, to czy ulega zmianie i pod wpływem czego?

Wzrastanie poziomu wiedzy i zakresu jej powszechności oraz rozwój sieciowej komunikacji społecznej sprawiają, że wykorzystując realizację wspomnianych wyżej postulatów, urzeczywistnianie zasad wzajemnego uznania i sprawiedliwości społecznej stawia na porządku dziennym postulat wypracowania pełniejszej koncepcji demokratycznej socjalizacji państwa, czyli odpowiedniego kierunku prowadzenia polityki demokratycznego państwa praworządnego, realizacji swobodnego zwrotu instytucjonalnego.

Po przezwyciężeniu dziedzictwa konfliktu demokratycznych państw kapitalistycznych i autokratycznych państw socjalizmu państwowego, można bowiem projektować w państwie członkowskim UE: (1) reformę prawa własności w kierunku jej upowszechnienia i opodatkowania, (2) reformę podziału władzy między organy centralne władzy państwowej i samorząd terytorialny – w kierunku decentralizacji oraz reformy wymiaru sprawiedliwości, (3) wprowadzenie norm nadzoru obywatelskiego w zakresie stosowania prawa (funkcje stowarzyszeń i fundacji) – w kierunku zwiększenia udziału obywateli w procesie stanowienia i stosowania prawa (4) reformę organizacji usług finansowanych (obecnie albo docelowo) z budżetu (na wzór postulowanej instytucji bezwarunkowego dochodu podstawowego?) – zwłaszcza w zakresie edukacji, ochrony zdrowia, ale i transportu, łączności internetowo-telefonicznej, dostaw energii elektrycznej.

Realizacja takiego programu to przedsięwzięcie skomplikowane i długotrwałe. Przykład: Powszechna ochrona zdrowia wymaga odpowiedniego finansowania bez szkody dla innych dziedzin, a do tego potrzebuje odpowiedniego wzrostu gospodarczego, właściwego opodatkowania, efektywnej organizacji służby zdrowia na odpowiednim poziomie wykształcenia, badawczego zaplecza medycznego i oczywiście odpowiedniej infrastruktury prawnej. Mamy więc do czynienia z postulatem prowadzenia polityki w długim okresie wielokadencyjnym organów władzy, czego warunkiem koniecznym jest odpowiedni poziom współdziałania społecznego w państwie – właśnie tego wzajemnego uznania, ochrony godności każdego obywatela i wyborcy, podnoszenia wiedzy obywatelskiej o instytucjach prawnych, etc. Zawsze szkodzi temu arogancka amatorszczyzna zakompleksionych polityków; służy zaś etyczna postawa służebności kon-

stytucyjnej, spotykana też czasem i w środowiskach polityków.

Rzeczpospolita Polska funkcjonuje wspólnie z pozostałymi państwami członkowskimi UE w ustrojowych ramach kapitalizmu, konkretnie w jego odmianie – „państwo dobrobytu”, *welfare state*. To już nie jest dawny kapitalizm *laissez-faire*. Nie jest to jednak także jakiś kapitalizm bardziej zaawansowany pod względem sprawiedliwości społecznej niż państwo dobrobytu. Kto dopuszcza myśl o możliwym zaistnieniu takiego bardziej zaawansowanego kapitalizmu, ten uznaje, że *welfare state* nie jest w stanie docelowo spełnić wymogów idealnie projektowanej sprawiedliwości społecznej. Takie w zasadzie stanowisko zajął swej ostatniej książce *Justice as fairness* (2000 r.) John Rawls (zm. 2002 r.) – jeden z najwybitniejszych filozofów XX w. – uznając, że *welfare state* nie realizuje (w pełni) podstawowych wartości politycznych z jego dwóch zasad sprawiedliwości, (a) i (b):

„(a) Każda osoba ma takie samo niezbywalne prawo do w pełni adekwatnego systemu równych wolności (*liberties*) podstawowych, zgodnego z takim samym systemem wolności (*liberties*) dla wszystkich; a jednocześnie

(b) istniejące nierówności społeczne i ekonomiczne mają spełniać dwa warunki: po pierwsze, mają być związane z urzędami (*offices*) i stanowiskami (*positions*) dostępnymi dla wszystkich na zasadach autentycznej równości szans (*fair equality of opportunity*); po drugie, mają mieć postać jak najkorzystniejszą dla członków społeczeństwa, znajdujących się w najgorszym położeniu (zasada różnicowania – *the difference principle*).”

Pośredniego dowodu na trafność takiego stanowiska dostarcza wysoce wartościowa, obszerna i nadal w pełni aktualna analiza polityki *welfare state* w Belgii, Holandii, Szwecji i Australii (1971-2008): P. Starke, A. Kaasch, F. von Hooren, *The Welfare State as Crisis Manager* ..., Palgrave Macmillan 2013, w której termin sprawiedliwość nie pada ani razu. Autorzy zaś stwierdzają, że najbardziej radykalny program rządowy reagowania na kryzys – wspomaganie bezrobotnych – został tam w ostatnich latach wyraźnie ograniczony i stosowany był bardzo różnie w różnych krajach dobrobytu.

Bardziej od *welfare state* zaawansowanym kapitalizmem, realizującym powyższe dwie zasady – (a) i (b) – lepiej niż *welfare state*, byłaby – jak pisze Rawls – *property-owning democracy*, demokracja właścicielska, której instytucje (normy) gospodarcze oparte byłyby na innych zasadach dziedziczenia, oszczędzania, opodatkowania etc., a w konsekwencji – akumulacji kapitału i znaczenia wzrostu gospodarczego. Jednak nawet ta lepsza realizacja wymienionych zasad nie byłaby pozbawiona ograniczeń tkwiących w kapitalizmie, tym bardziej że rozgraniczenie zasad państwa dobrobytu i zasad państwa demokracji właścicielskiej nie jest ostre. Zapytam inaczej: Czy da się budować i utrzymać pokój między państwami bez sprawiedliwości społecznej?

Czy więcej sprawiedliwości społecznej mógłby przynieść socjalizm? Nie ten państwowy (przypomina się PRL), lecz demokratyczny socjalizm liberalny. Co o tym powiedzieliby teraz ludzie, którzy termin „sprawiedliwość społeczna” wprowadzili do politycznego dyskursu – autorzy projektu konstytucji dla rodzących się Włoch, jezuici z przełomu XIX stulecia?

JAROSŁAW ŁADOSZ

KU „REPUBLICIE SOCJALNEJ”

Glossa

Tekst Jarosława Ładosza z 1993 roku był głosem w dyskusji zainicjowanej przez powołaną w kwietniu 1992 roku Komisję Konstytucyjną pod przewodnictwem Waleriana Piotrowskiego. Autor, nie stroniąc od polemik, krytyki „realnego socjalizmu”, stalinizmu, marksizmu-leninizmu, analizuje aktualne problemy demokracji parlamentarnej, trójpodziału władz i samorządu terytorialnego w szerokiej perspektywie teoretycznej. Ważny jest także polityczny kontekst historyczny czasów prezydentury Lecha Wałęsy pod rządami Małej Konstytucji. To kontynuacja tekstu »Epidemia „prezydenckiej demokracji»« z poprzedniego numeru „Zdania”, jednak stanowi on autonomiczną całość. (E.K.)

„Jeżeli konstytucja nadaje [...] prezydentowi władzę faktyczną, to Zgromadzeniu Narodowemu usiłuje zapewnić siłę moralną. Pomijając już to, że nie można za pomocą artykułów ustawy stworzyć siły moralnej, konstytucja raz jeszcze przekreśla tu siebie samą, ponieważ każe wszystkim Francuzom wybierać prezydenta w drodze bezpośredniego głosowania. Głosy Francji rozpraszają się na 750 członków Zgromadzenia Narodowego, tu natomiast skupiają się na *jednej* osobie. Każdy przedstawiciel ludu reprezentuje tylko tę lub ową partię, to lub owo miasto, ten lub ów przyczółek mostowy albo też nic innego, jak konieczność wybrania jednego z 750 posłów, bez bliższego przyjrzenia się zarówno sprawie, jak osobie – *prezydent* zaś jest wybrańcem narodu, a akt jego wyboru jest poważnym atutem, który suwerenny naród rzuca na stół raz na cztery lata. Wybrane Zgromadzenie Narodowe pozostaje w metafizycznym stosunku do narodu, ale wybrany prezydent – w stosunku osobistym. Zgromadzenie Narodowe reprezentuje wprawdzie w osobach poszczególnych przedstawicieli różnorodne aspekty ducha narodowego, ale w prezydencie duch ten znajduje swe ucieleśnienie. Prezydent ma w stosunku do Zgromadzenia niejako prawa boskie, jest władcą z łaski ludu”.

(Karol Marks, *Osiemnasty brumaire’a Ludwika Bonaparte*, [w:] K. Marks, F. Engels, *Dzieła*, t. 8, Warszawa 1964, s. 140).

Společno-historyczne przyczyny „epidemii” prezydenckiej demokracji¹

Należy podjąć próbę odnalezienia przyczyn tego, że – mimo żalosnych skutków – prezydenckie demokracje rodzą się epidemicznie w byłych krajach socjalistycznych bez skutecznych sprzeciwów istotnych sił politycznych, za aprobatą dużych aktywnych grup w społeczeństwie i przy apatycznym przyzwoleniu najszerszych jego kręgów. Czemu nie budzą znaczącego sprzeciwu w gronach intelektualistów, nie pojawiają się krytyczne rozprawy naukowców? Podjąć próbę odpowiedzi, jakie siły społeczne sprzyjają lub umożliwiają szerzenie się epidemii prezydentów, czemu odpór pociąganiu parlamentami jest tak wątki, a wybrane w wolnych wyborach parlamenty same poddają się ograniczeniom czy też są wobec nich bezsilne?

Odpowiedzi szukać trzeba niewątpliwie w konkretno-historycznym układzie sił społecznych, który ukształtował się i jest znamieny w toku rozkładu „realnego socjalizmu” i restaurowania kapitalizmu. Mielenie ponadhistorycznych abstrakcji „siły państwa”, „sprawności”, „państwa prawa” itp. niewiele tu pomoże. Nie jest też żadnym rozwiązaniem upatrywanie (bardzo rozpowszechnione) przyczyn w ambicjach starej czy nowej „nomenklatury”, w jej bojach o „stołki”, w braku umiejętności i doświadczenia „nowej klasy politycznej”, bądź w zatraceniu de-

¹ J. Ładosz opisując procesy zachodzące na początku lat 90. XX wieku, np. w odniesieniu do prywatyzacji, uzależnienia od interesów wielkich korporacji, podporządkowania międzynarodowemu kapitalistycznemu podziałowi pracy, itd., używa czasu teraźniejszego, opisuje coś, co się dopiero zaczęło dziać – odpowiadało to bowiem ówczesnej sytuacji. Gdy prywatyzacja była jeszcze na początku drogi, nadzieje na odrodzenie gospodarcze i rozwój demokracji pokładał w umocnieniu własności państwowej. Tymczasem obecnie, po tym jak międzynarodowi wierzyciele obietnicami zmniejszenia polskiego zadłużenia i pomocy finansowo-gospodarczej, wymusili powszechną prywatyzację majątku państwowego, należałoby użyć czasu przeszłego, gdyż przewidywane przez J. Ładosza skutki procesów dokonały się... i dzisiaj realnym hasłem programowym pozostaje nie „równoprawne traktowanie trzech sektorów”, ale renacjonalizacja największych zakładów pracy. Płonne okazały się nadzieje na aktywność odrodzonych lewicowych partii postsocjalistycznych – w praktyce podjęły się one osłony kapitalistycznej transformacji, czym skazały się na marginalizację. Nie przekreśla to jednak trafności J. Ładosza analiz i propozycji programowych. (E.K.)

mokratycznych tradycji i nawyków przez narody, których trzeba demokracji nauczyć. Nie ulega wątpliwości, że to powierzchwnia zjawisk. Ambicję, skłócenie w „klasie politycznej”, swaty, płynność partyjnych układów, apatia mas – wszystko to jest ostatecznie powodowane przez określony układ sił społecznych.

Marks o społecznych przyczynach „prezydentyzmu”

W wielu naukowych pracach stosowano z powodzeniem konkretno-historyczną metodę wyjawiania określonych zależności przyczynowych ewolucji władzy państwowej od układu i przemian struktury społeczeństwa. Dowodzono, że we współczesnym kapitalizmie monopolistycznym następuje zrastanie się władzy państwowej z wielkimi narodowymi i międzynarodowymi korporacjami – personalne i funkcjonalne – głównie w administracji rządowej, we władzy wykonawczej, co prowadzi do pomniejszania znaczenia i roli parlamentów. Restauracja kapitalizmu w byłych krajach socjalistycznych włącza je w orbitę światowej gospodarki kapitalistycznej zdominowanej przez wielkie korporacje, co sprawia, iż owa prawidłowość ewolucji władzy państwowej niewątpliwie na nie oddziaływa. Jednakże jest to prawidłowość nader ogólna, dotycząca nie tylko państw o demokratycznych konstytucjach, a wśród demokratycznych – zarówno tych o systemie prezydenckim, jak o systemie parlamentarnym. Uznać ją za wyjaśnienie kwestii oznacza ponadto uleganie teorii o decydującej roli „imperialistycznego spisku” w kształtowaniu konkretnej formy ustroju państwowego. Potrzebna jest więc bardziej konkretna analiza wewnętrznych struktur społecznych w byłych krajach socjalistycznych *hic et nunc*.

Istnieje dzieło, w którym prześledzono przed blisko 150 laty mechanizmy społeczne przerastania w konkretnym kraju – we Francji – parlamentarnej republiki w prezydencką właśnie i które świadczy wyraziście o możliwościach eksplikacyjnych i płodności takiego konkretnego podejścia metodologicznego. Chodzi nam o rozprawę Marksa *Osiemnasty brumaire’a Ludwika Bonaparte*. Zanalizowano w niej krok po kroku proces obalania Restauracji, ustanawiania Republiki i – po trzech latach – ponownie monarchii. Marks odsłonił tu głębokie przyczyny społeczne kształtowania się najpierw właśnie „prezydenckiej demokracji”, a następnie jej przerastania w cesarską autorytarną dyktaturę. Była to ewolucja niechciana przez żadną z parlamentarnych partii burżuazji, lecz ich opór przeciwko wzmocnieniu władzy prezydenckiej okazywał się „buntem na kolanach”. Kolejne partie dysponujące większością w parlamencie – wśród teatralnych swarów, debatowania nad „tematami zastępczymi”, notorycznych rozłamów wewnątrz partii i rozbicia parlamentu na wrogie sobie koalicje – ustępowały krok po kroku pola prezydentowi wybranemu w powszechnych wyborach. Prezydent notorycznie łamał prawa, parlament ograniczał prawa obywatelskie w interesach poszczególnych frakcji i kompromitował wybrańców narodu ze wszystkich partii kolejno i łącznie. Górą zaś okazywał się prezydent, mimo swej nicości moralnej i intelektualnej, prezydent, który lżył, opluwał parlament, a ten odpowiadał, że deszcz pada.

Każdy, kto czyta dziś tę rozprawę Marksa, jest porażony zdumiewającą analogią wydarzeń, sytuacji, układów sił, charakterów politycznych przywódców, zachowań partii z tym, co dzieje się aktualnie na politycznej

scenie byłych krajów socjalistycznych. Można z niej wybrać pouczający a obszerny zbiór jędrnych, trafiających w sedno cytatów, poczynając od tego, który umieszciliśmy jako motto do naszych rozważań. Trudno powstrzymać się od przytoczenia jeszcze kilku, bez komentarza lub z najbardziej lakonicznym.

„[...] dymisja tego rządu [pierwszego i ostatniego rządu parlamentarnego powołanego przez prezydenta – J.Ł.] stanowi decydujący punkt zwrotny. Tracąc ten rząd partia porządku straciła, aby jej nigdy więcej nie odzyskać, placówkę niezbędną do obrony ustroju parlamentarnego – ster władzy wykonawczej”. (s. 166).

„[...] Bonaparte starał się zyskać popularność za pomocą dziecinnie niedorzecznych projektów, podkreślić swój wrogi stosunek do Zgromadzenia Narodowego i dać do zrozumienia, że ma w zanadru tajemnicę i że tylko pewne okoliczności stoją na razie na przeszkodzie otwarciu przed ludem francuskim tych ukrytych skarbów”. (s. 171).

Czyż nie tak notorycznie zachowuje się Wałęsa i nie taki jest jego projekt rozdania każdemu obywatelowi 300 milionów kredytu na prywatyzację?

„Burżuazja [...] tym głośniejsze wołała o »silny rząd«, tym bardziej uważała pozostawanie Francji »bez administracji« za rzecz niewybaczalną, im szybciej wznosił się powszechny kryzys handlowy i przysparzał socjalizmowi zwolenników w miastach, podobnie jak rujnująco niskie ceny zboża czyniły to na wsi”. (s. 195).

„Poganiany przez sprzeczne wymagania swej sytuacji, [...] Bonaparte pogrążył w chaosie całą gospodarkę burżuazyjną, dobierał się do wszystkiego, co rewolucji 1848 roku wydawało się nietykalne, czynił jednych obojętnymi dla rewolucji, innych zaś pchał w jej ramiona i sam w imię porządku doprowadzał do anarchii. Równocześnie pozbawiał aureoli świętości całą machinę państwową, profanował ją, obrzydzał i ośmieszał zarazem”. (s. 233).

Jednakże, jakbyśmy nie mnożyli cytaty, jakby nie uderzające były sytuacyjne analogie, *comparaison n'est pas raison* – jak mówią Francuzi. Nie dowodzi, że teoretyczne uogólnienia Marksa mogą być wprost przeniesione do współczesności, dadzą się w sposób uprawniony na nią rozciągnąć, bowiem gruntownie różna jest konkretno-historyczna sytuacja. O mocy analitycznej metody Marksa decyduje nie mnogość analogii z powierzchni życia politycznego, lecz odsłonięcie przyczyn biegu społecznych procesów tkwiących w konkretnym, historycznym układzie sił klasowych. Dzięki ujawnieniu mechanizmu tych procesów dają się wyjaśnić, zrozumieć i wyselekcjonować typowe i powtarzalne zjawiska powierzchniowe.

Marks pokazał, że burżuazja francuska, obalwszy przy wsparciu robotniczej, plebejskiej rewolty Restaurację, okazała się w sytuacji niemocy zapewnienia sobie bezpośrednio, za pomocą republiki parlamentarniej, kierowania władzą państwową. Toteż, aby zachować i utrwalić swoje panowanie społeczno-ekonomiczne, musiała oddać instrumenty politycznego panowania w ręce obce i wrogie partiom politycznym, wyrażającym w wyborach sprzeczne interesy jej frakcji. Żadna bowiem frakcja nie była w stanie reprezentować jej interesów *jako całości*. Rozbita zaś politycznie po klęsce powstania w czerwcu 1848 roku klasa robotnicza pozbawiona została na długo własnej partii i możliwości jej

odtworzenia. Natomiast chłopstwo w ówczesnym jego kształcie nie było w stanie stworzyć własnej politycznej reprezentacji.

Burżuazja, by sprawować parlamentarne rządy, musi mieć poparcie własnej klasy i przyzwolenie na swe panowanie mas klas pracujących. Nie była jednak w stanie w konkretnym układzie sił uzyskać ani jednego, ani drugiego. „Instynkt – mówi Marks – podpowiedział im [przedstawicielom burżuazyjnego porządku świata – J. Ł.], że republika stanowi wprawdzie ukoronowanie ich panowania politycznego, ale jednocześnie podważa społeczne podstawy tego panowania, ponieważ wtedy stają oni oko w oko z klasami ujarzmionymi”. (s. 154). „Tak oto burżuazja francuska, wskutek swej pozycji klasowej, musiała z jednej strony, zniszczyć warunki wszelkiej, a więc i swej własnej władzy parlamentarnej, z drugiej zaś – uczynić z wrogiej sobie władzy wykonawczej niezwykłą potęgę”. (s. 167). Takie były obiektywne przyczyny społeczne ustanowienia „silnej władzy prezydenckiej” powoływanej „demokratycznie” w powszechnych wyborach, jej trwałości mimo powszechnego niezadowolnienia, utrwalania przez nią dominacji nad parlamentem i rządem oraz przerastania w autorytarną władzę cesarską.

„Prezydenckie demokracje” wymusza degradująca narody restauracja kapitalizmu

Jakie to cechy wspólne wszystkim byłym krajom socjalistycznym zaistniałego w nich układu sił społecznych sprawiają, że w ich ustroju politycznym pojawia się i nasila tendencja do pomiatania parlamentaryzmem, do przewagi egzekutywy nad legislatywą, czego typowym przejawem jest umacnianie się autorytarnych prezydentów? Wspólne jest przeprowadzanie restauracji kapitalizmu z włączeniem ich gospodarki w zintegrowany światowy system kapitalizmu. Wymaga to przeprowadzenia pierwotnej akumulacji prywatnego kapitału. Jedynym poważnym jej źródłem wewnętrznym mogą być przedsiębiorstwa sektora uspołecznionego, oddanie ich prywatnym właścicielom krajowym i zagranicznym, czyli prywatyzacja. A dokonać się to może wyłącznie kosztem interesów klas pracujących najszerzej rozumianych: nie tylko robotników i chłopów, lecz również drobnych przedsiębiorców prywatnych w sferze wytwórczości i usług, najemnych pracowników sfery oświaty, kultury, nauki, służby zdrowia itp. Restauracja kapitalizmu wymaga stworzenia *per fas et nefas* nowej „klasy średniej” – rodzimych kapitalistów czynnych w strukturach gospodarki gruntownie odmiennych od dotychczasowych.

Klasa kapitalistów nie jest w stanie w warunkach gwałtownego regresu gospodarczego bronić i reprezentować interesy swoich i ogółu prywatnych właścicieli jako całości. Jest rozdzielana wewnętrznymi sprzecznościami. Żadna z jej frakcji nie zapewni sobie aktywnego przyzwolenia mas ludzi pracy na swe rządy. Toteż nie może skutecznie rządzić w parlamentarnym systemie. Początkowe złudzenia wszystkich klas o zbawczości restauracji kapitalizmu, o narodzinach „drugiej Japonii”, o szybkim wzroście produkcji i poziomie życia z pomocą obfitej i bezinteresownej pomocy Zachodu zderzają się z twardą rzeczywistością. A wraz z tym nieuchronnie rządy parlamentarnej demokracji powołanej w wolnych wyborach wywołują u reprezentantów politycznych wszystkich klas tylko krótkotrwałą euforię.

W Polsce restauracja kapitalizmu doprowadziła do tego, że w 1992 roku sektor prywatny góruje już w sferze produkcji wytwarzając 59 proc. jej wartości. W ciągu trzech lat PKB zmniejszył się wg oficjalnych danych o 17 proc., zaś sprzedaż produkcji przemysłowej o 30 proc. Pojawiło się masowe, strukturalne bezrobocie, obejmujące pod koniec 1992 roku szacunkowo 21 proc. zawodowo czynnych. Jednocześnie przedsiębiorstwa prywatne okazują się mniej efektywne niż uspołecznione, a wydajność pracy maleje (jeśli liczyć ją na zawodowo czynnego – obniża się gwałtownie). Z oficjalnych danych i badań opinii wynika, że w 85 proc. rodzin pracowniczych nastąpił spadek dochodów realnych, w większości bardzo dotkliwy (o 27,2 proc. w rodzinach pracowniczych, o 46 proc. w rodzinach chłopskich). Postępuje proces pozbawiania ludzi pracy zdobyczy socjalnych w zakresie służby zdrowia, oświaty, wypoczynku, mieszkalnictwa, systemu emerytalnego. Korzyści z „reformy” osiąga więc co najwyżej 15 proc. rodzin.

Owe 15 proc., które odnosi korzyści z „reformy” (i to niemałe, skoro u 85 proc. pozostałych spadek stopy życiowej jest znacznie głębszy niż spadek produkcji) nie może w tych warunkach wystąpić z otwartym programem polityczno-ekonomicznym. Reprezentuje ono zresztą w wielkiej mierze grupy o pasożytniczym charakterze: w dziedzinie handlu spekulującego na imporcie, w dziedzinie kompradorskiego obsługiwanego zagranicznego kapitału, członków rad nadzorczych i zarządów prywatyzowanych przedsiębiorstw produkcyjnych i banków, skorumpowanego aparatu państwowego i samorządów gminnych. Polska spowodowała najwięcej ze wszystkich byłych krajów socjalistycznych luksusowych towarów z zagranicy. To dla tej grupy są obficie zaopatrzone sklepy, salony samochodowe, luksusowe wille i mieszkania. Rabunkowa prywatyzacja uspołecznionych przedsiębiorstw prowadzi zarazem do ostrego spadku dochodów budżetowych państwa.

W tej sytuacji coraz trudniej którejśkolwiek frakcji klasy prywatnych właścicieli uzyskać w demokratycznej procedurze przyzwolenie pozostałych frakcji, a zwłaszcza mas pracujących na swoje programy pogłębiania i przyspieszania restauracji kapitalizmu. Wszystkie one niosą za sobą dalszą degradację ludzi pracy w imię iluzorycznych sukcesów w bliżej nieokreślonej przyszłości. Występować z takimi programami „reform”, eksponując otwarcie choćby część ich ujemnych dla mas konsekwencji, to skazać się na utratę wpływów wyborczych, na parlamentarną marginalność. Takie są w Polsce losy brutalnie szczerych partii w rodzaju Unii Polityki Realnej czy konserwatywnych liberałów, które otwarcie domagają się dalszego ograniczania praw i zdobyczy socjalnych ludzi pracy, ograniczenia „nadmiernych” uprawnień związków zawodowych, głoszą wprost „sprawiedliwość” lepszych, płatnych prywatnych szkół i lecznictwa dla bogatych i „przedsiębiorczych”, a dla biednych pozostawienia publicznych – gorszych i z wąskim zakresem usług. Toteż panuje w programach krętactwo – coraz mniej skuteczne – w rodzaju obiecanek o natychmiastowej redukcji podatków o połowę, stworzenia przez prywatny kapitał miliona miejsc pracy itp. Stąd dziwaczne zarzuty partii o wzajemne wykradanie sobie programów gospodarczych, co świadczy dowodnie, że ich programy nie dają alternatyw głęboko odmiennych. A nade wszystko wysuwanie w programach i działaniach na czoło „tema-

tów zastępczych”, także zresztą coraz mniej skuteczne, ale i coraz bardziej agresywne. Stąd nieustające powracanie do trąbienia, że to komuniści zakamulowani w porach gospodarki i polityki (w tym również w partiach rządzących) winni są postępującemu regresowi, upadkowi, nie sprawdzaniu się obietnic. A jednocześnie narastająca skłonność do cedowania odpowiedzialności za rządzenie państwem z parlamentu na dekrety rządów i prezydentów, które – niezależnie od partii i władzy przedstawicielskiej – forsują „reformy”. Stąd łatwość powierzania władzy moralnie skompromitowanym, skorumpowanym politykierom i „bunt na kolanach” demokratycznego „etosu”, w imię pozornych i rzeczywistych racji moralnych.

Restauracja kapitalizmu sprzęga się we wszystkich byłych krajach socjalistycznych z gwałtownym regresem gospodarczym i towarzyszącymi jej analogicznymi procesami regresu społecznego i kulturalnego. Roczne tempo spadku PKB wynosiło w nich za lata 1990 i 1991 średnio 7 proc., w tym w NRD i Bułgarii 11 proc., w Rumunii 9,3 proc., w Jugosławii 8,9 proc., w Polsce 7 proc., w ZSRR 5,8 proc., w Czechosłowacji 4,6 proc.. Tempo to w 1992 i 1993 roku zwiększyło się, zwłaszcza w Jugosławii i na terytorium byłego ZSRR pogłębione przez rozpad państwa i ostre konflikty między republikami. W Rosji regres społeczny jest ogromny. Stopa śmiertelności przewyższyła stopę urodzin, pojawiły się przezwyciężone przed wielu laty epidemie tyfusu, błonicy, cholery, węglików itp. Rusłan Chasbulatow zmuszony był skonstatować, że „baza reform” ulega w Rosji niebezpiecznemu „zwężeniu”.

Sklócone i ekonomicznie słabe klasy prywatnych właścicieli nie mogą obyć się bez wsparcia restauracji przez światowy kapitał. Toteż w kolejnych rządach dominuje jawne wysługiwanie się interesom tych czy innych jego potężnych grup, uległość jego polityce – kosztem narodowej suwerenności. Wymuszają one napływ obcego kapitału na jaskrawo niedogodnych warunkach, szantażując perspektywą buntów mas, powrotu „komunizmu”, ale i konkurując w uległości. Osiągają „restrukturalizację” zgodną z potrzebami możliwych tego świata, czyniącą z gospodarki swych krajów zaplecze surowców, półfabrykatów i taniej siły roboczej. Zaś partie prawicy, które usiłują bronić pozycji drobnego i wielkiego (w tym także państwowego) kapitału narodowego, i ten wielki kapitał podporządkować interesom drobnych przedsiębiorstw, czynią to szermując pozornie lewicową i „populistyczną” frazeologią w kwestiach gospodarki. Stąd nieprzypadkowe doraźne polityczne zbieżności programowe i sojusze z „postkomunistyczną” lewicą. Jednakże obłudę tych programów demaskuje zoologiczny antykomunizm tych partii.

A jak ma się klasa robotnicza najszerzej pojęta: załogi pracownicze przedsiębiorstw, masy najemnych pracowników oświaty, służby zdrowia, nauki, kultury, sfery socjalnej? Ta klasa aktywnie wsparła wczoraj program obalenia realnego socjalizmu; była główną siłą decydującą o jego powodzeniu i o zapoczątkowaniu restauracji kapitalizmu. W Polsce opowiedziała się za „Solidarnością” – przebrany w szaty związku zawodowego ruchem politycznym przeciw „komunizmowi”. Dziś czuje się „oszukana” jak francuscy chłopcy przez Bonapartego, oszukana przez „klasę polityczną”, której zawierzyła i którą demokratycznie powołała do władzy. Okupiła to

utrata na długie lata pozycji podmiotu historii. Potrzeba dziesięcioleci, by ją odzyskała, nabyła umiejętności bronięcia swoich historycznych interesów jako całości – ekonomicznych i politycznych. Jest politycznie rozbita. Rozbita na wiele związków zawodowych. Zaś warunki dzikiej restauracji kapitalizmu sprzyjają pogłębianiu się rozdarcia jej interesów, partykularyzmem branżowym i lokalnym, egoizmowi załóg poszczególnych przedsiębiorstw i ich części. Widmo bezrobocia, lęk przed utratą pracy paraliżuje solidarne działania.

Wśród części pracowników najemnych utrzymuje się nadal poparcie dla restauracji kapitalizmu. Takie poparcie występuje zwłaszcza w grupach młodych, aktywnych robotników, którzy przed degradacją ratują się sezonową emigracją zarobkową za pracę „na czarno” – jako gasterbeiterzy, wykorzystując względnie szerokie otwarcie dla ruchu siły roboczej do bogatych krajów, którzy mają się drobnego handlu importowanymi artykułami, uczestniczą w „szarej strefie” gospodarki. Naukowcy, w pierwszym rzędzie młodzi, poprawiają swój los wykorzystując szanse dla „drenażu mózgów”. Szacuje się, że w Polsce około 30 proc. pracowników uczelni i instytutów naukowych wyemigrowało za granicę; w ZSRR emigrują radzieccy specjaliści od atomistyki i lotów kosmicznych, kaptowani przez zachodnie ośrodki badawcze i przemysłowe. Załogi wielu zakładów pracy nadal upominają się o prywatyzację, opowiadają się za przejęciem ich zakładów przez obcy kapitał, wprawdzie już bez złudzeń o „drugiej Japonii”, lecz z nadzieją na zachowanie swych miejsc pracy, uniknięcie, choćby doraźnie, bezrobocia w wyniku bankructwa i likwidacji. Są gotowe do rezygnacji z uprawnień samorządowych, z socjalnych udogodnień i zdobyczy, aby przetrwać i walczyć o możliwie korzystne warunki prywatyzacji. Skoro w Polsce słabnąca „Solidarność” może pociągnąć dużą część załóg całych regionów do strajku, którego naczelnym a kuriozalnym postulatem jest powołanie przez rząd pełnomocnika do prywatyzacji i „restrukturalizacji” gospodarki, czyż nie jest to świadectwem sporego zakresu takiej rezygnacji? Wałęsa ze swoim słynnym „jestem za, a nawet przeciw” wyraża poniekąd stanowisko tych grup.

To prawda, że uzyskanie poparcia dla programów forsownej restauracji kapitalizmu, dla prywatyzacji jest coraz trudniejsze. Prokapitalistyczne partie i partyjki polityczne skarżą się na gwałtowny spadek zaufania ludzi do idei i praktyki prywatyzacji. Jednakże politycznie przejawia się to w pierwszym rzędzie w apatii wyborczej, w rosnącej nieufności do wszystkich parlamentarnych partii, która przynosi „karuzelę” tracenia przez nie kolejno wpływów.

Ułatwia to znieczulenie na groźne dla demokracji umacnianie się pozycji prezydentów wybieranych w powszechnych wyborach. Wprawdzie ich autorytet także maleje, jednak prezentują się przeciw jako ponadpartyjni wybrańcy narodu. Toteż uchodzi im bezkarnie, nie budzi społecznego oporu łżenie parlamentów, poniżanie deputowanych. Tym bardziej że parlamentarzyści sami są niesłuchanie ogłędni w krytyce prezydentów, deklarują nieustająco szacunek dla prezydenckiej władzy.

W istocie to prezydenci uprawiają „populizm” pod publiczkę, potępiając partyjne spory w parlamentach, umacniając złudzenia, że zbawieniem dla kraju jest silna egzekutywa ponad parlamentem, maksymalne ograniczenie jego władzy. Sprzyjają ograniczaniu parlamentu

przez wyższe izby, włącznie z takimi pomysłami jak projekt Korwina-Mikke, by izba ta nie pochodziła z wyborów powszechnych, lecz była ponadpartyjnie konstituowana z ministrów, wojewodów, burmistrzów i wójtów, forsując większościowe ordynacje wyborcze itp.

Czyż jednak nie oznacza to przyznania, że masy narodu są przeciw restauracji zależnego kapitalizmu?

Dodajmy do tego, iż długo jeszcze nie ma szans na odrodzenie internacjonalizmu ludzi pracy, zarówno byłych krajów socjalizmu, jak i narodów krajów starego kapitalizmu. Upadek gospodarczy, głęboka recesja w byłych krajach socjalistycznych, rozpad ich wewnętrznych i wzajemnych międzynarodowych powiązań gospodarczych sprzyjały wybuchom dzikich nacjonalizmów w nadziei: ratuj się, kto może. Sprzyjały zwalaniu na sąsiadów odpowiedzialności za własne nieszczęścia i wyścigowi lizusostwa wobec możliwych tego świata. Równoczesna recesja w głównych krajach kapitalizmu, wzrost w nich rodzimego bezrobocia, konkurencja taniej siły roboczej mas gasterbeiterów ze Wschodu powoduje narastanie ksenofobii i nastroje sprzyjania przez ludzi pracy wybuchom ksenofobii. Wojna domowa w byłej Jugosławii, Gruzji, Azerbejdżanie, Tadżykistanie, napięcia na tle narodowościowym we wszystkich byłych republikach ZSRR, spięcia w stosunkach Czech i Słowacji są obłudnie wykorzystywane przez zagraniczny kapitał, obłudnie podniecane i „pacyfikowane”, ułatwiając uzależnianie gospodarcze i polityczne poszczególnych krajów. Kraje kapitalistyczne błyskawicznie uznają niepodległość Chorwacji, Słowenii, Bośni i Hercegowiny, ale nie Kurdów i Palestyńczyków. W jednolitej narodowo Polsce nieustannie stwarza się wrażenie zagrożenia kraju przez Rosję, Ukrainę, chociaż tam przecież zerwano z „komunistyczną” przeszłością, a słabość gospodarcza, upadek głębszy niż w Polsce oddała jakiejkolwiek zagrożenie.

Wszystko to sprzyja kształtowaniu się w byłych krajach socjalistycznych państwek formalnie niepodległych, faktycznie stających się ekonomicznym zapleczem możliwych tego świata, zależnych od nich także politycznie.

Nie przypadkiem potęgą kapitalistyczne, które głośzą chwałę wolnych wyborów pluralistycznych, obwieszczają samowładnych prezydentów, takich jak Borys Jelcyń, Lech Wałęsa, Leonid Krawczuk czy Eduard Szewardnadze największymi gwarantami demokracji. Prezydenci są zwolennikami jak najszybszego włączenia swoich krajów do NATO, a partie parlamentarne i ich politycy udają, że nie wiedzą, iż oznacza to zalegalizowanie i uzyskanie gwarancji zbrojnej ingerencji mocarstw Zachodu na wypadek, gdyby była zagrożona restauracja kapitalizmu, iż nie chodzi tu o osłonę przed problematycznym zagrożeniem zewnętrznym, lecz o gwarantowanie „bezpieczeństwa wewnętrznego”, to jest osłonę przed zahamowaniem czy cofaniem „reform”.

W scharakteryzowanym układzie wewnętrznych i międzynarodowych sił społecznych tendencja do „prezydenckiej demokracji”, do pomiatania parlamentaryzmem, ograniczania prerogatyw władzy przedstawicielskiej (czy jej przedstawicielskiego charakteru odzwierciedlającego układ sił politycznych w narodzie) jest na wiele lat nieuchronna, jest bowiem dziecięciem procesu restauracji kapitalizmu, jest politycznym kosztem „re-

strukturalizacji”. Jest historyczną prawidłowością tego układu, musi występować mocniej lub słabiej, póki on trwa. Walka z tą tendencją jest więc ważnym powołaniem i narzędziem sił, których interesy ten układ gnębi. Sprzyjanie tej tendencji, niezależnie od subiektywnych intencji, wspiera petryfikację tego układu, który prowadzi do degradacji narodów na dziesięciolecia. Walka z tą tendencją jest niezbędna dla obrony cywilizacyjnych zdobyczy narodów byłych krajów socjalistycznych w toku restauracji kapitalizmu, dla skutecznego osłaniania klas ludzi pracy przed płaceniem tak dotkliwych i niemal wyłącznie ich obciążających kosztów „restrukturalizacji”, ograniczania tych kosztów do minimum. Niezależnie od tego, co warte jest hasło „kapitalizm z ludzką twarzą”, to owa „ludzka twarz” będzie też niemniej niezbędna i w przyszłości, gdy zmiana owego układu umożliwi postawienie zadania socjalistycznej przebudowy życia narodów w nowych kształtach, złamania dominacji kapitalistycznego rozwoju.

W obronie parlamentarnej demokracji

Nieuchronność „prezydenckiej demokracji” w danym układzie sił nie oznacza nieuchronności pogodzenia się z jej naporem, biernego jej przyjmowania przez siły społeczne, które ona ujarzmia. To co rzeczywiste, nie jest bynajmniej racjonalne, słuszne czy sprawiedliwe dla wszystkich. Nie oznacza konieczności pogodzenia się z losem i utraty szans w walce z danym układem sił społecznych, który tę tendencję rodzi.

Nie głosimy, na przekór apologetom prezydenckiej demokracji, abstrakcyjnej wyższości demokracji parlamentarnej. Twierdzimy, że ta ostatnia jest ustrojem państwowym, który otwiera pełne pole przed ludźmi pracy do obrony ich interesów w gospodarce, walki z degradacją o rozwój ekonomiczny kraju, o trwałe respektowanie praworządności, zachowanie i rozszerzanie tradycyjnych politycznych wolności i praw obywatelskich oraz socjalnych i kulturalnych. Natomiast prezydencka zagraża zaprzepaszczeniem tradycji demokracji, zawiera immanentnie tendencję do autorytaryzmu.

Nie do utrzymania jest tu relatywistyczny pragmatyzm, który deklaruje, że parlamentarna demokracja jest dla ludzi pracy, gdy wybrany prezydent jest prawicowy, zaś pożądana i korzystna dla nich staje się ich atutem – gdy w wolnych wyborach wyłoniony zostanie lewicowy prezydent. Jeśli elektorat wybiera lewicowego prezydenta, to w danym układzie sił politycznych także parlament będzie miał zapewnioną lewicową większość i gwarantuje wyłonienie stabilnego lewicowego rządu. A wtedy lewicowy prezydent z wyborów powszechnych jest zbędny, więcej – niebezpieczny dla losów demokracji. Miała już lewica „kulty jednostek” pierwotnie demokratycznie wydzwigniętych do władzy, które okazywały się zbrodnicze lub/i zdradzieckie.

Przytaczaliśmy już wypowiedź Marksa, iż parlamentarna republika jest ukoronowaniem politycznego panowania burżuazji. Lenin wielokrotnie tę myśl powtarzał w takiej formie: jest ona „normalnym” dla kapitalizmu ustrojem państwowym. Inaczej – stanowi dla kapitalizmu adekwatną nadbudowę polityczną promującą rozwój gospodarczy w jego ramach, a odstępstwa od „normalnego” ustroju państwowego, totalitaryzmy wszelkiego rodzaju nieuchronnie wyrastają w dzikim, zacofanym kapitalizmie i petryfikują jego zacofanie.

Jakiego dorobku i kształtów parlamentarnej demokracji bronić?

Szansą dla obrony i kształtowania życia narodu, obrony przed samowolą i upadkiem dziś i w przyszłości jest parlamentarna demokracja, przedstawicielska od góry do dołu – w narodowej i terytorialnych strukturach, z trójpodziałem władz. Demokracją, w której prezydent nie jest żadną dodatkową władzą, który pełni symboliczne funkcje jedności państwa, a władcze tylko dla zapewnienia ciągłości państwa w parlamentarnym *interregnum*. Prezydent taki powinien być wyłaniany przez parlament, a nie z powszechnych wyborów, co określa jego władzę jako echo ciała przedstawicielskiego.

Spróbujmy bliżej określić podstawowe cechy tej demokracji, nie traktując ich zestawienia jako idealnego, ostatecznego „modelu”, lecz jako zebranie instytucji wydobytých z historycznej tradycji demokracji, sprawdzonych w historii zmagani o jej zabezpieczenie i rozwijanie. Instytucji, których kształt nie jest ostateczny, jest i będzie korygowany w szczegółach, uzupełniany nowymi elementami, które umożliwią pełniejszą osłonę przed ujawnionymi już niedostatkami dotychczasowych. Jakie są to cechy?

Zapewnienie centralnej pozycji w strukturze demokracji i monopolu władzy ustawodawczej reprezentatywnemu przedstawicielstwu, zarówno w skali narodowej w postaci parlamentu, jak również w skali samorządów terytorialnych. To wyraz permanentnej suwerenności narodu w demokracji, suwerenności nad wszystkimi władzami państwa. Wszystkie przedstawicielstwa, aby spełniały warunek reprezentatywności, adekwatnie odzwierciedlały w swym składzie strukturę interesów wielkich społecznych grup obywateli i układ sił politycznych w narodzie, muszą być wyłaniane w wolnych, pięcioprzymiotnikowych wyborach, przy respektowaniu zasad pluralizmu politycznego.

Reprezentatywność narusza w szczególności i zawsze wprowadzanie większościowych ordynacji wyborczych. I to niezależnie od tego, czy, jak dziś w Polsce, istnieje 200 zarejestrowanych partii politycznych, czy też utrzymała się dominacja dwóch partii; czy okręgi wyborcze są jedno czy wielomandatowe.

W wypadku wielości partii celowe być może co najwyżej wprowadzanie progów wyborczych, których przekroczenie jest premiowane dodatkowymi mandatami z centralnej listy (by nakłonić obywateli do wybierania programów różniących się w węzłowych kwestiach, a partie – do formułowania rzeczywistych i całościowych alternatywnych programów, a nie partykularnych hasełek). Jednakże musi być zachowana możliwość wyboru deputowanych również z bezpartyjnych list, z doraźnie tworzonych komitetów wyborczych, deputowanych zgłaszanych przez organizacje i stowarzyszenia obywateli, popartych przez określone ich grupy, przez załogi przedsiębiorstw. Partie nie mogą mieć instytucjonalnego monopolu na udział w akcie wyborczym. Grupy „pozaparlamentarnej opozycji” muszą mieć w wyborach szanse wyrastania w partyjnie zorganizowane siły parlamentarne.

Rozszerzeniem demokracji powinno być przyznanie inicjatywy ustawodawczej wielkim centralom związków zawodowych i określonej liczbie samorządów terytorialnych. Z inicjatywy parlamentu, na wniosek określonej liczby obywateli czy samorządów terytorialnych ważne

rozstrzygnięcia ustawowe (w tym konstytucyjne) poddawane być mogą referendum, którego wyniki są dla parlamentu wiążące.

Rząd – jedyna centralna władza wykonawcza – powoływany i odwoływany jest wyłącznie przez parlament (a także jego poszczególni ministrowie). Nie mogą mu być cedowane ustawodawcze funkcje, przyznawane uprawnienia do wydawania dekrétów z mocą ustawy. Zarazem zalecenia parlamentu w formie uchwał (w tym pokontrolne) nie mają dla rządu mocy wiążącej. Parlament nie może zmieniać wykonawczych rozporządzeń rządu ani jego jednostkowych decyzji. Może tylko rząd lub ministra odwołać i powołać nowy. Gdy nie jest w stanie powołać rządu w określonym terminie, zostaje rozwiązany i przeprowadzane są nowe wybory. Może też być rozwiązany w wyniku referendum, lecz nie można odwoływać poszczególnych posłów w tym trybie, czy na wniosek wyborców okręgu, w którym został wybrany.

Niezależność sądownictwa od władzy ustawodawczej i wykonawczej ma być zagwarantowana przez wybieralność sędziów na określoną kadencję (z reguły dłuższą niż władz ustawodawczych) na szczeblu najniższym – sądów rejonowych w drodze wyborów powszechnych, na szczeblach wyższych – wyborów przez organy przedstawicielskie odpowiedniego szczebla. Natomiast sędziów Sądu Najwyższego, Trybunału Konstytucyjnego, Naczelnego Sądu Administracyjnego – przez parlament (ewentualnie z periodycznym odnawianiem części ich składu). W toku kadencji sędziowie wszystkich szczebli nie mogą być odwoływani ani przez wyborców, ani przez władze ustawodawcze czy wykonawcze. Odrzucić natomiast trzeba stanowczo powoływanie sędziów przez korporację sędziów i dożywotność sprawowania przez nich swych funkcji. Taki korporacjonizm oznacza niezależność władzy sądowniczej od narodu, jest antydemokratyczny. Samorządowi sędziowskiemu należy natomiast powierzyć wybory prezesów sądów oraz – w nadzwyczajnych przypadkach, ściśle określonych w ustawie – odwoływanie sędziów, lecz nie ich powoływanie. Niezbędny profesjonalizm sędziów powinien być zapewniony wymogiem posiadania wykształcenia prawniczego przez osoby powoływane do tych funkcji.

Trybunał Konstytucyjny ma za zadanie orzekać o zgodności ustaw parlamentu z konstytucją i w spornych sprawach interpretacji przepisów konstytucji. Odrzucić jednak należy pomysły nadawania jego orzeczeniom ostatecznej, nieodwołalnej mocy dla parlamentu, motywowane rzekomym wymogiem niezależności sądów od parlamentu. Nadanie takiej mocy sankcjonuje bowiem ingerencję sądu w wyłączność parlamentu w kwestiach stanowienia prawa, stawia wolę grupy sędziów wybranych przez parlament ponad wolę parlamentu, wolę jedyne go ustawodawcy. Trybunał ma orzekać, jaką wolę ma parlament! Trybunał Konstytucyjny musi być uprawniony do zawieszania mocy obowiązującej zakwestionowanej ustawy, a jego orzeczenia i interpretacje, skoro dotyczą treści konstytucji, mogą być przez parlament odrzucone taką kwalifikowaną większością, jakiej wymaga przyjmowanie przepisów ustawy zasadniczej.

Naturalnym przedłużeniem i rozwinięciem parlamentarnej demokracji jest szeroki, władny, bez rzą-

dowych namiestników nad nim stojących samorząd terytorialny na wszystkich szczeblach administracyjnego podziału państwa. Samorząd na wszystkich szczeblach, jak parlament, jest wyłaniany w drodze pięcioprzymiotnikowych wyborów. Jego władza wykonawcza – państwowa władza terenowa – powoływana jest i odwoływana przez lokalną władzę przedstawicielską. Samorząd gospodaruje własnym budżetem, którego wpływy stanowią ustawowo określone części podatków powszechnych oraz podatki lokalne, a także dochody z komunalnych przedsiębiorstw produkcyjnych, usługowych i użyteczności publicznej. Uchwały i decyzje samorządów nie mogą być uchylane przez rząd ani przez władze samorządowe wyższego szczebla, lecz tylko przez sądy na wniosek tych władz, które mogą zarazem zawiesić ich wykonywanie do czasu rozstrzygnięcia. Odwołanie przedstawicielskiej władzy samorządowej może nastąpić tylko w drodze referendum (poszczególnych radnych odwołać w toku kadencji nie można). Tylko przedstawicielska władza wyższego szczebla z własnej inicjatywy lub na wniosek rządu czy prezydenta może rozwiązać władze samorządu, gdy notorycznie łamie prawo. W tym wypadku zarządza jednocześnie w krótkim terminie nowe wybory i powołuje tymczasowy zarząd komisaryczny działający do czasu ukonstytuowania się nowych przedstawicielskich i wykonawczych władz w miejsce rozwiązanych.

Zaprezentowany kształt parlamentarnej demokracji nie jest – powtórzmy raz jeszcze – żadnym wyspekulowanym ideałem. Nie tylko w sensie niezmienności, lecz i w tym sensie, że jego realizacja nie stanowi panaceum, które wyzwoli natychmiast od wszelkich bolączek. Nie zmieni za pomocą kartki wyborczej układu sił społecznych – wewnętrznych i międzynarodowych. Nie przyniesie natychmiastowego, przez zwycięstwo wyborcze, odwrócenia trendu spychania społeczeństw byłych krajów socjalistycznych do „trzeciego świata” i wejścia na kapitalistyczną drogę Tajwanu czy Południowej Korei, albo na drogę jakiejś postaci samorządowego socjalizmu, na jakąś „trzecią drogę”. Nie usunie przecież zależności od USA i EWG, które, delikatnie mówiąc, nie są w tym zainteresowane; nie usunie nacisku pętli zadłużenia i technologicznego zacofania. Stanowi jednak najkorzystniejszą polityczną formę dla uczenia się przez narody, przez klasy i ich odłamy wyborów politycznych alternatyw, prezentowanych w programach partii, kontroli przez narody i klasy realizacji tych programów. Parlamentarna demokracja także zmusza partie, pod groźbą utraty poparcia, do rzetelności, do odstępowania od partykularyzmów i jednoczenia rozproszonych interesów w wielkie, czytelne i sprawdzalne alternatywy, które umacniając gospodarkę niosąc jej wzrost, sprzyjają zarazem w historycznej perspektywie umocnieniu pozycji określonych klas w strukturze narodu. Uczy ludzi oceniania wartości programów nie według frazesów, lecz według wyników ich realizacji. Otwiera drogę do jawności polityki na wszystkich szczeblach i eliminacji mafijnych gier, politykierstwa. Mówiąc tradycyjnym w marksizmie językiem – instytucjonalizuje i ujmuje w pokojowe, cywilizowane ramy walkę klas, rozwiązywanie konfliktów ich interesów. Jest formą ustroju politycznego najkorzystniejszą dla ludzi twórczej pracy, którzy stanowią większość każdego społeczeństwa i są demiurgiem jego rozwoju.

Lewica musi wyzbyć się złudzeń o nowoczesności „prezydentyzmu”

Czas najwyższy dla lewicy – wyzbyć się złudzeń, iżby „prezydencka demokracja” i władza wykonawcza z dekretemi gwarantowała abstrakcyjną siłę państwa; czas powrócić do historycznej tradycji obrony i umacniania parlamentarnej demokracji. Obrony niezłomnej, demaskującej matactwa politykierskie, demaskującej antyludowy i antynarodowy charakter deprecjonowania w konstytucjach i ustawach oraz w praktycznym działaniu władzy państwowej organów przedstawicielskich. Czas najwyższy organizować ludzi pracy w obronie parlamentarnej demokracji, włącznie z popieraniem ich pozaparlamentarnych działań i oporu przeciwko łamaniu jej zasad.

Zdajemy sobie sprawę z tego, że w parlamentarnej demokracji w najbardziej wolnych wyborach z reguły legalnie zwycięża klasa ekonomicznie panująca, taka, która w danym układzie stosunków ekonomicznych zapewnia zarazem wzrost gospodarczy i cywilizacyjny społeczeństwa. W aktualnych warunkach największe szanse mają tu takie frakcje kapitalistów, które prowadzą politykę promującą rozwój produkcji przodującej technologicznie, a nie niszczenia gospodarki i cofania kultury technicznej. Tacy kapitaliści, którzy we własnym interesie miarkują swą pazerność, szukają koalicji i kompromisów, w tym rozumieją konieczność „ustępstw” zachowujących socjalne i kulturalne zdobycze ludzi pracy. Degradacja cywilizacyjna ludzi pracy – to utrwalenie degradacji gospodarczej. Współczesny kapitalizm wymaga dla swego rozwoju wykształconej siły roboczej o wysokiej kulturze. Partie lewicy są w stanie wymusić na kapitalistach taką alternatywę.

Dla obrony cywilizowanego kapitalizmu korzystne jest zachowanie substancji i unowocześnianie wielkich państwowych przedsiębiorstw, przeciwstawianie się doktrynerskiemu niszczeniu uspołecznionej własności, jej rabunkowej prywatyzacji. Wymaga to zawarowania równoprawności sektorów własnościowych. „Państwowy kapitalizm” jest takim systemem gospodarczym, w którym państwo prowadzi aktywną politykę przemysłową, łączy rynkową gospodarkę z interwencjonizmem nie tylko w sferze ulg podatkowych i celnych, kredytów dla rozwoju nowoczesnych działów produkcji, lecz i rozwija własne przedsiębiorstwa, inwestuje w kluczowych dziedzinach i ostatecznie jest wyższy rozwojowo od leseferystycznego dzikiego kapitalizmu „liberałów”. W byłych krajach socjalistycznych liberałowie ci sprzeniewierzają się zresztą leseferyzmowi, bowiem prowadzą aktywną politykę niszczenia wielkiego przemysłu państwowego, a nie jego modernizacji. Wprawdzie całe stulecie potwierdza tezę Engelsa, iż w warunkach panowania kapitalizmu własność państwowa i komunalna jest zbiorową własnością kapitalistów w tym sensie, że sprzyja rozwojowi ich średnich i drobnych przedsiębiorstw, udostępniając im „darmowo” decydujące, a wymagające ogromnych nakładów zdobycze postępu technologicznego, zapewniając kooperacyjne zamówienia, dostarczając środków na infrastrukturę i na kształcenie fachowej siły roboczej itp. Jednakże efektywne funkcjonowanie tej własności gwarantuje zarazem odprowadzanie do budżetu stabilnych zysków na socjalne i kulturalne urządzenia, i zabezpieczenia dla mas ludzi pracy, bez matactw, pod społeczną kontrolą. Gwarantuje także

wyższą wydajność pracy i wyższą akumulację zysków na cele rozwojowe. Wiemy o tym z dzisiejszego i przeszłego doświadczenia.

W międzywojennej Polsce państwowe inwestycje w Centralnym Okręgu Przemysłowym były lokomotywą gospodarki i postępu technologii, wzrostu rodzimego kapitału produkcyjnego, podczas gdy prywatni kapitaliści mało inwestowali, a wielką część zysków przeznaczali na luksusową konsumpcję. Tak jest i dziś. Zachowanie wielkiej produkcji uspołecznionej oraz socjalnej, naukowej i kulturalnej uspołecznionej infrastruktury – to zarazem zachowanie przyczółków dla przyszłego socjalizmu.

W państwowych ramach parlamentarnej demokracji, przy ukształtowaniu się zmienionego układu sił społecznych, możliwa jest socjalistyczna alternatywa. Więcej, historyczne doświadczenie realnego socjalizmu wskazuje, że jest ona formą państwowości najkorzystniejszą dla funkcjonowania i rozwoju tej alternatywy.

Uważamy, że teoria Lenina o radzieckiej demokracji jako przeciwstawnej burżuazyjnemu parlamentaryzmowi formie państwowej władzy została w socjalizmie historycznie sfalsyfikowana, obroniła się natomiast teza Engelsa, iż taką formą jest parlamentarna demokracja.

Ostatecznie zaś doświadczenie klęski realnego socjalizmu przyniosło niewątpliwie tę naukę, że bez sprawdzania przez odrodzone partie socjalistycznej opcji w wolnych demokratycznych wyborach, w warunkach nieskrępowanego pluralizmu politycznego uzyskania aprobaty narodu, większości ludzi pracy dla ich polityki, dla socjalistycznych kształtów życia przez nią wspieranych i wnoszonych, partie te skazane są na doktrynerskie zwyrodnienie. Następuje zanik aktywności mas ludzi w umacnianiu socjalnych urządzeń. Przestają być ich własnym dziełem, traktowane jako swoje i bronione jako takie. W dziedzinie politycznej jest to podstawowa nauka dla wszelkiego przyszłego ruchu socjalistycznego.

Wszystko to nie oznacza iżby w koncepcji rad nie było zdobytych trwałych dla socjalizmu i dla idei demokracji, które lewica ma obowiązek pielęgnować, bronić, wyszukiwać nowych dróg ich realizacji i sprawdzać ich wartość.

Perspektywa „republiki socjalnej”

Obrona parlamentarnej demokracji leży więc w interesie ludzi pracy, jest programowym zadaniem ich partii politycznych nie tylko instrumentalnie, jako narzędzie stosowane, gdy władza państwowa jest w rękach sił prokapitalistycznych, a w gospodarce dominuje produkcja kapitalistyczna, ale i wówczas, gdy te partie znajdują się u steru władzy. Ich program powinien postulować i forswować nie tylko republikę parlamentarną, lecz – by użyć terminologii z przełomu stuleci – w jej ramach republikę socjalną. To oznacza nie tylko uznanie i respektowanie w ramach tej republiki powszechnych wolności politycznych i obywatelskich oraz równości prawnej wszystkich obywateli. Także nie tylko konstytucyjne zagwarantowanie praw socjalnych obywateli do pracy, bezpłatnej oświaty, ochrony zdrowia i temu podobnie w „społecznej gospodarce rynkowej”.

Oznacza to również konstytucyjne uznanie praw związków zawodowych do obligatoryjnego współudziału w kształtowaniu i kontroli realizacji praw socjalnych oraz warunków pracy i płacy, prawa do strajku, do ini-

cyjatywy ustawodawczej w tych dziedzinach. Wymaga to obligowania samorządów lokalnych i zakładów pracy do tworzenia warunków dla kulturalnej i politycznej działalności ludzi pracy, udostępnianie im, ich stowarzyszeniom, związkom zawodowym i partiom politycznym lokali, sal, stadionów na zgromadzenia i imprezy kulturalne, polityczne, sportowe. Wymaga wspomagania z publicznych funduszy druku i rozpowszechniania gazet, broszur sponsorowanych przez organizacje polityczne, kulturalne, oświatowe, liczące określoną ilość członków itp. Wymaga bezpłatnego dostępu do sądownictwa dla każdego obywatela. Wymaga – generalnie – tworzenia przez demokratyczne władze państwowe zespołu urzędów i środków, które niwelują przewagę, monopole posiadaczy kapitału w docieraniu do opinii publicznej, do kultury (i ich kształtowaniu), które zrównują szanse politycznego wpływu i kulturalnego rozwoju, uniezależniają je od bogactwa.

Ideolodzy prezentują notorycznie „klasę średnią” jako oporę wolności i demokracji. Jest faktem, że w warunkach kapitalizmu bez masowego wsparcia tej klasy demokracja parlamentarna jest niemożliwa. Bez niej wielki kapitał jest paraliżowany w dokonywaniu ekonomicznego wzrostu i nie jest w stanie bezpośrednio panować politycznie. Ale to nie w tajemny sposób duch wolności tkwi w „klasie średniej” – jak głosił K. Jaspers. Nie dlatego, że w ludziach pracy najemnej tkwi niewolniczy duch „człowieka masowego” czy *hominis sovietici*. Parlamentarna republika socjalna jest szansą pełnego rozkwitu ducha wolności w ich politycznym działaniu, zniesienia monopolu kręgu prywatnych właścicieli na korzystanie z wolności.

Demokracja parlamentarna nie jest automatycznie państwem silnym, może być w określonym czasie i kraju także słabym. Zależy to od historycznie danego układu sił społecznych. Jest jednak formą, w której najpełniej urzeczywistnia się i w toku praworządnego funkcjonowania umacnia utożsamianie się obywateli z państwem, trwałe traktowanie go jako swojego państwa, w której realizuje się ich podmiotowość. Miarą siły państwa jest bowiem ostatecznie aktywność mas narodu w jego funkcjonowaniu, nie tylko w wyborach władz, lecz na co dzień. Toteż, parafrazując, można stwierdzić, że lewica musi bronić parlamentarnej demokracji jak niepodległości.

Bez demokracji parlamentarnej nikłe są szanse dobicia się narodów byłych krajów socjalistycznych do zwycięskiego zastopowania polityki, prowadzącej je do „trzecioświatowego”, zależnego kapitalizmu, do degradacji na pokolenia. Natomiast demokracja parlamentarna – jesteśmy przekonani – stworzy i wymusi wejście na alternatywną „trzecią drogę” poprzez wielosektorową gospodarkę rynkową, w której panuje równoprawność różnych form własności, gospodarkę włączoną w światowy podział pracy, rozwojową, a w wyniku jej doświadczeń – otworzy drogę do alternatywnego w stosunku do kapitalizmu ustroju społecznego. Drogę praworządną i pokojową. Jeśli zaś wewnętrzne czy zewnętrzne siły naruszają w obronie swych partykularnych interesów demokratycznie stanowione prawo, naród uprawniony będzie do zastosowania w stosunku do nich pozaparlamentarnych działań i środków.

JERZY J. WIATR

WSPÓLNE ZWYCIĘSTWO: OKRĄGŁY STÓŁ Z PERSPEKTYWY TRZYDZIESTU LAT

Trzydziesta rocznica polskiego Okrągłego Stołu (6 lutego-5 kwietnia 1989) została w pamięci zbiorowej przyćmiona zapowiedzią obchodzenia hucznie – zwłaszcza przez opozycję demokratyczną – rocznicy pierwszych częściowo wolnych wyborów parlamentarnych 4 czerwca 1989 r., które przesądziły o odsunięciu od władzy Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i tym samym stanowiły zwrotny punkt w procesie demontażu systemu autorytarnego socjalizmu w Europie. Jak najdalej jest mi myśl, by pomniejszać znaczenie tego wydarzenia, ale sądzę, że warto zastanowić się nad tym, co spowodowało, że po latach bardzo ostrego konfliktu Polacy zdolali – jako pierwsi w naszej części Europy – sięść do stołu rokowań i uzgodnić warunki, na których rozpoczęła się transformacja ustrojowa. Jest zresztą oczywiste, że bez porozumienia „okrągłego stołu” nie byłoby wyborów czerwcowych, a wydarzenia potoczyłyby się inaczej – zapewne znacznie mniej dla Polski korzystnie.

Jeszcze parę lat wcześniej porozumienie między władzami i opozycją wydawało się niemożliwe. Dominował pesymizm co do przyszłości – nie tylko najbliższej. Uważano dość powszechnie, że w dającej się przewidzieć przyszłości nie zmieni się sytuacja geopolityczna Polski. W wydanej w 1986 roku książce Zbigniew Brzeziński przewidywał, że układ międzynarodowy oparty na rywalizacji i dominacji dwóch supermocarstw – USA i ZSRR – trwać będzie przez dziesięciolecia (Brzeziński 1986). W Polsce stan wojenny zamroził sytuację polityczną – zdawać się mogło, że na bardzo długo. W wyniku jego wprowadzenia zdołaliśmy uniknąć krwawej konfrontacji i, moim zdaniem w tych warunkach nieuchronnej, zbrojnej interwencji radzieckiej, ale zarazem zahamowano proces zmian demokratycznych. Nie udało się, prowadzona połowicznie, reforma gospodar-

cza. Ludzie ówczesnej opozycji szczerze przyznają, że sądzili wówczas, iż szansa istotnych zmian odsunęła się na wiele lat – może na dziesięciolecia. W środowisku partyjnych reformatorów dominowało przekonanie, że należy bronić tego, co jeszcze zostało ze zmian „posierpniowych”, a ewentualne głębsze zmiany muszą czekać na bardziej sprzyjające warunki międzynarodowe i wewnętrzne, co nam także wydawało się odległą przyszłością.

Już wtedy pojawiały się jednak w obozie rządzącym inicjatywy zmierzające do zahamowania konfrontacji i utrzymania jakichś form dialogu z udziałem umiarkowanego skrzydła „solidarnościowej” opozycji. W niedawno opublikowanym wywiadzie Janusz Reykowski wspominał inicjatywę grupy profesorów, którzy w 1982 roku przedstawili kierownictwu PZPR analizę kwestionującą sensowność delegalizacji „Solidarności” (Reykowski 2019). Wtedy nie spotkało się to z uznaniem, ale główny autor tej analizy został kilka lat później członkiem kierownictwa PZPR i jednym z najważniejszych negocjatorów Okrągłego Stołu. Ze swej strony przypomnę odbytą 23-24 kwietnia 1982 roku konferencję w Serocku zorganizowaną przez Instytut Podstawowych Problemów Marksizmu Leninizmu z udziałem znanych intelektualistów z „Solidarności” Wojciecha Giełżyńskiego, Jacka Kurczewskiego, Jadwigi Staniszkis, Andrzeja Tymowskiego. W czasie trwania stanu wojennego takie inicjatywy partyjnych reformatorów nie mogły znacząco wpływać na bieg wydarzeń, ale stanowiły dowód, że reformatorskie skrzydło PZPR nawet wtedy nie porzuciło nadziei na dialog i porozumienie.

Wszystko to zmieniło się pod koniec lat osiemdziesiątych. Splot wydarzeń międzynarodowych i wewnętrznych stworzył warunki dla podjęcia wyzwania,

które jeszcze niedawno granczyło z cudem. Prawdziwym „cudem nad Wisłą”, jak to wydarzenie nazwano w poświęconym mu dodatku historycznym „Gazety Wyborczej” (4 lutego 2019).

To polskie zwycięstwo jest obecnie atakowane przez polityków Prawa i Sprawiedliwości, przy czym niektórzy z nich (np. Andrzej Zybertowicz) posuwają się nawet do imputowania, że Okrągły Stół był porozumieniem komunistycznej władzy z jej agentami. W tych atakach kryje się wrogi stosunek do porozumienia ponad politycznymi podziałami, dążenie do polaryzowania sceny politycznej i do totalnego dyskredytowania opozycji. Tym ważniejsze jest, by przypominać o tym, co stało się trzydzieści lat temu i co stanowi fundament polskiej demokracji.

Patrzę na ten proces z perspektywy kogoś, kto nie miał wprawdzie udziału w podejmowaniu strategicznych decyzji, ale uczestniczył w politycznym zespole Okrągłego Stołu, a wcześniej wielokrotnie w artykułach i wystąpieniach publicznych forsował pogląd, że konieczne jest porozumienie uwarunkowane rezygnacją z monopolu władzy w ręku PZPR i zastąpienie go mechanizmem politycznych uzgodnień, które początkowo nazywałem „demokracją porozumienia narodowego” (Wiatr 1981), a następnie „kontraktualną demokracją” (Wiatr 1982). „Koncepcja demokracji kontraktualnej – pisałem – opiera się na założeniu, że w okresie przejścia od starego do nowego systemu główne siły polityczne – partnerzy umowy społecznej – decydują się na współdziałanie i podział władzy” (Wiatr 1991: 186). Gdy pogląd taki wyrażałem w 1981 roku (między innymi w głośnym odczycie w „Kućnicy” 4 grudnia 1981 roku), nie zdawałem sobie w pełni sprawy z tego, że w ówczesnych warunkach geopolitycznych nie istniały warunki dla realizacji tak daleko idących koncepcji, gdyż na przeszkodzie stała presja konserwatywnego kierownictwa ZSRR, której skala ukrywana była przed opinią publiczną. Nigdy jednak nie porzuciłem przekonania, że była to jedyna droga, pozwalająca wyjść z politycznego impasu, w jakim znalazł się (nie tylko w Polsce) system autorytarnych rządów partyjnych, a zarazem uniknąć groźnego w skutkach wybuchu rewolucyjnego. W okresie poprzedzającym polski Okrągły Stół koncepcja kontraktualnej demokracji została podjęta przez reformatorów węgierskich (Szabo 1988).

Drogę do Okrągłego Stołu otworzyły dwie podstawowe okoliczności. Pierwszą był impas, w jakim znalazła się polityka polska siedem lat po wprowadzeniu stanu wojennego. Wbrew obawom jednych, a oczekiwaniom innych, stan wojenny udał się w tym sensie, że przy minimalnych stratach spacyfikował sytuację i dał ówczesnej władzy niezbędny oddech. Nie doszło do strajku generalnego czy też do wybuchu rewolucyjnego. Władzom udało się opanować sytuację, ale nie udało się wyeliminować opozycji „solidarnościowej”, która – choć poważnie osłabiona – zachowała niemałe wpływy i potrafiła zbudować sprawne struktury podziemne.

W następnych latach następowała stopniowa liberalizacja systemu, ograniczane były represje, pojawiały się większe możliwości dialogu. Gospodarka znajdowała się jednak w stanie przewlekłego kryzysu. Początkowa poprawa gospodarcza okazała się nietrwała, a pod koniec lat osiemdziesiątych ponownie nastąpiło

jej pogorszenie. Szybko rosło zadłużenie zagraniczne Polski, przy czym stosunkowo niskie wpływy z eksportu nie pozwalały nawet na regularną spłatę odsetek. Andrzej Friszke przytoczył niedawno dane z niejawnej informacji rządu o sytuacji gospodarczej w latach 1986-1988, z której wyłania się katastrofalny wręcz stan finansów publicznych, na którym ciążyło zadłużenie zagraniczne stanowiące w 1988 roku 4,7-krotność wpływów z eksportu (Kofta i Leszczyński 2019:336).

W drugiej połowie lat osiemdziesiątych oczywiście już było, że stabilizacja polityczna ani nie usuwa wyzwania, jakie dla władzy stanowiła wywodząca się z „Solidarności” opozycja, ani nie przywraca tej władzy takiego poparcia społecznego, jakie miała w pierwszej połowie poprzedniego dziesięciolecia. Przeprowadzone w listopadzie 1987 roku referendum w sprawie reform politycznych i gospodarczych nie dało władzom takiego mandatu, na jaki liczone, a bardzo niska frekwencja w wyborach do rad narodowych – zbojkotowanych przez „solidarnościową” opozycję – w czerwcu 1988 roku (55,19 proc.) sygnalizowała zmniejszanie się poparcia dla obozu rządzącego.

W tych warunkach ponownie pojawiały się w tym obozie głosy na rzecz bardziej zdecydowanych zmian. Obok publicystyki i prac studyjnych (w tym grupy roboczej powołanej w ramach PRON, w której dane mi było pracować) reformatorskie poglądy coraz częściej pojawiały się w wystąpieniach osób zajmujących wysokie stanowiska polityczne. Powołanie w 1987 roku do Biura Politycznego Mieczysława F. Rakowskiego i powierzenie mu we wrześniu 1988 roku stanowiska premiera było – z uwagi na znane od dawna reformatorskie poglądy tego polityka – symptomem dojrzewających zmian. Nie było jednak jasności co do tego, w jakim kierunku zmiany miałyby iść. Rząd Mieczysława Rakowskiego miał ambicję stania się inicjatorem skutecznych zmian, których powodzenie przywróciłoby utracone zaufanie do istniejącego systemu i w tym sensie stanowiłoby alternatywny w stosunku do rokowań z opozycją scenariusz polityczny. Szybko jednak okazało się, że na taki manewr było po prostu za późno, a rządowi Rakowskiego zaszkodziła decyzja o postawieniu w stan likwidacji Stoczni Gdańskiej, co – niezależnie od racji ekonomicznych przywoływanych w obronie tej decyzji – było poważnym błędem politycznym, gdyż sugerowało wrogi stosunek rządu do „Solidarności”.

Po stronie opozycji dojrzewała także świadomość, że konfrontacja nie jest w stanie doprowadzić do upadku władzy. Obecnie głoszone poglądy, jakoby również bez porozumienia możliwe było odsunięcie PZPR od władzy, kontrastują bardzo wyraźnie ze stanowiskiem, jakie pod koniec lat osiemdziesiątych wyrażali intelektualiści i przywódcy demokratycznej opozycji, zwłaszcza Bronisław Geremek i Adam Michnik. W połowie lat osiemdziesiątych Michnik opublikował (w Londynie) książkę, w której otwarcie pisał o możliwości porozumienia między władzą i opozycją na zasadzie legalizacji „Solidarności” i zrezygnowania przez nią z walki o władzę (Michnik 1985). Geremek w wywiadzie udzielonym wydanemu w podziemiu „Tygodnikowi Mazowsze” (8.X.1986) sygnalizował możliwość wznowienia dialogu między władzą i opozycją „bez zmuszania żadnej ze stron do rezygnacji” (cytowane za: Łuczak 2010: 560).

W 1987 roku, wykorzystując sytuację powstałą w wyniku tego, że władze ograniczyły zasięg represji wobec działaczy opozycji, Lech Wałęsa przystąpił do tworzenia Komitetu Obywatelskiego, który stał się sprawnym i bardzo zwartym ośrodkiem kierowniczym. Inicjatywa powołania tego ciała wyszła od Geremka (Wielowieyski 2008), ale decyzja należała do Wałęsy. Po trwających ponad rok przygotowaniach komitet ukonstytuował się 18 grudnia 1988 stając się ośrodkiem kierowniczym demokratycznej opozycji. Powołanie Komitetu Obywatelskiego miało kluczowe znaczenie, gdyż wokół tego ośrodka skupiły się główne siły opozycji demokratycznej pozostawiając na marginesie ugrupowania radykalne (Konfederację Polski Niepodległej, Solidarność Walcząca).

Już wcześniej w opozycji demokratycznej krystalizował się nurt umiarkowany, intelektualnie nawiązujący do idei realizmu politycznego, zachęcający do dialogu z władzami. W czerwcu 1987 grupa realistów skupiona wokół Marcina Króla zaczęła wydawać legalnie miesięcznika „Res Publica” – pisma od 1982 roku ukazującego się w podziemiu. O potrzebie i możliwości dialogu z władzą mówił w wywiadzie dla pisma „Konfrontacje” Bronisław Geremek (Łuczak 2010:595-596) Oznaczało to rozszerzanie pola dialogu i przygotowywało dalej idące inicjatywy. Umiarkowanej linii przyjętej przez główny nurt opozycji sprzyjało kierownictwo Kościoła katolickiego, inspirowane w wielkiej mierze przez stanowisko papieża Jana Pawła II, który nawiązanie stosunków dyplomatycznych między Polską i Watykanem uzależniał od pozytywnej ewolucji stosunków politycznych w Polsce (Łuczak 2010: 552-553).

Te procesy wewnętrzne tworzyły warunki niezbędne, ale niewystarczające dla wejścia na drogę dialogu i porozumienia. Konieczne było pojawienie się drugiej okoliczności – zmiany sytuacji międzynarodowej. W przeszłości nacisk radziecki stanowił nieprzezwyciężalną barierę, o którą rozbijały się bardziej radykalne programy reformatorskie. Doświadczyłem tego, gdy w lutym 1984 roku pod otwartą – wyrażoną w postaci pseudonaukowego artykułu (Kuzniecowa 1983) – presją radziecką zostałem odwołany ze stanowiska dyrektora partyjnego instytutu badawczego. Przez długie lata kierownictwo PZPR znajdowało się pod presją radziecką, by ograniczać zasięg zmian. Stopniowo zmieniano się to, gdy na czele KPZR stanął Michaił Gorbaczow.

Nowy przywódca radziecki podjął wiele inicjatyw prowadzących do zmiany klimatu międzynarodowego i wygaszania „zimnej wojny”. W lipcu 1988 roku w czasie wizyty w Warszawie publicznie unieważnił on tak zwaną doktrynę Breżniewa – ogłoszoną dwadzieścia lat wcześniej i uzasadniającą „prawo” ZSRR do interweniowania w „obronie socjalizmu” w innych państwach. Wojciech Jaruzelski powiedział mi po latach, że dopiero około roku 1987 stało się dla niego jasne, iż ze strony ZSRR nie grozi Polsce w razie wprowadzenia bardziej radykalnych reform demokratycznych los Czechosłowacji czy Węgier. Dla ludzi zdolnych do politycznego myślenia było oczywiste, że bez takiego stanowiska Moskwy reformy demokratyczne skazane są na klęskę. Podzielałem więc zdanie brytyjskiego historyka Archie Browna, który widzi w polityce Gorbaczowa niezbędny warunek zmian demokratycznych

w ówczesnym bloku radzieckim (Brown 1996: 247). Tak też na to patrzą bliscy współpracownicy Gorbaczowa – Andriej Graczow (Graczow 2003:301-302) i Wadim Miedwiediew (Miedwiediew 1994).

Niektórzy historycy idą jeszcze dalej w ocenie roli Gorbaczowa w zainicjowaniu przemian ustrojowych w naszej części Europy. Andrzej Werblan sądzi nawet, że ekipa Gorbaczowa świadomie postawiła na demonstację starego systemu w zależnych od ZSRR państwach Europy Środkowo-Wschodniej, gdyż wychodząc z zimnowojennego konfliktu z Zachodem już tych państw nie potrzebowała, a nawet stawały się one dla niej obciążeniem (Modzelewski, Werblan, Walenciak 2017:522). Nie jestem pewien, czy tak istotnie było. Przemawia do mnie opinia, którą usłyszałem kilkanaście lat temu od jednego z byłych doradców Gorbaczowa, że liczono raczej na dojście do władzy partyjnych reformatorów, podobnych do tych, którzy dwadzieścia lat wcześniej stali na czele Praskiej Wiosny. To jednak było już poza zasięgiem możliwości.

Okoliczności te stworzyły warunki niezbędne, by mogło dojść do tego, że przedstawiciele dwóch stron polskiego konfliktu zasiedli do wspólnego stołu i doszli do porozumienia. Nie przesądzało to jednak o tym, że tak się stanie. Konieczna była wola polityczna. Doświadczenie historyczne wielu krajów wskazuje na to, że nie zawsze w kluczowych momentach pojawia się wola polityczna niezbędna, by można było wykorzystać pojawiające się szanse lub uniknąć pojawiających się zagrożeń. Zależy to nie tylko od kompetencji intelektualnych przywódców, czyli od tego, czy i jak dalece rozumieją oni sytuację, lecz także od ich cech charakterologicznych, w tym zwłaszcza odwagi podejmowania nowych wyzwań. Polska miała szczęście, gdyż ludziom stojącym wtedy na czele obu obozów politycznych nie zabrakło tych cech.

W tym kontekście podkreślić warto rolę przywódców. Chociaż na sukces Okrągłego Stołu pracowało wiele osób, decydująca była rola dwóch ludzi: Wojciecha Jaruzelskiego i Lecha Wałęsy. Obaj mieli w tym momencie pozycję niekwestionowanych przywódców swoich obozów politycznych. Wbrew nim czy bez nich do porozumienia nie doszłoby. To jedna z tych sytuacji politycznych, w których szczególnie wiele zależy od przywódców politycznych. Polska miała tym razem szczęście, którego brakowało jej w wielu wcześniejszych momentach decydujących o jej losach. Miała przywódców na miarę wielkich wyzwań i szans stworzonych przez układ sił wewnętrznych i międzynarodowych.

Politolodzy badający procesy demokratycznej transformacji zwracają uwagę na to, że tak zwana „negocjowana reforma” zrealizowana w Hiszpanii po śmierci generała Franco czy w Polsce przy Okrągłym Stole wymaga, by po obu stronach zwolennicy reform zdofali zmarginalizować ich przeciwników: konserwatywnych zwolenników starego ładu w obozie władzy i niecierpliwych radykałów po stronie opozycji (Colomer 1990, Colomer i Pascual 1994, Przeworski 1992). W Polsce proces ten dokonał się jednak nierównomiernie: znacznie bardziej konsekwentnie w opozycji niż w obozie władzy. W opozycji bowiem dokonał się wyraźny podział. Radykałowie oderwali się od głównego nurtu, którego przywódcą był Lech Wałęsa wspie-

rany przez szerokie grono czołowych działaczy i doradców dawnej „Solidarności”. Z Biura Politycznego PZPR usunięci zostali (na lub po odbytych w 1986 roku X Zjeździe) niemal wszyscy przeciwnicy porozumienia, ale wielu z nich pozostało w składzie Komitetu Centralnego i w wielu komitetach wojewódzkich. Niejasne pozostawało stanowisko sporej części prasy partyjnej, w tym centralnego organu partii – „Trybuny Ludu”.

W szeregach opozycji decydujące było to, że przy braku lub słabości zorganizowanych struktur decydujący był głos przywódców – zwłaszcza najważniejszego, którym był Lech Wałęsa. W przededniu Okrągłego Stołu otoczył się on ludźmi o umiarkowanych poglądach, zdolnych do rozumienia konieczności kompromisu i lojalnie dążących do wcielenia go w życie. Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, Adam Michnik odegrali wielką rolę w budowaniu porozumienia, ale nie mogliby odegrać tej roli, gdyby stojący na czele demokratycznej opozycji Lech Wałęsa nie zdecydował się na udzielenie im pełnego poparcia i na odsunięcie radykałów. Po latach będzie zresztą za to płać wysoką cenę, gdyż radykałowie nigdy mu tego nie wybaczyli. Krytycy zawartego przy Okrągłym Stole kompromisu twierdzą, że można było uzyskać więcej, że nie trzeba było iść na ustępstwa wobec ówczesnej władzy (Sikorski 1998). To jest myślenie ahisteryczne. Z tego, co nastąpiło później – w dużej mierze w wyniku Okrągłego Stołu – nie da się racjonalnie wnioskować o szansach alternatywnego scenariusza. Faktem jednak jest, że taka spóźniona krytyka zawartego w 1989 roku kompromisu sprzyja dezawuowaniu ówczesnych przywódców demokratycznej opozycji, a tym samym pomaga legitymizować zwrot w kierunku nowego autorytaryzmu. „Wynaturzona, pisana na nowo historia największe polskie osiągnięcie po roku 1918, jakim był Okrągły Stół, traktuje niemal jak zdradę” – pisze trafnie Jan Widacki (Widacki 2019).

W obozie władzy sytuacja była znacznie mniej klarowna. PZPR przystępowała do Okrągłego Stołu bez należytego przygotowania programowego. W referacie przedstawionym na posiedzeniu KC PZPR 13 czerwca 1988 roku Wojciech Jaruzelski sygnalizował plan odbycia rozmów Okrągłego Stołu na temat koniecznej reformy państwa, ale jeszcze w tej fazie wykluczał legalizację „Solidarności” („Trybuna Ludu” 14.VI. 1988). W następnych miesiącach kierownictwo obozu rządzącego przesunęło się na coraz bardziej reformatorskie pozycje.

Nie bez znaczenia było pojawienie się w 1988 ponownej fali strajków, które wprawdzie nie przybrały tak masowego charakteru jak strajki z lat 1980-81, ale sygnalizowały narastanie społecznego zniecierpliwienia. Moim zdaniem była to okoliczność ważna, ale nie decydująca. Decydujące było stwierdzenie, że nowa polityka radziecka otworzyła możliwości zmian idących znacznie dalej niż kiedykolwiek sądzono. Nowa sytuacja polityczna wymagała – przynajmniej częściowo – odnowienia kierownictwa obozu rządzącego. W przededniu rozmów do Biura Politycznego PZPR wybrany został (nie będący poprzednio nawet członkiem Komitetu Centralnego) wybitny uczonec o jednoznacznie reformatorskich przekonaniach Janusz Reykowski. W centralnym aparacie partyjnym pojawili się młodzi zwolennicy zmian. Szybko rosło znaczenie Aleksandra

Kwaśniewskiego, który w rządzie Rakowskiego kierował Komitetem Politycznym i odegrał bardzo znaczącą rolę w przygotowaniu i przeprowadzeniu rozmów z opozycją. Równocześnie jednak w Komitecie Centralnym utrzymywała się znaczna (być może stanowiąca nawet większość) grupa ludzi niechętnie lub wrogo nastawionych do tego, co postrzegali jako „kapitulację”. Postawy takie występowały zwłaszcza wśród działaczy PZPR średniego szczebla – ludzi silnie osadzonych w istniejącym systemie, a zarazem na ogół pozbawionych szerszych horyzontów intelektualnych i niezbędnej wiedzy.

Janusz Reykowski wspomina, że wiosną 1989 roku na jego zlecenie przeprowadzono badania sondażowe wśród członków PZPR, które pokazały, że średni szczebel aktywu partyjnego – w odróżnieniu od szeregowych członków PZPR – był wyraźnie niechętny porozumieniu Okrągłego Stołu (Kofta i Leszczyński 2019: 116-117). Odzwierciedleniem poglądów tego środowiska było zachowanie członków Komitetu Centralnego PZPR, wyraźnie niechętnych porozumieniu z „Solidarnością”, a zwłaszcza jej legalizacji. Tylko groźba podania się do dymisji przez generałów Jaruzelskiego, Kiszczaka i Siwickiego oraz przez premiera Rakowskiego spowodowała, że Komitet Centralny (w styczniu 1989 roku) wyraził zgodę na legalizację „Solidarności”, przy czym nie była to decyzja jednomyślna. Za uchwałą sankcjonującą tę politykę głosowało 143 osób, przeciw było 32, a wstrzymało się 14 członków KC (Garlicki 2004:8). Niechętnie do kompromisu odnosiły się wpływowi centrala OPZZ i wiele komitetów wojewódzkich partii. Retrospektywnie powiedzieć można, że kierownictwo PZPR popełniło błąd przystępując do rozmów z opozycją bez wcześniejszego uporządkowania własnych szeregów. W czasie prac Okrągłego Stołu wyrażało się to w kontestowaniu kompromisu przez nielicznych, ale głośniejszych ortodoksów partyjnych, czego przykładem był – jak w swych dziennikach pisał Mieczysław Rakowski (Rakowski 2005:372) – list wystosowany 17 lutego 1989 przez Jana Rychlewskiego, należącego do zespołu politycznego Okrągłego Stołu prominentnego działacza PZPR, a zarazem członka Polskiej Akademii Nauk. Autor otwarcie atakował linię porozumienia i domagał się usztywnienia stanowiska, a w ostateczności zerwania rozmów. Janusz Reykowski przypominał niedawno, że nad listem tym przeprowadzono dwugodzinny dyskusję, w której przeważał pogląd, że nie istnieje inne rozwiązanie, jak porozumienie z opozycją (Kofta i Leszczyński 2019:128-129). Obecność w zespole przygotowującym projekt zmian politycznych działacza otwarcie kwestionującego sens porozumienia było konsekwencją tego, że kierownictwo PZPR usiłowało utrzymać jedność partii w sytuacji, gdy jedność ta – jak pokazały późniejsze wydarzenia – była już nie do utrzymania.

Ostatecznie jednak porozumienie okazało się możliwe. W jego tle była ciekawa ewolucja poglądów – tak po stronie władzy, jak i w kręgach demokratycznej opozycji.

Po stronie PZPR kluczowe znaczenie miała ewolucja poglądów Wojciecha Jaruzelskiego. Z moich kontaktów z nim w pierwszych dniach stanu wojennego pamiętam, że już wtedy był on zdecydowanym przeciw-

nikiem eskalowania represji wobec ludzi związanych z opozycją. Długo liczył jednak na to, że możliwe będzie przeprowadzenie reform z inicjatywy władz i bez negocjacji z opozycją. Byłby to wariant wydarzeń podobny do dokonującej się wtedy brazylijskiej polityki „otwarcia” („abertura”). Stopniowo jednak docierała do niego świadomość, że w Polsce taki wariant nie ma szans powodzenia i że konieczne są odważne, daleko idące zmiany.

Również po stronie opozycji zmieniał się stosunek do drugiej strony. Jacek Kuroń snując refleksje o rozmowach Okrągłego Stołu przypominał, że w zespole politycznym spotkał swoich „dawnych szefów” z ZMP – Janusza Reykowskiego i mnie. W politycznym zespole Okrągłego Stołu spotkała się czwórka dawnych kolegów z warszawskiego Żoliborza: Gremek, Kuroń, Reykowski i ja. „Najcenniejszą nauką z tego spotkania – pisał Jacek – było dla mnie jedno spostrzeżenie. Otóż ludzie, którzy zasiedli z nami do pertraktacji, nie tylko nie byli stalinistami, ale nawet ideowymi komunistami. To byli pragmatycy, realisci, rozumiejący, że ład centralnego sterowania zawalił się, a teraz trzeba jak najszybciej i jak najlepiej przejść do nowego. Oni mieli nam za złe, że jesteśmy zbyt awanturniczy, zbyt gwałtowni, co może zniszczyć to spokojne przejście. Jedno jest pewne – chcieli się porozumieć. W tym świetle strona moralna całej tej sprawy zaczyna wyglądać całkiem inaczej. Oni mają prawo powiedzieć: dokonaliśmy zmian w komunizmie. A my możemy powiedzieć: zmienił się pod naszym naciskiem. Jedni i drudzy będą mieli rację, z tym, że komunizm zawalił się głównie pod własnym ciężarem” (Kuroń 1992:78-79).

Ze swej strony dodałbym, że owo zawalenie się starego systemu mogło mieć bardzo rozmaite formy i że o polskiej, negocjowanej drodze przekształceń zdecydowali ludzie zdolni do przejścia do porządku nad doświadczeniami i podziałami z niedawnej przeszłości.

Wypracowany przy Okrągłym Stole kompromis miał znaczenie historycznego precedensu. Nigdy w historii rządząca partia komunistyczna nie wynegocjowała ze swymi politycznymi przeciwnikami zmian, których sensem miała być rezygnacja z monopolu władzy (choć jeszcze nie z samej władzy) i otwarcie drogi do parlamentarnej demokracji w niezbyt odległej przyszłości. „Kontraktualna” ordynacja wyborcza do Sejmu miała – zgodnie z zawartym porozumieniem – obowiązywać tylko w wyborach 1989 roku. Potem miała zostać zastąpiona ordynacją w pełni demokratyczną. Stabilizatorem systemu miał być wyposażony w szerokie kompetencje prezydent, przy czym opozycja zdecydowała się powstrzymać przed kontestowaniem wyborów na to stanowisko. Ten mechanizm funkcjonował znacznie krócej niż przewidywaliśmy, gdyż druzgoczący dla obozu rządzącego wynik wyborów czerwcowych, a następnie lawinowy upadek starego systemu w innych państwach Europy Środkowo-Wschodniej stworzyły presję na przyspieszenie zmian w Polsce.

Irlandzka dziennikarka Jacqueline Hayden, która po latach przeprowadziła serię wywiadów z głównymi uczestnikami rozmów Okrągłego Stołu, uważa, że na wynik rokowań istotny wpływ miała obustronna mylna percepcja własnych wpływów: strona rządowa

przeceniała, a strona opozycyjna nie doceniała, jej zdaniem, własnej siły, co skłaniało obie strony do zawarcia takiego jak uzgodniony kompromisu w sprawie wyborów (Hayden 2006). Podobny obraz nastrojów po obu stronach wynika z przeprowadzonej po latach rozmowy Karola Modzelewskiego i Andrzeja Werblana z Robertem Walenciakiem na temat przebiegu i wyników Okrągłego Stołu (Modzelewski, Werblan, Walenciak (2017: 518-519). Jest to bardzo interesujący punkt widzenia, ale należy uwzględnić i to, że w miarę rozwoju wydarzeń relacje tych sił się zmieniały. Nie można wykluczyć, że początkowo – to jest w czasie, gdy zawierano porozumienie Okrągłego Stołu, obie strony dysponowały w przybliżeniu podobnym poparciem, ale poparcie dla obozu rządzącego spadało w miarę, jak coraz wyraźniejsze stawało się, że istnieje alternatywa polityczna. Procesowi temu sprzyjało niepotrzebne, moim zdaniem, przewlekanie procesu negocjacyjnego.

Ostateczny rezultat przesądzony został przez wynik wyborów czerwcowych, które tak dalece osłabiły oboz rządzący, że niemożliwe stało się trwałe realizowanie wynegocjowanego kompromisu. Wynik ten był w części konsekwencją przyjęcia takiej ordynacji wyborczej do Senatu, która przekształciła mniej więcej 70-procentowy udział „Solidarności” w sukces mierzony 99 mandatami (na 100). Przyjęcie takiej ordynacji (i odrzucenie propozycji ordynacji proporcjonalnej, co sugerował Andrzej Werblan) prowadziło do klęski obozu rządzącego. Podobnie działało wprowadzenie w wyborach do Sejmu listy krajowej, co temu segmentowi wyborów nadało charakter plebiscytu, w którym spektakularnie przegrała strona rządząca – mimo uzyskania ponad czterdziestu procentów głosów. W konsekwencji rozmowy Okrągłego Stołu stały się punktem wyjścia dla radykalnych zmian dokonanych pokojowymi metodami i z zachowaniem ciągłości ładu konstytucyjnego. Zmiany te były bardziej radykalne, a zwłaszcza szybsze, niż przewidywały porozumienia Okrągłego Stołu, ale kierunek zmian określony został we wcześniej zawartym porozumieniu. W tym sensie Okrągły Stół zapoczątkował rewolucyjny – ale realizowane pokojowo i na gruncie prawa – zmiany systemu politycznego i ekonomicznego.

Czy bez polskiego Okrągłego Stołu nastąpiłby upadek systemu w całym naszym regionie? Tego nie da się rozstrzygnąć, gdyż historia nie zna *experimentum crucis*. Pamiętam jednak swoją wizytę w Budapeszcie w marcu 1989 roku, gdy wygłaszałem odczyty o procesie negocjacji w Polsce i rozmawiałem z wpływowymi członkami rządzącej tam partii. Śledzili oni z wielką uwagą proces negocjacji w Polsce i mówili mi otwarcie, że od sukcesu tego procesu uzależniają swoją strategię zmian. Sądzę, że gdyby w Polsce proces negocjacyjny załamał się, zahamowałoby to pokojowe zmiany nie tylko na Węgrzech, ale także w innych państwach naszego regionu, w tym w Czechosłowacji i w NRD. Klocki ówczesnego domina mogły padać w innym kierunku. Podzielał zdanie Aleksandra Kwaśniewskiego, który oceniając bilans Okrągłego Stołu z perspektywy trzech dziesięcioleci mówił, że „daliśmy innym wspaniały przykład. Naszą drogą poszli Niemcy, Węgrzy, w jakimś sensie Czechosłowacja, a nawet odległa Republika Południowej Afryki.

Nasz koncept promieniał i ma zasługi przed światem” (Kwaśniewski 2019).

Mam osobiste doświadczenie potwierdzające tę opinię. W 1995 roku brałem udział (wraz z Hanną Suchocką i Jerzym Osiatyńskim) w międzynarodowej konferencji w Belfaście poświęconej doświadczeniom porozumień kończących wieloletnie konflikty. Byliśmy jedynymi uczestnikami z dawnego państwa socjalistycznego, gdyż właśnie doświadczenie polskiego Okrągłego Stołu potraktowano tam jako cenną lekcję także dla innych krajów. Były na tej konferencji dwie osoby z RPA, reprezentujące obie strony dopiero niedawno wygaszonego konfliktu rasowego. Otwarcie mówili o tym, jak ważne było dla nich polskie doświadczenie negocjowanego porozumienia.

Z tych względów sędzę, że polski Okrągły Stół należy do najcenniejszych doświadczeń politycznych naszego narodu. Pokazaliśmy wtedy, że potrafimy się porozumieć i potrafimy maksymalnie wykorzystać szansę, która pojawiła się przed nami. Warto tę lekcję dobrze przemyśleć, gdyż może być ona pomocna w kształtowaniu narodowej przyszłości. Okrągły Stół pokazał, że nawet z bardzo ostrego konfliktu można wyjść pokojowo, w drodze uzgodnionego kompromisu, bez krwi i ofiar. Wynik ten nie unieważnił różnic politycznych dzielących strony zawieranego porozumienia, ale ich dalszym relacjom nadał cywilizowany, wolny od niszczącej nienawiści, charakter.

Doświadczenie Okrągłego Stołu to nie tylko historia. W obliczu tego, co Janusz Reykowski nazywa „autorytarną kontrrewolucją” (w: Kofta i Leszczyński 2019:279-334), doświadczenie porozumienia oparte go na dialogu i negocjacjach nabiera szczególnego znaczenia. Skłania do myślenia o polityce jako o procesie dochodzenia do najlepszych rozwiązań w imię dobra wspólnego, na drodze dialogu i porozumienia. Takie podejście jest istotą tak zwanej „demokracji deliberatywnej” traktowanej jako przeciwieństwo demokracji zredukowanej do realizacji woli większości (Gutmann i Thompson 1996: 199-229). Jeśli po tegorocznych wyborach powstaną warunki dla odbudowania państwa prawa i demokracji, to doświadczenie historyczne może okazać się szczególnie ważne.

JERZY WIATR

Cytowana literatura:

- Brown Archie (1996), *The Gorbachev Factor*, Oxford, Oxford University Press.
- Brzezinski Zbigniew (1986), *The Game Plan: Framework for the Conduct of the US-Soviet Contest*, Boston-New York, Atlantic Monthly Press.
- Colomer Josep M. (1990), *El arte de la manipulacion politica: Volacines y teoria de juegos en la politica espanola*, Barcelona, Editorial Anagrama.
- Colomer Josep M., Pascual Margot (1994), „*The Polish Games of Transition*”, „Communist and Post-Communist Studies”, nr 3(27): 275-294.

Garlicki Andrzej (2004), *Rycerze Okrągłego Stołu*, Warszawa, Czytelnik.

Graczow Andriej (2003), *Gorbaczow*, Warszawa, Wydawnictwo Iskry.

Gutmann Amy, Thompson Dennis (1996), *Democracy and disagreement*, Cambridge-London, Harvard University Press.

Hayden Jacqueline (2006), *The Collapse of Communist Power in Poland: Strategic Misperceptions and Unanticipated Outcomes*, London-New York, Routledge.

Kofta Mirosław, Leszczyński Adam, red. (2019), *Psychologia okrągłego stołu*, Sopot: Smak Słowa.

Kuroń Jacek (1992), *Spoko! Czyli kwadratura koła*, Warszawa, Polska Oficyna Wydawnicza „BGW”.

Kuzniecowa A.W.(1983), *O teoretycznych koncepcjach odnowy polskowo politologa*, „Woprosy Filozofii” nr 12: 26-39.

Kwaśniewski Aleksander (2019), *Gdybyśmy się nie dogadali, byłoby po nas, wygraliby twardogłowi*, „Gazeta Wyborcza” (dodatek „Ale Historia”, 4 lutego, s.2-5.

Łuczak Aleksander (2010), *Dekada polskich przemian: studium władzy i opozycji*, Warszawa, Oficyna Wydawnicza ASPRA-JR.

Michnik Adam (1985), *Takie czasy...Rzecz o kompromisie*, Londyn, Aneks.

Miedwiediew Wadim (1994), *W komandzie Gorbaczewa: wzglad izwnutri*, Moskwa, Bylina.

Modzelewski Karol, Werblan Andrzej, Walenciak Robert (2017), *Polska Ludowa*, Warszawa, Wydawnictwo Iskry.

Przeworski Adam (1992), „The Games of Transition” w: Scott Mainwaring, Guillermo O'Donnell, Samuel Valenzuela, red. *Issues of Democratic Consolidation*, Notre Dame, University of Notre Dame Press, 105-15.

Rakowski Mieczysław F. (2005), *Dzienniki polityczne 1987-1990*, Warszawa, Wydawnictwo Iskry.

Reykowski Janusz (2019), *Trzeba wyrzucić pistolet*, „Polityka” nr 6(3197), 6-12 lutego.

Sikorski Radek (1998), *Jak straciliśmy Polskę*, „Gazeta Wyborcza”, 27 stycznia.

Szabo Matyas (1988), „*A kontraktualis demokracia*”, „Egyetemi Lapok” (Budapeszt), 30 maja.

Wiatr Jerzy J. (1981), *Demokracja porozumienia narodowego*, „Trybuna Ludu”, 12 października.

Wiatr Jerzy J. (1982), *Die polnische Krise*, „Journal fur Sozialforschung”, (Wiedeń), vol. 22, s. 60-70.

Wiatr Jerzy J. (1991), *Zmierzch systemu (Historia a perspektywy demokratycznego socjalizmu w Europie Wschodniej)*, Warszawa. Wydawnictwo Fundacji im. Kazimierza Kelles-Krauza.

Widacki Jan (2019), *Okrągły Stół? Jaki Okrągły Stół?*, „Przegląd” nr 6(996), 4-10 lutego, s.12-13.

Wielowieyski Andrzej (2008), *Dwie decyzje Geremka*, „Gazeta Wyborcza”, 8 września.

MAREK TABIN

PODWÓRKO.

O STYLU RZĄDZENIA W PAŃSTWIE PiS

Łatwa do zauważenia jest odmienność obecnego, PiS-owskiego stylu uprawiania polityki od sposobu działania wszystkich poprzednich ekip. Styl obecny nie jest typową autokracją, choć starannie eksponuje swoją „sprężystość” w zestawieniu z „imposybilizmem” ekip poprzednich. Mimo wyraźnych tendencji do neo-PRL, ekipa Kaczyńskiego różni się od rządów z lat 40. XX wieku przede wszystkim tym, że tamci postanowili (z sukcesem) złapać króliczka, a PiS wyraźnie woli go przede wszystkim gonić. Dzięki temu możliwe jest przeciwstawianie się, a represywności daleko do stalinowskiej. Wynika to z faktu, że ekipy stalinowskie miały konkretny program – jak byśmy go nie oceniali – a programem ekipy PiS-owskiej jest przede wszystkim zabawa, której by przecież nie było, gdyby od razu wszelka opozycja została brutalnie stłumiona.

W tym tekście przedstawiam pewną koncepcję genezy tego stylu prowadzenia państwa. Jest to interpretacja odwołująca się do niepełnej socjalizacji uczestników procesu politycznego. Takie postawienie sprawy natychmiast nasuwa pytanie: dlaczego właśnie tacy ludzie tworzą elity i są wybierani do rządzenia? Pytanie to pozostawiam poza zakresem tego tekstu; nie dotyczy ono elit, ale całego społeczeństwa i funkcjonującego w nim systemu rekrutacji elit, nie tylko politycznych.

W socjalizacji młodych ludzi – czyli w procesie czytania ich członkami społeczeństwa dorosłych – istnieje etap, który tu dla prostoty nazwę podwórkiem. Chodzi o okres, który zaczyna się najwcześniej w okolicach 8 roku życia, choć przeważnie nieco później, a kończy w okolicach matury. Niekoniecznie musi on polegać na uczestnictwie w grupie podwórkowej, ale obowiązkowo – na przynależności do spontanicznej grupy rówieśniczej.

Nastolatki podlegają oddziaływaniom socjalizacyjnym dwojakiego rodzaju: własnym działaniom – wraz z obserwacją ich skutków – oraz wpływem z ze-

wnątrz. Te pierwsze są w procesie socjalizacji o wiele ważniejsze, silniejsze i skuteczniejsze. Drugie zaś są stylem obecnie dominującym (szkoły, podręczniki, kursy w rodzaju przygotowania do życia w rodzinie, różne poradniki, także dla dorosłych). Przeżywanie w wyobraźni działań innych jest równie skuteczne jak własne – stąd olbrzymia rola socjalizacyjna czytania powieści młodzieżowych. Stąd także w chrześcijańskim stylu dydaktyki pojawił się zwyczaj podawania przykładów z życia Jezusa, który bywa czasem irytujący, ale w sumie jest znacznie skuteczniejszą metodą przekazania osobie wierzącej opinii o właściwym sposobie zachowania się niż podawanie ogólnych reguł moralnych.

Współczesnej dominacji mniej skutecznego stylu socjalizowania towarzyszy całkowity zanik rytuałów przejścia do kolejnego etapu życia, czyli zanik kontroli społecznej nad socjalizacją. Chodzi mi tu o uroczyste zaznaczanie przejścia jednostki do nowego, „bardziej dorosłego” etapu życia. Te rytuały były nie tylko uroczystością, ale przede wszystkim sprawdzianem, czy młody człowiek zdobył wszystkie umiejętności, które w danym wieku powinny już być opanowane. Jako ostatni rytuał przejścia upadła matura. Jest zresztą tak, że społeczeństwa nie bardzo obecnie wiedzą, co by mogły kontrolować. Mamy w rezultacie nie tylko antysemityzm bez Żydów, ale i antykomunizm bez komunistów, demokrację bez demokratów, patriotów działających przeciwko swemu krajowi, niedyplomatycznych dyplomatów, niekapitalistycznych kapitalistów, urzędników, którym obce jest pojęcie służby, niemęskich mężczyzn, niekobięce kobiety i ogólniej – świat idei nie wypełnionych ludzką treścią, często bezmyślnie importowanych.

Jednym ze sposobów zapobiegania takiej sytuacji jest podwórkowy etap socjalizacji: nauka samodzielnego funkcjonowania w grupie osób o równych prawach, czyli to, co człowiekowi będzie potrzebne

przez całe życie. Niekoniecznie musi to być podporządkowanie się grupie – możliwe jest zarówno przewodzenie jej, jak i występowanie przeciwko niej. Grupa daje młodemu człowiekowi poczucie społecznej jedności z jego własnym, a nie z poprzednim pokoleniem. Efektem etapu podwórka będą w przyszłości umiejętność wspólnego działania, zdolność do ograniczenia własnej autonomii w imię dobra grupy, a także umiejętność walki o swoje własne rozumienie dobra grupy. W grupie kształtują się takie cechy jak poczucie sprawiedliwości, wolności, życzliwość, umiejętność współdziałania, także ambicja – wszystkie, które zawierają w sobie relację jednostki wobec osób jej równorzędnych. Uczestnik grupy uczy się też oceniać innych ze względu na zgodność ich postępowania z interesem grupy, a także sam jest oceniany, o czym wie.

Przynależność do grupy podwórkowej czy do pozapodwórkowej grupy koleżeńskiej ma olbrzymi wpływ socjalizujący: jest to pierwsze w życiu przebywanie w grupie, w której wszystko zależy od „nas” – a nie od „starych” – w której młodzi ludzie wspólnie określają wszelkie reguły i nikt im ich nie narzuca. Im lepiej zostanie ten czas wykorzystany, tym lepiej przyszły obywatel będzie sobie dawał radę bez rozkazów władzy i tym lepiej będzie nadawał się do społeczeństwa obywatelskiego. Im gorzej natomiast zostanie wykorzystany, tym bardziej każda następna przynależność do grupy będzie spóźnionym nabywaniem umiejętności społecznych albo odreagowywaniem kompleksów z młodości. Jeśli taka osoba zdobędzie wysokie stanowisko, będzie miała tendencję do traktowania swoich działań jako początku historii. Dzieje się tak dlatego, że im później człowiek odkrywa pewne elementarne i znane innym reguły, tym mocniej uważa, że odkrył coś niebywale ważnego, o czym inni w ogóle nie mają pojęcia.

W socjologii uważa się, że grupy podwórkowe są instytucją społeczną uniwersalną i istnieją w społeczeństwach wszystkich typów. Pogląd ten, pochodzący sprzdy mniej więcej wieku, jest z pewnością słuszny, gdy chodzi o różnicowanie na społeczeństwa uprzemysłowione, tradycyjne, „prymitywne”, wędrownie, osiadłe, czyli po prostu wszystkie dotąd znane. Mam wątpliwości, czy dotyczy także zbiorowości ludzkich, które stopniowo przestają być społeczeństwami z powodu zaniku więzi społecznej – takich, jak nie tylko, ale również Polska.

Są ludzie, którzy tych zasad wspólnego działania nie nauczyli się. Albo z jakichś przyczyn nie przeżyli etapu podwórka i wiek dorosły oraz aktywność zawodowa są dla nich okresem uzupełniania tego braku (etapów dojrzałości nie da się przeskakiwać!), albo z innych przyczyn postanowili zwyczajnie podwórkowe kontynuować przez całe życie. Są to więc ludzie o niepełnej socjalizacji, którzy nie dojrżeli społecznie wtedy, gdy był na to czas. Myślę, że istnieje duża zbieżność między ich cechami a niezdolnością do funkcjonowania w społeczeństwie obywatelskim.

Celem tego tekstu jest pokazanie, że współczesne polskie elity władzy, a szczególnie elity PiS-owskie w swym stylu działania są grupami podwórkowymi. Ograniczę się do opisu cech takiego zespołu ludzkiego i do przykładów pokazujących, że tak właśnie funk-

cjonuje PiS. Innych przykładów każdej z tych cech Czytelnik potrafi znaleźć bardzo wiele.

Nabór elity „z kalendarzyka”, praktykowany zresztą we wszystkich środowiskach politycznych po 1989 roku, sprzyjał niedojrzałości społecznej tych ludzi. Ludzie niedojrzali mieli w swych kalendarzykach ludzi niedojrzałych. Obejmujący wysokie stanowiska nie mieli okazji przeciwiczyć ani przywództwa, ani podporządkowania, ani wspólnego działania, gdyż wszelkie formy politycznego terminowania zostały zlikwidowane. Jedynym aspektem władzy, który był im znany – z domu rodzinnego – jest podleganie tej władzy lub jej sprawowanie (nad młodszą siostrą bądź/i misiem). Stąd staranne zakreślanie granic swej władzy i rzadkość załatwiania spraw w gronie decydentów na zasadzie dyskusji i porozumienia. Wydaje mi się jednak, że to „kalendarzykowe” wyjaśnienie jest zbyt słabe. Przyznaję, że nie potrafię wytłumaczyć tego, że po roku 1989 istniała w elitach władzy tak silna negatywna selekcja według cech powodujących, że człowiek łatwo odnajduje się w działaniach zespołowych na rzecz dobra grupy.

To jest zabawa!

Pierwszą, zasadniczą cechą grupy rówieśniczej jest to, że jej aktywność jest zabawą – również wtedy, gdy owa zabawa polega na rywalizacji dwóch grup lub umownie podzielonych dwóch części tej samej grupy. Wszyscy mają pełną świadomość uczestnictwa w zabawie i odgrywania wyznaczonych ról. Ale jednocześnie pozycja społeczna każdego członka grupy zależy od tego, jak dobrze potrafi tę rolę odgrywać, co musi oznaczać dość silną identyfikację z rolą – jednak tylko podczas zabawy. Osoby, które żyją zabawą przez cały czas – na przykład także w szkole – są raczej traktowane albo niezbyt poważnie, albo instrumentalnie.

Młodzi ludzie na ogół nie wymyślają sobie sami tematów zabawy. Są one dobrze osadzone w tradycji: Indianie, policjanci i złodzieje, jakaś barwna aktualna postać czy wydarzenie. (Tu wyjaśnienie: piszę o czasach, w których dorastali dzisiejsi politycy, kiedy tradycja takich zabaw była jeszcze trochę żywa, choć już tylko trochę. Wiem, że dziś jest to zupełnie nieaktualne). W zabawach polityków tematy zabawy są inne, gdy za przeciwnika uważa się społeczeństwo, inne – gdy jest nim opozycja. W tym pierwszym przypadku tematy są zaczerpnięte z publicystyki i dawniejszego życia politycznego, a dla obecnych polityków mają charakter propagandowy: milion aut elektrycznych, budowa i odbudowa przemysłu, wspieranie innowacji, budowa centralnego europejskiego portu lotniczego, Polska na czele czwartej rewolucji przemysłowej, 9-dniowe święta, itp. W tym drugim – tematy są mniej symboliczne, ale i mniej związane z potrzebami kraju: repywatyzacja, prawica-lewica, lustracja, dezubekizacja, dziadek w Wehrmachcie, odszkodowania za II wojnę światową, itp. Ale we wszystkich tych przypadkach PiS bawi się z przeciwnikiem jak kot z myszką, unikając ciosów mocnych i kończących sprawę, preferując umiarkowane, by zabawa mogła się toczyć dalej.

Tu jednak napotykamy komplikację. Jeśli drugą stroną zabawowego konfliktu ma być opozycja,

a w szczególności Platforma Obywatelska, to powinna ona wiedzieć, że – zdaniem PiS-u – nie ma walczyć o władzę w Polsce, tylko razem z PiS-em bawić się w rządzenie Polską. Wydaje mi się, że dzisiejsze partie opozycyjne wciąż nie rozumiały tych oczekiwań PiS-u i chyba jest to najpoważniejsze źródło nienawiści okazywanej coraz mocniej przez tę partię. Myślę, że mimo całego nieudacznictwa ekip wcześniejszych dopiero Prawo i Sprawiedliwość przekształciło politykę w czystą zabawę, co nie zostało przewidziane ani *ex post* odgadnięte przez pozostałe partie. Zauważmy, że podczas dramatycznych, wielotysięcznych protestów w obronie Trybunału Konstytucyjnego czy sądów pokazywano zawsze Jarosława Kaczyńskiego szczerze śmiejącego się z demonstrantów. Dla niego były to te momenty zabawy, dla których warto się natrudzić! Fakt, że ostatnio (piszę to w lutym 2019) ten śmiech już się nie pojawia, gdyż zabawa zrobiła się trudniejsza i mniej zabawna.

Chociaż – niektórzy pojedynczy politycy opozycji doskonale wyczuwają tę konwencję i dają się wciąż gnąć. Gdy w sierpniu 2018 roku na warszawskiej Woli okazało się, że 10 lat po oddaniu bloku do użytku trzeba przeprowadzić wielki, generalny remont, komicznie szybko rozpoczęła się część zabawowa. W osiedlu tym urzędnik z PiS-u zatwierdzał projekt, a urzędnik z PO odbierał budynek. Zamiast zlecić rzeczoznawcy ocenę, czy chodzi o błędy projektu czy wykonania, obie te partie natychmiast założyły, że chodzi o błąd przeciwnika i rozpoczęły przepychankę. (Najciekawszy w tym wszystkim jest fakt, że dorobiliśmy się takich określeń, jak „urzędnik z PiS” czy „urzędnik z PO”, które były używane w prasie bez zauważenia fałszu. Ale to już inna sprawa). Trzeba również przyznać, że jawne podkreślanie, iż polityka jest zabawą, zdarzało się już znacznie wcześniej. Zaczęło się to w okresie pierwszej „Solidarności”, w postaci dość żenujących wierszyków wyrażających żądania demonstrantów i mocno kontrastujących zabawowym stylem z powagą sytuacji i zakresem żądań. Ten wierszykowy styl demonstracji jest wciąż kontynuowany, również w dramatycznych sytuacjach, jak na przykład okupacja Sejmu przez opiekunów dzieci niepełnosprawnych latem 2018 roku.

Trudno też nie zauważyć, jak łatwo i chętnie PiS wynajduje płaszczyzny konfliktu, co samo w sobie jest dowodem na zabawowe podejście do życia politycznego. Koncentruje się przy tym na Platformie Obywatelskiej, którą słusznie uważa za najpoważniejszego uczestnika zabawy. Taki zabawowy konflikt jest zawsze klasyczną „zaczepką”, zgodnie z uczniowskimi regułami zachowania. Nie chodzi w nim o zmiany zmierzające do udoskonalenia jakiejś dziedziny życia, o inny kierunek rozwoju czy o politykę zdecydowanie odmienną od dotychczasowej w jakiejś dziedzinie. Chodzi o sprawy (czasem rzeczywiste, częściej jedynie rzekome) personalne, dotyczące korupcji, grzechów z przeszłości, niewłaściwych znajomości, niewłaściwych przodków i innych obciążeń, skutkiem ujawnienia których może być skompromitowanie jednego lub kilku polityków, ale nie poważniejsza zmiana polityczna.

Dążenie do konfliktu to dążenie do tego, żeby była zabawa. To, że konflikt dotyczy zwykle spraw poli-

tycznie drugorzędnych nie oznacza oczywiście, że nie ma znaczenia politycznego. Ma, i to bardzo poważne w postaci zaniku zaufania w relacjach między instytucjami i obywatelami oraz między obywatelami. Wystarczy tu wspomnieć rozpowszechnienie się nagrywania rozmów, rozpoczęte jawnie i bez wstydu przy okazji afery Rywina. Dążenie do konfliktu i do uzyskania w nim przewagi jest na ogół jedyną treścią działania dostępną umysłowości polityków. Cel ponad-grupowy nie może istnieć, gdyż dla uczestników zabawy świat ponad-grupowy nie istnieje.

Sociolog polski Florian Znaniecki pisząc o ludziach zabawy (czyli – według mojej terminologii – o dorosłych o niepełnej socjalizacji) zauważył, że przypisują oni sobie olbrzymie znaczenie – organizatorów i kierowników ludzkości. Świat kultury sprowadzają do poziomu zabawy: „po nas potop”, problemy cywilizacyjne uważają za łatwe, a system wyborczy – za najskuteczniejszy sposób zdobycia władzy i zaprowadzenia nad społeczeństwami. Uważają się za mistrzów tej metody.

Reguły zabawy

Regułą podstawową jest to, że uczestnicy zabawy sami ustalają reguły. Z ich punktu widzenia sięganie pod jakimkolwiek pretekstem do autorytetów spoza grupy jest złamaniem podstawowych reguł. No bo wyobraźmy sobie, że podczas gry w policjantów i złodziei jedna z tych grup włącza do zabawy rodziców albo prawdziwych policjantów! Dla bandy podwórkowej istnieją tylko reguły zabawy ustanowione przez nią samą.

Reguły ustala zwykle ten, kto jest silniejszy, ale w każdej chwili mogą one ulec zmianie. Tu analogia między bandą podwórkową a Prawem i Sprawiedliwością trochę się komplikuje, gdyż nie do końca jasne jest, kogo PiS uważa za przeciwnika w tej zabawie: partie opozycyjne, część społeczeństwa, konkurencyjną grupę w samym PiS, Unię Europejską, a może europejską tradycję demokratyczną? Mamy w Polsce do czynienia z sytuacją, gdy rządząca grupa podwórkowa walczy przeciwko – w swym przekonaniu – wielu przeciwnikom i być może czuje się osaczona. Właśnie dlatego usiłuje za pomocą kłamstwa i propagandy nienawiści stworzyć szerokie, może nawet instytucjonalne zaplecze złożone nie tyle ze swoich zwolenników, co z przeciwników czegokolwiek innego. Nie przypadkowo hasło antykomunizmu jest obecnie głównym motywem propagandowym. „Właściwy” obywatel to ten, który jest ANTY wskazanym celem. A to, że „bawimy się” w swoim gronie i żadne instytucje Unii Europejskiej nie są nam potrzebne – jest chyba oczywiste!

Konstytucja jest prawem obowiązującym wszystkich, co samo w sobie dla uczestników zabawy w państwo jest nie do przyjęcia. Stosunek PiS do konstytucji to klasyczne podwórko. Partia ta nie uznaje żadnych praw ponad sobą, ponieważ to ona ustala prawo, dlatego hasło „Konstytucja” stało się hasłem antypaństwowym (bo przecież państwo to PiS). W ten sposób nazwa ustawy zasadniczej, która jest jednym z elementów określających wspólnotę narodową, stało się hasłem jednego z dwóch wrogich plemion.

A odwoływanie się do konstytucji, a także do umów akcesyjnych do UE, czy do Trybunału Sprawiedliwości UE to zwyczajne łamanie reguł zabawy!

W państwie nie-zabawowym konstytucja i ogólnie prawo służą do sprawiedliwego rozsądzania sporów. Zakłada się, że w społeczeństwie są różne grupy, mające odmienne interesy i że należy zbudować system reguł, który pozwoli te spory rozsądzać. Jeśli nie zawsze sprawiedliwie, to w każdym razie teoretycznie jednolicie (praktycznie – biorąc pod uwagę poglądy Marksa na funkcjonowanie prawa – wygląda to gorzej). Obecnie w Polsce w ogóle nie ma o tym mowy. Rozsądzanie sporów to jawny i jawnie stroniczy pokaz funkcjonowania państwa autorytarnego, czyli tej grupy podwórkowej, która jest aktualnie silniejsza.

Konwencja zabawy silniej określa zachowania niż osiągnięte wykształcenie: doktor prawa potrafi publicznie twierdzić i uważać za oczywiste, że ustawy krajowe dotyczące sądownictwa mają pierwszeństwo przed decyzjami Unii Europejskiej, a osoby twierdzące inaczej to anarchiści. Zasada prymatu potrzeb zabawy dotyczy również dobrych obyczajów, niekoniecznie skodyfikowanych. Na przykład tego, że tłumacza pracującego na rzecz wysokich urzędników państwowych obowiązuje tajemnica zawodowa, z której nikt nie może go zwolnić. Złamanie tej zasady może być w konkretnym przypadku korzystne dla jednej ze stron zabawy, ale przecież będzie oznaczało koniec rozmów dyplomatycznych. Podobnie, za nacisk zewnętrzny – nie uznawany w ramach polityki wstawiania z kolan – uważa się zwyczaj ustawiania flagi Unii Europejskiej podczas rządowych konferencji prasowych czy uroczystości, przed rządami PiS przestrzegany od 2004 roku.

Zmiana reguł zabawy na podwórku zdarza się często. Jest wynikiem dążenia jednej z grup do zwycięstwa i spotyka się ze sprzeciwem drugiej grupy. Właśnie zmiana reguł, zwykle „w biegu”, jest często powodem konfliktu podwórkowego. Jednostka dopiero uczy się ustanawiać reguły postępowania i współżycia, procedur demokratycznych nie uznaje, nie zna ich jeszcze, a jeśli zna, to uważa je za wytwór dorosłych, czyli obcych.

Istotne wydaje się, że wszystkie te reguły są jawne, a polskie podwórko polityczne ani się ich nie wstydi, ani ich nie ukrywa – nie ma przecież powodu wstydić się zabawy. W systemach autokratycznych politycy nie przestrzegający prawa zwykle starają się jednak ukryć ten fakt przez społeczeństwem. W czasach stalinowskich naruszeń prawa i kultury politycznej było więcej i były znacznie poważniejsze – ale skrzętnie ukrywane. Politycy tamtych czasów nie byli ludźmi podwórka, lecz zbawcami namaszczoneymi przez historię i odróżniali swoją piękną teorię od dużo mniej pięknej praktyki. Podobnie przez cały okres PRL ukrywane było łamanie uniwersalizmu norm moralnych. Po 1989 roku z ukrywania zrezygnowano, gdyż i tak opozycja natychmiast sprawę ujawniała; tu pluralizm odegrał rolę pozytywną. Za rządów Prawa i Sprawiedliwości doszło do tego, że prezentowanie całkowicie innego kodeksu moralnego na użytek własny niż w stosunku do opozycji stało się oczywistością, której nikt już się nie dziwi.

Dążenie do wygranej

Socjologowie podkreślają, że wytwory zabawy nie mają znaczenia jako obiektywne składniki kultury, lecz służą wyłącznie aktualnej zabawie. Najważniejszą cechą grupy zabawowej jest działanie, by wygrać, a nie żeby zrealizować jakiś cel zewnętrzny na rzecz całości spoza grupy. Celem uczestników zabawy jest przystosowanie swego działania do działań innych oraz identyfikacja z grupą zabawową i jej celem, a nie realizacja jakiegoś ogólnospołecznego zamysłu. Takiego celu/zamysłu nie ma. Wytwory zabawy mają dla jej uczestników wyłącznie sens aktualny, ich znaczenie dla świata poza grupą zabawową nie istnieje.

Obietnice wyborcze i mówienie po wyborach, że to tylko były obietnice wyborcze – to też element zabawy, co zostało zaprezentowane grubo przed objęciem rządów przez PiS. Uczestnicy zabawy w państwo nie operują jeszcze identyfikacją z żadną szerszą całością – na przykład ze swoim krajem i jego przyszłością. Nazwa kraju czy jakiejś wiodącej idei politycznej to określenia nadające się do wykorzystania perswazyjnego lub propagandowego, ale przecież nie do realizacji; o realizację w ogóle nie chodzi, bo zrealizowanie byłoby końcem zabawy. Stąd obecność w polityce osób przede wszystkim szkodzących krajowi jest w pełni akceptowana, jeżeli oczywiście stoją po „właściwej” stronie. Wymagania w stosunku do nich ograniczają się do przestrzegania reguł dotyczących relacji z innymi uczestnikami zabawy, bez względu na szersze otoczenie. Cały świat poza-PiS-owski: instytucje, reguły, prawo, społeczeństwo, państwo – traktowane są jako zabawki, nie posiadające głębszego, ponadgrupowego znaczenia.

Chłopcy z podwórka w ferworze zabawy nie widzą hierarchii ważności spraw publicznych. Dla nich to, że – powiedzmy – dozorca zamknął furtkę może być ważniejsze od tego, że właśnie wybuchła wojna. Stąd biorą się takie zjawiska, jak uchwalenie przez PiS-owską Krajową Radę Sądownictwa, iż sędziowie nie mogą nosić koszulek z napisem „Konstytucja”. Członkowie KRS nie widzieli śmieszności swego postępowania. Dla nich nie ma takiego podziału: sprawy, którymi KRS powinna się zajmować *versus* sprawy, którymi naczelny organ sądownictwa zajmować się nie powinien, na przykład koszulki noszone przez sędziów w czasie prywatnym. KRS jako jeden z uczestników zabawy zajmuje się po prostu całą zabawą w ramach wyznaczonej sobie roli. Niezrozumienie, czym jest i do czego zobowiązuje powaga piastowanego stanowiska, jest w elitach PiS-owskich powszechne i osiąga czasem postać skrajną, czego przykładem – obecna prezes Trybunału Konstytucyjnego. Ale w konwencji zabawy pojęcie powagi stanowiska nie ma sensu.

Dążenie do wygranej generuje też ściśle partyjną moralność. Jak wszystko co partyjne, ma także wady, między innymi tę, że powoduje nieufność. W grach podwórkowych nie ma to wielkiego znaczenia, gdyż uczestnicy zdają sobie sprawę z umowności swoich działań. Inaczej, gdy dzieje się to w polityce. Coraz częstsze są przypadki odmowy polityków uczestniczenia w spotkaniach na zaproszenie innego polityka, co wskazuje, że zjawisko nieufności zaczyna być

coraz silniejsze. Przejawy rosnącej wzajemnej nieufności są raz po raz raportowane przez badania sondażowe.

Prymat dążenia do wygranej jest widoczny również w nastawieniu na zużywanie zasobów, a nie na ich produkowanie. Przykładów ze świata polityki jest wiele. Począwszy od pozbawienia wartości wielu słów (to już trzecia taka ekipa w najnowszej historii Polski), poprzez zasoby zaufania obywateli do państwa i państwowych instytucji, czy pozycję Polski wśród państw świata, aż po zasoby autorytetu osób i instytucji. Jednocześnie politycy wykazują typowo podwórkową wiarę, że to właśnie oni są dawcami autorytetu.

Fakt, że wygrali – nie tylko wybory ale wszystkie kolejne spory o Trybunał Konstytucyjny, sądy i inne – jest dla nich dowodem, że mają rację. Ale to nie jest cecha podwórkowa. Stwierdzenie „mamy rację” wymaga odniesienia się do jakiegoś zewnętrznego zespołu kryteriów, które pozwalają o racji zdecydować, a tymczasem definicyjna grupa podwórkowa takich kryteriów nie ma. Ta sytuacja dowodzi, że pewne słabe i początkowe elementy świadomości o istnieniu całości ważniejszej niż zwycięstwo na politycznym podwórku przedostały się już do świadomości elit PiS-owskich. Innymi słowy: fakt, że rządzą, powoduje dorastanie, czyli to, co jest głównym zadaniem grup podwórkowych. Koszty społeczne dorastania niektórych obywateli w taki sposób – to już inna sprawa.

Jedność i lojalność

Przed wszystkim obowiązuje zasada, że przynależność i brak przynależności są niepodzielnymi całościami. Wykluczone są wszelkie „z jednej strony, z drugiej strony”, wszelkie próby choćby częściowej likwidacji wrogości, budowy mostów, uwzględniania zróżnicowanych racji. Gwoli sprawiedliwości trzeba zauważyć, że w realnych grupach podwórkowych taka sytuacja zdarza się chyba niezbyt często; występuje głównie w literaturze młodzieżowej. Natomiast w świecie polityki manichejska idea „my jesteśmy całością dobrą, a oni są całością złą” bryluje. Przykładem bardzo charakterystycznym są słowa krytyczne Kacpra Płażyńskiego pod adresem Pawła Adamowicza podczas niedawnej kampanii wyborczej. Płażyński zarzucał Adamowiczowi, że przypomina, iż Gdańsk nie był kiedyś miastem polskim i że nie jest to zgodne z polską racją stanu, a Adamowicz krzywdzi tych, którzy walczyli o wolną Polskę. Są „fragmenty historii, które są antypolskie” – stwierdził Płażyński. Podobnie gdy sędzia Weronika Klawonn wydała w jakiejś sprawie wyrok korzystny dla członka PiS, a później chodziła na manifestacje w obronie sądów w koszulce „Konstytucja” to ta „nieznośna niejednorodność poglądów” została przez publicystów PiS mocno skrytykowana. Świat jest dwubiegunowy – albo jesteś tu, albo tam – zawsze w całości.

Do idei całościowości zła należy też swoboda w określaniu motywacji przeciwnika. Odmawia mu się wszelkich cech dobrych, nawet honoru i przypisuje mu się zawsze najgorsze możliwe motywacje działania. Gdy Platforma Obywatelska odmówiła udziału w uroczystościach z okazji 550-lecia polskiego parlamentaryzmu, Marek Suski przekonywał, że tu nie chodzi ani

o nieuznawanie tej rocznicy przez PO, ani o niechęć do obchodzenia czegokolwiek wraz z PiS-em, ale o negację polskiego państwa i jego osiągnięć.

Prymat własnej grupy oznacza też unieważnienie jakiegokolwiek uniwersalności systemu moralnego. To unieważnienie jest jawne, oczywiste, nikt z Prawa i Sprawiedliwości go nie ukrywa. Na zarzuty o łamaniu uniwersalizmu norm moralnych politycy w ogóle nie odpowiadają. Trudno powiedzieć czy dlatego, że tego zarzutu nie rozumieją, czy z innych przyczyn.

Wizja obcego

Podczas autentycznej zabawy reguły wrogości i przyjaźni są umowne. Chodzi przecież wyłącznie o odgrywanie ról, a prawdziwa wrogość czy przyjaźń są poza zabawą. Tym samym pojęcie obcego właściwie w ogóle nie funkcjonuje, raczej mówi się o „przeciwnikach” o „tamtych”, itd. Gdy grupa zabawowa zaczyna rządzić krajem, sytuacja zmienia się, gdyż wrogość wobec grupy konkurencyjnej ulega utrwaleniu. Media i ideologia tę trwałość cementują jeszcze bardziej. Cementująca funkcja ideologii to duży temat sam w sobie. Tu chciałbym jedynie zauważyć, że wynikająca z tego więź społeczna jest znacznie słabsza niż więź wynikająca ze wspólnych interesów czy choćby tylko ze wspólnego bytowania. Świetnie ujęła to Kinga Dunin, którą cytuję w dalszym ciągu tego tekstu. Więź wyłącznie ideologiczna objawia się głównie jako więź tłumy (patrz pogromy antysemickie), a na co dzień jest pewnym scementowaniem własnej grupy PONAD rzeczywistą więzią; czyli piętérkiem bez parteru. Poza czasem pogromów wymaga bezustannego ożywiania przez czynności i wypowiedzi określane ogólnie mianem szczucia. Myślę, że wszelkie przykłady są tu niepotrzebne.

O funkcjonowaniu pojęcia „obcego” w życiu społecznym napisano już wiele w ostatnich latach. Nie zamierzam tych wywodów streszczać, tym bardziej że i w tej dziedzinie zaznaczył się podział na dwa wrogie i bezmyślnie wyostrome stanowiska. Jedno, że na terytorium Polski jest miejsce jedynie dla „prawdziwych” Polaków. Jeżeli ktoś się z tym nie zgadza, to też jest nieprawdziwy, czyli obcy, a kto nim jest – o tym decyduje przewaga polityczna. I drugie: że pojęcie „obcy” jest nieludzkie i nikt nigdy nie jest obcy niezależnie od tego, z jakimi zamiarami przybywa, skąd, dlaczego i w jakiej liczbie. Zresztą, w polemikach prasowych i telewizyjnych zwolenników obu tych podejść interesuje jedynie eksponowanie własnych założeń światopoglądowych, a nie to, co Polacy myślą na temat obcych bądź „obcych”. Ale nie jest to jedyny przykład przerostu funkcji nauczycielskiej wśród polityków i dziennikarzy.

Obcy bywa wykreowany, co szczególnie zdarza się wtedy, gdy brakuje identyfikacji z obiektem uznanym wspólnie i powszechnie – np. z własnym krajem – co niewątpliwie jest cechą osób jeszcze społecznie niedojrzałych, czyli kolegów z podwórka. Wtedy wprowadzenie podziału na swoich i obcych jest aktem o wysokiej wadze dla grupy: jest uporządkowaniem świata. „My jesteśmy policjantami, a wy – złodziejami”. „My jesteśmy z tego podwórka, a wy – z tamtego”. „My stoimy tutaj, a wy – tam gdzie ZOMO”.

Nie oznacza to, że wcześniej podziału nie było, ale że zostaje on sztucznie – znacznie wzmocniony w celach politycznych.

„Obcy” w aktualnym polskim życiu politycznym został właśnie wykreowany, a wykorzystano przy tym uzasadnione resentymenty istniejące wśród Polaków od dawna, które w okresie po 1989 roku dodatkowo się nasiliły. Polityka wewnętrzna oparta została na istnieniu tych „obcych”, stanowiących zresztą połowę społeczeństwa, a może więcej. Co ciekawe, propagandyści PiS skrzętnie unikają precyzowania, o co właściwie połowa Polski może mieć pretensje do drugiej połowy (a byłoby o czym mówić!). Wiele mówi się na przykład o „wstawaniu z kolan”, ale żaden propagandysta Prawa i Sprawiedliwości nie napisał jasno, na czym polega to klęczenie, kto je spowodował i w jaki konkretnie sposób. Zamiast tego eksponują oni prostą wrogość sugerując, iż jej uzasadnienie jest oczywiste. Czasem tylko pojawia się w argumentacji zwolenników PiS infantylne „on zaczął!”, co może nawet bywa prawdziwe, ale dalekie i od prezentacji całości konfliktu i – przede wszystkim – od dojrzałości.

Cała polityka wewnętrzna opiera się na podziale na swoich i obcych. Zarzuty opozycji wobec partii rządzącej są automatycznie, wręcz mechanicznie przekierowywane na tych, którzy je stawiają. Na przykład politycy opozycji coraz częściej mówią o *polexicie* czyli wyjściu Polski z UE jako o celu politycznym PiS. Prezydent Duda odczytał to jako element programu PO, bo „ciągle o tym mówią”. Przed wyborami samorządowymi jawnie mówiło się o tym, że zwolennicy PiS „będą mieli lepiej” – na przykład gminy, w których będzie rządził PiS będą miały większe dotacje. Ale przy okazji afery „Srebrna” PiS-owcy oskarżyli o taką postawę Platformę Obywatelską twierdząc, że nikt spoza PO nie miał szansy na uzyskanie we władzach miasta tzw. warunków zabudowy (tego dokumentu rzeczywiście odmówiono, ale z powodu nadmiernej wysokości planowanych budynków).

Nie tylko aktualna polityka wewnętrzna bazuje na tym podziale, polityka historyczna również. Polacy to zawsze ofiary, nigdy sprawcy. W Jedwabnem mordowali obcy: Niemcy, motłoch – ale nie Polacy. Nagonka 1968 roku była dziełem obcych: komunistów – nie Polaków, cały PRL – również.

Prawo i Sprawiedliwość nie wprowadziło pojęcia obcego do polskiego życia politycznego, jedynie je rozbudowało i „utoporniło”. Funkcjonuje ono od 1945 roku. Prześledzenie tej polityki obcości w okresie od 1945 roku byłoby zadaniem pasjonującym. Tu zauważymy tylko, że właśnie ta polityka jest źródłem postępującej biurokratyzacji zarządzania we wszystkich dziedzinach. Obecność obcych lub rzekomych obcych powoduje brak zaufania do kierowania opartego na wspólnocie pewnej idei – na przykład idei dobra kraju. Zaufaniem cieszą się w coraz większym stopniu bezpośrednie formy kierowania, w tym oparte o dokument, a więc – co oczywiste – o przepisy. Tak rodzą się nonsensowne przepisy biurokratyczne, które uniemożliwiają przekręt jednemu potencjalnemu przestępcy, trochę komplikują życie dziesięciu następny i hamują aktywność nie-przestępców. Nowa władza – na przykład w 1989 roku – przepisy te znosi w imię walki z biurokracją. Działa tu egocentryzm rewolucjonistów

przekonanych, że ich wygraną cieszą się wszyscy i już teraz wszyscy będą porządni, uczciwi i będą skoncentrowani wyłącznie na korzyściach dla kraju, nigdy dla siebie. Powyższy mechanizm powoduje, że stopniowo wszystkie te ograniczenia są przywracane.

Podsumowanie

Skutki polityki „dobrej zmiany” robią się stopniowo coraz bardziej opłakane. Po zachowaniach i minach czołowych działaczy PiS widać, że i oni to widzą. Zabawa prawdziwych dzieci dotyczy tylko dzieci. Zabawa dorosłych dzieci dotyczy całego społeczeństwa, co oczywiście nie jest brane pod uwagę – chyba że chodzi o zdobycie zwolenników, bo słupki popularności są częścią zabawy. Możliwe, że nasi politycy nie zdają sobie sprawy z tego, że to co dla nich jest zabawą, dla obserwatorów z zewnątrz jest cynizmem. Również pozostawiam tu na marginesie sprawę skądinąd niezwykle ważną: ta zabawa często wiąże się z ofiarami i los tych ofiar wcale nie jest zabawny.

Celem tego tekstu nie było ani wypunktowanie najbardziej szkodliwych cech aktualnego sposobu rządzenia, ani sporządzenie pełnej charakterystyki tych rządów. Poza zakresem zainteresowań pozostawiłem korzystanie z bogatych najgorszych wzorów propagandy, socjotechnikę afer, osobowościową małość, lawinę kłamstwa, całkowitą nieodpowiedzialność za słowo, a także – u niektórych polityków – infantylizm na poziomie szkoły podstawowej. Chodziło mi bowiem o zwrócenie uwagi na genezę pewnych cech najistotniejszych, określających całość i jej styl. Sprawa najważniejsza: rządzenie może być i właśnie teraz jest zabawą. Ta zabawa niekoniecznie jest źródłem radości, często jest męcząca, ale daje poczucie zadowolenia z kolejnych zwycięstw. Ubóstwo tradycji w grupie podwórkowej (co odróżnia ją od hordy pierwotnej) powoduje, że w działaniu nie ma mowy o perspektywie długofalowej, która warunkuje przetrwanie grupy. Istotne są jedynie wewnątrzgrupowe sprawy aktualne: pozycja w grupie, rywalizacja, zwycięstwa w kolejnych starciach.

Czy ja ICH bronię, pokazując PiS jako ludzi niedorosłych, a nie potworów z kłami na wierzchu? Nie. Chcę tylko pokazać, że elity PiS-u to prawdopodobnie nie są ludzie tak bardzo ogarnięci przez zło, jak sami o sobie uważają, że są ogarnięci przez dobro. Oni dorastają, choć nie wszystkim się to uda. Przekreślanie ich nic nie da, ani nie zmniejszy liczby ich zwolenników, gdyż akurat kłamstwa propagandowe mają w najwyższym gatunku. Radykalnym rozwiązaniem problemu udziału ludzi niedojrzałych w elitach władzy jest rozpoczęcie myślenia w elitach opozycji. Na razie zupełnie nie widać, żeby się na to zanosilo.

Kinga Dunin w rozprawce *Narcyz i sadzawka* napisała: „Wszędzie tylko ja i ja, brane za cały świat. Nie ma własnej nienawiści, jest tylko cudza skierowana przeciwko nam. I nie ma innych interesów niż moje, które stają się powszechnym prawem. To, co nas interesuje, jest interesujące, to, co nam sprzyja – dobre. Jedyne, czego oczekujemy od świata, to nieustanna akceptacja. Nieograniczona przestrzeń dla gadulstwa i rozpychania się. Samozainteresowanie narcyza wymaga wielkiej, zawsze życzliwej, najlepiej podporządk-

kowanej mu widowni. Kiedy narcyz spotyka innego, odczuwa ból. Serce mu pęka, jeśli ktoś czuje czy myśli inaczej i natychmiast musi się pozbyć tego obcego ciała. Oswaja je za pomocą racjonalizacji – w gruncie rzeczy myślisz tak samo jak ja, tylko o tym nie wiesz. Albo traktuje jak raka, którego trzeba natychmiast usunąć i spalić.(...) Pozbawiony jest zdolności nawiązywania prawdziwych kontaktów z odrębnymi od niego osobami. Marzy mu się wspólnota, ale jakaś idealna. (...) Nie wie jednak, czym jest prawdziwa wspólnota z innymi ludźmi, nie zapośredniczona przez symbole, lecz budowana w codziennym współdziałaniu i rozmowie. A bez takiej prawdziwej, podstawowej wspólnotowości każda następna jest tylko ideologicznym roszczeniem”.

Rozpoznajemy w tym cechy osobowości podwórkowej, jeszcze społecznie nieukształtowanej, ale prezentowane jako utrwalone i nie zmieniające się już cechy człowieka dorosłego. Jest to więc koncepcja alternatywna, opisująca to samo, inaczej jednak widzi genezę zjawiska. Istotą sprawy jest dla Dunin nie to, że Narcyz zakochał się w sobie, lecz to, że siebie nie poznał (w odbiciu w sadzawce). Narcyzm jest tu trwałą, patologiczną cechą osobowości człowieka dorosłego, choć nie dojrzałego. U mnie natomiast osobowość nastoletnia jest czymś, co może przekształcić się w dojrzałość. Dunin zakłada gotową osobowość, ja zakładam (podświadomą – ?) tendencję do uzupełniania braków socjalizacji w okresie dorosłości i nawet późnej. To, że człowiek metrykalnie dorosły może odczuwać chęć uzupełnienia swego społecznego zapóźnienia i działać w tym kierunku jest pewnym założeniem teoretycznym, którego prawdziwości tu jednak nie wykazałem.

Wszystkie działania polityków Prawa i Sprawiedliwości są uwarunkowane okolicznościami ich życiorysów – niezależnie od tego, czy przyjmujemy koncepcję Kingi Dunin czy moją, czy jeszcze inną. W żadnym stopniu nie oznacza to jednak usprawiedliwienia ich działań. Geneza zła i odpowiedzialność za zło to dwie odrębne płaszczyzny. Często współcześnie spotykamy poglądem jest utożsamienie wyjaśnienia patologii z brakiem odpowiedzialności. Stwierdzenie, że – przykładowo – przestępca wychował się w środowisku patologicznym jest wtedy równoznaczne z żądaniem znacznego obniżenia lub anulowania kary. Pogląd ten sam w sobie uważam za patologię, zakłada bowiem, że na karę zasługuje przede wszystkim ten, kto wychował się w rodzinie zdrowej i nie patologicznej, nie miał też żadnych innych powodów do popełnienia przestępstwa, a jednak je popełnił. Innymi słowy, za karalne uważa się jedynie zło niczym nie spowodowane, nie mające żadnego umocowania w kompleksach i problemach człowieka, zło *sui generis*, diabelskie. Jeśli zaś przestępstwo jest rezultatem jakichś traumatycznych przeżyć człowieka, to od razu zasługuje na dużo mniejszą albo żadną karę. Jest to fikcja psychologiczna, być może przydatna do polityki obniżenia poziomu kar (który na pewno jest zbyt wysoki i stale rośnie), ale politycznie nie do przyjęcia, gdyż konsekwentne zastosowanie go doprowadziłoby do całkowitej likwidacji kar za cokolwiek. Moim zdaniem sfera przyczyn zaburzeń zachowania i sfera odpowiedzialności za swe zachowanie nie mają punktów wspól-

nych. Inaczej prawo staje się fikcją, a kara – rezultatem nie posiadania gotówki na dobrego adwokata.

I wreszcie ostatnia sprawa: w jakim zakresie to „podwórko” należy traktować dosłownie? Do czasów Le Corbusiera rzeczywiste podwórka (pierwsze, drugie, trzecie...) były normą, szczególnie w biedniejszych dzielnicach i normą było też uczestniczenie w bandach podwórkowych. Tę urbanistykę uznano jednak za źródło patologii i przestępczości – było to łatwiejsze niż uznanie odpowiedzialności systemu społecznego. Modernizm architektoniczny zniósł podwórka, a w późniejszych etapach tego kierunku architektki (socjologowie również) dążyli do stworzenia takich kanonów urbanistycznych, by układ przestrzenny dzielnic mieszkaniowych przyczyniał się do powstawania więzi społecznej między dorosłymi mieszkańcami. Oczywiście, nie dało to żadnych efektów. O sprzyjaniu więzi społecznej między nastoletnimi mieszkańcami nie myślano, choć akurat to właśnie byłoby najbardziej potrzebne. Nie oznacza to, że młodzi ludzie zostali całkowicie pozbawieni możliwości dorastania społecznego. Szkoły, kawiarnie, imprezy uczniowskie, czy wycieczki przejęły część funkcji podwórka. Ale nie wszystkie; nie te, które wymagają względnej trwałości i dużej niezależności grupy. Niektórzy socjologowie uważają, że współczesnym odpowiednikiem podwórka są galerie handlowe. To racja, gdy mowa o powstawaniu grupy, hierarchii grupowych i norm. Gorzej –gdy chodzi o najważniejszy pożytek z przynależności do grupy podwórkowej: naukę kultury działania grupowego.

Na zakończenie uwaga jeszcze mniej optymistyczna. W postaci PiS do władzy w Polsce doszło pokolenie ludzi, którzy w młodości byli w istotnym stopniu pozbawieni tego, co kształtuje dorosłość – współdziałania z rówieśnikami. Ich obecna niedorobłość jest, moim zdaniem, zjawiskiem w znacznym stopniu dotyczącym całego pokolenia. Proces zaniku form uspołecznienia postępuje – obecnie wśród młodzieży samotny sposób spędzania wolnego czasu jest już dominujący. A jeżeli nie samotny – to z niezwykle ograniczonymi interakcjami. Tu przypomnę rysunek satyryka, którego nazwiska nie pamiętam: noc poślubna, on i ona leżą rozebrani w łóżku i każde z nich na swoim laptopie ogląda pornografię.

Możliwe, że z następnymi ekipami – bez względu na to, czy będzie to PiS czy inna partia – będziemy mieli te same problemy w coraz wyższym stopniu. W każdym razie nie widzę żadnego koniecznego związku między hasłami wznoszonymi przez tę ekipę a ich stylem rządzenia.

Marek Tabin

Wykorzystałem następujące prace:

Florian Znaniecki, *Socjologia wychowania*, tom I i II, PWN, 1973 oraz: *Ludzie terażniejsi a cywilizacja przyszłości*, Warszawa, 1974.

Kinga Dunin, *Narcyz i sadzawka*, w: „Res Publica” 2002.

Johan Huizinga. *Homo ludens. Zabawa jako źródło kultury*. Czytelnik 1998.

BOGDAN GALWAS

EDUKACJA I NAUKA: PROBLEMY I KONIECZNOŚCI

Wprowadzenie

O edukacji powiedziano chyba wszystko lub prawie wszystko. A jednak ciągle wracamy do tego tematu. Powodów jest wiele, ale dwa z nich są chyba najważniejsze. Pierwszy to waga problemu. Współczesny świat istnieje w kształcie nadanym przez systemy edukacyjne. Bardzo dużo, a może nawet prawie wszystko zależy od tego, jak wykształcimy kolejne generacje młodych ludzi. Jest o czym mówić. Powód drugi – to ogromne tempo zmian warunków życia ludzi/społeczeństw, wywołane postępowaniem nauki i technologii. Rośnie liczba problemów związanych z coraz gorszym stanem ekosfery naszej planety, znaczna część społeczeństw nie radzi sobie z przystosowaniem do zmieniających się warunków życia, destabilizacja polityczna tylko na krótko wyprzedza zapaść gospodarczą dotykającą całe obszary naszego globu. Wielu z nas zauważa, że lista nierozwiązanych problemów jest coraz dłuższa, a ich waga rośnie. Łatwo też zauważyć, że ludzkość dysponuje – jak nigdy przedtem – potężnymi narzędziami produkcji, że wykształciliśmy miliony specjalistów, analityków i polityków. A jednak stworzyliśmy między państwami taki system relacji politycznych i gospodarczych, w którym nie jesteśmy w stanie zaproponować i uzgodnić warunków światowego ładu, który by odsunął na zawsze groźbę wojny i samozagłady oraz pozwolił gatunkowi *homo sapiens* żyć godnie i bezpiecznie.

Mimo że jest o czym mówić, to nie chcę w moich rozważaniach posunąć się za daleko. Po uwagach wprowadzających odniosę się w trzech punktach do stanu systemów kształcenia: w Afryce, na naszym glo-

bie i w Polsce. Na pytanie, dlaczego w Afryce mogę odpowiedzieć: to duży kontynent.

Jak i dokąd zaprowadziła nas edukacja

Przyjęto w Europie, że pierwszym uniwersytetem był utworzony w 1088 roku Uniwersytet w Bolonii. Wkrótce po nim ustanowiono uniwersytety w Paryżu i Oksfordzie. Tak rozpoczęła się era europejskich uniwersytetów, które miały zmieniać oblicze cywilizacji. Nasz uniwersytet w Krakowie, zwany obecnie Jagiellońskim, utworzył Kazimierz Wielki w 1364 jako bodajże dwudziesty pierwszy. Oszacowano, że przez pierwsze trzy wieki uniwersytety europejskie ukończyło około 300 000 absolwentów. To dzięki nim Europa przeszła z mroków średniowiecza do renesansu.

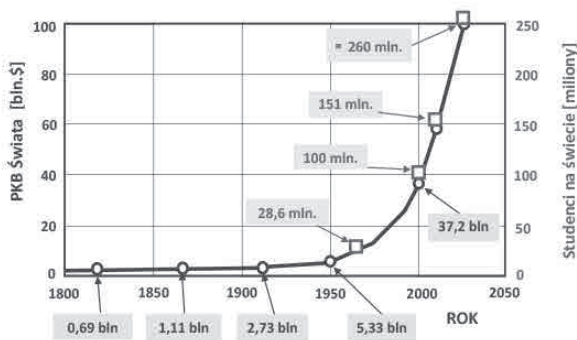
Ważną datą w historii rozwoju uniwersytetów był rok 1810, w którym Wilhelm von Humboldt otworzył w Berlinie (wtedy Prusy) *Universität zu Berlin*. Uniwersytet w Berlinie harmonijnie łączył przekazywanie wiedzy w procesie kształcenia ze swobodnym rozwojem nauki, wdrażał swoich studentów do prac badawczych, kształtował ich osobowość. Finansowany stabilnie przez budżet państwa stał się niezależnym i samodzielnym centrum badań i odkryć naukowych. Stworzony przez braci Humboldtów model (obok Wilhelma pracował nad nim także Alexander) został przejęty przez uniwersytety europejskie i amerykańskie, a on sam zyskał miano „matki nowoczesnych uniwersytetów”.

Współczesne systemy kształcenia w rozwiniętych krajach to twory organizacyjnie bardzo rozbudowane i kosztowne, dysponujące wielkim majątkiem i ogrom-

nym budżetem, zatrudniające znaczącą część społeczeństwa. Działanie tych systemów oparte jest o złożone uregulowania prawne, wypracowane mechanizmy kształcenia i awansowania kadry na własne potrzeby. Tylko dwa inne systemy utworzone przez społeczeństwa rozwiniętych krajów mogą się z nim równać wagą, złożonością i kosztownością: system ochrony zdrowia i armia. Jednak najważniejszym z nich jest system edukacyjny, gdyż bez niego nie sposób zorganizować na właściwym poziomie dwóch pozostałych.

Użyłem wyżej terminu „rozwinęte kraje” bez intencji dyskusowania o znaczeniu terminu „rozwinęty”. „Krajem rozwiniętym” zwykle nazywamy państwo z rozwiniętą gospodarką, w którym produkt PKB na głowę ludności jest większy niż – umownie – 25 000 dolarów. Kika krajów przekroczyło tę granicę, gdyż dysponuje znacznymi, eksploatowanymi zasobami ropy i gazu (Arabia Saudyjska, Katar, Dubaj). Jeśli w tym momencie pominąć je, to bez trudu można wykazać, że kraje rozwiniętych gospodarek mają wysoko rozwinięte systemy edukacyjne. Trzeba pójść krok dalej: nie można rozwinąć gospodarki bez należytego wykształcenia społeczeństwa, rozwój systemu edukacji wyprzedza rozwój gospodarki. Aby poprzeć to oczywiste dla wielu twierdzenie przedstawiono na rys.1 dane liczbowe PKB światowego produktu brutto liczone w bilionach dolarów, w okresie ponad 200 lat. Dane te tworzą dobrze znany wykres obrazujący w przybliżeniu wykładniczy charakter wzrostu. Na tle wykresu pokazano liczby studentów na świecie liczone w milionach.

W ostatnich kilku dekadach liczba studentów na świecie podwajała się mniej więcej co 18 lat. Charakter zmian obu przedstawionych wielkości wskazuje na ich ścisłą zależność. Oczywiście uniwersytety nie biorą bezpośredniego udziału we wzroście PKB, przeciwnie, są istotnym składnikiem kosztów utrzymania systemu kształcenia. Jednakże tylko ludzie wykształceni mogli utworzyć sieć kolejową, energetyczną i telekomunikacyjną, uruchomić wydajny przemysł, wprowadzić zasady prawa, stworzyć system podatkowy.



Rys.1. Porównanie krzywych wzrostu PKB światowego produktu brutto w ostatnich 200 latach (dane liczbowe, w dolarach roku 1990) ze wzrostem liczby studentów w ostatnich dekadach.

Przytoczono dane o uniwersytetach, gdyż są one ostatnim i najważniejszym stopniem trójpłaszczyznowego systemu kształcenia, po szkolnictwie podstawowym i średnim. Europa podzieliła proces kształcenia na trzy etapy: poziom podstawowy – pierwszy, poziom

średni – drugi (czasami dwustopniowy) i poziom wyższy – trzeci. W modelu tym wykorzystuje się 15...18 lat życia młodego człowieka na doprowadzenie go do stopnia naukowego dobrego uniwersytetu. Dobrze przygotowani nauczyciele w dobrze zaprojektowanych i wyposażonych szkołach i uczelniach przygotowują do życia i pracy wykształconych specjalistów. Wielu z nich w krótkim czasie może wnieść swój mały wkład w rozwój nauki podnosząc zastany poziom wiedzy. Inni są w stanie poprowadzić ważne przedsięwzięcia organizacyjne, inwestycyjne, handlowe. Jeszcze inni tworzą jako pisarze, malarze, aktorzy dzieła wzbogacające sztukę i kulturę. W wielu krajach wartościowymi zasobami, często jedynymi, są wykształcone społeczeństwa i systemy kształcenia oparte o doskonale przygotowane kadry nauczycieli od przedszkola do uniwersytetu. Przykładem są kraje skandynawskie.

Uniwersytet europejski stał się i jest nadal ośrodkiem tworzenia nowych teorii i idei, formułowania odpowiedzi i rozwiązań problemów, przed którymi stanęły społeczeństwa. Jeśli nawet rozwiązania powstawały poza uniwersytetem, to tworzyli je ludzie, których wiedza, fundament zasad etycznych i sposób myślenia ukształtowały uniwersytety. Uniwersytety zaproponowane i rozwinięte przez Europę były i pozostają jedną z najwspanialszych instytucji naszej cywilizacji.

O rozwoju nauki i technologii

Obliczono, że w latach 1960-80 uczelnie wyższe wykształciły na świecie około 150 milionów specjalistów, w dwudziestolecie 1980-2000 kolejnych 300 milionów. To właśnie ta armia, dwie generacje wykształconych ludzi, wyposażonych w nowoczesną aparaturę badawczą i obliczeniową, dokonała rewolucji technologicznej ostatnich dekad. Trzystopniowy model kształcenia zaowocował ogromnym i w pewnym stopniu nieoczekiwanym przyspieszeniem rozwoju nauki i technologii. Owocem tego rozwoju jest dokonująca się na naszych oczach zmiana kształtu i mechanizmów naszej cywilizacji. Zdumiewająco wygłaszane współcześnie nawoływania „więcej innowacyjności”. Innowacyjności mamy wystarczająco dużo, postarajmy się nie pogubić i zachować rozsądek. Prawdę mówiąc, nie do końca wiemy, dokąd zmierzamy.

Powinniśmy zdawać sobie sprawę, że podstawą postępu ostatnich dekad jest rozwój technik przetwarzania informacji. Rozumiemy pod tym techniki rejestracji informacji, jej przechowywania, analizy oraz transmisji. Cyfryzacja jest tutaj tylko prostym narzędziem. Ogromne postępy odnotowała technologia układów scalonych, procesorów i pamięci. W obsługiwanych ręcznie smartfonie umieszczamy ogromną pamięć i bardzo szybki komputer. Szybkość transmisji informacji/bitów łączem światłowodowym jest niewyobrażalnie duża. Na bazie tej techniki rozwijamy wszystko: internet, automatyczne linie produkcyjne, samochody bez kierowcy, systemy samokształcenia, monitorowanie stanu zdrowia itd..

Dokonany postęp nie jest sumą – jak się często sądzi – innowacyjnych pomysłów, genialnych wynalazków, ale rezultatem mrówczej pracy tysięcy laboratoriów i pracowni naukowych, zasilanych specjalistami doskonale wykształconymi na świetnie wyposażonych uniwersytetach. Ogromnie wzrósł potencjał badawczy

zarówno uniwersytetów, jak i w szczególności wielkich korporacji przemysłów: telekomunikacyjnego, lotniczego, kosmicznego, farmaceutycznego, zbrojeniowego, samochodowego, oprzyrządowania medycznego i innych. Liczba specjalistów pracujących w obszarze R&D liczona jest w dziesiątkach milionów. Skutki dokonane go postępu technologicznego są – w wymiarze globalnym – wysoce pozytywne i dla wszystkich widoczne. Wymieńmy kilka z nich.

- Ogromny postęp nauk medycznych owocuje wygaszeniem źródeł wielu epidemii i istotnym wzrostem długości życia.

- Poszerzyła się wiedza o produkcji i przetwarzaniu żywności, co pozwoliło zredukować obszary i rozmiary klęsk głodu.

- Ogromnie wzrósł potencjał produkcyjny ludzkości, mierzony nie tylko tonami wyprodukowanych metali i gigawatami mocy elektrowni, ale zautomatyzowanymi liniami produkcyjnymi samochodów, statków i samolotów.

- Znacznie rozwinęły się możliwości przemieszczania się zarówno ludzi, jak i towarów. Udoskonalono technicznie i istotnie zwiększono potencjały transportu lotniczego, kolejowego, morskiego i samochodowego.

W bieżącym dwudziestoleciu (2000-2020) uczelnie opuści kolejnych 450 milionów wykształconych, pełnych dynamizmu młodych ludzi, zatem tempo zmian wzrosło. A jednak z kilku ważnych powodów należy poczekać z nastrojem optymizmu i radosnego oczekiwania na kolejne sukcesy nauki, które poprzedzą wzrost globalnego PKB. Wymienić tu można najważniejsze trzy procesy, które towarzyszą rozwojowi w ostatnich dekadach.¹

- Przyspieszonemu wzrostowi globalnego PKB towarzyszy przyspieszona degradacja biosfery, znikanie gatunków, pustoszczenie dużych obszarów. Wywołane działalnością człowieka zmiany klimatyczne wpływają już teraz negatywnie na warunki życia ludzi w wielu miejscach naszej planety.

- Rozwój technologii zmienia radykalnie rynek pracy i zaburza stabilność społeczeństw. Zanikają zawody, znacząca liczba ludzi nie jest pewna jutra, bo nie jest pewna pracy.

- Postępuje zróżnicowanie dochodowe, związane z dominującym anglosaskim modelem ekonomicznym kapitalizmu, pogłębiane niedorozwojem systemów edukacyjnych. Towarzyszą mu: destabilizacja polityczna, terroryzm, migracje milionów ludzi i katastrofy humanitarne.

O dominującym obecnie modelu kapitalizmu powiedziano wiele krytycznych uwag. Mniej uwagi poświęcono niedorozwojowi systemów kształcenia.

Droga rozwoju Afryki prowadzi przez edukację

Pogłębianie zróżnicowania poziomów życia obserwowane jest także między krajami, a nawet między kontynentami. Zróżnicowanie Europa – Afryka jest tym sztandarowym przykładem. Postępujące zróżnicowanie ma dwa główne wymiary.

Nieprzerwanie rosną nierówności w stanie posiadania, uzyskiwanych dochodach i poziomie życia ludzi wewnątrz społeczeństw i między krajami. Kolejne ra-

porty OXFAM² informują nas, że ośmiu najbogatszych mieszkańców naszego globu posiada w sumie majątek taki, jaki ma biedniejsza połowa, czyli 3,7 miliarda ludzi. Wydaje się, że granica absurdu została wielokrotnie przekroczona. W wielu publikacjach wykazano, że jest to jeden ze skutków działania współczesnej globalnej gospodarki z wmontowanymi mechanizmami wolnorynkowej walki o pieniądze i zysk, bez zwracania uwagi na towarzyszące temu działaniu negatywne skutki. Ich lista jest długa. Postępuje wzrost napięć i często w konsekwencji destabilizacja państw i społeczeństw w wielu krajach, w całych regionach (Bliski Wschód), a nawet w skali kontynentów (Afryka). Można było oczekiwać, że państwa Afryki z granicami wyznaczonymi sztucznie przy podziałach terytoriów między państwa kolonialne, bez uwzględniania więzów plemiennych, kulturowych i religijnych, staną się nieustającym źródłem konfliktów i wojen. Tak się też stało. W warunkach cywilizacyjnego zacofania, ogromnego społecznego rozwarstwienia, klęsk nieurodzaju i głodu, rejestrujemy wybuchy konfliktów plemiennych i religijnych, wojen domowych, ekspansję terroryzmu, upadek administracji państwowych (państwa upadłe) i katastrofy humanitarne o rozmiarach od dawna nie notowanych.

Drugi wymiar to zróżnicowanie poziomów wykształcenia społeczeństw. Jego skutkiem jest ogromne zróżnicowanie produktywności gospodarek, poziomów PKB *per capita* i dochodów ludności, stopień organizacji i uporządkowania warunków życia społeczeństw. Jest oczywiste, że zróżnicowanie wykształcenia społeczeństw utrwała, a nawet pogłębia zróżnicowanie dochodów. Pułapka biedy wydaje się bez wyjścia.³

Jak opisano wyżej, systemy edukacyjne w grupie krajów rozwiniętych zostały zbudowane wielkim nakładem kosztów i pracy. Co więcej, praktyka ostatnich dekad pokazała, że utrzymanie wysokiego poziomu umiejętności wymaga ustawicznego dokształcania, zgodnie z zasadami *Life-Long-Learning*, „kształcenia przez całe życie”. Do zbudowanych trójpoziomowych systemów kształcenia dodano nowe narzędzia: studia dyplomowe, kursy MOOCs online, otwarte zasoby edukacyjne, konferencje, czasopisma i warsztaty naukowe, i wiele innych.

Systemy edukacyjne krajów rozwijających się pozostają za nimi daleko w tyle. Nie wchodząc w obszar szczegółowych porównań można stwierdzić, że w wielu krajach Afryki znacząca część dzieci nie jest objęta obowiązkiem szkolnym, znacząca część porzuca szkołę nie uzyskując wykształcenia podstawowego.⁴ Wiedza maturzystów szkół afrykańskich odstaje bardzo od wiedzy maturzystów europejskich, a budżety nielicznych uniwersytetów nie pozwalają prowadzić badań naukowych i kształcenie kadry akademickiej na odpowiednim poziomie. Co pewien czas publikowane są uspokajające raporty, pokazujące, że maleje liczba ludzi nie umiejących czytać i pisać. To prawda, ale po-

¹ B. Galwas, *Edukacja w przyszłości i przyszłość edukacji*, EDU@ KCJA. Magazyn Edukacji Elektronicznej Nr. 1/2010.

² „Reward Work, Not Wealth”, OXFAM BRIEFING PAPER – January 2018

³ K. Nawrot, *Kształtowanie się nierówności społeczno-ekonomicznych w gospodarce światowej początku XXI wieku*, rozdział w *Zróżnicowanie dochodowe i społeczne Europy*, Komitet Prognoz PAN, Warszawa, 2017.

⁴ *Education at a Glance 2018: OECD Indicators*, OECD Publishing, Paris.

wszechna alfabetyzacja była istotną wartością społeczeństw na progu XX, a nie XXI wieku.

Brak wykształconych obywateli skutkuje tym, że większość państw Afryki nie może osiągnąć właściwego czasom współczesnym poziomu organizacji administracji państwowej, systemu prawnego i podatkowego, elementarnie sprawnej służby zdrowia, czy też opisanego systemu edukacyjnego. Ustrój polityczny ma zwykle formę mniej lub bardziej zakamufłowanej dyktatury. W krajach z niewykształconym społeczeństwem nie lokuje się zakładów przemysłu wysokiej technologii. Tam gdzie są bogactwa naturalne, lokowane są kopalnie i przemysł włókienniczy wykorzystujące niewykwalifikowanych miejscowych pracowników. Porty lotnicze i morskie, stacje radiowe i telewizyjne obsługiwane są przez zagranicznych specjalistów. Niedorozwój edukacyjny, instytucjonalny i gospodarczy tworzą współcześnie pułapkę bez wyjścia.

Miliony mieszkańców państw, które kiedyś nazywano „Trzecim Światem”, a teraz państwami rozwijającymi się zdają sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Warunki życia i perspektywy na przyszłość skłaniają setki tysięcy ludzi do porzucenia stron rodzinnych i wędrowni w nieznaną, do krajów rozwiniętych gospodarek i wysokiej stopy życiowej. Wielu z nich dostrzega migrację do Europy jako jedyne wyjście. Druga dekada XXI wieku stoi pod znakiem nasilających się procesów migracji ludności na milionową skalę z Afryki i Bliskiego Wschodu do Europy oraz z krajów Ameryki Południowej i Meksyku do USA i Kanady. Jak wykazują doświadczenia wielu krajów (np. USA, Francja, Kanada) niewielki napływ ludności z zewnątrz – jeśli właściwie działają procesy adaptacyjne – nie powoduje zaburzeń. Jeśli poziom migracji rośnie, pojawiają się konflikty społeczne i polityczne aż do zaburzenia systemu politycznego państwa włącznie. Obserwujemy właśnie taką sytuację w kilku krajach Unii Europejskiej.

USA także w tym przypadku pierwsze, oraz kraje Unii Europejskiej z opóźnieniem i ociąganiem dostrzegają konieczność wzmocnienia ochrony i szczelności granic. Budowane są solidne mury i płoty nie tylko z drutu kolczastego, z intencją spowolnienia tempa napływu migrantów. Uszczelniając swoje granice unikamy tworzenia wewnętrznych problemów związanych z przybyciem setek tysięcy niewykształconych i bezradnych ludzi. Jednakże nie rozwiązujemy tą drogą żadnego z ich problemów, odwracamy i odgradzamy się od nich pozostawiając ich własnemu losowi. Wielu z nas uznaje takie postępowanie nieetycznym i niemoralnym, wręcz nieludzkim. Jest oczywiste, że nie można setek milionów mieszkańców Afryki przenieść do Europy. Unia Europejska jest solidnym, dobrze płynącym statkiem, ale przeładowana może zatonać.

Jak znaleźć rozwiązanie i wyjście z pułapki niedorozwoju? Rozwiązaniem było i jest nadal podniesienie poziomu wykształcenia społeczeństw tych krajów. W imię solidarności ludzkiej, a także w trosce o własne bezpieczeństwo należy pomóc krajom rozwijającym się – Afryce w szczególności – w stworzeniu systemów kształcenia, w wyprowadzeniu ich społeczeństw na drogę rozwoju. W naszym, europejskim rozumieniu krajowy system edukacyjny to sieć specjalnie zbudowanych i wyposażonych budynków szkolnych, kadra wykształconych i godziwie opłacanych nauczycieli,

sieć szkół zawodowych i technicznych, wreszcie sieć uniwersytetów kształcących prawników, lekarzy, inżynierów i pedagogów. Utworzenie takich systemów w krajach rozwijających się zajmie ćwierć wieku i pochłonie setki miliardów euro. Nasza euro-atlantycka cywilizacja, przypomnijmy – wydająca rocznie setki miliardów euro na zbrojenia, jest w stanie sprostować takiemu zadaniu. Nasze uniwersytety mogą utworzyć ścieżki kształcenia specjalistów, lekarzy, pedagogów, którzy podejmą zadania edukacyjne w swoich krajach, być może trzeba będzie opłacać jakiś czas ich etaty, drukować podręczniki, pomagać tworzyć platformy internetowe. Pamiętam program „Tysiąc szkół na tysiąclecie” – wybudowaliśmy wtedy w bardzo niezamożnej Polsce około 1300 szkół. Teraz z gospodarką znacznie bardziej rozwiniętą jesteśmy w stanie zbudować 300 szkół w Sudanie Południowym w ciągu 10 lat i wykształcić dla nich nauczycieli. Może pójdziemy tą drogą?

Należy w tym miejscu odnotować, że w ostatnich dekadach liczba studentów studiujących poza granicami swego kraju rośnie i obecnie sięga 10 milionów. Znaczna liczba studentów z Azji, mniejsza z Ameryki Południowej i Afryki studiuje na uniwersytetach Europy, USA, Australii i Kanady. To dużo i specjaliści wracając do macierzystych krajów z pewnością wnoszą pozytywny wkład w ich rozwój. Ale nasze uniwersytety przyjmują zagranicznych studentów ze względów komercyjnych. Miejsce studiowania jest dobrze sprzedającym się towarem. Nie ulega wątpliwości, że wolny rynek miejsc studiowania nie rozwiąże problemu wyjścia wielu krajów z pułapki niedorozwoju. Ów program musi być finansowany z funduszy krajów rozwiniętych.

W konkluzji tego punktu należy stwierdzić, że pilnym zadaniem krajów rozwiniętych jest uruchomienie programów pomocy krajom rozwijającym się, prowadzących do utworzenia i wyposażenia systemów edukacyjnych, które umożliwią wyprowadzenie ich z pułapki niedorozwoju. Uruchomienie i realizacja takich programów jest koniecznością, jeśli chcemy stworzyć ład światowy wolny od terroru, przemocy i wojen. Naszą gotowość do wysyłania im broni i żołnierzy należy zastąpić gotowością kształcenia ich nauczycieli i wyposażania ich szkół i uniwersytetów.

Globalny wymiar edukacji

O postępującej globalizacji powiedziano i napisano wiele, znamy jej dobre i złe strony. Globalizacja systemów edukacyjnych jest ważnym składnikiem postępujących procesów. Mówiąc o globalnym wymiarze edukacji należy odnotować, że europejski, trójstopniowy model kształcenia wprowadzony został powszechnie na całym świecie: 12 lat kształcenia na poziomach 1 + 2 zakończone maturą, 3.5 lat na poziomie 3 zakończone dyplomem szkoły wyższej/universytetu. Aby umożliwić studiowanie na różnych uniwersytetach w różnych krajach usiłuje się ujednolicić wymagania egzaminacyjne maturalne i – jeśli to możliwe choćby w małym stopniu – programy studiów pierwszych semestrów. Ze względów oczywistych ścieżki kształcenia uniwersyteckiego są zróżnicowane, jedni wspinają się na pagórek, inni na stromą górę.

Wiemy, że okres studiów odgrywa ogromną rolę w życiu człowieka, w znacznym stopniu determinuje jego drogę zawodową i rozumienie otaczającego

świata. Aby lepiej poznać i wiedzę, i świat cenimy możliwość studiowania kolejno na kilku uniwersytetach. W Europie często studium zdobywają kolejne dyplomy na dwóch uniwersytetach, a bywa, że doktorat na trzecim. Uruchomienie studiów na odległość z wykorzystaniem internetu umożliwia komponowanie programu studiów z przedmiotów na kilku uniwersytetach jednocześnie⁵.

Bardzo ważnym składnikiem tworzonego globalnego systemu edukacji jest rosnąca liczebnie sieć corocznych, międzynarodowych konferencji i warsztatów naukowych. Konferencje tworzą forum wymiany doświadczeń, idei i poglądów. W konsekwencji ułatwiają podejmowania wspólnych przedsięwzięć badawczych i edukacyjnych.

Uniwersytety wraz z wydawnictwami czasopism i książek naukowych utworzyły w ostatnich dekadach globalną w swym zasięgu i z otwartym dostępem, elektroniczną bibliotekę publikacji książkowych, artykułów naukowych, nagrań wykładów i materiałów dydaktycznych. Biblioteka ta gromadzi już teraz ogromne zasoby wiedzy w postaci rozproszonych zbiorów. Korzystają z niej także ludzie, którzy posiadli umiejętności samokształcenia i poszukują wiedzy na określony temat bez certyfikatu.

Przetwarzanie oraz dalszy rozwój i los naszej cywilizacji jest w istotnym stopniu zależny, choć nie bezpośrednio, od pracy uniwersytetów. Współczesne uniwersytety kształcą specjalistów o kwalifikacjach, których poziom określa stan państwa: produktywność przemysłu i punktualność pociągów, sprawność urzędów państwa i poziom korupcji, jakość prawa i systemu sądownictwa. Wiedza zdobyta przez przyszłych polityków na uniwersytetach określa po latach poziom debat parlamentarnych, jakość przyjmowanych ustaw i sposób prowadzenia polityki zagranicznej. Uniwersytety muszą rozwinąć i wprowadzić do świadomości studiujących w większym niż do tej pory stopniu idee wspólnej odpowiedzialności za stan ludzkości i zamieszkałej przez nas planety. Pilnie potrzebna jest nowa formuła „patriotyzmu planetarnego”, wskazująca ludzkości konieczność zaniechania wyniszczających konfliktów i wojen, i skupienia się nad ochroną naszego wspólnego domu, jakim jest Ziemia. Tylko uniwersytety są w stanie przygotować młode generacje do sprostania wyzwaniom, które sami stwarzamy. T.Varis i M.P.Tornero sformułowali wezwanie pod adresem uniwersytetów o nowy humanizm, który pozwoli podtrzymać naszą cywilizację⁶.

Europa ma w tym obszarze działań specjalną rolę⁷. To w Europie zbudowano model współczesnej cywilizacji opartej o edukację, naukę i technikę. Tworząc unikalny w skali dziejów świata twór, jakim jest Unia Europejska, udowodniła swoją skuteczność nie tylko jako twórca idei, ale jako twórca kontynentalnego ładu politycznego i gospodarczego. Uniwersytety w USA, znakomite swym poziomem, mogą nam w tym oczywiście pomóc. Jednakże USA swoim postępowaniem w ostatnich dekadach (Wietnam, Irak, Syria, Afganistan,

Ameryka Płd., itp.) utraciły zaufanie całych kontynentów. Poczuciu respektu do siły gospodarki i armii USA nie towarzyszy w tym przypadku zaufanie do intencji.

Edukacja a sprawa polska

Powyższy, pretensjonalny nieco tytuł jest zapowiedzią tezy, którą spróbuję tutaj przedstawić: ciągle opóźniony w rozwoju system edukacji, w konsekwencji niska jakość wykształcenia Polaków jest naszą słabą stroną, być może to właśnie jest nasza pięta Achillesa. W Rzeczypospolitej Dwojga Narodów pracowały trzy uniwersytety/akademie: Jagielloński w Krakowie, Batorego w Wilnie i Jana Kazimierza we Lwowie. Bez intencji szukania winnych i dotknięcia kogokolwiek można stwierdzić, że w dobie Oświecenia uniwersytety nasze nie wniosły wiele do zasobów myśli europejskiej. W obszarach nauk ścisłych – matematyki i fizyki – na uniwersytetach tych nie pojawia się w drugiej połowie XVIII i w XIX wieku żadne nazwisko uczonego, który by wniósł znaczący wkład do badań i przemysłów⁸. Z nauki fizyki wiemy, że wiele jednostek wielkości fizycznych nazwano nazwiskami uczonych: prądu – Amper, napięcia – Volt, mocy – Wat, siły – Newton, itd.. Otóż w tym liczonym gronie nie ma polskiego nazwiska. Podobnie nie powstała w tym czasie żadna polska szkoła naukowa w obszarze matematyki⁹, medycyny, czy filozofii.

W 1816 roku utworzono w Królestwie Polskim Królewski Uniwersytet Warszawski. Po powstaniu listopadowym wstrzymano rekrutację w 1831 roku. Likwidacja Uniwersytetu Warszawskiego była jednym z najbardziej bolesnych dla Polaków skutków powstania listopadowego. Po 40 latach, w 1870 roku otwarto Cesarski Uniwersytet Warszawski z wykładowym językiem rosyjskim.

Państwa Europy rozbudowywały w drugiej połowie XVIII i w XIX wieku intensywnie swoje systemy edukacyjne, postępował proces alfabetyzacji społeczeństw, wprowadzano obowiązek szkolny dla wszystkich dzieci, na uniwersytetach rosły szkoły naukowe: matematyki, fizyki, medycyny, prawa i filozofii. Równoległy wzrost potencjału gospodarczego, doskonalili się prawo i administracja państw.

Po wieku pary przyszedł czas na wiek elektryczności. My Polacy nie byliśmy w głównym nurcie zmian, choć także na naszych ziemiach pojawił się przemysł: fabryka Cegielskiego w Poznaniu, przemysł włókienniczy w Łodzi i Bielsku Białej, górnictwo w Zagłębiu i na Śląsku. W listopadzie 1918 roku z wielkim entuzjazmem podjęli Polacy pracę nad budową swego państwa. Brak wykształconych ludzi bardzo utrudnił i opóźnił jego organizację. Po latach łatwo dostrzec naszą nieudolność zorganizowania wielonarodowego i wielowyznaniowego państwa. W końcu tego okresu tworzymy niesprawną dyktaturę kolegów z wojska, miejsce wykształconych fachowców zajmują wojskowi.

Wielki wpływ na los Polaków w XIX wieku miały tragiczne w skutkach powstania zbrojne: listopadowe (1830) i styczniowe (1863). Ludzie, którzy je wywołali, zmierzali do zupełnie innych celów niż w końcu osiągnięto. Okazało się, że decyzje o akcji zbrojnej były podejmowane

5 Przykładem takiego rozwiązania jest Virtuelle Hochschule Bayern (vvhb) - <https://www.vhb.org/vhb/>

6 T. Varis, M. P. Tornero, *Media Literacy and New Humanism*, UNESCO Institute for Information Technologies in Education, ISBN 978-5-9051-05-3, Moscow, 2010.

7 R. Miller *Transforming the Future. Anticipation in the 21st Century*, Taylor & Francis, <http://taylorandfrancis.com>.

8 J. Z. Buchwald & R. Fox, *The Oxford handbook of the history of physics*, Oxford University Press 2013.

9 D. M. Burton, *The History of Mathematics. An Introduction*, University of New Hampshire, 7th edition, 2011 by The McGraw-Hill.

w oparciu o błędne przesłanki, bez zrozumienia realiów i uwarunkowań otaczającego świata. Podjęli je ludzie dobrej wiary, czy znaczy to, że byli źle wykształceni, nierozumni? W rezultacie społeczeństwo polskie poniosło w obu przypadkach ogromne koszty i straty.

Po powstaniu listopadowym Polacy rozwijają nurt myślenia filozoficzno-religijno-literacki, zwany mesjanizmem. Cierpienia narodu polskiego rzucamy na szalę zbawienia ludzkości. Założenia i konkluzje tego nurtu można nazwać całkowicie irracjonalnymi. Nurt myślenia o Polsce i polityce, mniej czy bardziej oddalony od logiki i realizmu przyjmuje następnie różne formy. Okazuje się, że jest on obecny nad Wisłą cały czas, a teraz stał się znowu dominującym.

Dramaturgia II wojny światowej jest znana i opisana. Dwukrotnie powtarzamy błędy XIX wieku. Zapada tragiczna decyzja o powstaniu warszawskim (1944) oraz decyzje władz niektórych oddziałów zorganizowanego podziemia o kontynuacji walki po zakończeniu wojny w 1945 roku (tzw. „żołnierze wyklęci”). Skutki obu decyzji są dalekie od celów zamierzonych; poniesione przez nasze społeczeństwo ofiary są ogromne i tragiczne! Czy podejmując decyzje opierali się na racjonalnych przesłankach, czy byli ludźmi rozumnymi, jaką logiką posługiwali się uznając, że muszą zrobić to, co zrobili? Czy postanowili popełnić zbiorowe samobójstwo, nie pytając o zdanie tych, którzy potem zginęli?

Okres PRL był czasem trudnej, ciężkiej i owocnej pracy całego społeczeństwa w niesprzyjających warunkach powojennej przejmującej biedy, następnie „zimnej wojny”, wyścigu zbrojeń i „żelaznej kurtyny”. To ludzie PRL odbudowali Warszawę, Wrocław i Gdańsk, zlikwidowali analfabetyzm, zbudowali i uruchomili system edukacyjny (1000 szkół na Tysiąclecie!), zbudowali prawie od zera system energetyczny kraju i przemysł stoczniowy. Teraz w propagandzie czas PRL-u przedstawiany jest przez pryzmat represji „żołnierzy wyklętych” i ulicznych walk władzy z wygłodzonym społeczeństwem.

Od zakończenia II wojny światowej upłyne wkrótce 70 lat i oto pojawia się oficjalna, państwowa wręcz wykładnia o wymienionych wyżej czterech akcjach zbrojnych jako o wzorcach czynu patriotycznego, godnej naśladowania ofiary złożonej Ojczyźnie. Jak ocenić stan umysłu ludzi, którzy uznali, że edukację dzieci i młodzieży należy oprzeć na tej wykładni? Jeśli ludzie, którzy przedstawiają nam i młodzieży taki obraz, mają dobrą wolę, oznacza to, że są głupcami. Dostrzegam w tym kontynuację nadwiślańskiego, irracjonalnego myślenia, nafaszerowanego kompleksami i fałszywą dumą. Rzecz nie tylko w tym, że w rozwoju gospodarczym jesteśmy opóźnieni w stosunku do krajów Zachodu, jesteśmy opóźnieni w myśleniu o zmieniającym się świecie, w podejmowaniu decyzji o kierunkach działania, o tym, co jest dobre dla nas, a co nam zaszkodzi. Jesteśmy w Unii Europejskiej i w NATO, nie grożą nam żadne konflikty i nowe rozbiory. Ale świat rozwija się w dużym tempie, liczba problemów raczej rośnie, niż maleje, społeczeństwa i rządy muszą podejmować szybkie i słuszne decyzje w wielu sprawach. Czy uprawiane przez nas na wielką skalę samo-ogłupianie pomoże nam iść właściwą drogą? Z pewnością nie. Czy to jest właśnie „pułapka średniego rozwoju” w wydaniu nadwiślańskim?

Ostatnie lata pokazały nam, jaki typ/rodzaj odmiany ustroju wewnętrznego, model demokracji wyrasta naturalnie na gruncie opisanego poglądu na świat. Nie osądzam przyczyn uruchomienia i celów procesu tworzenia nowego modelu państwa, nie zamierzam w tej publikacji brać udziału w sporze politycznym, który wzburzył i podzielił nasze społeczeństwo. Staję bezradny przy próbie prognozowania dalszego ciągu. Jak wyjść z pułapki zastawionej przez nas samych? Nie widzę innej drogi, tylko przez edukację z korpusem mądrych nauczycieli. Rzecz nie w tym, by zwiększać liczbę przyznawanych rocznie dyplomów. Wśród nas jest wielu, którzy widzą sprawy właściwie. Czy potrafimy ich znaleźć i powierzyć im zadanie napisania innych programów i podręczników, przygotowania nauczycieli? Czy starczy nam rozumu, by zrezygnować z samo-ogłupiania? Jakie jest prawdopodobieństwo wyboru drogi rozumu i rozsądku?

Próba konkluzji

Model ekonomiczny kapitalizmu, który prawie powszechnie wprowadzono na naszej planecie po zakończeniu „zimnej wojny”, oparty został o neoliberalny model gospodarki i handlu. W modelu tym naturalnym i najważniejszym bodźcem, siłą napędową i celem naszych działań jest pomnażanie kapitału. Korzyść własna dominuje nad interesem wspólnym. Ten model skoncentrowanego, indywidualnego egoizmu stał się podstawą wolnorynkowej ekonomii uformowanej wzorcowo w Stanach Zjednoczonych i podyktowany światu. Można powtórzyć za jednym z socjologów, że powstał system, który nie daje ludziom żadnych powodów, by dbali o siebie nawzajem. Stan spraw oraz kierunki zmian wskazują konieczność zakwestionowania założeń tego modelu i dokonania jego zasadniczej korekty.

Sięgając do samych podstaw należy przyjąć tezę, że człowiek jest odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale także za innych. Mówiąc dokładniej, człowiek jest odpowiedzialny za wszystkich ludzi: za swoją rodzinę, za wspólnotę współmieszkańców miasta, za społeczeństwo państwa, w którym żyje, za wszystkich mieszkańców Ziemi, a także za stan tej planety, bo tu żyjemy. Przyjęcie tej tezy oznacza, że dobro społeczeństwa i ludzkości jest podstawowym celem naszej pracy, działalności. Oznacza to także, że społeczeństwa krajów rozwiniętych, wysoce produktywnych, bogatych, odpowiedzialne są nie tylko za los wykluczonych współobywateli własnego kraju, ale także za warunki życia miliarda ludzi biednych. Realizacja szeroko pojętych potrzeb ludzkości ma najwyższy priorytet, jest naszym wspólnym najważniejszym celem. Uniwersytety powinny ten punkt widzenia uczynić zrozumiałym i powszechnie akceptowalnym.

O jeszcze jednej roli uniwersytetów należy w tym miejscu powiedzieć. Uniwersytety są strażnikiem określonych wartości wielkiej wagi, takich jak etyka i moralność, uczciwość i szacunek dla prawdy, idea wolności, poszanowanie prawa i szacunek dla każdej jednostki, tolerancja i szacunek dla innych poglądów. Odpowiedzialność uniwersytetów za tę sferę nie jest zapisana w prawie, jednakże istnieje w powszechnym przekonaniu profesorów tworzących rdzeń kadry akademickiej.

BOGDAN GALWAS

LECH M. NIJAKOWSKI

MINERAŁY KONFLIKTU

Zasoby konfliktowe (*conflict resources*) to – w największej ogólności – zasoby naturalne wydobywane w strefie konfliktu i sprzedawane po to, aby uzyskać środki na kontynuowanie walki. Mogą one mieć znaczenie strategiczne w skali globu, jak ropa naftowa, która okresowo stawała się zasobem konfliktowym wtedy, gdy państwa lub inne organizacje (np. ISIS) z jej sprzedaży finansowały wojny. Mogą też być tylko jednym z surowców wykorzystywanych w światowej gospodarce, jak miedź. Podklasą zasobów konfliktowych są minerały konfliktu (*conflict minerals*), takie jak ruda złota, diamenty, kasyteryt (źródło cyny), wolframit (źródło wolframu), kolumbit i tantalit (źródła tantalu i niobu) i in. Należy je odróżniać od metali ziem rzadkich (Rare Earth Elements – REE; lub Rare Earth Metals – REM; lub Rare Earth Oxides – REO), czyli 17 pierwiastków chemicznych (lantanowce, skand, itr). Stanowią one siódmą część wszystkich pierwiastków występujących w naturze, jednak obecne są w skałach w stanie rozproszonym, co utrudnia eksploatację. Największy potencjał wydobywczy REE mają Chiny, USA, Brazylia, Sri Lanka, Indie i Australia. Wedle szacunków, Chiny dysponują 35 procentami ogółu rozpoznanych światowych zasobów REE¹. Na świecie jest ponad 800 rozpoznanych złóż REE nadających się do wydobycia, nie licząc dna Pacyfiku².

Znaczenie poszczególnych zasobów konfliktowych zmienia się i uzależnione jest od rozwoju technologicznego i stanu światowej gospodarki. Zasoby postrzegane wcześniej jako bezwartościowe (np. kobalt, Co) mogą nagle stać się zasobami strategicznymi. Ropa naftowa awansowała tak szybko w rankingu zasobów strategicznych m.in. dzięki wynalazkowi skutecznego silnika spalinowego i udoskonaleniu procesu rafinacji. REE mają dziś takie znaczenie ze względu na ich liczne zastosowania w nowoczesnych technologiach militarnych, jądrowych, laserowych, telekomunikacyjnych, medycznych i in. Podobnie niektóre minerały stały się kluczowe ze względu na nowoczesne technologie, aby wspomnieć

tylko o koltanie – rudzie tantalu (Ta) i niobu (Nb), będącej mieszaniną dwóch minerałów (kolumbitu i tantalitu).

Dodajmy, że nie tylko zmiana technologiczna decyduje o popycie na określone zasoby naturalne. Przykładem może być woda. Pierwsze cywilizacje powstawały dzięki umiejętnemu opanowaniu tego żywiołu – zapewnieniu dostępu do wody pitnej, tworzeniu kanałów, pozwalających nawodnić i użyźnić pola czy opracowaniu sposobów spożycia wody zapewniających unikanie chorób. Rozwój cywilizacji sprawiał, że trzeba się było zmagać z coraz większymi wyzwaniami technologicznymi i organizacyjnymi, związanymi np. z dostarczaniem wody do miast. Wzrost liczby ludności oraz upraw i hodowli bydła czynił zasoby wody coraz bardziej strategicznymi. Nic dziwnego, że dochodziło na tym tle do konfliktów, na przykład w dorzeczu Jordanu, który trwa od ustanowienia brytyjskiego mandatu w Palestynie. Dziś zmiany klimatyczne zaogniają konflikty w wielu punktach świata i są złym prognostykiem na przyszłość. Obecnie 2,8 miliarda osób żyje w miejscach, gdzie występuje deficyt wody pitnej; do 2030 r. liczba ta prawdopodobnie wzrośnie do 3,9 mld³. Nic dziwnego, że coraz większego znaczenia nabiera dyskusja o dostępie do wody jako prawie człowieka. Przykład ten pokazuje, w jak szerokim kontekście, zmiennym historycznie, trzeba umieszczać zasoby konfliktowe.

W artykule tym chciałbym się zająć minerałami konfliktu, kluczowymi dla nowoczesnej gospodarki, w tym zwłaszcza wykorzystywanymi w przemyśle elektrotechnicznym i elektronicznym. Pozwalają one nie tylko lepiej zrozumieć dynamikę przewlekłych, małych konfliktów zbrojnych, ale również zarysować przyszłe zagrożenia, związane z międzynarodową aktywnością niepaństwowych aktorów, takich jak korporacje.

Minerały i nowe konflikty

Strategiczne zasoby miały rozstrzygające znaczenie dla sukcesu wojennego od początku cywilizacji.

1 M. Burchard-Dziubińska, *Strategiczna rola metali ziem rzadkich w gospodarce opartej na wiedzy*, „Gospodarka w Praktyce i Teorii” 2014, nr 1(34), s. 22-23, 26.

2 J.M. Klinger, *Rare Earth Frontiers. From Terrestrial Subsoils to Lunar Landscapes*, Cornell University Press 2017, s. 60.

3 D. Kuźnicka, *Dostęp do wody: prawo człowieka czy towar podlegający prawom wolnego rynku? Obecne regulacje prawne i perspektywy na przyszłość*, w: M. Jabłoński, T. Jurczyk, P. Gutierrez (red.), *Międzynarodowa ochrona praw człowieka. Współczesne problemy na świecie*, E-Wydawnictwo. Prawnicza i Ekonomiczna Biblioteka Cyfrowa. Wydział Prawa, Administracji i Ekonomii Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2015, s. 37.

Chodziło albo o zasoby niezbędne dla życia, takie jak woda, sól, zboża czy zwierzęta hodowlane, albo o wykorzystywane w produkcji i zapewniające funkcjonowanie cywilizacji, takie jak węgiel, żelazo czy miedź. Do jakościowej zmiany doszło wraz z narodzinami kapitalistycznej gospodarki-swiata w XVI-XVII w., podzielonej na obszary centralne, półperyferyjne i peryferyjne oraz charakteryzującej się rosnącym głodem surowcowym, będącym warunkiem akumulacji kapitału⁴. Peryferia eksportowały przede wszystkim surowce, zmuszone w zamian kupować po wysokich cenach produkty o wysokiej wartości dodanej. I choć poszczególne obszary awansowały do grupy krajów centralnych, a inne spadały do roli półperyferii, to obszarom peryferyjnym najtrudniej było wyzwolić się ze swojej klątki globalnego podziału pracy. Ostatnia wojna światowa w znacznej mierze związana była z dążeniem do opanowania strategicznych zasobów surowców naturalnych, w tym zwłaszcza ropy naftowej. W dobie zimnej wojny Moskwa, Waszyngton i Chiny starały się kontrolować z pozoru najmniej znaczące obszary i prowadziły agresywną politykę z wykorzystaniem zasobów surowcowych.

Pojęcie zasobów konfliktowych upowszechniło się jednak dopiero po upadku zimnowojennego podziału świata. Wcześniej supermocarstwa starały się kontrolować nawet najmniejsze organizacje zbrojne. Przenosiły znaczące nakłady finansowe na prowadzenie wojen domowych i innych lokalnych konfliktów. Wraz z zakończeniem tego mecenatu i poluzowaniem kontroli różne rządy, partyzantki i inne organizacje zbrojne zmuszone zostały do poszukiwania nowych źródeł finansowania konfliktów, które mogły teraz wszczynać z o wiele większą swobodą. Jednym z rozwiązań okazało się kontrolowanie i sprzedaż surowców naturalnych, które pozwalały kontynuować wojnę mimo gospodarczego upadku. Przy czym z precedensami mieliśmy do czynienia wcześniej, np. w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX w. w Peru i Kolumbii, gdzie ruchy partyzanckie uprawiały krasnodrzew pospolity (krzew kokainowy) i produkowały oraz sprzedawały kokainę. Oczywiście, można także szukać przykładów w odległej historii, ale pomińmy je, jako występujące w odmiennym kontekście społeczno-ekonomicznym.

Przyczyniło się to do wzrostu popularności koncepcji „klątki surowcowej” (*resource curse*), wedle której kraje mające duże złoża surowców naturalnych gospodarczo rozwijają się wolniej na skutek tego, że elity finansują autorytarną politykę dzięki zasobom łatwym w eksploatacji (najszerzej znane jest opracowanie Jeffreya Sachs’a i Andrew Warnera⁵). Paul Collier i Anke Hoeffler⁶ analizując ekonomiczne przyczyny wojny dowiedli, że zasoby wpływają na pewne typy wojny, ale nie na inne. Pokazuje to, że wyjaśnianie konfliktów nie może mieć charakteru monokausalnego. Dyskusja na ten temat trwa, a niektórzy w ogóle odrzucają istnienie

klątki surowcowej. Podobnie istnieje wiele opracowań, które starają się wyjaśnić, czy określone zasoby naturalne zwiększają prawdopodobieństwo wybuchu wojen, secesji czy walki o przejęcie władzy w państwie, zwłaszcza przez określone grupy etniczne⁷. Nie będzie to przedmiotem tego artykułu – chciałbym się skupić na minerałach konfliktu w sytuacji, gdy już doszło do wybuchu wojny.

Wielu teoretyków podkreśla, że koniec zimnej wojny to zarazem schyłek porządku westfalskiego. Znaczącą samodzielność zdobyło wielu niepaństwowym aktorów, którzy prowadzą akcje zbrojne i terrorystyczne w imię różnorodnych celów, w tym ideologicznych. Te wojny nie mają charakteru symetrycznego⁸. Jak podkreśla Herfried Münkler, nowe wojny są bardzo tanie, jeśli idzie o ich przygotowanie i prowadzenie⁹. Zakup nowoczesnych samolotów czy czołgów nie jest potrzebny, gdy prowadzi się partyzancką wojnę w dżungli lub kontroluje dzielnice miast. „Dla kombinacji masakr i potyczek lekkie uzbrojenie i nieopancerzone środki transportowe są w pełni wystarczające”¹⁰. Dla wielu podmiotów kontrola ograniczonego obszaru może oznaczać stałe dochody i lokalną samowolę. Panowie wojny (*warlords*) mogą nie mieć interesu w zakończeniu konfliktu, nawet jeśli ich strona by wygrała. Nie każdy „pan wojny” zostanie prezydentem, a wszyscy oni mogą sprawować absolutną władzę nad życiem i śmiercią cywilów na kontrolowanym obszarze oraz bogacić się dzięki rabunkowi surowców naturalnych, handlowi narkotykami i ludźmi czy nielegalnej sprzedaży dzieł sztuki. Następuje prywatyzacja państwowych funkcji ochrony i regulacji, a dzięki otwartej gospodarce wojennej watażkowie mają zapewniony stały dopływ środków z zewnątrz¹¹.

Kluczowe znaczenie mają te minerały konfliktu, które można łatwo „grabić”, tzn. istnieje niska bariera inwestycyjna, np. aluwialne złoża diamentonośne (w łóżyskach i tarasach rzek współczesnych i dawnych). Zasoby trudne do złupienia wymagają znaczących nakładów kapitałowych oraz zaawansowanej technologii wydobywczej, np. boksyt, miedź, ropa naftowa, głębokie złoża diamentów. Jeśli wydobyć może odbywać się metodą rzemieślniczą, a nie przemysłową, to takie zasoby z większym prawdopodobieństwem staną się źródłem dla różnorodnych organizacji zbrojnych¹².

Minerały konfliktu wykorzystywane w nowoczesnym przemyśle elektronicznym mają szczególny charakter. Najczęściej nie są przydatne gospodarkom peryferyjnych, ogarniętych wojną państw. Tymczasem inne zasoby konfliktowe mogą mieć bezpośrednią wartość dla lokalnych bojowników, np. kokaina może poprawiać nastrój i ułatwiać wykonywanie ciężkiej pracy, sproszkowany róg nosorożca może być wykorzystywany jako cudowne lekarstwo, zaś diamenty i złoto pozwalają na

4 I. Wallerstein, *The Modern World-System I. Capitalist Agriculture and the Origins of the European World-Economy in the Sixteenth Century*, Academic Press, London i in. 1974; por. J. Humphreys, *Resource wars: searching for a new definition*, „International Affairs (Royal Institute of International Affairs 1944-)” 2012, t. 88, nr 5, s. 1072-1076.

5 J. Sachs, A. Warner, *Natural Resources and Economic Development: The curse of natural resources*. „European Economic Review” 2001, nr 45, s. 827-838.

6 P. Collier, A. Hoeffler, *On economic causes of civil war*, „Oxford Economic Papers” 1998, nr 50, s. 563-573.

7 J. Sorens, *Mineral production, territory, and ethnic rebellion: The role of rebel constituencies*, „Journal of Peace Research” 2011, t. 48, nr 5, s. 571-585.

8 R. Kuźniar, *Polityka i siła. Studia strategiczne – zarys problematyki*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2005, s. 282.

9 H. Münkler, *Wojny naszych czasów*, przeł. K. Matuszek, Wydawnictwo WAM, Kraków 2004, s. 97.

10 Tamże, s. 98.

11 Tamże, s. 120, 124.

12 R. Snyder, R. Bhavnani, *Diamonds, Blood, and Taxes: A Revenue-Centered Framework for Explaining Political Order*, „The Journal of Conflict Resolution” 2005, Vol. 49, No. 4, s. 563-597.

tezauryzację. Wzrost znaczenia „nieprzydatnych” lokalnie minerałów konfliktu jest ściśle związany z globalizacją produkcji i rozwojem międzynarodowego rynku, który – mimo różnych inicjatyw – nadal jest mało przejrzysty. Zmiany cen, do jakich dochodzi, mogą mieć bezpośrednie przełożenie na dynamikę konfliktów – nie tylko w państwach upadłych.

Definicje zawarte w międzynarodowych aktach prawnych, porozumieniach i innych dokumentach często są następstwem politycznego konsensusu i budzą zastrzeżenia badaczy. Na przykład w Procesie Kimberley (Kimberley Process Certification Scheme – KPCS), wprowadzonym rezolucją A/RES/55/56 Zgromadzenia Ogólnego Narodów Zjednoczonych, który określa proces certyfikacji nieoszlifowanych diamentów, definiuje się diamenty konfliktowe (znane szerzej jako „krwawe diamenty”) jako nieoszlifowane diamenty, z których korzystają ruchy rebelianckie w celu sfinansowania ich działań zbrojnych, w tym próby podważenia lub obalenia prawowitego rządu¹³. Krwawe diamenty są zatem powiązane z aktywnością rebeliantów, których (domyślnie) oskarża się o łamanie praw człowieka. Tymczasem w wielu konfliktach to legalne rządy wykorzystywały diamenty do finansowania swych działań zbrojnych oraz dopuszczały się nielegalnej przemocy wobec cywilów (np. w Angoli, Sierra Leone, Demokratycznej Republice Konga¹⁴). Diamenty, jako jedna z najbardziej skoncentrowanych form bogactwa, od dawna są powiązane z nielegalną działalnością, zarówno wewnątrzpaństwową, jak i międzynarodową.

Grupy zbrojne mogą na różne sposoby czerpać zyski z minerałów konfliktu. Mogą używać siły lub grozić użyciem siły w celu uzyskania dostępu do magazynów rudy lub kopalni. Mogą także wykorzystywać przymusową siłę roboczą w celu wydobycia minerałów. Ale także nakładać różne podatki i opłaty na wydobywców oraz obciążać ich kosztami „ochrony”. Poszczególne grupy mogą to robić na własną rękę lub we współpracy z zagranicznym patronem lub międzynarodowymi korporacjami (sprzedając z góry prawa do wydobycia)¹⁵. Co ważne, ekonomie nowych wojen „odznaczają się asymetrycznymi strukturami władzy, w których w każdej chwili można grozić i używać przemocy bez obawy przed sankcjami”¹⁶. Bez popytu na międzynarodowym rynku te działania nie zapewniałyby jednak sukcesu.

Konflikty, w których ważną rolę odgrywają minerały konfliktu rozgrywają się w określonym regionie lub państwie, bazują na łatwych do ekstrakcji i złupienia zasobach będących przedmiotem międzynarodowego handlu, charakteryzują się przemocą, są trudne do opanowania przez zewnętrzne siły i często wiążą się z walką o władzę wśród elit rządzących¹⁷. Dzięki strategicznemu znaczeniu minerałów, z których pozyskuje się substancje wykorzystywane w przemyśle elektro-

nicznym, regionalne konflikty stają się przedmiotem zainteresowania supermocarstw.

Koltan, Kongo i konflikt

W Afryce władza bywa środkiem służącym kontroli bogactwa w o wiele większym stopniu, niż w krajach Globalnej Północy, co wynika z tego, że większość państw afrykańskich należy do grupy najbiedniejszych krajów świata¹⁸. Dobrym przykładem jest krwawy konflikt w Angoli. Wojna domowa rozpoczęła się wraz z uzyskaniem przez kraj niepodległości w 1975 r. W latach dziewięćdziesiątych rebeliancki Narodowy Związek na rzecz Całkowitego Wyzwolenia Angoli (União Nacional para a Independência Total de Angola – UNITA) w celu kontynuacji walki skupił się na diamentonośnych terenach, traktując ich nielegalną sprzedaż jako kluczowe źródło finansowania konfliktu. Korzystał w tym zakresie ze wsparcia Zairu. W latach 1992-1994 UNITA kontrolowała 90 proc. eksportu diamentów z Angoli¹⁹. „Krwawe diamenty”, choć nadal występują w obrocie, nie pokazują jednak kluczowego związku rozwoju nowej gospodarki opartej na wiedzy, globalizacji i lokalnych zbrodniczych konfliktów. Przyjrzyjmy się zatem wojnie w Demokratycznej Republice Konga (DRK).

Rola minerałów konfliktu w DRK stała się głośna w wyniku kampanii społecznej. Szeroko znany stał się dokument *Krew w twoim telefonie*, którego twórcy dowodzili, że korporacje produkujące telefony komórkowe wykorzystują nielegalne wydobycie minerałów w ogarniętym wojną Kongu (mowa tam przede wszystkim o Noki)²⁰. Narracja o konfliktowych minerałach jako źródle przemocy i wszelkiego zła rozpowszechniła się na Zachodzie, m.in. dzięki kampaniom reklamowych organizacji pozarządowych²¹. W szczególności koltan stał się szeroko znanym minerałem konfliktu. Pozyskiwany z niego tantal jest wykorzystywany w przemyśle elektronicznym. Znajduje się w prawie każdym urządzeniu elektronicznym – od smartfonów po rakiety międzykontynentalne i satelity²². Nic dziwnego, że zagościł on w zbiorowej wyobraźni jako główne źródło pożądania bezdusznym korporacji i kluczowy czynnik mobilizujący strony do walki.

Tymczasem koltan nie odgrywał znaczącej roli w czasie pierwszej wojny kongijskiej. Dopiero w czasie drugiej wojny zyskał na znaczeniu, co związane było ze wzrostem cen tantalu w 2000 r. Zanim przejdziemy do analizy, trzeba zatem zarysować historię kongijskich konfliktów.

Dziedzictwo kolonialne Konga było bardzo krwawe. W czasie, gdy istniało tam Wolne Państwo Konga – prywatna kolonia króla Belgów Leopolda II – doszło do ludobójstwa częściowego, które pochłonęło, jak się szacuje, 10 mln ofiar²³. Głównym źródłem dochodów

13 Resolution adopted by the General Assembly 55/56. The role of diamonds in fuelling conflict: breaking the link between the illicit transaction of rough diamonds and armed conflict as a contribution to prevention and settlement of conflicts.

14 N. Davidson, *Are Conflict Diamonds Forever? Background to the Problem*, w: Nigel Davidson, *The Lion that Didn't Roar Book. Can the Kimberley Process Stop the Blood Diamonds Trade?*, ANU Press 2016, s. 26-27.

15 *Coltan, Congo & Conflict*, Polinares Case Study, The Hague Centre for Strategic Studies (HCSS), Rapport Nr 21/05/13, Haga 2013, s. 57-58.

16 H. Münkler, *Wojny...*, s. 123.

17 J. Humphreys, *Resource wars...*, s. 1070.

18 W. Lizak, *Problemy bezpieczeństwa Afryki*, w: R. Zięba (red.), *Bezpieczeństwo międzynarodowe po zimnej wojnie*, Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, Warszawa 2008, s. 453.

19 N. Davidson, *Are Conflict Diamonds Forever...*, s. 34-35.

20 *Krew w twoim telefonie* (Blood in the Mobile), reż. Frank Piasechi Poulsen, Dania, Niemcy 2010.

21 S. Autesserre, *Dangerous Tales: Dominant Narratives on the Congo and Their Unintended Consequences*, „African Affairs” 2012, t. 111, nr 443, s. 210-213.

22 *Coltan...*, s. 16.

23 A. Hochschild, *Duch króla Leopolda. Opowieść o chciwości, terrarze i bohaterstwie w kolonialnej Afryce*, przeł. P. Tarczyński, Świat Książki, Warszawa 2012, s. 376-377.

z kolonii był wtedy naturalny kauczuk. Gdy władze belgijskie pod wpływem międzynarodowego skandalu zmusiły króla w 1908 r. do oddania kolonii (za sowingą rekompensatą), Kongo stało się kolonią Belgii. Ich rządy – w przeciwieństwie do francuskiego modelu kolonialnego – wiązały się z ograniczaniem szans edukacyjnych i awansu społecznego rdzennych mieszkańców. Kongo po proklamowaniu niepodległości 30 czerwca 1960 r. nie było przygotowane do niepodległego bytu. Brakowało wykształconych kadr, kultury politycznej i planów transformacji społeczno-gospodarczej. Szybko bogate prowincje Kongo – Katanga (11 lipca) i Kasai Południowe (8 sierpnia) – ogłosiły secesję, wspierane przez siły belgijskie. Wybuchła brutalna wojna domowa, która trwała do 1965 r.²⁴

W listopadzie 1965 r. w wyniku zamachu stanu do władzy doszedł Joseph-Désiré Mobutu (Mobutu Sese Seko). Jego dyktatorskie rządy stały się symbolem skrajnego barbarzyństwa. W 1971 r. zmienił nazwę kraju na Zair. Rządził aż 32 lata. Był sojusznikiem Francuzów i reżimu Hutu Power w Rwandzie. W 1997 r. obalony został przez rebeliantów, których wsparły Uganda, Rwanda i Angola (pamiętająca wsparcie Mobutu dla ruchu UNITA). Krwawy konflikt z lat 1996-1997 nazywany jest pierwszą wojną kongijską.

Aby zrozumieć zaangażowanie Rwandy trzeba pamiętać, że do Kongo zbiegło ok. milion uchodźców, wśród których było wielu sprawców ludobójstwa na Tutsi z 1994 r. Obozy dla uchodźców w Kongu stały się miejscem działania organizacji paramilitarnych, w tym Interahamwe²⁵. Wykorzystywano je jako bazę do rajdów na terytorium Rwandy. Konflikt uległ eskalacji, gdy latem 1996 r. politycy z Kivu zagrozili wydaleniem kongijskich Tutsi (Banyamulenge), którzy już wcześniej padali ofiarą przemocy uciekinierów Hutu i rdzennych milicji²⁶. Rwanda najechała na DRK. Uzyskała wsparcie Ugandy, Angoli i Burundi. Inne państwa, takie jak Zambia, Zimbabwe i Etiopia, w ograniczonym stopniu wsparły militarnie i finansowo inwazję.

W październiku 1996 r. powstał w Kigali (Rwanda) Sojusz Sił Demokratycznych na Rzecz Wyzwolenia Kongo (AFDL), któremu przewodził Laurent-Désiré Kabila. Armia Zairu nie była w stanie stawić oporu inwazji. Posuwające się siły masakrowały ludność, w tym Hutu chroniących się w obozach dla uchodźców²⁷. Nawet 200 tys. Hutu mogło zostać zamordowanych przez AFDL²⁸. W maju 1997 r. Mobutu zbiegł z Kinszasy, a Kabila został prezydentem kraju przemianowanego na Demokratyczną Republikę Kongo²⁹.

W 1998 r. Kabila nakazał rwandyjskim żołnierzom opuszczenie DRK. Naruszyło to relacje z Kigali. Dwa oddziały Tutsi zbuntowały się, co spowodowało Rwandę do ponownej ingerencji (z wykorzystaniem fasadowej organizacji Rally for Congolese Democracy, RCD),

tym razem wymierzonej w Kabilę. Wsparły ją Uganda i Burundi. Kabila, obawiając się szybkiej klęski, postarał się o wsparcie innych państw afrykańskich. Uzyskał pomoc od Angoli, a także Czadu, Sudanu, Namibii i Zimbabwe. Tym samym rozpoczęła się krwawa druga wojna kongijska, która trwała do 2003 roku³⁰. Była to największa wojna w najnowszej historii kontynentu, w którą zaangażowało się osiem państw oraz kilkadziesiąt ugrupowań zbrojnych. W ciągu czterech lat zginęło ponad 3 mln ludzi, głównie na skutek głodu i chorób³¹.

DRK została podzielona na strefy wpływów. Północno-wschód był kontrolowany przez RCD, Ruandę i Ugandę; zachodnimi prowincjami nadal władał Kabila przy wsparciu Angoli i Zimbabwe. Fronty i koalicje zmieniały się, a stałe było tylko cierpienie cywilów. W 2001 r. doszło do zamachu stanu, w którym zginął Laurent Kabila. Zastąpił go jego syn – Joseph Kabila. Doprowadził on do przełomu, negocjując kolejne traktaty. Od września 2002 r. kolejne oddziały rozpoczęły ewakuację. Wytworzyło to jednak próżnię polityczną na wschodzie, którą wypełniły organizacje zbrojne i przestępcze. W szczególności region Kivu (prowincje: Kivu Północne i Kivu Południowe) stały się teatrem zbrodni i okrucieństwa. Kabila porozumiał się z czasem z Rwandą i Ugandą w sprawie współpracy w opanowaniu sytuacji.

RCD współpracowała ściśle z Rwandą przy sprzedaży koltanu wydobywanego w Kivu. Rwandyjskie władze wysyłały nawet więźniów do Kongo, którzy wykorzystywani byli przy wydobyciu. Koltan był często transportowany z DRK helikopterami Rwandyjskiej Armii Patriotycznej³². Uganda pozwoliła wyższemu rangą oficerom zbijać fortuny na własną rękę³³. Z drugiej strony frontu Kabila opłacał się sojusznikom. Angola kontrolowała wydobycie i dystrybucję kongijskiej ropy naftowej, miała udział w rabunku diamentów. Zimbabwe za pomocą mieszanych spółek wydobywała i sprzedawała diamenty, złoto i drewno³⁴.

Grabież zasobów była zatem także próbą obniżenia kosztów wojny przez interweniujące państwa. W ciągu 18 miesięcy w latach 1999-2000 Rwanda zarobiła 250 mln dolarów dzięki rabunkowi koltanu³⁵. Na tym tle doszło zresztą do napięć między Rwandą i Ugandą³⁶. Również lokalne milicje walczyły ze sobą o kontrolę nad miejscami wydobycia koltanu. W DRK nastąpiła zatem ekonomizacja konfliktu³⁷. Jednak w 2001 r. ceny tantalu zaczęły spadać.

Koltan służył zatem finansowaniu wojny, ale nie był najważniejszym minerałem konfliktu w Kongu. Zbrojne grupy (ale także – nielegalnie – armia DRK) wykorzystywały różne zasoby naturalne do finansowania działań wojennych, m.in. złoto, cynę, wolfram i diamenty³⁸. Choć trudno się zgodzić z tezą, że eksploatacja zasobów naturalnych była źródłem konfliktu w Kongu (była

24 M. Leśniewski, M. Pawełczak, *Kongo-Katanga 1960-1965*, w: P. Ostaszewski (red.), *Konflikty kolonialne i postkolonialne w Afryce i Azji 1869-2006*, Książka i Wiedza, Warszawa 2006, s. 414-417.

25 G. Prunier, *Africa's World War. Congo, the Rwandan Genocide, and the Making of a Continental Catastrophe*, Oxford University Press, Oxford, New York 2009, s. 24-29.

26 M. Meredith, *Historia współczesnej Afryki. Pół wieku niepodległości*, przeł. S. Piłaszewicz, Wydawnictwo Akademickie Dialog, Warszawa 2011, s. 470-473.

27 J. Reginia-Zacharski, *Rwanda. Wojna i Ludobójstwo*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2012, s. 145.

28 M. Meredith, *Historia...*, s. 475.

29 G. Prunier, *Africa's World War...*, s. 113-148.

30 Tamże, s. 181 i n.

31 M. Meredith, *Historia...*, s. 484.

32 *Coltan...*, s. 58-59.

33 M. Meredith, *Historia...*, s. 481.

34 Tamże, s. 480.

35 Tamże, s. 481.

36 G. Prunier, *Africa's World War...*, s. 220.

37 S. Jackson, *Making a Killing: Criminality & Coping in the Kivu War Economy*, "Review of African Political Economy" 2002, t. 29, nr 93/94, State Failure in the Congo: Perceptions & Realities (Le Congo entre Crise et Régénération), s. 528.

38 *Coltan...*, s. 60-61.

to przede wszystkim gra państw o prymat w regionie), to bez wątpienia służyła ona finansowaniu wojny, a zatem ułatwiała jej prowadzenie, zwłaszcza w przypadku niepaństwowych sił zbrojnych. Charakter ważnych w światowej gospodarce zasobów, które łatwo złupić, stanowi stałe zagrożenie dla stabilności DRK.

Minerały w konfliktach trzeciego milenium

Nowe wojny wiążą się z renesansem wykorzystania dzieci-żołnierzy oraz najemników. *Uzbrojone dzieci i młodzież* dzięki lekkiej broni maszynowej i granatnikom przeciwpancernym stały się ważnym czynnikiem zwiększającym siłę partyzantki i innych formacji zbrojnych w konfliktach asymetrycznych. Wykorzystywanie dzieci w konfliktach, wbrew rozpowszechnionym opiniom, nie ogranicza się do krajów afrykańskich³⁹. Rekrutacja dzieci jest dobrowolna lub przymusowa (porwania, sprzedaż). Po weryfikacji ich przydatności do walki przechodzą brutalne szkolenie. Są ofiarami indoktrynacji i intoksykacji, gdyż uzależnione od narkotyków chętniej poddają się woli dowódców i wykazują się straceńczą odwagą. Do reguł należą egzekucje innych dzieci na pokaz, zmuszanie do zabicia wybranych osób w rodzinnych wioskach, a także gwałty i przemoc seksualna ze strony starszych żołnierzy. Wykorzystanie dzieci-żołnierzy w walce koreluje z finansowaniem konfliktów ze sprzedaży minerałów konfliktu. Przykładem mogą być apokaliptyczne wojny w Liberii i Sierra Leone. Dzieci wykorzystywane są także jako siła robocza przy wydobywaniu zasobów. W 2014 r. UNICEF szacował, że ok 40 tys. dzieci pracuje w kopalniach na południu DRC⁴⁰. Skutki rekrutacji dzieci są złożone w każdym wymiarze życia społecznego. Rozważając zjawisko rekrutacji dzieci do walki trzeba brać pod uwagę strukturę demograficzną danego regionu i „nadwyżkę” dzieci i młodzieży.

Najemnicy byli wykorzystywani w wielu konfliktach, zwłaszcza w upadłych państwach afrykańskich. Z czasem znaczenie „psów wojny” zmalało. Sytuacja zmieniła się wraz z końcem zimnej wojny⁴¹. Valentine Strasser – przywódca Sierra Leone w latach 1992-1996 – zawarł nawet umowę z firmą Executive Outcomes, która w zamian za prawo do eksploatacji pól diamentowych, walczyła po jego stronie z rebeliantami. Obecnie jesteśmy świadkami rozwoju profesjonalnych, działających w skali globalnej korporacji świadczących usługi militarne, przede wszystkim rządów (słabych i silnych państw) i korporacjom, ale także rebeliantom czy kartelom narkotykowym⁴². Ich drogie usługi niejednokrotnie opłacane są dzięki sprzedaży minerałów konfliktu. Ponieważ, jak podkreśla Rolf Uessler, „prywatne przedsiębiorstwa usługowe w pierwszej kolejności nie są zainteresowane bezpieczeństwem, ale chęcią zysku, nadużycie wiedzy, jaką zebrały, nie może być wykluczone”⁴³.

Dotyczy to także władzy. Jak pokazały ujawnione skandale, prywatne firmy wojskowe dopuszczają się niejednokrotnie naruszeń praw człowieka, w tym poważnych, jak w Iraku, Kolumbii, Nigerii, Azerbejdżanie, Indonezji czy Ghanie⁴⁴.

Dzieci-żołnierze i najemnicy z jednej strony pozwalają na zwiększenie siły nawet małej grupy zbrojnej (choć sytuacja w różnych krajach była bardzo zróżnicowana), a z drugiej są przejawem transformacji nowych wojen, w których coraz więcej nieprzejrzystych sieciowych powiązań między różnego typu aktorami. Prowadzi to niejednokrotnie do wzrostu anarchii i przemocy (w tym seksualnej, która ponownie stała się wysoce funkcjonalna), utrudnia interwencje humanitarne i osłabia państwa, na terenie których rozgrywa się konflikt. Dzięki rabunkowi minerałów konfliktu można ten chaos podtrzymywać, nie tylko opłacając najemników i finansując nowoczesne uzbrojenie, ale również włączając organizację zbrojną w międzynarodową sieć przemytu i handlu. „Rebelianci z dżungli” – w sprzyjających okolicznościach – mają bowiem zasoby, które są niezbędne dla nowoczesnych gospodarek Globalnej Północy.

Dziś nie trzeba już supermocarstwa z jego cynicznymi tajnymi służbami, aby podtrzymywać konflikt na terenach bogatych w strategiczne zasoby. Wystarczy międzynarodowe korporacje powiązane z firmami górniczymi, skorumpowane rządy (niekiedy upadłych państw) i sprawni przemysłowcy, korzystający z najnowszych środków łączności i transportu.

Dla niniejszej analizy kluczowe jest odnotowanie zmiany międzynarodowego kontekstu konfliktów zbrojnych. Po II wojnie światowej chętnie powoływano się na prawa człowieka i konieczność przeciwdziałania zbrodniom, w tym najcięższym. W praktyce dominowała *Realpolitik*, a mocarstwa były gotowe przymknąć oko na krwawe jatki, których dopuszczali się ich sojusznicy. Do stopniowej zmiany dochodziło wraz z końcem zimnej wojny, a znakiem tego było ustanawianie kolejnych trybunałów karnych, w tym – wreszcie – stałego Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze. W XXI wieku wspólnota międzynarodowa doszła do konsensusu w sprawie zapobiegania masowemu zbrodniom. Choć jest to porozumienie pełne wad, to jednak stanowi znaczący postęp w porównaniu z sytuacją, w jakiej znajdował się świat po zakończeniu zimnej wojny.

W grudniu 2001 r. opublikowano raport *Odpowiedzialność za ochronę opracowany przez Międzynarodową Komisję ds. Interwencji i Suwerenności Państwa* (International Commission on Intervention and State Sovereignty – ICISS)⁴⁵. Opisował on działania, które może podjąć wspólnota międzynarodowa, aby przeciwdziałać cierpieniom ludności wywołanym konfliktami zbrojnymi czy represjami. Na światowym szczycie ONZ we wrześniu 2005 r. państwa uznały zasadność koncepcji odpowiedzialności za ochronę (Responsibility to Protect – R2P). Uznano, że R2P ogranicza się do ludobójstwa, zbrodni przeciwko ludzkości, zbrodni wojennych i czystek etnicznych. Podkreślono, że największe znaczenie ma prewencja. Autoryzowanie interwencji zbrojnych pozostawiono w gestii Rady Bezpieczeń-

39 *Louder than words. An agenda for action to end state use of child soldiers. Report published to mark the tenth anniversary year of entry into force of the Optional Protocol on the involvement of children in armed conflict*, Child Soldiers International, Oxford 2012, s. 20-21.

40 *“This is what we die for”. Human rights abuses in the Democratic Republic of the Congo power the global trade in cobalt*, Index: AFR 62/3183/2016, Amnesty International, London 2016, s. 6.

41 B. Balcerowicz, *Sily zbrojne w stanie pokoju, kryzysu, wojny*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2010, s. 233.

42 R. Uessler, *Wojna jako usługa. Jak prywatne firmy wojskowe niszczą demokrację*, przeł. M. Kalata, Wydawnictwo Sic!, Warszawa 2008, s. 67-86.

43 Tamże, s. 196.

44 Tamże, s. 169-178, 190-195.

45 *The Responsibility to Protect. Report of the International Commission on Intervention and State Sovereignty*, International Development Research Centre, Ottawa 2001.

stwa. Państwa nie mają jednak obowiązku podjęcia zbiorowej akcji zbrojnej⁴⁶.

Dziś mocarstwa nie mają już takiej swobody w unikaniu odpowiedzialności za zbrodnie popełniane w czasie konfliktów zbrojnych, jak jeszcze w latach 90. XX wieku, gdy na oczach świata doszło do ludobójstwa w Rwandzie w 1994 r.

Po latach dyskusji wprowadzono także konkretne rozwiązania, mające utrudnić wykorzystanie minerałów konfliktu do finansowania działań zbrojnych. O Procesie Kimberley już wspominałem. Organizacja Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD) podjęła działania mające na celu upowszechnienie odpowiedzialnego pozyskiwania minerałów pochodzących z obszarów dotkniętych konfliktami. W 2010 roku prezydent Obama podpisał akt prawny (Dodd-Frank Wall Street Reform and Consumer Protection Act), który miał m.in. wyeliminować pozyskiwanie minerałów konfliktu z DRK. W 2017 roku Unia Europejska przyjęła rozporządzenie, które ma zagwarantować, że unijni importerzy cyny, tantalu i wolframu, ich rud oraz złota pochodzących z obszarów dotkniętych konfliktami i obszarów wysokiego ryzyka nie będą korzystali z nielegalnych źródeł, służących wspieraniu rebeliantów⁴⁷. Czytamy w nim: „Niniejsze rozporządzenie, poprzez kontrolę nad handlem minerałami z obszarów dotkniętych konfliktami, stanowi jeden ze środków służących wyeliminowaniu finansowania ugrupowań zbrojnych. Działania podejmowane w ramach polityki zewnętrznej i rozwojowej Unii przyczyniają się również do walki z miejscową korupcją i wzmocnienia granic oraz zapewniania szkoleń dla miejscowej ludności i jej przedstawicieli, aby pomóc im w eksponowaniu nadużyć” (art. 1 ust. 1).

Szczytna retoryka i dobre intencje to jednak za mało. Nowe wojny są z natury trudne do opanowania bez zaangażowania znaczących sił i przeznaczenia na to znaczących środków. Jeśli wojny toczą się na terenach, na których znajdują się strategiczne zasoby, rośnie pokusa nielegalnego i nieetycznego korzystania z tych złóż. Sprzyja temu nieprzejrzysty charakter międzynarodowego handlu. Kluczowy jest jednak ogromny popyt gospodarek Globalnej Północy. Sprawne działanie przemysłu elektronicznego ma nie tylko znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego, ale dla gospodarki jako takiej. Im więcej smartfonów, czytników e-booków i laptopów kupujemy, tym większy popyt na REE i inne pierwiastki zawarte w złożach konfliktowych minerałów.

Trzeba podkreślić, że pozyskiwanie wielu minerałów konfliktu, w tym zwłaszcza REE, jest związane z dewastacją środowiska naturalnego. Naturalnie, ekstrakcja REE stawia wysokie wymagania technologiczne, co utrudnia łupienie tych zasobów przez partyzantki. Mogą one jednak po prostu czerpać zyski z kontroli istniejących kopalń. Wydobycie REE prowadzi do skażenia radioaktywnego, zaś ich rafinacja wymaga stosowania szkodliwych związków chemicznych, takich jak kwasy siarkowy i fluorowodorowy⁴⁸. Dlatego

też niektórzy podkreślają, że globalny podział pracy związany z REE ma charakter neokolonialny⁴⁹. Na przykład korzystanie z chińskich dostaw związane było nie tylko z ich ceną, ale także z unikaniem skażenia we własnym kraju. Oczywiście, pojawiły się głosy, że dzięki temu Chiny mogły prowadzić politykę siły, korzystając ze swojej pozycji kluczowego dostawcy. Ale gospodarka Chin zawsze była zależna od globalnego rynku, a ponadto władze zmieniły politykę wydobycia i sprzedaży REE (w 2010 r. eksport spadł do 30 tys. ton⁵⁰). Nie zmienia to diagnozy, że importowanie minerałów konfliktu związane jest z surowcową eksploatacją krajów peryferyjnych.

Nowe wojny współfinansowane ze sprzedaży łańcuchów do złupienia zasobów naturalnych traktowane są często jako regionalna specyfika państw upadłych. Tymczasem ich fenomen związany jest z globalnymi przemianami politycznymi, militarnymi i gospodarczymi. Poszczególne wojny znacząco się różnią, ale łączy je sieciowy charakter. Sieci łączą z jednej strony lokalne milicje i partyzantki, a z drugiej rządy regionalnych państw i międzynarodowe korporacje. Dla samych aktorów te powiązania nie zawsze są czytelne. Popyt na pierwiastki kluczowe dla funkcjonowania nowoczesnej gospodarki w krajach Globalnej Północy jest warunkiem koniecznym dla poszerzenia źródeł finansowania akcji zbrojnych regionalnych aktorów, w tym rządów państw, prowadzących nielegalną eksploatację i sprzedaż surowców.

Zakończenie

Wbrew popularnym narracjom trudno uznać minerały konfliktu za główne, albo chociaż najważniejsze źródło konfliktów. Ich występowanie nie tylko ułatwia jednak prowadzenie wojny, ale łączy lokalnych i regionalnych aktorów w międzynarodowe sieci łączące skorumpowanych urzędników i polityków, przemysłowców, najemników, międzynarodowe korporacje i gospodarki Globalnej Północy. Korporacje nie potrzebują wojny, aby tanio kupować minerały potrzebne w gospodarce opartej na wiedzy. Ale też wojna nie stanowi takiej przeszkody, która skłaniałaby je do wspierania pokoju i sił porządku. Kluczowe znaczenie ma słabość peryferyjnych państw, których rabunkowa eksploatacja zasobów pozwala gospodarkom krajów centralnych korzystać z minerałów „oczyszczonych” ze szkód ekologicznych i kosztów społecznych.

Minerały konfliktu w krajach upadłych zwiększają także prawdopodobieństwo, że rebelianci będą kontynuowali walkę, finansując zakupy broni ze środków ze sprzedaży potrzebnych Globalnej Północy zasobów. Jest to typowa cecha nowych wojen, które mogą na trwałe zagościć w „międzynarodowym nieporządku”.

LECH M. NIJAKOWSKI

46 A. Bieńczyk-Missala, *Zapobieganie masowym naruszeniom praw człowieka. Międzynarodowe instytucje i instrumenty*, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2018, s. 34-35.

47 Rozporządzenie Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2017/821 z dnia 17 maja 2017 r. ustanawiające obowiązki w zakresie należytej staranności w łańcuchu dostaw unijnych importerów cyny, tantalu i wolframu, ich rud oraz złota pochodzących z obszarów dotkniętych konfliktami i obszarów wysokiego ryzyka

48 M. Burchard-Dziubińska, *Strategiczna rola metali...*, s. 25.

49 J.M. Klinger, *Rare Earth Frontiers...*, s. 57.

50 M. Burchard-Dziubińska, *Strategiczna rola metali...*, s. 26-27.

EDWARD KAROLCZUK

JAK EINSTEIN WYOBRAŻAŁ SOBIE ŚWIAT

W 2017 roku ukazał się wybór artykułów Alberta Einsteina¹. Powszechnie wiadomo, że był on jednym z najwybitniejszych fizyków w historii. W szkołach uczy się o teorii względności, grawitacji i właściwościach czasoprzestrzeni. Wszyscy pamiętają zapewne słynny wzór $E = mc^2$. Tylko nieliczni mieli jednak możliwości zapoznania się z jego poglądami na kwestie religii, praw człowieka, ekonomii, zasad zarządzania państwem, wojny jądrowej.

Prawa człowieka i pacyfizm

Jego zdaniem na dotychczasową historię społeczeństw składa się walka pomiędzy przeciwnikami i zwolennikami praw człowieka. Panowało złudzenie o akceptacji i ochronie jednostki przed wszelkiego rodzaju naruszeniami jej praw ze strony innych osób lub władz państwowych; prawa do pracy oraz odpowiedniego wynagrodzenia za nią; swobody dyskusji i nauczania, uczestniczenia jednostki w kształtowaniu własnego rządu. Zdaniem Einsteina w rzeczywistości było wręcz przeciwnie. Ze względu na stosowanie „formalnych manewrów prawnych są one łamane w znacznie większym stopniu, niż jeszcze w poprzednim pokoleniu”. Istniało – jego zdaniem – jeszcze jedno prawo człowieka, o którym się nie mówiło: „jest to prawo, bądź też obowiązek, jednostki do powstrzymywania się od uczestnictwa w działaniach, które uważa on za złe lub

szkodliwe. Pierwsze miejsce w tym względzie należy przyznać odmowie służby wojskowej” (s. 54). Proces norymberski niemieckich zbrodniarzy wojennych pokazał, że „nie można usprawiedliwiać działań przestępczych, jeśli zostały popełnione na polecenie władz państwowych; sumienie ma pierwszeństwo przed autorytetem praw państwowych” (s. 54). Pogląd Einsteina był zgodny ze słynną „formułą Radbrucha”, która głosi, że jeśli norma prawna (ustawa) w drastyczny sposób narusza normy moralne, to nie obowiązuje. Taka norma (ustawa) nie staje się prawem i obywatele nie mają obowiązku jej przestrzegania, a sądy i administracja stosowania. „Formuła Radbrucha” zaprezentowana po raz pierwszy w 1946 roku, pozwoliła na podważenie wielu krzywdzących aktów prawnych i wyroków wydanych w czasach Trzeciej Rzeszy, a nawet na ukaranie denuncjatorów do Gestapo za pomoc w „mordzie sądowym”, czy sędziów za wydawane przez nich „nieludzkich” wyroków karnych, chociaż były wydane na podstawie narodowosocjalistycznych ustaw.

Wskazując na przyczyny ideologiczne negatywnych praktyk przeciwko prawom człowieka, Einstein pisał, że to „Strach przed komunizmem doprowadził do praktyk, które stały się niezrozumiałe dla reszty cywilizowanej ludzkości i naraziły nasz kraj [USA – E.K.] na śmieszność”. Zadawał z pozoru retoryczne pytanie: „Jak długo jeszcze będziemy tolerować sytuację, w której politycy żądni władzy usiłują w ten sposób uzyskać przewagę polityczną? Wydaje się, że ludzie utracili poczucie humoru do tego stopnia, że francuskie powiedzenie »Śmieszność zabija« straciło swoją słusność” (s. 54).

¹ A. Einstein, *Jak wyobrażam sobie świat*, tłumaczenie i opracowanie Tomasz Lanczewski, Copernicus Center Press, Kraków 2017, s. 527.

Einstein od najwcześniejszych lat był pacyfistą. Pomimo tego właśnie on przyczynił się do rozpoczęcia prac nad bombą atomową.

Nawet w latach trzydziestych dwudziestego wieku wypowiadał się przeciwko obowiązkowej służbie wojskowej i tworzeniu armii z powszechnego poboru. Widział, co się działo w Niemczech, i nie tylko. Traktował to jako przeciwdziałanie militaryzacji społeczeństw. Obowiązkowa służba wojskowa była jego zdaniem „najbardziej zawstydzającym objawem braku godności osobistej, która nęka dzisiejszą cywilizowaną ludzkość” (s. 25).

Dla Einsteina doświadczenia z wojen wielu wieków, kiedy funkcjonowały armie zaciężne (zawodowe), wydawały się minione i mało istotne. Poprzez przeciwstawienie się obowiązkowej i powszechnej służbie wojskowej chciał zmniejszyć napięcia na arenie międzynarodowej.

Funkcjonowanie w epoce neoliberalnej współczesnych armii zawodowych odślania jednak inne sprzeczności i problemy. Wysokospecjalizowane grupy wojsk, wyposażone w niewspółmierne do historycznych żołnierzy środki militarne i techniczne, wsparte całą maszyną propagandową, są w stanie narzucać swoje panowanie nad całymi narodami. Wbrew nadziejom Einsteina żołnierze zawodowi zawsze dążą do rozszerzania swych przywilejów. Poddawani są indoktrynacji oraz przemocy fizycznej i psychicznej, aby lepiej przygotować ich do „misji” na całym świecie.

Współczesne tendencje do tworzenia armii zawodowych pośrednio dowodzą również wzrostu świadomości społeczeństw o zbrodniczym charakterze wojen i „misji”. Jak stwierdził Jerzy Kochan „Wojna prowadzona na podstawie powszechnej mobilizacji napotyka zbyt wielki opór społeczny i w wielu krajach jest współcześnie niemożliwa do przeprowadzenia (przypomnijmy sobie opór w USA przeciwko wojnie w Wietnamie, który przerodził się w ogólnopolski kryzys). Armia zawodowa zbliża się statusem do armii zaciężnej, do armii najemników czy kondotierów, a więc armii o osłabionej lojalności ogólnospołecznej, armii podatnej na społeczną alienację i instrumentalne wykorzystywanie w imię społecznie partykularnych interesów. To już nie jest »uzbrojony lud«, milicja, pospolite ruszenie, dla których wojna oznacza oderwanie od normalnego życia. To są prawdziwe »psy wojny«: skoszarowani, poddani paranoicznemu reżimowi i praniu mózgów, zorganizowani w dużym stopniu w zamkniętą enklawę subkulturową. [...] Już stary Hegel twierdził, że na wojnie żołnierze są wolni. Wolni i, dodajmy, groźni. Podobnie jak bezradni i śmieszni stają się cywile.

Merkantylizacja i profesjonalizacja wojny (chodzi nie tylko o opłacanie żołnierzy jako swoich »pracowników najemnych«, którzy zamiast np. rowerów produkują trupy; w Iraku wręcz wynajmuje się »firmy ochroniarskie« do spełniania zadań niewykonalnych z różnych względów dla żołnierzy) to alienowanie wojska ze społeczeństwa, ograniczanie demokratycznej kontroli nad środkami przemocy i komercjalizacja śmierci”¹.

Przykłady te pokazują, że armie zawodowe i przemoc nie mogą przynieść trwałego rozwiązania sprzeczności neoliberalnego kapitalizmu i demokracji, jeśli nie dojrzeją do tego obiektywne stosunki społeczne.

Broń jądrowa

Po drugiej wojnie światowej Einstein koncentrował się na walce z groźbą wybuchu wojny jądrowej i o ograniczenie zbrojeń. Wyścig zbrojeń nie był, jego zdaniem, sposobem na uniknięcie wojny, ale raczej przybliżał otwarte konflikty. Uważał, że rozbrojenie powinno iść w parze z utworzeniem rządu ponadnarodowego, w którego wyłącznej dyspozycji byłyby siły militarne i broń jądrowa, co wiązałoby się z ograniczeniem suwerenności poszczególnych państw. Einstein pisał, że przy militaryzacji społeczeństw ogromnym złudzeniem i uproszczeniem jest przekonanie, iż w czasie pokoju można całe życie społeczne zorganizować w sposób zapewniający zwycięstwo w przypadku wybuchu wojny.

Rodzi to przekonanie, że wolność i nasze istnienie jest zagrożone przez potężnych i mitycznych wrogów. Tylko „rząd światowy” jest w stanie zapewnić pokój i pomyślny rozwój. W 1947 roku wierząc jeszcze w możliwość współpracy Wielkiej Trójki, pisał, że „powinna podążać naprzód i stworzyć rząd światowy bez względu na to, czy mniejsze kraje zechcą się przyłączyć, czy też nie” (s. 167). Einstein był zwolennikiem wojen prewencyjnych prowadzonych przez taki rząd i jego interwencji w interesach demokracji. „Rząd światowy sprawowałby władzę nad wszystkimi sprawami wojskowymi, ale potrzebne by mu było jeszcze jedno dodatkowe uprawnienie. Dotyczy ono ingerencji w sprawy wewnętrzne krajów, w których mniejszość prześladowa większość, wywołując w ten sposób rodzaj niestabilności, który prowadzi do wojny. Należałoby zająć się takimi warunkami, jakie panują w Argentynie i Hiszpanii [wówczas dyktatury wojskowe – E.K.]. Trzeba położyć kres koncepcji braku interwencji, gdyż koniec końców jest to część procesu utrzymania pokoju” (s. 167-168).

Odpowiadając na zadane przez siebie pytanie, czy obawia się niebezpieczeństwa tyranii ze strony rządu światowego, pisał: „Oczywiście, że tak. Ale jeszcze bardziej obawiam się wybuchu kolejnej wojny lub wojen. Każdy rząd jest z pewnością do pewnego stopnia niegodziwy. Ale rząd światowy ma służyć zapobieganiu znacznie większemu złu, jakie pociągnął za sobą wojny. Szczególnie mam tutaj na myśli ich [z użyciem broni jądrowej – E.K.] ogromną siłę niszczenia” (s. 168).

Einstein uważał, że powstanie rządu światowego jest obiektywną koniecznością. Uważał, jeśli taki rząd nie powstanie drogą rokowań, to może powstać jego gorsza forma, kiedy w wyniku wojen niepodzielne panowanie na świecie zdobędzie jedno mocarstwo, „dominujące nad resztą świata ze względu na swoją przytłaczającą potęgą militarną” (s. 169). Obecnie takim dominującym militarnie państwem są Stany Zjednoczone – nie zdołały na razie podporządkować sobie całego świata. Trzeba jednak widzieć, że sytuacja rozwija się dynamicznie i może obrać różne kierunki i tempo. Ci, którzy sekundują polityce Donalda Trumpa, polegającej na zaostrzaniu kursu wobec Rosji i Chin, muszą pamiętać, że konfrontacja między tymi państwami z użyciem broni masowego rażenia mogłaby się zakończyć zagładą całej ludzkości, a do tego nie można dopuścić.

Pacyfizm, którego zwolennikiem był Einstein, w związku z tym, że każdy konflikt lokalny może przekształcić się w konflikt globalny, nabiera więc żywego

blasku i musi być zdefiniowany stosownie do obecnych warunków. Walka o ograniczenie wydatków zbrojowych w każdym państwie i społeczna kontrola nad działaniami armii i jej specjalnych jednostek, jest więc aktualnym zadaniem.

Problem większości w polityce

Ci, którzy sprawują władzę i rządzą społeczeństwem, zawsze używają argumentów, że rządzą w imieniu większości społeczeństwa, nawet jeśli wyrażają interesy tylko doraźnie ukształtowanej większości wyborców. Na przekór tym opiniom Einstein pisał, że niewiele osób potrafi wyrażać poglądy sprzeczne z uprzedzeniami właściwymi dla ich społecznego otoczenia. Był pesymistą w tej sprawie, chociaż dostrzegał rządzącą tym sprzeczność. Pisał: „Większość składająca się [z] głupców jest niezwykła, a jej istnienie jest zapewnione po wsze czasy. Terror jej tyranii jest jednak łagodzony przez właściwy jej brak konsekwencji” (s. 43). Dlatego szczególne obowiązki społeczno-polityczne przypisywał Einstein elicie intelektualnej i wybitnym uczynom.

Einstein dostrzegał manipulacje prowadzone przez główny w ówczesnym okresie środek masowego przekazu – prasę. Dziennikarze potrafili zastawiać pułapki słowne na swoich rozmówców, pozwalające na dowolną interpretację ich zachowań i wypowiedzi. Mając zapewne na myśli doświadczenia ówczesnych Niemiec pod wodzą Hitlera, ale nie tylko, pisał: „Wystarczą dwa tygodnie, aby gazety doprowadziły bezkrytyczny tłum jakiegokolwiek kraju do takiego stopnia namiętności i zapamiętałości, że ludzie, których odziano w mundury żołnierskie, gotowi są zabijać i pozwalać, aby ich zabijano w imię niecných zamierzeń niewielkiej garstki osób żywo tym zainteresowanych” (s. 25).

Dziś możliwości oddziaływania i manipulacji społeczeństwami poprzez prasę, film, radio, telewizję, internet, różnego rodzaju gry komputerowe niepomniernie wzrosły. Wielu ludzi w dużej mierze jest zdezorientowanych, albo zubożnianych wobec tego, co się wokół nich dzieje, nie widzi związku tego z ich bieżącymi i perspektywicznymi interesami.

Albert Einstein w liście z 16 maja 1953 r. do Williama Frauenglassa, nauczyciela w Brooklynie w Nowym Jorku, który odmówił składania zeznań przed komisją Kongresu, pisał: „Reakcyjni politycy zdolali zaszczepić w świadomości opinii publicznej podejrzliwość wobec wszystkich wysiłków umysłowych, wymachując przed jej oczami zagrożeniem z zewnątrz. Osiągnąwszy ten cel, obecnie kierują swoje wysiłki na ograniczenie wolności nauczania i pozbawienie stanowisk wszystkich osób, które nie zamierzają się im podporządkować, czyli jednym słowem, stawiając ich w obliczu widma głodu” (s. 51).

Edukacja

Zdaniem Alberta Einsteina szkoła była najważniejszym sposobem edukacji i przekazywania bogactwa tradycji z pokolenia na pokolenie. Dzięki współczesnemu rozwojowi życia gospodarczego osłabła w tym procesie rola rodziny. Od edukacji szkolnej zależy

w większym stopniu trwanie i dobra kondycja społeczności ludzkiej. Nadmierny wyzysk siły roboczej odbija się na systemie oświaty i szkolnictwa. „To wyniszczenie jednostek – pisał Einstein – uważam za najgorsze zło kapitalizmu. Cały nasz system edukacyjny cierpi z powodu tego zagrożenia. Nadmierne konkurencyjna postawa jest wpajana młodzieży, która uczona jest, by zachłannie wielbić sukces w ramach przygotowań do swojej przyszłej kariery” (s. 223).

Einstein był zdania, że szkoła nie powinna służyć kształtowaniu młodego człowieka według jednego schematu, lecz powinna kształtować zróżnicowane jednostki, służyć wszechstronnemu rozwojowi ich osobowości. Chociaż szkoła powinna rozwijać cechy i umiejętności wartościowe z punktu widzenia dobra wspólnoty, to jednak nie oznacza, że należy niszczyć indywidualizm i czynić jednostkę „ślepyim narzędziem w rękach wspólnoty, na podobieństwo pszczoły bądź mrówki”; „celem musi być szkolenie samodzielnie działających i myślących jednostek, które jednak w służbie społeczeństwu dostrzegają swoje największe życiowe zadanie” (s. 86-87).

Einstein ostrzegał przed zaszczepianiem w młodych ludziach filozofii sukcesu jako celu życia, gdyż w takim ujęciu człowiekiem sukcesu jest ktoś, kto otrzymuje od swoich bliźnich więcej niż odpowiada to jego wkładowi do wysiłku społecznego. „Najważniejszą motywacją do pracy w szkole i w życiu jest przyjemność czerpana z pracy, radość z jej wyników oraz znajomość wartości płynących z niej rezultatów dla społeczności. W budzeniu i wzmacnianiu tych sił psychologicznych w młodym człowieku upatruję najważniejsze zadanie, jakie powierzono szkole. Tego rodzaju fundament psychologiczny sam prowadzi do radosnego pragnienia posiadania najwspanialszych umiejętności danych człowiekowi, którymi są wiedza i zdolności artystyczne” (s. 89-90).

Kiedy obecnie neoliberalna gospodarka, wbrew pierwotnym obietnicom, nie eliminuje sprzeczności społecznych, coraz częściej dają się słyszeć nawoływania do potraktowania edukacji jako jednego z elementów systemu ekonomicznego i spowodowania jego większego wpływu na efektywność przedsiębiorstw produkcyjnych. W myśl tej koncepcji ograniczeniu ma ulec ilość przedmiotów i treści o charakterze ogólnohumanistycznym i filozoficznym, a zwiększeniu o charakterze praktycznym i gospodarczo użytecznym.

Na niektórych uczelniach zamyka obecnie się nawet kierunki filozoficzne. Tendencje te nie są nowe. Einstein już w 1950 roku pisał, że ograniczanie się do kształcenia specjalistycznego kształtuje człowieka na podobieństwo maszyny, a nie wszechstronnie rozwiniętą osobowość: „Jeśli młody człowiek ćwiczy swoje mięśnie i wytrzymałość fizyczną poprzez gimnastykę i spacer, będzie on w późniejszym czasie nadawał się do każdej pracy fizycznej. Podobna sytuacja ma miejsce w przypadku trenowania umysłu oraz ćwiczenia umiejętności intelektualnych i manualnych. Tak więc nie mylił się zbytnio ten, kto żartobliwie określił edukację w następujący sposób: »Wyszktałenie jest tym, co pozostaje, gdy zapomni się o tym, czego nauczyciło się w szkole«. [...] Z drugiej strony pragnę sprzeciwić się pogładowi, jakoby szkoła miała uczyć bezpośrednio tego rodzaju szczegółowej wiedzy i tych osiągnięć,

które będzie się bezpośrednio wykorzystywać na późniejszym etapie życia. Wymagania, jakie stawia przed nami życie, są stanowczo zbyt różnorodne, aby myśleć o wprowadzeniu tak specjalistycznego nauczania w szkołach.

Poza tym wydaje mi się również, że niedopuszczalne jest traktowanie jednostki jako martwego narzędzia. Szkoła zawsze powinna mieć na celu to, aby młody człowiek opuścił jej mury jako harmonijna osobowość, a nie specjalista. To moim zdaniem ma również zastosowanie w pewnym sensie nawet do szkół technicznych, których uczniowie biorą sobie dość ściśle określony zawód. Rozwijanie ogólnej zdolności do niezależnego myślenia i wnioskowania powinno mieć zawsze pierwszeństwo nad zdobywaniem specjalistycznej wiedzy. Jeśli człowiek opanuje podstawy swojego przedmiotu i nauczy się niezależnie myśleć i działać, z pewnością odnajdzie swoją drogę w życiu, a poza tym będzie lepiej mógł się przystosować do postępu i zmian niż osoba, której edukacja zasadniczo polega na zdobywaniu szczegółowej wiedzy" (s. 91-92).

Einstein wypowiedział się również w kwestii wynagrodzeń nauczycieli. Wszystkie współczesne neo-liberalne rządy próbują wmówić nauczycielom, że ich niskie zarobki są rekompensowane przez dużą satysfakcję płynącą z uprawiania tego zawodu i dużą ilość „czasu wolnego”. Oligarchia chce zawsze jak najtańszej edukacji powszechnej i nie troszczy się zbyt o jej poziom, a na kształcenie swoich dzieci w elitarnych szkołach i uczelniach stać ją wyasygnować pieniądze z własnych dochodów.

Tymczasem Einstein uważał, że każda użyteczna praca powinna być wynagradzana „w sposób umożliwiający godne życie”. „Wykonywanie jakiejkolwiek społecznie wartościowej działalności przynosi wewnętrzną satysfakcję; lecz nie może być uznawane za część wynagrodzenia. Nauczyciel nie może wykorzystywać swojej wewnętrznej satysfakcji do wypełnienia żądań swoich dzieci” (s. 94).

O antysemityzmie

Einstein potępiał antysemityzm. Uważał, że na powstanie jego składa się całokształt stosunków społecznych i politycznych istniejących w danym społeczeństwie. Duma Einsteina z przynależności do narodu żydowskiego wynikała nie tyle ze względów religijnych, co ze względów moralnych, z umiłowania przez Żydów prawdy, sprawiedliwości i wolności osobistej, uznanie prawa do życia wszystkich stworzeń. Nie było również przypadkiem, że postulaty socjalistyczne głosili przeważnie Żydzi.

Pojęcia Żyda nie da się właściwie zdefiniować – zdaniem Einsteina – za pomocą samej religii. Pojęcie „Żyd” jest więc znacznie szersze niż potocznie się sądzi. Być może Einstein domyślał się, że sami hitlerowcy mieli trudności ze zdefiniowaniem i identyfikacją Żydów, tym bardziej że wielu z nich uległo asymilacji.

Do zaliczenia kogoś do Żydów wystarczyło nazistom „garbaty nos”, „z żydowska” brzmiące nazwisko, lub księgi parafialne. Sens pojęcia Żyda rozwijał się u nich od religijnego, poprzez rasowy, do politycznego. Partia nazistowska, której ideologia oparta była na istnieniu „wroga”, po pokonaniu politycznych wrogów wewnątrz-

nych musiała stworzyć nowego, walkę z nim uczynić swoją misją dziejową i zapowiedzieć odniesienie nad nim „zwycięstwa”. W związku z tym Bryan Mark Rigg pisał, że „Po klęsce Niemiec w I wojnie światowej i upokarzających warunkach traktatu wersalskiego Hitler wykorzystał »żydowskiego wroga« jako polityczną przynętę dla mas sfrustrowanych Niemców [...] Hitler mawiał, że gdyby naziści nie uznali Żydów za swego wroga, musieliby sobie takiego wroga wymyślić: «Jest rzeczą zasadniczą posiadanie wroga namacalnego, a nie tylko abstrakcyjnego»”².

Antysemityzm wśród narodów europejskich był w początkach dwudziestego wieku dość powszechny. Oskarżano Żydów o dążenie do dominacji ekonomicznej i wyzysku całej ludzkości. Uważano, że wywołują wojny i rewolucje dla swoich samolubnych celów, że są wrogami postępu, że fałszują i zanieczyszczają kulturę narodów wśród których żyją. Mimo to wielu Żydów uległo asymilacji narodowej. W związku z tym Einstein pisał, że jego przynależność do narodu żydowskiego uświadomili mu nie tyle sami Żydzi, co nie-Żydzi. Dlatego w 1934 roku pisał: „Ucisk zewnętrzny, który gnębi naród żydowski, jest obecnie szczególnie dotkliwy. Ale właśnie ta niedola okazała się dla nas zbawienna. Rozpoczęło się odrodzenie żydowskiego życia społecznego” (s. 258).

Zdaniem Einsteina rozwój antysemityzmu świadczył o narastaniu i dojrzewaniu sprzeczności społeczno-politycznych w danym narodzie. Ci politycy, którzy posługiwali się antysemityzmem, chcieli zawsze ukryć swoje rzeczywiste cele i odwrócić od nich uwagę opinii publicznej. Posługiwały się nim uprzywilejowane mniejszości, które chciały oprzeć sprawowanie swojej władzy na przemocy. Oskarżano Żydów o niepopelnione zbrodnie, aby uzasadnić swoje okrucieństwa wobec nich. Dlatego pisał: „Sytuacja naszego społeczeństwa żydowskiego, rozproszonego po całym globie, jest barometrem wskazującym [...] poziom moralny świata politycznego. Czyż może być bowiem coś bardziej znamiennego dla stanu moralności politycznej i poczucia sprawiedliwości od pozycji, jaką zajmują narody wobec bezbronnej mniejszości, której osobliwość polega na zachowaniu odwiecznych tradycji kulturowych?” (s. 243).

Einstein popierał ruch syjonistyczny. Już na początku lat 20. dwudziestego wieku pomagał w zbieraniu pieniędzy w Stanach Zjednoczonych z przeznaczeniem na Uniwersytet Żydowski w Jerozolimie. Był jednak za współpracą i życiem w pokoju narodu żydowskiego z Arabami w Palestynie. Dlatego uważał, że wąsko rozumiany nacjonalizm żydowski powinien być zwalczany we własnych szeregach. Warto o tym przypomnieć tym Żydom, którzy mając na ustach demokrację, sami obecnie biorą udział w zwalczaniu palestyńskiego ruchu wyzwolenczego, a wszelkie wspomnienie o nacjonalizmie żydowskim traktują jak zapowiedź holocaustu. Zwalczanie antysemityzmu nie musi oznaczać popierania obecnej polityki Izraela wobec Palestyńczyków.

Współcześnie okazuje się jednak, że są kraje, w których może istnieć antysemityzm bez Żydów, podobnie jak antykomunizm bez komunistów. Niektóre

² Bryan Mark Rigg, *Żydowskie żołnierze Hitlera. Nieznana historia nazistowskich ustaw rasowych i mężczyzn pochodzenia żydowskiego w armii niemieckiej*, Warszawa, Kraków 2005, s. 36.

środowiska wykrzykują o „żydo-komunie”, nie znając żadnego konkretnego Żyda czy komunisty. Wytyczenie mitycznego wroga spełnia jednak dla nich właściwą funkcję ideowo-polityczną.

Rozwój antysemityzmu jest realizacją polityki polegającej na wyszukiwaniu wrogów i ich zwalczaniu. Na wroga nie wyznacza się równorzędnego przeciwnika, tylko takiego, przeciwko komu mobilizuje się większość społeczeństwa, którego można łatwo pokonać i odtrąbić swoje zwycięstwo, aby domagać się zaszczytów za świadczone społeczeństwu „usługi”...

Bezrobocie

Einstein zdawał sobie sprawę z tego, że postęp techniczny nieuchronnie prowadzi do redukcji żywej siły roboczej w poszczególnych działach gospodarki. „Aby wyprodukować to, co jest niezbędne do zaspokojenia dzisiejszych potrzeb, wystarczy bardzo nieznaczna część sił roboczych, którymi rozporządzamy” (s. 129). Postęp technologiczny zamiast prowadzić do zmniejszenia obciążenia pracą wszystkich ludzi, w warunkach kapitalizmu wytwarza stałe bezrobocie, które nasila się wraz z postępem technicznym i technologicznym oraz wzrostem społecznej wydajności pracy. Stosowanie starych metod organizacji pracy sprawia, że tylko część istniejącej siły roboczej może być wykorzystana, a bezrobocie staje się dla niektórych osób chroniczne, a nawet dziedziczne. Ogranicza to zbyt towarów i rentowność gospodarki jako całości.

Ponieważ pozostawianie znacznej ilości siły roboczej poza sferą produkcyjną, osłabia konsumpcję społeczną i popyt na rynku, neoliberalne środowiska, wspólne ze środowiskami prawicowymi i klerykalnymi rozważają i godzą się na stopniowe wprowadzenie tzw. dochodu obywatelskiego lub emerytury obywatelskiej. Jak na razie oligarchia bardziej skłonna do zwiększenia popytu ludności niezatrudnionej, niż zmniejszyć obciążenie pracą osób już zatrudnionych. Nie musi przeprowadzać wówczas reorganizacji w skali społecznej i ponosić wysokich kosztów ustawicznego kształcenia siły roboczej i przystosowania jej do nowoczesnych środków produkcji.

Einstein rozróżniał nadprodukcję (właściwą kryzysom kapitalistycznym) pozorną i rzeczywistą. To, co powszechnie przedstawiano się jako nadprodukcję, oznaczało, że w istniejących warunkach nie można było sprzedać wyprodukowanych towarów. Zdaniem Einsteina była to nadprodukcja pozorna. „W danym wypadku mamy do czynienia nie z brakiem zapotrzebowania, lecz z brakiem zdolności nabywczej u odbiorcy” (s. 125).

Wyjście z takiej kryzysowej sytuacji Einstein widział w dwukierunkowym działaniu. Po pierwsze, opowiadał się za likwidacją bezrobocia poprzez skrócenie czasu pracy. Nie określał jednak, do ilu godzin powinno się go skrócić. Uależniał to od konkretnych warunków i gałęzi gospodarki. Pisał: „Czas pracy tygodniowej w poszczególnych gałęziach produkcji należy tak zredukować w drodze ustawodawczej, aby w ten sposób można było systematycznie usuwać bezrobocie” (s. 127).

Kilka lat wcześniej Keynes w artykule z 1930 roku pt. *Economic Possibilities for our Grandchildren* (Ekonomiczne możliwości naszych wnuków) przewidywał

na koniec wieku możliwość skrócenia czasu pracy do 3 godzin dziennie lub 15 w tygodniu. Odrzucał więc neoliberalny dogmat, że rynek stanowił wystarczający mechanizm alokacji obecnych zasobów siły roboczej. Można z tego wyciągnąć wniosek, że w skali społecznej wyzwolenie i upodmiotowienie może być osiągane poprzez pracę i walkę, a nie w wyniku jakiejś zorganizowanej akcji charytatywnej. Dziś możliwym wyjściem ze strukturalnego bezrobocia wydaje się podjęcie walki o skrócenie czasu pracy co najmniej o dwie godziny dziennie.

Drugi kierunek proponowanych zmian przez Einsteina polegał na zwiększeniu siły nabywczej mas pracujących i przeciwdziałaniu jej spadkowi. Kryzys tkwił w samym mechanizmie rozwoju kapitalizmu. Sprzeczności społeczno-ekonomiczne sprawiają, że powstał pozorny paradoks, „główną przyczyną współczesnej nędzy stał się ten sam postęp techniczny, który mógłby zaoszczędzić ludzkości znacznej części wysiłku niezbędnego do utrzymania jej przy życiu” (s. 126).

Był przeciwny spadkowi zdolności nabywczej mas, mierzonej wartością nabywanych towarów, których ilość nie powinna spadać poniżej pewnego poziomu. Opowiadał się za państwową kontrolą cen towarów. Płaca minimalna powinna wzrastać – „trzeba zadbać, żeby zdolność nabywcza robotników odpowiadała rozmiarom produkcji” (s. 127). W ówczesnych warunkach zwiększenie siły nabywczej mas pracujących mogło oznaczać tylko zwiększanie udziału płac w wytworzonym PKB. Postulat ten aktualny jest i dzisiaj. Polska jest krajem, w którym udział płac w PKB jest jednym z najniższych.

Jego program-minimum w ramach gospodarki kapitalistycznej koncentrował się na trzech kwestiach. Uważał, że naturalnymi środkami prowadzącymi do usunięcia ówczesnych niedomagań w okresie Wielkiego Kryzysu były: „(1) Prowadzące do usunięcia bezrobocia ustawowe zmniejszenie czasu pracy, w połączeniu z ustaleniem najniższych płac, zezwalających na regulowanie zdolności nabywczej mas stosownie do rozporządzalnej dostępnej ilości dóbr. (2) Regulowanie obiegu pieniężnego i rozmiarów kredytu wraz z utrzymywaniem na jednym poziomie przeciętnych cen towarów i skasowaniem wszelkiego standardu monetarnego. (3) Ustawowe ograniczenie cen towarów, które wskutek kartelizacji lub monopolizacji znajdują się faktycznie poza obrębem wolnej konkurencji” (s. 128-129).

Einstein był świadomy, że realizacja programu-minimum nie doprowadzi do likwidacji strukturalnych sprzeczności kapitalizmu. Uważał, że „W ten sposób udałoby się może stworzyć równowagę pomiędzy produkcją a konsumpcją bez zbytniego skrępowania inicjatywy prywatnej, usuwając jednocześnie niezdolną przewagę właścicieli środków wytwarzania (ziemi i maszyn) nad robotnikami najemnymi, w najrozleglejszym tego słowa znaczeniu” (s. 128).

Nie rozpatrywał bardziej szczegółowo stosunków produkcji, a zatem i bezrobocia, jako stosunków wyzysku klasowego, m. in. tego faktu, że klasa wyzyskująca dąży do ich stabilizacji i reprodukcji właśnie także poprzez utrzymanie istniejącego podziału pracy. Wyjaśniając ten problem, Louis Althusser pisał, że

„»techniczny podział« pracy istnieje tylko w ramach ideologii klasy panującej: cały »techniczny« podział, cała »techniczna« organizacja pracy jest maską i formą społecznego (to znaczy klasowego) podziału i organizacji pracy. Reprodukacja stosunków produkcji może zatem być tylko przedsięwzięciem klasowym. Realizuje się ona poprzez walkę klas, która przeciwstawia klasę panującą klasie wyzyskiwanej»³. Hasło zaprzestania i zniesienia stosunku bezrobocia pozostaje więc abstrakcyjnym, jeśli nie stawia go jako zadania w walce klas.

Socjalizm wyjściem ze współczesnych sprzeczności

Einstein był zwolennikiem socjalizmu takiego, jak go wówczas pojmowano. Socjalizm oznaczał dla niego likwidację sprzeczności i głównych bolączek ówczesnego kapitalizmu. Chociaż sam był znanym fizykiem, to jednak pisał, że „Nie powinniśmy zakładać, że eksperci są jedynymi osobami, które mają prawo wyrażania swojego zdania na temat zagadnień wpływających na organizację społeczeństwa” (s. 215).

Zdaniem Einsteina jednostka ludzka w wyniku rozwoju kapitalizmu stała się bardziej niż kiedykolwiek świadoma swej zależności od społeczeństwa, „Lecz nie odczuwa tej zależności jako pozytywnego atutu, jako związku organicznego, jako opiekuńczej siły, lecz jako zagrożenie swoich naturalnych praw, a nawet swej ekonomicznej egzystencji. Co więcej, jej pozycja w społeczeństwie jest taka, iż nieustannie akceptuje się egoistyczne cechy jej natury, podczas gdy jej społeczne potrzeby, które z natury są słabsze, stopniowo schodzą na plan dalszy. Wszystkie istoty ludzkie, bez względu na swoją pozycję w społeczeństwie, cierpią z powodu tego procesu zaniku. Stając się w nieświadomy sposób więźniami własnego egotyzmu, ludzie czują się niepewni, osamotnieni oraz pozbawieni prostodusznej, prostej i niewyszukanej radości życia. Człowiek potrafi odnaleźć sens w tym krótkim i niebezpiecznym życiu jedynie poprzez poświęcenie się dla społeczeństwa” (s. 219-220).

Prawdziwym źródłem problemów była zdaniem Einsteina sprzeczność pomiędzy społecznym charakterem procesu produkcji a prywatną własnością jego środków. Podstawowym celem produkcji był i jest zysk kapitalisty. Właściciele środków produkcji ograniczali płace w imię zwiększenia podziału wytworzonej wartości na swoją korzyść. Można przyjąć założenie, że Einstein własnymi słowami przedstawiał teorię wartości dodatkowej Marksa. Pisał również o prawie koncentracji i centralizacji kapitału oraz panującej anarchii w całej gospodarce. „Rezultatem tych zmian jest oligarchia kapitału prywatnego, którego ogromnej potęgi nie można skutecznie kontrolować nawet w społeczeństwie, które politycznie zorganizowało się na wzór demokratyczny. Dzieje się tak, ponieważ członkowie organów legislacyjnych są wybierani przez partie polityczne, w dużej mierze finansowane lub w inny sposób wspierane przez kapitalistów, którzy dla celów praktycznych oddzielają elektorat od władzy ustawodawczej. W konsekwen-

cji przedstawiciele ludu w rzeczywistości nie chronią w wystarczający sposób interesów najuboższych warstw społeczeństwa” (s. 221).

Kapitałiści panują nie tylko w sferze ekonomicznej i politycznej, ale również w sferze ideologicznej, „bezsprzecznie kontrolują, bezpośrednio lub pośrednio, główne źródła informacji (prasę, radio, edukację). Jest zatem niezwykle trudno, a w większości przypadków wręcz niemożliwe, aby poszczególni obywatele mogli dojść do obiektywnych wniosków i w rozumny sposób wykorzystać przysługujące im prawa polityczne” (s. 221-222).

Celem produkcji kapitalistycznej był i jest zysk, a nie zaspokojenie potrzeb społecznych. Temu podporządkowana jest cała ekonomiczno-polityczna organizacja społeczeństwa burżuazyjnego. Pracownicy stale obawiają się utraty pracy. Bezrobotni i słabo opłacani pracownicy tworzą strefę ubóstwa. Generowanie zysku połączone z wolną konkurencją prowadzi do marnotrawstwa środków materialnych, siły roboczej i „upośledzenia świadomości społecznej jednostek” (s. 222).

Wyjście ze „śmiertelnego niebezpieczeństwa”, jakie niesie rozwój kapitalizmu, widział Einstein w utworzeniu socjalistycznej gospodarki planowej i systemu edukacyjnego nakierowanego na potrzeby społeczne. Własność środków produkcji powinna stanowić własność całego społeczeństwa, co pozwoliłoby racjonalnie dysponować siłą roboczą i zlikwidować bezrobocie. Einstein zdawał sobie sprawę, że nacjonalizacja środków produkcji i gospodarka planowa nie są w stanie rozwiązać wszystkich sprzeczności społecznych funkcjonujących w społeczeństwie kapitalistycznym. Przestrzegał przed hurraoptymizmem – „należy pamiętać, że gospodarka planowa nie jest jeszcze socjalizmem. Samej gospodarce planowej może towarzyszyć całkowite zniewolenie jednostki” (s. 223). Einsteinowi chodziło zapewne o krytykę sytuacji w ZSRR, gdzie jego zdaniem mniejszość sprawowała władzę nad większością społeczeństwa.

Einstein nie był w stanie przewidzieć, że własność znacjonalizowana, zostanie rozsadzona przez swoje wewnętrzne sprzeczności i doprowadzi do reprivatyzacji środków produkcji oraz upadku „realnego socjalizmu”. Dziś wielu polityków wypina piersi do odznaczeń za przyczynienie się do upadku „komuny”, a wewnętrznych sprzeczności gospodarki państwowej (niesłusznie utożsamianej z socjalizmem lub nawet komunizmem) nie próbuje nawet analizować, żeby nie pomniejszyć przypadkiem swoich wydumanych i wyolbrzymionych zasług w obaleniu wyimaginowanego komunizmu. „Realny socjalizm”, a słuszniej może wypadłoby powiedzieć „kapitalizm państwowy”, upadł w wyniku nie rozpoznanych w porę swoich wewnętrznych sprzeczności. A jeśli nawet sprzeczności te były rozpoznane, to nie było sił politycznych, które byłyby w stanie zmobilizować i pokierować resztą społeczeństw ku ich rozwiązaniu.

3 Louis Althusser, *Ideologie i aparaty ideologiczne państwa*, <http://recyklingidei.pl/althusser-ideologie-aparaty-ideologiczne-panstwa>, 25.02.2019.

ADAM KOMOROWSKI

SALON, KUCHNIA, ZAKŁAD PRACY

(na marginesach pół wieku korespondencji
Leszka Kołakowskiego i Andrzeja Walickiego)

We wspomnieniach rosyjskich dysydentów nieustannie powraca kuchnia. To w kuchniach Moskwy i Leningradu rodzi się i kształtuje antysystemowa myśl, opór i sprzeciw wobec realnego socjalizmu. W Polsce znaczenie kuchni jako matecznika oporu jest znikome. Tym matecznikiem nie są też salony czy mieszkania, ale zakłady pracy, przy czym pojęcie zakładu pracy należy traktować szeroko. Może nim być stocznia, huta, kopalnia czy fabryka, ale także redakcja, uczelnia czy instytut naukowy, np. Instytut Filozofii i Socjologii PAN. Ta różnica miejsca ma zasadnicze znaczenie dla zrozumienia odmienności sytuacji polskiej i w ZSRR. W Polsce (być może poza krótkim okresem lat 1949-1955) nie udało się władzy zapędzić krytycznej myśli do kuchni.

Władza oszukiwała samą siebie utrzymując, że matecznikiem antysystemowego oporu są salony. Fantasmagoria salonów jako kuźni oporu była próbą zamaskowania bezradności władzy wobec rozległych obszarów przestrzeni publicznej, które pomimo nadzoru służb wymykały się kontroli.

Problem polega na tym, że bajeczka o salonach jako źródłowym miejscu oporu wobec realnego socjalizmu zdominowała narrację po transformacji. Retrospektywne upodmiotowienie salonu (być może trafniejsze jest określenie Bronisława Łagowskiego „cygania polityczna”) jako czynnika sprawczego trwa do dziś. Najbardziej gorące spory dotyczą oceny roli określonych salonów, niektóre mają nadal „trzymać władzę”.

Katalizatorem sprzeciwu w Polsce nie były abstrakcyjne problemy ideowe czy ustrojowe. Były nim sytuacja i sens pracy w realnym socjalizmie. Erozia sensu pracy, niekoniecznie dotkliwosci materialnej gratyfikacji, dotyczyła wszystkich w PRL: naukowca i nauczyciela, elektryka i filozofa, stoczniońca i literata. Na salonach o tak przyziemnych troskach niezbyt wypadało rozmawiać. Dlatego protagonistami oporu wobec realnego

socjalizmu byli najczęściej ci, którzy na jakimś etapie włączyli się w jego budowę, uwierzyli w sens pracy dla kraju w realnie istniejącej Polsce. Tylko w wyjątkowych przypadkach wiązało się to z komunistyczną wiarą czy ketmanem. Opisała to dobrze profesor Hanna Świda-Ziemba w *Urwanym locie* i swoich dziennikach.

Ta wiara, jak w przypadku Leszka Kołakowskiego, szybko się załamywała. Nie mogło być inaczej, ponieważ monopol na bycie kapłanami komunizmu był ściśle reglamentowany. Mówiąc w skrócie – najwyższe funkcje kapłańskie były zastrzeżone dla obywateli przodującego państwa i przodującej partii, czyli ZSRR i KPZR. Złudzenie, że może być inaczej, kosztowało ideologów KPP życie. Rozwijający krytycznie marksizm Polak, Węgier, Niemiec czy Czech musiał zostać zepchnięty do roli rewizjonisty, podejrzanego nosiciela heterodoksji. Mit o Anteuszu, przywołany na końcu *Krótkiego kursu historii WKP(b)* przez Stalina, o tym przypominał. Niestety, niewielu czytelników znało tak dobrze grecką mitologię jak Stalin.

Zastąpienie marksowskiej „bazy” przez terytorium powodowało, że wiodąca myśl (czyli uznana za taką wersja marksizmu) mogła rozwijać się jedynie na określonym terenie, a jej protagonistami mogły być jedynie jednostki etnicznie z nim związane i na nim działające. „Nadbudowa” została związana z terytorium. Stalin, który w referacie *O brakach w pracy partyjnej* (został włączony jako zakończenie do *Kursu...*) wystąpił w roli hermeneutyka mitologii greckiej, zadeklarował to jednoznacznie.

W uważanej za zapowiedź odwilży, ciekawszej od *Odwilży* Ilji Erenburga, dziś niesłusznie zapomnianej powieści Władimira Dudincewa *Nie samym chlebem* (1956) bohaterowie, młodzi małżonkowie co noc odczytują sobie (nie wiemy czy przed, czy po akcie miłosnym) w łóżku fragmenty historii WPK(b). Być może byli nielicznymi, zważywszy na miejsce i czas lektury,

którzy stalinowską analizę przyczyn, dla których Herakles zdołał pokonać niezwyciężonego Anteusza (odrywając go od ziemi, co dawała mu jako synowi Gai siłę) traktowali poważnie.

Mówiąc w skrócie, postępową myśl polską mogła być tylko rozwinięciem inspiracji rosyjskich i radzieckich (sowieckich), polski marksizm mógł być tylko przypisem do historii marksizmu w Rosji i ZSRR. Konflikt Kołakowskiego z Władysławem Gomułką polegał na tym, że ten ostatni doskonale to rozumiał. W twórczym rozwoju marksizmu w Polsce, czego pragnął młody Kołakowski, widział niepotrzebne pole konfliktu z hegemonem zazdrośnie strzegącym monopolu ideowego. Uważał, że zachowanie rytualnych gestów poddaństwa w sferze idei jest wartą do zapłacenia ceną za poszerzenie suwerenności w praktyce gospodarczej, czy wręcz codziennego życia. W Październiku 1956 ekipa Gomułki wyznaczyła PZPR drogę świadomej rezygnacji z twórczego rozwijania marksizmu, zredukowała marksizm do rytualnych gestów. Z czymś takim Kołakowski nie mógł i nie chciał się pogodzić. W tym kontekście należy odczytywać jego najbardziej znany popaździernikowy esej *Kapłan i błazen*. Redukcja marksizmu do gestu poddaństwa była dla niego nie do przyjęcia, podobnie jak redukcja religii do gestu poddaństwa autorytetowi. Tej drugiej kwestii poświęcił Kołakowski jedną z najważniejszych swoich książek *Świadomość religijna i więź kościelna*.

Odejście Kołakowskiego od projektu suwerennego rozwijania marksizmu w Polsce okazało się tyleż konsekwencją jego samoświadomości jako myśliciela, co geopolitycznego uwikłania marksizmu w Polsce. Walicki nigdy marksistą nie był i to umożliwilo mu bardziej stonowaną ocenę Gomułki, przejścia od wiary do rytuału. Dla Walickiego było to uwolnienie od totalitaryzmu. Już nikt nie kazał mu wierzyć, władzę zadowalały gesty, z czasem sam brak ostentacji w nieuczestniczeniu w rytuałach.

Na pytanie, co jest głównym przedmiotem troski wymieniających listy – Leszka Kołakowskiego i Andrzeja Walickiego, można odpowiedzieć: praca. Stosunek do marksizmu, realnego socjalizmu i PRL jest konsekwencją ich poważnego stosunku do pracy. Walicki obstaje, że obszarem pracy w jego przypadku jest historia idei. Kołakowski akceptuje opinię Walickiego, że historia idei pozostawia spory margines swobody, ale sam nie rezygnuje z roli filozofa. Nieco skromniejszy w swoich ambicjach Walicki uważa się za historyka idei. Jest to kwestia temperamentów. W kwestii przedmiotu filozofii obydwoj zgadzają się, że jest to raczej poszukiwanie sensu aniżeli prawdy absolutnej.

Walicki jest człowiekiem niesłychanie wrażliwym. Na dodatek wrażliwość łączy się u niego z pamiętliwością. Pamięta o wiele więcej aniżeli jego adwersarze, którzy nad fluktuacjami swoich poglądów przechodzili do porządku dziennego zapominając dzisiaj to, co mówili czy pisali wczoraj. Z tej nadwrażliwości kolegi z pracy doskonale zdawał sobie sprawę Kołakowski, pisząc (5.11.2007): „Zauważyłem też, że nadal cierpisz z powodu głupiego zdania, które Kroński na Twój temat wypowiedział ponad pół wieku temu. Gdybym ja miał Twój stopień wrażliwości, spędzałbym życie na odpowiadaniu na różne ataki, które mnie spotykają nieprzerwanie od kilkudziesięciu lat”.

Paradoksalnie ta wrażliwość narasta wraz z transformacją (28.02.2001): „Otóż prof. W. Roszkowski pisze, że „zapiera mu dech” zakończenie tego artykułu (*Sprawiedliwość na pasku polityki. Polskie obrachunki z komunistyczną przeszłością*, „Przegląd Polityczny”, 1999, nr 40/41), bo neutralność państwa w sprawie interpretacji niedawnej przeszłości, to tak jakby neutralność sądu wobec wojny, podważyłem ponoć „podstawy cywilizacji”, możliwość zawierania umów, wydawania wyroków sądowych, więc jeśli ktoś mnie napadnie, to zgodnie z moim „relatywizmem” można będzie mówić, że napadłem na samego siebie. Albo Paweł Śpiewak dowodzący, że w istocie propaguję „obojętność wobec reguł etycznych” i „obojętność wobec Polski”, „zniszczenie moralne” itd. Nie powinienem się tym przejmować. Redakcja zaprosiła mnie do dyskusji, ale jednak... Mam już, przyznam, dość tego wciąż wyrażanego jeśli nie potępienia, to zdziwienia, że naruszam zasady jakiejś politycznej poprawności, albo „antykomunistycznej” lojalności. Razi mnie nawet chwalenie mnie za „odwagę” i „niezależność”. Jeśli to, co uważa się za „odwagę” i „niezależność”, jest miarą faktycznie istniejącego konformizmu i nietolerancji, to te pochwały są dla mnie złym świadectwem o tym, co uchodzi za normę i faktycznie jest normą”.

Paweł Śpiewak dziś zapewne nie chce i nie pamięta, że był prominentnym prekursorem walki o IV Rzeczpospolitą. Ale Walicki pamięta. W dużym stopniu lektura tych listów (zwłaszcza Walickiego, ponieważ Kołakowski problem nieco bagatelizuje) jest wstępem do fenomenologii „faktycznie istniejącego konformizmu” po transformacji, którego jądrem była „antykomunistyczna lojalność” paraliżująca krytyczną myśl.

Korespondencja dwóch myślicieli ujawnia podstawowy paradoks polskiego antykomunizmu. Tworzył on tak mocne więzi lojalności towarzyskiej, że wykluczały one krytyczną autorefleksję. Osobliwy terror dychotomicznego myślenia sprawiał, że realny świat ulegał coraz większemu rozdzieleniu. Prawda i dobro zostały utożsamione z antykomunizmem, fałsz i zło z komunizmem. Realny socjalizm był samym złem, a realny kapitalizm dobrem. W antykomunistycznym paradygmacie nastąpiło odwrócenie paradygmatu stalinowskiego. W stalinizmie (bo nie u samego Marksa) komunizm oznaczał samo dobro, a kapitalizm samo zło. Wszyscy zapominali o tym, co napisał George Meredith, ulubiony poeta Stanisława Brzozowskiego: „In tragic life, God wot, No villain need be!” („Dla życia tragedii, Bóg wie, Łotra nie trzeba!”), „Modern Love XVIII”).

Na straży przed myśleniem poza dualistycznym paradygmatem, które bez „łotra” obejść się nie może, stały z jednej strony „Policje – tajne, widne i dwupłciowe”, a z drugiej „towarzystwo”. Nie znam dobrych analiz środków dyscyplinujących pozostających w dyspozycji „towarzystwa”. Meredith dobrze wskazał ich źródłowy fundament, domniemanie istnienia „łotra”. To nie to samo co „koziół ofiarny” Rene Girarda. „Łotr” nie jest ofiarą. Można powiedzieć, że jako ofiara nie byłby nikomu potrzebny. On jest potrzebny jako ostrzeżenie. To sytuacja, którą przejmująco opisał Bolesław Prus w *Omyłce*. Ale najlepsze wprowadzenie do szczególniej modalności towarzyskiej stygmatyzacji znajduję w wierszu (jednym z hymnów Piwnicy pod Baranami) Wiesława Dymnego:

Na naszej wyspie
 Żyjemy wszyscy
 Śliczni i czyści
 Nagle do wyspy
 Płynie nieczysty
 Chrapie i sapie
 On nas na pewno
 Łajnem ochłapie
 Wszystko nam wyje
 Whisky wypije.

Towarzysko stygmatyzowany staję się człowiekiem nieczystym, skalanym, od którego można się zarazić. Nasz lęk przed towarzyskim napiętnowaniem należy bardziej do domeny tego co psychosomatyczne, aniżeli polityczne. W trudnej sytuacji podejrzenia o bycie nieczystym spotkanie człowieka, który nie obawia się od nas zarazić, ma skutki zbawienne. Pozwala zachować autonomię myśli i zaufanie do własnej wrażliwości. Sprawia, że nie widzimy w nich patologii czy ułomności. Kimś takim dla Walickiego był Kołakowski.

Oczywiście nie da się porównać skali represyjności stron. Socjalistyczne państwo miało do dyspozycji więzienia, drugiej stronie pozostawało stygmatyzowanie. Istnieje różnica w posługiwaniu się donosem i plotką. Ponieważ uwięzienie jest środkiem kontroli radykalnym, kosztownym i wymagającym dysponowania aparatem przemocy, trudniej jest je nadużywać aniżeli plotki. Więzienie jest dotkliwe dla każdego, wśród towarzysko napiętnowanych cierpią najbardziej wrażliwi.

Dynamika dualistycznego paradygmatu opartego na podziale komunizm – antykomunizm powoduje radykalizację stron. Przykładem skrajnym była stalinowska teza o „zaostrażaniu się walki klasowej w warunkach budowy komunizmu”. W przypadku transformacji w Polsce wszelka krytyka neoliberalnej polityki gospodarczej, na Zachodzie będąca czymś normalnym, była traktowana jako recydywa komunistycznej roszczeniowości (np. Józef Tischner). Kołakowski prywatnie podziela zastrzeżenia Walickiego do prywatyzacji i reprivatyzacji, ale wynoszenie ich na forum publiczne uważa za szkodliwe. Dlatego Walicki ma rację, kiedy pisze (23.04.2003): „Nie myślę, abym przesunął się «w lewo», sądzę raczej, że to świat naszego kręgu raczej przesunął się w prawo, a ja pozostałem tam, gdzie byłem”.

Ten „świat naszego kręgu”, o którym pisze Walicki, to głównie koledzy z Zakładu Historii Filozofii Nowożytnej IFiS PAN, rocznika *Archiwum historii idei i myśli społecznej*. Warto przypomnieć, że Kołakowski (pomimo pobytu zagranicą) pozostaje do końca urlopowanym pracownikiem tej instytucji. Walicki jako osoba w trudnym okresie po 1968 kierująca zakładem, pozostaje niewątpliwie dla Kołakowskiego gwarantem jej autonomii. Jednak przebywając zagranicą nie zawsze rozumiał jego wysiłki i unikanie spektakularnych gestów sprzeciwu wobec polityki władz.

Kwestią najbardziej jątrzącą był krytyczny stosunek Walickiego do Towarzystwa Kursów Naukowych (Latającego Uniwersytetu). Kołakowski nie rozumiał tego, co doskonale rozumiał Jerzy Szacki, odmawiając udziału w tej podziemnej inicjatywie. Nie chodziło w tym wypadku o konformizm polityczny (choć w wielu przypadkach zapewne działał), ale o niezgodę na dwójmyślenie. Przywołany w liście Walickiego motywuje swoją odmowę

faktem, że jego udział w „podziemnej” inicjatywie oznaczałby, że co innego wykląda studentom w salach państwowej uczelni, a co innego mówi w prywatnych mieszkaniach na spotkaniach TKN. Dla Walickiego stylizacja TKN na okupacyjne „tajne komplety” była uzurpacją, nieco błazeńskim naśladowaniem heroiczych gestów z przeszłości, a nawet prowokowaniem władz. Walicki nie miał specjalnych oporów wobec publikowania na Zachodzie i dlatego sam to robił. Cenzura publikacji w PRL była realnym faktem; to, o czym dyskutowano na uniwersyteckich seminariach, już jej nie podlegało.

Oczywiście na uczelniach nie brakowało „kutasów” (określenie pojawiające się w korespondencji), usiłujących budować swoją pozycję na podlizywaniu się władzy. Zapewne Walicki przypisuje zbyt wielką rolę ich izolowaniu jako zadaniu naukowca w realnym socjalizmie. Ale, z drugiej strony, Kołakowski samo istnienie „kutasów” w nauce wiąże z polityką władz, ustrojem. Tymczasem po transformacji „kutasy” bynajmniej nie zniknęły. Nastąpiło przesunięcie obszaru ich częstego występowania.

Siła bezwładu realnego socjalizmu sprawiała, że filozofię traktowano jako narzędzie legitymizacji *status quo*. Pod adresem filozofów formułowano i administracyjnie egzekwowano, z dość mizernymi skutkami, taki obowiązek. Nie można zapominać, że zanim odsunięto od nauczania w 1968 krytycznie nastawionych do *status quo* marksistów, jak Kołakowski, Adam Schaff czy Zygmunt Bauman, oni sami mieli niejaki udział we wcześniejszym odsunięciu od nauczania Romana Ingardena czy Izydory Dąbbskiej. Po transformacji ustrojowej oczekiwania filozoficznej legitymizacji nie były nowej władzy do niczego potrzebne. Jej najwięksi entuzjaści, jak Józef Tischner, szybko się zorientowali w tej materii. U innych, jak u Marcina Króla, tego typu refleksja pojawia się później. Ale to on jest autorem frazy „Byliśmy głupi”. Socjalizm i komunizm, deklaratywnie bliskie nauce, potrzebowały filozofów. Kapitalizm nie miał tego typu pretensji, legitymizowany miał być przez rynek, a nie myśl.

Nowa władza nie potrzebowała legitymizacji ze strony filozofii. Potrzebowała delegitymizacji odchodzącego do przeszłości państwa realnego socjalizmu, czyli PRL-u. Pomóc jej w tym mogła „polityka historyczna”. Ponieważ populacja historyków zawsze liczbowo przewyższała liczbę uprawiających filozofię (dyscyplinę, w porównaniu z historią, elitarną), to liczba „kutasów” okazała się tak liczna, że pozwoliła na ich instytucjonalizację. W przypadku względnie elitarnego grupy, którą stanowili w PRL filozofowie (jeszcze w latach 70. praktycznie wszyscy się znali), było to trudniejsze. Dodatkowo odróżniało ich to, że po 1956 roku utrzymywali stały kontakt z Zachodem, na przekór trudnościom paszportowym. Natomiast historycy wprzęgnięci w procesy delegitymizacji PRL, ograniczeni narodowym kaftanem, pomimo otwartych granic są niejako poza światem. Oni go nie potrzebują, ani świat ich nie potrzebuje. Jest kwestią dyskusyjną, czy potrzebuje ich państwo polskie, choć zdają się być niezbędni politykom.

Sama istota filozofii, jej uniwersalizm, sprawiała, że nawet będąc marksistą nie można się było od świata odizolować. Filozofia nie ma narodowego adresata, choć może on być odbiorcą preferowanym. Fenomenolog Ingarden, marksista Adam Schaff, tomista Albert Krąpiec, niedialektyczny materialista Leszek Nowak,

neopozytywista Kazimierz Ajdukiewicz czy reista Tadeusz Kotarbiński byli uczestnikami debaty, która wykraczała poza narodowe solipsyzmy. To samo dotyczy Kołakowskiego i Walickiego.

Oczywiście spierają się oni o Polskę, ale w głębszej warstwie jest to spór o kształt myśli liberalnej. W tym sporze Walicki jest bliżej J.S. Milla i Izajasza Berlina, a Kołakowski bliższy Henri Bergsonowi i egzystencjalistom. Metafizyczny temperament Kołakowskiego zderza się z historiozoficznym temperamentem Walickiego. Metafizyk ma poczucie humoru i dystansu, historiozof skłonność do powagi. Walicki nigdy nie wypowiedziałby słów: „mój nieśmiertelny wkład do filozofii polega na tym, że nie biorę jej całkiem serio”. (tako rzekł Kołakowski przyjmując doktorat *honoris causa* Uniwersytetu Łódzkiego).

Jeśli czytać tę korespondencję jako spór o zachowanie wolności i suwerenności badań naukowych czy myślenia w ogóle, to jest aktualny nadal. Dotyczy to także uwikłań ludzi nauki w aktualne spory polityczne, ich obywatelskiej wrażliwości.

Wbrew pozorom spór pomiędzy korespondentami nie był sporem pomiędzy „romantycznym” Kołakowskim i „pozytywistą” Walickim. Temu pierwszemu martyrologiczne gesty były równie obce jak drugiemu. Najlepszym dowodem jest jednoznaczne wsparcie, udzielone przez Kołakowskiego Walickiemu, podejmującemu się kierowania Instytutem, w niekomfortowej moralnie sytuacji, po wymuszonych wyjazdach z kraju Bronisława Baczki i jego samego.

Istotą konfliktu była odmiennność doświadczeń. Kołakowski, po tym jak Październik zawiódł jego nadzieje, całkowicie nie doceniał przemian dokonujących się w samym obozie władzy, w partii. Zapewne Walicki

przeceniał możliwości wpływu krytycznej inteligencji na ewolucję władzy i był zbyt przeczulony na jej prowokowanie. Można powiedzieć, że mylili się obaj. Ani KOR, ani TKN, ani „Solidarność”, ani Kościół, ani tym bardziej monumentalne dzieło rewaloryzacji polskiej myśli romantycznej i przedrewolucyjnej myśli rosyjskiej, dokonane przez Walickiego, nie były *conditio sine qua non* zapaści realnego socjalizmu. Można postawić pytanie, w jakim zakresie ją przyspieszyły. Odpowiedź nie jest łatwa, choć fakt, że spektakularne tąpnięcie realnego socjalizmu nastąpiło w Polsce, można wiązać z tym, że mieliśmy ich obu.

Czas PRL nie był dla polskiej myśli filozoficznej najgorszy. Kazimierz Ajdukiewicz, Izydora Dąbbska (której władza wyjątkowo uprzykrzała życie), Roman Ingarden, Tadeusz Kotarbiński, Mieczysław Krąpiec, Wacław Mejbaum (najbardziej nieprzejednany krytyk Kołakowskiego), Stefan Morawski, Andrzej Półtawski, Adam Schaff, Barbara Skarga, Stefan Świerżawski, Władysław Stróżewski, Jan Szewczyk i Władysław Tarkiewicz znaczyli swoją obecność dziełami i uczniami. Stosunki z władzą tej potężnej i zróżnicowanej gromady układały się różnie, ale nie musiała ustawiać się w kolejce po granty. Tej obecności mi w korespondencji brakuje (z wyjątkiem Tarkiewicza w listach Walickiego). Ale wielcy myśliciele muszą być egotykami. W ostateczności ich największą ambicją jest wyjaśnić coś samemu sobie. My, mniej pracowici i utalentowani, możemy się tylko uczyć.

ADAM KOMOROWSKI

Leszek Kołakowski, Andrzej Walicki. *Listy 1957 – 2007*, wyd. IFiS PAN, Warszawa 2018, str. 388.

Andrzej Pacuła

Kraków

(z cyklu „Notatki podróżne”)

Czy spisać wyznanie mędrca nad mędrcami, *

Powiedziane lekko: ja przegrałem życie. Nie tłumaczył

słowem, gestem, ani snami, czemu zgłosił fiasko

autobiograficzne? Był świadkiem konfesji tłum badaczy

gestów, był i dominikanin: o! nadziejo, łasko! Był mistrz

retoryki, coś mówił w milczeniu, a starzec uparcie

powtarzał: przegrałem – i stukał szklaną laską

w uniwersytecki parkiet.

**W październiku 2008 r. na spotkaniu z cyklu „Dorwać Mistrza”, zorganizowanym przez wydawnictwo ZNAK w Auditorium Maximum Uniwersytetu Jagiellońskiego – przed publicznością w liczbie grubo ponad tysiąc osób wystąpił Leszek Kołakowski. „Wystąpił” – jest akuratywnym określeniem, ponieważ filozof właściwie nie wygłosił wykładu, a raczej siedział, był, i z rzadka odpowiadał na pytania prowadzących spotkanie, którzy obficie perorowali na temat planety „Kołakowski”. W pewnej chwili, w trakcie kolejnej perory mistrzów ceremonii filozof, jakby mimochodem, powiedział: „ale ja przegrałem swoje życie”. Po chwili, czy to samego siebie utwierdzając w wypowiedzianych słowach, czy może też i dla słuchaczy, powtórzył: „przegrałem swoje życie”. Prowadzący usiłowali interpretować: co też filozof miał na myśli? Auditorium Maximum – milczało.*

JACEK WOJCIECHOWSKI

Z ROSJI: WIRÓWKA OPINII

Utarło się u nas – niestuszenie – że wszystko co w Rosji publicznie mówi się i pisze, jak też sygnalizuje przez internet oraz inne media, ma związek ze stanowiskiem tamtejszych władz. Owszem, część krążących treści zapewne tkwi w takich zależnościach, jak też niektóre opinie są z kolei ewentualnie kneblowane, ale to jest za duży i zbyt ludny kraj, żeby wszystkich przymusić do gadania jednym głosem, jak też do identycznego myślenia. Wypowiedzi bywają więc wielokierunkowe, nieraz nawet wzajemnie sprzeczne i przez te różnice dają znać o sobie odmienne sposoby patrzenia na świat, a także na siebie. Wszystko to razem składa się zaś na tamtejszą świadomość społeczną, niekoniecznie jednolitą.

O czym nie zaszkodzi wiedzieć, bo w końcu nie od wczoraj jesteśmy ze sobą *po sąsiedzku*. Sygnalizuję więc kilka przykładów myślenia, wzajemnie niekompatybilnych, ale oczywiście jest ich tam o wiele więcej.

Jeden z nich jest wyjątkowo paskudny, dlatego szczególnie wart wychwycenia, chociaż bez nadmiernej egzaltacji: to skrajność. Jakkolwiek bowiem wzajemnie za sobą nie przepadamy, to jednak przesadą byłaby sugestia, że tu i tam przyglądamy się sobie zawsze z nożem w zębach. Przekładnia niechęci istnieje, ale nie warto jej demonizować.

ROSYJSKI TRUMP

Paweł Grudinin, *Opyt „socyjalnowo ekstremista”*. Moskwa, Algoritm 2018, s.224, ISBN 978-5-907028-00-5.

Na okładce tej książki i na stronie tytułowej napisano półprawdę. **Paweł Grudinin** nie jest autorem książki w pełnym znaczeniu pojęcia autorstwa. Są w niej bowiem nie teksty autonomiczne, lecz wywiady z nim zarejestrowane w czasie kampanii prezydenckiej w 2018 roku – stąd liczne powtórzenia oraz czasem

nieścisłości – dopełnione dwiema wypowiedziami komentującymi, które sygnował **Jurij Boldyriew**, wicedyrektor Rosyjskiej Izby Obrachunkowej. Czyli: zawodowy polityk. W przeciwieństwie do Grudinina, który jest politycznym amatorem, mniej więcej takim jak obecny prezydent USA.

Inżynier mechanik Paweł Grudinin (l. 59) to dyrektor gigantycznego podmoskiewskiego agrokoncernu, tj. sowchozu im. Lenina, zaopatrującego stolicę w produkty żywnościowe. Złośliwi twierdzą, że po części nielegalnie, bo np. wbrew zakazom oferuje polskie truskawki jako swoje, ale nikt tego nie udowodnił. Zasłynął zaś z tego, że w swoim kombinacie karmi bezpłatnie dzieci pracowników i gwarantuje wszystkim darmowe leczenie, a zarobki gwarantuje na poziomie 45-50 tys. rubli miesięcznie (ok. 8 tys. PLN) z tym, że dzień pracy trwa tam średnio od godz. 6. do 22. Niechętni mu wypominają jednak, że sam zarabia wielokrotnie więcej, ale być może ma to uzasadnienie. W końcu drugiego takiego koncernu rolnego jak ten, którym kieruje, w całej Rosji nie ma.

W swoim czasie przestawił ten sowchoz na asortyment potrzebny Moskwie, odrzucając zaś wszystko co zbędne, oraz polikwidował bezużyteczne stanowiska pracy. Zorganizował sowchozowe przedszkole, park bajek dla dzieci, a także pałac kultury. W całym przedsiębiorstwie nie ma pijaństwa ani kradzieży. To z tego biorą się też dobre zarobki. Niechętni mu insynuują wprowadzić mało legalny leasing atrakcyjnych i kosztownych (rejon wszak jest podstołeczny) działek ziemi, ale i w tym wypadku żadnych dowodów nie ma.

W prezydenckich wyborach w 2018 roku, Grudinin wystartował jako wspólny kandydat komunistów (zamiast żelaznego uprzednio pretendenta A. Ziuganowa) oraz narodowców. Koalicja była co najmniej egzotyczna, a gdyby odnieść ją do nas, to wysoce nieprzyjemna. W swoich wystąpieniach programowych sugerował renacjonalizację przemysłu ciężkiego i wydobywczego

oraz – ogólnie mówiąc – wariantywną restytucję modelu ZSRR. Na samą myśl przechodzą ciarki...

W wyborach ostatecznie był drugi, zyskując 8,65 miliona głosów, czyli 11,77 proc. ogółu. To sporo. Twierdził potem, że byłoby tego więcej, gdyby wybory były uczciwe. Ale tak mówią zawsze i wszędzie wszyscy przegrani, więc to nie musi odpowiadać prawdzie. Książka zaś jest wyborem jego przedelekcyjnych wystąpień programowych, których – przy takim wyniku wyborczym – nie należy lekceważyć. Nawet jeżeli są bliskie tylko pokoleniom najstarszym.

O aktualnej władzy prezydenckiej w Rosji ma Grudinin opinię wysoce krytyczną. Uważa (nie tylko on), że Rosję opanowała bezkarna korupcja, a przyjaciele prezydenta – oligarchowie – po prostu rozkradają kraj. Trzeba więc odebrać im majątki oraz uprawnienia. Jak? Przez renacjonalizację przemysłowych gigantów. Przy jednoczesnej prywatyzacji przedsiębiorstw średnich i małych – czym różni się ta propozycja od idei sowieckich. Te zresztą poza tym absurdalnie idealizuje twierdząc, że były sprawiedliwe, bo... wtedy lepiej wynagradzano tych, którzy lepiej pracowali. Bajkopisarz! Plecie jak Pigmej o Grenlandii.

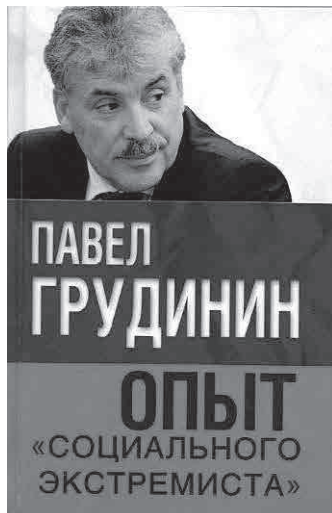
Być może natomiast ma rację sugerując, że rosyjskie społeczeństwo jest biedne, więc mało kupuje i wobec tego nie napędza produkcji towarowej, która spada. W dodatku ludzie uciekają ze wsi do miast i w następstwie w stanie krytycznym jest także rolnictwo. Dodatkowo *dobijane przez irracjonalnie wysokie podatki. Z których co najmniej 50 proc. powinno pozostawać na miejscu*, do lokalnej dyspozycji. Ale tak nie jest.

Jego zdaniem w Rosji jest ponad 20 milionów ludzi biednych, ale nie ma dla nich żadnego programu pomocowego. Władze nabijają kieszenie sobie, o innych zaś nie troszczą się wcale. Jednak porównawcze argumenty Grudinina zbijają z nóg. W tym kontekście twierdzi bowiem, że tow. Stalin nigdy nie chciał być bogaty, a W. Lenin miał koncepcje trafne (ale nie wskazuje, które).

Trudno nie złapać się za głowę. Oto kandydat na prezydenta ogromnego i w dodatku sąsiedniego kraju, o największym zbrodniarzu i mordercy w dziejach ludzkości, mówi oraz pisze *towarzysz* i to w tonacji pochwalnej. Niewiarygodne! Wszystkie granice głupoty zostały w ten sposób przekroczone. No więc jak nie obawiać się takiego pretendenta do prezydenckiego urzędu? A nie mam najmniejszych wątpliwości, że podobnie *myśli* (czy to aby jest myślenie?) tam wiele innych osób.

Kontynuując swój wątek naczelny, zresztą wielokrotnie powtarzany, Grudinin sugeruje, że oligarchiczne korporacje niczego do budżetu państwa nie wpłacają, ale Putin trzyma nad nimi parasol ochronny, bo to przecież jego ferajna. I chociaż deklarował kiedyś, że ukróci ich samowolę, to jednak wyeliminował nie więcej niż 10 krezusów, podczas gdy w to miejsce pojawiło się 89 następnych bogatych *kolesiów*.

Podobnej *społegliwości* brakuje natomiast w stosunku do gospodarki wiejskiej, która pogrążyła się w głębokim kryzysie i nie ma żadnego wsparcia. Ilustra-



cja: kiedyś produkowano w Rosji 100 milionów ton mleka rocznie, a teraz raptem 18 milionów. Dopłata do produktów rolnych nie przekracza statystycznie 500 rubli na hektar, natomiast w Europie Zachodniej wynosi nie mniej niż 500 euro. No i nie działają żadne bariery ochronne. Powszechnie omijany jest zakaz importu żywności (tańszej): sprowadza się ją masowo i nadaje lipny rodowód miejscowy. Wszyscy o tym wiedzą, ale nikt nie przeciwdziała.

W opinii Grudinina, szczególnie kiepska jest sytuacja rosyjskiej młodzieży. Na tyle zła, że z czasem może nawet doprowadzić do buntu. Brakuje miejsc pracy, a możliwości awansu są iluzoryczne. Na to zaś nakłada się jeszcze absurdalna tendencja w kształce-

niu akademickim. Wygenerowała się mianowicie mania studiowania byle czego; liczy się sam dyplom jako taki i w rezultacie brakuje potrzebnych specjalistów, a różni *dyplomanci* pętają się z kolei bez szans na zatrudnienie. Więc to także jest ślepy zaułek.

Natomiast o międzynarodowych relacjach Rosji ma Grudinin dość mętne, schematyczne i nieciekawe pojęcie. Uważa, że Zachód zawsze był do Rosji nastawiony źle, jakkolwiek *jakiś* kontakty jednak zachowuje, bo ma w tym interes. Ale wobec tego trzeba w postępowaniu być bardzo ostrożnym (moim zdaniem: wzajemnie). A już całkowicie antyrosyjska jest w jego opinii Ukraina, ponieważ teraz *banderowska* (czy ktoś z powtarzających ten epitet w ogóle wie, kim był i co robił Stepan Bandera?), więc jakakolwiek z nią uгода byłaby błędem. Tym bardziej że Krym zawsze był rosyjski (? – nie tatarski?), oraz rosyjski był Donbas (?). Od tego nieprzyjaznego wobec zagranicy bełkotu, różni się tylko enuncjacja, że jednak trzeba wspierać Syrię, bo to wypróbowany sojusznik Rosji.

Ze względu na przedwyborczy charakter pomieszczonych w książce wystąpień, przynajmniej kilka z nich zawiera elekcyjny program polityczny, mniej lub bardziej uporządkowany. Oczywiście teraz już wiadomo, że do realizacji nie dojdzie, ale to jest zarazem względnie rozległa i wolna od rządowej *smyczy* panorama obecnej Rosji oraz jej kłopotów, o których wie się u nas niewiele, dlatego ewentualnie warta rzutu okiem. Nawiasem mówiąc, naszkicowana pod abstrakcyjnym hasłem, że kraj z natury bogaty, nie powinien być biedny. No bo co jest miarą bogactwa i jak osiągnąć sukces?

Sztandarowy pomysł (nie tylko) Grudinina to podanie eksploatacji bogactw naturalnych rządowej kontroli, żeby – jak twierdzi – zyski z tego tytułu nie były rozkradane. Ta słuszna intencja, nie dałaby się jednak (podejrzewam) wprowadzić w życie tak łatwo. Ani też, podobnie postulat zróżnicowania podatków oraz obniżenia VAT, żeby produkcja była opłacalna. Niby owszem, ale co wtedy z budżetem państwa? Z tym problemem zmagają się przecie wszyscy i wszędzie. To na pewno nie jest takie proste, jak usiłuje wmówić dyrektor rosyjskiego pegeeru.

Być może natomiast lepiej jest uzasadniona opinia o koniecznym, zdecydowanym (choć... co to zna-

czy?) wsparciu wsi oraz całej gospodarki wiejskiej. Jak też sugestia szerokiego dopuszczenia konkurencyjności w produkcji, w handlu, a także w sferze usług. Ale czy obecne władze Rosji o tym nie wiedzą? A jednak z jakiegoś powodu nie wprowadzają tego wszystkiego w życie.

Natomiast sygnalizowana przez Grudinina koncepcja ekonomicznego uniezależnienia się od zagranicy, to odprysk powtarzanej w Rosji, a w różnych okresach nawet wykrzykiwanej legendy o odrębnej drodze rozwojowej – do czego odnosi się szczegółowo następna, sygnalizowana tu książka. Teraz tych powtórzeń, wyjątkowo głośnych, jest zresztą moc, z uwagi na stosowane wobec Rosji sankcje gospodarcze. Ale to jest *political fiction*. Nie istnieje cywilizowany kraj, który miałby szansę na stuprocentową autonomię gospodarczą. Powtarzanie więc takiego hasła to typowe branie rosyjskiego społeczeństwa pod włos.

W programie elekcyjnym znalazła się poza tym deklaracja dążenia do gwarantowanego ośmiogodzinnego dnia pracy – być może realna – oraz wyglądający na fikcję postulat ustalenia pensji minimalnej na poziomie 30 tys. rubli (ok. 5 tys. PLN) miesięcznie, a także emerytur w wymiarze nie niższym, aniżeli 50 proc. średniej pensji krajowej. W zestawieniu z ponurą wizją kraju niewydolnego ekonomicznie, którą Grudinin sygnalizuje we wszystkich wypowiedziach, to jednak jest ewidentna lipa serwowana wyborcom bez mrugnienia okiem.

Jest też propozycja ograniczenia kadencji prezydenckiej do 4 lat i wyboru tylko na jedną kadencję, z poddaniem jeszcze prezydenta kontroli parlamentu. To byłaby zasadnicza zmiana systemowa. Tak jak i postanowienie, że w sprawach szczególnie ważnych (lecz nie dookreślono, jakich) musiałby obowiązywać system powszechnych referendów. Ale Grudinin wyborów nie wygrał, więc do takich zmian nie doszło.

W jego deklaracjach programowych znalazł się jeszcze postulat budowy demokracji w Rosji. Dotyczący w szczególności wprowadzenia równości praw oraz niezawisłości sądów, o której nieraz mówiono, że tam nie istnieje, ale nie aż tak jednoznacznie i otwarcie. Zamierzeniem dodatkowym miałoby zaś być uporządkowanie relacji pomiędzy prokuraturą oraz sądami, obecnie *dziwnych*, oględnie mówiąc. Jest też w kilku wypowiedziach stwierdzenie, że procesy sądowe w Rosji aktualnie zmierzają do skazania, a nie do udowodnienia winy – i to trzeba zmienić koniecznie.

Bardzo konsekwentnie i drastycznie sygnalizuje Grudinin katastrofalny stan rosyjskiej służby zdrowia – co jest radykalnie sprzeczne z jej optymistycznym wizerunkiem w tamtejszej telewizji. Bezpłatność leczenia to podobno lipa. Doszło do likwidacji ogromnej liczby szpitali oraz poliklinik. Szerzy się alkoholizm i narkomania. Zdecydowanie osłabła rodność, a poważnie wzrosła w społeczeństwie śmiertelność. Sytuacja w tym zakresie wygląda więc na zatrważającą. Pada postulat, żeby na ochronę zdrowia przeznaczyć 7 proc. krajowego budżetu, ale to jest chyba zawracanie głowy – tak nie ma nigdzie na świecie.

Ponadto pojawia się jeszcze intencja zreformowania budownictwa mieszkaniowego w Rosji, a w tym – zmiany przepisów i norm. W budowanych obecnie mieszkaniach wielkości 25 m² w przyszłości nikt przecież nie będzie chciał mieszkać. Kontredans obietnic

dopełnia sugestia, żeby na edukację oraz na naukę przeznaczać po 7 proc. państwowych wydatków. Pytanie: gdzie tak jest oraz dlaczego nie po 17 proc? Jak szaleć, to szaleć.

Natomiast być może nie myli się Grudinin w opinii, że Rosja w swoim aktualnym *kształcie* wymaga wielu zasadniczych zmian. Oraz że takie nie nastąpią, jeżeli nie zmieni się cały system władzy.

W książce pojawiają się też dwukrotnie dłuższe wypowiedzi Jurija Bołdyriewa. To zawodowy polityk i zapewne źródłowy mentor byłego kandydata na prezydenta kraju.

Grudinin to polityczny amator i niedouczek, któremu Stalin mylił się z Robin Hoodem, a Związek Radziecki z rajem. W następnych wyborach najprawdopodobniej nie będzie już startował jako kandydat. Natomiast opinie Bołdyriewa, ewentualnie podrasowane, przedstawi zapewne inny pretendent, z naszego punktu widzenia są niekoniecznie pożądane. W każdym razie nie wszystkim.

Bołdyriew uważa, że obecny reżym nie upadnie sam. Dlatego potrzebna jest silna, zjednoczona opozycja i stąd wziął się sojusz komunistów z narodowcami – nawet jeżeli wydaje się dziwny. A kolejna kadencja W. Putina będzie najprawdopodobniej dla Rosji jeszcze gorsza aniżeli dotychczasowe.

Przede wszystkim dlatego, że nie ma żadnych konstruktywnych koncepcji rozwoju. A co gorsze: nie chroni się narodowych bogactw naturalnych (to częsty wątek opinii opozycyjnych). Prezydent wyodrębnił Syberię i Daleki Wschód spod ogólnego prawa i rządzi tam tylko on oraz jego świta, na dodatek z szerokim otwarciem tego regionu na imigrację, a wobec tego, być może, z czasem przestanie być rosyjski.

Zresztą w Rosji w ogóle rządzi klan oligarchów, którzy po prostu podkupują urzędników. Co jest wyjątkowo łatwe, skoro wicepremier zarabia 400 dolarów, a prezes banku 40.000. Tak napisano, ale nie wygląda to na prawdę.

To właśnie Bołdyriew – a Grudinin w ślad za nim – sygnalizuje niebywałe rozmiary korupcji. Uczestniczą w niej również organy kontrolne i w tym zakresie nie zmienia się nic. W swoim czasie Singapur i Chiny skutecznie przeciwstawiły się korupcji u siebie. W Rosji nikt tego nawet nie próbuje.

Bołdyriew (i nie tylko on – stąd idea *odrębnej drogi*) postuluje uniezależnienie się od zagranicy. To jest stare rosyjskie hasło, powtarzane od dawna, mimo że ani realne, ani rozumne. Przekształcone w mit absolutnie dysfunkcyjny. Dzisiaj nie istnieje kraj, który mógłby egzystować w całkowitej izolacji od reszty świata. Zamiast tego fikcjonalizowania, Rosji przydałaby się w relacjach zagranicznych większa elastyczność oraz redukcja wielkomocarstwowego zadęcia.

MIT WŁASNEJ DROGI

„Osobyj put’” strany. *Mify i realnost’*, red. Aleksandr Okołonskij, Moskwa 2018: Mysl, s.172, ISBN 978-5-244-01205-7.

W zupełnie innym i radykalnie pogłębionym ujęciu traktują o bieżącej rosyjskiej rzeczywistości naukowcy współautorzy książki o micie (właśnie) *odrębnej drogi*

w tamtejszej polityce. Racjonalna i krytyczna, liberalna wykładnia opiniotwórcza miesza się tu z niepokojącym przeświadczeniem, że oto Rosja zabrnęła w polityczno-ekonomiczny ślepy zaułek.

Władza mianowicie, zamiast szukać stosownych rozwiązań perspektywnych, zaczęła intensywnie lansować odgrzewaną ideę rosyjskiej *własnej drogi* ku przyszłości. Całkowicie lipną, legendarną; to w istocie jest jedynie koncepcja zachowania stanu dotychczasowego, blokująca jakąkolwiek innowacyjność. Poza tym utrwała represyjność rządzenia i sankcjonuje utratę pluralizmu – co daje władzy niejaki komfort, lecz złudny, ponieważ chwilowy. To jest prowizorka, która w dłuższej perspektywie może zaowocować dramatami.

Aleksander Okołowski z ogromnej i niezależnej moskiewskiej Wyższej Szkoły Ekonomicznej przyjrzał się bliżej właśnie tej idei *odrębnej drogi* rozwoju kraju, na którą powołuje się obecny rząd. Otóż takie hasło wcale nie jest wyłącznie rosyjskie ani nowe: ma za sobą setki lat i daleko mu do jednoznaczności.

Może być produktywnie albo destrukcyjne, zależnie od tego co wyzwala w praktyce politycznej. Albo personocentryzm, czyli tendencje demokratyczne, proobywatelskie, bądź też lansuje systemocentryzm, to znaczy nastawienie na autokratyczny centralizm i zachowawczą stabilność. Tak stało się za czasów L. Breżniewa – zamiast koniecznych reform i radykalnych zmian nastąpił zastój i degradacja organizmu państwowego. Górę wzięły rozwiązania służące wspieraniu władzy oraz rozplenity się hasła pseudopatriotyczne, w istocie zresztą nacjonalistyczne. Autor nazwał to socjalnym darwinizmem i zasugerował, że W. Putin dokonuje teraz *miękkiej* powtórki.

Ztym nie sposób dyskutować, choć jednak brakuje przypomnienia innych okoliczności. Otóż W. Putin przejął z rąk B. Jelcyna kraj w sytuacji tragicznej, co ludzie pamiętają. I skojarzenie z tamtym, wręcz apokaliptycznym stanem – uznanym za rezultat liberalizacji systemu – wciąż jeszcze działa jak hamulec.

W mniemaniu autora idea odrębnej drogi rozwojowej zdomowała się w Rosji za czasów Piotra I i – z krótkimi antraktami – przetrwała do epoki Stalina, a następnie w rozmaitych wariantach egzystuje tam do dziś. W przeszłości Rosja oglądała się na różne kraje, w tym także na Polskę, ale ukrócił to car Piotr I, który z niebывалым okrucieństwem zabrał się za utrwalanie despotycznego rygoryzmu połączonego z militaryzacją kraju. Na to samo zdecydowała się później (choć nie od razu) Katarzyna II, a ostatecznie *udoskonała* ten styl Józef Stalin. W sumie więc koncepcja odrębnej rosyjskiej drogi, pojmowana w gruncie rzeczy bardzo zamordystycznie, miała dużo czasu i okazji, żeby zakorzenić się tam dogłębnie. Czy na stałe?

Podobne pomysły władzotwórcze w innych krajach z czasem zazwyczaj ustępowały rozwiązaniom mniej lub bardziej demokratycznym. Jednak w Rosji – nie. Przeciwnie. A z tego kontrastu wyrosła obsesja, szeroko tam rozpowszechniona, że przez *inność* Rosji, cały świat jest do niej nastawiony nieprzyjaźnie. Stąd postawa głębokiej nieufności, a nawet wrogości – podbudowana wyabstrahowanym mitem szczególnej, bo posłanniczej, roli Rosji w wymiarze globalnym. Ciekawe, że nie przeszkadza temu krążąca z kolei opinia o narodzie (rosyjskim) jako jednak nieudanym.

Okołowski twierdzi (lecz źródeł nie zdradza), że ludzie w Rosji mają do władzy stosunek niechętny, lizusowski oraz przekupny. Nie buntują się więc, mimo że są traktowani instrumentalnie – jak szachowe pionki. Co młodszy zaś dają się brać na lep hasła postsowietickich (bo przecież ZSRR nie znają) i akceptują silną rękę władzy oraz nacjonalistyczne mity. A tych jest mnóstwo, bowiem prorządowe media lansują argumenty z przeszłości – świeżych wyrażnie brakuje – i sprzyjają inwazji głupoty, do czego przyczyniają się również niektórzy, mocno lizusowscy pracownicy nauki. W rezultacie, idea odrębnej drogi jest szeroko akceptowana i przeciwdziała ewentualnym próbom reform rzeczywistych.

Rozbudowany i wysoce kompetentny komentarz do teorii *własnej drogi* przedstawił **Dmitrij Trawin** z niewielkiego lecz elitarnego Uniwersytetu Europejskiego w Sankt Petersburgu. W jego

ujęciu to jest koncepcja obecna w różnych okresach w wielu krajach na świecie, ale ostatecznie modyfikowana i w końcu odrzucana, jednak nie w Rosji, gdzie wciąż podlega restytucji.

Był czas, że za naród inny i wybrany uważali się Anglicy, szczególnie w czasach imperialnych, a także zafascynowani Napoleonem Francuzi oraz co najmniej dwukrotnie Niemcy już to za sprawą Lutry, bądź później Hitlera – zaś w Azji Japończycy. Także Polacy – zdaniem Trawina – zbudowali sobie legendę pochodzenia od Sarmatów, a później w oparciu o splot wydarzeń uznali się za opokę chrześcijaństwa. O boskim namaszczeniu oraz specjalnym statusie narodowym opowiadają o sobie Serbowie. Jednak wszędzie opinie o tych wyjątkowościach zostały w całości bądź w znacznym stopniu wykasowane i zastąpione ideami demokracji. Wszędzie – poza Rosją.

Bo Rosja, usytuowana na peryferiach Europy i Azji, od dawna eksponuje swoją inność tak za sprawą lokalizacji terytorialnej, jak też pod wpływem odmiennej religii, a zwłaszcza prawosławnego mesjanizmu. Dodatkowo utrwalaną regionalnie przez agresywny panslawnizm, a także w następstwie wspomnień o imperialnej potęgce, którą prawie wszyscy tam chcieliby odtworzyć – i już nieważne, że nikt nie wie, jak.



Mit odmienności konkretyzuje się nawet poprzez skrajności. Otóż krążące nad Wołgą własne opinie o sobie nie zaprzeczają, że chłja się tam wodę na potęgę, ale jednocześnie sugerują, że naprawdę jest do zrealizowania misja ratowania świata. I właśnie z tą ogólną legendą nie współgrają pomysły modernizacyjne. No bo skoro świat *oczekuje* rosyjskiego zbawienia, to nie ma czasu na jakieś innowacyjne korekty. Byłoby to bowiem odstępstwo od głównego kierunku marszu. Odrębnego, własnego i mesjanistycznego.

Cały wywód Trawina jest rzeczowy, spokojny, podbudowany racjonalnymi argumentami. I właśnie z tego powodu budzi niepokój. Sugeruje bowiem, że ujawniona tendencja jest trwała. A to źle nie tylko dla Rosji.

Co potwierdza i uzasadnia historycznie **Giennadij Aksjenow** z Rosyjskiej Akademii Nauk. Twierdzi mianowicie, że już dawno carowie uznali siebie i Rosję za instancję przynajmniej dla Słowian – przywódczą. To przeświadczenie, poparte odmiennością kultury, języka oraz religii, z czasem przyjęło się zaś jako przesłanka odrębnej drogi samej Rosji – a także satelitarne podporządkowania reszty Słowiaństwa. Dopowiem, że to rzeczywiście widać: w reakcjach rosyjskich na sytuację języka rosyjskiego w innych krajach oraz na próby wyemancypowania się narodowych cerkwi spod moskiewskiego przywództwa.

Na użytek zewnętrzny formułowano rozmaite koncepcje cywilizacji, zawsze jednak rosjocentryczne – więc ruską, rosyjską, panslawistyczną oraz jeszcze do tego prawosławną. Później ta idea odrodziła się w marksistowskiej ideologii sowieckiej, a ostatnio została na nowo podbudowana przez agresywną postawę antyamerykańską.

W relacjach wewnętrznych natomiast narzędziem głównym, lansującym zarówno odmienną funkcjonowania (w końcu Rosjanie jeżdżą po świecie i widzą), jak i prawo do globalnego przywództwa, stało się magiczne słowo Rosja, narzucające też plemienne pojęcie narodu. W takiej perspektywie jednostka nie może być wolna, bo jest przypisana do plemienia i ma wobec niego do spłacenia dług.

Jeszcze bardziej wieloaspektową analizę koncepcji *odrębnej drogi* przedstawił też **Wiktor Szejn**, również z Rosyjskiej Akademii Nauk. Jego zdaniem rosyjskie społeczeństwo na ogół nie rozumie, o co w tej idei chodzi, a popiera ją nie więcej niż 16 proc. Obywateli, ale ujawnia się skłonność do akceptowania dowolnego pomysłu, byle tylko warunki życia były znośne. I władza o tym wie. A na wszelki wypadek lansuje opinię, że kraj nie jest zapóźniony, lecz inny.

Historycznie zakorzenione teorie *innej drogi* próbowano w przeszłości zmieniać kilka razy. Taką próbą była lutowa rewolucja w 1917 roku, kiedy udało się usunąć nieudolnego cara, ale potem z kolei nie umiała rządzić inteligencja, więc przegrała. W zamian bolszewicy skonstruowali system niewolniczy.

Próbie późniejszą stanowiła *pierestrojka* i zwrot ku gospodarce rynkowej. Reżym zmiełł wtedy wprawdzie, lecz tylko częściowo, a Jelcyń wkrótce przywrócił jedynowładztwo, chociaż nieudolne. W każdym razie demokracja i tym razem nie zwyciężyła. Odrodził się autorytaryzm, a zachowawczy konserwatyzm zaowocował stagnacją i apatią. Tak, jakby wydano komendę *cała wstecz*.

Rozpanoszyła się nowa biurokracja, a rząd oraz prezydent są ponad parlamentem. Elita polityczna akceptuje taki stan, a i większość społeczeństwa nie jest przeciwna, bo władza potrafi rozładowywać napięcia drobne i lokalne. Jednak nie wiadomo, czy upora się z dużym kryzysem ekonomicznym, który wydaje się wysoce prawdopodobny, a być może nawet nieuchronny.

Na razie W.Putin wygrał wybory zdecydowanie. Posłuszne mu media spełniają bieżące zadanie lansując mit *odrębnej drogi*, jako swego rodzaju fetysz i skutecznie oślepiają społeczeństwo. Zatem – wyjąwszy niewielką część inteligencji – społeczne poparcie dla władzy jest. Ale tak nie musi być bez końca, zwłaszcza jeżeli standard egzystencji uległby pogorszeniu.

Sygnalizowana książka jako całość ma charakter diagnostyczny. W rozmaitych ujęciach analizuje aktualność Rosji – ewentualnie przedkryzysową – w stopniu (jak sądzę) dotychczas słabo u nas znanym. Z kolei świat koncentruje się głównie na rosyjskich przedsięwzięciach politycznych oraz militarnych, które są jednak uwarunkowane społeczną i ekonomiczną sytuacją Rosji oraz historyczno-mentalnościowym nawisem nad przekonaniem.

W świetle przedstawionych argumentów cechą tamtejszej aktualności jest bardzo krucha stabilność. Jeżeli to prawda, to nie ma przesłanek dla dobrej prognozy – w odniesieniu nie tylko do samej Rosji. Bo to jednak jest kraj o znaczeniu globalnym.

O postępowaniu naprawczym nic nie napisano w tej książce. Być może dlatego, że nie da się pomieścić wszystkiego w jednej publikacji. Ale może być i tak, że skutecznych a przy tym koniecznych realnych sposobów zaradczych (na razie?) nie widać. I to byłoby bardzo źle.

EKSPLOZJA NIENAWIŚCI

Armen Gasparian, *Łoż pospolita*, Sankt Petersburg 2018, Izdatielstwo Piter, s.192, ISBN 978-5-4461-0806-0.

Bardzo rzadko trafiam w bieżących publikacjach rosyjskich na tematyczne wątki polskie. Nie jesteśmy tam w centrum zainteresowania, to oczywiste i zrozumiałe. A czasami nawet dobre.

Oto bowiem już któraś z nielicznych książek o nas, jakie znalazłem tam w ciągu ostatnich lat, jest kłamliwa i agresywna – wręcz bryzgą jadłem nienawiści. Ciekawe, że za każdym takim przypadkiem napaści ciągną się jakieś nitki powiązań ze służbami specjalnymi. Tak jakby miała to być realizacja jakiegoś zadania, dajmy na to że propagandowego – niekoniecznie z inspiracji władz. Prymitywne wykonanie wskazuje raczej na samodzielną inicjatywę oficerów niższej rangi.

Bezpośrednim producentem takiego tekstu (według mnie wyjątkowo wrednego) jest tym razem pół-Gruzin z Sankt Petersburga, **Armen Gasparian**, jak dotychczas autor szeregu relacji o działaniach rosyjskiego wywiadu. Tytuł idealnie przystaje do zawartości, tyle że wbrew autorskim intencjom odwrotnie: to kontrendans różnorodnych, rzeczywiście ordynarnych łgarstw na polskie tematy. Chyba tylko jeden szkic zawiera tych kłamstw ewentualnie nieco mniej, mianowicie dotyczą-

cy smoleńskiej katastrofy. Ale z kolei, jeszcze bardziej niż pozostałe, zionie toksyczną nienawiścią z personalnym ukierunkowaniem na osoby, które już nie żyją. W cywilizowanym świecie funkcjonuje reguła: *de mortuis nihil nisi bene...*

Nakład tego zapisu – 4500 egzemplarzy nie wydaje się jak na Rosję wygórowany, ale tam tak właśnie najczęściej wydaje się teraz książki. Przy wykorzystaniu bibliotek *jakiś* obieg mogą te insynuacje mieć. Przeciętny Rosjanin nie ma zaś możliwości zweryfikowania, co w tych wypowiedziach jest prawdą, a co kłamstwem, wszystko więc przyjmie jako prawdziwe. I pogłębi swoją polonofobię.

A ona tam istnieje – tak jak i u nas istnieje rusofobia. Gasparian (nie podając źródła) twierdzi, że Rosjan nie lubi 81 proc. Polaków. Może kłamie, a może nie. Ale to niczego nie wyjaśnia, jeżeli nie wie się nic o rozbiorach lub o masowych zsyłkach naszych rodaków na Sybir, Otóż w Rosji mało kto o tym wie.

Najdalej cofa się autor w czasie do polsko-sowieckiej wojny w 1920 roku, w której – jak podaje – walczyło 90 tys. żołnierzy sowieckich, oraz 80 tys. polskich. Podrzuca też liczby kolejne. Otóż według niego, w walkach na ziemiach polskich zginęło 25 tys. Rosjan, do niewoli trafiło 66 tys., a 50 tys. internowano w Prusach Wschodnich. Nic się nie zgadza! Wynikałoby, że ocalili tylko Tuchaczewski z Budionnym, ale autorowi to nie przeszkadza: brnie dalej. Twierdzi więc, że rosyjskich jeńców było... 157 tys., albo może nawet 216 tys. (!) – według polskich źródeł 18 tys. – a do domu wróciło potem tylko 67 tys. Z tego wynikałoby, że zginęło 90 tys. To są bujdy na resorach, jakkolwiek te straty były rzeczywiście znaczne.

Alte trzeba dopowiedzieć, że nasz kraj jako państwo dopiero zaczynał wtedy egzystować: panował powszechny głód oraz niewyobrażalna nędza. Ta niewątpliwa tragedia – niezależnie od jej rzeczywistych rozmiarów – była więc głównie rezultatem okoliczności, a nie działań intencjonalnych. Tymczasem Gasparian wmawia czytelnikom, że to właśnie ówczesne polskie ośrodki jeńckie – nie syberyjskie łagry bądź niemieckie kacyty – były pierwszymi na świecie obozami śmierci. To jest oczywisty publicystyczny bandytyzm.

Od pewnego czasu mnożą się w Rosji wypowiedzi facetów, o zapatrywaniach ewidentnie postsowieckich, w obronie rosyjskiej cerkwi prawosławnej. Nasilone ostatnio wobec schizmy (przyporządkowania się do Stambułu) cerkwi ukraińskiej. Wszyscy nagle *zapomnieli*, że przez 80 lat W.Lenin i jego ferajna, a potem następcy dławili tę cerkiew na różne sposoby. W niektórych łagrach prawosławni duchowni stanowili większość osadzonych. No a teraz *wilki* wylewają krokodyle łzy nad *owcami*.

Nie inaczej Gasparian. Sygnalizuje mianowicie, że w Polsce międzywojennej zlikwidowano 45 proc. cerkwi. Może to prawda, a może nie. Wyjechała wtedy z Polski cała armia carskich urzędników, toteż wiele z tych przybytków straciło rację bytu. Część zaś przekształcono w kościoły unickie, gdzie przeszli też co młodsi wyraźnie propolscy duchowni prawosławni reagując tak na doniesienia, co w ZSRR wyprawiają z cerkwi bolszewicy, burząc je lub zamieniając na magazyny. W 1931 roku, 5 grudnia, zburzono

w Moskwie Sobór Chrystusa Zbawiciela – największą na świecie świątynię prawosławną. Do tego autor nie nawiązuje nawet jednym słowem, no bo *żli Polacy* nie mieli z tym nic wspólnego.

Natomiast rzeczywiście w 1926 roku, za składowe pieniądze, rozebrano sobór Aleksandra Newskiego w Warszawie, zresztą rozsypujący się po wojennych przejściach. To było posunięcie polityczne: usunięto z centralnego miejsca w stolicy (Plac Saski) piętno zaborczego rosyjskiego panowania. W Rosji mało kto to rozumie i autor cynicznie szczuje czytelników. Ale prawda jest taka, że i dzisiaj całe zamieszanie wokół cerkwi ma charakter polityczny, a nie ekumeniczny.

W odniesieniu do paskudnego, intertotalitarnego paktu Ribbentrop-Mołotow z 1935 roku autor *tłumaczy*, że inne kraje zachodnie odmówiły układu z ZSRR, ale jak sam dodaje: ta odmowa miała miejsce w 1939 roku (!). Poza tym kłamie, bo ciut dalej przypomina polsko-sowiecki pakt o nieagresji z 1932 roku – oczywiście złamany przez sowiecką inwazję na Polskę w 1939 roku. Zdaniem Gaspariana wtedy Polski już nie było, więc umowa nie obowiązywała. Argument całkowicie bandycki, tym bardziej że 17 września 1939 roku Polska istniała nadal.

No to jest inne *wytłumaczenie*: ZSRR nie zajął terytoriów polskich, ale je odebrał (!). A z kolei – wedle tej samej wersji – zajęcie krajów nadbałtyckich było krokiem wyprzedzającym niemieckie zakusy (pomimo paktu?). I zresztą była temu częściowo winna także Polska, ponieważ w 1933 roku nie chciała podpisać układu o granicach Litwy, Łotwy i Estonii...

Cała ta bełkotliwa wypowiedź nie zawiera żadnego stwierdzenia, które miałoby się jakoś do prawdy i zasługiwać na uwagę. To tylko kłamliwe szczekanie i hałas. Zapewne w przewidywaniu, że nie każdy wnika w sens dźwięków oraz zapisów.

Odnosząc się zaś do **zbrodni katyńskiej** Gasparian usiłuje prymitywnie podważyć nawet te ustalenia, które strona rosyjska już akceptowała. Przypomina więc, oczywiście, łgarskie *orzeczenie* komisji Burdenki, że oprawcami byli tam Niemcy. Jakkolwiek po latach sam Burdenko przyznał, że sprawstwo Rosjan było oczywiste. Później zresztą odkryto rozmaite dokumenty, w tym stosowny rozkaz podpisany przez J. Stalina, co autor przemilcza, a za to pisze (też stary odgrzewany pseudoargument), że zabijano z broni niemieckiej – nie dopowiadając, że właśnie taka była wtedy na wyposażeniu NKWD.

Następnie zaś podsuwa niby wątpliwość, że znalezione tam zwłoki nie były polskie (!). No bo przy zabitych odkryto dokumenty identyfikacyjne, a takich nie pozostawiliby przecież oprawcy, więc musiały być podrzucone. Proste wyjaśnienia są co najmniej dwa. Po pierwsze: charakterystyczne rosyjskie niechlujstwo. Po drugie zaś – nikomu wtedy na pewno nie przyszło do głowy, że ktoś będzie kiedykolwiek dociekał prawdy.

Zawarty w tych komentarzach autorski zamiar jest prymitywny jak cep. Podważyć choćby w drobnym stopniu potwierdzoną już prawdę i zasiał ziarno wątplenia przy zlekceważeniu faktu, że przecież zamordowano tysiące ludzi. Kategoria śmierci nie wywołuje u tego faceta jakichkolwiek odczuć. A za wystarczającą

rekompensatę uznaje za zdarzenie, że W.Putin przykleił ją przy pomniku katyńskim.

Uwagi o **powstaniu warszawskim** nie odbiegają od tego, co w ZSRR pisywano na ten temat od dawna, tyle że są głównie szczegółowe, więc w potocznym obiegu niemożliwe do weryfikacyjnego sprawdzenia. Można łączyć bez umiaru. Jest zatem sugestia, że działaniami powstańczymi sterował emigracyjny rząd polski – ten sam (!), który w 1939 roku uciekł z kraju. Oraz znalazło się przypomnienie wypowiedzi W. Mołotowa, że nikt Rosjan o planie powstania nie uprzedził. To dlatego Armia Czerwona nie przyszła z pomocą, a poza tym (twierdzi Gasparian) była wyczerpana dotychczasowymi bojami. Jednak pisząc, że Stalin zabronił wtedy samolotom alianckim lądowania na sowieckich lotniskach w pobliżu Warszawy – dla wsparcia powstańców – nie tłumaczy już powodów takiej decyzji.

Zmęczenie... Spod warszawskiej elektrowni widzieliśmy wtedy na praskim brzegu Wisły sowieckie działa przeciwlotnicze, kiepsko zamaskowane. Kiedy nurkujące *stukasy* demolowały Powiśle, żadne z nich nie wystrzeliło. Z powodu zmęczenia? To był ewidentny antrak i nieformalny rozejm na czas wyniszczenia miasta.

Gasparian przypomina też głośne ekscesy niemiecko-rosyjskiej brygady grenadierów SS RONA gen. Kamińskiego, wyróżniającej się wtedy szczególnym okrucieństwem. Cokolwiek powiedzieć, to jednak byli Rosjanie. Tymczasem w tekście jest próba *tłumaczenia*, że to przestępcy i renegaci, więc ich zbrodnie nie mogą obciążać rosyjskiego konta.

Do tego jest dolepiona – ni w pięć, ni w dziewięć – pretensja, że w Polsce sławi się dokonania AK, podczas gdy o AL żadnych wzmianek nie ma. Na dodatek, zakazany (?) został serial *Stawka większa niż życie*.

To mnożenie detalicznych nonsensów i kłamstw, dla Rosjan niemożliwych przecież do zweryfikowania, nie jest bezmyślne ani bezcelowe. Tworzy się bowiem w ten sposób abstrakcyjny wizerunek spineglitych i wspinałomyślnych Rosjan oraz zawziętych i nieudzięcznych Polaków. Dlaczego statystyczny czytelnik tam miałby temu nie wierzyć?

Z tej spineglitości – zdaniem Gaspariana – Związek Radziecki podarował Polsce część Prus Wschodnich (nie ma rozliczenia, co zabrał), oraz przyczynił się do odbudowy Warszawy. Okazuje się, że naszą stolicę odgruzowywali czerwonoarmiści, czego jakoś nikt tutaj nie zauważył. Także restauracja stołecznej Starówki dokonała się dzięki radzieckiej pomocy. W tym kontekście nie bardzo wiadomo, na co przeznaczano wtedy środki, pochodzące z masowych zbiórek na SFOS.

Mocno pobudzająca emocjonalnie jest poza tym autorska eksplikacja, że zaraz po wojnie codzien-

nie szły z ZSRR do Polski transporty z żywnością oraz z odzieżą. Czego wprawdzie tam dramatycznie brakowało, ale jednak Związek Radziecki dzielił się z bratnią Polską, czym mógł. Sęk w tym, że według absolutnie powszechnych opinii tutejszych, te transporty podążały w kierunku dokładnie odwrotnym.

W relacji o katastrofie smoleńskiej przekłamań jest

jakby mniej. Oczywiście – na ile można to stwierdzić. Sugestię wybuchu autor kwituje stwierdzeniem, że ewentualny ładunek musiałby być podłożony w Warszawie. Jaka sugestia – takie skwitowanie.

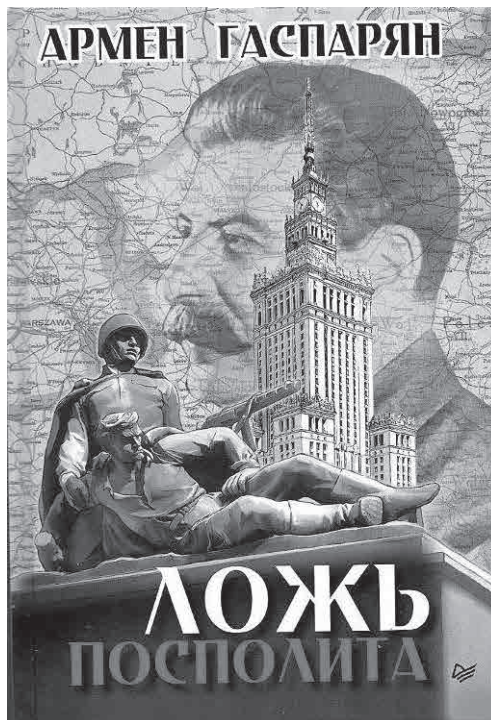
Jest tam również informacyjny szczegół, który u nas był kolportowany słabo lub wcale. Otóż główny pilot samolotu do Smoleńska wcześniej leciał z Lechem Kaczyńskim do Gruzji jako drugi pilot. Wtedy też trzeba było zmienić miejsce lądowania, na co prezydent nie chciał się zgodzić, ale pierwszy pilot nie posłuchał go jednak i stracił przez to posadę. To rzeczywiście mogło utknąć w podświadomości jego pomocnika i ewentualnie w Smoleńsku dało o sobie znać.

Tonacja tego szkicu jest wstrętne. Odnosi się wszak do osób, które zginęły. Lech Kaczyński nie był przyjacie-

lem Rosji, ale też nie zrobił niczego, co uzasadniałoby wobec niego pośmiertne inwektywy.

Książka Gaspariana w jakimś stopniu – oby minimalnym – pogorszy wyobrażenia rosyjskich czytelników o Polsce i bez tego mało przyjazne. Ale jest coś jeszcze. Mianowicie to jest gotowy, *podręczny* rejestr kłamliwych wobec nas zarzutów i insynuacji, do ewentualnego wykorzystania *w razie potrzeby*. A tak już bywało, nie tylko w ukraińskim kontekście, że półprawdy i nieprawdy stawały się nieoczekiwanie pretekstami do radykalnego uagresywnienia rosyjskiej polityki. No i to zawsze było, jest oraz będzie wyjątkowo niebezpieczne.

Poza tym wykluwa się również odniesienie perspektywne. Mianowicie władze na Kremlu młode nie są i wymiany pokoleniowe nastąpić muszą – w czasie niekoniecznie odległym, może jednej prezydenckiej kadencji? Perspektywa, że w przyszłości jakiś wpływ na rosyjską politykę mogą mieć faceci pokroju i mentalności Gaspariana, ale nawet Grudinina – takich zaś *trochę* tam jest – to prawdziwy horror. Z drugiej strony: to jest duży kraj i są tam też ludzie myślący inaczej. W sumie wirówka opinii jest na pewno bardziej różnorodna, a stąd zaś bierze się nadzieja na alternatywę lepszą.



TRZY WCIELENIA JÓZEFA KLASY:

dyplomata, polityk, biznesmen na emeryturze

FILIP RATKOWSKI: **Panie ambasadorze... Po co jedliśmy tę irańską żabę?**

JÓZEF KLASA: W ubiegłym roku prezydent Donald Trump zdecydował o wyjściu z międzynarodowego porozumienia, które przewidywało zamrożenie irańskiego programu nuklearnego w zamian za zniesienie sankcji, mimo że Iran stosował się do zapisów umowy. Nikt z jej pozostałych sygnatariuszy – Rosja, Chiny, Wielka Brytania, Francja, Niemcy – do USA się w tej sprawie nie przyłączył. Trumpowi przyklasnęły Izrael i Arabia Saudyjska, mają bowiem w tym żywotny interes.

Natomiast nasza sytuacja dla wielu krajów jest niezrozumiała. Zaczęto się od rzeczy bez precedensu, bo sekretarz stanu USA Mike Pompeo publicznie zapowiedział konferencję w Warszawie o wyrażnie antyirańskim ostrzu, nie czekając na stanowisko polskiego MSZ, a potem było już tylko gorzej. Cała ta, jak oświadcza Teheran „antyirańska heca”, była wyrażnie bojkotowana przez europejskich członków NATO i gdyby ktoś chciał poróżnić Zachód w tej sprawie, to taką właśnie konferencję by zorganizował. W dodatku nie przyjechali istotni w tej grze przedstawiciele Rosji ani Turcji, którzy w tym samym czasie, razem z Iranem, obradowali w Soczi nad pokojem w Syrii.

W efekcie mieliśmy buńczuczne przemówienie premiera Izraela Beniamina Netaniahu, któremu przysłuchiwało się kilkudziesięciu europejskich polityków z drugiego albo i trzeciego szeregu, epizodycznie także skierowane przeciw Polsce. Przy okazji padło „zdanko” wiceprezydenta Mike’a Pence’a, żądające od Polaków zwrotu „zagrabionego mienia ofiar żydowskich”!

Polska reakcja była całkowicie niewspółmierna, nad wyraz stonowana, a na zakończenie amerykańsko-polski komunikat ogłosił powstanie czegoś pod nazwą „Proces Warszawski”, jakby USA chciały różne antyirańskie działania realizować pod „warszawską” flagą. Coś absurdalnego!

A skąd ta bezprzykładna uległość Polski wobec Waszyngtonu? Być może chodzi o zniesienie przez USA wiz dla Polaków – tuż przed wyborami. PiS ogłosi wtedy „epokowy sukces”.

Wszystko wskazuje na to, że nie mamy ani bliskowschodniej, ani żadnej innej polityki zagranicznej. Działania na tym polu służą dopieszczeniu „twardego elektoratu” PiS.

W czasach PRL, a i później, nasze relacje z krajami arabskimi były całkiem przyzwoite. Nasze firmy pracowały w Iraku, Syrii, Libanie, Libii, nasi architekci tworzyli „plan generalny” Bagdadu, budowaliśmy fabryki w Maroku...

– **Po ukończeniu studiów w Szkole Głównej Służby Zagranicznej na „październikowej fali” został pan sekretarzem ds. propagandy Komitetu Dzielnicowego PZPR Warszawa-Śródmieście.**

– Tam zobaczyłem na własne oczy, jak wówczas PZPR otrząsała się ze stalinizmu, a ważną drogą do tego było umocnienie samorządu terytorialnego. Taki był chyba pomysł Gomułki na demokratyzację. Inna sprawa, że to co udało się zrobić „na dole”, budziło obawy „na górze”, bo doświadczenie rewolty na Węgrzech było świeże. Wiadomo było, że powodzenie naszych reform, w tym między innymi odejście od kolektywizacji rolnictwa, zależy od dwóch czynników – wsparcia Kościoła, który w Polsce miał zawsze wyjątkową pozycję i pewnej „obojętności” ze strony ZSRR.

– **Niestety, proces demokratyzacji nie potrwał długo.**

– Ja te zmiany oglądałem już z dalszej perspektywy, bo dzięki Adamowi Rapackiemu, bez wątpienia jednemu z najwybitniejszych polskich ministrów spraw zagranicznych, jako jeden z siedmiu absolwentów wydziału dyplomatyczno-konsularnego zostałem zwolniony z „nakazu pracy” w MSZ i mogłem zrobić magisterium. Potem, to istotne w moim życiorysie, pojechałem na pięć lat do Lille, gdzie byłem konsulem generalnym. Północna Francja

to był rejon dla Polski ważny, była tam stosunkowo liczna Polonia w dodatku o robotniczym, górniczym charakterze. Stamtąd np. wywodził się Edward Gierek. Jakoś wtedy stałem się dla niego rozpoznawalny, co miało potem swoje konsekwencje.

Po powrocie do kraju zostałem mianowany dyrektorem departamentu w MSZ. Funkcję tę pełniłem do czasu, kiedy Rapacki podał się do dymisji. Głównym powodem jego decyzji było, jak mi sam powiedział, wystąpienie Gomułki na temat „syjonistycznej piątej kolumny” i wymuszane na nim zwolnienia z MSZ ludzi o żydowskim pochodzeniu. Wkrótce potem zostałem mianowany ambasadorem Polski na Kubie.

Tam zdarzyła się rzecz następująca. Attache wojskowym na Kubie był płk. Amosow, w latach 50. doradca w polskiej „dwójce” (kontrwywiad). Zaprzyjaźniliśmy się nawet i przy jakiejś okazji, na początku 1970 roku, powiedział mi, że „w Polsce będą się działy wielkie rzeczy” i że jest decyzja Moskwy o odejściu Gomułki, bo „się u was źle dzieje”. Trzy dni zastanawialiśmy się, co zrobić z tą wiadomością. Ostatecznie wysłaliśmy ją szyfrówką do rąk własnych dyrektora departamentu. Po powrocie do kraju dowiedziałem się, że szyfrówkę schował do szuflady Franciszek Szlachcic, który miał nadzór nad wywiadem cywilnym.

– **Za upadkiem Gomułki stali więc „radzieccy”?**

– Na pewno był to ważny element wydarzeń Grudnia’70. Po powrocie z placówki w Hawanie zostałem I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie. Było to pokłosie mojego pobytu w Lille, gdzie karierę polityczną zaczynał Edward Gierek.

– **Zastąpił Pan Czesława Domagałę, przedwojennego komunistę, który Krakowa nie rozumiał, a w dodatku miał wyraźne antyinteligencjskie kompleksy. Zanim Pan wyrobił sobie własną markę, w Krakowie mówiono, że „po Domagale każdy klasa”!**

– Nie miałem doświadczenia w poruszaniu się ścieżkami partyjnego aparatu, byłem człowiekiem z zewnątrz, ponadto sam Kraków stanowił dla mnie wyzwanie. Na szczęście znalazłem tu dobrych przewodników, a moim zapleczem szybko stali się tacy ludzie, jak prof. Hieronim Kubiak – późniejszy prezes „Kuźnicy”, prof. Józef Lipiec – późniejszy redaktor naczelny pierwszej – „książkowej” edycji „Zdania”. Udało mi się pozyskać współpracę i często przyjaźń wybitnych krakowskich profesorów, że wspomnę prof. Tadeusza Popiele – rektora Akademii Medycznej, prof. Bolesława Faron – rektora WSP, prof. Mariana Koniecznego – rektora ASP, czy wybitnego fizyka prof. Mariana Mięśowicza. Także w aparacie partyjnym spotkałem mądrych i niezmiernie przywoitych ludzi, że wspomnę tylko Jana Brońka i Antoniego Rączkę, Zbyszka Reguckiego – redaktora naczelnego „Gazety Krakowskiej”, późniejszego szefa Sekretariatu Biura Politycznego, Andrzeja Kurza – dyrektora Wydawnictwa Literackiego, późniejszego prezesa „Kuźnicy”.

– **Przy okazji wymienia Pan nazwiska czołowych założycieli krakowskiej „Kuźnicy”, która bez Pana inicjatywy i poparcia by nie powstała.**

– Zapewne mam prawo uważać się za współzałożyciela „Kuźnicy”, ale i tak pierwszeństwo będzie się należało Tadeuszowi Hołujowi, człowiekowi przedwojennej lewicy, oświeceniakowi, pisarzowi, którego twórczość dziś może jest już nieco zapomniana. Niestuszenie. A że powołanie „Kuźnicy” było decyzją niezmiernie ważną,

dowodzi jej miejsce w przygotowywaniu przemian ustrojowych jeszcze przed „Solidarnością”, a także w procesie wychodzenia kraju ze stanu wojennego.

– **Na takie „eksperymenty” większość aparatu partyjnego patrzyła, delikatnie mówiąc, z dystansem.**

A i ja na niektórych moich towarzyszy spoglądałem krytycznie. Oto w Krakowie wybuchł w pewnym momencie konflikt wokół „myślenickiego Zarabia”, gdzie zapanała moda na „daczę”. Budowali je ludzie z Komendy Wojewódzkiej milicji i część aparatu partyjnego, korzystając z, nazwijmy to, „ułatwień” przygotowanych przez sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR Durbacza. W 1973 roku egzekutywa Komitetu Wojewódzkiego podjęła uchwałę, że nikt z czołówki partyjnej i administracyjnej nie będzie się tam o działki starał. Doniesiono o tym Gierkowi, a ten udzielił mi surowej reprymendy. „Trzeba towarzyszu Klasa dbać o kadre! Kadra musi mieć poczucie stabilności i dowartościowania, ale trzeba też dbać o nią materialnie”.

Przyznam się, że był to dla mnie szok, bo w czasach, kiedy Gierek był sekretarzem w Katowicach, nie prezentował tego typu poglądów. Mieszkał w skromnym, niewielkim domu, z małym spłachetkiem trawnika i jedną gruszą pośrodku.

– **Może w jego rozumieniu Polska już „urosla w siłę, a ludzie powinni żyć dostatniej”?, że pozwoli sobie na trawestację czołowego gierkowskiego hasła...**

– Pomysł Gierka na rozwój Polski chyba nieco przypominał pomysły chińskie, które dziesięć lat później rzeczywiście pozwoliły na oddzielenie, przynajmniej formalnie, gospodarki od ideologii i dały efekt w postaci spektakularnego rozwoju. Tyle, że Polska to nie Chiny z ich społeczną dyscypliną, wywodzącą się z wielu tysięcy lat doświadczeń państwowości.

Dla mnie degeneracja socjalizmu nie była zresztą problemem ideologicznym czy politycznym, ale moralnym. Cokolwiek złego by powiedzieć o sierniężnym Gomułce, to był on uczciwy tak w poglądach, jak i osobiście, a to działało na otoczenie.

– **Do legendy przeszła historia, jak to kiedyś zamiast Józefa Cyrankiewicza na posiedzenie Komitetu Wojewódzkiego PZPR przyjechał do Krakowa Gomułka i na „zapalenie płuc” zmieniano menu wspólnego obiadu na znacznie skromniejsze! A zresztą może to tylko anegdota?**

– Nigdzie na świecie, może poza krajami b. ZSRR, nie budowało się gett dla rządzących. Specjalne „daczę” czy, jak to później nazwano „zatoki czerwonych świri”, to pomysł o zdecydowanie orientalnym rodowdzie. Gierkowi miałem za złe gigantomanię. Nie kryłem między innymi krytycyzmu wobec budowy Huty Katowice. Ekspersi z Akademii Górniczo Hutniczej czy z Biura Projektów „Biprostal” przekonywali, na podstawie solidnych wyliczeń, że nie warto budować kolejnej huty, lepiej zmodernizować krakowską Hutę im. Lenina. Gierka to strasznie zirytoowało. Kolejnym punktem spornym była zarządzone przez niego zmiany podziału administracyjnego kraju bez elementarnych konsultacji. W miejsce 17 województw powstało 49 i Gierek mógł przestać się liczyć z opinią województw.

– **Musiał się Pan pożegnać z Krakowem, ale wiąże się z tym jeszcze jakaś historia z gatunku political-fiction...**

– Miałem starcie z ówczesnym szefem bezpieki w Krakowie, płk. Stanisławem Wałachem. Zaczął za moimi plecami werbować do współpracy ludzi partyjnych. Powiedziałem mu, co o tym myślę i spowodowałem kontrolę ministerialną, która przyznała mi rację. Zaczęły się przepychanki. Nagle Gierek mnie wzywa i powiada, że wraz z ówczesnym sekretarzem KC Franciszkiem Szlachcicem przygotowuję zamach na jego funkcję I sekretarza, wykorzystując organizację partyjną Huty Lenina. Zmeldował mu o tym tow. Wałach – dodał. Bzdura to była totalna, ale wkrótce znalazłem się w ambasadzie. Daleko od Warszawy – w Meksyku.

– **I znowu ominął Pana okres kolejnego polskiego kryzysu, którego efektem był „karnawał »Solidarności«”.**

– Bez przesady. Nawet w Meksyku nie byłem znów tak bardzo oderwany od polskiej rzeczywistości. Schyłek epoki Gierka to był okres umacniania się tzw. „nomenklatury”, coraz bardziej oddalającej się od ideowych pryncypiów. To wówczas w ramach partyjnej karuzeli „rzucano” jakiegoś kumpla-Franka z aparatu partyjnego „na handel”, a z handlu „na przemysł”, na zasadzie „niech się sprawdzi”. Z drugiej strony rósł społeczny opór przeciw tym praktykom, znajdujący np. odzwierciedlenie w publikacjach „Polityki” Rakowskiego (odwiedzał mnie w Meksyku), gdzie znalazło się miejsce dla całego cyklu artykułów o kadrze dyrektorskiej w cyklu *Uczyć się choćby od diabła*, sugerującego wykorzystanie technokratycznych doświadczeń „zachodnich”, czy artykułu redaktora naczelnego *Dobry fachowiec, ale bezpartyjny*.

– **Czy nie ma Pan dzisiaj swego rodzaju dęła vu? Są ludzie partii rządzącej, którzy w ciągu trzech lat „sprawdzali się” już na trzech czy czterech „prezowskich posadach”. Zatrudniono całe tabuny synów, wnuków, kuzynów i pociotków...**

– Nie mam wątpliwości, że jest to „twórcze rozwinięcie” doświadczeń PRL. Wtedy okazało się jednak, że obstawienie wszystkiego „swoimi” nie gwarantuje ani sukcesu, ani nawet stabilizacji. I sądzę, że teraz też efekty będą podobne. Widać, że PiS obawia się jedynego istniejącego jeszcze dziś środowiska wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, czyli górników, liczy się z potrzebami policji, wymyśla coraz to nowe kawałki „kielbasy wyborczej”. I znów, jak za Gierka, rząd szasta pieniędzmi z naszych podatków, korzystając z dobrej w tym momencie koniunktury.

– **Wtedy jednak nastąpiła rewolta. Akurat, kiedy Pan wrócił z placówki w Meksyku.**

– Wiedziałem, co się dzieje na Wybrzeżu, że rośnie siła „Solidarności” i choć chciałem pozostać w MSZ, przyjaciele Kazimierz Barcikowski i Józef Tejcma namówili mnie, żebym objął funkcję kierownika Wydziału Prasy Radio i TV Komitetu Centralnego PZPR. To było istotne stanowisko, bo właśnie w obrębie środowiska dziennikarskiego działały się znaczące i niekiedy zaskakujące przeobrażenia ideowe. „Solidarność” zyskiwała wpływ, a „beton” bronił się zaciekle.

Szybko zrozumiałem, że ani „Solidarność”, ani partia nie były przygotowane do kompromisu – z wyjątkiem nielicznej grupy, po obu stronach, ludzi odsądzanych dziś przez PiS od czci i wiary. Gdy rozmawiałem z Jackiem Kuroniem czy z drugiej strony z Józefem Tejchmą, wydawało mi się, że porozumienie jest nie tylko konieczne, ale też możliwe, jednak nie brakowało jastrzę-

bi po obu stronach. A przecież alternatywą była „ulica” i otwarty konflikt. Dziś mało kto uprzytamnia sobie, że w warunkach, gdy praktycznie cały przemysł znajduje się w rękach państwa, masowe strajki mają druzgoczący efekt ekonomiczny i w praktyce blokują proces racjonalnych zmian.

– **Tymczasem „Solidarność” stworzyła system tzw. „sieci”, który łączył największe zakłady w kraju. Gdy stawała na przykład Stocznia Gdańska, stawała też kopalnia „Wesoła” w Mysłowicach i krakowska huta – wszystkie noszące imię Lenina! Ich załogi już wcześniej pozostawały w bliskich kontaktach na wielu płaszczyznach. Były np. spotkania pod hasłem „Trzy razy Lenin”...**

– W apogeum solidarnościowego zrywu, w sierpniu 1980 i także nieco później wydawało się, że przy masowym poparciu możliwe będą głębokie demokratyczne reformy i liberalizacja systemu gospodarczego. Od jesieni 1979 Związek Radziecki coraz głębiej angażował się w Afganistanie i także dla władz w Moskwie była to sytuacja nowa. Istniało przekonanie, że „radzieccy” nie będą chcieli otwierać konfliktu z Polską.

Tymczasem władza miała do czynienia nie tylko z problemem modernizacji systemu kierowania gospodarką, ale z powtarzającymi się ruchami strajkowymi i rosnącą spiralą żądań na tle ekonomicznym. Dziś eksponowane są solidarnościowe postulaty o charakterze politycznym – zagwarantowanie prawa do strajku, wolność słowa czy wolność zrzeszania się, a przecież, może nawet przede wszystkim, żądano podniesienia wynagrodzenia zasadniczego każdego pracownika o 2000 zł na miesiąc, co oznaczało podwyżkę o ok. 40 proc., wprowadzenie systemu indeksacji płac równoległe do wzrostu cen, zapewnienia pełnego zaopatrzenia rynku wewnętrznego w artykuły żywnościowe. Mało kto dziś pamięta, że żądano wprowadzenia systemu kartek na mięso i zlikwidowania sklepów, w których obowiązywały wolnorynkowe, „komercyjne” ceny. Do dziś nikt nie odważył się zrealizować, zatwierdzonego przez obie strony wśród 21 strajkowych „postulatów gdańskich”, obniżenia wieku emerytalnego dla kobiet do 50 lat, a dla mężczyzn do lat 55!

Od jesieni 1980 roku coraz większą, bardzo konstruktywną rolę w rozmowach z „Solidarnością” zaczął odgrywać Stanisław Ciosek jako minister do spraw związków zawodowych. Mieliliśmy do czynienia z mocno zradykalizowanym środowiskiem dziennikarskim, które przez wielu działaczy PZPR było *en bloc* obwiniwane o podgrzewanie nastrojów antypaństwowych. Zupełnie jak dziś!

W styczniu 1981 roku ówczesny I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania wysłał mnie do Moskwy, żebym tam tłumaczył się, że „prasa ulega „Solidarności”, czego przykładem miała być „Gazeta Krakowska” kierowana przez Macieja Szumowskiego, a osłaniana autorytetem I sekretarza KW w Krakowie Krystyna Dąbrowy i jego zastępcy Janka Brońka. „Krakowska” rzeczywiście pokazywała wiele spraw z obu stron, w sposób wyważony i przyzwoity, wbrew oczekiwaniom partyjnego „betonu” (na dworcu w Warszawie sprzedawano ją 50 razy drożej niż w krakowskim kiosku!).

W Moskwie wówczas nie dało się rozmawiać – oni wiedzieli lepiej: „zamknąć Wałęsę, nałożyć kaganiec Kosiółkowi i usunąć z partii wszystkich, którzy nie rozumie-

ją, że „raz zdobytej władzy nie wolno oddać”! Takie poglądy panowały zresztą także w NRD, Czechosłowacji, na Węgrzech, a również wśród znacznej części aparatu partyjnego, nie wspominając o resortach „siłowych”. Prezentowali je też niektórzy członkowie Biura Politycznego PZPR.

Miałem niezłe stosunki ze Stowarzyszeniem Dziennikarzy Polskich i jego prezesem Stefanem Bratkovskim. Odpowiadający formalnie za prasę sekretarz KC Stefan Olszowski nigdy się z SDP nie spotkał. Także Tadeusz Grabski, któremu podlegały związki zawodowe, nigdy nie spotkał się z „Solidarnością”! On zresztą tę „podległość” rozumiał dosłownie. Większość sekretarzy wojewódzkich, poza Dąbrową i Fiszbachem, po prostu bała się. Inna rzecz, że głęboka, a nie kontrolowana liberalizacja systemu rzeczywiście mogła się okazać procesem nie do opanowania.

– W trakcie przygotowań do kolejnego IX Zjazdu PZPR, zaplanowanego na lipiec 1981 roku, powstawały w PZPR nakierowane na liberalizację systemu „struktury poziome” (Toruń) – porozumienia organizacji partyjnych. Odpowiedzią „betonu” było powołanie w obrębie PZPR Forum Katowickiego, w praktyce frakcji partyjnej, która miała równoważyć nurt odnowy, i nacjonalizującego Zrzeszenia Patriotycznego „Grunwald”.

– Zobaczyłem wtedy, że perspektywy demokratyzacji systemu są marne. I zrezygnowałem z kierowania Wydziałem Prasy KC – podałem się do dymisji. Od marca do lipca 1981 r. siedziałem w domu i żyłem z oszczędności. Dopiero w lecie Rakowski zaproponował mi objęcie funkcji wiceministra kultury u Teichmy. Wówczas nie było zgody Jaruzelskiego. Zmienił zdanie dopiero na początku 1982 r. (był już stan wojenny). Spytałem Rakowskiego – w jakim charakterze mam iść do ministerstwa? W charakterze „politruka”? Nie wchodzi w rachubę! Dalej, przynależąc przecież do MSZ, siedziałem w domu. Wreszcie w marcu 1982 roku zaproponowano mi wyjazd do Maroka.

– Stan wojenny był dla Pana zaskoczeniem?

– W gruncie rzeczy tak, choć po „kryzysie bydgoskim”, kiedy pobito Rulewskiego, co o mało nie spowodowało strajku generalnego, taką ewentualność trzeba było brać pod uwagę. Uważałem, że Jaruzelskiego stać na podjęcie poważnych negocjacji z „Solidarnością”, ale on był pod ogromną presją marszałka Wiktora Kulikowa, dowódcy Północnej Grupy Wojsk Armii Radzieckiej i zarazem głównodowodzącego wojskami państw-stron Układu Warszawskiego.

– Kulikow przygotowywał plany interwencji w Polsce. W sierpniu 1982 roku amerykański „Newsweek” zaprezentował na rozkładówce mapę jednostek ZSRR, NRD i Czechosłowacji, stojących w pobliżu naszych granic.

– Żałuję Jaruzelskiego jako człowieka, zawsze byłem przeciw wdeptywaniu go w ziemię, ale mając praktycznie pełnię władzy w ręku popełnił kardynalny błąd, otaczając się generałami. Ci zawsze wygrywają minione wojny, rzadko umieją patrzeć w przyszłość. Jaruzelski całe życie spędził w mundurze i to stwarzało gorset, z którego nie udało mu się wyjść do końca. Pamiętam jak mówił: „No cóż, jak wkroczą, to my, oficerowie, wiemy jak się takie sprawy rozwiązuje”. Wiedział, że gorzej z nim postąpią niż z Dubczakiem po Praskiej Wiośnie. Uważałem, że

Jaruzelski – decydując się na stan wojenny – powinien był sięgnąć po światłych ludzi nauki i gospodarki. W dodatku stosował „cięcie po skrzydłach”: tu usunę z partyjnego kierownictwa profesora Kubiaka, tam robotnika Siwaka – bez względu na to, co jeden, a co drugi mógł wnieść do polityki.

Należy jednak pamiętać, że przede wszystkim chciał, za wszelką cenę, uniknąć przelewu polskiej krwi i to mu się udało. Przeżył Syberię i wiedział, na co stać sąsiada ze wschodu.

W dodatku właściwie wszyscy, z „Solidarnością” włącznie, nie widzieli możliwości zmiany układu pojałtańskiego. Tu nawet nie chodziło o „socjalizm”, choć trudno było nam sobie wówczas wyobrazić „przejście do kapitalizmu”, ale o kwestionowanie układu sił światowych, bo to by oznaczało konflikt na niewyobrażalną skalę. W końcu Amerykanie też nie poinformowali „Solidarności” o planach, które znali w szczegółach od Kuklińskiego. Też bali się awantury.

– Tym niemniej sadzę, że Jaruzelski nie wykorzystał stanu wojennego do przeprowadzenia reform proponowanych przez Sadowskiego czy Messnera, choć były one, delikatnie mówiąc, połowiczne.

Błędem było internowanie tysięcy ludzi, w wielu przypadkach kompletnie bez potrzeby, bo większość nie stanowiła żadnego zagrożenia. Kolejnym błędem, który ośmieszył Wojskową Radę Ocalenia Narodowego, było internowanie Gierka i premiera Jaroszewicza oraz grupy ludzi z byłego kierownictwa PZPR. Dziwiła i śmiała się z tego cała Polska.

– Od 1982 do 1986 roku był Pan więc ambasadorem w Maroku, a potem do 1990, sekretarzem generalnym Towarzystwa „Polonia”.

– Także ta druga funkcja mieściła się w kręgu moich zainteresowań, bo przecież już w latach 60. zajmowałem się w MSZ tymi kwestiami. Nie wolno przy tym pomijać euforii wśród Polonii, a także wśród ludzi PZPR, po wyborze papieża-Polaka.

– I tak zbliżamy się do Okrągłego Stołu.

– Oczywiście warto docenić tu rolę generałów Jaruzelskiego i Kiszczaka, obok Wałęsy, „Solidarności” i Kościoła. Ale bez wątplenia niedoceniana jest stała rola Stanisława Cioska, który znał ludzi z opozycji i umiał z nimi rozmawiać. I niech mi nikt dziś nie mówi, że Okrągły Stół to „zmowa ubeków z ich agentami”!

– Od lat 60. Kuroń, Modzelewski i Michnik swoje odsiedzieli i robili w kręgach władzy za „czarnego luda”.

– Ja bym takich słów nie użył. Ostatecznie Kuroń uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu, ale Michnika władza strawić nie mogła. Już prędzej można by mówić o układzie „czerwonych z różowymi”, bo i Kuroń i Modzelewski, nie wspominając już o robotniczym przecież jądrze ówczesnej „Solidarności”, z którego wywodził się również Lech Wałęsa, byli swego rodzaju ludźmi lewicy! O sterowaniu w stronę gospodarki rynkowej więcej mówili w owym czasie Rakowski, Wilczek czy Balcerowicz.

Żadna ze stron nie odniosła w tych rozmowach jednoznacznego sukcesu. PZPR miała nadzieję na zachowanie władzy i nawet po fatalnej przegranej w wyborach czerwcowych miała wraz z satelickimi stronnictwami większość głosów w Sejmie, resorty siłowe oraz prezy-

denta. „Solidarność” weszła na arenę polityczną, ale do władzy się nie paliła, akceptując na kluczowym wówczas stanowisku prezydenta Jaruzelskiego jako gwaranta wobec Moskwy.

Sytuację zmieniły przemiany w ZSRR. Gorbaczow wyprowadził wojska z Afganistanu, budował konsekwentnie politykę odprężenia oraz *glasnost* i *perestrojka*. Opowiadanie, że „Solidarność” obaliła Mur Berliński mile podbudowuje naszą próżność, ale jednak to przesada. Po prostu sytuacja dojrzała do głębokich zmian w światowej polityce.

– **A Pan brał udział w przekształceniu Towarzystwa „Polonia” we Wspólnotę Polską, co miało być symbolicznym zerwaniem z PRL, podobnie jak dziś wiele instytucji zrywa z obciążeniami III RP.**

Najpierw oglądaliśmy mrówczą pracę „Sejmu kontraktowego”, który przyspieszył fundamentalne reformy w Polsce. Dokonał się przewrót „pałacowy”, w którym „sojusznicze” stronnictwa przeszły na stronę „Solidarności” i powołano rząd Mazowieckiego. PSL wyszedł z tej operacji obronną ręką, natomiast Stronnictwo Demokratyczne pomyślane jako partia dla rzemiosła i inteligencji znikło niemal z dnia na dzień.

Mnie minister spraw zagranicznych Skubiszewski odesłał na emeryturę.

– **Do wieku emerytalnego było Panu jeszcze daleko?**

– Na emeryturę przeszedłem z racji „likwidacji instytucji”, czyli Towarzystwa „Polonia”, w którym pracowałem.

– **I wtedy...**

– I wtedy w 1990 roku, na otwarciu salonu Mercedesów w Warszawie, spotkałem Sobiesława Zasadę, którego znałem jeszcze z Krakowa. – Co robisz? – spytał były rajdowiec, biznesmen. – Doradzam firmie polonijnej z Australii – odpowiedziałem. – To może przejdziesz do mnie? I tak zaczęło się moje trzecie wcielenie – po dyplomacji i działalności politycznej – w firmie Sobiesława Zasady

– **Rozumiem, że taka posada wymaga niekiedy wiele dyplomacji, a co z polityką?**

– Wróciliśmy z żoną do Krakowa.

Tu od 43 lat działa „moja” „Kuźnica”. Tu mieszka z rodziną nasza córka Ania Kwiatkowska, z mężem prof. Stanisławem Kwiatkowskim, wnuk Tomek Kwiatkowski i prawnuczka Agnieszka.

– **Dziękuję za rozmowę**

Rozmawiał FILIP RATKOWSKI

Józef Klasa był konsulem generalnym w Lille, ambasadorem na Kubie, w Meksyku i Maroku, I sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Krakowie, kierownikiem Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR, posłem, Sekretarzem Generalnym Towarzystwa Polonia. Współzałożyciel „Kuźnicy”.

Leszek Budrewicz

Apokalipsa

słysząc psy które nie szczekają
rzeki które
nie płyną
wschód przypomina zachód
środek granicę
kamienie
zamieniają się w serca
chleb w kamień
grzmi tętent koni
co zrzucają jeźdźców

słyszysz
słyszę

Walc noworoczny

w wiedniu grają
marsz radetzkyego
u mnie pod domem
policjant tłucze menela
rytmicznie
trenuje przed lepszymi
menel już wcześniej
wszystko zaliczył
znowu
jest nowy rok

Późny powrót

wszyscy starają się
mówić półgłosem
ale echo w pustym tramwaju
wali jak w jaskini
piwo jest
w butelkach puszkach
żyłach krwi
moczu
przerywniki dobre
o trzeciego kufla
bez zagrychy
ku chu
wszyscy osobno
wracamy późno do domu

KRZYSZTOF MIKLASZEWSKI

STANISŁAW WINCENTY DOBROWOLSKI

pacyfista – socjalista – dyplomata

Chociaż wszyscy wiemy, że słowo »pacyfizm« – oznaczając »umiłowanie pokoju«, czyli »sprzeciw wobec jakiegokolwiek wojny« – od razu jest w stanie nobilitować taką postawę życiową, używamy zbyt rzadko. Jeśli już przyjdzie przywołać je i wypowiedzieć głośno, uczynimy to z widocznym zażenowaniem. Pamiętamy wprawdzie, że do grona Wielkich Pacyfistów historia zaliczyła już m.in. Emanuela Kanta i Mahatmę Gandhiego, Alberta Einsteina i Lwa Tołstoja, Martina Luthera Kinga i Bertranda Russela, a ostatnio – za naszej pamięci – Johna Lennona czy Muhammada Alego.

Ale ta niepewność artykulacji wynika zapewne z całkowitego upadku znaczenia tego »chlubnego« pojęcia. Stało się to – zresztą na naszych oczach – na przełomie ostatnich dwóch stuleci, dzięki naszemu przyzwoleniu. Od przeszło pół wieku przecież nieustannie wybuchają coraz to nowe wojenne konflikty, na co nasza reakcja jest... zerowa. Więcej – nasza świadomość zezwala nam rozprawiać o tych tragediach z pełnym »zrozumienia« dystansem. Tak jakby problem nieustannej przemocy ze strony silniejszego – nie tylko w stosunkach międzynarodowych – absolutnie nas nie dotyczył. A przecież w pamięci następców pozostaną tylko ci, którzy takiego ludzkiego obowiązku, wynikającego z pacyfistycznej postawy życiowej, nie zaniedbali. Dlatego przypomnieć warto jednego z nich.

Dr Stanisław Wincenty Dobrowolski (1915-1993) był pacyfistą z przekonania i praktyki życiowej, politykiem o lewicowych poglądach, działaczem społecznym i naukowcem. Godzi się przypomnieć, że w latach 70. i 80. związał się ze środowiskiem krakowskiej »Kuźnicy« i pisywał do »Zdania«. We wrześniu 2018 roku minęła 25. rocznica jego śmierci.

Urodził się w Krakowie jako najmłodszy syn znanego profesora ginekologii S.W. Dobrowolskiego i Marii Antoniny, *de domo* Retinger (*notabene* siostry znanego polityka polskiej emigracji – Józefa Hieronima Retingera). Był absolwentem i doktorem Wydziału Prawa UJ. Przez całe życie sam siebie nazywał pacyfistą. I tej postawie pozostał wierny zarówno w latach 30., kiedy współtworzył w Krakowie Akademicki Związek Pacyfistów (1935) i współorganizował Światowy Kongres Młodzieży dla Pokoju w Nowym Jorku (1938), a także w czasie okupacji hitlerowskiej, kiedy kierował krakowskim oddziałem Rady Pomocy Żydom »Żegota« (1943-1945), jak i po Październiku '56, kiedy został najpierw doradcą ministra Adama Rapackiego i brał udział

w pracach nad jego głośnym planem rozbrojeniowym, a później ambasadorem PRL w Danii (1957-1963), negocjatorem Układu Granicznego między PRL i RFN (1969-1970), delegatem na XVI Sesję ONZ (1961) i szefem polskiej misji w Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli w Wietnamie (1968-1969).

Kiedy zdecydował się na publikację bezcennego tomu wspomnień, opatrzył go wymownym tytułem: *Memuary pacyfisty* (Wydawnictwo Literackie, Kraków 1989). Zawarte w tej książce przemyślenia nie tylko są do dzisiaj aktualne, ale mogą stanowić cenny »drogowskaz« dla jego politycznych następców. Wiele sformułowań brzmi bowiem niepokojąco współcześnie:

»Podówczas [na początku lat 30.] w Krakowie – pisze Dobrowolski – my, lewicujący studenci, widzieliśmy tylko tyle, że faszyzm próbuje podpalić świat i nieubłagane Hitler prze ku obaleniu wersalskiego porządku, zagrażając już bezpośrednio naszym granicom zachodnim i przede wszystkim suwerennemu władaniu przez Polskę terytorium tak zwanego Korytarza Gdańskiego. Natomiast obrona spójności Ligi Narodów i jej paktu jako całości (...) nie znalazła się w zasięgu naszej czujności«. (*Memuary pacyfisty*, s.109)

Słowa prorocze w roku... 2019. Wystarczy przecież nazwisko Hitlera zastąpić Putinem, by zrozumieć obecną rosyjską skuteczność w »rozmontowywaniu« Unii Europejskiej (jak kiedyś Ligi Narodów przez hitlerowskie Niemcy). Ale ten prosty zabieg publicystyczny nie wystarczy. Dobrowolski – jako doświadczony praktyk i teoretyk dyplomacji (m.in. wicedyrektor i dyrektor Archiwum MSZ (1974-1982) oraz pracownik naukowy PAN (1982-1984) w porę nas przestrzeże. Przestroga pierwsza – podstawowa – dotyczyć będzie pryncypiów:

»Kardynalnym fundamentem polskiej polityki zagranicznej musi być bezwzględne zerwanie z koncepcją walki na dwa fronty«. (s. 247).

Druga apelować będzie do refleksyjnego »opamiętania się« rodaków:

»Musimy zdać sobie jasno sprawę z tego, że przegraliśmy naszą wiekową ekspansję na Wschód«. (s.248)

Trzecia wskazówka, najbardziej »obca« Polakom, okazać się może najbardziej... praktyczną:

»Obok przewyciężenia emocjonalnego i uregulowania konfliktu granicznego dalszym elementem nowego stosunku do Rosji byłoby uwzględnienie z naszej strony jej bezpieczeństwa wojskowego. Rosja pragnie

mieć pewność, że od strony granicy polskiej nie spotka jej jakiegokolwiek agresja.

Dlatego nie możemy wchodzić w jakiegokolwiek układ wojskowy, które skierowane byłyby przeciw Rosji. Nawet gdyby istniały (...) korzystne dla takiego układu widoki". (s.248)

Autor zdaje sobie jednak sprawę z ryzyka takiej propozycji dla polskiego społeczeństwa. Powojenna, aprobowana przez PZPR uległość wobec Wielkiego Brata ze Wschodu, była tu podstawową przeszkodą. Dobrowolski – ofiara antyPPS-owskiej nagonki (jako sekretarz Centralnego Komitetu PPS, szef Wydziału Zagranicznego PPS, 1946-1947, a potem poseł PPS na Sejm Ustawodawczy, 1947-1952, do roku 1956 pozostawał poza MSZ) nie wyrzekł się jednak swojej PPS-owskiej otwartości. Dlatego bardzo aluzyjnie przypominał zasady »galicyjskiej szkoły wierności sobie«, które były nie do pogodzenia z kolaboracyjną uległością.

„U nas, w takim wypadku, mówiło się, że tak rozumują ludzie małego ducha, że to zdrada, zaprzaństwo". (s.151).

Pierwszą próbę pacyfistycznej postawy stanowiła jednak okupacja hitlerowska. Wtedy Dobrowolski – jako przewodniczący Krakowskiej „Żegoty”, utworzonej 12 marca 1943 roku jako Oddział Rady Głównej RPŻ „Żegota” w Warszawie z inicjatywy Delegatury Rządu Londyńskiego przez trzy stronnictwa polityczne: PPS-WRN, Stronnictwo Demokratyczne i Stronnictwo Ludowe w przeddzień likwidacji krakowskiego getta żydowskiego – pierwszy raz weryfikował swoje pacyfistyczne poglądy:

„Choć do niedawna byłem z przekonania bliski integralnemu pacyfizmowi, to od września 1939 roku ani przez chwilę nie uważałem, że nie powinniśmy bronić się totalnie przed agresją brunatnego faszysty. Naziśkowski wróg przecież liczył się jedynie z siłą". (s.151)

Mimo że działalność kierowanej przez niego Krakowskiej „Żegoty” doczekała się dzisiaj powszechnego, światowego uznania (Dobrowolski uhonorowany został Medalem Sprawiedliwy wśród Narodów Świata w 1979 r. i drzewkiem w Yad Vashem w 1985 r.), jej historia wymaga dzisiaj kilku znaczących wyjaśnień, zwłaszcza że sam jej szef o nie przez wiele lat zabiegał.

Po pierwsze: dlaczego „Żegota” powstała tak późno, mimo licznych meldunków o zagładzie Żydów w Polsce, docierających i do Londynu, i do Watykanu? Przecież już 17 kwietnia 1940 roku rząd Wielkiej Brytanii w porozumieniu z rządem francuskim i działającym na emigracji rządem polskim wydał wspólną z nimi deklarację sprzeciwu wobec „okrutnego przesładowania Żydów”, a dopiero 10 grudnia 1942 rząd RP na Uchodźstwie wystosował notę do państw sprzymierzonych w walce z Niemcami, dotyczącą „prowadzonej przez hitlerowców masowej eksterminacji Żydów w okupowanej przez III Rzeszę – Polsce”.

Odpowiedź na to pytanie – zgodnie z posiadaną dzisiaj historyczną wiedzą – nie jest jednoznaczna, ale w sumie – bardzo poruszająca. Jedną z podstawowych przyczyn tego opóźnienia był bowiem opór samych... Polaków, a ściślej mówiąc – ich reprezentantów w londyńskim Rządzie RP na Uchodźstwie. Przeglądając dokumenty rządowe można stwierdzić, że zarówno przedstawiciele Stronnictwa Narodowego, największej, bo liczącej na emigracji i w kraju ponad 200 tysięcy człon-

ków partii politycznej, jak i chadeckiego Stronnictwa Pracy w londyńskim Rządzie RP przeformowali uchwałę, że „zbytnie nagłaśnianie tragedii Żydów polskiego obywatelstwa przesłoniłoby... cierpienia Polaków”.

Z licznych relacji i świadectw Dobrowolskiego wynika też, że:

– PPS, mająca bliskie kontakty z żydowską partią socjalistyczną Bund, a wraz z SL od początku okupacji spiesząca z pomocą żydowskim obywatelom RP, daremnie oczekiwała od rządu emigracyjnego wspólnego działania (m.in. w sprawie utworzenia „Żegoty”);

– „Żegota” nie współpracowała nigdy z Kościołem katolickim nie ze względu na niechęć do religii, ale z powodu „egoistycznej postawy” jego polskich i watykańskich hierarchów. Przyznawała natomiast, że chlubny wyjątek w tym „milczeniu Kościoła”, przeprowadzonego przez sprzyjającego Niemcom Piusa XII, stanowili „zwyczajni” proboszczowie, wystawiający Żydom fałszywe metryki urodzenia i chrztu oraz „proste i dobre siostry zakonne”, prowadzące sierocińce i ratujące żydowskie dzieci.

Warto natomiast pamiętać reakcje „drugiej” strony. Bo nawet tak szlachetna postać, jaką była inicjatorka idei „Żegoty”, wspaniała kobieta i znakomita pisarka, katoliczka Zofia Kossak-Szczucka, nie wzięła udziału w pracach organizacyjnych z powodów czysto... ideologicznych. Gdy mowa jednak o wyjątkach, pomijając nie należy aktywności wchodzących w skład Zarządu Rady Głównej „Żegoty” reprezentantów katolickiego FOP, czyli Frontu Odrodzenia Polski.

Wszystkie te ustalenia znaleźć można w wielokrotnie cytowanej książce Dobrowolskiego i jego licznych artykułach z lat 70-80. rozsypanych po czasopiśmie społeczno-kulturalnych („Życie Literackie”, „Tu i Teraz”, „Polityka” czy wzmiankowane „Zdanie”). Wtedy okazało się, że »w imię prawdy życiowej« Dobrowolski usiłował sprostować kilka »przekłamań historycznych«, najpierw lansowanych przez propagandę PRL-owską, potem zaś wymyślonych na użytek odradzającej się III Rzeczypospolitej. Znaczących weryfikacji wymagają bowiem »fantazje« obydwu stron sceny politycznej – prawej i lewej.

Do osiągnięć „Żegoty” przynależy się np. chętnie jeden z wrogów jej praktyk pomocowych dla Żydów w czasie okupacji – czyli Armia Krajowa. Jej kierownictwo nie zabraniało jednak AK-owcom angażować się w pracę na rzecz „Żegoty” z czysto ludzkiego impulsu, podejmowaną często wbrew zaleceniom bezpośredniego dowództwa.

Wreszcie odnotować trzeba brak w „Żegocie” przedstawicieli PPR, którzy po wojnie – bardzo skutecznie – po pełnym przejęciu władzy na kongresie zjednoczeniowym w roku 1948 marginalizowali i fałszowali prawdę o tej unikatowej w skali świata organizacji. W Małopolsce to ludzie z PPS i SL, nie mający nic wspólnego ani z przedwojenną KPP, ani z powojenną PPR, ale reprezentujący lewicę, stworzyli i prowadzili tę organizację.

Dobrowolski nigdy też nie tuszował prawdy o polskiej i żydowskiej kolaboracji. Nie zaprzeczał, że w Krakowie – w okresie aktywności „Żegoty” – działało dwudziestu kilku agentów Gestapo – Żydów wypuszczonych z obozu koncentracyjnego w Płaszowie w celu tropienia swych ukrywających się współbraci. Nagłaśniała ten fakt antysemicka komunistyczna propaganda po roku 1968. Ale – wbrew jej intencjom – Dobrowolski uzupełniał obraz tamtego czasu informacją,

że nazwiska wszystkich zdrajców ujawniła podziemna prasa, a – co więcej – na kilku z nich podziemie od razu wykonało wyrok śmierci.

W latach 70. Dobrowolski przypominał ustalenia AK-owskiego kontrwywiadu, że w Krakowie w czasie okupacji działało 800 Polaków, pracujących codziennie dla Gestapo. Liczba »czysto« polskich donosicieli w całym GG była wręcz przerażająca – Niemcy mieli do dyspozycji ponad 5 tysięcy polskich kolaborantów.

Twórca „Żegoty” w Krakowie, którego zasługi w okresie okupacji zgodnie doceniali i Polacy, i Żydzi, przeżył jednak powojenną gehennę. Tego prawego człowieka, obok sygnalizowanych już kłopotów oddanego PPS-owi działacza, który nie mógł się „zmieścić” w PZPR-owskich strukturach, nie oszczędziły po wojnie niesłuszne pomówienia, oskarżenia i insynuacje ze strony żydowskiej. Ich motorem był niejaki dr Weichert, ocalony przez krakowską „Żegotę” żydowski malwersant i złodziej, skazany w końcu prawomocnym wyrokiem izraelskiego sądu.

„Afera Weichtera” zakończyła się wprawdzie szczęśliwie i przywróciła Dobrowolskiemu dobre imię, ale ten perfidny „cień”, rzucony na krakowską „Żegotę” i jej przewodniczącego sprawił zapewne, że Instytut Yad Vashem tak późno uhonorował zasługi organizacji, która tylko w jednym roku 1944 opiekowała się codziennym bytowaniem tysiąca ściganych Żydów. Dowodem – lista z tegoż roku: stałych zasiłków (570 osób) i doraźnych zapomóg (ponad 400). A przecież w tymże samym roku krakowska „Żegota” wyprodukowała ponad 5 tysięcy dokumentów personalnych, ratujących życie ściganym, którym wyszukiwano i opłacano kryjówki, przekazywano lekarstwa i pieniądze zarówno do gett, jak i obozów koncentracyjnych, z których potrafiono »wykraść« jednorazowo nawet kilkudziesięciu więźniów. Tego typu spektakularne akcje, możliwe dzięki współdziałaniu oddziałów bojowych PPS i ŻOB, zostały szczegółowo dokumentacyjnie opisane.

Pora na uogólnienia: Rada Pomocy Żydom „Żegota” była j e d y n ą organizacją państwową, pomagającą prowadzoną na rzeź Żydom w okupowanej przez Hitlera Europie. „Żegota” jednak stanowiła „kroplę w morzu potrzeb”, a »zimne oko« Wolnego Świata sprawiło (i tę świadomość miał jej przewodniczący), że zdołała uratować tylko kilka tysięcy na około 80 tysięcy ocalałych z 3 milionów wymordowanych polskich Żydów.

Dobrowolskiego nie zadowalał fakt, że polska ofiara w procesie ratowania Żydów była znaczna (jak ustalili historycy, za pomoc Żydom hitlerowcy rozstrzelali 770 osób polskiego pochodzenia) i że Polacy stanowią najliczniejszą grupę Sprawiedliwych Pośród Narodów Świata (6850 osób). Świadom prawdziwego obrazu całego polskiego społeczeństwa w latach okupacji, nigdy nie mógł się pogodzić z często stosowanym przez polityków zabiegiem zastraszania Sprawiedliwymi znacznie liczniejszej grupy Polaków – szmalcowników, szantażystów i kolaborantów, rekrutujących się zarówno z członków granatowej policji, jak i zwyczajnych szumowin. Dlatego tak rozdrażniła go lansowana zarówno przez stronę żydowską, jak i niemiecką – od początku lat 60. – wizja „kontrastowego Niemca” (określenie z *Memuarów pacyfisty*, s. 228), czyli Oskara Schindlera.

Nie doczekawszy triumfu filmu Spielberga (zmarł we wrześniu 1993 r., a premiera filmu, nagrodzonego rok później Oscarem, odbyła się w grudniu), Dobrowolski już pod koniec lat 60. „przeżył” wiadomości o zaszczytach, jakie spotkały właściciela fabryki emalii na krakowskim Zabłociu (ordery: niemiecki Pour le Merite i watykański Order Świętego Sylwestra), a po dwudziestu latach hagiograficzną książkę Australijczyka Thomasa Keneally’ego *Schindler’s List – Schindler’s Ark* (1982).

Trzy cytaty z artykułu *Komu potrzebny mit Schindlera* („Życie Literackie” 1984, nr 15, s. 11), dwa retoryczne pytania i jedno pełne smutku podsumowanie mówią wszystko:

„Zastanawiające jest, że pan Oskar Schindler – mimo niedochowania wymogu regulaminowego »o bezinteresowności ratunku« dostał na dobre kilkanaście lat wcześniej medal Sprawiedliwego Pośród Narodów Świata niż grupa kilkunastu z krakowskiej „Żegoty”?

Z jakiego to tytułu dochodzi na Zachodzie do procesu cywilnej kanonizacji złe dobrane hitlerowca i czym kosztem ma się to odbyć?

Piszę o tym wszystkim z goryczą i z bardzo ciężkim sercem, gdyż nie chciałbym w żadnym wypadku, by moje informacje czy te rozważania były w jakimkolwiek nawet stopniu wykorzystane przez małe, ale bardzo hałaśliwe grupki naszych hurrapatriotów, próbujących się przelicytować z szowinistycznymi pogrobowcami ultra-syjonisty Żabotyńskiego”.

Dobrowolski jako doświadczony przez dwa totalitaryzmy pacyfista pod koniec życia zmartwień miał jeszcze więcej. Praca naukowa nad historią dyplomacji (jest przecież autorem rodzimej *Dyplomacji Polski Ludowej*, PISM, Warszawa 1981 i tłumaczem jednego z tomów światowej *Historii dyplomacji od roku 1945*, Książka i Wiedza, Warszawa 1986) pogłębiła jeszcze obawy o „malejącą rolę spuścizny europejskiej, a więc i... polskiej tradycji”. Powtarzał w niej sformułowanie, jakie znajdziemy także w napisanych dla „Zdania” w roku 1986 *Impresjach izraelskich* (nr 6, s. 55). Ale tak naprawdę nigdy nie wybaczył historii, że jego »wyznanie wiary«, zawarte w zwięzłym dokumencie Vasar Peace Pact z roku 1938, nie zostało nigdy zrealizowane. Przywołując więc jego pierwotną postać, pamiętajmy o tym pierwszym, podstawowym rozbudowanym zdaniu preambuły tego Kongresu:

„My, reprezentanci młodzieży z 54 krajów, zgromadzeni na II Światowym Kongresie Młodzieży, wyrażamy nadzieję, że o s i ą g n i e s i ę c e l: ogólnej pomyślności, uniknięcia wojny i militaryzmu, wniesienia własnego wkładu w zachowanie istniejącego pokoju, przywrócenia go tam, gdzie został przez agresję naruszony, i wreszcie, że Światowy Kongres udowodnił istnienie głębokiego życzenia młodych – niezależnie od narodowości, rasy i wyznania – działania w interesie pokoju, oraz że porozumienie o praktycznych środkach we wspólnym postępowaniu mogłoby być osiągnięte, o ile będą w pełni respektowane przekonania każdej jednostki”.

Krzysztof Miklaszewski

Kraków, wrzesień 2018; Londyn, marzec 2019

KAROLINA WANDA OLSZOWSKA

NÂZIM HIKMET.

IDEOWY REWOLUCJONISTA, ROMANTYCZNY KOBIECIARZ

Nâzim Hikmet, wybitny turecki poeta i dramaturg, to jedna z osób łączących Polskę i Turcję. Poeta nazywany „romantycznym komunistą” wielokrotnie trafiał do więzienia za swoje poglądy. Gdy postanowił uciec z kraju znad Bosforu, został pozbawiony tureckiego obywatelstwa. Otrzymał polskie, którym posługiwał się do końca życia. Jeden ze swoich wierszy - „List z Polski” poświęcił nowej ojczyźnie.

Kim jest Hikmet Borzęcki, poeta w Turcji ponownie pokochany, a w Polsce dzisiaj prawie całkowicie nieznany?

Nâzim Hikmet urodził się 20 listopada 1901 roku, jednak jego oficjalna data urodzenia to 15 stycznia 1902 roku, gdyż rodzice nie chcieli, aby z powodu kilkudniowego opóźnienia był o cały rok kalendarzowy starszy. Przyszedł na świat w Salonikach, w zamożnej i wpływowej rodzinie. Jego ojciec, Hikmet Bey był dyplomatą, zaś matka, Ayşe Celili Hanım artystką. Dziadek był ostatnim osmańskim gubernatorem Salonik. Pradziadkiem zaś był Konstanty Borzęcki (Mustafa Celâleddin Paşa), uczestnik powstania wielkopolskiego (1848), który po jego upadku wyemigrował do Imperium Osmańskiego. Zaciągnął się do osmańskiej armii. Żeby nie zamknąć sobie możliwości zrobienia kariery przeszedł na islam. Wstąpił się w bitwach jako bardzo dobry dowódca i dzielny żołnierz oraz jeden z twórców nowoczesnego tureckiego nacjonalizmu. Postulował oczyszczenie języka osmańskiego z licznych zapożyczeń arabskich i perskich, aby zbliżyć go do języka używanego przez turecki lud, a także zastąpienie alfabetu arabskiego łacińskim.

Hikmet pochodził z dobrze wykształconej rodziny, jednak trudności finansowe rodziców nie pozwoliły mu odebrać tak starannej edukacji, jaka początkowo została dla niego zaplanowana. Miał, tak jak jego ojciec, skończyć elitarne francuskojęzyczne liceum Galatasaray. Rodziców nie było jednak stać na czesne, dlatego po roku przenieśli syna do tańszej placówki. Drogę do Szkoły Marynarki Wojennej otworzył mu talent literacki. Gdy podczas jednego ze spotkań rodzinnych Hikmet zadeklamował swój wiersz poświęcony bohaterstwu marynarzy, obecny wówczas dyrektor Szkoły Marynarki Wojennej był pod takim wrażeniem, że pomógł młodemu poecie dostać się do tej placówki. Ukończył ją w 1918 roku, później służył na okręcie „Hamidiye”. Kariera wojskowa młodego oficera została przerwana z powodów zdrowotnych. Nâzim mógł poświęcić więcej uwagi talentowi literackiemu. Już wówczas uprawiał poezję zaangażowaną, często odwołując się do sytuacji politycznej (przegrana I wojna światowa, okupacja Stambułu). Podczas wojny wyzwoleniczej przyłączył się do obozu Mustafy Kemala, który sprzeciwił się polityce uległości Sultana wobec zachodnich mocarstw. W drodze do Ankary po raz pierwszy zetknął się z ideologią komunistyczną. Wywarła ona ogromny wpływ na jego dalsze życie i twórczość. Pod wpływem tej fascynacji wyjechał na studia do Związku Radzieckiego, chcąc kształcić się na Komunistycznym Uniwersytecie Pracujących Wschodu. W tym okresie zaczął poruszać również tematykę społeczną, pisząc np. o ubóstwie ludności Anatolii. Wielu krytyków uważało, że na poezję Hikmeta duży wpływ miał Władimir

Majakowski. To prawda, że w ich twórczości można odnaleźć podobne elementy formalne, jednak Łabędzka-Koecherowa przypisuje to podobnym celom, jakie przyświecały obydwóm poetom – pisali dla tłumów, które chcieli porywać. Mało prawdopodobne, żeby Hikmet w tym okresie wzorował się w jakiś sposób na Majakowskim, gdyż przed studiami w Moskwie nie znał języka rosyjskiego, a samego poetę poznał dopiero w lecie 1922 roku.

Po trzech latach studiowania socjologii ekonomii wrócił do Stambułu (1924) i rozpoczął pracę w socjalistycznym tygodniku „Aydinlik”, powiązany z Komunistyczną Partią Turcji. Mimo tego, że publikowane w nim teksty popierały w okresie wojny wyzwoleniczej obóz Kemala, władze młodej Republiki walczyły z ideologią komunistyczną, w konsekwencji czego zamknęły gazetę i aresztowały jej redaktorów. Nâzım Hikmet został zaocznie skazany na 15 lat więzienia. Było to pierwsze spotkanie lewicowego poety z tureckim wymiarem sprawiedliwości i zwiastowało początek kłopotów.

Okres turecki pisarza

Hikmet, przebywający podczas zaocznego procesu w Izmirze, zdecydował się na ucieczkę do ZSRR. Gdy tylko usłyszał o amnestii (1926), udał się do tureckiej ambasady z prośbą o wydanie paszportu. Jednak zanim podanie zostało pozytywnie rozpatrzone, w Turcji wydano kolejny zaoczny wyrok – trzech miesięcy więzienia za przynależność do Partii Komunistycznej. Chcąc oczyścić się z zarzutów, nie mogąc porozumieć się z ambasadą turecką w Moskwie, postanowił nielegalnie przekroczyć turecko-radziecką granicę. Został złapany w przygranicznej miejscowości i aresztowany za nielegalne przekroczenie granicy, do tego na fałszywym paszporcie. W więzieniach spędził ponad cztery miesiące. Po wyjściu na wolność powrócił do Stambułu. Całą energię włożył w pracę literacką, publikując dwa tomiki poezji. Na swoje nieszczęście, trafił kolejny raz pod obserwację policji.

W 1928 roku rozpoczął pracę w czasopiśmie literackim „Resimli Ay”. Jako poeta stał się idolem młodego pokolenia. Pisał o problemach trapiących dużą część społeczeństwa, z nadzieją, że jego utwory „trafią pod strzechy”. W swoich dziełach używał *Türkiye Türkçesi*, czyli języka tureckiego, który przetrwał w mowie potocznej i dialektach, był zrozumiały dla „zwykłych” ludzi. Tym samym odszedł od języka osmańskiego (*Osmanlıca*) pełnego zapożyczeń z arabskiego i perskiego, zrozumiałego jedynie dla warstw oświeconych i administracji.

Rządząca Republikańska Partia Ludowa (CHP) coraz bardziej obawiała się wpływu poety na serca i umysły młodych. Policja i służby śledziły go, próbując znaleźć pretekst do aresztowania. Pomimo dużej ostrożności, Hikmet został aresztowany w 1938 roku i stanął przed sądem wojskowym (skazany na 15 lat ciężkiego więzienia), a później jeszcze przed wojskowym sądem morskim (wyrok 20 lat) – w sumie w zakładzie karnym miał spędzić 28 lat i 4 miesiące. Oskarżony został o podburzanie żołnierzy do buntu, a dowodem był znaleziony w łóżku jednego z kadetów tomik jego poezji. Co interesujące, jego dzieła nie były zakazane w kra-

ju, można było je wydawać oraz kupować. Obawiano się jednak, żeby armia, największa ostoja i gwarant kemalizmu, nie przesiąkła niebezpiecznymi dla rządu ideałami.

Hikmet w sumie odsiedział ponad 12 lat. Był poetą szczególnie dla Turcji „niebezpiecznym” w ówczesnym kontekście międzynarodowym. W czasie II wojny światowej kraj znad Bosforu oficjalnie zachowywał neutralność, ale podczas „zimnej wojny” Turcja weszła do zachodniej strefy wpływów i stała się krajem NATO bezpośrednio sąsiadującym z ZSRR. Obóz wschodni uczynił wówczas z Hikmeta symbol i walczył na arenie międzynarodowej (również z pomocą lewicujących intelektualistów i artystów, takich jak Pablo Picasso czy Jean-Paul Sartre) o uwolnienie komunistycznego poety.

Hikmet przebywając w więzieniu w dalszym ciągu tworzył poezję. Miał bardzo utrudniony dostęp do materiałów piśmienniczych, z tego powodu dyktował odwiedzającym go w więzieniu gościom swoje wiersze podczas krótkich widzeń, albo uczył swoich towarzyszy niedoli nowych utworów na pamięć, aby mogli je spisać, gdy będzie to możliwe. Wiele z tych utworów przepadło bezpowrotnie. W tym czasie Hikmet obserwował życie i problemy swoich współtowarzyszy niedoli, często prostych Turków. W Bursie celę więzienną dzielił z innym wielkim tureckim pisarzem Orhanem Kemalem. Orhan był przedstawicielem tureckiego realizmu, w swoich dziełach poruszał tematy związane z walką o byt, często opisując je z własnego doświadczenia. Pisarze oddziaływali na siebie wzajemnie. Mimo że wyrosli w zupełnie innych środowiskach, w swoich dziełach poruszali podobne problemy i mieli tożsame poglądy na wiele spraw.

Kiedy 14 kwietnia 1950 roku opozycyjna Partia Demokratyczna (PD) wygrała wybory, ogłosiła amnestię i Hikmet po 12 latach i 7 miesiącach więzienia wyszedł na wolność.

Hikmet Borzęcki – obywatel świata

Pomimo zmian politycznych, w wyniku których kemalistowska Republikańska Partia Ludowa (CHP) straciła większość w parlamencie na rzecz Partii Demokratycznej, w dalszym ciągu wszelkie sympatie komunistyczne były w tym kraju zabronione. Hikmet po wyjściu z więzienia uważany był za osobę niebezpieczną dla systemu. Każdy jego ruch obserwowały służby. Po amnestii władze szukały pretekstu do „zneutralizowania” poety. Tym razem nie wytoczono mu kolejnego procesu sądowego, tylko wezwano przed komisję wojskową. Poeta tłumaczył się przed nią, że ukończył Akademię Marynarki, ale został zwolniony ze służby z powodów zdrowotnych. Komisja nie uwzględniła jednak zaświadczeń o chorobie wątroby i serca. Powiadomiła Hikmeta, że zostanie wysłany do Sivas, aby odbyć zaległą służbę wojskową. Zdając sobie sprawę, że ze wschodu kraju może już nigdy nie wrócić, poeta postanowił uciec. Pod osłoną nocy, wraz ze znajomym wypłynął na Morze Czarne, a następnie już sam dotarł do Rumunii, a dokładnie na rumuński statek, który po konsultacji z Bukaresztem zgodził się zabrać pisarza na pokład. Początkowo nie za bardzo wiedziano, co zrobić z przybyszem. Władze rumuńskie skontaktowa-

ły się z Moskwą, a tam podjęto decyzję o udzieleniu Hikmetowi azylu.

Władze Turcji potraktowały tę ucieczkę jako sprzeniewierzenie się tureckości i w lipcu 1951 roku Hikmet pozbawiony został tureckiego obywatelstwa. Nie otrzymał również obywatelstwa ZSRR. Przestał być bezpaństwowcem dopiero po interwencji jego przyjaciół z Warszawy. Decyzją Rady Państwa przyznano mu obywatelstwo polskie. Od tego momentu nazywał się Nâzım Hikmet Borzęcki. Raczej nie czuł wielkiej łączności z krajem swojego pradziadka. Po polsku nie mówił, podczas oficjalnych spotkań podkreślał, że ma polskie jasne włosy i oczy oraz dużo romantyzmu. Jednak ci, którzy znali go lepiej, opowiadali, że wybór PRL-u jako nowej ojczyzny był bardziej przymusowy niż sentymentalny.

Gdy po latach nieobecności powrócił do Moskwy, na lotnisku został powitany przez przedstawicieli władzy oraz popularnych w tym okresie sowieckich artystów. Hikmet był jednak bardzo zaskoczony, że wielu jego znajomych z lat studiów umarło w niejasnych okolicznościach albo popadło w niełaskę i praktycznie zniknęło z życia publicznego i artystycznego. Dopytywał się o Władimira Majakowskiego (miał popełnić samobójstwo, jednak okoliczności jego śmierci do dziś pozostają niejasne), o reżysera Wsiewołoda Meyerholda (rozstrzelanego za „działalność antysowiecką i trockistowską”). Wszystkie te pytania „przyprawiały o dreszcze” sowieckich towarzyszy, którzy wiedzieli, że interesowanie się takimi osobami w dobie stalinizmu groziło bardzo nieprzychylnymi konsekwencjami.

Hikmet jako ideowy komunista był zniesmaczony pomnikami stawianymi Stalinowi oraz realiami nowego porządku społecznego. Chciał nawet powiedzieć o tym wszystkim Stalinowi, gdyż uważał, że komunista komunę zrozumie. Towarzysze partyjni tak bardzo się przerazili tą perspektywą, że gorliwie starali się uniemożliwić mu osobiste spotkanie z Generalissimusem. Poeta uważany był za „osobę niepewną”, dlatego kazano jego kierowcy składać na niego raporty, a nawet być przygotowanym na pozbawienie go życia.

Hikmet miał specyficzny stosunek do Stalina oraz komunizmu. Spędzając długie lata w tureckim więzieniu, marzył o komunizmie i Moskwie, w której znalazł się w latach stalinizmu. O tym, co działo się w Związku Radzieckim w tym czasie, nie wiedział albo nie chciał wiedzieć. Hikmetowi dużo bardziej podobał się komunizm w Polsce pod rządami Władysława Gomułki, którego cenił za stworzenie twórcom przestrzeni relatywnej wolności artystycznej. Hikmetowi udziela się entuzjazm 1956 roku oraz wiara w budowanie polskiej wersji socjalizmu. W kraju nad Wisłą przebywał rok, zapisał się nawet do Związku Literatów Polskich, choć dla nikogo nie było tajemnicą, że ani nie mieszkał, ani nie tworzył w Polsce. Jak ustalił Witold Szabłowski, ówczesni członkowie ZLP prawie nie pamiętają Hikmeta (albo nie chcą pamiętać), do tego wcale nie uważali jego utworów za wybitne. Biografowie zgodnie twierdzą, że socjalizm, jaki chciał budować Gomułka w trakcie odwilży, był tym, o jakim marzył Hikmet.

Turecki poeta nie musiał „powtórnie debiutować” po 1956 roku. Długoletnie więzienie „za poglądy komunistyczne” zrobiło z niego światowego bohatera. Przez osoby takie jak Pablo Neruda, Louis Aragon, Vítězslav

Nezval, Yannis Ritsos, Pablo Picasso, czy Paul Eluard uważany był za jednego z największych poetów. Miał opinię bardzo zaangażowanego i ideowego komunisty, który nie zmienił swoich poglądów nawet po zderzeniu się z rzeczywistością, jaką zastał w Związku Radzieckim.

Hikmet Borzęcki bardzo zaangażował się w sprawę tzw. walki o pokój. Podczas II Światowego Kongresu Pokoju (Warszawa, 1950 r.), otrzymał Międzynarodową Nagrodę Pokoju za całokształt twórczości, a dwa lata później, gdy mieszkał już w Związku Radzieckim, znalazł się w Światowej Radzie Pokoju. Pozwoliło mu to podróżować po świecie i występować publicznie w charakterze „obrońcy pokoju”. Jedną z inicjatyw, w którą się zaangażował, było zbieranie podpisów pod petycją o zaprzestanie testowania broni nuklearnych. W 1961 roku poleciał do Hawany, aby wręczyć Międzynarodową Nagrodę Pokoju Fidelowi Castro.

Przez cały ten czas również pisał, publikował nowe wiersze i listy. Co jakiś czas odwiedzał Warszawę mając polskie obywatelstwo; radziecki paszport otrzymał dopiero w 1960 roku.

Pomimo pogarszającego się stanu zdrowia, Hikmet nadal jeździł po świecie. Część tych podróży miała charakter służbowy (reprezentował Światową Radę Pokoju), inne były prywatne. Lekarz ostrzegał go, że jego serce może nie wytrzymać tak intensywnego trybu życia, tym bardziej że pierwszy, bardzo poważny zawał przeżył już w 1953 roku.

Wielki turecki poeta, obywatel Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, zmarł w Moskwie 3 czerwca 1963 roku na atak serca. Tam został pochowany. Od wyjazdu z kraju znad Bosforu w 1951 roku nigdy już do Turcji nie powrócił. Tureckie obywatelstwo zostało mu przywrócone dopiero w 2009 roku, jednak jego doczesne szczątki nie zostały ekshumowane i w dalszym ciągu spoczywają na moskiewskim cmentarzu.

Wartość literacka

W okresie PRL-u wiersze Nâzima Hikmeta były najczęściej przekładaną na język polski poezją turecką. Najwięcej tłumaczeń dokonała Małgorzata Łabęcka-Kocherowa. To ona porównała tureckiego poetę do Reja, gdyż jako jeden z pierwszych pisał wiersze w języku tureckim; do Kochanowskiego, bo doprowadził ten język do perfekcji i do Mickiewicza – z uwagi na dużą dozę romantyzmu.

W swoich utworach używał „prostego” języka, gdyż sądził, że nie powinno być podziału na języki poezji i mówiony. Ważniejsza była dla niego treść niż forma, to odróżniało go od innych tureckich poetów swojej epoki, dla których bardziej liczyła się forma i tajemniczość niż treść i przejrzystość. Chciał porywać tłumy, trafiać do szerokiego grona odbiorców. Wprowadził do tureckiej literatury wiersze pozbawione rygorów rozpiętości oraz budowy wersu. Znamioną cechą jego poetyki było używanie w jednym utworze różnych frazeologii, leksyk, rymów, stylów i miar. Zapoczątkował tym samym nowy kierunek w tureckiej poezji; jego założeniem była jedność treści i formy, nawiązywanie do ludowości, posługiwanie się językiem potocznym, a w wymiarze ideologicznym walka o postęp społeczny. W pierwszych etapach twórczości miał skłonność do „szpikowania” swoich utworów

wieloma metaforami, w późniejszych odszedł od symbolizmu na rzecz prostoty i konkretności.

Krytycy nie uważają, że styl Hikmeta ukształtował się w więzieniu, ale zgadzają się, że tam powstała duża część jego najlepszych utworów, m.in. diarystyka pisana prozą poetycką, czy liryczne listy pisane do żony. W utworach z lat 50. XX wieku zaobserwować można zwrot do dawnej tradycji ludowej oraz do wiersza regularnego. Cały czas próbował nowych form: opracował tom ludowych baśni, pisał reportaże poetyckie i sztuki teatralne

Życie prywatne

Nâzım Hikmet miał dużą słabość do kobiet. W swojej poezji często poruszał temat miłości, szczególnie tej tęskniącej. Wielu czytelników odbierało to jako romantyczne uczucie do żony pozostawionej w Turcji, jednak w tym samym okresie Hikmet miał kilka innych kobiet. Żenił się co najmniej cztery razy. Już w okresie studiów w ZSRR pierwszą jego wybranką-żoną była Nûzhet Hanım, Turczynka z pochodzenia, a drugą Rosjanka Jelena Jurczenko. Obydwa związki skończyły się szybko. Po powrocie do Turcji poeta poznał rozwódkę z dwójką dzieci, Piraye Altinoğlu i ożenił się z nią w 1935 roku. Stał się wtedy „głową” czteroosobowej rodziny. Niedługo nacieszyli się życiem małżeńskim, ponieważ po trzech latach trafił do więzienia.

Podczas dwunastoletniej odsiadki rozpoczął romans z córką swojego stryja Münevver Andaç, która go odwiedzała. Nazım po wyjściu na wolność zostawił żonę, Münevver również opuściła współmałżonka i zabrała ze sobą córkę Renan. Niespełna 9 miesięcy po opuszczeniu więzienia, 26 marca 1951 roku Nazımovi i Münavver urodził się syn, Mehmed. Ale znów niedługo mógł nacieszyć się życiem rodzinnym. W obawie przed kolejnymi represjami uciekł z kraju, pozostawiając Münavver z małym dzieckiem i córką z jej pierwszego małżeństwa.

Ucieczka poety wywołała wściekłość tureckich władz, które skupiły się teraz na jego rodzinie. Münavver nie mogła znaleźć pracy, wraz z synem pozostawali pod ciągłą obserwacją policji. Żyli w bardzo trudnych warunkach finansowych. Na domiar złego z czasem listy od Hikmeta przychodziły coraz rzadziej. Nâzım dużo miejsca w swojej poezji poświęcił tęsknocie za ukochaną. Czytelnicy urzeczeni byli jego romantyzmem. Znalazły się nawet wpływowe osoby związane ze światem literatury, które postanowiły w imię wielkiego uczucia „wydostać” Münavver z Turcji i połączyć rodzinę.

Hikmet – romantyczny komunista – pisał bardzo głębokie wiersze do swojej partnerki, a jednocześnie nie stronił od innych kobiet i kolejnych związków. Nasilały się jego problemy zdrowotne. W 1952 roku wyjechał do sanatorium, gdzie poznał nową towarzyszkę życia, rosyjską lekarzkę Galinę Grigoriewną Kolesnikową. Związek Pisarzy Radzieckich przydzielił ją poecie jako osobistą lekarzkę, ale ich relacje stawały się coraz bardziej osobiste. W końcu para zamieszkała razem. Galina była w nim bardzo zakochana, dbała o jego zdrowie, pilnowała wypoczynku i odpowiedniej diety. Wiedziała o tym, że w Turcji pozostała Münevver wraz z małym Mehmedem. Polski reportażysta Witold Sza-

łowski w książce *Merhaba* poświęca Hikmetowi cały podrozdział, rozmawia również z jego polskimi przyjaciółmi, którzy Galinę wspominają bardzo pozytywnie. Zwracali uwagę na fakt, że lekarka kupowała nawet dla Mehmeda ubranka na bazarze, zdając sobie sprawę, że sytuacja materialna chłopca i jego matki w Turcji nie była dobra. Galina wielokrotnie deklarowała, że gdyby Münevver wydostała się jakoś z kraju znad Bosforu, to ona odejdzie od Hikmeta, żeby rodzina mogła znowu być razem.

Poeta i tym razem nie był zbyt stały w uczuciach. Gdy został poproszony o konsultację albańskich stróżów do pewnego filmu, poznał młodszą Wierę Tuliakową. Ich okresowe romanse były przerywane częstymi wyjazdami zagranicznymi Nâzıma. Wiera początkowo była sceptyczna wobec załotów Hikmeta, ponieważ była mężatką z małą córeczką. Jednak ostatecznie, po 5 latach znajomości (poznali się w 1955 roku), Hikmet i Wiera postanowili oficjalnie rozpocząć wspólne życie. Wiera porzuciła męża, warunkiem rozwodu było jednak oddanie ich córki pod jego opiekę. Hikmet nie miał formalnych problemów, ponieważ Münevver nie była z prawnego punktu widzenia jego żoną. Para pobrała się 18 listopada 1960 roku, po tym jak poeta otrzymał radziecki paszport. Wiążąc się z młodą Rosjanką pisarz nie tylko zostawił żonę, ale również Galinę, która się nim opiekowała, razem mieszkali. Lekarka była zrozpaczona i rozczarowana. Nie zostawił jej jednak z niczym, ponieważ notarialnie zapisał jej większość swojego majątku.

Podczas tych wszystkich związków i romansów w tle, w Turcji cały czas przebywała Münevver oraz jedyny syn Hikmeta, Mehmed. Poeta poświęcił jej wiele utworów, jednak z czasem gdy pisał o tęsknocie za ukochaną, można się było zastanawiać, którą ukochaną miał na myśli. Osoby nie zdające sobie sprawy z sytuacji prywatnej Nâzıma były pod wrażeniem romantyzmu poety i jego wielkiej miłości do pozostawionej w Turcji partnerki. Jedną z takich osób była Joyce Salvadori Lussu, włoska pisarka i tłumaczka. Postanowiła ona wydostać Münevver z Turcji i połączyć ich. Jej plan był brawurowy – pojechała do Stambułu i namówiła Münevver, aby ta zmyliła policję i pojechała do portowego miasta Ayvalık. Tam czekał włoski biznesmen Carlo Guilluni, który na swoim jachcie miał dostarczyć ją do Grecji. Ucieczka nie obyła się bez komplikacji, gdyż doszło do wypadku jachtu, ale rozbitek uratowali rybacy. Münevver z Mehmedem ostatecznie dotarli do Aten.

Hikmet chcąc uniknąć spotkania dwóch kobiet, z którymi był związany, nie chciał zaprosić matki swojego syna do Moskwy, a jako miejsce spotkania proponował Warszawę. Nâzım nie powitał swojej tureckiej rodziny na lotnisku. Z Okęcia odebrała ich przyjaciółka poety i tłumaczka jego wierszy Małgorzata Łabęcka-Kocherowa. Razem pojechali do hotelu Bristol, gdzie doszło do spotkania Münevver i małego Mehmeda z Hikmetem. Nie wiadomo, czy wiedziała ona już wcześniej o młodej żonie i wcześniejszych związkach Hikmeta, czy też dowiedziała się dopiero podczas ich rozmowy. Podobno Münevver też nie była mu wierna (Hikmet miał o tym wiedzieć z listów, które dostawał od tureckich przyjaciół). Pewne jest natomiast, że rozmowa była trudna dla nich obojga. Blisko dziesięcioletnia rozłąka sprawiła, że byli dla siebie już obcymi ludźmi.

Poeta w dalszym ciągu nie chciał, aby Münevver i Wiera się spotkały, sprzeciwił się więc wyjazdowi Mehmeda i jego matki do Moskwy. Zaproponował, aby przeprowadzili się do NRD, gdzie na Münevver czekała już praca w tureckiej rozgłośni radiowej w Lipsku. Münevver jednak nie zgodziła się i postanowiła pozostać w Warszawie. Hikmet wykorzystał więc swoje znajomości w Polsce, a jego syn i była partnerka dostali mieszkanie i meble, zaś Münevver została zatrudniona jako pierwsza lektorka języka tureckiego na Wydziale Orientalistycznym Uniwersytetu Warszawskiego. Zaangażowała się w różnego rodzaju projekty naukowe, m. in. była współautorką (pod nazwiskiem Borzęcka) *Historii literatury tureckiej* (Warszawa 1971). Mehmed rozpoczął edukację w szkole dla dzieci dyplomatów, szybko również uczył się języka polskiego. Krótko uczył się w XLIV Liceum Ogólnokształcącym im. Antoniego Tobiszewskiego, nie przystąpił jednak do matury, gdyż wraz z matką przeprowadził się w 1968 roku do Paryża.

Hikmet, który niegdyś pisał piękne wiersze o tęsknocie do rodziny pozostawionej w Turcji, teraz pozostawił ją w Warszawie i wrócił do młodej żony do Moskwy. Pomimo problemów zdrowotnych poety, małżonkowie dużo podróżowali. Zdecydowali się również na remont moskiewskiego mieszkania. Niedługo się nim nacieszyli, gdyż Hikmet wkrótce zmarł. Moskiewskie mieszkanie przepisał wcześniej Wierze, z kolei $\frac{3}{4}$ praw autorskich do jego twórczości przypadło Münevver oraz synowi Mehmedowi, a $\frac{1}{4}$ Komunistycznej Partii Turcji. Münevver po przeprowadzce z synem do Paryża, na którą zdecydowała się w geście niechęci do atmosfery w Polsce po marcu 1968 roku, przełożyła na francuski m.in. twórczość Názima Hikmeta oraz Orhana Pamuka. Zmarła w 1996 roku. Mehmed został malarzem i żyje obecnie między Stambułem a Paryżem. Niestety, pozostaje konsekwentny w swojej decyzji o niewypowiadaniu się publicznie na temat ojca.

Podsumowanie

Názim Hikmet należał do ostatniego pokolenia, które miało okazję kształcić się w Imperium Osmańskim i w tym okresie zapoznać się z klasyczną literaturą osmańską, a następnie tworzyć przez większą część życia już w Republice Turcji. Poddął się zmianom i europeizacji, oddalił się od wysokiego dworskiego języka, w którym tworzyli Osmanie, na rzecz prostego, często potocznego języka, zrozumiałego dla większości społeczeństwa. W Turcji publikacja jego dzieł została zawieszona na blisko 25 lat, nie ujęło mu to jednak nic na popularności. Jego dzieła sprzedawały się i w dalszym ciągu sprzedają w tysiącach egzemplarzy. Popularność ta wynika z wielu powodów, jednym z nich jest wspominany tu już prosty, potoczny język, który sprawia, że wiersz może trafić do szerszego grona odbiorców. A także to, że konsekwentnie porusza aktualne tematy, jak bieda, nierówność społeczna czy walka o byt. Uważany jest za jednego z czołowych poetów, którego każde tureckie dziecko znać powinno, a jednocześnie występuje jako symbol niezłomności i społecznych ideałów. Co istotne, równie poruszające są jego utwory miłosne, oczywiście wczytując się w jego biografię można nabrać wątpliwości, co do szarości jego uczuć, ale jednocześnie czytają go nie tylko ci, którzy chcą zmienić świat, ale osoby pragnące czytać piękne utwory o miłości (co cieszy się w Turcji dużą popularnością).

Hikmet miał dużo propagandowego „szczęścia”. Siedząc w więzieniu „za komunizm”, został wypromowany jako jeden z czołowych „postępowych” poetów. Trafił do Polski, gdzie poznał i polubił się z Małgorzatą Łabecką-Koacherową, późniejszą tłumaczką jego dzieł. Matka jego dziecka przełożyła jego utwory na język francuski, mieszkając w Paryżu. Te wszystkie przypadki sprawiły, że twórczość Hikmeta miała szansę trafić do międzynarodowego odbiorcy.

Jeżeli w Turcji popularność jego twórczości nie maleje, to w Polsce jego tomiki wydane zostały kilkadziesiąt lat temu i brakuje wznowień. Pokazuje to, że ta wyjątkowa postać, wzbudzająca niegdyś zainteresowanie nad Wisłą, teraz odeszła w zapomnienie. Może mieć na to wpływ pogląd o ideologicznym charakterze jego twórczości i jego podporządkowanie się interesom politycznym ZSRR. Jednak nie było ono tak oczywiste, jak to się dzisiaj wydaje, a poza tym wartość artystyczna twórczości pisarza powinna być rozpatrywana niezależnie od kwestii politycznych. Postać Hikmeta przypomina w Polsce wspomniany już Witold Szablowski, brakuje jednak w języku polskim całościowego opracowania jego życia i twórczości.

KAROLINA WANDA OLSZOWSKA

Názim Hikmet JESTEM TOBĄ NA UMÓR PIJANY

Jestem tobą na umór pijany
nie wytrzeźwiałem
wytrzeźwieć nie mogę
nie chcę wytrzeźwieć

Głowa mi pęka
zdarłem kolana
ubranie mam ciężkie od błota

Wstaję padam padam wstaję
biegnę do twego światła
co się zapala i gaśnie

O GŁODZIE I GŁODNYCH NA ŚWIECIE

Rozmowa z MARTINEM CAPARROSEM

Katarzyna Strauchmann, Marta Rosa: Opublikował pan wiele powieści, reportaży, tekstów esejistycznych. Za książkę *Głód*, przetłumaczoną na kilka języków otrzymał m. in. nominację do Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki. Czy czuje się pan znany na całym świecie?

Martin Caparros: No tak. Przez wiele lat pracowałem w telewizji, w Argentynie, więc i krajach ościennych ludzie mnie znają. U siebie, kiedy na przykład idę ulicą, zawsze ktoś mnie zaczepia. W Polsce nie czuję się znany. Na szczęście, bo nie zajmuje mnie sława. Świetnie jest, jeśli ludzie czytają to, co piszę.

– Jaka jest cena, którą płaci dziennikarz, gdy staje się rozpoznawalny?

– Nie wiem. Dziesięć lat temu napisałem książkę o Argentynie. Jeździłem po kraju swoim samochodem, samotnie przez wiele miesięcy. Książka nosi tytuł *El interior*. Pamiętam, że w którymś momencie powiedziałem sobie, że uprawiam dziennikarstwo „głupiej blondynki”. Na przykład przyjeżdżałem do małego miasteczka lub wioski gdzieś w Argentynie i, zamiast szukać ciekawych historii, wiedziałem, że jeśli usiądę w kawiarni, ktoś do mnie podejdzie i coś opowie, bo jestem znany. Mogłem zatem pracować jak przystowiowa „blondynka”, siedzieć i czekać, aż historia sama się napatoczy. Nawet nie musiałem się przedstawiać. Nie musiałem niczego szukać. Ale to tylko Argentyna; kiedy jadę na przykład do Afryki lub Azji, tam nikt mnie nie zna.

– Są tacy reportażyści, którzy mówią, że najpierw byli dziennikarzami, a dopiero później zaczęli pisać większe teksty, duże reportaże. Są pewnie i tacy, którzy od początku w rubryce „zawód” wpisują „non-fiction writer”. Jak to jest w pana przypadku?

– Zacząłem pracę w dziennikarstwie, kiedy byłem bardzo młody. W wieku 16 lat miałem już za sobą pierwsze próby – pisałem np. wiersze. Naturalnym następstwem były książki – powieści. Wydałem cztery, zanim powstała książka reporterska, *non-fiction*. Pisałem fikcję, ale oprócz tego przez cały czas pracowałem jako dziennikarz. Musiałem gdzieś pracować, nie mogłem wszystkiego rzucić. Byłem więc oboma naraz: pisarzem i dziennikarzem.

– Kiedy jedno drugiemu zaczyna przeszkadzać?

– Czasem pisałem jedno, czasem drugie. Nie nazwałbym tego „przeszkadzaniem”, ale nie nazwałbym też „pomocnym”. Fikcja i wydarzenia autentyczne są częścią tej samej pracy. Kiedy muszę napisać o czymś, co widziałem z perspektywy reporterskiej, moje doświad-

czenie jako pisarza bardzo mi pomaga. Jeśli zaś muszę zmyślić coś na potrzeby książki, moje doświadczenie dziennikarskie ułatwia tę robotę.

To tylko dwie części pewnej głupiej istoty ludzkiej – czyli mnie.

– Czy w takim razie nie odczuwa pan czasem pokusy, by elementy fikcji wprowadzić do opisu świata autentycznego?

– Zwykle nie jest to potrzebne. Świat jest pełen tak ciekawych zjawisk, że nie ma sensu ich wymyślać. Właściwie jedyna różnica, jaką widzę między literaturą *fiction* a *non-fiction*, to umowa między pisarzem a czytelnikiem.

W *non-fiction* piszę to, co widziałem naprawdę. W fikcji opowiadam, co wymyśliłem. Oczywiście, wątki zmyślane wielokrotnie są inspirowane rzeczywistością. Zresztą, kiedy opowiadasz prawdę, sam wybierasz, które jej elementy chcesz przedstawić. To też jakby „wymyślanie” od nowa rzeczywistości – poprzez decyzje, które kwestie zostaną wypowiedziane, a które przemilczane.

Pisząc książkę reporterską wydaje się bardzo mocną, zdecydowaną opinię na temat świata i nie ma co ukrywać, że przedstawia się ją poprzez takie decyzje. Nie uważam jednak, by to było nieuczciwe, oszukiwało w ten sposób czytelnika. Praca zarówno pisarza jak i dziennikarza polega na wyborze, a wybiera się według własnych przekonań, doświadczeń, przygotowania do tematu, czy wykształcenia. Na tym polega ta robota: trzeba wybrać to, o czym według ciebie samego warto opowiedzieć.

– *Głód* zaś jest mieszanką – w książce czytelnik znajdzie i poezję, i eseje, ale także wywiady i reportażowo opisane historie ludzi z całego świata. Można ją także odbierać jako manifest, który rzuca w oczy pytanie: „Jak, do diabła, dajemy radę żyć, wiedząc, że dzieją się takie rzeczy?” Czy taki zbiór to tylko praca reportera?

– Nie uważam, by istniało stwierdzenie „czysta reporterska praca” jako taka. Wszyscy próbujemy znaleźć własny sposób na wyrażenie siebie. Ryszard Kapuściński na przykład mógł zadowolić się pisanem depeš do PAP-u, ale chciał znaleźć też inny sposób na opowiedzenie świata, opisanie tego, czego był świadkiem. Najlepsza reporterska robota jest więc wtedy, kiedy znajdzie się nowy sposób na pisanie.

– Czy Ryszard Kapuściński był więc dla pana inspiracją?

Kiedy zaczynałem pisać, przeczytałem cztery książki: dwie z nich autorstwa Argentyńczyków. Pierwszym

był Rodolfo Walsch, znany i poważany pisarz, zarówno fikcji jak i reportażu. Rodolfo Walsch został zabity przez militarny rząd w 1977 roku. To był mój pierwszy szef w gazecie, w której pracowałem od 1974 roku. Jego książka *Operación Masacre* jest dla mnie i dla wielu innych inspiracją. Opowiada o morderstwach w latach 50. w Argentynie. To pierwsza taka książka napisana trochę jak powieść [hiszpańskojęzyczna powieść z gatunku dziennikarstwa śledczego, przyp., aut.]. Tuż przed tym, jak w Stanach Zjednoczonych zaczęto tworzyć tego typu dzieła, Walsch zrobił to w Argentynie, w Ameryce Południowej w 1957 roku.

Później przeczytałem bardzo dobrą książkę pisarza, który był także moim przyjacielem i nauczycielem – Tomasza Eloy'a Martinez, który także pisał zarówno powieści, jak i reportaże. Przeczytałem też książkę pt. *Lugar Comun la Muerte*; to kolekcja bardzo dobrych kronik-świadectw jego pracy dziennikarskiej. Potem przeczytałem też m. in. kilka artykułów hiszpańskiego autora Manuela Vicenta. Cenię go za styl, w języku hiszpańskim osiągnął absolutną doskonałość. Czytałem więc wszystkie te książki.

Jeśli chodzi o Kapuścińskiego, to w tamtym czasie nie był jeszcze tłumaczony na j. hiszpański. Później poznałem go zresztą osobiście, kiedy przyjechał do Buenos Aires, by pracować w Fundacji Nowego Dziennikarstwa Iberoamerykańskiego założonej przez Garcíę Marqueza, w której ja również pracowałem. Kapu [tak nazywali go kolumbijscy fani, przyp. aut.] pracował tam jako nauczyciel, tak jak ja. Spotkaliśmy się kilka razy, a później zacząłem czytać jego książki. To był dla mnie wielki szok, podziwiałem go; wielu jego zabiegów mogłem później użyć także w swojej pracy.

– Argentyna, z której pan pochodzi, znana jest ze świetnych pisarzy, jak Cortazar lub Borges. Czy i pan chciałby należeć do tego grona?

– Może to i śmieszne, ale jest coś, co kilka dni temu bardzo mnie rozbawiło. To ogłoszenie o festiwalu literackim w Kolumbii, Argentyna ma być tam gościem. Na plakacie festiwalu zamieszczono moje zdjęcie, między Cortazarem a Borgesem! Kiedy to zobaczyłem, ucieszyłem się jak głupi. Pewnie się pomylili, ale to taki przypadek, kiedy błąd wydawcy czyni cię szczęśliwym.

– Kiedy zaczął myśleć pan o sobie, że jest doświadczonego dziennikarzem?

– O tym, że jestem dziennikarzem, myślałem od dawna, w końcu w ten sposób zarabiałem na życie. Od początku, od 16. roku życia czułem się jak jeden z nich. Nie było w tamtych czasach uniwersytetów w Argentynie, na których można było studiować dziennikarstwo. Zawodu trzeba było uczyć się w praktyce, wykonując go. Nie było momentu „przejścia”, po którym można by powiedzieć „teraz jestem dziennikarzem, a przedtem nim nie byłem”. To była kwestia rozpoczęcia pracy w zawodzie. Pisałem i to było drukowane.

– A czy pana zdaniem świat potrzebuje reporterów?

– Nie sądzę, żeby świat nas potrzebował, ale warto docenić, że staramy się zrobić coś, by świat był odrobinę lepszy. Że robimy to, w co wierzymy, że może mieć choć minimalny pozytywny skutek. Nawet jeśli mimo wszystko nie będzie go mieć.

To i tak lepsze niż praca, o której wiadomo, że na pewno nie będzie mieć znacząco dobrego efektu

w świecie. Na przykład bankierzy – praca od 9 do 17 tyłu po to, by zarobić trochę pieniędzy i czekać na koniec dniówki – to dla mnie synonim piekła. Można być dobrym bankierem, ale też dobrym dziennikarzem. Ja doceniam i wspieram wybór tych, którzy chcą zostać dziennikarzami, bo mają szansę zrobienia czegoś pożytecznego dla świata.

Przywilej jaki mają pisarze i dziennikarze, to pisanie historii. Nie handlowanie swoim czasem, by jako zapłatę dostać pieniądze na życie, ale robienie czegoś, bo tak trzeba – z potrzeby serca. To jest właśnie cała różnica. To także ogromny przywilej, bo większość ludzi nie ma takiego luksusu. Biorąc go na poważnie, trzeba też sobie na niego jakoś zasłużyć. Ja osobiście mimo wszystko czuję ulgę, bo wiem, że gdybym robił coś innego, nie byłbym szczęśliwy.

– Po co napisał pan *Głód*? Czy książka, opisująca głód na świecie i mechanizmy do tego doprowadzające może rzeczywiście coś zmienić?

– Nie uważam, żeby książki mogły zmienić cokolwiek; no chyba, że to pozycja kalibru *Biblii*, czy *Manifest Komunistyczny*. Jest kilka takich książek, które miały wpływ na historię, ale zdecydowana większość jednak nie ma.

Uważam też, że powodem do napisania książki nie powinna być tylko chęć zmiany świata. Wyznaję zasadę, że kiedy czujesz, że musisz coś napisać, po prostu to zrób i nie przejmuj się efektami. Nie napisałem *Głodu*, bo chciałem, żeby ta książka zmieniła świat. Czułbym się po prostu dużo gorzej, gdybym tego nie zrobił.

– Czyli do bycia reportażyście trzeba czuć powołanie?

– Nie nazwałbym też tego powołaniem. Są po prostu rzeczy, które człowiek czuje, że musi zrobić i inne, które w ogóle go nie obchodzą. Jeśli więc tylko podejmie się decyzję o tym, że trzeba, bo inaczej będzie gorzej, to należy to zrobić. Oczywiście, byłbym szczęśliwy, jeśli ktoś po przeczytaniu mojej książki znalazłby w sobie chęć do zmiany, naprawy czegoś, ale to, jaki przyniesie efekt, już nie jest wtedy priorytetem pisarza, bo nie da się kontrolować życia swojej książki.

– Kto w sprawie głodu mógłby więc cokolwiek zmienić i dlaczego uznał pan, że to taki problem, o którym trzeba opowiadać? Są też inne, jak handel ludźmi czy narkotyki.

– Właściwie mogłem napisać o czymkolwiek, ale wcześniej długo pracowałem pisząc o sprawach społecznych i politycznych. Odkryłem wówczas, że za każdym problemem, o którym chciałem opowiedzieć, stał ten oto fakt: ludzie nie jedli wystarczająco. Nigdy nie było to na pierwszym planie, a zawsze gdzieś w tle.

Po kilku latach postanowiłem wreszcie wyciągnąć kwestię głodu na światło dzienne, napisać o sprawie, do której nikt nie odnosił się jako do głównego problemu. A jest to bez wątpienia największy problem naszej cywilizacji. Ponieważ zaś jako ludzkość jesteśmy w stanie go rozwiązać, a mimo wszystko tego nie robimy, mamy obowiązek wytłumaczyć się z pytania: dlaczego? Przemysłmy to: dlaczego nie rozwiązujemy problemu głodu na świecie?

– Czuł się pan winny w rozmowach z umierającymi z głodu ludźmi, bo nic nie zrobił?

– Jestem przeciwny poczuciu winy, to głupie i niepotrzebne uczucie. Uważam też, że należy je zwalczać, by

przekształciło się w coś innego – jakąś siłę, czy zachowanie; poczucie winy jako takie jest całkowicie paraliżujące. Nawet więc, jeśli je czułem, starałem się przekuć to w coś innego. Odczuwałem wściekłość, desperację, bezsilność. Ale i te próbowałem przerobić w jakąś siłę, która pomagała mi pracować dalej.

– **Wciąż był pan białym, dobrze odżywionym dziennikarzem, pytającym o niewesołe życia głodnych ludzi. Czy uważa pan, że mógł w tak nierównej pozycji liczyć na szczerość ze strony rozmówców?**

– Myślę, że żaden człowiek nigdy całkowicie się nie otwiera, zawsze zachowuje coś dla siebie. Ale wiem też, że bardzo wielu z nich było chętnych do opowiadania swoich historii. Jak to zwykle bywa, ludzie na całym świecie chętnie mówią o sobie. Wystarczy pokazać, że umiesz i chcesz ich wysłuchać. I to też jest jednym z problemów całego naszego społeczeństwa – nie ma nas kto wysłuchać. Jeśli więc ktoś, w tym wypadku ja, wyraziłem chęć poświęcenia komuś swojego czasu, zwykle spotykałem się z chęcią opowiadającego.

Odwracalem więc zwyczajową sytuację, w której to biały człowiek mówi, a Indianin czy Afrykańczyk ma słuchać i się dostosować. Sytuacja, w której byłem – jak mówicie – najedzonym dziennikarzem z zachodniego świata, wsłuchującym się w ludzi, których nikt na świecie nie chce słuchać, zarówno tych z Afryki jak i Azji, nie sprawiała, że nie chcieli ze mną rozmawiać.

I nie kosztowało mnie to wiele wysiłku. Kiedy ktoś opowiada mi swoją historię, zawsze cieszę się z dwóch powodów: bo mogę ją poznać, a po drugie, że ktoś okazał mi zaufanie i postanowił ją powierzyć.

– **Mówi pan, że ma szczęście do historii, a jedyna trudność polega na znalezieniu odpowiednich ludzi. Czasem jednak trudno jest zadawać trudne pytania tym, których się polubiło. Czy żałuje pan, że zapytał o coś, co przekroczyło granice intymności?**

– Oczywiście, że żałuję zadania niektórych pytań, ale głównie dlatego, że były głupie. Wielu rzeczy nie byłem świadom.

Głód zaczyna się opisem jednego z takich właśnie najgłupszych pytań. Rozmawiałem z pewną kobietą, Aishą w Nigerze, o tym, że jadła placek. Spytałem, czy jada go codziennie. W głowie miałem oczywiście zupełnie inny sposób myślenia o jedzeniu: że trzeba mieć zróżnicowaną i zbilansowaną dietę, a jedzenie musi zawierać wartości odżywcze, by dostarczać organizmowi minerałów. A ona odpowiedziała, że je placek codziennie, o ile może. Wtedy zrozumiałem, jak różne są nasze punkty widzenia.

Zadawałem więc wiele głupich pytań. Pamiętam jedno, może nawet bardziej agresywne, skierowane do kobiety w Nigrze, w szpitalu, w którym byłem leczony. Bohaterka opowiadała mi o śmierci jednego z jej dzieci – miała ich ósemkę, z czego trzy lub cztery zmarły na różnych etapach życia. Spytałem, czy wiedziała, że któreś z jej dzieci umrze, kiedy planowała ich narodziny. Spojrzała na mnie z oburzeniem i smutkiem. Odpowiedziała, że nikt nie rodzi dzieci po to, by umarły. Strasznie się wtedy zawstydyłem.

Zadawałem wiele takich pytań, ale przez cały czas też poddajemy się procesowi uczenia, prawda?

– **Czy wobec tego żałuje pan, że jakichś pytań nie zadał?**

– Oczywiście, zawsze mam takie uczucie! Francuzi nazywają je *L'esprit de l'escalier* – duch schodów. To

uczucie, kiedy wychodzi się z jakiegoś miejsca, jest się już na schodach i wtedy do głowy przychodzi doskonała odpowiedź, najlepsza riposta! Wszyscy to przecież znamy.

– **Ile czasu zajęło panu napisanie *Głodu*?**

– Pisanie trwało pięć lat. Przez cały proces towarzyszyło mi uczucie, jak bardzo świat jest niesprawiedliwy. To uczucie właściwie zmuszało mnie do pracy. Pytanie, dlaczego nie jesteśmy w stanie nic zmienić, ulepszyć.

Głód jest rozczerowaniem dla estety. Jest rozczerujący estetycznie! W książce wyraziłem tę myśl. Jako ludzkość powinniśmy umieć zrobić coś lepszego niż to. Jak możemy dopuszczać do takich okropieństw? Na świecie, gdzie jest wystarczająca ilość pożywienia dla wszystkich, wciąż każdego dnia z przyczyn związanych z głodem umiera 25 tys. osób. To straszne.

– **Od dłuższego czasu mieszka pan w Europie, w Madrycie. Które sprawy zajmują pana bardziej – jednak europejskie, czy wciąż raczej te dotyczące Ameryki Południowej?**

– Najbardziej wciąż chyba te z Argentyny. W Hiszpanii mieszkam dopiero od jakichś czterech lat (teraz już pięciu.). Kiedy wyjechałem z Argentyny, miałem 18. Przez jakieś dziewięć mieszkalem poza granicami Hiszpanii, wracałem i wyjeżdżałem znowu. Zresztą połowicznie stamtąd pochodzę – mój ojciec jest Hiszpanem. Czuję więc silny związek z tym krajem. Ale piszę po argentyńsku, nie po hiszpańsku.

Czuję się też Argentyńczykiem oczywiście i to Argentyna mnie denerwuje. Właśnie piszę artykuł, jak rozczerowany jestem tym, co moje pokolenie zrobiło z tym krajem w ciągu ostatnich 40. lat. Na temat Hiszpanii nic takiego bym nie napisał.

– **Właściwie pracuje pan bez przerwy.**

– Po tym, jak opublikowałem *Głód*, napisałem dwie powieści i książkę o moich dziadkach, dla samego siebie i jako prezent dla znajomych. Przedwczoraj zobaczyłem ją po raz pierwszy w drukowanej wersji.

Żeby napisać książkę, trzeba dużo pracować! Moją zasadą jest, że jeśli napiszę 500–1000 słów dziennie, to oznacza, że rocznie powinienem napisać ich 182,5 tys. – 365 tys.

– **Czy pisarz/reporter idzie na emeryturę?**

– Takiej sytuacji na pewno sobie nie wyobrażam! Dwa lata temu pewien dziennikarz zapytał mnie, co będę robić na emeryturze. Obruszyłem się trochę, bo chyba nie jestem aż tak stary, by kierować do mnie takie pytania. Ale musiałem odpowiedzieć. Powiedziałem więc: „W zasadzie odszedłem na emeryturę jakieś 30 lat temu. Robię to, co lubię – to samo, co robiłbym, gdybym był na emeryturze”. To oczywiście, że jak będę miał 80 lat, nie będę jeździł do Afryki, by wędrować z nomadami wypasając przez kilka tygodni ich stada zwierząt. Przypuszczalnie znajdę jakieś nowe zajęcie, odpowiednie do mojego wieku i stanu. Po to, by móc pracować dalej.

– **Czy gdyby jeszcze raz mógł pan zaplanować swoje życie, wyglądałoby tak samo?**

– Może nie dokładnie tak samo, bo to byłoby głupie – niektóre rzeczy musiałbym zmienić. Ale w większości jednak postąpiłbym tak samo...

Rozmawiały:
KATARZYNA STRAUCHMANN
MARTA ROSA

STANISŁAW GĘBALA

JEDNAK DWIE POLSKI

Koncept „dwóch Polsk z granicą na Wiśle” wydaje się już mocno zużyty, dlatego nieco zdziwiłem się zobaczywszy go jako tytuł obszernej rozmowy w „Gazecie Wyborczej” z 26-27 stycznia br. Z większym zainteresowaniem obejrzałem umieszczony obok tytułu duży rysunek Jacka Gawłowskiego, przedstawiający współczesnego Syzyfa(?) wtaczającego pod górę olbrzymi kamień. Kamień ma jednak kształt zbyt regularnej kuli, a jego twardość wydaje się podejrzana, ponieważ ręce „Syzyfa” zanurzyły się w nim po łokcie, wraz z czubkiem głowy. Musi się więc pojawić inne skojarzenie, które nasuwają przyrodnicze filmy: to (człękokszałtny) żuk-gnojak pchający po stromym zboczach ogromną kulę łajna.

Dopiero po takim „odczytaniu” rysunku rzuciłem okiem na nazwiska rozmówców dziennikarza „GW” Grzegorza Wysockiego; są to Kaja Puto, Małgorzata Rejmer i Ziemowit Szczerek. W końcowej notce – obok nazwisk – podano rok urodzenia: 1990, 1985, 1978. To zaostryło moją ciekawość; jak postrzegają „dwie Polski” ludzie urodzeni w latach, w których ja byłem już trzydziestoosmioletnim, czterdziestopięcioletnim i pięćdziesięcioletnikiem.

*

Rozmowa ukazała się zaledwie dwa tygodnie po przerastającej wyobraźnię zbrodni, dokonanej w świetle reflektorów w czasie gdańskiego finałowego koncertu Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy – a więc na jej początku musiało paść nazwisko, które było na ustach wszystkich. Tu padło z ust najmłodszej uczestniczki dyskusji:

„KAJA PUTO: Mogę zacząć? Ja już nie mam siły. Mam wrażenie, że wszyscy już wszystko powiedzieli, a śmierć Adamowicza jest tylko podsumowaniem naszej polskiej sytuacji. Polacy, możemy się rozejść.”

Muszę się przyznać, że ostanie słowa zabrzmiały mi nieco za słabo. „Możemy”? Raczej musimy. Polacy, musimy się rozejść na dwie strony Wisły, jeśli nie chcemy się pozabijać. Oczywiście, jeśli naprawdę wszyscy już wszystko powiedzieli i niczego nie chcą cofnąć, ani – w imię wolności słowa – narzucić sobie żadnych ograniczeń.

Tak zdaje się widzieć sytuację Małgorzata Rejmer: „Nie chcę zaczynać od katastroficznych tonów, ale wszyscy doskonale wiemy z historii, że język nienawiści, który odczłowiecza daną grupę, prowadzi do zachowań przemocowych. To język stwarza rzeczywistość. Nazywanie tego co się stało, morderstwem politycznym, jest zbyt proste, ale to zabójstwo jest jednak rezultatem nagromadzenia się odpowiedniej liczby słów. Słów, które przekroczyły masę krytyczną”.

Proponuję koniecznie zapamiętać choćby to jedno krótkie zdanie: „To język stwarza rzeczywistość” – i uświadomić sobie, że językiem komunikacji społecznej nie może dłużej być hejt.

*

Choćby dlatego, że ma ograniczone możliwości przekazu treści intelektualnych, które wykraczają zwykle poza zawartość słownika wulgaryzmów. Kres tych możliwości ukazał przekonująco np. Mariusz Szczygieł w felietonie *Posłańcy Pana B.* (dodatek „Duży Format” do „Gazety Wyborczej” z 4 II 2019). Zacytuję cały akapit:

„Bardzo religijny – jak wynika z jego konta na Facebooku – wychowawca młodzieży, szef klubu piłkarskiego dla dzieci spod Warszawy, przysłał mi wiadomość zaczynającą się od słów: »Słyszałem pedale p..., cwelu w d... j..., że ci k... frajerska przeszkadzają modlącym się ludzi«. Potem pan wychowawca pisze – używając wulgarnych wyrazów oznaczających narządy płciowe – wszystko, co sobie wyobraża na temat mojej mamy i taty. Oznajmia, na kogo z mojej rodziny sika, i kończy: »Tak mi dopomóż Bóg«.”

Sięgnąłem po przykład hejtu nie budzącego żadnych wątpliwości, ponieważ w dyskusji *Dwie Polski z granicą na Wiśle* Ziemowit Szczerek wspominał w pewnej chwili o „histerii antyhejterskiej, która teraz zapanowała dookoła”, a Grzegorz Wysocki problem rozszerzył:

„Mam wrażenie, że dziś nazywamy hejtem każdą krytykę, każdy spór i każdą kłótnię.”

W tej kwestii wszyscy rozmówcy są zgodni, dodając jeszcze uzasadnione oskarżenia pod adresem forów społecznościowych, które z podsycania złych emocji czerpią wymierne korzyści. Obie panie wyrażają jednak pewną nadzieję. Kaja Puto: „Swoją drogą w Polsce Facebook ma wyjątkowe znaczenie dla debaty publicznej, bo mamy wiele znanych »postujących głów«, które zażarcie wyklócą się o Polskę w internecie. W Europie jest już raczej w modzie dezaktywować swoje konto, by się temu nie poddawać”. Małgorzata Rejmer: „Ten trend, by odchodzić od Facebooka, wydaje mi się zrozumiały – w sieci wszystko jest zwielokrotnione, zbyt ładne, zbyt krzykliwe, zbyt agresywne. W normalnym życiu funkcjonujemy inaczej. Ludzie uciekają z internetu, szukają jakiejś prawdy o sobie, poczucia, że nie są sterowani. Życie poza Facebookiem to teraz znaczy żyć poza systemem”.

*

Tymczasem Facebook, który ma na sumieniu немало młodocianych ofiar (w dosłownym sensie, czyli śmiertelnych), zdaje się nie zadowalać dwoma miliardami użytkowników. Tę liczbę znakomicie podnoszą inne fora, równie skutecznie uzależniające od elektronicznych gadżetów kolejne pokolenia. W takiej sytuacji nasze znane „postujące głowy” powinny szczególnie powściągać emocje w swoich kłótniach o Polskę, które ją coraz wyraźniej dzielą – i to niekoniecznie tylko wzdłuż linii Wisły.

Nie, słowo „dziela” jest tu eufemizmem – one ją rozdzierają. I znów zacytuję Małgorzatę Rejmer: „Najwięk-

szym problemem nie jest to, czy istnieją dwa plemiona, czy nie, tylko że my w ogóle nie zakładamy, że w obrębie takiego konstruktu jak społeczeństwo można sobie funkcjonować obok siebie”.

Zatrzymajmy się chwilę przy tym skromnym słówku „obok”, które znaczy także: na jednej płaszczyźnie. Otóż walki plemienne – choćby tylko na słowa – likwidują tę równą dla wszystkich płaszczyznę, budując jakąś strukturę wertykalną; jedno plemię dąży do zdominowania drugiego, powstaje podział na lepszych i gorszych, z wyższej i niższej półki, na tych, co stoją z dumnie podniesioną głową i tych, którzy zastygli w hańbiącej pozycji „na kolanach”.

Musimy powtarzać takie oczywiste oczywistości, żeby nie pozwolić narzucić sobie „jedynie słusznych” poglądów, choćby przez partyjne „przekazy dnia”. Podział na wrogie plemiona właściwie uniemożliwia zbudowanie „narodu politycznego”, którą to kategorią posługuje się Rafał Matyja w swojej pracy *Wyjście awaryjne*, przywołanej w dyskusji przez Kaję Puto i uznanej przez nią za najważniejszą książkę polityczną ubiegłego roku. Zawiera ona propozycję „pluralizacji konfliktów”, która chyba jest bliska również Małgorzacie Rejmer, odrzucającej ten jeden wyniszczający konflikt, podsycany nieustannie przez obie największe partie:

„Cały czas słyszymy, że jest tylko jedna słuszna wersja wydarzeń i jeden światopogląd. Wszyscy jesteśmy przecież bardzo różni nawet jako Polacy – Kaszubi, Ślązacy, mieszkańcy Mazowsza – a nagle dostajemy z obu głównych stron konfliktu informację, że wszyscy mamy myśleć tak albo tak. I nikt nie bierze pod uwagę tego, że mamy prawo nie do dwóch plemion, tylko do, nie wiem, setek różnych. Bo na tym polega społeczeństwo, jest mozaiką różnych tożsamości i punktów widzenia”.

*

Cytowana tu przeze mnie tak często Małgorzata Rejmer niedawno dostała Paszport „Polityki” za książkę *Łąco słodsze niż miód. Głosy komunistycznej Albanii*. Mieszka w Tiranie – przepisuję z notki. Wcześniej nominowano do Nike jej zbiór reportaży *Bukareszt. Kurz i krew*. I znów musimy wrócić do hejtu:

„Po opublikowaniu *Bukaresztu* na jednym z portali dyskusje toczyły się wokół tego, czy z tym nosem mam spadać do Izraela, czy z tym nazwiskiem to jednak do Niemiec. Teraz, po *Łąco*, doszedł wątek pod tytułem »brzydka Polka żyje z albańskim brudasem«. Zazwyczaj tego nie czytam, ale raz sobie zaserwowałam taką przyjemność i już po chwili miałam poczucie pełnego absurdu, bo w komentarzach nie było mnie, tylko symbol wszystkiego, czego prawicowy Polak internauta nienawidzi”.

Kaja Puto, która od razu przyznaje: „Dostaję mnóstwo hejtów” – zdobywa się jednak na budzącą szacunek próbę zobaczenia w hejterze człowieka, który ma uzasadnione poczucie krzywdy:

„Niezależnie od tego, jak obrzydliwą i okrutną dostałabym wiadomość, staram się pamiętać, że w tym dialogu to ja jestem osobą uprzywilejowaną i to mimo że moja opcja ideologiczna jest dyskryminowana przez władzę. Jeśli mam ochotę coś skrytykować, piszę felieton, dostaję za niego wynagrodzenie, a potem mnie jeszcze zapraszają do radia. A tego człowieka po drugiej stronie przez lata nikt nie słuchał, więc on utożsamia mnie

z tymi, którzy są temu winni, i mówi takim językiem, jakim potrafi zadawać ból”.

Ostatnie słowo należy jednak do Ziemowita Szczepka, do którego miałem nawet (przez chwilę) pretensję, że swoim sarkazmem zniszczył efekt humanistycznej wzniosłości deklaracji Kai Puto:

„Cóż, spełniony sen demokratów – szeroki dostęp do debaty publicznej – pożera swoich rodziców. Bo tylko naiwniak mógł się spodziewać, że taka debata będzie wiktoriańsko-mieszczańsko-wstrzemięźliwa. Nie, ona jest jak wojna chłopska”.

Pewnie starcze zgorzknienie, a przynajmniej ten dystans 50 lat (to przeszło dwa pokolenia!) dzielący mnie od najmłodszej uczestniczki dyskusji spowodowały razem, że szybko wyżyłem się podobnych wyrzutów sumienia. Niestety, nie wszystkich ludzi warto wysłuchiwać, a niektórym wręcz nie wolno ułatwiać dostępu do debaty publicznej. Zwłaszcza w czasach, w których władza właśnie ich szczególnie zachęca do wyrażania swoich frustracji zapewniając, że czuje i myśli tak samo jak oni, bo jest po prostu z nich – krew z krwi i kość z kości; a równocześnie do podbitego plemienia kieruje słowa (powiedzmy, ustami Marcina Wołoskiego, dyrektora telewizyjnej Dwójki), które przypominał w tej dyskusji Grzegorz Wysocki: „Zasady są proste: były wybory, wygrała ta partia, więc trzeba się z tym pogodzić i morda w kubek”.

*

A ja, zachęcony (o czym wspominałem wyżej) do lektury książki Rafała Matyi, mrucząc pod nosem słowa, którymi się od trzech lat pocieszam, że po „dobrej zmianie” każda następna może być tylko lepsza – przeczytałem i sam wpadłem w głęboką frustrację: „Następcy nie muszą być lepsi. Od ludzi o kilka lub kilkanaście lat ode mnie starszych często słyszę przestrogi przed nadmiernym optymizmem w kwestii zmiany pokoleniowej. Słyszę o »złym materiale«, z jakiego »zrobione« jest młode pokolenie. Tak, jakby kształtowanie się pokoleń nie było kwestią uwarunkowań i doświadczeń, a jakiegoś niezwykle tajemniczego procesu lepienia ludzkich charakterów i umysłów, dziejącego się z dala od instytucji i obyczajów ukształtowanych przez poprzedników”. (*Wyjście awaryjne*, s. 76/77)

Też odnoszę się nieufnie do takich sloganów, jak „zmiana pokoleniowa” czy „sztafeta pokoleń”. Sam należę do pokolenia, które śpiewało na szkolnych apelach jeszcze w pierwszej połowie lat 50. ubiegłego wieku: „Myśmy przyszłością narodu! Pierś nasza pełna jest sił”. I „Naprzód młodzieży świata!” – w pochodach 1 maja czy 22 lipca. A „na górze” trwały niezmiennie przez dziesięciolecia walki o władzę maskowane parodią wyborów; dlatego aż do czterdziestki żyłem z wrażeniem, że jestem równocześnie widzem i statystą w jakimś idiotycznym, niekończącym się, spektaklu.

Potem, już zapewne za połowę swojego życia, uległem na krótko złudzeniu, że wreszcie wyszedłem z kiepskiego teatru.

Złudzenie przysło, kiedy zobaczyłem w telewizji postacie poprzekierowane w groteskowe sceniczne (a może filmowe?) kostiumy. To były jakieś długie peleryny z ogromnymi orłami na piersiach (i brzuchach). Chyba do plenerowego spektaklu pt. *Nasza wspaniała białoczerwona drużyna*.

■

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

PRUSZYŃSKI, MICKIEWICZ I ŻYDZI

1.

Jak Mickiewicz miał na drugie imię? Nikt nie wie albo nie pamięta. Bernard. Tak właśnie zaczyna swą opowieść o Mickiewiczu Ksawery Pruszyński. Od razu widać rasowego reportera, który dba już od pierwszej strony, żeby czytać dalej.

Ledwośmy zapamiętali „Bernarda”, jak informuje, że w okolicach Nowogródka Mickiewiczów było – przepraszam – jak psów. I nazywa ich imiennikami poety. Gdyby miał więcej czasu na poszperanie, doszedłby i do tego, że właściciele tego samego nazwiska lecz niespokrewnieni, to cioski. Termin zapomniany, przetrwał tylko w dowodzie osobistym Stanisława Cioska, kiedyś ambasadora w Moskwie.

I kolejny „bernard” – pierwociny poetyckie Adama niczym nie różniły się od byle jakich wierszyków byle jakich młodzieńców. Ciekawe, czy Cezanne jako dziecko rysował kota z wąsami tak jak inne dzieci?

Tajne stowarzyszenie założyli w Wilnie. Nic w nim nie było tajnego, prócz nazwy i mody, która nakazywała, aby poza członkami rzeczywistymi byli także członkowie korespondencji, a pierwszy stopień naukowy nazywano z rosyjska „kandydatem filozofii”.

Maryla Wereszczakówna żyła bardzo długo. „Panie kochane przez poetów żyją długo, przynajmniej w Polsce” (s. 51). Czyżby przewidywał los własnej narzeczonej, Julii Hartwig, która zmarła w 2017 roku po dziewięćdziesiątce? Że Mickiewicz, który kochał się w Wereszczakównie, miał być wielkim poetą, tego nie wiedział. Nikt jeszcze w czasach studenckich Adama tego nie wiedział. Nikt go, poza Zanem i Czeczotem, członkiem korespondentem, który też był poetą, nie czytał.

Dostał skierowanie do pracy w zamian za stypendium i przeniósł się do Kowna, gdzie uczył wszystkiego z wyjątkiem historii Chin – co zapewne miało być u Pruszyńskiego żartem. Gdyby jednak uczył i tego, byłby w Polsce pionierem, gdyż Chiny dostarczały wówczas – w XVII i XVIII wieku – 70 procent produktu światowego brutto, o czym nikt nie wiedział ani wtedy, kiedy Mickiewicz pisał swoje wykłady, bo podręczników nie było, ani wtedy, kiedy Pruszyński pisał o nim opowieść wygłaszaną najpierw w odcinkach przez radio.

Mickiewicz pisał seksterny czyli wykłady – a uczył głabów – pisał listy do przyjaciół. Trzecim zajęciem w tej dziurze była nauka niemieckiego (autodydaktyczna) oraz lektura Schillera i Goethego. Zawczasu wykpiwa Pruszyński polskich profesorów, którzy starannie opatrzą przypisami każdą rzecz już dawno martwą, a chodzi mu o listy i załączniki o rozwoju towarzystw wileńskich. Romansu z panią Kowalską, żoną tamtejszego lekarza po eta ślubuje nie wszczynać. A było z kim.

Jego samotność kowieńska 1821 to źródło polskiego romantyzmu. Jednego z pierwszych wierszy, *Ody do młodości* nikt nie zrozumiał.

Magisterium nie dostał z powodu błędów ortograficznych. Była to zatem para-grafia. Uniwersytet Wileński, najlepszy wtedy w nieistniejącej Polsce, miał raptem 10 lat i trzech profesorów – Niemca Grodka, Leona Borowskiego i Malewskiego. Żył temperamentem młodych poetów przez jeden tylko sezon. Cała legenda filomatów to dzieło polskich profesorów.

Tymczasem Maryla wychodzi za mąż za Wawrzyńca Puttkamera, a Mickiewicz romansuje z Kowalską, która urządziła u siebie czytelnię czasopism. Doszło do pojedynków. Mąż wyzwał Mickiewicza, Mickiewicz dał w twarz trzeciemu fatygantowi, Nartowskiemu. Doktoratów ani habilitacji o tym nie ma.

Z dykcjonarzem cisnął się przez Szekspira – to najważniejsza informacja z roku, w którym dostał urlop nauczycielski w Kownie i rozluźnił więzy z Kowalską, która chciała go w tej dziurze zatrzymać na zawsze.

Romans poślubny, potajemny trwał nadal. Z Marylą. Ona bardziej cierpiała. Puttkamer zdawał się niczego nie widzieć. Tymczasem pierwszego tomiku, 142 strony, nikt wydać nie chciał. Wydali własnym sumptem i bardzo dobrze sprzedali. Najlepsze oceny wystawił tej poezji zecer. Drukarz, który odrzucił najpierw, zabiegał o kupno praw autorskich. Drugi tomik to powieść. *Ciągnę jak drut*. Bardzo mu źle szło. Nienawidził tej pracy, grał na pieniądze, czytał Schillera i Byrona. Na stypendium zagraniczne go nie wysłali. Jan Sniadecki zatrzymał mu życie, bo „mędrca szkieleto i oko” nie zamierzało ustąpić miejsca romantycznemu, mrocznemu bajdurzeniom. Zbliżał się czas *Dziadów*, których pierwsza część, kowieńska, powstała w tej dziurze.

Dziadami zajmują się profesorskie księgi wywracające na nice najdrobniejszy szczegół, kiedy na połowie strony Pruszyński opisuje ich istotę, wyjaśniając jednym słowem genezę i sposób tworzenia: uczucie.

„Jakiż pomysł wydać część drugą i czwartą czegoś, co nie ma końca, początku i środka? Dramat fantastyczny, z duchami, gusłami, iście romantyczny, z zaprzeczeniem klasycznej zwartości. I jakim zaprzeczeniem! Jakże się łączy wizja Dziewicy zasypiającej nad książką modnej pani Kruedener, z tajemniczym Myśliwym? A co robi w tym wszystkim ponura, społeczna, szelmowska niemal wizja mąk dziedzica szarpanego po śmierci przez sepy i kruki chłopskich dusz? Czy szaleństwo Gustawa, obłąkańca miłości? Co Książd w tym wszystkim? Co Guślarz? Jakaś moc wątków zadzierganych nie łączących się ze sobą, jak wątki muzyczne nie powiązane w koncert, jak filary zamierzonego tumu, których nie powiązano łukami sklepień. A wszystko zatarte w szarudze

białoruskiej jesieni, nocy zapadającej wcześniej, mętnych wierzeń ludowych i obrodów cmentarnych”.¹ I dalej: „Był poematem nieszczęśliwych, i tych co się z tym, co jest, nie godzą; i skrzywdzonych, i samotnych, i zawiedzionych; poematem buntów wielorakich – społecznych, osobistych, religijnych, nie dopowiedzianych”.²

Utwór będący buntem nie może być napisany z dbałością o porządek.

Tego buntu w sensie fizycznym było co kot napłakał. Ale niewinny napis na tablicy uczniowskiej w Kownie „Niech żyje konstytucja” spowodował, że kanalia przed emeryturą, senator Nowosilcow przyjechał do Wilna z całą hafastrą opisaną potem w III części *Dziadów* i zrobił z Filaretów³ zbiorowisko czartów, terrorystów i rewolucjonistów. Nowosilcow czekał awansu. Przesłuchując poetów szukał konspiracji z udziałem Adama Czartoryskiego z Puław, kiedyś przyjaciela cara Aleksandra, za młodu – liberała. Mickiewicz przesiedział pół roku i wyszedł za poręczeniem profesora Lelewela.

Romans z panią Kowską, tak banalny jak jej nazwisko, urwał się bez śladu.

Wyrokiem carskiego sądu dziesięciu filaretów skazano na wywózkę za „szerzenie przy pomocy nauczania nierozsądnego polskiego nacjonalizmu”.

Mickiewicz jedzie do Petersburga. Został tam zesłany. Mógł wybierać. Chciał Odessy albo Charkowa. Ale nie mógł liczyć na zgodę. W Odessie urzędował zesłany Richelieu. Czy chciano poznać dokładniej polskiego kontestatora? Jeśli tak, to sędziowie byli mądrzejsi od Nowosilcowa. Opis podróży i wiersze z metropolii nadają się do antologii tekstów o wyprawach w nieznane strony. Zajmował się w nich nie tylko sarkastycznym malowaniem kraju i jego elit, lecz zastanawiał się nad przyszłością nieznanego w Polsce ogromu.

Poznał tam wtedy dekabrystów, poznał Puszkina i wielki świat tak różny od Kowna i pani Kowskiej. Po trzech miesiącach trzeba się było zegnać. „Przekroił”, jak pisze Pruszyński, Rosję z góry na dół docierając do Odessy, skąd już blisko było do Stambułu. Witła go flagami statków, językami i rodzinami za bezcen. W liceum Richelieu’go nie było etatu dla Mickiewicza, zresztą cofnięto zgodę na pobyt w Odessie i kazano jechać do Moskwy. Widział po raz pierwszy uporządkowane zgromadzenie Niemców, Holendrów, Francuzów, Włochów, Anglików i Polaków w Petersburgu a potem – w Odessie – Turków, Tatarów, Ormian, Mołdawian, Kozaków, Żydów, Greków i Polaków kolonizujących Ukrainę. Wymieniając po kolei wszystkie nacje Pruszyński pomija Rosjan. Gdzie byli gospodarze tej ziemi? Byli na wsi. Młody poeta, zesłaniec po nieszczęśliwym romansie budził zainteresowanie salonów, które prowadziły „niemieckie wypędki i francuskie wywłoki”, które powychodziły za arystokratów, lub nawet bez ślubów powięzwały się z dorobkiewiczami handlującymi w jedną stronę pszenicą a w drugą winami i modami.

I tu w życiu poety pojawia się „pompadura” Odessy, Karolina z Rzewuskich Sobańska, po mieczu wnuczka targowiczana, hetmana, po kądzieli Eweliny Hańskiej, żony Balzaka. Mężem Sobańskiej był generał Witte, potomek niewolnicy greckiej kupionej przez postać Bukatego dla Stanisława Augusta, porwanej potem i poślubionej przez Szczęsnego Potockiego. Karolina Sobańska przy-

prawiała generałowi, ku jego zadowoleniu, rogi jelenia, a może nawet łosia. Troszczył się o nią, a jej kochanków darowywał życiem, to jest nie zabijał w pojedynkach, na które ich nie wyzywał. Był człowiekiem Oświecenia patrzącym z wyrozumiałością na modne romantyczne, gwałtowne wybuchy uczuć, które równie prędko gasły. Mickiewicz miał się wspaniale. Żył z pensji, którą skazanemu wygnańcowi wypłacano mimo wyroku i czekał na decyzje Petersburga co do dalszego swego losu. Ale pojawiła się konkurentka Sobańskiej, Joanna Zaleska z ziemian ukraińskich, co walczyła elegancją i cnotą z odeską królową balów. Była to walka na kotyliony. W Mickiewiczu zagrały dwie miłości, jak w Kownie – romantyczna do Maryli (teraz Joanny) i zmysłowa do doktorowej Kowskiej (teraz Sobańskiej). Na wiosnę z powodu upałów Odessa staje się miejscem nie do życia. Odjechali Zalescy do swoich włości, ruszyli na wycieczkę na Krym Sobańscy zabierając w podróż Mickiewicza na dwa miesiące. „Krym, zapomniany kuzyn Sycylii, krewniak Capri”.⁴ Karoliny pilnował brat, pisarz Henryk Rzewuski. Czynił to niestannie. Mickiewicz odkrył, że nie jest jedynym w jej alkwie. Nie przypadła mu do gustu rola odaliski w „haremie” swawolnej lwicy-rozpustnicy. Nadeszło z pomocą pismo ze stolicy wyrażające zgodę na wyjazd Mickiewicza do Moskwy. Píše dalej Pruszyński o milczeniu żywotopisarzy co do poufalitych stosunków Mickiewicza z oberszpiclem Wittem i oficerami wywiadu rosyjskiego, których w Odessie i na Krymie było pełno. Mickiewicz zakończył tam pobyt z absakiem.

Przeglądając puściznę poety za ten czas zwraca Pruszyński uwagę na *Popas w Upicie*, który jest zapowiedzią *Pana Tadeusza*. I jest jako żywo, choć na żadnej lekcji polskiego o tym się nie mówi. Píše też o kilkunastu erotykach odesskich, choć pod takim śródtytułem nigdzie nie ma niczego w księgach kapłanów kultu mickiewiczowskiego. A szkoda.

Jadąc z Odessy do Moskwy dowiedział się poeta o śmierci cara Aleksandra, o miękkim buncie dekabrystów, o twardej odpowiedzi policji. Gdy dotarł do Moskwy, zaczynały się rządy okrutnego Mikołaja. Za mniejsze od ataku na Pałac Zimowy przestępstwo Dostojewski został skazany na śmierć. Raporty Ochrony z Odessy donosiły, że krzewiciel polskiego nacjonalizmu z Wilna ugrzązł w dobrym towarzystwie Wittego i Sobańskiej oraz oficerów piszących niniejszy donos. Poeta miał się zameldować u generała gubernatora Moskwy, księcia Dymitra Golicyna, szczęściem liberała z czasów Aleksandra, też kiedyś liberała. Prawdziwego arystokraty o długich i grubych korzeniach, który patrzył z politowaniem na dynastię Romanowów i pogardą dla służalców Nowosilcowów. Mickiewicz został „czynownikiem dwunastej kategorii”. Przy końcu listy urzędników opłacanych przez rząd nędznym groszem. Nie przydzielił Mickiewiczowi żadnej roboty. Żyjąc w kręgach intelektualistów i pisarzy rosyjskich Mickiewicz ubolewał, że Warszawa, której zresztą nie znał, pozostaje w życiu kulturalnym sto lat za Moskwą.

Sonety krymskie, a właściwie sonety na poły miłosne wyszły w Moskwie, gdzie szalał terror. W Kijowie sto egzemplarzy poszło w kilka dni! Była to literatura eskapistyczna. W Warszawie je wyszydzono. Kiedyś miano mu za złe prowincjonalizmy, teraz – obce wyrazy brane z języków orientalnych. W Rosji natomiast przyjmowano

1 Ksawery Pruszyński, *Opowieść o Mickiewiczu*, Warszawa 1956, s. 89.

2 Ibid. s. 91.

3 Filaret – ten co kocha cnotę.

4 Ibid. s. 117.

sonety entuzjastycznie. Wieszcz narodowy obśmiewany w stolicy Polski święcił swą (niepatriotyczną) poezją krymską triumfy w przyszłej stolicy Rosji. Podziwiano tam jego wiedzę, wszechstronność, otwartość. Podziwiano nawet jego urodę. Mówił z Rosjanami wyłącznie po francusku. Koźmian cieszył się najbardziej z towarzyskich kłesk literatury Mickiewicza w Warszawie.

W sonetach padły gorzkie słowa pod adresem pani Kowalskiej, natomiast pięknie się w nich obchodził poeta z Joanną Zaleską, która w roku 1827 przyjechała z mężem do Moskwy. Mickiewicz interesowała filozofia zdrady Makiawela. Wynajął od Razumowskiego dom i park w Grochowym Polu pod Moskwą i tam pisał *Konrada Wallendroda*. Po czterech latach pobytu w Moskwie pojechał poeta z Golicynem do Petersburga, gdzie był już znany z sonetów. Proszono go o sławne improwizacje, z których słynął, tocząc wielogodzinne lawiny poetyckich opowieści na zadany przez słuchaczy temat, jak na przykład *Samuel Zborowski*. Opowiedział pięcioaktowy dramat, którego nikt nie zapisał. Dzieło natchnionej chwili nie przetrwało. Plotki i donosy dotarły do Nowosilcowa w Warszawie, skąd je przekazał carowi dla zbadania sprawy polskich wieczorów z zesłanym poetą. Wyśledzono, że na prywatnej uroczystości z udziałem 40 osób, których listę gospodarz zatwierdził w policji, poeta miał recytować opowieść o walkach Litwinów z Krzyżakami. Cóż mogło być w tym groźnego? Pieśń wydrukowano w Petersburgu i sprzedawano po dukacie, to jest po 18 złotych. Urzędnik generał-gubernatora ukrył przed cenzurą w aluzjach, wtedy jeszcze mało popularnym sposobie prowadzenia w pole władzy, opowieść polityczną o aktualnych znaczeniach. W salonie generała Krasińskiego postanowiono, że o *Konradzie* ani mru-mru. Tymczasem donosiciele Nowosilcowa już informowali za Koźmianem i Osińskim, że to niebezpieczne aluzyjne dzieło. Car zlekceważył papierki z Warszawy, bo był zajęty Turcją. Polscy wydawcy ze Lwowa czy Krakowa zaczęli po troszku drukować Mickiewicza, lecz o honorariach nie było mowy. Żegnali go moskiewscy poeci kielichem srebrnym i wygrawerowanymi nazwiskami, jak jakiego Boga. Pojawiły się w życiu poety w Rosji Maria Szymanowska, muzyczka i Karolina Jaenisch, malarka ucząca się polskiego. Joanna Zaleska sama zamieszkała w Odessie, ale Mickiewicza nie miała już zobaczyć.

O dyplomacji wspomina Pruszyński, sam dyplomata, na marginesie: „Włochy, Włochy! czyż nie warto być dla nich nawet radcą, wicekonsulem, *attaché*m czy innym głupkiem dyplomatycznym?...”.⁵

Dzięki jakiemuś póliteratowi lecz scharzałemu kompletnie urzędniczynie Bułharynowi wywalczono dla Mickiewicza wreszcie paszport rosyjski na nazwisko, z dopiskiem, że to znany polski poeta. Był rok 1829. Kurier z Warszawy przyniósł żądanie cofnięcia paszportu. Przyjaciele wpełnęli go na statek angielski. Popłynął do Travemünde. Pojechał do Dreżna po listy. Pisał do Szymanowskiej, tęskniąc za jej fortepianem. Rozczarował się Berlinem i Heglem. Był u 80-letniego Goethego. Jechał przez dziką Szwajcarię. Dotarł do Mediolanu, słuchał Rossiniego w La Scali. Ze starym Ogińskim, muzykiem amatorem grał we Florencji w szachy, tym, co napisał 30 lat wcześniej Mazurka Dąbrowskiego, piosneczkę, którą lubił mniej od swoich polonezów.⁶ Księżna Woł-

końska narzuciła Mickiewiczowi ambasadorowi carskiemu w Rzymie, księciu Gagarinowi. Chyba nie dbał o dietę, a może nawet o higienę, bo bolały go zęby. Bywał u Ankwiczków, targowiczian wieszanych później przez kościuszkowców. Wszędzie chcąc nie chcąc deptał po śladach Byrona. Jego przewodniczką po Rzymie była Henrietta Ankwiczówna, intelektualistka. Zakochał się w niej, czy rozkochał go, któż to wie? Był ozdobą salonów dzięki ogładzie, wiedzy, sławie i urodzie. Bo już pisywały o nim gazety francuskie. Ankwicze dla zdrowia Henrietty pojechali w lecie na północ, w Alpy. Wszystko opisywał Odyniec, który mu wszędzie towarzyszył, a piórem władał radośnie lecz byle jak.

Pruszyński szuka prawzoru Ewy, ukochanej Jacka Soplicy. Widzi ów w postaci Henrietty. Panny Mickiewicza nieźle truły potem życie swoim mężom. Pruszyński o wszystkich powie, że flirtować z poetą proszę bardzo, ale ślub z hrabią. Lecz broń Boże nie gołodupcem.

Doceniał bardzo wiedzę Mickiewicza 19-letni Zygmunt Krasiński.

Obudził go łomotem w drzwi Henryk Rzewuski, że wybuchło powstanie. W lipcu w Paryżu, potem w Brukseli, w listopadzie w Warszawie. I o tym kołatał Rzewuski.

„Czy Mickiewicz na wiadomość o wybuchu powstania powiedział krótko „nieszczęście”, czy nie? Oto pytanie wciąż otwarte dla historyków”.⁷ Tak czy owak nie poszedł do powstania, nie wierzył w nie. Pogryzł się w pobożność i zwlekał z wyjazdem, a kiedy już ruszył to w towarzystwie Rosjan Golicyna i do Paryża. Dotarłszy w Poznańskie przyglądał się kłeskom polskim i zdobywał Konstancję Łubieńską. Pisał nocami.

W Dreźnie powstała trzecia część *Dziadów*. Ale i tam łapy carskiej policji sięgały. Pojechał za innymi do Paryża. W powstaniu nie uczestniczył, rozpacział z tego powodu, tłumaczył się całą w Wilnie. Napisał *Księgi narodu i pielgrzymstwa...* o Polsce – Chrystusie narodów. Prawica uważała to za bluźnierstwo, lewica za rozgrzeszenie z przeszłości. Papieństwo Grzegorza XVI potępiło *Księgi*.

Co do *Pana Tadeusza* – pisał zrywami. Szopen (jak pisze P.) przychodził do niego słuchać fragmentów. Żył biednie z żoną Celiną Szymanowską, której oświadczył się *per procura*. Słuchacze domagali się dalszego ciągu, choć już z zadowoleniem postawił na końcu „finis”. Zamiast tego opowiadał *Historię przyszłości* o maszynach latających. Ale prozą. Nic z tego nie przetrwało. Zajął się sprawami religijnymi ducha, a poezję zaczął traktować jako niemal grzech. Uważał, że trzeba być świętym i dokonać cudu, zanim się weźmie za poezję, która była dotąd nierządnicą lub gazetą polityczną. U pani Łubieńskiej Delacroix, siostry Hańskiej, spotkał się na obiedzie z Balzakiem. U Victora Hugo przyjęto Mickiewicza raz grzecznie, ale na tym się skończyło. Hugo był półbogiem, a Mickiewicz literatury francuskiej nie cenił. Za namową George Sand napisał po francusku dwa dramaty dla grosza – *Konfederatów barskich* i *Jasińskiego*. Nie przetrwały niemowlęstwa. Założył też za pożyczkę od Czartoryskiego dom zakonny (potem Zmartwychwstańców). Posyłał mu talary w pomocy Edward Raczyński. W Lozannie dało się dostać katedrę literatur starożytnych, a Celiną popadła w obłąd i rodzina niemal się rozpadła. Tymczasem George Sand napisała studium o III części *Dziadów* nigdzie w programach teatralnych w Pol-

5 Ibid. s. 139.

6 Pruszyński mylnie przypisuje autorstwo Michałowi Kleofasowi

Ogińskiemu, bo to była ludowa piosneczka włoska.

7 Ibid. s. 165.

sce, o ile wiem, nie przytaczane. Zestawiała Mickiewicza z Byronem i Goethem, może za namową Szopena. Z Lozanny staraniem Polonii przeniesiono go do College de France, aby mówił o Słowiańszczyźnie, bo to Francuzom bardziej się przydawało niż gadanie o Platonach. Porwał słuchaczy z różnych kultur i na imieninach wysłuchał kwaśnych uwag Słowackiego, które drugi wieszcz zakończył pokłonem w hołdzie. Pani Celina doznała obłędu raz jeszcze po trzecim połogu, zabrano ją do szpitala, wykłady komplementowano powszechnie, lecz nie wśród Polonii. Pojawił się Towiański. O apostołstwie Towiańskiego pisze Pruszyński z przekąsem. Policja francuska kazała mu się wynosić. Listy do cara i papieża pozostały bez odpowiedzi.

Panslawizm Towiańskiego budził obawy Polonii, że to carski agent. Mickiewicz jeden mu wierzył. Wspaniałe wykłady okrywa mrok. Dalej niczego już nie wiemy. Mówiono o Sprawie i o Mistrzu, a wszystko mętne było, jak sam Towiański. Wykłady zaczęły grzęznąć w towiańszczyźnie, a co gorsza, Mickiewicz zaczął palić rękopisy. Poeta w imię nowego chrześcijaństwa zaczął atakować Kościół oficjalny. Władze francuskie starały się temu położyć kres, zwłaszcza że głoszone na wykładach apoteozę Napoleona, co dla Ludwika Filipa było nie do zniesienia. Mickiewicz w 1844 poprosił o półroczny urlop, po którym do Kolegium Francuskiego już nie powrócił. Śmieszne i straszne praktyki wystraszyły Słowackiego, który wystąpił z Koła Towiańczyków, a Mickiewicz zaczął udzielać ślubów, których Kościół Towiańczykom odmawiał. Obyczaje zaczęły przekształcać się w moralność ocierającą się o praktyki seksualne w rodzaju tantry. Xawera Deybel, towianistka zamieszkała z Mickiewiczami na dziesięć lat i powiła tam dziecko, kto wie, czy nie poety. Mickiewiczysci nic o tym nie piszą.

W Europie połowy lat 40 zaczynało się gotować. W relacjach poety z Towiańskim pojawiły się rysy. Pojechał do Rzymu, stolicy kultury europejskiej. Policja francuska miała wśród emigracji polskiej agentów. Może dlatego nie chce do dziś ujawnić żadnych na ten temat informacji (o udziale Polaków w służbach specjalnych Napoleona do później). Donieśli oni o przygotowaniach Mickiewicza do wyjazdu, którego celem mogło być nawrócenie papieża na towianizm. Zanosilo się na to, że organizatorami armii papieskiej (antyaustriackiej) będą oficerowie polscy Zamoyskiego. Pomysł Mickiewicza, by tworzyć Legion, przebił koncepcję polskich Szwajcarów Jego Świątobliwości, która chodziła po głowie Zamoyskiemu.

Wizyta u papieża Piusa IX zakończyła się jego kwaśną uwagą, że „poeta jest głupcem”. Mickiewicz nie był już wtedy poetą. Źródło poezji – jak pisze Pruszyński – wyschło. Myślał o napisaniu drugiej części *Pana Tadeusza*. Przyjaciele dali mu ryzę papieru. Wtedy – majątek. Nie napisał ani linijki.

Kolejna przygoda legionowa zakończyła się śmiercią Mickiewicza. Tym razem (i ostatnim) pojechał na wojnę krymską, spotkał Sadyka Paszę Czaykowskiego pod Burgas, patrzył na dwa umundurowane pułki, w tym batalion żydowski, o którym nigdzie się nie wspomina, a u Pruszyńskiego jest wiele łącznie z nazwiskami. Stambuł z kupami gnoju i pierzem przypominał mu Nowogródek. Z tym wspomnieniem umierał na cholerę. Lekarz odmówił wizyty. Bał się.

Wydawcy opowieści Pruszyńskiego przypominają, że autor mówił ją w radiu w latach 1949-50 a potem dru-

kował w „Słowie Powszechnym”. Pierwsza część książki zrehabilitowana została przez samego autora. W drugiej pojawiają się luki (których nie widzę). Nie jest to książka naukowa. Wydawcy inaczej patrzą na Filomatów, niż patrzy się dziś, a całość nazywają gawędą. Faktycznie – jest to literatura oralna, jakkolwiek wcześniej szkicowana piórkim. Tak czy owak widać i czuć mistrzowski warsztat. Próżno szukać dziś podobnego.

2.

Zostawmy na chwilę Mickiewicza.

Z postłowia Jerzego Jaruzelskiego do *Podróży po Polsce*⁸ można się dowiedzieć, że Pruszyński nie miał poglądów politycznych i że jego podróż reporterska na wojnę domową w Hiszpanii była skutkiem przypadku, nie zaś wyboru. W Paryżu funkcjonowała ambasada Republiki, natomiast nie było ambasady Franco. Inna rzecz, że 90 procent ówczesnych intelektualistów wybierało Republikę. Malreaux, Orwell, Egon Erwin Kisch, de Saint-Exupéry, Hemingway, Koestler, Erenburg to najwybitniejsi z nich. Doradców sowieckich jeszcze wtedy w Hiszpanii nie było, a jeśli byli, to dopiero zaczynali działać.

Jaruzelski zwraca uwagę, że książka wyszła po raz pierwszy w roku 1937, po dwu innych, wybitnych: *Sarajevo 1914*, *Szanghaj 1932*, *Gdańsk...?* oraz *Palestyna po raz trzeci*. Dziś Szanghaj nic nikomu nie mówi.

W ślad za *Podróżami po Polsce* trafiły do czytelnika w 1937 roku reportaże *W czerwonej Hiszpanii*. W PRL ich nie wznowiono.

Lubił być lubiany – pisze Jaruzelski, natomiast Cat-Mackiewicz uznał (chyba na zapas), że „w dziennikarskiej literaturze europejskiej dzieła w tym rodzaju tak świetnego”⁹ na temat Hiszpanii nie było. Tenże Cat uważał Pruszyńskiego za wielki talent lecz literacki, a nie dziennikarski. Wańkowicz zaś obraził rodzinę uwagą, że co wrodzone u Pruszyńskiego to wspaniałe, a co nabyte – mierne. Sympatie dla republikanów, całkowicie nieuzasadnione, budziła niechęć do sojuszników i sponsorów Franco: Mussoliniego i Hitlera. Dość wspomnieć czystki bolszewickie, z których ledwo wyszedł Orwell.

Według Herlinga-Grudzińskiego wojna domowa w Hiszpanii to „ostatni ocalały mit lewicy europejskiej”.¹⁰ Według Kazimierza Wyki *Podróże po Polsce* były substytutem ówczesnej powieści współczesnej. Jeśli w rozumowaniu Wyki *Podróże po Polsce* zamienić na *W czerwonej Hiszpanii*, a rozumowanie przenieść na grunt amerykański, to ówczesna literatura współczesna powstawała od razu, pod postacią *Komu bije dzwon*. Hemingway nie pozostawił reporterskich notatek z frontu. Uczynił to, lecz dla siebie Orwell.

Na marginesie tych porównań można powiedzieć coś o różnicy między reportażem anglosaskim a latyno-europejskim. Temperament Hemingwaya wyrzucił go od razu w prozę, która stając się fantazją, pozostaje literaturą faktu. Hemingway nie był w stanie podporządkować się rygorom ścisłości gazetowej, która obowiązywała i obowiązuje do dziś w USA. Jest w ten sposób bliższy reportażowi latynoamerykańskiemu, który znamy dzięki nazwiskom kojarzonym z powieścią – Garcii Márqueza i Vargasa Llosy. Orwell natomiast notatek z Hiszpanii nie przekształcił w powieść. Pozostawił je w tym miejscu,

8 Ksawery Pruszyński, *Podróże po Polsce*, Warszawa 2000.

9 Ibidem s. 140.

10 Ibidem s. 144.

w którym opisują jego własną śmierć na skutek postrzału w aortę szyjną. De Saint-Exupéry za sterami samolotu bardziej był pisarzem niż lotnikiem. Natomiast Malraux przeciwnie – bardziej zajmował się lataniem niż pisanie. Organizował republikańskie lotnictwo.

Pruszyński jako wielki poprzednik Kapuścińskiego wprowadził swych uczniów do reportażu kulturalnych kręgów Europy Łacińskiej. Dlatego próżne są dziś dywagacje, czy piesek cesarza sikał mu na nogi, czy może raczej odwrotnie. *Cesarz* opisuje dwór, jest reportażem-metaforą. W reportażu anglosaskim nie można napisać dwu zdań, między którymi znajdowałyby się niema sugestie. A jeśli się tam pojawia, to byłaby błędem. W reportażu latyno-europejskim i latynoamerykańskim cała treść wisi między zdaniami.

Wracamy do Pruszyńskiego. Dla gazety „Kansas Star”, w której pracował Hemingway, nie mógłby napisać entuzjastycznego reportażu o autorze muzyki do hymnu narodowego, księciu Ogińskim, bo był to polityczny głupiec, gnuśny pyszałek i ignorant. W reportażu z naszych kręgów kulturowych dawne wydarzenie może być traktowane, jako dziejące się nadal. I tak w wielu przypadkach jest.

Pruszyński uprawiał ze swadą reportaż eseizowany, który my dopiero odkrywamy. Obserwując ślubowanie młodzieży akademickiej pod Jasną Górą opisał polski katolicyzm średniowieczny, ciemny, dla mas, które w stronę religii młodych i intelektualistów rad by pociągnąć kardynała Hlond, ale faszysty z mieczkami Chrobrego wznoszący antysemityczne okrzyki podczas pielgrzymki na to nie pozwolili. Nie Hlond, a mieczyk miał rząd dusz w społeczności akademickiej, a tekst ten trzeba by dziś wydrukować *in extenso* ku przestrodze. Jeśli Pruszyński nie wyznawał poglądów politycznych, to pod Jasną Górą je zdradził. Był tam liberalnym konserwatystą, jeśli to można pogodzić. Konserwatyzm Pruszyńskiego był szacunkiem dla trwałości, lecz jasnej, mądrej, rozwojowej. Katolicyzm polski jawił mu się między francuskim, elitarnym a hiszpańskim, mistycznym. Ten drugi dopiero po śmierci Franco stał się resztką wiary młodych księży, którzy głoszą na socjalistów, stając bezradnie przed katedrą w Madrycie, wokół której urzędują uliczne dziewczyny. I u nas tak będzie, skoro odmawiamy różaniec w masowej demonstracji na granicach, zapominając, że tylko w jednym przypadku mamy do czynienia z ich brakiem: kiedy chodzi o głupotę ludzką.

Innym przykładem reportażu eseizowanego jest opowieść o ceglanych domach Mireckiego w Łodzi, w których zamiast robotników mieszkają urzędnicy i lekarze. Tak się rozwinął socjalizm bez sowietów. W Wiedniu stało się za sprawą podatków od właścicieli kamienic. Czyli socjaldemokracja. Takiej nazwy wtedy publicyści nie znali, a jeśli, to w nazwie SDKPiL.

Przytyk to pogrom Żydów-straganiarzy, najbardziej szej warstwy, zaatakowanych przez chłopów z przeludnionych wsi. Biedota walczyła z nędzą. A potem je obydwoje sądzono za przemoc.

Opisując Poznańskie podkreśla wagę nie tyle germanizacji, co okcydentalizacji tego regionu. Rewolucja organizacyjna i technologiczna w rolnictwie podniosła produkcję w Poznańskim na poziom Europy Zachodniej, przy czym bogate powiaty były bezdzietne, bo już wtedy dawała o sobie znać, mimo przeludnienia gdzie indziej, depresja demograficzna w najbogatszym powiecie rolniczym, Gostyninie na przykład. Chamstwo poznańsko-

-chicagowskie to szybki awans klasowy chłopstwa, które weszło do miast na miejsce Żydów, których wchłonęły wielkie przemysły Zachodu i pęczniejące dookoła usługi. Nie ma literatury na ten temat, a jest i był głód literatury – biada Pruszyński w analizie stosunków rolniczo-społecznych w Wielkim Księstwie Poznańskim. Świetne pióro i zmysł obserwacyjny socjologa.

W Pińsku dojrzał autor tartaki, w których obrabiano drewno z Unii Południowo-Afrykańskiej i Borneo, Robocizna tańsza niż w Unii lub w ogóle dostępna (na Borneo jej nie było). Półtora tysiąca robotników to kombinat ze żłobkami, wyprawkami dla dzieci (kobieciny myliły pieluchy z chustkami), czystymi łaźniami, ośmioma gozdzinami, też dla kobiet, z domem ludowym, do którego przyjeżdżał teatr z Wołynia. Wyjść za mąż za robotnika, to dopiero był interes. Żydzi żyli w spokoju, bo byli co prawda karczmarzami i lichwiarzami, ale też rolnikami i robotnikami. Piskower to pierwszy Żyd, który wołał do powrotu nad Jordan. Kobiety dawały zarobić babce leśnej spędzając płody. Wraz z cywilizacją pojawia się też i prostytutka. Ale ten postęp bardzo liberalnemu konserwatyzmowi Pruszyńskiego dogadzał. A może nawet i zachwycał, jak kanał Ogińskiego, Michała Kleofasa, którego pomieszał z Michałem Kazimierzem. I biada, że ród wygaś. Nie całkiem wygaś. Ziemowit Ogiński z Kowala, student astronomii, potem pisarz, mój kolega z akademika zaświadcza, że ród istnieje.

W biednym sklepiku kazano powiesić portret. Jak portret? Sklepiarz miał za ładą i marszałka i Rydza i nawet ministra Pierackiego. W dzieciństwie widziałem Żymierskiego i Bieruta. Zwyczaj przetrwał. Tylko czekać, jak powieszą Dudę na ścianie galerii Mokotów.

Przyglądał się wsi. Wieś chciała władzy jak w Danii, Estonii i Finlandii. Stąd Witos. Rządziła inteligencja. Stworzyła mnóstwo urzędów. Fabryk nie stworzyła. Polska zaczynała być demokracją i parobkiem Europy. Inteligencja nie pochodziła z chłopów, chyba tylko w Poznańskim. Była z miast, do których przeprowadziło się ziemiaństwo. Pałace Potockich, Lubomirskich i Czartoryskich stoją przecież nie na wsi a na Krakowskim Przedmieściu. Arystokracja kupowała swoje tytuły u zaborców. Własnej nie mieliśmy. A to znaczy, że nie mieliśmy tego, co w innych krajach arystokracja wniosła w rozwój, zanim ją posłano na gilotynę.

3.

Co czytał? Widać, że chwalił tłumaczkę Londona, Stanisławę Kuszelewską. Musiał znać Przybyszewskiego i literaturę skandynawską. Powołuje się ze dwa razy na Marię Dąbrowską.

O porcelanie (z Korcza) pisał znakomicie. Ale jest i o glinianych garnkach. Jakis pan Z. Skierski zauważył, że chłop lepi garnek, pośrednik kupuje za 6 groszy, polewa i sprzedaje za 25. Pruszyński sprawdził, że chłop Białorusin robił garnki rzeczywiście. Warsztatów było jednak nie 4000 a 400. Pośrednik brał, wioził, co trochę kosztowało, polewał u siebie i sprzedawał za 20 groszy. Ale pośrednik był Żydem, a Skierski z „Gazety Polskiej” żydożercą. Media otworzyły Żydowi drogę do Palestyny, żeby nie gnębił wyzyskiwanych... Nawiasem mówiąc, baron Edmond de Rothschild kupował ziemię w Ziemi Świętej już w czasach Mickiewicza, o czym pisze Jadwiga Maurer¹¹, poprawiając się później, że miało to być

11 Jadwiga Maurer *Z matki obcej...* Londyn 1990 s.66.

w 20 lat po śmierci poety. Wątek żydowski w jego biografii niemal zupełnie u Pruszyńskiego pominięty, jest przedmiotem monografii pani profesor.

Opowieść o Porąbce i Rożnowie to odpowiednik wańkowiczowskiej *Sztafety*. Ale w *Sztafecie* znajdziemy zapowiedź hasła „Polak potrafi”, gdy u Pruszyńskiego puenta jest inna: Polak nie doje, nie dośpi, oszczędzi, żeby przepić.

Gdyby Pruszyński znał tropy, którymi poszła wspomniana przed sekundą mickiewiczologini z USA, mielibyśmy fascynujący rozdział w książce Pruszyńskiego, która i bez tego pozostaje fascynującą. Ale nie będąc badaczem pominął, co i tak było już pominięte. Maurer wyjaśnia, dlaczego żydowskie ślady w pracach mickiewiczologów były ignorowane. Ale interesujące, że przemilcza książkę Pruszyńskiego, który przecież pisał z sympatią o Izraelu, a jako dyplomata odegrał istotną rolę w przygotowaniach ONZ do wykreowania państwa dla Żydów, o czym niżej. Pominęła, bo uczona nie musi zajmować się pracami popularnonaukowymi. Znalazła tropy, którymi Pruszyński poszedłby z przyjemnością.

Najpierw więc pochodzenie matki, Barbary Majewskiej. „Z matki obcej”. Co to znaczy? Z Żydówki wychrzczonej. Pani Maurer podkreśla, że ślad ten jest przez oficjalnych mickiewiczologów konsekwentnie zacierany. Nawet Juliusz Kleiner to robi. Pruszyński dobrałby się im do skóry. Jednakże po całym rozdziale polemiki pani Maurer pisze: „Nie posiadamy jednak, i trzeba to jasno powiedzieć, żadnego dokumentu, który czarno na białym potwierdziłby chrzest Barbary lub jej rodziców. Nic takiego nie znaleziono, a jeśli znaleziono, to nie waham się ująć tego w słowa – może zniszczono”.¹² Wytrawna polemistka zostawia nas z tym „może”, z którym nie wiadomo co dalej robić.

Drugi trop to Celina Szymanowska, żona, frankistka, a właściwie córka frankistki, Marii Szymanowskiej, pianistki. I po mieczu, i po kądzieli Celina była frankistką. Poza Konradem Górkim nikt z mickiewiczoznawców o pochodzeniu Celiny nie wspomina. Lepiej-o-tym-głośno-nie-mówić? Katedra literatur słowiańskich w Collège de France dostała się Mickiewiczowi dzięki ministrowi Leonowi Faucherowi, który też był frankistą.

Trzeci wreszcie i może najważniejszy, w *Opowieści* Pruszyńskiego obecny trop, to legion żydowski. Píše Jadwiga Maurer: „Tradycje wojskowe i chęć wojaczki zaszczepił im (swoim wyznawcom – K.Mr.) Frank, którego marzeniem było stworzyć siłę militarną i założyć państewko, gdzie rządziłoby wojsko. Pomysł Legionu Żydowskiego oparł Mickiewicz w dużej mierze na ideach Franka. To on właśnie miał wizję żydowskiej Sparty, gdzie byłby królem”.¹³ Sadyk-Pasza Czajkowski w liście do Ludwika Śniadeckiej nazwał pomysł poety „judaizmem Mickiewicza”. Był to być może skutek mglistej koncepcji zrejudeizowania chrześcijaństwa, co mogło wynikać z hochsztaplerki Towiańskiego, który widział trzy wybrane narody: Żydów, Słowian i Francuzów. Dziw tylko, że intelektualista tej miary co Mickiewicz uległ takiemu cymbałowi. Snadź uczucie i tu pokonało rozum. Legion Żydowski – zdaniem pani Maurer – tym był dla życia poety, co dla twórczości trzecia część *Dziadów*. Powodem nieustających interpretacji. Dla syna Władysława była to konstantynopolitańska zachcianka, kaprys poety. Idąc

za Władysławem Kallenbach poświęcił Legionowi tylko jedno zdanie. W ostatnim rozdziale *Opowieści* Pruszyński naprawia błędy poprzedników. „Dostrzegł tam (pod Burgas) kiedyś (Mickiewicz) grupkę żołnierzy Żydów. Byli tam Szloma Ogaryński, Moszek Cebula, Dawid Cielonczyk, Szmul Winogóra, Aria Glikamanowicz, Abram Pajtecz, Jakub Zygelbaum. (...) Pułk nazwano Pułkiem Huzarów Izraela. (...) Zaczęto szyć „pierwsze w historii mundury żydowskie”.¹⁴ W liście Sadyka-Paszy do żony (czy partnerki, czyli Ludwiki) znajduje się cytowany przez Pruszyńskiego wykrzyknik: „A to będzie dziwoląg niesłychany – widzieć Żydów zbrojnych w parze z Kozakami pod komendą polskiego szlachcica”. Pani Maurer znając list, zdania tego dziwnym trafem nie dostrzega. Inna rzecz, iż tekst Pruszyńskiego daleki od ścisłości naukowej – cytuje być może swoje źródła dowolnie, podczas gdy pani Maurer poświęca utopii syjonistycznej Mickiewicza cały rozdział, a opiera się głównie na rzeczonym liście i innych rękopisach Sadyka Paszy. Tak czy owak, gdyby znała *Opowieść* Pruszyńskiego, nie mogłaby była jej pominąć.

Wreszcie ostatni wątek to postać Armanda Levy’ego, przyjaciela poety obecnego przy Mickiewiczu w godzinę śmierci. Jako jedyny wysłuchał Levy ostatnich słów poety, ale ich nie przekazał, a jeśli to uczynił, to syn Władysław skazał je na zapomnienie. Może były nieważne, a może wielkiej wagi. Jeden lub drugi powód wystarczy, abyśmy nigdy nie mieli się o nich dowiedzieć.

4.

W czasach międzywojennych wyjazd reportera za granicę był ekspedycją łatwą pod warunkiem, że miało się pieniądze. Do Palestyny jeździli dwaj dziennikarze-pisarze Ferdynand Antoni Ossendowski i Ksawery Pruszyński. Ich relacje to reportaże zeseizowane, w przypadku Ossendowskiego ciągnące w stronę literatury, w przypadku Pruszyńskiego – ku publicystyce. Tak czy owak obydwaj autorzy pozostawili po sobie dzieła, w czasach PRL osłonięte pełnym zakłopotania milczeniem, które są dziś tekstami źródłowymi.

W czasach Ossendowskiego pogarda okazywana Żydom w Jerozolimie widoczna była na każdym kroku. Żyd nie mógł podnosić głosu w obecności Araba i musiał mu ustępować drogi, a także schodzić z osła przy spotkaniu na drodze.

Ossendowski przytacza też rozmowę z podróżującym Żydem europejskim, który drwi z zabawy swoich współplemieńców w Palestynę. Są to dopiero pierwsze dwa dziesiątki lat doktryny Teodora Herzla, ogłoszonej pod koniec XIX wieku na kongresie syjonistycznym w Bazylei. O syjonizmie napotkany Żyd mówi podróżnikowi z Polski, która dopiero co powstała:

(Syjonizm – K.M.) „Uparcie dąży do stworzenia w Palestynie „żydowskiej ojczyzny”. Ojczyzna to skomplikowane pojęcie. Musielibyśmy posiadać nie tylko pod dostatkiem ziemi dla trzynastu milionów Izraelitów, lecz odpowiednią ilość miast współczesnych, fabryki, handel, koleje, linie okrętowe. Syjonizm powinien uczynić z Palestyny »świątynię żydowską«, miejsce dla pielgrzymów i to tylko jedynie!”¹⁵ Wtedy był to zapis rozmowy bez większego znaczenia. Dziś jest tekstem źródłowym.

¹² Ibidem s. 66.

¹³ Ibidem s. 90.

¹⁴ Pruszyński, *Opowieść...*, s.306.

¹⁵ Ibidem, s. 40.

Gdzie indziej znajdziemy kolejny interesujący zapis: „Bolszewicy w sposobie rządzenia niewolniczo naśladujący najgorsze systemy caratu, w kwestii żydowskiej, idąc za przykładem wymordowanych Romanowów, urządzają pogromy!”¹⁶

Za Ossendowskiego Jerozolima była miastem śmiertelnie nudnym. Ani teatru ani filharmonii, trochę kinematografów dla Semitów obojga narodów, tanga i boogie w Bristolu i trochę sportu pod wieczór. Nie dla białego człowieka. W Ziemi Świętej rozrywek być nie mogło, natomiast kolonia europejska pozbawiona kobiet i dzieci ze względu na klimat mogła korzystać z możliwości romansowania z różnymi dzikimi miss Samoa, jeśli nie chciała zajmować się studiami archeologicznymi. Nadto miasto było bajecznie tanie, więc kto chciał oszczędzać, dorabiał się na placówce fortuny po kilku latach leniwie wykonywanej pracy.

Rozmowy z przedsiębiorczymi Żydami na koktajlu w Tel Awiwie to doskonała analiza możliwości i zagrożeń, które czekały na pionierów-syjonistów. Z jednej strony przywieźli ze swoich różnych krajów umiejętność dostosowywania się do wszelkich ograniczeń, jakim tam polewali. Z drugiej, w sposób bezceremonialny zaczęli obchodzić się z mieszkańcami Palestyny, budząc dla swojej buty niechęć, która mogła przerodzić się w nienawiść, co się zresztą stało. Dowiadujemy się zarazem, że Żydzi przeznaczili ogromne pieniądze na wykup ziem na Krymie, co dziś swoją pikanterią dodaje ostrości konfliktowi ukraińsko-rosyjskiemu. Tatarzy-muzułmanie, a także rodzina carska i arystokracja mająca swoje letnie rezydencje na Krymie musiały przeciwdziałać koncepcji utworzenia tam żydowskiego regionu, wzbudzając kolejną, czwartą – jak policzył Ossendowski, falę emigracji na skutek antysemityzmu rosyjskiego. Z perspektywy dnia dzisiejszego widać, jak dalece analizy i przewidywania Ossendowskiego okazały się trafne.

Książki „rówieśne” temu reportażowi to zleżale ramoty, których czytać nie sposób. Ossendowskiego czyta się, jak gdyby pisał teraz.

Drugą taką książką jest nieco późniejsza *Palestyna po raz trzeci* Pruszyńskiego.¹⁷ Autor spędził tam pięć tygodni, napisał 22 korespondencje dla „Słowa” wileńskiego. Cał Mackiewicz, jego mentor i pracodawca, mówił o Pruszyńskim, że to filosemita kulturowy i antysemita polityczny, to znaczy nie wierzący w asymilację, czyli frankistów, bohaterów *Ksiąg Jakubowych* Olgi Tokarczuk.

Pruszyński studiując prawo na UJ przyjaźnił się z Mojżeszem Pomeranem i występował czynnie przeciw skrajnym nacjonalistom w obronie żydowskich kolegów, odnosząc rany.

Tytułowa Palestyna pierwsza – to Ziemia Święta. Palestyna druga – to ziemia Krzyżowców. Trzecia – to ta, którą widział Pruszyński. Napisał reportaże – esej. Rozmyślając nad politycznym światem Żydów ryzykuje tezę, że wśród biedoty tylko syjonizm mógł konkurować z komunizmem. Dostrzegł, że nie było większych wrogów syjonizmu niż komuniści (marzec 1968 roku to potwierdził). Judaszowi bolszewicy postawili pomnik.

To dzięki Pruszyńskiemu uświadamiamy sobie, że gdyby w porę doceniono w Europie wagę syjonizmu, nie byłoby przewrotu bolszewickiego w Piotrogradzie, a zatem nie byłoby komunizmu leninowsko-stalinowskiego, a może nie byłoby go w ogóle.

„...cały ruch kibucowy jest zaciekle zwalczany przez komunizm (...)w historii ruchów rewolucyjnych Europy, komunizm tym bardziej, udział Żydów był i jest tak wielki, że już to samo powinno – sędzić by można – zapewnić dla ich (pionierów – K.M.) pracy jeśli nie sympatię, to neutralność. A tymczasem komunizm zwalcza osadnictwo żydowskie w Palestynie w sposób równie zaciekły, co nacjonaliści arabscy, a może jeszcze bardziej metodyczny”.¹⁸

I tu zaczyna się światowej rangi dyplomacja Ksawerego Pruszyńskiego. Oskar Lange zaproponował mu – podówczas, w roku 1946 – radcy delegacji polskiej w ONZ, aby wszedł do podkomisji do spraw podziału Palestyny. Reporter i już dyplomata u profesora Kota w Kujbyszewie,ostał wybrany przewodniczącym tej podkomisji. Relacjonując w Zgromadzeniu Ogólnym jej obrady, zaproponował podział Palestyny na dwa państwa: żydowskie i arabskie. Pisarz powiedział:

„...jest pewna niepowtarzalna rzecz w tej maleńkiej części ziemi, która jest krajem Biblii, najpowszechniej czytanej książki na tym świecie, kolebką trzech wielkich religii, ojczyzną Chrystusa. Jest coś absolutnie wyjątkowego, nawet jak na nasz smutny świat, w historii tego narodu, nigdy zbyt liczny, który, wniósłszy do podstaw naszej cywilizacji wkład większy niż jakikolwiek inny, stał się wiecznym tułaczem, rozproszonym po całym, ciągle wrogim świecie. Jest coś niezwykle w sposobie, w jaki ten wielki naród, naród żydowski, stworzył religię ze swej tęsknoty za utraconą ojczyzną. Jest coś niezwykle w tym odrodzeniu narodu po dwu tysiącach lat. Można to nazwać marzeniami, można to nazwać fantazją, można to nazwać brakiem realizmu. (...) Można słusznie powiedzieć, że po dwu tysiącach lat wszystkie prawa historyczne wygasły. Ale niezależnie od tego, jak się nazwie to, co w historii nowożytnej stało się odrodzeniem Żydów jako narodu, jest przecież faktem. (...) Ludzie, o których się mówi, że są absolutnie nieprzystosowani do jakiegokolwiek pracy fizycznej, a już szczególnie do jakiegokolwiek pracy na roli, ludzie, którzy w ciągu stuleci obdarowywali nas bankierami, lichwiarzami, shylockami – teraz udali się na piaszczystą pustynię i przemienili ją w kwitnący sad; przybyli do ziemi, która była bagnami zarażonymi malarią i zmienili ją w uprawne pola. (...) Zostawili całą ziemię zasiedloną zamieszkaną i uprawianą przez Arabów – Arabom (...) Żydzi wzięli to co najgorsze. Zapłacili za tę ziemię. (...) My naród polski mamy szczególne powody do popierania państwa Izrael (...) wszyscy mamy wspólny dług wobec tego narodu, który tak wiele dał światu, a któremu tak boleśnie odplacono, i teraz właśnie przysła chwila spłaty tego tysiąc lat trwającego długu”.¹⁹

W archiwum MSZ nie ma śladu o udziale Pruszyńskiego, ba – o przewodniczeniu – podkomisji, bez której nie byłoby Izraela. A bez Pruszyńskiego i jego książki z roku 1933, a potem podróży do Palestyny z mandatem ONZ nie byłoby podkomisji. A zatem i państwa Izrael. Stalin nie chciał Izraela.

Pruszyński zginął w wypadku drogowym w roku 1950. Do dziś nie wiadomo dlaczego, możemy się tylko domyślać.

KRZYSZTOF MROZIEWICZ

¹⁸ Pruszyński K., *Palestyna...*, Warszawa, Czytelnik 1996, s. 192-3.

¹⁹ Za: Pruszyński M. *Mojżesz i Ksawery*, Warszawa, „Twój Styl” 1999, s.117 i nast.

¹⁶ Ibidem, s. 123.

¹⁷ Warszawa, Czytelnik 1996.

JAN GÜNTNER

LESZEK.

OPOWIEŚĆ O CZASIE

PRZESZŁYM DOKONANYM

To relacja o sprawach zamierzczłych, z samego dna pamięci¹. Jeszcze trwała wojna, kiedy 28 stycznia 1945 roku po południu my, grupa wystraszonych chłopców, zdawaliśmy przy świeczkach egzamin wstępny do „Nowodworka”. To było 10 dni po wyzwoleniu Krakowa. Nie znałem nikogo ze zdających ani z zasiadających za stołem egzaminatorów. Odbывало się to w budynku Gimnazjum Sobieskiego przy ulicy o tej samej nazwie.

Przeżyłem w Krakowie całą okupację niemiecką. Kazimierz Wyka nazwał ją *Życiem na niby*². Wtedy, w czasie naszego egzaminu wstępnego, wszędzie jeszcze wisiły tablice z nazwami ulic z czasów Generalnego Gubernatorstwa, pobocza i jezdnie były zavalone porzuconą bronią i amunicją, niemiecką, radziecką, a u wylotu dzisiejszej ulicy Wiślniej na torach tramwajowych leżały martwe dwa duże konie pociągowe, z których co raz „ktoś” wycinał płaty mięsa.

Miasto było prawie nietknięte, tu i ówdzie nieliczne szkody wyrządzone przez artylerię, czasem jakieś

leje po bombach. W dzisiejszym Pałacu pod Baranami rozsiadła się Wojenna Komendantura Armii Czerwonej, a parę dni wcześniej był tam jeszcze RSHA, Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Dopiero co uprzątnięto z ulic trupy żołnierzy i cywilów, mróz był siarczysty, Wisła zamarznięta, na środku nurtu pod Wawelem ugrzęzł w lodzie sowiecki czołg, kikuty konstrukcji wysadzonych mostów sterczały ze spiętrzonych kry. Jeszcze tu i ówdzie rabowano opuszczone niemieckie magazyny, niektóre płonęły. Pamięć koszmaru wojny z łapankami, egzekucjami ulicznymi, była świeża, powszechna niepewność jutra, gorączkowe poszukiwania pilśni i tektury, żeby zasłonić wyszklone okna w mieszkaniach po wysadzeniu mostów na Wiśle. Brakowało żywności, panowała anarchia, głód. Kto nie widział tego w Krakowie na własne oczy musi sobie to wyobrazić.

Wraz Geniem Sukiennikiem Leszek Herdegen pojawił się u nas w Nowodworku – przybył z Gimnazjum im H. Sienkiewicza, bo tam nie było licealnej klasy humanistycznej, w trzeciej „B” w 1946 roku, przed małą maturą. L.H – młody dynamiczny, wysoki, smukły, jasne włosy, pociągła twarz. Powalał urodą, urzekł głębokim basem, wsłuchiwał się w jego brzmienie zdumiony: „jak pięknie brzmi mój głos”. Mam w uszach jak deklamuje, na jakiejś szkolnej akademii nieznany nikomu wiersz (może własny?) „Nie wiem żołnierzu czemu

1 <http://www.e-teatr.pl/pl/osoby/2060.html>

2 *Życie na niby*, pisany zimą 1939-1940 rodzaj pamiętnika myślowego po klęsce. (za okupacji niemieckiej każda dziewczyna i każdy chłopiec po ukończeniu 14 lat musiał posiadać *Arbeitskarte* wydaną przez niemiecki Urząd Pracy, Arbeitsamt. Inaczej groziła wywózka do pracy przymusowej w Rzeszy w rolnictwie u bauera, kto trafił dobrze, przynajmniej nie był głodny, albo do półniewolniczej pracy przeważnie w przemyśle zbrojeniowym (częste bombardowania alianckie).

ty myślisz, że wróg to właśnie ja. Jesteśmy jedno mój żołnierzu i ty i ja”...

Ze skąpych informacji dawkowanych o sobie mimochodem wiedziałem, że urodził się w Poznaniu, i był o dwa lata starszy ode mnie, dzieciństwo spędzał w Toruniu. Od 1943 pracował fizycznie i w Warszawie, jak wszyscy rówieśnicy brał udział w powstaniu. Reichsführer SS, Heinrich Himmler na wieść o wybuchu powstania w Warszawie wydał rozkaz: „Każdego mieszkańca należy zabić, nie wolno brać żadnych jeńców, Warszawa ma być zrównana z ziemią i w ten sposób ma być stworzony straszający przykład dla całej Europy”. Początkowy plan zakładał, że dokona tego Luftwaffe poprzez zmasowane bombardowania Warszawy, z której wcześniej będzie ewakuowana ludność niemiecka. „Ostatecznie Hitler zdecydował, że po pacyfikacji powstania, której dokonają siły lądowe przy wsparciu lotnictwa Warszawa zniknie z map świata. Do realizacji tego zadania wyznaczony został gen. Erich von dem Bach-Zelewski”.

Leszek dodawał, że po kapitulacji oddziałów powstańczych i ewakuacji ludności z miasta przymusowo uczestniczył w systematycznym niszczeniu Warszawy. Wzbudzał tym zaciekawienie. To, czym fascynował najbardziej: był poetą! Gdy Stanisław Witold Balicki objął redakcję „Dziennika Polskiego” pojawił się dodatek „Młoda Rzeczpospolita”. Tam znalazłem jego nazwisko i wiersz. Publikował też tam humoreski inny nasz wspólny kolega z klasy, Sławomir Mrozek (miał przezwisko Hipek), szybko się zaprzyjaźnili.³

Już wcześniej Leszek, a też Mrozek, zetknęli się z Adamem Włodkiem. Parę słów o tym, bo to zdarzenie stało się ważne w życiu wielu przyszłych pisarzy. Włodek, chyba jednak niedoceniany pisarz i poeta, był niezwykle czytany, sugestywnym intelektualistą. Pojawił się mentor i przyjaciel licznych młodych twórców, uważny czytelnik juveniliów, prób literackich lub poetyckich ludzi poszukujących własnych dróg i nadziei na przyszłą twórczość. Wiele znanych dziś postaci orbitowało wokół muz Euterpe, Kaliope i Erato, a Leszek zasłużył się szczególnie także Melpomenie. W kręgu Adama Włodki znaleźli się m. in. Tadeusz Nowak, Tadeusz Śliwiak, Konstanty Puzyna, Sławomir Mrozek, Janusz Roszko, Stanisław Stanuch, Anna Świrszczyńska, Jan Adamski Andrzej Bursa, Jan Zych, Bogdan Jałowiecki, Maria Paczowska, Stanisław Czycz i wielu innych. Później dołączyli młodszy, Ewa Lipska, Leszek Aleksander Moczulski, Bronisław Maj i liczni późniejsi uczestnicy prac Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich w Krakowie, przez które przewinęło się kilkadziesiąt osób, jeśli nie więcej.

Adam Włodek już o wiele wcześniej, przed wojną, a także podczas okupacji niemieckiej związał się ze środowiskiem lewicowych pisarzy i artystów. W powojennych latach poczuł się żarliwym komunistą – jak jego rówieśnicy i starsi podzielający wiarę w tę ideologię, włączeni w mechanizmy jej działania poniósł moralne koszty swojego zaangażowania politycznego. Łączyła go bliska przyjaźń z Wisławą Szymborską, „Wisielką”, wówczas wschodzącą sławą, którą później poślubił. Wpływu, jaki obydwójce wywarli na wspomniane środowisko, nie da się przecenić.

W Krakowie, po wojnie znalazło schronienie wiele redakcji pism społeczno-literackich, Ukazywały się trzy dzienniki: „Gazeta Ludowa” (organ PSL), „Echo Krakowa”, i „Dziennik Polski”. Jerzy Putrament, w mundurze majora, wtedy redaktor naczelny „Dziennika Polskiego”, na ulicy Krupniczej 22 zajął budynek z oficynami dla ZLP i utworzył Dom Literatów. Wielu pisarzy w czasie zawieruchy wojennej zawędrowało do Krakowa, znalazło tam dach nad głową i bezcenną wtedy stołówkę. Działało kilka świetnych teatrów, szkół artystycznych wszystkich szczebli, a co jeszcze ważniejsze, istniało zaplecze – rzadkie rzemiosła artystyczne, pracownie, wieloletnie, niekiedy wielowiekowe tradycje wydawnicze, a przede wszystkim Uniwersytet Jagielloński i jego sześćsetletnia tradycja. W tej liczbie nie mała rola kulturotwórcza przypadła wychowankom naszego gimnazjum i liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego pod wezwaniem św. Anny z jego dumnym zawołaniem „semper in altum”.

Leszek pachniał tytoniem. Wszyscy podpalaliśmy, bo to było zakazane (wtedy sprzedawano jeszcze papierosy na sztuki), a naprzeciwko bramy gimnazjum był sklepik spożywczy pana Brabeca, gdzie spędzaliśmy przerwy i można było puścić dymka popić własną kanapkę „krachlą”, albo kupić coś na ząb u sklepikarza. Leszek zwrócił na siebie szczególną uwagę i podziw kolegów – w roku szkolnym 1948/49 występował w teatrze międzyszkolnym (grał tytułową rolę w Konradzie Wallenrodzie). W imprezie brały też udział dziewczęta z gimnazjum Mickiewicza i zapewne wtedy poznał Halinę Zaczek,⁴ przyszłą żonę (ślub 4. VI. 1952).

Kiedy wójt Gimnazjum i Liceum im. Bartłomieja Nowodworskiego, Jurek Parzyński (później duma krakowskiej palestry i ceniony krytyk muzyczny) składał urząd, bo przystępował już do matury, Leszek był na tyle popularny, że w cuglach wygrał ogólnoszkolne wybory. 10 lipca 1948 roku odbył się pogrzeb „przedwojennego” dyrektora „Nowodworka”, Kazimierza Lewickiego. Jesienią pojawił się nowy „dyro” a z nim „nowe porządki”. Przede wszystkim „ściągnął nam cugle”. Bramę szkoły zamykano o 7,55. Spóźnialscy musieli czekać do pierwszej przerwy, ale nieobecność już była odnotowana w dzienniku, a to groziło obniżeniem stopnia z zachowania. Nie wolno było w przerwach przebywać w sklepiku pana Brabeca. Wójt Herdegen też został wzięty w obroty... musiał przecież współdziałać z dyrektorem w codziennym życiu szkoły, a duch przekory „uchodził kędy chce” (*spiritus flat ubi vult spirat*)⁵ Leszek, wójt zawsze nienagannie koleżeński, podpadł i wkrótce miał to odczuć boleśnie. O tym później... Po nim w jesieni 1948 wójtem wybrano Andrzeja Kurza.

Rok 1948 – ważna cezura w naszych życiorysach: w lutym 1948 powołano dekretem Powszechną Organizację „Służba Polsce”, państwową organizację paramilitarną, w skrócie SP. Brygady miały pracować przy odbudowie Warszawy, budowie ośrodków przemysłowych (Nowa Huta!), osuszaniu Żuław itp., i były przeznaczone dla młodzieży w wieku od 16-21 lat, a ich celem było „włączenie twórczego zapału młodego pokolenia do pracy nad rozwojem sił i bogactwa na-

3 Zainteresowani znajdą szczegóły w *Dziennikach* Sławomira Mrozka, WL Kraków, tom I, wrzesień 2010.

4 Halina Zaczek, późniejsza prodziekan i prorektor PWST. Od 1991 profesor zwyczajny sztuk teatralnych.

5 cyt. wg Wulgaty (Ew. wg Jana, 3, 8); spiritus ubi vult spirat.

rodu". Spodobało mi się to. Wymieniliśmy z kolegami, Leszkiem i Sławkiem kilka zdań, bo wspólnie upatrywaliśmy w tym szansę na atrakcyjne spędzenie wakacji. W powojennych latach „wakacje” były możliwe tylko jeśli zorganizowało je harcerstwo, YMCA, dla chłopców⁶ (bo istniała też YWCA dla dziewcząt), albo jakaś inna dobroczynna organizacja. A potem były te przedziwne „wakacje”.

Wszystko odbyło się jak po sznurku. Na ulicy Franciszkańskiej w byłym budynku Kripo⁷, gdzie dziś mieści się Uniwersytet Papieski, odbył się asenterunek. Rozebrani do naga oczekiwaliśmy na badanie zlecone przez Rejonową Komendę Uzupełnień i Wojskową Komisję Lekarską. Należało starannie wykonać kilka poleceń „odwrócić się”, „zgiąć prawą nogę w kolanie”, „rozchylić pośladki”, a lekarz w białym kitlu i w lateksowych rękawiczkach dotykał pachwiny i rozkazywał „kaszląć”, potem przykładł stetoskop pod lewą pierś, odwracał się mówiąc „sześćdziesiąt sześć” rozkazując „powtórzyć”. Następnie był wywiad kwalifikacyjny z mundurowym w randze sierżanta. Pytania były równie proste jak badanie lekarskie. Wyraziliśmy pragnienie, że „chcielibyśmy być razem w jednym oddziale”, co zostało skrzętnie odnotowane. Okazało się później, że tylko my trzej z całego gimnazjum zgłosiliśmy się na ochotnika do SP. Potem na nasze adresy przysły „karty powołania”. W określonym dniu wsiedliśmy na dworcu PKP do wagonów towarowych i odjechaliśmy do Warszawy.

Na bocznicę dworca ładowano nas na podjeżdżające ciężarówki. „Otrzęsiny” tj. jazda do starego fortu rosyjskiego „Grot” gdzieś na pń.-zach. stronie miasta (obecnie nosi nazwę Blizna). W magazynie dostaliśmy „sorty mundurowe”: drelich, furazerkę, koszulkę gimnastyczną i granatowe „bokserki” (służyły także jako piżama), Iniane onuce, a buty wojskowe wybierało się ze stosu. Swoje łachy cywilne wkładało „do wora” z nazwiskiem napisanym na mokro otówkiem chemicznym. Miałem szczęście, buty były do pary, związane sznurówkami i pasowały jak ulał. Nie wszyscy mieli taki fart.

Pierwsze rozczarowanie: każdy z nas został wcielony do innej kompanii. Było to doświadczenie o charakterze aksjologicznym, rychło mieliśmy ich poczynić znacznie więcej. Moja Trzecia Kompania mieszkała w namiotach ustawionych wokół placu apelowego z masztem flagowym. Tam udzielano pochwał i nagan („wystąp!” – robiło się trzy kroki), rozdawano pocztę, tj. *odkrywki*, adresowane numerem kompanii i adresem „pocztą polowa Warszawa 46 – Fort Grot”.

Każdy namiot mieścił dwa rzędy po 11 pryczy z przejściem w środku. Był też nieduży barak, gdzie kwaterowało *naczalstwo* (już wtedy ten rusycyzm był w użyciu). Dowództwo: porucznik i kilku zupaków. Frontowcy. Potrafili dać w kość, ale byli przeważnie życzliwi, cierpliwi. Nie takie rzeczy widzieli. Mieliśmy pracować przy budowie lotniska wojskowego w dzielnicy Boernerowo. Było nas dwie brygady – Czwarta z Krakowa i Nowego Sącza, i Piąta ze Śląska. Razem ok. 5 tysięcy chłopów. Na teren budowy około dwa kilometry tam i z powrotem zakurzoną wapienną drogą maszerowaliśmy ze śpiewem „Znów się pieśń na usta rwie młodzież

i SP”. Już prawie na samej budowie trzeba było przejść drogą dzielącą niemiecki jeniecki obóz⁸ (ok. 800 ludzi – dawali znaki, że są głodni). Potem nosiliśmy im komisiarza, którego dostawaliśmy dzienną porcję pół kilograma, to było dużo. Nawiązało się później coś w rodzaju handlu wymiennego. Jeńcy produkowali różne drobiazgi.

W ciągu tych prawie trzech miesięcy Herdegena widziałem dosłownie raz, zamieniliśmy parę słów w czasie obiadu (jadalnia pod wiatą, ławy na powietrzu). Mroźka widywałem dwa razy dziennie. Obtarł stopę owijaną onucą, (z czasem wszyscy opanowali niełatwą sztukę owijania onuc). Sławkowi wywiązało się zakażenie i zrobił mu się duży ropniak na podszwie stopy, który usunięto mu chirurgicznie „na izbie chorych”. Awansował wtedy na sanitariusza. Dostał tam wyrko na stałe. Kiedy wymaszerowywaliśmy do pracy, droga prowadziła koło tego baraku, był szlaban i wjazd na teren stacjonowania brygad SP otoczony wysokimi drutami kolczastymi. Mroźek i załoga „izby” stali w oknach baraku i za każdym razem salutowaniem do furazerki żegnali i witali kolumny junaków, to należało do ich obowiązków. Czasem spotykałem go w latrynie. Opisu tego miejsca oszczędzę, podobnie jak możliwości higieny intymnej.

Rozkład dnia był następujący: o piątej pobudka, gimnastyka, apel i rozkaz dzienny. Stanie łóżek w namiotach i inspekcja, Śniadanie (pod wiatą) i wymarsz do pracy (5 godzin), obiad, wymarsz na ćwiczenia ogólnowojskowe (5 godzin), kolacja, czas wolny (l-głównie pisanie listów), apel wieczorny i cisza nocna od godz.22. W niedzielę można było pojechać z Kofa tramwajem do Warszawy (za darmo) by wziąć udział w pracy społecznej przy odgruzowaniu miasta w rejonie Sądów na Lesznie. Wtedy pobieraliśmy suchy prowiant – suchary twarde jak kamień, jakąś konserwę itp.

Pracowaliśmy przy robotach ziemnych przy budowie przyszłego lotniska wojskowego dla odrzutowców. Narzędzia „przedsiębiorcze i zasięrutne” były na miejscu, podobnie jak wagoniki-wywrotki na układanych przenośnych w razie potrzeby torach. Przerzucaliśmy tony ziemi z miejsca na miejsce budując pasy startowe i wyrównując teren. Plagą były drobne kradzieże – czego nie nosiłeś ze sobą w małym plecaku i chlebaka, przepadało. Na budowie zawsze dwóch pilnowało sterty plecaków. Była to praca ponad siły, przynajmniej moje. Upał dawał się we znaki, cienia na tym pustkowiu nie było. Wiadra z płynem o nazwie „kawa” służyły do gaszenia pragnienia (brązowa lura z jakiejś „kawy” zbożowej, bez smaku). Wody nie było. Pogoda przez cały czas słoneczna, jak zdarzyła się ulewa, chowaliśmy się do przechylonych-otwartych wywrotek.

W godzinach popołudniowych odbywały się ćwiczenia wojskowe na poligonie w rzadkich laskach sosnowych. Dokuczały komary, zmorą był „tor przeszkód” z czołganiem się pod drutem kolczastym i pokonywaniem przeszkód terenowych w pełnym biegu. Dwa razy było strzelanie „ostre”. Kapral uczył jak dociskać kolbę karabinu do zgłębienia w ramieniu, żeby nie „kopało”, ale kopało mimo to. Należało też puścić „serię” z „pepeszy”. Nic ciekawego. Bardzo obawiałem się rzucania prawdziwym granatem (dwa razy). Wtedy poznałem też

6 YMCA (z ang. Young Men's Christian Association – Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej) – międzynarodowa ekumeniczna organizacja propagująca program oparty na wartościach chrześcijańskich

7 Kriminapolizei – niemiecka policja kryminalna.

8 *Der Aufenthalt (Pobyt)*, powieść Hermanna Kanta, której akcja toczy się na tej samej budowie.

słowo „dekować się” zarówno w robocie, jak i w czasie ćwiczeń, bo oficjalnie był wyścig pracy i przed frontem kompanii chwalono przodowników, ganiono obiboków. Rotacyjnie, całą dobę co kilkanaście dni z załadowaną ostrymi nabojami bronią pełniliśmy służbę wartowniczą rozstawieni na stałych posterunkach przy magazynach broni i amunicji, żywności i innych obiektach fortyfikacji o nieznanym dla nas przeznaczeniu.

Czas upływał szybko, zaczęto przebąkiwać o zakończeniu turnusu. Sławek powierzył mi ową „tajemnicę wojskową” i mogłem ją zaraz przekazać innym. To był sądny dzień. Najpierw pobraliśmy z magazynu worki z cywilnymi ubraniami, potem należało „zdać” plecak, chlebak, manierkę, koc, poduszkę, siennik, i buty. Drelichy wypłowiałe na słońcu wolno nam było zatrzymać; przeszły niejedno („co się wysuszy, to się wykruszy”) przypinaliśmy na nich zdobyte, jak sprawności harcerskie, „medale”. Z cywilnych łachów założyłem tylko buty. Dostaliśmy blankietowe bilety otwarte na „transport do miejsca przeznaczenia” zapisanego w książeczce służbowej. Zaskoczeniem był niewielki „żołd” wypłacony za trzy miesiące służby. Nie udało mi się pożegnać z Mrożkiem i z Herdegenem, musiałem zostać ze swoimi. Kompaniami i plutonami ładowaliśmy się, a ciężarówki wahadłowo zawoziły junaków na dworzec w Warszawie. Już było ciemno, gdy udało mi się złapać ostatni pociąg do Krakowa. O 5.30 tu już kursowały tramwaje, około szóstej zadzwoniłem do drzwi domu.

Revenons à nos moutons (Powróćmy do naszych baranów), jak mówi się w średniowiecznej farsie.⁹ Herdegen, jak już wspominałem, podpadł w gimnazjum na dobre. Gdzieś w połowie maja 1949 wszystkie cztery jedenaste klasy przystąpiły do matury. Dyrektor, nowy, z Zakopanego, wziął Leszka „w obroty” i Herdegen... oblał. Nie było to fair, opinia uczniowska była po stronie „wójta” Leszka.

I jeszcze jedno ważne wydarzenie. W latach 1948-1950 Tadeusz Kantor współpracował z Wojewódzkim Domem Kultury Związków Zawodowych (mieścił się wtedy w Pałacu pod Baranami), i prowadził jako „instruktor zespołu recytacyjno-świeclicowego” robotniczą grupę amatorską. Wiedzieliśmy dobrze kto to jest, bo w listopadzie 1948 w Pałacu Sztuki otwarto wystawę „Nowocześni”. Wiele z nas, korzystając z bezpłatnego wstępu dla uczniów chodziło na tę wystawę po wielokroć. Wydarzeniem wykraczającym poza „sorealistyczną” codzienność stała się inscenizacja poematu Pabla Nerudy *Niech się zbudzi Drwal*, przygotowana przez Marię Jareme i Tadeusza Kantora na dziedzińcu pałacu. Leszek, który już wcześniej zwrócił na siebie baczność, brał w niej udział jako główny recytator. Wrażenie było niezwykle. Akcja toczyła się na wszystkich piętrach. Premiera odbyła się późną wiosną w 1949 r.

Po wakacjach był jesienny termin poprawkowy matury. Herdegen był ambitny, pracował i... znowu to samo. Oblał. W czerwcu (chyba) zdawaliśmy obaj egzamin wstępny do Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej. Leszek wyróżnił się, zdał wyśmienicie i został przyjęty... jako wolny słuchacz, bo żeby zostać studentem, musiało być w papierach świadectwo maturalne

(potem zdawał maturę skutecznie, trzeci raz). Ja również dostałem się i byliśmy wraz z Haliną Zaczek i innymi na jednym kursie.

Chyba pora opowiedzieć o budynku „Szpitalna 40”. Jeśli używam liczby mnogiej, to znaczy że włączam w relację nieodłączną parę: Leszka H. Halinę Z., a szerzej naszą małą społeczność uczelni. Kiedy rozpoczęliśmy w 1949 naukę, była to już Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, róg ulicy Szpitalnej i Pijarskiej, dokładnie naprzeciwko Teatru Słowackiego. Tam umieścił po wojnie swoje studium aktorskie legendarny reformator teatru Juliusz Osterwa, twórca „Reduty”. Uważał pracę w teatrze za szczególną misję, posłannictwo. Kształcenie w sztuce aktorskiej miało być ściśle powiązane z pracą w teatrze. Po przyłączeniu Studium Dramatycznego (Iwo Galla) przy Starym Teatrze wybrano nazwę Państwowa Szkoła Dramatyczna, poprzedniczka PWST (od 1947 PWST; od 1955 im. Ludwika Solskiego). Coś z tego etosu błąkało w tych pokojach. Nawet żartowano, że Aleksander hr. Fredro stoi na pomniku twarzą do nas, a pupą do teatru. Szkoła zajmowała całe pierwsze piętro. Obszerny hol w czasie przerw sprzyjał szybkiej integracji jako salom towarzyski, palarnia, tu odwiedzali nas goście płci obojga. W pokoiku przy klatce schodowej pomieszkiwała jeszcze p. dr Bronisława Szyfman, siostra Arnolda Szyfmana.¹⁰ Toaleta była w długim korytarzu (jedna!), który wiodł do szatni i sekretariatu i gabinetu dyrektora. Zaczynała z porcelanowym nocnym naczyniem dostojnie paradowała w orientalnym szlafroku do rzeczoności przybytku.

Parę słów o naszych mistrzach, koleżankach i kolegach. Nasze studia (mówię o roku Leszka i moim) przypadły w latach 1949-1953 w „czasach stalinowskich”. Nie my wybraliśmy „te czasy”, to one nas dopadły.

Na samym początku zdarzyła się nam niezwykła przygoda: cała PWST została zaproszona do współpracy jako statyści do Teatru im. Słowackiego. Bronisław Dąbrowski, ówczesny dyrektor, przy współpracy reżyserskiej Lidii Zamkow (scenografia Andrzej Stopka, kostiumy Karol Gajewski), przygotowywał przedstawienie *Lubow Jarowaja* Konstantego Treniewa, z oprawą muzyczną jako ogromne, panoramiczne widowisko historyczne o konspiracyjnych przygotowaniach do rewolucji. Dla nas, studentów to było coś w rodzaju „rozpoznania bojem” złożonego mechanizmu teatru; od podscenia, po garderoby na najwyższym piętrze, penetrowaliśmy nie tylko budynek, ale poznawaliśmy hierarchie i współzależności, całą złożoną strukturę zawodów teatralnych, ich funkcje i koryfeuszy, namacalnie, z bliska. Prawie całe nasze grono profesorskie brało udział w spektaklu. To była niełatwa praca (Dąbrowski był cholerykiem), płacono za próby i przedstawienia. Na tamte czasy dużo „własnych” pieniędzy (tytuł był grany *à la longue* ponad 100 razy z okładem). Tytułową rolę grała p. Zofia Jaroszevska z plejadą artystów T.St. (Jan Kurzakowicz, Marian Jastrzębski itd.), a z nami statystami, brało udział 120 osób. Premiera odbyła się w Krakowie 9 grudnia 1949 r. i wnet potem był wyjazd na gościnne występy w Warszawie. Recenzje, brawa, wielkie „hallo”.

Nasi nauczyciele: Dzieliłiśmy ich na „praktyków”, „teoretyków” i „rzemiechów”. „Praktycy” uczyli ściśle

10 Z jego inicjatywy w 1909 r. rozpoczęto budowę Teatru Polskiego w Warszawie, który zainaugurował działalność w 1913 roku. Stanowisko dyrektora teatru pełnił od lipca 1915 oraz w latach 1918-1939. Zgromadził w nim znakomity zespół artystyczny.

zawodowych rzeczy, mówienia wierszem i prozą, dykcji, elementarnych zadań aktorskich, dialogów i scen (Maria Bogurska, Halina Gryglaszewska, Lidia Zamkow, Jerzy Ronard Bujański, Tadeusz Burnatowicz, Eugeniusz Fulde, Jerzy Kaliszewski, Józef Karbowski, Mieczysław Kotlarczyk, Władysław Krzemiński, Zdzisław Mrożewski, Wacław Nowakowski, Władysław Woźnik); indywidualności, autorytety o rozległym doświadczeniu, różnych wymaganiach. Zawsze szanowani, bo od nich zależał nasz studencki los, nasze „być albo nie być” i pozycja w przyszłym zawodzie.

„Teoretycy”, dbali o wszechstronne wykształcenie ogólne w wielu dziedzinach: historii dramatu oraz teatru polskiego i europejskiego, fonetyki, muzykologii, kostiumologii i historii ubioru oraz przedmiotów ideologicznych i *stricte* politycznych. Wszystkich nas bez wyjątku obowiązywała dyscyplina studiów. Opuszczanie zajęć było niemożliwe. Wymagania były duże, trzeba było dużo czytać, korzystać z bibliotek. Liczni, byliśmy ZMP-owcami (choć o różnym „natężeniu ideolo”, ale obowiązywała „jedność teorii i praktyki”). Notatki, konspekty, współpraca wzajemna podczas powtarzania materiału do kolokwii, egzaminów. Strategia: trzeba było być aktywnym, nie podpaść i zaliczyć przynajmniej na tróję, Euzebiusz Balicki, Wiesław Gorecki, Kazimierz Meyerhold, Adam Polewka, Zbigniew Reguła, Władysław Tęcza, to im zawdzięczaliśmy podstawy teoretyczne wprowadzenia w złożoność kosmosu teatru.

„Rzemiechy”: tu nie było miejsca na żarty, choć czasem było dużo śmiechu. To przedmioty i ćwiczenia w odpowiednim oprządkowaniu, mające poprawić rozwój fizyczny, koordynację ruchową, sprawność, kondycję i... jednak nauczyć czegoś niezbędnego w zawodzie. Były to: rytmika (prof. Eleonora Bocheńska i Zofia Lubartowska); taniec klasyczny (prof. Jerzy Kapliński, choreograf i słynny tancerz); szermierka, (prof. Andrzej Sołtan, b. mistrz polski w szermierce i zawodowy trener w broniach szermierczych). Impostacja głosu i trening oddechu (prof. Maria Bieńkowska, śpiewaczka i pedagog w PWSM), śpiew i śpiew chóralny (prof. Andrzej Cwojdzński). Wszystko to wymagało wielkiego wysiłku fizycznego, niejednej kropli potu, przyspieszonego oddechu i tętna. Niekiedy, koleżanki i koledzy mieli trudności by im sprostać fizycznie.

Nasi Koleżanki i Koledzy: Kalina Jędrusik, Krystyna Jodłowska, Alicja Migulanka, Masza Możdżeń, Danuta Zaborowska, Halina Zaczek, Krystyna Zborowska, Zbigniew Cybulski, Stanisław Czaderski, Bohdan Czechak, Edward Dobrzański, Leszek Herdegen, Zygmunt Hobot, Tadeusz Jurasz, Bogumił Kobiela, Ryszard Kotas (Kotys), Ryszard Krzyżanowski, Leszek Mazurkiewicz, Jerzy Sagan, Tadeusz Śliwiak, Zygmunt Tadeusiak, Józef Zbiróg i niżej podpisany. Dwa lata wyżej od nas byli m.in. Ewa Lassek (Jarocka), Barbara Wittek (Swinarska), Lech Bijałd (b. więzień kacetu), Ryszard Zaorski i dwoje kolegów Blanka Malewicz oraz Leszek Szmaus,¹¹ starało się o wyjazd do Izraela na stałe. Rok

wyżej ode nas studiowali Jurek Jarocki i Jerzy Goliński („Golo”), a niżej o rok Iza Olszewska, Wanda Swaryczewska, Barbara Wałkówna, Adela Zgrzybłowska (Smyk), Ferdynand Matysik, Witek Pyrkosz, Witek Tokarski; dwa lata niżej byli Zofia Kucówna, Kasia Mayer (Fulde) Jurek Grotowski („Grot” – ten słynny), Jaś Mayszel, mądrała z wielkim poczuciem humoru, postaci zapamiętane w serdecznej pamięci.

Z tego zestawu wynika, że była to zmiana pokoleniowa, a z czasem również jakościowa, która zdominowała nie tylko polską scenę i sztuki wizualne, ale zapisła się trwale w historii teatru polskiego. W latach naszych studiów ówczesne Ministerstwo Kultury i Sztuki każdego roku w ośrodkach podległych ministerstwu (Augustów, Jadwisin, Jagniątków Górny, Zaryte itp.) organizowało w doskonałych warunkach bytowych i żywieniowych miesięczne, bezpłatne obozy integracyjne dla studentów wyższych szkół aktorskich (Kraków, Łódź, Warszawa). Poznawaliśmy się wzajemnie, pod auspicjami kół naukowych, Wymienialiśmy doświadczenia, spędzali miło czas i zaprzyjaźniali się na całe życie.

Leszek Herdegen objawił się jako niezwykle talent w całej działalności pedagogicznej PWST (obecnie Akademia Sztuk Teatralnych im. St. Wyspiańskiego). To nie uroda, nie wielość własnych uzdolnień w różnych dziedzinach twórczych, nie wybitna inteligencja wsparta wytrwałą pracowitością, niezwykła barwa głębokiego głosu, sprawiły, że zapowiadała się zadziwiająca kariera, która stała się potem jego marką, znakiem firmowym. Blisko, jak na wyciągnięcie ręki. Jeszcze chwila i..., nie wiem... rozkwitnie, czy wybuchnie?

U podstaw jego talentu – nie waham się powiedzieć – było tragiczne doświadczenie straszliwej wojny, a jej piętno było obecne w całym naszym pokoleniu. Przeżycia, jak napisał Baczyński „szkło bolesne, obraz dni”, legły zapisane lękami i koszmarami, w genach, w biologii Leszka, jak „dymiące łaki krwi” wszechobecnością śmierci rozrywającej na strzępy. W jakimś sensie, jak „Maciek” Zbyszka Cybulskiego w *Popiele i diamentach*, archetyp i produkt wojny, Herdegen pozostał w głębi duszy na zawsze w jej szponach. Powiedział w jakimś wywiadzie „Nie chcę ukrywać siebie za postacią, którą odtwarzam. Występuję jako człowiek współczesny, który w różnych rolach, w różnych postaciach, chce przedstawić problemy i rozterki ważne także dziś”.

Prawdopodobnie Koło naukowe, w którym pracowaliśmy wspólnie pod okiem prof. Haliny Gryglaszewskiej również mogło odegrać jakąś rolę w inkubacji jego osobowości artystycznej. Poszerzaliśmy tam nasze zainteresowania, które wychodziły poza naszą codzienność studencką. W 1952 roku (pobrali się z Haliną, 4 czerwca 1952), a z początkiem grudnia odwiedził Kraków teatr Bertolta Brechta Berliner Ensemble¹² z *Matką Courage* jego autorstwa, z nieomal mityczną Heleną Weigel w roli tytułowej, z *Matką Gorkiego* w opracowaniu Brechta i *Rozbitym dzbanem* Kleista. Nam, wychowanym w estetyce „teatrów krakowskich”, łykawszy potężny haust Brechta, nagle zakreśliło się w czubie. Bo niemiecki reformator wprowadził nas w zdumienie „efektem obcości”. Parę słów o tym.

¹¹ Z jego inicjatywy w 1909 r. rozpoczęto budowę Teatru Polskiego w Warszawie, który zainaugurował działalność w 1913 roku. Stanowisko dyrektora teatru pełnił od lipca 1915 oraz w latach 1918-1939. Zgromadził w nim znakomity zespół artystyczny.

¹² *courage*, fr., odwaga; *Matka Odwaga*.

To, co jest zrozumiałe samo przez się, działo się na scenie w sposób niezrozumiały. Nie „działo” się na scenie, tylko snuto opowieść, „że się dzieje”, jakieś to, dziwne, wyalienowane obce, odległe od naszych dotychczasowych przyzwyczajeń estetycznych. Zderzenie wizji. Brecht, inscenizator kierował uwagę widza na interpretację, a my szukaliśmy, jak zawsze identyfikacji *katharsis* (w antycznej grece: *oczyszczenie*). Dziwny epicki (?) teatr. I tak we wszystkich przedstawieniach. To było owo Brechtowskie „zjawisko obcości” ten słynny *Verfremdungseffekt*. Na scenie, np. pchają wóz załadowany towarami do zaspokajania przyziemnych potrzeb żołnierskich (wódka, kiełbasa, tytoń) a tu, i nagle, spuszczają ze sznurowni wielki bęben, akcja się zatrzymuje, śpiewają groźną pieśń (sam Ernst Busch) o okrucieństwach wojny, na której wszyscy polegą, ze zwycięzcami włącznie. I tak we wszystkich inscenizacjach. Teatr... a w ogóle nie ma kurtyny, jakieś półkurtynki, parawany, scena odarta z czarów, nic, tylko szara codzienność...

Zbliżaliśmy się do końca studiów, z każdym dniem i wreszcie nadszedł upragniony dzień. Kiedy zaczęliśmy, studia trwały trzy lata, kiedy kończyliśmy, cztery. Czekaliśmy na pisanie prac magisterskich, ich obrona i spektakle dyplomowe. Po nich mieliśmy otrzymać tytuły „magistrów sztuki”. Archiwum Akademii Sztuk Teatralnych przechowuje te prace. Nie wiem, może ktoś do nich czasem zagląda, choć wątpię. I jeszcze jedna rzecz: szkoła starała się nam doradzić, jak i gdzie rozpocząć „start”. Leszek nie miał kłopotów, mógłby pójść gdziekolwiek i tak wszędzie przywitano go z otwartymi ramionami. I tym razem trafił do Gdańska. Lidia Zamkow właśnie obejmowała kierownictwo artystyczne Teatru Wybrzeże w Gdańsku.

Iwo Gall reżyser i scenograf założył ten Teatr i zaangażował do niego „swoją” grupę z krakowskiego Studia Dramatycznego. Przestrzeń sceniczną przedstawień kształtował jak kubizującą architekturę, nie znosił mieszczańskiego pseudonaturalizmu. Antoni Biliczak, sprawny administrator, był przez długie lata sprawnym organizatorem scen, a o doborze repertuaru, i składzie zespołów aktorskich oraz współpracujących scenografów, reżyserów decydowali kierownicy artystyczni teatru. (Utarło się w polskim teatrze powiedzenie, że zespół aktorski jest wtedy dobry, jeśli możliwe jest obsadzenie *Wesela* Wyspiańskiego). Lidia Zamkow blisko trzy lata dobierała repertuar i wzbogaciła zespół aktorski, angażując z Krakowa najzdolniejszych absolwentów PWSA płci obojga, wśród których znaleźli się m.in. Anna Gołębiowska, Kalina Jędrusik, Zbigniew Cybulski, Jerzy Goliński, Leszek Herdegen, Bogumił Kobiela, Józef Zbiróg i in. Chociaż nie wystawiła *Wesela* na Wybrzeżu to dysponowała „taką obsadą”. Zrealizowała *Barbarzyńców* Gorkiego (polską prapremierę utworu) oraz m. in. *Tragedię optymistyczną* Wsiewołoda Wiszniewskiego wzbudzając zachwyt licznych recenzentów niezwykłą wyrazistością scen zbiorowych i ludzkich typów. Akcja sztuki toczy się wśród marynarzy wojennego krążownika. Przedstawienie cieszyło się frekwencją gdańszczan i gości spędzających wakacje nad Bałtykiem.

Nieco o karierze literackiej Leszka, bo nie było jeszcze jasne, co wybierze „na zawsze”. Na Wybrzeżu był nie tylko aktorem, ale wraz z Konstantym Puzyną spra-

wowali kierownictwo literackie teatru. Po powrocie do Krakowa prowadził dział krytyki literackiej w redakcji zasłużonego dla kultury polskiej tygodnika „Życie Literackie”. Był w różnych latach również kierownikiem literackim w Teatrze Młodego Widza w Starym Teatrze, autorem wielu artykułów i felietonów publikowanych w prasie codziennej i periodycznej. Ukazał się zbiór felietonów i recenzji pt. *Zadania domowe* (Kraków 1956) i *Wiersze* (Kraków 1970), zebrany dorobek poetycki Herdegena.

Leszek był niezwykle ceniony jako wybitny interpretator recytator. Wyróżniał się chłonną pamięcią, urzekającą barwą głosu, o czym już wspomniałem. Współpracował z filharmoniami, krakowską i warszawską Filharmonią Narodową, i Teatrem Wielkim Opery i Baletu. Zastąpił jako niezrównany wykonawca partii recytatorskich w Pendereckiego *Pasji według świętego Łukasza*, w oratoriach Arnolda Schönberga, Arthura Honeggera i Kazimierza Serockiego. Odbyszał tournée występując na licznych międzynarodowych festiwalach muzycznych, m.in. w Grecji, Portugalii, Szwajcarii, Francji, na Bliskim Wschodzie, w Stanach Zjednoczonych.

Gdybym chciał wyliczyć dorobek kariery teatralnej, filmowej i telewizyjnej Leszka samo przypomnienie tytułów sztuk, zagranych ról, scen, na których błyszczał, byłoby rzeczą niewykonalną. Dlatego w tytule po słowie „Leszek” umieściłem odsyłacz do (<http://www.e-teatr.pl/pl/osoby/2060.html>) Zainteresowani znajdą tam interesujące szczegóły, niekiedy próby ocen, cytaty z ważnych recenzji, bibliografię i stosowne obrazy, zdjęcia.

Powiem jedynie, że LH zasługuje na obszerną monografię teatrologiczną. Społeczna recepcja jego dokonań wzbudziła podziw widzów, inspirowała peany krytyków wyrażane w najwyższych superlatywach. Bo Herdegen z powodzeniem uprawiał różne formy działalności aktorskiej; niejednokrotnie nowatorskie, jak *Teatr na wozie* nawiązujący do tradycji trup jarmarcznych, podziwiany przez publiczność w czasie Dni Krakowa. Realizował, oparty na własnych scenariuszach *Teatr Faktu* i występował, (zdobywając liczne nagrody) na szczecińskich Ogólnopolskich Przeglądach Teatrów Małych Form. Na Wrocławskich Spotkaniach Teatrów Jednego Aktora od 1982 jury przyznaje Honorową Nagrodę im. Lidii Zamkow i Leszka Herdegena.

I jeszcze jedno: po rozwodzie z Haliną Zaczek w 1961 roku obydwójce znaleźli nowe udane związki. Leszek ponad dwadzieścia lat życia spędził w wolnym związku z Lidią Zamkow. Związek tych dwojga owocował wspólnymi istotnymi ważkimi dokonaniem artystycznymi.

Herdegen swoim tak intensywnym życiem umysłowym i emocjonalnym zapłacił najwyższą cenę, jaką przyszło płacić wielu artystom na świecie, przed nim i po nim. W jakimś momencie serce nie wytrzymało nadludzkiego wysiłku. Stało się to w Toruniu, 15 stycznia 1980 roku.

ADAM KULAWIK

MOJE LALKI.

BOLESŁAWA PRUSA CZYTANIE (cd.)

Interpretacja – via regia humanistyki.

(J. Habermas)

Czy to nie zastanawiające? Panna Łęcka, jako że była „niepospolicie piękna”, otrzymała od Prusa imię IZABELA. Ojciec i ciotka Joanna zwracają się do niej i mówią o niej BELA. Ponieważ pani Stawska jest niezwykle urodziwa, nosi – jakżeby inaczej – imię HELENA, nie dziwi więc, że jej śliczna córeczka to HELUNIA. Wokulski, bohater *Lalki*, od młodości dążący do sławy, da się w dojrzałym wieku, kiedy zostanie zdradzony przez narzeczoną, uwieść Geistowi: przyjedzie do niego do Charenton z całym majątkiem, żeby pracować – jak mniema – nad uzyskaniem metalu lżejszego od powietrza. A wszystko dla „czystej i wiecznej” sławy, nosi więc imię z kategorii imion życzących – STANISŁAW.

Jest w tej onomastyce Prusa wyraźna metoda, skoro postaci pierwszego planu powieściowego mają imiona znaczące. Mało tego! Oto postaci noszące nazwiska znaczące. Autor *Pamiętnika staroego subiekta* nazywa się RZECKI. Trzeba przyznać, że stworzył Prus znakomitego narratora i nadał mu stosowne nazwisko, bo Rzecki to ten, który rzeczce, mówi, opowiada, prowadzi swoją rzecz. „Narzekać”, „wyrzekać się”, „zarzekać się”, „przrzekać”, a wszystko to w swoim pamiętniku pan Ignacy robi, to wyrazy pochodne nazwy tej czynności. „Rzecznik” także.

Na uwagę w tym kontekście zasługuje również nazwisko drugiego idealisty: OCHOCKI. Badacze *Lalki* chcieli łączyć tę postać z Julianem Ochowiczem, zapewne wskutek pewnej fonetycznej zbieżności obu nazwisk i naukowych ambicji Ochockiego. Ochowicz był jednym z przywódców pozytywizmu, rzetelnym naukowcem o szerokich zainteresowaniach, cieszył się uznaniem w kraju i za granicą. Ochocki ma w swoim dorobku podobno ulepszenie mikroskopu, jakieś lampy i jakieś prace nad stosem elektrycznym, czyli, mówiąc językiem współczesnym, czymś w rodzaju akumulatora

czy baterii, ale ma przede wszystkim wielką OCHOCKIE na sławę: „sława, jakiej nie osiągnął dotąd żaden człowiek, to moja kobieta, to moja żona” – wyznał Wokulskiemu. Wierzy, że ją zdobędzie, gdy skonstruuje maszynę latającą, ale przy pracy tego wykształconego głupasa nikt nie widział. Owszem, widzimy go, jak puszcza latawcę w Zasławku. A efekty skonstruowania takiej maszyny wyobraża sobie ten marzyciel tak:

Nie ma fortec, armii, granic... Znikają narody, lecz za to w nadziemskich budowach przychodzą na świat istoty podobne do aniołów lub starożytnych bogów... Już ujarzmiłmy wiatr, ciepło, światło, piorun... Czy więc nie sądzisz pan, że nadeszła pora nam samym wyzwolić się z okowów ciężkości?...

Rozmiary głupoty Ochockiego nie powinny być i zapewne nie są szczególnym wyzwaniem interpretacyjnym dla uważnego czytelnika *Lalki*.

Nazwisko przeznaczonej hrabiny Zasławskiej pochodzi od nazwy miejscowej ZASŁAW, ale jej dwór i folwark umieścił Prus w ZASŁAWKU, a w tej nazwie miejscowej, podobnie jak w nazwie Zasław mieści się prawie cały wyraz SŁAWA, poprzedzony przymikiem „za” z tym, że Zasławek zakończony jest formantem zdrabniającym „-ek”. Tak więc ZA-SŁAW-EK, podobnie jak ZA-SŁAW jest przeciwieństwem sięgającego chmur pomnika SŁAWY, jakiego wizję miał w Łazienkach Wokulski STANI-SŁAW:

Ujrzał ją i teraz i ze wzruszeniem spostrzegł, że chmury otaczające jej głowę rozsunały się na chwilę. Zobaczył surową twarz, rozwiane włosy, a pod spiżowym czołem żywe, lwie oczy, które wpatrywały się w niego z wyrazem przytłaczającej potęgi. Wytrzymał to spojrzenie i nagle uczuł, że rośnie.. rośnie..., że już przenosi głowę najwyższe drzewa

w parku i sięga obnażonych stóp bogini. Teraz zrozumiał, że czystą i wieczną piękną jest S ł a w a i że na jej szczytach nie ma większej uciechy nad pracę i niebezpieczeństwa.

Pani ZA-SŁAW-SKA w Zasławku realizuje to, co pożytywści w swoim programie nazwali pracą u podstaw, i tym, co robi, nawet małej sławy nie zdobędzie, bo nie dla sławy robi to, co robi, lecz dla dobrze rozumianego obowiązku wobec społeczeństwa. W Zasławku robotnicy folwarczni mają zapewnione przyzwoite warunki pracy, ich dzieci zorganizowaną opiekę, a w Paryżu, dokąd Wokulski po sławę – jak mniema – się uda, chory ginie w ciągu roku, nieudolny w kilka lat, a pracować trzeba szesnaście godzin na dobę, bez względu na niedzielę i święta, bo w Paryżu ludzie żyją według reguł prawa doboru naturalnego. Taki Zasławek, podobnie jak taki Paryż nie istnieje, to są literackie fikcje, ale jeśli ktoś, na przykład taki Wokulski, zastanawia się, co zrobić ze swoim życiem, czemu się poświęcić, to ma on taki według Prusa wybór: Albo Paryż, albo Zasławek. Albo miraż sławy, albo praca u podstaw. Nasz Wokulski wybrał, jak wybrał, i przepadł.

A w sąsiednim Zasławku mieszka i pracuje niejaki WĘGIEŁEK, który dzięki finansowemu wsparciu uzyskanemu od Wokulskiego, dzięki swej pracowitości i zdolnościom odbudował spalony dom i warsztat, a do Warszawy przyjechał w poszukiwaniu pracowników: „Fabrykę mógłbym założyć” – mówi do Wokulskiego. A nazwisko WĘGIEŁEK – znów ten zdrabiający formant „-ek” – jest deminutywem wyrazu WĘGIEŁ, który oznacza nie tylko naroże budynku, ale również w wyrażeniu „kamień węgielny” – pierwszy kamień położony pod budowlę, a przenośnie „fundament”, „podstawę”, „początek”. Węgiełek jako postać w świecie przedstawionym *Lalki* jest przeciwieństwem zarówno Wokulskiego, jak i Ochockiego, dwu marzycieli fantastów, którzy możliwości realizacji swoich żałosnych przedsięwzięć szukają za granicą. Węgiełek tym, co robi w Zasławiu, podobnie jak hrabina Zasławska w Zasławku sławy nie zdobędzie, ale ma perspektywy społeczne, ekonomiczne, prywatne, realne. Perspektywy naiwnych i głupich, chorobliwie ambitnych marzycieli chcących uszczęśliwić ludzkość – żadne. Nawet katastrofalne.

Poużywał sobie Prus na arystokracji, nie tylko kreśląc negatywne postacie jej przedstawicieli: marszałka, barona jako kandydatów do ręki panny Izabeli, samej Izabeli i jej ojca Tomasza Łęckiego, barona Krzeszowskiego i jego piszącej anonimy żony, Starskiego, osoby szczególnie odrażającej, ale też nadając postaciom tej sfery prześmiewcze nazwiska-przezviska z n a - c z ą c e: Szastalska, Pantarkiewiczówna (nazwiska panieńskiego od wyrazu „gęś” utworzyć się nie da, musiał więc Prus sięgnąć po pantarkę), Upadalska, Fertalska Wywrotnicka, Rydzewski (nie od nazwy miejscowej Rydzewo, jak można by domniemywać, to nazwisko, lecz od „rydza”, skoro występuje nieodłącznie z panem Pieczarkowskim), Rzeżuchowscy, hrabia Śledziński i książę Kielbik, co chcę łączyć z porzekadłem „kielbie we łbie”. Ale biedota, reprezentanci społecznych dołów i społecznej krzywdy noszą w *Lalce* nazwiska „historyczny”: Wysoccy – wozak przy sklepie Wokulskiego i jego brat Kacper, dróżnik przy kolei w Skierniewicach. Ta dokonana przez Prusa repartycja nazwisk między arystokrację i biedotę ma wyraźną wymowę ideową

i moralną. A jest jeszcze Rosjanin noszący nazwisko jednego z uwięzionych filaretów – Suzin.

Ale na tym nie kończy się szereg postaci powieściowych *Lalki*, noszących nazwiska znaczące. Oto międzynarodowy triumwirat organizujący spiszek, ofiarą którego ma paść i zapewne padnie, Wokulski: JUMART, GEIST I PALMIERI. Monsieur Jumart – jak twierdzi – ma dwa (aż dwa?!) stopnie doktora filozofii zdobyte na dwu europejskich uniwersytetach i tak oto przedstawia się Wokulskiemu: „Moje nazwisko najlepiej streszcza narodowość: tym jestem, w czyjej mieszkam oborze: wołem między wołami i koniem między końmi”. Tak, w starszych słownikach języka francuskiego znajdujemy wyraz „jumart”, który oznacza potomka byka i kłacz. Czy można komuś dobitniej oferować przysługę, dając do zrozumienia, że jeśli Wokulski przysługi sowicie nie opłaci, monsieur Jumart wyświadczy ją komu innemu? Jumart oczekiwanego tysiąca franków od Wokulskiego nie dostał, więc poszedł na współpracę z Geistem Prusakiem i Włochem Palmierem, którzy znaleźli sposób na ograbienie Wokulskiego z majątku. Geist jest hipnotyzerm, a Palmieri będzie hipnotyzera udawał.

Geist znaczy po niemiecku to co po polsku „duch”, a czy ten Geist jest der gut Geist, czy der boese Geist, może łatwo odgadnąć czytelnik, jeśli właściwie oceni, czym i jak kusi Wokulskiego ten leibhaftiger Satan, czyli diabeł wcielony, apostoł doboru naturalnego, czyli, jak się wtedy mówiło, transformizmu. Wiedząc, że Wokulski przeżywa kryzys amoroso, że myśli o samobójstwie, że jest „przyrodnikiem”, kusi go pracą nad otrzymaniem metalu lżejszego od powietrza, który, gdy go uzyskają w pracowni Geista, zostanie przekazany „prawdziwym ludziom”, a ci skonstruują z niego maszyny latające i wyeliminują tę część ludzkiej populacji, która nie pasuje do matrycy człowieczeństwa sporządzonej przez Geista. Oto wykład jego antropologii:

W czasie moich przymusowych wakacji, które niestety ciągną się po kilka lat, zajmuję się zoologią i specjalnie badam gatunek człowieka. W tej jednej formie o dwu rękach odkryłem kilkadziesiąt typów zwierzęcych począwszy od ostrygi i glisty, skończywszy na sowie i tygrysie. Więcej ci powiem: odkryłem mieszańce tych typów: skrzydlate tygrysy, węże z psimi głowami, sokoły w żółwich skorupach (...). I dopiero wśród całej tej menażerii bydła albo potworów, gdzieś gdzieś odnajduję prawdziwego człowieka z rozumem, sercem i energią. Pan, panie Siuże (Geist udaje, że rozmawia z Suzinem – A.K.), masz niezawodnie cechy ludzkie i dlatego tak otwarcie mówię z panem: jesteś jednym na dziesięć, może na sto tysięcy. (...) Jeżeli znajdę ostatecznie metal lżejszy od powietrza, oddam go tylko prawdziwym ludziom. Niech oni raz zaopatrzą się w broń na swój wyłączny użytek; niechaj ich rasa mnoży się i rośnie w potęgę, a zwierzęta w ludzkiej postaci niechaj z wolna wyginą. Jeżeli Anglicy mieli prawo wypędzić wilków ze swej wyspy, istotny człowiek ma prawo wypędzić przynajmniej tygrysy, ucharakteryzowane na ludzi.

A skoro ci dwaj panowie: Jumart i Geist noszą nazwiska znaczące, kusi mnie, ażeby za takie uznać również nazwisko tego trzeciego łobuza – Palmieriego. Sięgam więc po słownik języka włoskiego, szukam i znajduję tam podstawę derywacyjną tego nazwiska: palmare, co

znaczy „oczywisty”, „widoczny”. Tak, Palmieri jest oczywistym szachrajem, kiedy „trzy razy dziennie pokazuje magnetyczne sztuki” na organizowanych przez siebie widowiskach, jak i wtedy, gdy „bada” Wokulskiego pod kątem jego podatności na hipnozę, na czym mógł się nie poznać tylko Wokulski: „Palmieri zaczął swoje praktyki: wpatrywał się Wokulskiemu w oczy, dotykał mu czoła, pocierał ręce od obojczyków do dłoni... Nareszcie odsunął się od niego zniechęcony. – Pan nie jesteś medium – rzekł”. W ten sposób Wokulski uzyskał pewność, że Geist nie mógł go zahipnotyzować i pokazywał mu rzeczywiste metale cięższe od najcięższych dotąd znanych, lżejsze od sodu i wody, przezroczyste, a wszystkie kowalne i przewodzące prąd elektryczny. I o to spiskowcom chodziło.

Na pytanie: Czy ta onomastyka znacząca Prusa daje do myślenia? – odpowiadam – jakżeby inaczej – twierdząco, ale nie w tym rzecz, że imiona, nazwiska i nazwy miejscowe występujące w tej powieści są krótką i ogólną charakterystyką wstępną postaci i miejscowości, ale w tym, że jest ta onomastyka rozbudowana i funkcjonuje w powieści realistycznej, gdzie dotąd skąpono jej miejsca. Bo taka onomastyka znacząca przeznaczona była od zawsze dla innych gatunków literackich. Owszem, znajdzie się tu czy tam jakieś Klerykowo, ale są to wyjątki, natomiast realizm *Lalki* nie krępuje konsekwentnego jej użycia, przeto pojawić się musi drugie pytanie: Dlaczego Prus, stosując to nazewnictwo znaczące, narusza w sposób demonstracyjny poetykę powieści realistycznej i – kolejne pytanie: Czy to jedyny sposób jej naruszania? Otóż nie jedyny!

Krakowskie Przedmieście, Aleje Ujazdowskie, Aleje Jerozolimskie, Łazienki, Miodowa, Tamka, Powiśle, Wisła – to realia warszawskie, to przestrzeń, w której żyją i funkcjonują postacie *Lalki*, ale wątek główny tej powieści, wątek Wokulskiego niewiele, a niekiedy nie ma nic wspólnego z realizmem, nawet wtedy, gdy w tej przestrzeni warszawskiej przemieszcza się ten właściciel sklepu galanteryjnego, którego adres warsawińscy dokładnie ustalili. Bo w realistycznie przedstawionej Warszawie nie może istnieć ktoś, do kogo w trakcie triduum paschalnego, w wielką sobotę roku 1878, w kościele, dokąd Wokulski udał się z rulonem półimperiałów przeznaczonych na kwestę wielkonoconą, przemówił Bóg, udzielając mu napomnienia: „Może jesteś okiem żelaznego przetaka, w który rzucę ich wszystkich, aby oddzielić stęchłe plewy od ziarna”. Wokulski rozejrzył się, słysząc te słowa i stwierdził: „Przywidzenie chorej wyobraźni”. Czy można bardziej bezceremonialnie dystansować się od etyki chrześcijańskiej?

Czy w realistycznie przedstawionych Łazienkach realistycznie przedstawiony może być ktoś, Wokulski, który widzi Śmierć, która wyznacza mu datę jego śmierci? Wokulski po rozstaniu się z Ochockim w Łazienkach mówi do siebie: „Co kto robi, jeszcze nie wiadomo. Ja tymczasem jestem dziś człowiek czynu, a on marzyciel... Zaczekajmy rok. Rok!... Wokulski wstrząsnął się. Zdawało mu się, że na końcu drogi nazwanej rokiem, widzi tylko ogromną otchłań, która pochłania wszystko, ale nie mieści w sobie nic”.

Oczywiście ta wizja byłaby bardziej dla czytelnika zrozumiała i jednoznaczna, gdyby Wokulski zobaczył

nie otchłań, ale kostuchę z kosą jak jaki Polikarp, ale Prus liczył na inteligentnych czytelników.

Mamy więc w tej realistycznej powieści, sztandarowym utworze realizmu – jak to się kiedyś mówiło – krytycznego, Boga, Śmierci i Szatana, diabła wcielonego w Geista, który nadspodziewanie łatwo swoimi rzekomymi osiągnięciami w zakresie chemii fizycznej i swoją spod ciemnej gwiazdy antropologią omotał Wokulskiego, który oświadcza: „Przyjdę tu”. Taka jest skrótowo wyrażona deklaracja Wokulskiego, a znaczy: „Przyjdę do twojej pracowni, profesorze, będę z tobą pracował nad uzyskaniem metalu lżejszego od powietrza, przeprowadzę również Ochockiego, a gdy uzyskamy „ten transcendentálny metal”, ty profesorze przekazesz go „prawdziwym ludziom”, którzy wytępią ten paskudny „gorszy sort”.

Tak oto warszawski kupiec galanteryjny Wokulski zawarł pakt z diabłem.

Obecność w wątku głównym *Lalki* Boga, Śmierci i Szatana spokrewnia ten wątek, a tym samym i całą powieść ze średniowiecznymi moralitetami. Gdyby ten wątek streścić na użytek na przykład *Wikipedii*, zawierałby niewyartykułowaną co prawda *expressis verbis*, ale dającą się łatwo wyprowadzić z amoralnej postawy bohatera i jego dążenia do zatury naukę moralną, morał – i stałby się ten wątek apologiem. A gdyby go jeszcze bardziej skompromować, mógłby trafić jako exemplum do *Gesta romanorum*. A w rzeczywistości powieściowej jest rozbudowaną, opowiedzianą niejako na raty przypowieścią o człowieku, który dążąc do „czystej i wiecznej sławy”, uwierzył Szatanowi, że może ją zdobyć, angażując się do pracy nad uzyskaniem metalu lżejszego od powietrza. Czy może być coś bardziej absurdałnego?

Powiedział Prus, że „*Lalka* jest powieścią o naszych idealistach na tle społecznego rozkładu” i dał w tej powieści dziesiątki tego przykładów, niekiedy bardzo drastycznych. Ledwie Wokulski otworzył w powieści usta, a już przedstawia się jako wyznawca prawa doboru naturalnego, mówiąc:

„Sprawiedliwym jest to, że silni mnożą się i rosną w siłę, a słabi giną. Inaczej świat stałby się domem inwalidów, co dopiero byłoby niesprawiedliwością”. A z czym przyszedł do Wokulskiego Geist? „Niechaj ich rasa („prawdziwych ludzi” – A.K.) mnoży się i rośnie w siłę, a zwierzęta w ludzkiej postaci niechaj z wolną wyginą”. Wokulski: „Pracę dla szczęścia – rozumiem, ale pracy dla fikcji nazywającej się społeczeństwem (...) – już bym się nie podjął. Społeczność niech sama myśli o sobie (...) i dziwi się tylko mojej głupocie, że kiedyś myślałem inaczej”.

* * *

Prus nie byłby Prusem, gdyby nie powiedział, że przyczyną społecznego rozkładu jest rozkład moralny społeczności, a ponieważ chciał to powiedzieć głośno i dobitnie, posłużył się w tym celu przywołaniem dawnych gatunków literackich, a z nimi Boga, Śmierci i Szatana. Głosu Prusa dotąd nie usłyszano, a na obecność w powieści realistycznej Boga, Śmierci i Szatana nie zwrócono uwagi.

MARIAN STĘPIEŃ

INNE ŻYCIE JAROSŁAWA IWASZKIEWICZA

Jarosław Iwaszkiewicz z dalekich Kresów przybył do Warszawy, gdzie głośni już byli utalentowani poeci grupy Skamandra: Jan Lechoń, Antoni Słonimski, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński. Przyłgnał do nich, oni go zaakceptowali. Niemniej pozostawał w ich cieniu. Zamieszkał w Warszawie, gdzie miał odgrywać przez wiele lat bardzo ważną rolę w życiu publicznym i literackim. Został „koroniarzem”, tęsknił do równiny mazowieckiej, do wioski „pomiędzy Grójcem a Mszczonowem”, „do kościoła w Radziejowicach w Nadarzynie w Raszynie”. Nie bez zdziwienia w jednym z późnych już zbiorów swych wierszy pisał:

kiedy mieszkałem na Podolu
mówiliśmy: ci koroniarze
jedzą obrzydliwe rzeczy
kwaśne mleko z kartoflami
nigdy nie myślałem, że będę koroniarzem¹

Pod koniec życia górę brało poczucie inności. 12 stycznia 1979 roku, a więc na nieco więcej niż rok przed śmiercią pisał do Jerzego Andrzejewskiego: „Z odejściem mojej ostatniej siostry czuję wielką pustkę obok siebie. Była to ostatnia osoba, z którą mogłem mówić o dzieciństwie, o Kalniku, o rodzicach, o Ukrainie [...]. Na starość bardzo odczuwam swoją kresowość i coraz mniej rozumiem królewaków i Polskę śląskocentryczną”²

A zaraz po wojnie? Lechoniowi, oprócz nieprzejednanej postawy wobec pojałtańskiej Polski wielkości dodawała tragiczna śmierć. Wierzyński – ceniono jego patriotyczną poezję, a później, niezależnie od nie zawsze najwyższego lotu wierszy programowych, był dobrze widziany w środowisku literackim dzięki antygomutkowskiemu *Czarnemu polonezowi*. Tuwim po latach wojny, które spędził w Brazylii i w Nowym Jorku, wrócił do kraju w 1946 roku. Zmarł w 1953, nie doczekawszy się polskiej „odwilży”, a jego wiersze po powrocie powstałe nie dorównywały wcześniejszym. Słonimski, po okresie emigracji podczas wojny, pozostał przez kilka lat w Londynie na placówce rządu warszawskiego. Powrócił do kraju w 1951 roku, opowiedział się po stronie przemian zachodzących w Polsce, ale za to z tym większą emocją po październiku 56. i później był nieprzejednanym opo-

zytą i krytykiem postawy Iwaszkiewicza, który na tym tle uchodził, jak to określiła Maria Dąbrowska w liście do Jerzego Stempowskiego pisany 5 marca 1947 roku, za *le conformiste glorieux*.³ I za takiego miał uchodzić do końca swego życia. Także – w opinii wielu – i po śmierci.

A jednak... Kiedy dzisiaj obejmujemy myślą literaturę polską XX wieku, a zwłaszcza okresu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej to widzimy, że twórczość Jarosława Iwaszkiewicza wysuwa się na pierwszy plan wśród utworów pozostałych skamandrytów, a jego biografia – działalność kulturalna i obywatelska – odegrała bardzo ważną rolę w polskim życiu tego czasu.

Przedstawienia tej niezwyklej biografii podjął się Radosław Romaniuk. Przed paru laty ukazała się pierwsza część jego dzieła, doprowadzona do wybuchu drugiej wojny światowej. Pisałem o niej na łamach „Zdania”⁴ myśląc już o jej drugiej części, ważniejszej; wypatrywałem jej w zapowiedziach wydawniczych i księgarniach. I oto właśnie się ukazała, znacznie obszerniejsza od pierwszej⁵.

Zwrot: „inne życie” pojawiający się w tytule książki pochodzi z wiersza Jarosława Iwaszkiewicza. Wiersz tak zatytułowany otwiera tom jego poezji pod tym samym tytułem, wydany przez wydawnictwo J. Przeworskiego w 1938 roku. Te dwa słowa, przywołane w tytule pierwszego tomu dzieła Romaniuka, nabierają zupełnie innego znaczenia, gdy zostają powtórzone w tytule drugiego tomu biografii autora *Sławy i chwały*, aczkolwiek dobrze odpowiadają charakterystycznym rysom jego drogi życiowej przedstawionej w pierwszym, a potem w drugim tomie biografii poety.

W wierszu *Inne życie* poeta próbuje ukazać niezwykle, wyjątkowe własne istnienie. Nie znajdując słów na dokładne jego określenie ucieka się do porównania wywołującego skojarzenia i nastroje, które przypominają manierę młodopolską.

Powiedziałeś mi, Pawle, że takiego życia
Nie zniósłbyś ani chwili. Ale ja mam inne,

3 Maria Dąbrowska Jerzy Stempowski, *Listy*. Tom I 1926-1953. Opracował, wstępem i przypisami opatrzył Andrzej Stanisław Kowalczyk. Warszawa 2010, s. 173.

4 Zob. M. Stępień, *Inne Życie Jarosława Iwaszkiewicza*. „Zdanie” 2013, nr 3-4.

5 Radosław Romaniuk, *Inne życie Jarosława Iwaszkiewicza*. Biografia. Tom 2. Warszawa 2017.

1 Jarosław Iwaszkiewicz, *Xenie i elegie*, Warszawa 1970, s. 32.

2 Jerzy Andrzejewski Jarosław Iwaszkiewicz. *Listy*. Warszawa 1991, s. 158.

Które jak ciężka rzeka, skryta pod sklepieniem,
Przemyka się szerokim, choć ciężkim korytem
Ukryta – kwitnie wszakże co wiosna białymi
Kwiatami, które pachną i powoli więdną,
Słońca nie widzą może – ale też tym bardziej
Pełne są znaczeń trudnych, których nie wyrażę.⁶

W dalszej części wiersza pojawiają się „prądy nieprzeniknione, ciemne i głębokie”, śpiące „czarne trytony”, „wodorosty śliskie jak włos topielicy”. Utwór jest świadectwem odczuwania nieokreślonej odmienności, inności własnego życia i własnej drogi twórczej. Może mieć związek z samopoczuciem utalentowanego przybysza z Ukrainy, który pojawił się w literackim świecie Warszawy, w pobliżu grupy pewnych siebie poetów, którzy przybywającego ze stepów ukraińskich do swego grona przyjęli, mimo że pojawił się z dalekiej prowincji. Niemniej Iwaszkiewicz, świadom swej odmienności, swego „innego życia” czuł się jak „brzydkie kaczątko”. (Motyw „brzydkiego kaczątka” pojawia się w różnych jego tekstach, także w liście do piszącego te słowa).

W drugim tomie biografii Iwaszkiewicza formuła „innego życia” odnosząca się do tej części życia pisarza, która zaczyna się czasem wojny, okupacji i trwa do jego śmierci, nabiera realnej treści. Miejsce niejasnych nastrojów zajmują doświadczenia określone przez historię; przez drugą wojnę światową i rzeczywistość Polski Ludowej. Słowa „inne życie” zachowują aktualność, nabierają jednak diametralnie odmiennego znaczenia. A kompleks „brzydkiego kaczątka” ustępuje poczuciu słuszności dokonanego wyboru.

Już we wrześniu 1939 roku droga Iwaszkiewicza zaczęła przebiegać innym szlakiem niż drogi wybrane przez pozostałych skamandrytów. Lechoń, Stonimski, Tuwim, Wierzyński uchodzili za szosę za granicę. Jarosław Iwaszkiewicz podzielił los większości rodaków. Bezpośrednio doświadczył bezsensownej „uciekiniarki” i powrotu z niej do domu zajętego przez Niemców. Pozostał w kraju. Lata drugiej wojny światowej spędził w okupowanej przez Niemców Polsce. W swym Stawisku dawał schronienie zagrożonym przez okupanta literatom, przyszykującym się Żydom chroniąc ich przed niechybną śmiercią. Konstanty Jeleński bronił Iwaszkiewicza przed krytykującym go Gustawem Herlingiem-Grudzińskim: „Stawisko było jednym z tak rzadkich, niestety, w Polsce schronień znajomym i nieznanym Żydom. Tego nie należy zapominać”.⁷ (W uznaniu zasług pisarza i jego żony w dziele ratowania Polaków narodowości żydowskiej Instytut Yad Vashem w Jerozolimie 21 stycznia 1988 roku nadał pośmiertnie Annie i Jarosławowi Iwaszkiewiczom tytuły Sprawiedliwych wśród Narodów Świata.)

Uczestniczył w rozdzielaniu środków przekazywanych przez polski rząd na uchodźstwie przeznaczonych na pomoc przedstawicielom polskiej kultury i nauki.

Brał udział w podziemnym życiu umysłowym, artystycznym, literackim. Zapraszał do siebie ludzi kultury, wygłaszał odczyty. W jego domu odbywały się koncerty muzyczne. Niekiedy czynił to choćby po to, by „dać ludziom trochę urozmaicenia po okropnym bytowaniu w Warszawie”. Wspominał później te spotkania: „Gdy

tak przygotowując te notaty do druku, przed oczami przeciągam sobie twarz tej całej zebranej wówczas u nas młodzieży, a było ich ze dwadzieścia, widzę może dwie, trzy twarze ludzi dziś jeszcze żyjących. Zginęli wszyscy, zamordowani, zabici, zastrzeleni”.⁸

Tego rodzaju doświadczenia i bezpośrednie obserwacje warunków życia ludności polskiej pod niemiecką okupacją, od których byli wolni skamandryci przebywający na obczyźnie, określiły charakter twórczości Iwaszkiewicza, zakres podejmowanych przez niego tematów, wrażliwość i zrozumienie dla ludzi w Polsce. Składały się na jego „inne życie”. Jan Lechoń, Julian Tuwim i Kazimierz Wierzyński byli w Nowym Jorku, Antoni Stonimski – w Londynie. Co oznaczała, jakie miała konsekwencje ta różnica doświadczeń ilustruje wspomnienie ze spotkania z Julianem Tuwimem po jego powrocie do Polski. Autor *Kwiatów polskich* był „człowiekiem złamanym”. Nie mógł nie myśleć o grozie wydarzeń, które bezpośrednio dotknęły jego najbliższych, i nie mógł zapomnieć, że znajdował się wówczas daleko od nich i bezpieczny. „Cieszyliśmy się z siebie, ale byliśmy sobie obcy” – wspomni Iwaszkiewicz⁹, który przez lata wojny przeszedł dużą zmianę, był kimś innym niż przed rokiem 1939: „A ja już byłem ten powojenny, kanciasty, trochę niesforny, trochę rzucający się, a trochę już poważniejszy, poważniejszy niż Tuwim mógł oczekiwać! I dlatego po wojnie jużśmy nie żyli z sobą tak blisko jak przed wojną”¹⁰.

Podobnie było ze spotkaniem z Antonim Stonimskim, gdy ten przyjechał z Londynu do Warszawy w 1945 roku (na stałe powrócił do Polski w 1951 roku). Rozmowa toczyła się w przyjaznej, swobodnej atmosferze, pozostała jednak wspomnienie dociekań i pytań dowodzących niepełnej możliwości wzajemnego zrozumienia:

„Owo: dlaczego? Za co? Na które nie było odpowiedzi, a które świadczyły o zasadniczym niezrozumieniu. Stasia Krzywoszewskiego zabrali do Oświęcimia. Za co? Rafała Blütha zastrzelili: dlaczego? Rodzinę Horodyńskich wymordowali: z jakiego powodu? (...)”

Z trudnością wchodziło do głowy nowo przybyłym, że nie było żadnych powodów popełniania tych morderstw, a raczej był tylko jeden: głęboko zatajony [...]. Mam wrażenie, że to, co przeszliśmy przez okupację, powstanie warszawskie, miesiące popowstaniowe, miesiące pustej Warszawy, to się położyło na naszych usposobieniach, charakterach, na tym, co się nazywa duszą, ciężarem nie do obalenia. Jest to pieczęć charyzmatyczna, która odróżnia nas od wszystkich innych. I że zawsze ten moment różnicy pozostanie nieważkim, ale istotnym elementem pomiędzy nami a nimi. My jesteśmy naznaczeni już na wieki”.¹¹

„Ten moment różnicy”, którym „jesteśmy naznaczeni już na wieki”, przesądzał również w przypadku Iwaszkiewicza i wielu jemu podobnych o stosunku do tej rzeczywistości, która powstawała w powojennej Polsce, co jeszcze bardziej pogłębiało dystans dzielący go od jego dawnych przyjaciół, którzy pozostali na emigracji, nie widzieli dla siebie możliwości powrotu do pojałtańskiej Polski.

Mało znajdziemy bezpośrednich obrazów z przeżyć z lat wojny w powstających wówczas utworach poetycz-

6 Jarosław Iwaszkiewicz, *Wiersze*. Warszawa 1958, s. 329.

7 *Dwugłos o Iwaszkiewiczu (z Konstantym Jeleńskim)* [w:] G. Herling-Grudziński, *Wyjście z milczenia*. Opracował z. Kudelski, Warszawa 1993, s. 241.

8 *Notatki 1939-1945...* [w:] jw., s. 64.

9 J. Iwaszkiewicz, *Aleja przyjaciół*. Warszawa 1984, s. 26.

10 J. Iwaszkiewicz, *Księga moich wspomnień*. Kraków 1957, s. 357-358.

11 J. Iwaszkiewicz, *Aleja Przyjaciół*. Warszawa 1984, s. 91-92.

kich i opowiadaniach. Świadectw przeżywania losów innych ludzi, dowodów odmiennego teraz „innego życia” możemy znaleźć w jego notatkach z lat 1939-1945, opublikowanych już po śmierci pisarza, dedykowane przez niego pamięci „Drogich Mi Ludzi, którzy musieli żyć, tworzyć i walczyć w tym czasie ciemności i zginąć w tragicznym roku 1944”.

W krótkim wstępie do tych notatek, napisanym w grudniu 1945 roku określa ich cel słowami: „Jeśli w moich notatkach choć przez chwilę można będzie dojrzeć człowieka na tle niehumanitarnych czasów, cel tej publikacji będzie spełniony”¹².

W tych zapiskach znajdziemy reakcję pisarza na lekkomyślną ofiarę życia, jaką przyszło zapłacić młodym poetom za składanie kwiatów pod pomnikiem Kopernika, informację o młodych „bohaterach” podziemia, którzy w „czynie patriotycznym” wybrali się dokonać zamachu na życie pisarza, scenę zamordowania Żydów na dworcu podwarszawskiej kolejki dojazdowej, która weszła potem do *Wzlotu*.

Przerażenie na widok łuny nad płonącym warszawskim gettem, dochodzące do Brwinowa odgłosy powstania warszawskiego, ciemność, pesymizm, trwogę, rozpacz wyraził nie bezpośrednio, lecz w ogólnej tonacji wierszy zebranych w *Ciemnych ścieżkach*. Pesymizm sygnalizowany już samym tytułem zbioru odnosił się wszakże nie tylko do nocy okupacyjnej. Obejmował również niespokojne lata powojennej Polski, w której odbudowie pisarz uczestniczył. W *Ciemnych ścieżkach* jest wiersz mówiący o ponurym doświadczeniu z pierwszych lat po wojnie, o spotkaniu – używając dzisiejszej terminologii – z „żołnierzem wyklętym”. Nie przypominam sobie, by był on przez komentatorów twórczości Iwaszkiewicza przywoływany. A nabiera dzisiaj szczególnej aktualności. Warto więc w całości go przytoczyć:

Zastał drogę z pepeszą.

Nieduży.

„Dokąd panowie spieszą?”

Był w mundurze.

„Czy pan nie jest Żydem?”

Czy pan nie w Pepeerze?

Czy pan na pewno tylko

Pisze to wszystko na papierze?

Gdzie pan mieszka?

„W Polsce?”

„Ale gdzie? W jakiej chacie?”

Chciałbym zamieszkać w twym sercu

Zbłąkany bracie¹³.

Wielu wybitnych twórców literatury polskiej pozo-
stających po wojnie za granicą, w tym wszyscy, oprócz
Iwaszkiewicza, skamandryci, nie widzieli ruin polskiej
stolicy. Fotografie i filmy nie mogły być wystarczającym
ekwiwalentem tego, co codziennie oglądał Iwaszkiewicz
i co wpływało na jego powojenną postawę:

„I jeszcze jedna dzisiaj zapomniana sprawa: stwo-
rzenie pomnika ciszy nad zniszczonym miastem. Ten,
kto nie pamięta tych czasów, nawet sobie nie może
wyobrazić, czym była cisza ruin warszawskich [...] I po-

myśleć tylko, że było się świadkiem, jak z tej ciszy, jak
z tych ruin poczynano się rodzić nowe życie i jak powsta-
wało to, co jest dzisiejszą Warszawą”¹⁴.

Iwaszkiewicz był nie tylko świadkiem dźwignia-
nia się Warszawy z ruin. Czynn timer zaangażował się w od-
budowanie życia teatralnego po wojnie, a zwłaszcza
Teatru Polskiego w Warszawie, z którym był związany,
a który uległ zniszczeniu podczas wojny. Miał prawo po-
wiedzieć, że w jego odbudowie brał „skromny, ale stały
i serdeczny udział”¹⁵.

Związani z przedwojennymi „Wiadomościami Lite-
rackimi” skamandryci, rozproszeni po świecie, po 1939
roku podejmowali próby kontynuacji tego pisma w róż-
nych warunkach. W Paryżu, a następnie w Londynie Mie-
czysław Grydzewski rozpoczął wydawanie „Wiadomości
Polskich, Politycznych i Literackich” (1939-1944), których
kontynuacją były też pod jego redakcją ukazujące się
w Londynie „Wiadomości” (1940-1981). W Nowym Jorku
do „Wiadomości Literackich” nawiązywał Jan Lechoń wy-
dając w latach 1943-1946 „Tygodnik Polski”, redagowany
przez niego i przez Kazimierza Wierzyńskiego. A w kraju,
po zakończeniu wojny, podobną kontynuację dawnych
„Wiadomości Literackich” podjął Jarosław Iwaszkiewicz
jako redaktor „Nowin Literackich” (1947-1948) wyda-
wanych pod egidą Polskiej Partii Socjalistycznej. Maria
Dąbrowska pisała o tym zdarzeniu do Jerzego Stempow-
skiego: „Spółdzielnia wyd. »Wiedza« (PPS) przystępuje
do wydawania wielkiego tygodnika <»Nowiny Literac-
kie«, którego redakcję obejmuje Jarosław Iwaszkiewicz,
»le conformiste glorieux«. Szata zewnętrzna ma naśla-
dować »Wiadomości Literackie« do tego stopnia, że na-
wet tytuł podobnie skomponowany”¹⁶.

Iwaszkiewicz starał się, by prowadzone przez niego
pismo unikało politycznych deklaracji i łączyło pisarzy
o różnych przekonaniach oraz stylach literackich. Dbał
też o to, by łamy pisma otwarte były dla pisarzy prze-
bywających za granicą. Publikowali w nim: Stanisław
Baliński, Kazimierz Wierzyński, Antoni Słonimski, Maria
Kunciewiczowa, Andrzej Bobkowski, Aleksander Janta,
Melchior Wańkowicz; Witold Gombrowicz nadesłał list
Do Ferdynandów. Rysunki zamieszczał Feliks Topol-
ski. Z obcych pisarzy drukował utwory Alberta Camusa,
Jean Paula Sartre’a, Ernesta Hemingwaya.

Bezpośrednio wypowiadał się Iwaszkiewicz na łamach „Nowin Literackich” w *Listach do Felicji*. Polskę przedwrześniową tak charakteryzował: „Bezmierna ufność we własny chłopski rozum będący przeważnie zwyczajną ignorancją, bezbrzeżna pycha, wynikająca z przeceniania swojej partykularnej, często pozornej lub wręcz urojonej ważności, dorobkiewiczowskie maniery i brak wszelkiej skromności wobec zjawisk intelektualnych – to smutne dziedzictwo »podoficerskiego kręgu kultury« dwudziestolecia naszej drugiej niepodległości”¹⁷.

Przeciwstawiał jej nadzieję wywołaną reformami kul-
turalnymi w Polsce Ludowej: „Zdaje mi się, że dążąc do upowszechnienia kultury, należałoby wytworzyć atmosferę szacunku dla spraw intelektu; społeczeństwu wychowanemu przez wieki w podziwie dla konika, szabelki i alkoholowej krzepy trzeba przede wszystkim wszczepić

12 Jarosław Iwaszkiewicz, *Notatki 1939-1945*. Przygotował do druku, uzupełnił przypisy i opatrzył postłowie Andrzej Zawada. Wrocław 1991, s. 6.

13 J. Iwaszkiewicz, *Ciemne ścieżki*. Warszawa 1957, s. 102.

14 Jarosław Iwaszkiewicz, *Podróże do Polski*. Warszawa 1977, s. 19.

15 Tamże.

16 Maria Dąbrowska Jerzy Stempowski, *Listy*, j.w., s. 172-3.

17 Eleuter, *Listy do Felicji*. Warszawa 1979, s. 201.

respekt i pokorę wobec dzieł sztuki, nawet tych, których jeszcze nie rozumie”.¹⁸

Z dezaprobatą odnosił się do dzielenia pisarzy na katolickich i marksistowskich, z czym się łączyła taryfa ulgowa w traktowaniu autora ze swojego „obozu”. Z krytycznym dystansem odnosił się do marksizmu uprawianego wówczas przez „Kuźnicę”. Widział w nim dziennikarską aktualność, propagandę i „różne rzeczy” pozaartystyczne.

„Nowiny Literackie” zostały zlikwidowane na fali przemian zachodzących w krajach socjalistycznych na przełomie lat 1948-1949. Politycznego uzasadnienia tej decyzji dostarczyli: Stefan Żółkiewski zarzucający Iwaszkiewiczowi estetyzm, psychologizm, konserwatyzm,¹⁹ Ryszard Matuszewski przypisujący mu hołdowanie „dawnym kanonom estetycznym”²⁰ i Wiktor Woroszyński, który pisał z wielkimi oburzeniem o „Nowinach Literackich”, że „nawet się nie tłumaczyły, ani nie komentowały zamieszczanych [...] gorliwie przykładów burżuazyjnej degeneracji”.²¹

Inne życie Iwaszkiewicza polegało też na tym, że nie podzielał sympatii do tych kolegów po piórze, którzy wybrali po wojnie polityczną emigrację. Wspominał rozmowę z Konstantym Jeleńskim w Paryżu: „Mówimy dużo o emigracji i obaj jesteśmy zgodni w bardzo ujemnym jej ocenianiu. W rozmowie pada moje zdanie, że uważam sobie za szczęście, że jestem w kraju. On jest tym zdziwiony i pyta się: »Więc dla ciebie jest ważniejsze, że jesteś Polakiem niż to, że jesteś pisarzem?«. Nikt mnie jeszcze tak nie zapytał – sam sobie nie zadawałem takiego pytania – ale odpowiedziałem bez wahania: »Oczywiście, że ważniejsze!«. W ten sposób dochodzę do sformułowania mojej sytuacji, co dla mnie ma duże znaczenie”.²²

„Kwestia okupacji i naszych ówczesnych przeżyć jest zawsze tematem, którego słuchają wszyscy »tamci« ludzie z przerażeniem, ale z niemożnością wżycia się w ten nastrój [...] Kot jest dostatecznie inteligentny, aby zrozumieć moje stanowisko. Trochę mu jest obce moje fanatyczne przywiązanie do kraju i do tutejszych ludzi, tutejszych spraw i tutejszych bied”.²³

Wybranie życia na emigracji traktował jako decyzję naganną, niszczącą tego, kto ją podejmuje, a jego dawni przyjaciele skamandryci byli właśnie emigrantami. Iwaszkiewicz miał krytyczny do nich dystans, jak i w ogóle do emigracyjnego środowiska w Londynie. Ale bardzo żałował swych przyjaciół i wierzył w możliwość powrotu do Polski Grydzewskiego, Lechonia, Wierzyńskiego.

W 1964 roku zanotował w *Dziennikach*: „Gdzie wy jesteście Julku, Kaziu, Leszku, Tolku. Jakie to było wszystko proste i jasne z wami! A teraz się tak skomplikowało. Ileż wątpliwości budzi spuścizna Julka, jakaż okropnie mizerna jest działalność Tolka i Kazia w tej Ameryce – i Leszek, z wesołka tragiczna postać. Po co

to życie tak wszystko płacze i gmatwa, tak wyniszcza, tak podgryza od korzeni?”²⁴

Odnoszenie się do dawnych przyjaciół, a dziś emigrantów – krytyczne, ale nie pozbawione odruchów przyjaznych, nie obejmowało Czesława Miłosza.

Podczas spotkania w Paryżu z okazji premiery *Lata w Nohant* odmówił podania mu ręki. Miłosza musiało to dotknąć, zapamiętał to zdarzenie i po latach próbował skomentować je w sposób dla siebie korzystny, ale niezbyt przekonujący, usiłując przy tym pomniejszyć znaczenie paryskiej premiery sztuki Jarosława Iwaszkiewicza. „W latach pięćdziesiątych spotkał się w Paryżu podczas antraktu jakiejś (!) polskiej sztuki. Wiedział, że otaczają go czujne oczy szpiclów, więc rzucił szybko, przechodząc: »Z tobą złotko, nie mogę się przywitać«”.²⁵

Zaraz po zakończeniu wojny Iwaszkiewicz podjął aktywną działalność w życiu środowiska literackiego. Na zjeździe pisarzy w Krakowie w 1945 roku przyjął funkcję pierwszego po wojnie prezesa Związku Zawodowego Literatów Polskich. Motywy, jakimi się kierowano w powierzeniu mu tej funkcji, zawierają słowa z listu Jerzego Andrzejewskiego:

„Ci, których mieli sposobność stykać się z Panem osobiście podczas okupacji, pamiętają dobrze, jak nieposzlakowana była Pańska postawa Polaka i pisarza, ile odwagi włożył Pan w swój współudział w podziemnym życiu kulturalnym i z jaką niezmienną koleżeńskością wspomagał Pan polskich pisarzy moralnie i materialnie”.²⁶

Bezpośredni obserwatorzy związkowej pracy Iwaszkiewicza zgodni są w uznaniu dla niego. Wkładał dużo czasu i energii w załatwianiu spraw związkowych. Potwierdza to Tadeusz Kwiatkowski w swych wspomnieniach²⁷, Jan Maria Gisges w książce o Iwaszkiewicz²⁸, pośrednio też jego własna korespondencja z Andrzejewskim, która dowodzi, że z całą gotowością podjął trudny problem cenzury podniesiony przez krakowski oddział ZZLP. Nie bacząc na kłopotliwość i drażliwość tej kwestii, przedstawił rzecz najwyższym władzom państwowym.

Niemniej pojawiały się w środowisku literackim symptomy niezadowolenia z Iwaszkiewiczem jako prezesa ZZLP. Różne na to mogły sięłożyć powody, między innymi i te, o których niejasno, z niedopowiedzeniami pisze Tadeusz Kwiatkowski. Nazwał on Iwaszkiewicza „dobrym duchem Związku”, ale zaznaczył, że sceptycznie odnosił się do niektórych zagadnień, którymi entuzjastycznie zajmował się jego koledzy. Toteż na kolejnym zjeździe ZZLP w Łodzi w 1946 roku powierzono tę funkcję Kazimierzowi Czachowskiemu. Ale już po upływie roku ponownie wybrano Iwaszkiewicza na prezesa ZZLP. Ustąpił z tej funkcji – co ma szczególną wymowę – na zjeździe szczecińskim w styczniu 1949 roku. Związek zmienia wtedy nazwę – ze Związku Zawodowego Literatów Polskich na Związek Literatów Polskich, jego działalność nabiera znamion politycznych i ideologicznych,

18 Tamże, s. 201-202.

19 Stefan Żółkiewski, *Aktualne zagadnienia powojennej prozy polskiej*, „Kuźnica” 1949, nr 4 oraz Agitur de re vestra, „Kuźnica” 1948, nr 44.

20 Ryszard Matuszewski, *Literatura polska w latach 1945-1950*, „Myśl Współczesna” 1950, nr 10.

21 Wiktor Woroszyński, *W walce o literaturę eolski Ludowej*, „Twórczość” 1951, nr 5, s. 116.

22 J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911-1955*, opracowanie i przypisy Agnieszka i Robert Papiescy, wstępem opatrzył Andrzej Gronczewski, Warszawa 2007, s. 324-325.

23 Tamże, s. 355-356

24 Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964-1980*, opracowanie i przypisy Agnieszka i Robert Papiescy, Radosław Romaniuk, wstępem opatrzył Andrzej Gronczewski, Warszawa 2011, s. 75.

25 Miłosz, *Zaraz po wojnie. Korespondencja z pisarzami 1945-1950*, Kraków 1998, 123.

26 Jerzy Andrzejewski, Jarosław Iwaszkiewicz, *Listy*, opracował Andrzej Fiett, Warszawa 1991, s. 41-42.

27 Tadeusz Kwiatkowski, *Niedyskretny urok pamięci*, Kraków 1982, s. 180-181.

28 Jan Maria Gisges, *A po człowieku dzwoni dzwon*, Rzeszów 1985, s. 142-143.

wkrótce, na V zjeździe opowie się za realizmem socjalistycznym. Prezesem ZLP zostaje Leon Kruczkowski, który kieruje Związkiem do przełomu październikowego.

Lata 1956-1960 to okres największego nasilenia w dokonywaniu rozrachunków z poprzednim okresem. Im ktoś bardziej gorliwie, bezkrytycznie i – być może – koniunkturalnie służył wcześniej złej sprawie, z tym silniejszymi emocjami i gniewem teraz się od niej odżegnywał. Iwaszkiewicz nie zamierzał brać udziału w wyścigu, kto bardziej, szybciej i dosadniej oskarży niedawną przeszłość. Jego postawę cechowała powściągliwość, umiar, przy niewątpliwym zadowoleniu z dokonujących się, październikowych przemian w Polsce. W atmosferze wielkich emocji poklask znajdowali ci, którzy wyrażali je najgoręcej i bezkrytycznie. Gdy przyszło w takich warunkach wybierać nowego prezesa ZLP, wybrano nie Iwaszkiewicza lecz Antoniego Słonimskiego, który pozostał na tym stanowisku do 1959 roku.

W klimacie października 1956 Iwaszkiewicz trzymał się z dala od zbiorowych zachowań. Krytycznie się odniósł do *Poematu dla dorosłych* Adama Ważyka, który pozostawał w drastycznej sprzeczności względem twórczości i działania tego poety w latach poprzednich. Pisał w liście do Konstantego Jeleńskiego: „Nawet rozsądny Mieroszewski zdaje się być o sto mil od prawdy, zwłaszcza kiedy przypisuje takie znaczenie *Poematowi dla dorosłych*. Przecież u nas każdy, kto ten wiersz czyta, nieuchronnie ma w pamięci, że napisał go *donoszczyc* i ten, który nas trzymał w żelaznych rękawicach, który zniekształcił bez porozumienia ze mną drukowany w „*Twórczości*” rozdział *Sławy i chwały*, który był najgorszy z najgorszych”.²⁹ W swych *Marginaliach* zanotował:

„Bardzo nie lubię *Poematu dla dorosłych*. Ale zdaje mi się, że jeszcze nie czas, abym objaśnił dlaczego. O mały włos nie zrobiłem tego w „*Twórczości*”, ale kiedy mnie na szczęście od tego powstrzymali”.³⁰

Adam Ważyk przejął redagowanie „*Twórczości*” po odebraniu jej Kazimierzowi Wyce, kierował tym miesięcznikiem w latach 1950-1955 doprowadzając go do bardzo niskiego poziomu. Jarosław Iwaszkiewicz, objąwszy redakcję „*Twórczości*” w 1955 roku, w krótkim czasie przywrócił jej poziom europejski. Zamieszczał wybitne utwory pisarzy zachodnioeuropejskich i amerykańskich, a także polskich autorów; wśród nich również takich, którzy z powodu politycznych nie mogli dostać się na inne łamy, lub wręcz byli objęci zakazem publikacji.

Do „nawróconych” w 1956 roku, po latach gorliwej służby na rzecz socrealizmu w literaturze, do – jak się ich wówczas określało – „wściekłych”, odnosił się Iwaszkiewicz z dużym sceptycyzmem, toteż tracił na popularności. Jego miejsce na stanowisku prezesa ZLP zajął – na krótko – Antoni Słonimski.

Iwaszkiewicz w tym czasie reprezentował postawę spokojniejszą, bardziej opanowaną. Nie znajdował powodów do dokonywania zasadniczego przewartościowania swej twórczości z pierwszej połowy lat pięćdziesiątych. Jego uleganie obowiązującym wówczas zasadom twórczości literackiej było niewielkie, niewolne od pewnego dystansu, zatrzymujące uwagę na ogólnych humanistycznych wartościach. Widział zarówno złe jak

i dobre strony systemu. I po stronie tych ostatnich się opowiadał. Nawet jeżeli okazywał przy tym pewną naiwność, to w myśl zasady: „wolę być naiwniakiem niż cynikiem jak Ważyk”.³¹ A z polskiego Października był dumny, z Węgrami się solidaryzował, ustąpił ze stanowiska przewodniczącego Polskiego Komitetu Obrońców Pokoju podkreślając w ten sposób, że „scenariuszy pokojowych pisanych w Moskwie dłużej już bronić nie będzie”.³²

Jego – wypominany mu wówczas i później – *List do Prezydenta* umiarem, spokojem i powagą różnił się korzystnie od tła podobnych utworów (Woroszyńskiego, Słonimskiego, Jastruna, Kruczkowskiego, Newerlego, Brezy, Nałkowskiej, Krzywickiej, Gojawiczyńskiej) wypełniających łamy specjalnego numeru „*Nowej Kultury*” z 20 IV 1952 roku wydanego z okazji sześćdziesięciolecia urodzin Bolesława Bieruta.³³

Jeśli miał coś sobie do zarzucenia, to słabą wiarę w skuteczność i trwałość październikowego przełomu. Dzielił się swą refleksją z Konstantym Jeleńskim: „Uważam, że zgrzeszyliśmy jednakowo [z Miłoszem]: brakiem wiary. I mnie się również jak jemu zdawało, że już inaczej nie będzie. A tymczasem naród okazał się mądrzejszy i inteligentniejszy, nie tylko ode mnie (bo o to nie trudno), ale nawet od przemądrego i przemądrzałego Miłka”.³⁴

W 1968 roku nie przyłączał się do zbiorowych akcji. Ale u władz upominał się o pozostawienie *Dziadów* na scenie. A co do wątku antysemitckiego – świadectwem zachowania się Iwaszkiewicza są słowa Konstantego Jeleńskiego z listu do Czesława Miłosza: „Iwaszkiewicz bardzo dobrze się zachował przy okazji ostatniego konfliktu na Bliskim Wschodzie i odpowiedział Kliszce, który prosił go o proarabskie oświadczenie Związku Literatów, że nie po to uratował tylu Żydów podczas wojny, by teraz stawać po stronie ich wrogów”.³⁵

Antoni Słonimski, wybrany na prezesa Związku Literatów Polskich w 1956 roku, pełnił tę funkcję zaledwie trzy lata. W 1959 roku ponownie wybrano Jarosława Iwaszkiewicza, który sprawował to stanowisko aż do śmierci, czyli ponad dwadzieścia lat, uzyskując przy kolejnych wyborach duże poparcie mimo krytycznych opinii, jakich mu nie szczędzono w środowisku literackim. A było to dwudziestolecie trudne, burzliwe, niespokojne, obfitujące w konflikty polityczne, wobec których pisarze nie pozostawali obojętni i mieli różne pretensje do prezesa swego Związku. Był wybierany na prezesa także głosami swych adwersarzy w tych trudnych, burzliwych, niespokojnych politycznie czasach, wśród różnych politycznych aktywności pisarzy, krytkowany przez nich, zgłaszających do niego różne pretensje. Wybierany dlatego, że umiał rozmawiać zarówno z politykami i bronić przed nimi praw literatury i jej twórców.

Nie podpisał *Listu 34*. Odcinał się od niego, ale czuł się zobligowany do obrony pisarzy. Był stanowczo przeciwny wobec sankcji, które dotknęły lub mogły dotknąć jego sygnatariuszy. Na wieść o tym, że sankcje zostały

31 Cytat według książki Romaniuka

32 J.w., s. 333.

33 Por. Michał Głowiński, *Poezja i rytuał*. Wiersze na sześćdziesiąte urodziny Bolesława Bieruta, „*Teksty Drugie*” 1991, nr 6 (12).

34 Jarosław Iwaszkiewicz Teresa Jeleńska Konstanty A. Jeleński, *Korespondencja...* jw., s. 50.

35 Czesław Miłosz Jarosław Iwaszkiewicz, *Portret podwójny. Wykonany z listów, wierszy, zapisków intymnych, wywiadów i publikacji*. Wybór tekstów, ich układ i redakcja Barbara Toruńczyk, opracował i przypisami opatrzył Robert Papieski, „*Zeszyty Literackie*” 2017, s. 267.

29 Jarosław Iwaszkiewicz Teresa Jeleńska Konstanty A. Jeleński, *Korespondencja*. Opracował i przypisami opatrzył Radosław Romaniuk. Warszawa 2008, s. 105.

30 J. Iwaszkiewicz, *Marginalia*. Warszawa 1993, s. 35.

jednak zastosowane, listem z 29 marca 1964 roku zwrócił się do ministra Galińskiego:

„Obiecano mi w najwyższym miejscu, że nie będą wyciągane żadne konsekwencje z idiotycznego kroku poważnych bądź co bądź ludzi. Rozmawiałem w tej sprawie, co prawda tylko z Kraśką, on obiecał mi przekazać to dalej i podzielał moje zdanie. Tymczasem (wina to jednak plotek) konsekwencje wyciągnięto i szesnastu pisarzom zabroniono prawa druku. Oczywiście nie może mnie to pozostawiać obojętnym. Jako prezes związku pisarzy muszę zaprotestować przeciwko takim zarządzeniom, mimo wszystkie racje. [...] Chciałem więc uprzedzić Drogiego Ministra, że trzeba się będzie liczyć z moim ustąpieniem ze stanowiska przewodniczącego Zarządu Głównego ZLP”.³⁶

W notatkach sporządzanych w Rzymie w kwietniu 1964 komentował reakcję prasy zagranicznej na *List 34*: „Z głupiej sprawy tego listu do Cyrankiewicza zrobiono tutaj potworna hecę, jeden »Monde« jak zwykle spokojny i ze znakami zapytania, oczywiście reklama dla literatury polskiej olbrzymia, i już się stali bohaterami. Tymczasem piszą mi z kraju, że podwinęli ogony jak psi i wycofują się, a co szkody narobili, to narobili”.³⁷

Wkrótce po powrocie z Rzymu spotkał się, wraz z członkami Prezydium Zarządu Głównego ZLP z Władysławem Gomułką. W rozmowie z nim dystansował się krytycznie do inicjatorów *Listu 34*, lecz zabiegał o to, by nie były wyciągane w stosunku do nich jakiegokolwiek sankcje.³⁸

Swoją szczególną sytuację w świecie kultury i polityki, wypracowaną przez własne postępowanie, wykorzystywał w upominaniu się o prawa Związku Literatów Polskich i w obronie poszczególnych pisarzy. Nie podpisywał zbiorowych protestów, ale reagował na przypadki indywidualne i tu odnosił skutki pozytywne. Publikowanie swych utworów w „drugiego obiegu” wydawniczym, poza państwową cenzurą było mu obce. Strzegł swoich możliwości oddziaływania, które korzystnie skutkowały zarówno dla Związku Literatów jak i dla indywidualnych twórców.

Musiał więc być Iwaszkiewicz źle postrzegany z różnych stron. Był to czas narastania ruchu dysydenckiego, powstania i działalności KOR-u. W opinii części środowiska literackiego, tego, które szczególnie krytycznie odnosiło się do władzy politycznej, Iwaszkiewicz uchodził za konformistę.

Zwierzał się Mieczysławowi Grydzewskiemu: „Ja czuję się jako tako, choć ludzie starają się mnie utopić w łyżce wody. Alła jakoś się tam nie mieszcze, nawet popisują sobie od czasu do czasu”.³⁹

I Konstantemu Jeleńskiemu: „Bardzo mi smutno, kiedy mnie bierzecie za ignoranta i świnię, a ja się konsyderuję nie jako prezes, ale jako »opiekun« wszystkich polskich pisarzy – i tych na emigracji. Właśnie wczoraj mówiłem o nich na bardzo wysokim szczeblu”.⁴⁰

I zapis w *Dziennikach*: „Zazdroszczę Leszkowi [Kotakowskiemu], Miłoszowi, że odgrywają te swoje role jak

trzeba, ale wydaje mi się, że to, co ja gram, to trudniejsza partia. Oni wybrali swój los bez cierpienia, ich cierpienie jest nawet wygodne, tęsknota do kraju, do z lekka pogardzanego kraju, i byt w tym słonecznym raju wolności i słowa, ach, to naprawdę zbyt łatwo. Ale nie mówmy tak, mają oni i swoje kolce. Ja taki okropny, samotny, odepchnięty, spełniający, co uważam za słuszne i przez nikogo nie rozumiany – może to i dobrze, może to i tak trzeba. Nikt o mnie nie pisze w »Corriere Della Sera«, a to, co piszą w »Literaturze«, wzywa o pomstę do nieba. Dotychczas nie było recenzji z moich ostatnich książek, tak jakby ich nie było”.⁴¹

Dzięki swej pozycji i autorytetowi Iwaszkiewicz rozciągał skuteczną opiekę nad Związkiem Literatów Polskich, nad prowadzoną przez siebie „Twórczością”, nad młodymi autorami, nad tymi kolegami po piórze, których dotknęły sankcje cenzuralnego zapisu. Nie mógł dokonać wszystkiego w tym względzie, ale jego interwencje u władz często przynosiły pomyślny skutek. W środowisku literackim natomiast zamiast uznania, śladów wdzięczności, spotykały go złośliwe komentarze na temat jego politycznej kompromisowości. Miał poczucie niesprawiedliwości w odnoszeniu się do niego polskiego świata literackiego. Temu poczuciu nie dawał bezpośredniego wyrazu. Ale że było mu nieobce, dowodzi taki zapis w *Dziennikach*: „Okropnie pokochałem małego Tropka. Hania pyta się, co ty widzisz w tym psie? Jak to co? Pokochał mnie i będzie kochał do końca mojego, czy swojego życia, nie będzie się żenił ani rozwodził, nie będzie naciągał mnie na pieniądze, nie będzie pisał książek i szukał protekcji, nie obszczeka mnie wśród innych piesków, nie będzie miał ambicji, które przerosną jego uczucia, a najwyżej będzie się napierał na kawałek sera. Czyż to nie najlepszy przyjaciel”.⁴²

A spotkania z przedstawicielami władz politycznych podejmowane przez Iwaszkiewicza w imię dobra środowiska literackiego, nie należały do przyjemności:

„W zeszły piątek wezwał mnie do siebie Aleksander Zawadzki [...] Zadał parę pytań dotyczących środowiska literackiego, z których wynikało, że o tych sprawach nie ma najmniejszego pojęcia. Trudno mu było wszystko wyłożyć. Ze wszystkiego, co mówił i o co pytał, wynikało, że jest to człowiek bardzo ograniczony i, jak oni wszyscy, pozbawiony ludzkich uczuć, humoru i sceptycyzmu. Takie straszne serio – a potem jak przyjdzie Poznań, to zaskoczenie. Ma się wrażenie: kompletny brak kontaktu za społeczeństwem [...]. Rozmowa prowadzona w przepięknym wnętrzu belwederskim (urządzono mu teraz pokoje na piętrze – prześliczne) podzielała na mnie przygnębiająco. Nie mogę się otrząsnąć z przygnębiającego wywołanego tymi rozmowami – z Kraśką, z Zawadzkim. Ta potworna oschłość, nieludzkość działaczy politycznych. Nawet gracz w szachy czulszy jest dla swoich pionków”.⁴³

Iwaszkiewicz również prześladowała cenzura, często towarzyszyły mu negatywne opinie krytyków literackich. Był czas, w który miał trudności z publikowaniem swoich nowych utworów i wznawianiem dawniejszych. Romaniuk to skrupulatnie prześledził. Można jeszcze tu to i owo dorzucić.

36 Mieczysław Wojtczak, *Wielka i mała litera. Literatura i polityka w pierwszym ćwierćwieczu PRL*, Warszawa 2014, s. 700-701.

37 *Dzienniki 1964-1980...* jw., s. 54.

38 Zob. Notatka z przebiegu rozmowy I Sekretarza KC Tow. Władysława Gomułki z Prezydium Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, „Zeszyty Historyczne”, Paryż 2005, zeszyt 153.

39 Mieczysław Grydzewski *Listy 1922-1967*. Jarosław Iwaszkiewicz, opracowała Małgorzata Bojanowska, Warszawa 1997, s. 165.

40 Jarosław Iwaszkiewicz Teresa Jeleńska Konstanty A. Jeleński, *Korespondencja*, j.w., s. 209.

41 Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1964-1980*, opracowanie i przypisy Agnieszka i Robert Papiescy Radosław Romaniuk, wstępem opatrzył Andrzej Gronczewski, Warszawa 2011, s. 303. Zapis datowany: Siena, 8 kwietnia 1972.

42 Tamże, s. 105.

43 Jarosław Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1956-1963*, jw., s. 566.

Zasadniczą zmianę w twórczości Iwaszkiewicza w stosunku do tego, jaką ją czytelnicy znali z lat międzywojennych uchwycił od razu doświadczony krytyk literacki Karol Ludwik Zawodziński zamieszczający przegląd ukazujących się zjawisk literackich w poznańskim „Życiu Literackim” w 1946 roku. Zareagował trafnie na *Starą cegielnię* Iwaszkiewicza. Na te jej cechy, które okazały się nowe w powojennej twórczości pisarza: elementy realnej rzeczywistości, nasycenie tła realiami, dzieło realizmu, „fikcja prawdziwsza od zanotowanej przypadkowo prawdy”.⁴⁴

Opinia ta kontrastuje z ocenami, które niebawem się pojawiają, opartymi na nieporozumieniu i na uprzedzaniu życzeń ówczesnych polityków kultury. Zacznie się stawiać Iwaszkiewiczowi zarzuty estetyzmu, oderwania się od rzeczywistości, podczas gdy pisarz szczególnie uważnie reagował na problemy zwykłych ludzi, był im bliski, miał ich na uwadze, w świadomości pisarskiej – poczynając od *Starej cegielni*, przez *Ciemne ścieżki*, *Warkocz jesieni*, *Jutro żniwa* – do *Wzlotu*, któremu warto poświęcić oddzielny szkic.

Dużo o tym mówi też ten fragment wiersz *Do NN* [Do Czesława Miłosza]:

Zazdroszczę Ci, że słowem jak ostrym
skalpelem
Dotykasz delikatnie schorzeń i ropieni,
Wskazujesz złą przyczynę i dobrego cele,
I tak zżęcznie unikasz walki i cierpienia!
[...]

Ty mi zazdrościsz, że w tramwaju ludnym
Z robotnikami i babami gwarzę,
Oni klną setnie i mówią, że trudno,
Ja potakuje – lecz my gospodarze!⁴⁵

Z jednej strony otrzymywał Iwaszkiewicz nagrody „Odrodzenia” za *Nowele włoskie* i *Nową miłość*, a z drugiej znaleźli się krytycy, wyprzedzający zjazd literatów w styczniu 1949 roku w Szczecinie, co zarzucali mu szlacheckie pochodzenie, oderwanie od rzeczywistości, apolityczność, odwrócenie się od spraw społecznych, co było jaskrawą nieprawdą.

Ody olimpijskie, opublikowane w 1948 roku, nagrodzone na XIV Olimpiadzie w Londynie, w kraju spotkały się z taką opinią cenzora: „Całość utworu tchnie charakterystycznym pacyfizmem [...]. Wysoki poziom artystyczny, jednakże idea liberalnego humanizmu i pacyfizmu, głoszona przez Iwaszkiewicza, ma obecnie nieprzyjemny wydźwięk”.⁴⁶

Był też Iwaszkiewicz atakowany przez czynniki kościelne, za „szarganie świętości”. Za film na podstawie opowiadania *Matka Joanna od Aniołów* sekretarz generalny Konferencji Episkopatu groził pisarzowi procesem w obronie uczuć religijnych.

Nie jest prawdą, co Konstanty Jeleński pisał do Czesława Miłosza, że „Iwaszkiewicz może pisać zawsze”.⁴⁷ Te słowa informują, jak w kręgu emigracyjnych pisarzy wyobrażano sobie sytuację Iwaszkiewicza i jak, zależnie od tego postrzegania, go oceniano.

Miał kłopoty z opublikowaniem szczególnie mu bliskiego, bardzo ważnego dla niego i wywołującego duże zainteresowanie w kraju i za granicą opowiadania *Wzlot*. Nie mógł go zamieścić w swych *Dzielałach* wydanych w latach 1958-59. Pisał w tej sprawie poruszający list do Wincentego Kraśki.⁴⁸ *Wzlot* ukazał się w V tomie *Opowiadań* Iwaszkiewicza, w edycji jego *Dzieł*, w 1980 roku, już po śmierci autora.

Jerzy Giedroyc w liście do Czesława Miłosza cytuje list od Danilewiczowej: „Pytałam [Iwaszkiewicza] o *Wzlot*, czemu nie wszedł do edycji książkowej – okazuje się, że cenzura istotnie zatrzymała. Był moment, gdy zanosilo się na wydanie *Wzlotu* po rosyjsku w przekładzie córki marszałka Koniewa. Szanse podobno są większe niż w Warszawie”.⁴⁹

„Inność życia” Jarosława Iwaszkiewicza tkwiła również w jego podróżach, w ich przeżywaniu, w funkcji, jaką pełniły względem jego biografii i twórczości. Swobodną wyobraźnią i trwałą pamięcią obejmował rozległe przestrzenie od Ukrainy po Patagonię; piękno Włoch, Sycylii i polskich miast i miasteczek. Psychiczne i estetyczne przeżycia wyniesione z podróży wzmacniały jego poczucie wolności i niezależności. Pozwalały na właściwy dystans do polskich zaściankowych sporów i problemów nierzadko niszczących ludzkie osobowości. Umacniały poczucie, że poza przywiązaniem do ojczystego kraju jest się również pełnoprawnym obywatelem Europy i świata. Wyjazdy na międzynarodowe kongresy umożliwiały utrzymanie kontaktu z europejską myślą literacką w czasie, gdy „żelazna kurtyna” nie dopuszczała do Polski światowych i europejskich inspiracji filozoficznych, artystycznych, literackich. Podróże działały terapeutycznie na życie psychiczne pisarza. Oczyszczają z trujących osadów pozostawianych przez literackie swary, środowiskowe awantury, złe emocje, nieuzasadnione pretensje, ograniczone horyzonty adwersarzy.

Wiele utworów Iwaszkiewicza powstawało lub dobiegało szczęśliwego zakończenia podczas podróży umożliwiających ucieczkę, oderwanie się od krajowego zgiełku, zwrócenie się ku innym perspektywom. Śladem tego – podpisy pod opowiadaniem: Palermo – Roma (opowiadanie *Psyche*), Taormina (opowiadanie *Zarudzie*), Mediolan (*Opowiadanie z psem*) i często: Roma (*Mefisto-Walc*, *Czwarta symfonia*, *Martwa pasieka*, *Heydenreich*, *Kochankowie z Marony*, *Cienie*).

„Inne życie”, to również homoseksualne, a ściślej mówiąc – biseksualne zainteresowania Iwaszkiewicza. Nie były one wprawdzie nie odkrytą tajemnicą, ale nie pisano o nich z pełną otwartością. Towarzyszyły im niedomówienia, aluzje, enigmatyczność. Czytelnikowi pozostawiano prawo do domysłów i stawiania przysłówiowej kropki nad „i”. W ostatnich latach powstały okoliczności, które pozwoliły Romaniukowi podjąć tę problematykę zarówno z całą otwartością, jak i z właściwą wrażliwością, delikatnością i kulturą. Złożyły się na to zmiany w publicznym myśleniu i mówieniu o homoseksualizmie, który długo był tabu omijanym niedopowiedzeniami. Zróznicowanie ludzi ze względu na zainteresowania seksualne coraz powszechniej przyjmowane jest za zjawisko naturalne, a przejawy jakiegokolwiek dyskryminacji z tego powodu za naganne. Ogólny klimat wokół homo-

44 Karol Wiktor Zawodziński, *Rzut oka na literaturę polską 1945 roku*, tekst przejrzał, przypisał i bibliografią opatrzył Andrzej Lam, Warszawa 1947, s. 35.

45 J. Iwaszkiewicz, *Jutro żniwa*, Warszawa 1963, s. 7-8.

46 Zob. Mieczysław Wojtczak, *Wielką i mniejszą literą. Literatura i polityka w pierwszym ćwierćwieczu PRL*, Warszawa 2014, s. 207.

47 Czesław Miłosz Konstanty A. Jeleński, *Korespondencja. Z faksymilami listów i wierszy oraz fotografiami oraz fotografiami zamieszczonymi w książce*. 2011.

48 Zob. tamże, s. 830.

49 Jerzy Giedroyc, Czesław Miłosz, *Listy 1952-1963*, opracował i wstępem opatrzył Marek Kornat, Warszawa 2008, s. 587.

seksualizmu sprzyja mówieniu o nim w sposób otwarty, swobodny. Bez istniejących jeszcze do niedawna ograniczeń.

Drugą okolicznością, która pozwoliła Romaniukowi na opowieść o tej również stronie „innego życia” Iwaszkiewicza, było opublikowanie po śmierci pisarza jego *Dzienników* oraz dotychczas nieznanych utworów, między innymi cyklu lirycznych wierszy *Droga poświęconych Jerzemu Błeszyńskiemu*⁵⁰.

Iwaszkiewicza przeżycia homoerotyczne ulegają sublimacji, wrażliwości w doznawaniu przeżyć nie tylko seksualnych; stają się częścią bogatego świata przeżyć duchowych. Zmuszają do potraktowania ich – co czyni Romaniuk – nie tylko z uwagą, ale i z największą powagą i wrażliwością. Nie ograniczają się do rozkoszy ciała. Sięgają głęboko w związek duchowy połączony z wiernością aż do śmiertelnej choroby kochanka. Homoseksualizm Iwaszkiewicza nie działa niszcząco na najbliższe otoczenie. Nie przysparza cierpień. Jest wolny od seksualnej dosłowności. Łączy się z duchowym pięknem, delikatnością, czułością, ze szlachetnym wzruszeniem. Eros bierze tu górę nad seksem.

W ostatnich kilku latach daje się zaobserwować szczególne zainteresowanie biografiami pisarzy, którym ustępują prace poświęcone analizie i interpretacji ich twórczości. Jest ona raczej dodatkowym źródłem biografii. Warto przypomnieć najważniejsze: Andrzeja Franaszka *Miłosz. Biografia* (2011), Anny Synoradzkiej-Demeter *Jerzy Andrzejewski. Przyczynek do biografii prywatnej* (2016), Klementyny Suchanow *Gombrowicz ja, geniusz* (2017), Andrzeja Franaszka *Herbert. Biografia* (2018). No i właśnie Radosław Romaniuka *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza* (tom I 2012, t. II 2017). W paru z nich wprowadzona jest analiza przeżyć homoseksualnych ich bohatera, co pozwala na interesujące zabiegi porównawcze. Na przykład na porównanie homoseksualizm Iwaszkiewicza z homoseksualizmem Andrzejewskiego.

O pierwszym z nich nieco już się powiedziało. Drugi – w oparciu o korespondencję i wyznania pisarza utrwalone w zapiskach, notatkach, dzienniku obszernie opisuje, czyniąc z niego główny wątek książki Anna Synoradzka-Demadre.⁵¹

W przeciwieństwie do subtelności, sublimacji, pośredniości Iwaszkiewicza, w świetle zwierzeń Jerzego Andrzejewskiego homoseksualizm to seksualność niekiedy wręcz prymitywna, odpychająca, antyestetyczna. Pozbawiona aury głębszej i szlachetniejszej wzruszeniowości. Popędowi seksualnemu zaspokajalnemu niekiedy w niewybrednych okolicznościach towarzyszy bezwzględny egoizm nie liczący się z cierpieniami i niedolą najbliższego otoczenia. Sprowadzony do zaspokojenia potrzeby fizjologicznej działa niszcząco zarówno na samego pisarza, jak i na krąg bliskich mu osób.

Dzieło Radosława Romaniuka sprawia satysfakcję wszystkim tym, którzy nie ulegali uproszczonym, podyktowanym chwilowym emocjom politycznym, przewartościom dorobku pisarza, jakie dochodziły do głosu po zaraz po roku 1989, kiedy to odbierano wszelką wartość literaturze powstałej w latach Polskiej Rzeczpospo-

litej Ludowej. Jego książka przywraca Iwaszkiewiczowi należne mu, wysokie miejsce w życiu literackim tych lat. Dowodzi, że mija czas w którym oceny o dziełach i życiu twórców literatury ulegały doraźnym działaniom politycznym. Dziś pozostaje tylko przykre o nich wspomnienie.

Przedstawiona przez Romaniuka sylwetka Iwaszkiewicza pokazuje szczególny styl funkcjonowania wybitnych twórców w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Byli oni wprawdzie ograniczani porządkiem politycznym panującym wówczas, ale dzięki osobistym walorom, wielością twórczości, uzyskanemu autorytetowi i obywatelskiemu zaangażowaniu umieli zapewnić sobie i reprezentowanej przez nich wspólnotie niemały zakres wolności; strzec jej, a także poszerzać jej granice. To dzięki takim twórcom i politykom rozumiejącym konieczność respektowania ich praw, twórczość artystyczna okresu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej fascynowała, przyciągała naszych wschodnich, zachodnich i południowych sąsiadów, i liczyła się w świecie.

Biografia Jarosława Iwaszkiewicza pokazuje również cenę, jaką przychodzi płacić za taką rolę i pozycję. Przez całe życie, a także po śmierci towarzyszyło mu niezrozumienie i szyderstwo, jakich mu nie szczędzili literaci. Oto jedno z wielu tego świadectw, z listu Miłosza do Jeleńskiego: „Doszły mnie wieści, że [Iwaszkiewicz] czuje się zaszczuty, w Warszawie ostatnia moda to nie zostawiać na nim suchej nitki i to dopadło go równocześnie ze starością”.⁵² Równocześnie ci zaszczuwający go literaci wielokrotnie, przez dwadzieścia parę lat, dobrowolnie, przez nikogo nie przymuszani wybierali go na prezesa Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich. Czynili to we własnym interesie; wiedzieli, kto jest zawsze lojalnym i często skutecznym rzecznikiem ich spraw wobec władz.

Radosław Romaniuk w swym dobrze udokumentowanym i napisanym z talentem dziele ujął życie Jarosława Iwaszkiewicza w różnej jego (by powtórzyć słowa obecne w tytule książki a zaczerpnięte z przedwojennego wiersza pisarza) „inności”. Iwaszkiewicz nie widział powodu, by – jak to uczynili jego przyjaciele z kręgu Skamandra – nie włączyć się w dzieło odbudowy powojennej Polski. Po różniących go od nich doświadczeniach okupacyjnych bliskie mu były sprawy obywateli polskiego państwa, toteż w odróżnieniu od pisarzy pozostających na emigracji za uzasadnione i słuszne uznał wprowadzane po 1945 roku w Polsce reformy społeczne. Popierając z pełnym przekonaniem i zadowoleniem „październikowy” ferment w 1956 roku, nie przyłączał się do ogólnego chóru, gdyż słyszał w nim również tony fałszywe. Nie aprobował decyzji i postępowania autorów *Listu 34*, ale bronił jego sygnatariuszy przed grożącymi im sankcjami, chociaż wśród nich znajdowali się zagorzali przeciwnicy jego postępowania. Chronił swej osobności i niezależności w latach działania KOR-u, „Solidarności”, publikowania w „drugiego obiegu” i ruchu dysydenckiego. Krytyczny wobec posunięć władz politycznych i stylu myślenia polityków zajmujących się kulturą, nie zrywał z nimi kontaktu, skłonny do zawierania uzasadnionych kompromisów dla dobra literatury polskiej, kultury, jej twórców i własnej wolności twórczej.

MARIAN STĘPIEŃ

50 Zob. Jarosław Iwaszkiewicz, *Sprawy osobiste i inne wiersze rozproszone*, wybór i opracowanie Piotr Mitzner, Warszawa 2010.

51 Zob. A. Synoradzka-Demadre, Jerzy Andrzejewski. Przyczynek do biografii prywatnej, Warszawa 2016.

52 Czesław Miłosz, Konstanty Jeleński, *Korespondencja...* jw., s. 132.

STANISŁAW BURKOT

OPĘTANY TEATREM.

O JERZYM JAROCKIM

Książka Elżbiety Koniecznej *Jerzy Jarocki. Biografia* (Znak 2018, s. 474 + 5 nlb.) przedstawia wybitnego reżysera, twórcę osobnego, rozpoznawalnego teatru, stylu kreacji widowiska i pracy z aktorami. Związany był z Gliwicami, Katowicami, Krakowem, Wrocławiem, Warszawą. Realizował swoje przedstawienia także w Gdańsku, Rzeszowie i Tarnowie. Bo był opętany teatrem, stanowił on zasadniczą treść jego życia. Doliczyć trzeba inscenizacje w teatrach zagranicznych.

Książka jest lekturą ciekawą, choć wykraczającą poza metody znane w teatrologii. Może raczej ma Jan Michalik, znawca dziejów teatru, który wolałby mówić o teatrografii niż o teatrologii ze względu na sposób istnienia przedmiotu poznania (Jan Michalik, *Tadeusz Pawlikowski: legenda, człowiek, teatr*, Kraków 2015). Spektakl teatralny jest rezultatem wielu różnorodnych prac, a istnieje krótko w czasie prezentacji przed publicznością. W epoce powszechnej elektroniki wszystko jeszcze bardziej się skomplikowało: kto jest autorem tekstu, twórcą przedstawienia, jego nadawcą, jak istnieje kod przekazu, kim jest i jaka jest „publiczność”? Przedmiotem opisu w książce jest reżyser Jarocki i jego teatr, są konkretne inscenizacje. Ta „teatrografia” zależy w znacznym stopniu od dziennikarskich umiejętności autorki. W latach 1970-1990 była związana z Radiem Kraków; zajmowała się kulturą, sztuką, literaturą, teatrem. Recenzowała ważne przedstawienia teatralne w Krakowie, także, choć już rzadziej, w innych miastach. Jej *Flirt z Melpomeną*, by posłużyć się tytułem tomu felietonów teatralnych Boya Żeleńskiego, miał swój odrębny ton, krytyczny, niekiedy ostry, jednak zwykle dobrze uzasadniony.

Na początku rozważań do zalet książki zaliczyć trzeba pełne bibliograficzne zestawienie wszystkich spektakli reżyserowanych w latach 1957-2009 przez Jerzego Jarockiego; było ich ponad 120, chyba niewielu reżyserów może mu sprostać. Bibliografia przynosi ważne informacje o twórcach współpracujących z Jarockim, bo spektakl teatralny jest zwykle dziełem zbiorowym twórców skupionych wokół reżysera – aktorów, choreografów, scenografów, muzyków. Wokół Jarockiego współtworzyli zwykle najwybitniejsi. Nie odmawiali mu aktorzy, choć miał dla nich ciężką rękę, współpracowali scenografowie: Krystyna Zachwatowicz, Wojciech Krakowski, Józef Szajna, Lidia Minticz i Jerzy Skarżyński, Kazimierz Wiśniak, Jerzy Juk-Kowarski, Zofia de Ines-Lewczuk, Urszula Gogulska i inni. Z muzyków przywołać trzeba Krzysztofa Pendereckiego, Henryka Góreckiego, Wojciecha Kilara, Paula Bur-

kharda, Jerzego Kaszyckiego, a przez wiele lat – niejako stale – Stanisława Radwana. Walory informacyjne zapisów bibliograficznych są nie do przecenienia, jest w nich Jarocki-twórca, człowiek owładnięty niezwykłą pasją podporządkowującą wszystko pracy dla teatru.

Doświadczenie „radiowca” daje znać o sobie w książce Elżbiety Koniecznej w odejściu jej narracji od naturalnego porządku biografii, od chronologii, „biegu życia”. Kłopoty są ze znaczącym podtytułem *Biografia*; czy można opowiedzieć życie artysty, autora ponad 120 przedstawień wymienionych w bibliografii, za pomocą wywiadów radiowych z aktorami lub zbiorów ich tekstów napisanych dla potrzeb książki, wmontowanych w narrację własną autorki? A teksty te są liczne i obszernie, zwłaszcza w części VI (*Czy Jerzy Jarocki miał kłopoty z Jerzym Jarockim*) i VII (*Ostatnie dziesięciolecie*). W częściach tych zanika opis pracy Jarockiego-reżysera, na plan pierwszy wysuwają się życie prywatne i opinie aktorów lub współtwórców o jego charakterze. Są to czasem jednostronne ujęcia domorosłych psychologów, relikt plotki teatralnej. Wywiady nie dają dobrego materiału dla rzetelnej biografii, bo przynoszą jednostronny obraz nie tylko twórcy, lecz także, a może przede wszystkim wykonawców określonych zadań. Powtarza się w nich nieodmiennie, że był dokuczliwym rygorystą, że w nieskończoność powtarzał próby poszczególnych ujęć i scen, że piętrzył aż do granic sadyzmu fizyczny wysiłek aktorów. Ale wszyscy go kochali, domyślali się, że wewnętrznie był nieśmiały i dobry... Niektóre kobiety w każdym jego życzliwym geście domyślały się dodatkowych skłonności. Jeśli miał romanse, to zawsze był wyjątkowo dyskretny. Itd., itd... Jeśli miłość, to podszyta obawą, niekiedy na pograniczu paniki. Tylko niektóre z przytoczonych wywiadów, jak chociażby obszerny tekst Jerzego Stuhra, Jerzego Treli czy Stanisława Radwana wnoszą nowe informacje do stereotypowego ujęcia.

Rzecz w tym, że aktorzy w granej sztuce nie widzą całości, wykonują swoje zadania, a całość składają: reżyser, scenograf i czasem muzyk. Ale decyzje ostateczne należą zawsze do reżysera. Co mógł powiedzieć Marek Walczewski o *Szewcach*, jeśli za sprawą reżysera i scenografki, Krystyny Zachwatowicz, grał na czworakach, miał na szyi obrozę z doczepioną do liny smyczą, mieszkał w psiej budzie, przed którą stał wielki radziecki telewizor (z tych, które od czasu do czasu paliły się i wybuchały). We wspomnieniach aktorów zapisała się sprawa szewskiego młotka; Jarocki chciał, aby

młotek obracał się na palcu Bińczyckiego jak teatralna laseczka birbanta, ale punkt ciężkości nie mieścił się w trzonku, lecz w części metalowej młotka. Zadanie zmusiło reżysera do ćwiczeń domowych, a Bińczyckiego do sprytnego rozwiązania technicznego z gwoździem wbitym w trzonek.

Tyle z teatralnej anegdoty. To zadanie było jednak finalną częścią dłuższej sceny – rytmicznej kantaty na trzy młotki szewskie. Świadczenie aktorów jest zawsze cząstkowe: pamiętają swoje kłopoty z wykonaniem zadania i ze zrozumieniem poleceń reżysera. Ani Walczewski, ani Bińczycki nie mogli widzieć całej wielkości tego przedstawienia. Bo było to jedno z najważniejszych dokonań Jerzego Jarockiego.

Inny jeszcze przykład: w *Mniszkach* Eluardo Maneta Zelnika, po jego przeniesieniu się do Warszawy, zastąpił Leszek Piskorz. W książce wspomnieniowej *Złote lata. Mój Stary Teatr 1970-2013* (2018) przedstawia problemy z wykonaniem swojego zadania. Fabuła dramatu to historia buntu na Kubie w XVIII wieku. „Bandyci” napadali na klasztory. Scena przedstawiała rusztowania z pozbijanych, trzeszczących desek, po których, jak małpy, skakali aktorzy w długiej bijatyce, wśród nich Wiktor Sadecki o wyróżniającej się posturze i poważnym już wieku. Zamordowano jedną z mniszek, trupa ukryto na wysokiej półce. Grał go Leszek Piskorz. Miał spaść z tej półki ze sporej wysokości. Jarocki w próbach kilkakrotnie poprawiał jego wykonanie, a Piskorz spadał, był mumią owiniętą bandażami. Aby rzecz stała się wiarygodna, mumię polano jakimś płynem wywołującym niewyobrażalny odór. Piskorz spadł na deski, ale przejęty zadaniem nie zauważył zapachu... Jarocki budował „teatr totalny”: publiczność winna odbierać przedstawienie przy pomocy wszystkich zmysłów, nie tylko wzroku i słuchu, lecz także powonienia i smaku. Trzeba było zrobić przerwę i przewietrzyć salę; widzów wypuszczono na małe podwórze w gmachu ze Sceną Kameralną, gdzie stały stoły z kawą – mogli posmakować przedstawienia...

Książkę Elżbiety Koniecznej otwiera jako *préface* czy rodzaj motta opis pracy Jarockiego ze studentami w krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. To była sztuka Eugène Ionesco *Gra w zabijaniego*. Na scenie na wysokim słupie (ok. 2,5 metra) było podium, gdzie młodzi ludzie raczej bawili się, niż walczyli. W pewnym momencie dopadła ich zaraza, każdy umierał inaczej: jeden na dole na deskach koło słupa, inny zsuwał się po drabinie, kolejny zawisł na poręczy głową w dół, ostatni miał spaść bezwładnie z podestu na podłogę. Student przerażony wysokością odmówił. Pracowałem wówczas w szkole teatralnej. Studenci zaprosili mnie na tę próbę (jako świadka?). Dokonuję drobnej korekty do opisu Koniecznej: Jarocki, zawsze konkretny, nie od razu podszedł do drabiny; zdjął swoją modną skórzaną marynarkę, powiesił na oparciu krzesła i w swetrze wyszedł na podium... Nie zdzierzyłem, zamknąłem oczy. Usłyszałem tylko trzask desek po upadku... Ile z tego zostało w pamięci aktorów? Odmowa i gest profesora? Ale rzecz wymaga jednak zasadniczego dopowiedzenia. Słup i podium mogły być strażnicą więzienną albo wieżą ratownika na plaży nadmorskiej. Jest rok 1971, czas krwawych wydarzeń na Wybrzeżu. Rada Wydziału Aktorskiego przyjęła warsztat dyplomowy (warunek ukończenia studiów), rektor Eugeniusz Fulde skomentował krótko różnorodność sposobów umie-

rania: „Brakło tylko maszynki do mięsa”... Ale cenzura nie dopuściła przedstawienia do publicznej prezentacji.

Kolejny przypadek aktorskich kłopotów z wykonaniem zadań jest inny: w scenografii *Snu o Bezgrzesznej. Rzecz dla teatru w dwóch częściach* publiczność podzielono na dwie osobne grupy, jedną przeniesiono na scenę. Do obu podchodzili aktorzy na „bezpośrednią” rozmowę. Tekst w oparciu po części o utwory Stefana Żeromskiego, po części o kolażowe zestawienie dokumentów z epoki, opracowany przez Jerzego Jarockiego i Józefa Opalskiego, był miejscami banalny, sentymentalny i „martyrologiczny”. Do grupy podeszli aktorzy na „bezpośrednią rozmowę”, wśród nich X, mój były uczeń, zaczął opowiadać o kłopotach Polaków na Kresach w XIX wieku: „Nie znali języka...”. To nie była prawda, bo prawie wiek niewoli, działania rusyfikacyjne władz, sybirskie zsyłki (dla skazanych wydawano nawet po rosyjsku stosowne przewodniki), upowszechniły język rosyjski wśród Polaków. Jeśli rozmowa to rozmowa, zapytałem więc: „Pan zapewne teraz dobrze zna język rosyjski?” Chodziło o współczesne postępy rusyfikacji. Aktor zaniemówił. Otrzymałem z mojego występu, jak mi później przekazano, dobrą recenzję od tego aktora: „A ten sukinsyn zapytał mnie o znajomość języka... i wszystkiego zapomniałem”. Likwidacja granicy między widownią a sceną, jedna z obsesji Jarockiego wyniesionych z teatru Meyrholda, z rosyjskiego konstrukttywizmu, dawała znać o sobie w wielu teatralnych gestach Jarockiego: w *Szewcach* robotnicy teatralni dają widzowi do potrzymania linę, do której później dopięta będzie smycz z Markiem Walczewskim. I widz trzymał tę linę przez całe przedstawienie. To szczegół nie zapamiętany; pamiętamy o młotku Bińczyckiego, a nie o kantacie na młotki w *Szewcach*, o wykonaniu spadania w *Grze w zabijaniego*, a nie o zarazie, która zabija wszystkich, o efekcie świetlnym, opisanym przez Elżbietę Konieczną we wrocławskiej realizacji dramatu *Stara kobieta wysiaduje* itd. W każdej realizacji scenicznej Jarockiego odnaleźć można takie aluzyjne nawiązania. Przekraczanie granicy rampy oddzielającej scenę od widowni może być kłopotliwe dla aktora, który zna ponadto tylko część inscenizacji. Opinie aktorów o Jarockim, obficie cytowane w książce, są często skrajnie subiektywne, stanowią typ autoprezentacji samych autorów, a nie przedmiotowego ujęcia. Ale jest to przypadłość nieuchronna w samym sposobie istnienia sztuki teatru.

Okres katowicki Jarockiego w Teatrze Śląskim to czas wystawiania dramatów amerykańskich, przedłużony później do Starego Teatru w Krakowie, czas Johna Osborne’a, Artura Millera, Tennessee Williamsa, Eugene O’Neille’a, Edwarda Albee. Także innych autorów z dramaturgii światowej: Françoise Sagan, Friedricha Dürrenmatta, Eduardo Maneta, Eugène Ionesco, Franza Kafki, Thomasa Stearnsa Eliota i innych. Osobne i stałe miejsce zajmują dramaty rosyjskie: Nikołaja Gogola (*Rewizor*), Antona Czechowa (*Wujaszek Wania*, *Wiśniowy sad*, *Trzy siostry*, *Płatonow*), Włodzimierza Majakowskiego (*Łaźnia*, *Pluskwa*), Izaaka Babla (*Zmierzch*).

Z przywołanego repertuaru Jarockiego wynika niezbicie, że był nastawiony na współczesność i różnił się tym wyraźnie od Konrada Swinarskiego i Andrzeja Wajdy, bliżej mu było do Erwina Axera. Sięgał, ale początkowo bez szczególnego upodobania, do współczesnej polskiej dramaturgii. Wystawił w trzy miesiące po war-

szawskiej prapremierze *Policję* Sławomira Mrożka w Katowicach, i w Gliwicach w 1960 roku z amatorami Ślub Witolda Gombrowicza. Współczesna dramaturgia polska w jego ujęciu zaczynała się od Stanisława Ignacego Witkiewicza; *Matka* (1964) i *Szewcy* (1971) to najwybitniejsze jego realizacje. Bruna Jasieńskiego *Bal manekinów*, którym debiutował (powtórzony później w 1976 roku w Czelabińsku) należał do tej samej epoki. Wnet jednak weszli i inni. Szczególnie bliskimi byli: Witold Gombrowicz, Tadeusz Różewicz i Sławomir Mrożek. Sporadycznie wystawiał także Tymoteusza Karpowicza, Jerzego Broszkiewicza, Ireneusza Iredyńskiego. Leona Kruczkowskiego, Helmuta Kajzara, Jerzego S. Siteę. Ale pozostawał przede wszystkim reżyserem Witkacego, Gombrowicza, Różewicza i Mrożka. Nie były to wybory bezkrytyczne: nigdy nie zdecydował się na wystawienie *Operetki* Gombrowicza; przypuszczać można, że nie był o tekście dobrego mniemania, pominął *Iwonę, księżniczkę Burgunda*, choć przenosił na scenę własne adaptacje jego prozy i *Dzienników* (*Błądzenie* i *Trans-Atlantyk*). Nie wystawił także *Kartoteki* Różewicza, choć zapewne z innego powodu. Jest w *Akcje przerywanym* Różewicza kąśliwe zdanie:

„Oddając jednak Witkacemu, co jest Witkacego, i Gombrowiczowi, co jest Witkacego, pragnę stwierdzić, że są to dla mnie klasycy [...] Kłaniam się tym wszystkim Wielkim i przechodzę dalej”.

Różewicz odwoływał się nie do Witkacego, lecz do jego adwersarza w teorii dramatu i teatru, do Leona Chwistka. Twierdził on, że „W dobrym dramacie poszczególne sceny powinny być zbudowane w ten sposób, żeby ich wartość estetyczna nie zależała od znajomości scen pozostałych. Pomimo to powinny tworzyć jednolitą całość” (*Wielość rzeczywistości w sztuce i inne szkice literackie*, Warszawa 1960, s.177-178). Nowe wydanie szkiców Chwistka ukazało się w czasie pracy Różewicza nad *Kartoteką* i to z koncepcji Chwistka jest niezwykła kompozycja tego dramatu. Domyślać się można, że Jarocki, rygorysta i „matematyk” w konstrukcji, nie aprobeował „braku porządku” i nie rozumiał samej zasady dramatu zmierzającego ku formom widowiska bez akcji, a nawet bez głównego bohatera.

Zetknięcie się Jarockiego z nową dramaturgią polską dokonano się za sprawą Sławomira Mrożka i jego *Policji*. Do prapremiery sztuki Mrożka (pod tytułem *Policjanci*) doszło w Teatrze Dramatycznym w Warszawie w reżyserii Jana Świderskiego w czerwcu 1958 r. Od tego momentu nie stał się jednak Mrożek „firmowym” autorem Jarockiego. Wystawił później *Tango* (1965, 2009), *Rzeźnię* (1975), *Garbusa* (1975), *Pieszo* (1981), *Portret* (1988), *Miłość na Krymie* (2007, emisja w Teatrze Telewizji, 2015). Z tego doboru widać, że nie pociągały go groteski Mrożka z kręgu teatru absurdu, bliższe mu były powiązane z refleksją psychologiczną późniejsze sztuki. „Poprawianie Mrożka” przy adaptacjach tekstu zakończyło się konfliktem i zerwaniem współpracy. Bo Jarocki nie respektował integralności dzieł dramaturgów, stale ich „poprawiał”.

Wydarzeniem szczególnym w poszukiwaniach Jarockiego, podobnie jak realizacja wcześniej w 1957 roku *Balu manekinów*, stało się – jak było wspomniane – wystawienie Ślubu Witolda Gombrowicza 6 kwietnia 1960 roku. Było to wystawienie korsarskie, bo bez zgody autora. Gliwicki Ślub wywołał pewną szczególną

koincydencję: w Gliwicach mieszkał wówczas Tadeusz Różewicz, znał tekst z krajowego wydania w 1957 roku i zapewne poznał przedstawienie w Teatrze Studentów Politechniki Gliwickiej. Przypuszczać należy, że to przedstawienie stało się impulsem do przyspieszenia pracy nad *Kartoteką* – na prawach sprzeciwu i polemiki. Wcześniejsze próby poety z dramaturgią były żałośnie nieudane. Przedstawienie okupacyjnych losów polskiego żołnierza we Francji w wersji złego snu, i gry jako głównego problemu z narzucaną sobie i innym formą, jego walka o przywrócenie dziewictwa narzeczonej i honoru dla ojca, pozostających w kraju, było dla Różewicza po części profanacją i bluźnierstwem wobec jego doświadczeń wojennych żołnierza leśnych oddziałów AK. W *Kartotece* jest znacząca scena: Bohater rozmawia ze zjawą Przyjaciela z Dzieciństwa, który utopił się w 1936 roku i nic nie wiedział o wojnie:

„PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA siada na krześle: Opowiedz, jak to było ?

BOHATER: Dużo masz czasu?

PRZYJACIEL Z DZIECIŃSTWA: Dwie, trzy minuty.

BOHATER: Wystarczy. Pamiętasz fabrykę drutu? W piątek 1 września 1939 roku rano tam spadły pierwsze bomby. Szedłem po gazetę. Jakiś chłopak krzyczał, że wybuchła wojna. Drugi kopnął go w tyłek: „nie pieprz gówniarzu”, ale za godzinę zbombardowali miasto. Nasza ulica się spaliła. Później to wszystko trwało jeszcze kilka lat. Była okupacja. W maju 45 roku wojna się skończyła. Zginęło podobno 33 miliony ludzi” (*Teatr*, t. 1 s. 113).

Tak zaczął się spór Różewicza z Jarockim o Gombrowicza, a ściślej o jego Ślub. *Kartoteka* – w pewnym sensie – powstała jako owoc tego sporu. Różewicz pracował nad *Kartoteką* w latach 1958–1959, drukiem ukazała się w „Dialogu” w 1960 roku. Ale Jarocki nie sięgnął nigdy po *Kartotekę*. W 1965 w Starym Teatrze w Krakowie wystawił *Wyszedł z domu*, w 1958 adaptował dla potrzeb teatru i wystawił w Starym Teatrze opowiadanie Różewicza *Moja córeczka*. Później w 1969 roku zrealizował w Teatrze Współczesnym we Wrocławiu dramat *Stara kobieta wysiaduje*, w 1972 *Na czworakach* w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, w 1991 *Non-Stop-Show* (teksty Różewicza, scenariusz Jarockiego, Teatr Szkolny PWST w Krakowie) i *Pułapkę* we Wrocławiu. Dramaty *Wyszedł z domu* i *Pułapka* nie należą do najwybitniejszych w dorobku Różewicza, inaczej niż *Stara kobieta wysiaduje*, dramat wielokrotnie grany w kraju i za granicą. *Na czworakach* skusił Jarockiego ze względu na pastiszowy i parodystyczny charakter w stosunku do *Operetki* i biografii Witolda Gombrowicza. Ale atak Różewicza dotyczył nie samego Gombrowicza, lecz swoistej emfazy, w jakiej omawiano wówczas jego twórczość w krytyce literackiej. Dyskusję wywołało wprowadzenie *Ferdynandów* do obowiązkowych lektur w szkole średniej. Główny bohater w *Na czworakach*, Laurenty, leży, siedzi, bawi się dziecięcą kolejką. Towarzyszy mu Dr Racapan, krytyk, który przekonuje, że „*Operetka* jest szczytowym absolutnym osiągnięciem”. Rację ma jednak Pelasia, kucharka Laurentego, która mówi gwarą, podobnie jak Władysław, lokaj hrabiego w *Operetce*.

„GŁOS PELASI: Ady panowie dejcje se już spokój z tym teatrym łapsurdu stoje tu za drzwiami stoje i dziwuje się, że takie dwa inteligenty znów próbujom odgrzewać adyc to musztarda po obiedzie stare chłopy

a nie wstydziłam się przecie na tym się już wywalił sam wielki mistrz Jonesku i nieboszczyk pan Witold też się potknął na ty swoi Łoperetce nie wyszło mu i tyle... wracajta do rzeczy wałkonie" (*Teatr*, t II s. 70).

Laurenty jest i nie jest Gombrowiczem w *Na czworakach*: analogie między Pelasią i Władysławem są pozorne, bo lokaj hrabiego prezentujący „lud” jest gamoniem, a kucharka zna się na rzeczy i podobno pisała teksty razem ze swoim gospodarzem. Takich analogii jest znacznie więcej: Albertynka ma swój odpowiednik w *Dziewczynie* w *Na czworakach*, obie wyłączone zostają z „akcji”, istnieją tylko ich ciała, przedmiot pożądania. W *Operetce* ważną rolę charakteryzującą odgrywają zwroty francuskie, w *Na czworakach* parodystycznie frazy niemieckie: „Man kann singen man kann tanzen aber nich mit den zasranzen”. Wulgaryzmy w dramacie Różewicza jako zaprzeczenie stylizacji „arystokratycznych” w *Operetce* eksponują „formę niską”. W starej komedii Arystofanesa – parodiach dramatów Sofoklesa i Eurypidesa – wulgaryzmy nie burzyły szacunku dla autorów tragedii: należały do konwencji gatunku. Ważną rolę odgrywały zwierzęta: żaby, ptaki – nie dziwiła informacja, że „Sofokles współżyje ze świnią”. Pudel-Mefisto, postać trochę z Arystofanesa, a trochę z Johanna Wolfganga Goethego, jest kusicielem, po części alfonsem *Dziewczyny*. O czym jest więc dramat Różewicza? O kondycji pisarza, który gra różne role w życiu społecznym, błądzi i „cierpi za miliony”, o pierwiastku faustycznym w samej sztuce, o zwierzęcości tkwiącej w naturze człowieka, o starości i umieraniu. „Komedia życia” artysty ma więc gorzki smak.

Gombrowicz jawia się u Różewicza raz jeszcze w *Kartotece rozrzuconej*. Dokonało się w obiegu społecznym powtórzenie szkoły profesora Pimki; teraz „wielkim artystą” jest Gombrowicz, a nie Słowacki. CHÓR STARCÓW (komisja maturalna?) kładzie na krzesło „III Miss Krotoszyna”, bije ją linijkami i paskami po pupie („upupienie”?) i wymusza zachwyty: „Pimkowie (z Krakowa i z Warszawy) chcą „karnie” wypychać młodzieży Gombrowicza...” (*Kartoteka rozrzucona*, Kraków 2000, s.106-107). Hela nie jest wiecznie młodą Albertynką, nie lubiła Gombrowicza, „nic nie wiedziała o Cezarze” – „wzięła i umarła”.

Gombrowiczowskie obsesje Różewicza nie mają podtekstu osobistego, wynikają z szerszej refleksji nad samą literaturą, nad rolą krytyki literackiej i tworzoną przez nią mitami, skalami wartości, nad teatrem. Szkolny przymus, wtykanie Gombrowicza Heli „gdzie się da” jest klęską edukacji literackiej. Jaki to ma związek z Jarockim? Reżyser oprócz adaptacji prozy w *Błądzeniu* i *Kosmosie*, wystawiał tylko *Ślub*, za to wielokrotnie: w Gliwicach (1960), fragmenty w *Aktach* (warszawskim szkolnym przedstawieniu, 1972), w Zurychu (1972), Warszawie (1974), Nowym Sadzie (1981), Berlinie Zachodnim (1990) i Krakowie (1991).

Społeczna nośność tego dramatu wyczerpywała się po 1989 roku, odczuł to bezbłędnie Jarocki i w realizacji *Trzeciego aktu według „Szewców”* (2002) powracał do Witkacego. Tak spełniała się złośliwość Różewicza: „Oddajmy, co Gombrowicza Witkacemu...” Przypomnijmy Jerzego Jarockiego z Witkacym, Gombrowiczem, Mrożkiem i Różewiczem mają jedną cechę wspólną: pisarzy traktował on obcesowo jako dostarczycieli tekstów dla reżysera i teatru, nie miał szacunku dla integralności ich dzieł. Trzeba dodać także, że przedmioto-

wo traktował scenografów i aktorów, byli „narzędziami” w kreowaniu teatralnej wizji w spektaklach.

Książka Elżbiety Koniecznej daje się zaklasyfikować do „teatrografii” i to w najprostszym klasycznym wręcz sposobie: jest reżyser, twórca licznych spektakli, on dokonuje wyboru tekstów, dyryguje inscenizacjami – pracami aktorów, scenografów, muzyków. A wszystko dla krótkiego momentu ekspresji jednego widowiska. Bo sztuka teatralna jest momentalna, jednorazowa. Kolejne powtórzenie wystawienia wymaga korekcyjnych prób. Jak to wszystko opisać, utrwalić? Bibliografia spektakli ustaliła fakty, ale nie mogła przekroczyć bariery opisu. Prawie nie istnieją w książce opisy autorskich przecież dzieł scenografów – wybitnych jak w *Szewcach*, w gliwickim Ślubie z 1960, w *Matce* z 1964 roku Krystyna Zachwatowicz; w *Tangu* (1965) Zofii Minticz i Jerzego Skarżyńskiego; w dramacie *Stara kobieta wysiaduje* we wrocławskim Teatrze Współczesnym Wojciecha Krakowskiego; w *Paternoster* Helmuta Kajzara Kazimierza Wiśniaka i innych. Dotyczy to także wymienionych już muzyków – Pendereckiego, Góreckiego, Kaszyckiego, Radwana, Kilara...

Powiedzmy uczciwie: kompletna „teatrografia” jest niemożliwa. Zapis spektakli ze względu na ich momentalność i jednorazowość jest zawsze ograniczony. Utrwalają je skazane na subiektywizm recenzje teatralne, ale tylko tych krytyków, którzy widzą „całość” inscenizacji. Autorka sama uprawiała ten zawód, docenić więc warto jej sprawność w tym zakresie, ale odwołań do recenzji krytyków w książce jest niewiele. Tylko w istocie wrocławskie wystawienie dramatu *Stara kobieta wysiaduje* zostało zrekonstruowane i częściowo ocenione na podstawie opinii krytyków – Romana Szydłowskiego, Józefa Kelery, Konstantego Puzyny. To ich opinie utrwały wielkość tego przedstawienia.

Autorka, dziennikarka radiowa, operuje wywiadami; są i inne cudze teksty, wspomnienia aktorów i pracowników teatrów wmontowane w tok wywodu, niekiedy obszerne, wielostronicowe. Wartość mają dla konstruowania biografii wywiady z Robertem, młodszym bratem Jerzego Jarockiego, i córką, której towarzyszył w czasie jej trudnych operacji w pobliżu Czelabińska na Syberii. Rodzinną genealogię przedstawia Robert Jarocki; pożycie małżeńskie z Ewą Lassek, później z Danutą Maksymowicz, opisuje córka Nana (Bogdana) Jarocka-Zaborowska. Wywiady z aktorkami i aktorami są dość stereotypowe: mówią przede wszystkim o reakcjach emocjonalnych na zlecane im zadania, o dokuczliwym powtarzaniu licznych prób itd. Niewiele z tego wynika dla opisu samej inscenizacji. Ale taka jest natura wywodu aktora; liczą się prywatne emocje. Reżyser musi korygować, zmieniać skostniałe nawyki wykonawców.

Zamknijmy anegdotą związaną z próbami *Dziadów* Konrada Swinarskiego: reżyser objaśniał długo metaforyczny i symboliczny sens pewnej sceny. Aktor przerwał krótkim zapytaniem: „Panie reżyserze, mam grać szybciej?” – „A graj pan szybciej!” I było dobrze.

Ale takiego teatru dziś już nie ma. *Biografia* Jerzego Jarockiego jest utrwaleniem postaci wybitnego reżysera, ludzi jego teatru, wszystkich aspektów twórczego i towarzyskiego z nim życia. Książka należy do w do- brym znaczeniu teatrografii, w mniejszym stopniu do teatrologii. Ale może teatrologia jako dyscyplina naukowa nie istnieje, jest tylko teatrografia?

STANISŁAW BURKOT

MARCIN KULA

PONIŻEJ DNA

Joanna Ostrowska podjęła temat mało znany: domy publiczne organizowane przez hitlerowców dla mężczyzn z różnych, interesujących ich grup. Swoją analizę oparła na rozległej bazie źródeł i opracowań. Chciałoby się powiedzieć, że dzięki gigantycznej pracy znalazła wszystko, co można było znaleźć (nawet jeśli takie stwierdzenie jest zawsze ryzykowne). Jednocześnie trzeba sobie zdawać sprawę, że ta baza jest z natury ułomna. Rozpatrywana tematyka nawet w zwykłych czasach na ogół nie wywołuje powstania wielu źródeł. W wypadku badanej sytuacji wojennej jej wyparcie *ex post* z myślenia nie sprzyjało powstawaniu relacji – ani spontanicznych, ani wywołanych. Stygmatyzacja ofiar – paradoksalnie zresztą silniejsza wraz z upływem czasu niż bezpośrednio po wojnie – też nie sprzyjała spisywaniu opowieści. Istniejące bądź uzyskiwane relacje o tak intymnych i tabuizowanych sprawach mogą być mało wiarygodne. Autorka korzysta na przykład z relacji jakiegoś mężczyzny, który, po otrzymaniu w obozie bonu do domu publicznego, wszedł do pokoiku wskazanej kobiety i przesiedział przydziałowy kwadrans na rozmowie, skrępowany sytuacją. Mogło tak być – z różnych zresztą powodów – ale nie musiało. Takie relacje miały jednak większe szanse powstać, niż wspomnienia źle brzmiące.

Podczas lektury pracy nasuwały mi się refleksje dotyczące spraw czasem szerszych niż wybrane przez autorkę jako podstawowe. Ciekawa metodologicznie jest kwestia stopnia, w jakim nasz system wartości warunkuje zainteresowania i możliwości badawcze w zakresie historii. W jego ramach o własnych przeżyciach seksualnych nie mówi się (chyba że w młodym wieku, wśród chłopaków, nieraz zresztą fantazjując – bądź w rozmowach właśnie wychodzących poza akceptowany system wartości). Kobieta ani o zgwałceniu, ani, pewno tym bardziej, o zesłaniu do domu publicznego, nie będzie chętnie pisać ani opowiadać. Dawniej to tabu było jeszcze mocniejsze niż dziś. Właśnie w rezultacie tego nie tylko powstało mało źródeł o tak drastycznej sprawie, ale sami jako historycy nie spieszymy się z jej badaniem. Dochodziły do mnie nawet echa niechęci instytucji-depozytariuszy materiałów do ich udostępniania badaczom. Pojawia się wręcz domniemanie, że ktoś ma „niezdrowe” zainteresowania, skoro chce pracować nad taką tematyką. Z powodu naszego stosunku do kwestii seksu włączenie rozważanych spraw do rozważań i dyskursu o II wojnie światowej wydaje się wręcz niepoważne (ofiar, walka, fronty, Holocaust... a tu seks, na dodatek nie bezpośrednio zbrodniczy w warunkach zdobycia miasta przez wroga, lecz na łóżku, w pomieszczeniu, gdzie nic nie leci na głowę).

Specyficznym stosunkiem do seksu była też motywowana powojenna cisza w sprawie ścigania akurat tego

przestępstwa hitlerowskiego, dawania zadośćuczynienia (w stopniu, w jakim to w ogóle możliwe) cierpiącym kobietom. Warto przy tym mieć na uwadze poniekąd analogiczną sprawę homoseksualistów prześladowanych za hitleryzmu.¹ Paragraf kodeksu karnego, na podstawie którego karano homoseksualizm, ostatecznie zniesiono w Niemczech dopiero w 1969 r. Choćby symboliczne wyrazy zadośćuczynienia za krzywdy przyszły bardzo późno. Dopiero w 1987 r. powstał (w Amsterdamie) pomnik homoseksualistów zamordowanych przez hitlerowców, zawierający motyw różowego trójkąta z obozów. Idea budowy takiego pomnika w Warszawie nie wywołała entuzjazmu opinii publicznej. Dopiero w 2001 r. w Wiedniu, na placu, gdzie Hitler ogłosił aneksję Austrii (Heldenplatz), zorganizowano wystawę *Z życia wzięte. Narodowo-socjalistyczne prześladowania osób homoseksualnych w Wiedniu w latach 1938 – 1945*. W całej literaturze o piekle obozów akurat piekło homoseksualistów odbiło się wyjątkowo słabo (podobnie zresztą jak ich identyczne piekło w łagrach sowieckich).

W moim przekonaniu wspominana przez autorkę, występująca w różnych krajach powojenna brutalność w sprawie prawdziwego lub domniemanego współżycia kobiet z Niemcami podczas okupacji też tłumaczyła się naszym specyficznym stosunkiem do seksu. Mogła być również powiązana z dumą narodową, w ramach której to, że „nasze” kobiety oddawały się Niemcom, rysowało się jako szczególnie skandal. Niechęć do zachowań homoseksualnych mężczyzn, których zagarnął krąg piekła, też mogła (może) być podobnie dwoiście motywowana. W powołanej wyżej książce o losie homoseksualnych więźniów o obozów koncentracyjnych została zarysowana scena, gdy do obozu przywieziono transport młodych Polaków. No i ci Polacy weszli w relacje homoseksualne, także z nadzorcami. Wiedząc co się wie o obozach, jest to bardzo prawdopodobne. Mogli być zmuszani do takich relacji, mogli je świadczyć dla przeżycia, mogli sami uciekać w homoseksualizm zastępczy, mogli w końcu – niektórzy – być homoseksualistami. Nie mamy danych, jak to się rozkładało, a zresztą nie nam oceniać zachowania więźniów na dnie ludzkiej egzystencji. I tak trzeba mówić o tych ludziach jako o ofiarach zbrodni hitlerowskich. Tymczasem w internecie pojawiły się głosy, że to niemożliwe, by Polacy występowali jako homoseksualiści. Nie głosy oburzone kolejnym wyrazem zbrodniczości hitleryzmu, ale wyrażające urażoną dumę narodową. Bo Polacy, jak wiadomo, zawsze są bohaterzy i tylko bohaterzy, a już na pewno nie są homoseksualistami...

¹ Heinz Heger, *Mężczyźni z różowym trójkątem. Świadekstwo homoseksualnego więźnia obozu koncentracyjnego z lat 1939 – 1945*, tłum. Alicja Rosenau, postłowie Joanna Ostrowska, Ośrodek KARTA, Warszawa 2016.

*

Wszystkie oskarżenia obejmujące seks wywołują wielkie zainteresowanie i poruszenie. Są łatwo stawiane, gdyż nawet jeśli trudno je udowodnić, to jeszcze trudniej się przed nimi obronić. Oskarżone po wojnie kobiety stały się kozłami ofiarnymi. Ich kosztem następowało też wyładowanie odłożonej agresji przez przeniesienie. Nie wszystkich uciekających Niemców udało się złapać i powiesić na latarni, raczej jedynie małą ich część. Kobiety były na miejscu. Nadto, zwłaszcza we Francji, najłatwiej było utopić sprawy własnej kolaboracji w miastach i miasteczkach w oskarżeniu paru kobiet jako kolaborantek w płaszczyźnie, którą wszyscy rozumieją i gdzie mało kto podnosi potrzebę dyskusji nad stopniem naganności. Straszne było pojawiające się w Izraelu po wojnie znane autorce domniemanie, jakoby kobiety, które przeżyły obozy, zapłaciły usługami seksualnymi dla oprawców. Mogło się tak zdarzyć, ale w niejednym wypadku oskarżenie wynikało najpewniej z mechanizmu psychologicznego, który kazał pomawiającym znaleźć wytłumaczenie, dlaczego ich żony, siostry czy matki nie przeżyły. Nawiasem mówiąc, ciekawe – i bardzo wredne – jest domniemanie nagannej moralności już nie tylko więźniarek, ale kobiet-żołnierzy, pojawiające się podobno w ZSRR (w Rosji). Takie pomówienia wobec kobiet-żołnierzy pojawiły się też w Polsce (sprawa „Platerówek”).

Ciekawa jest obsesja hitlerizmu w sprawach seksu. Wprawdzie nie tylko ten spośród ustrojów totalitarnych usiłował zapanować nad jak najszerszą gamą spontanicznych zachowań ludzi, a więc także nad zachowaniami seksualnymi. Sprawia jednak wrażenie, że hitleryzm odczuwał fascynację w tym zakresie – co wyrażał poczynając od akcji Lebensborn i wzywania niemieckich kobiet, by „nie odmawiały” żołnierzom wracającym z frontu. Zdumiewająco dużo myśli hitlerowcy poświęcali też homoseksualizmowi. Przeciwdziałali mu nawet w obozach koncentracyjnych. Domy publiczne dla więźniów tworzyli m. in. po to, by zmniejszyć homoseksualizm zastępczy. Wymyślili leczenie homoseksualistów przez przymusowe wizyty u kobiet. Wywiercili dziurki w drzwiach pokoi „gościnnych” w obozowych domach publicznych – dla kontroli. Czy przypadkiem sami nie realizowali w ten sposób własnych ciągów homoseksualnych, które w owych czasach, a cóż dopiero w hitleryzmie, wypadało hamować? Zawsze, gdy widzę jakieś napisy przeciw homoseksualistom w toaletach, nasuwa mi się podejrzenie, że są one specyficznym efektem hamowania własnej orientacji homoseksualnej przez piszących. Podobnie zresztą, gdy słyszę wezwania skierowane przeciw wychowaniu seksualnemu, czy protesty przeciwko „ideologii gender”, zastanawiam się, czy wypowiadający się nie mają kłopotów ze sobą.

Hitlerowcy stosowali praktykę bicia kobiet, które prawdziwie czy rzekomo w czymś zawiniły, w gołe pośladki. Oczywiście służyło to upokorzeniu ofiar; mężczyzn też zresztą bito w gołe ciało. Trudno jednak nie widzieć w tym wszystkim seksualnego wyżywiania się samców, którym pozwolono tak działać. Zaskakuje informacja, jak to Naczelne Dowództwo (!) Wehrmachtu podczas wojny (!) zajmowało się domami publicznymi, prezerwatywami itd. Niby w każdej armii musiał pojawiać się problem chorób wenerycznych, ale natężenie myślenia hitlerowców w tym kierunku robi wrażenie.

Zdumiewa nowoczesna, biurokratyczna organizacja zaspokajania potrzeb seksualnych żołnierzy

i stwarzanie możliwości w tym zakresie jako bodźca dla lepszej pracy więźniów. Armia Czerwona (Radziecka) nie była, jak wiadomo, wstrzemięźliwa w sprawach seksu. Elita sowiecka też nie. Jak przystało na mało zmodernizowany kraj, tam puszczano jednak seks na żywioł. W łagrach nie zorganizowano domów publicznych, a co się tam działo, to się działo. W zajmowanych krajach pozwalano żołnierzom, by robili co chcieli – i robili. Gdy już po wojnie Dżilas podczas wizyty u Stalina podniósł sprawę zachowania się żołnierzy radzieckich w Jugosławii, ten tylko wzruszył ramionami i zapytał, czy rozmówca nie może zrozumieć utrudzonego żołnierza. Hitler zaś chciał (i był w stanie) wszystko zorganizować. W rozważanym zakresie system hitlerowski był połączeniem obsesji seksualnej ze zmodernizowaną, nowoczesną biurokracją. Domy publiczne tworzone na podstawie rozporządzeń i regulaminów. Przewidywano elementy wewnętrznej organizacji i kontroli medycznej zarówno kobiet, jak korzystających mężczyzn. Ustalano właściwe proporcje liczby prostytutek do liczby robotników przymusowych. Rysuje się w tym analogia z organizacją przemysłowego zabijania w ramach „nowoczesnej”, biurokratycznej organizacji.

Zdumiewa jak starannie ustalano normy korzystania z domów publicznych. Przydzielano kupony uprawniające do wizyty. Ograniczono czas korzystania (kwadrans). Niekiedy wprowadzano swego rodzaju obowiązek korzystania (przydzielanego bonu nie można było w obozie odmówić). Utworzono osobne domy publiczne dla żołnierzy, oficerów i podoficerów, tworzone je nawet osobno dla rodzajów sił zbrojnych, czy dla SS i policji. Oczywiście tworzone osobne domy dla robotników przymusowych i więźniów obozów. Tkwiła w tym kolejna sprzeczność hitlerizmu – Niemcy niby mieli być zjednoczoną, braterską siłą, ale przecież esesmani nie mogli chodzić do tych samych domów publicznych co żołnierze Wehrmachtu. Analogiczne paradoksy (rzekome braterstwo *versus* prawdziwe podziały) występowały zresztą także w rzekomo braterskim komunizmie.

Zdumiewa wszechstronność narodowego myślenia w systemie hitlerowskim. Oczywiście objęło ono zakres stosunków seksualnych (nie mogło być inaczej!). Żydzi byli usytuowani w centrum owego myślenia, ale z omawianej pracy widać, że obejmowało ono pole nieograniczenie szerokie. Niemki, Włoszki, Holenderki, czy Norweżki nie mogły być zatrudniane w domach publicznych dla żołnierzy lub, rzecz jasna, więźniów obozów. Żydówki czy Romki z innego powodu oczywiście też nie. Mężczyzna danej narodowości powinien trafić do kobiety tej samej narodowości. Osobne domy obsługiwały sojuszników Hitlera z narodów słowiańskich. Można było stworzyć dywizję SS z Ukraińców, czy tworzyć oddziały sojusznicze z Kozaków, ale przecież tacy żołnierze nie mogli „używać” tych samych kobiet co Niemcy. Domy dla żołnierzy niemieckich organizowano m.in. po to, by zmniejszyć ich potrzebę relacji z „niedobrymi” kobietami miejscowymi. Organizowano domy dla Ukraińców z SS, by na Pomorzu nie chodzili do kobiet niemieckich i w ten sposób (nawet oni!) „hańbili rasę”. Warto w tym kontekście przypomnieć zdanie samego Hitlera, wypowiedziane w prywatnej rozmowie z Leni Riefenstahl: „Nigdy z nie mógłbym mieć intymnych związków z cudzoziemką, choćby nawet była najpiękniejsza”. Potem jeszcze dodał: „Moje uczucia wiążą się tak głęboko z patrioty-

zmem, że mógłbym pokochać tylko niemiecką dziewczynę².

*

Bardzo ciekawym dla rozumienia hitleryzmu jest wskazane przez autorkę przełamanie pomiędzy wynoszeniem na piedestał instytucji niemieckiej rodziny a tworzeniem domów publicznych dla żołnierzy. Ta sama sprawa powtarzała się w kwestii Lebensboru czy stosunku do ewentualnego seksu członków Hitlerjugend z członkiniami organizacji dziewczęcej. Hitleryzm był tu synkretyczny – z jednej strony bardzo mieszczański, a z drugiej... hulaj dusza, w imię Niemiec. Autorka pokazuje, jak w ramach systemu wytłumaczono sobie, że popierany przez państwo seks pozamałżeński w służbie wojskowej lub seks kultywowany w imię przysporzenia Führerowi licznych Niemców o właściwych parametrach jest czymś innym niż seks z żoną, w domniemaniu wynikający z miłości. Ten pozamałżeński – argumentowano – nie angażuje uczuć, jest zaspokojeniem potrzeby w ramach pewnej transakcji. Prawdopodobnie nie dowiemy się, w jakim stopniu niemieckie żony i niemieckie matki podzielały tę opinię.

Rozważana sprawa jest ciekawa dla stosowanej w hitleryzmie definicji człowieczeństwa. To, że Żydzi nie byli uważani za ludzi w ramach tej ideologii, jest wiadome. Jednak partnerki przygodnego seksu, oddane żołnierzom, też nie bardzo były uznawane za kobiety-ludzi. Były jakby urządzeniami do zaspokajania potrzeby, a nadto stały się towarem. Odbijało się to nawet w stosowanym przez hitlerowców słownictwie („wykorzystywano” je, były „używane”, były „najodpowiedniejszym materiałem dla domów publicznych”). Inna sprawa, że może tak właśnie odnoszono się nie tylko do kobiet przeznaczonych do domów publicznych, ale w ogóle w stosunku do kobiet z krajów-ofiar. W jednym z polskich okupacyjnych raportów o selekcjonowaniu kobiet przewidzianych do wywózki do Niemiec mowa jest o tym, że „komisje stanowią przeważnie zaawansowani studenci medycyny, którzy badają bardzo dokładnie i deflorują dziewice na oczach całej komisji wśród drwin i docinków. Ofiara nie ma nawet sposobności do obrony. Tak dokładnie zbadane dziewczęta dezynfekuje się w kąpieli karbolowej” (s. 131). To już nie było „tylko” przestępstwo bezceństwa, ale działanie odzwierciedlające właśnie stosunek do nie-swoich kobiet jak do nie-ludzi, tu pewno połączony z obsesją seksualną.

Ciekawy dla ustrojów totalitarnych jest pojawiający się w pracy wątek ich selektywnego pragmatyzmu w rozważanej sprawie. Raz jeszcze okazuje się, że zideologizowane ustroje totalitarne potrafiły być nieraz zdumiewająco pragmatyczne. Wprawdzie zakaz intymnych stosunków żołnierzy Wehrmachtu z Żydówkami utrzymywano w sposób zasadniczy, a w wypadku SS takie „przestępstwo” zagrożono karą śmierci, to jednak zakaz kontaktów z Polkami i Czeszkami w zorganizowanych domach publicznych uchylano. W zakładaniu domów publicznych dla żołnierzy – wbrew wynoszeniu na piedestał niemieckiej rodziny – też tkwiła duża dawka pragmatyzmu: chęć kontrolowania żołnierzy w krajach okupowanych, obawa przed chorobami wenerycznymi, obawa przed „hańbieniem rasy” (skoro już przyjęło się taką ideologię, to dalsze działanie było pragmatyczne!). Skądinąd cały ten pragmatyzm szedł w parze już nie tylko

z dogmatami ideologicznymi, ale wielokrotnie ze światem fikcji („leczenie” homoseksualistów w obozie przez wizyty u kobiet, czy znane napisy na bramach równie dobrze obozów koncentracyjnych jak łagrów, lub witanie nowych więźniów jako przybywających do pracy dla socjalizmu bodające na Kołymie przez więziarską orkiestrę). Ustroje totalitarne były bardzo dziwną mieszaniną ideologii, fikcji oraz pragmatyzmu.

Ciekawe dla hitleryzmu – i odmienne od sytuacji stworzonej przez Stalina – było funkcjonowanie wówczas Niemiec w ramach pewnego rachunku ekonomicznego. Niezależnie od polityki, nieprzytomnej na wielu polach, pieniądź wciąż był w Rzeszy pieniądzem, a przedsiębiorstwa przedsiębiorstwami. O tym, że na przykład łódzkie getto było zarządzane jak przedsiębiorstwo produkcyjne, czy o symbiozie obozów koncentracyjnych z różnymi przedsiębiorstwami wiadomo nie od dziś. Przy czytaniu przedstawianej tu pracy zrobiło na mnie natomiast wrażenie, że tworzone domy publiczne też miały być swego rodzaju przedsiębiorstwami. One miały być rentowne. Nie tworzone ich, gdy nie było szans na rentowność. Niektóre zamykano, gdy przestawały być opłacalne. Pobierano opłaty od usługodawczyń i od usługobiorców. Koszta przewozu kobiet rozliczano z kolejami niemieckimi, jak gdyby to była zwykła gospodarka.

*

Ciekawe dla historyka jest pytanie o stopień, w jakim hitleryzm był specyficzny, a w jakim był jednak kontynuacją – choć drastyczną – niektórych zjawisk dawno już odnotowywanych w dziejach. Kobieta od niepamiętnych czasów bywała łupem zwycięzcy, a gwałcenie kobiet było też formą zemsty na ich mężczyznach. To, że państwo hitlerowskie uzurpowało sobie prawo do decydowania, kto może mieć potomstwo, było drastycznym owocem myśli eugenicznej.

Ciekawa dla historyka jest kwestia dobrowolności działań ludzkich *versus* działań pod przymusem w różnych systemach społecznych. Autorka bardzo ciekawie pokazuje, jak hitleryzm chciał dobrowolnego zgłaszania się kobiet do roli prostytutek, jak często wszakże stosował przymus wobec nich i jak często przymus sytuacyjny zmienił dobrowolność w fikcję. Byłoby dobrze, gdyby ten drastyczny przykład zachowali w pamięci historycy, którzy zamiast wykonywania swojej roli zmieniają się w niewyżytych prokuratorów. Warto go pamiętać także w rozważaniach nad przestępstwem gwałtu, nawet niezależnym od wojny i okupacji. Wszak choćby dziś nieraz domniemywa się, że zgwałcona kobieta co najmniej prowokowała. Już nie mówiąc o krajach, w których zgwałcona kobieta jest w gruncie rzeczy traktowana jako winna, można wspomnieć genezę współczesnego „marszu zdzirow”. Od 2011 r. na świecie odbywają się tzw. Slut Walks (Marsze Szmat, ewentualnie Marsze Zdzirow, Dziwek, Puszczalskich). W 2011 r. pewien oficer policji powiedział na jednym z kanadyjskich uniwersytetów, że dla uniknięcia gwałtów kobiety powinny po pierwsze przestać ubierać się prowokująco („jak zdzirow”). Aktywistki podchwyciły to głupie zdanie i zaczęły organizować marsze kobiet prowokacyjnie ubranych z motywacją, że gwałt jest czynem człowieka, a nie ubrania.

MARCIN KULA

Joanna Ostrowska, *Przemilczane. Seksualna praca przymusowa w trakcie II wojny światowej*, Wydawnictwo Marginesy, Warszawa 2018, s. 464.

² Leni Riefenstahl, *Pamiętniki*, tłum. Jacek Łaszcz, Świat Książki, Warszawa 2003, s. 199.

JERZY SURDYKOWSKI

POLSKIE OBOZY KONCENTRACYJNE?

Wstawanie z kolan nie sprzyja myśleniu. Pokazała to przestępna nowelizacja ustawy o IPN. Sam uważam, że nawet negacji Holokaustu nie należy karać (choć czyni tak wiele państw, w tym Polska), lecz przygważdzać argumentami. Ale przynajmniej nie powinniśmy wychylać się poza tę granicę. Nikt nie lubi, gdy zamiast argumentów wyciągamy z rękawa prokuratora. Niestety, tak uczyniliśmy, sejmowa maszynka do głosowania zadziałała, pan prezes z poświęceniem przepchnął ustawę kolanem, choć miał je akurat chore. Mleko się rozlało, brzydki zapach pozostał, choć najbardziej rażące zmiany wycofano. Kolejna akcja mająca ratować naszą reputację, gruntownie ją pogрузzyła.

Chciałbym tutaj zaproponować nieco inną metodę walki z wciąż popularnym na Zachodzie sformułowaniem „polskie obozy koncentracyjne”. Przetestowałem ją z niezłym skutkiem w USA, gdzie jego użycie jest szczególnie uporczywe. Nie wynika ono jednak ze złej woli, lecz z nędzy nauczania historii w amerykańskiej szkole średniej. W latach dziewięćdziesiątych, gdy byłem konsulem generalnym w Nowym Jorku, przeglądałem kilka amerykańskich podręczników historii dla *high school*. Są one różne w różnych stanach, ale tak samo skupiają się na dziejach USA, a nad historią Europy prześlizgują się lekko, łatwo i przyjemnie. Nic więc dziwnego, że zdań dotyczących dziejów Polski znalazłem w nich trzy do czterech, najwyżej. Trudno więc, by przeciętny Amerykanin – nawet jeśli ukończy nauki techniczne, czy zarządzanie na uniwersytecie – coś wiedział o naszym kraju, najwyżej mu zaświta, gdy usłyszysz „Walesa” albo „Solidarity”. Skoro więc obozy koncentracyjne były w Polsce, to na pewno są *polish*. O tym, że nie było tam żadnej polskiej władzy, a nawet o tym, że było to terytorium podbite i okupowane na ogół nie wie.

Tak to właśnie gdzieś w początku lat dziewięćdziesiątych siedzę w swoim biurze i męczę się nad kolejnym listem do „The New York Times”, bo właśnie w związku ze sprawą Demianiuksa (białoruski kapo obozu zagłady w Sobiborze, odnaleziony wtedy w USA) posypały się *polish concentration camps*. Na to wkracza mój przyjaciel Roman Kent, polski Żyd i serdeczny człowiek, powiadając: „Po co się wysilasz? Albo ci to wydrukują maczkiem na którejś tam stronie, albo i nie. Idziemy do Abe Foxmana!”. Roman przeżył Auschwitz, jako młody chłopak skierowany do pracy, nim nadejdzie jego kolejka do komory gazowej, potem „marsz śmierci” od obozów w Niemczech, aż w Dachau wyzwolili go Amerykanie. Był prezesem Amerykańskiego Zgromadzenia Żydów Ocalałych z Holokaustu, a więc na szczytach nowojorskiej hierarchii żydowskiej. Przed takimi jak on wszystkie drzwi są otwarte, a dostanie się na audiencję do Abrahama Foxmana ówczesnego szefa Anti Defamation League było poza zasięgiem nawet konsula średniej wielkości państwa europejskiego. Bo i po co? Liga Przeciw Zniesławianiu powstała jeszcze przed wojną jako organ samoobrony

amerykańskich Żydów przed antysemityzmem, wtedy w USA dość powszechnym. Zasilana hojnymi składkami tej społeczności i mająca do dyspozycji najlepszych żydowskich prawników, wytaczała proces za procesem zarówno politykom, jak redakcjom pozwalającym sobie na antyżydowskie ekscesy, również klubom obojętnie czy towarzyskim, czy sportowym, które miały w statucie zakaz przyjmowania Żydów. No i wygrywała, oskarżeni płacili słone odszkodowania, aż Ameryka zaczęła się bać ADL i rozumiała, że antysemityzm nie uchodzi. Cóż mogła pomóc ta groźna Liga na polskie kłopoty, przecież czym innym się zajmuje?

Foxman przyjął mnie chłodno, ale wysłuchał, zwłaszcza tytady Romana, usiłującego go przekonać, że nadszedł czas na opowiedzenie się Ligi po stronie prawdy historycznej. Wziął ode mnie przygotowaną wcześniej listę mediów, które – od Atlantyku po Pacyfik – beztrąsko szafowały owym *polish concentration camps*. No i na papierze firmowym ADL napisał do nich wszystkich listy, że wprawdzie były w Polsce liczne przejawy antysemityzmu, ale nie było żadnych polskich obozów koncentracyjnych, tylko hitlerowskie obozy w okupowanej Polsce. Po tym warknięciu Ligi, której boi się cała Ameryka, na kilka lat ustało używanie kontrowersyjnego sformułowania.

Usiłowałem z tego uczynić wielką sprawę: oto po raz pierwszy w dziejach, potężna organizacja żydowska ujęła się za Polakami w imię prawdy historycznej! Wysłałem notatki gdzie się tylko dało – i prawie nic. Opublikował coś nowojorski „Nowy Dziennik” i „Gazeta Wyborcza” w Warszawie, zignorował PAP i inne polskie dzienniki. Ministerstwo Spraw Zagranicznych milczało, mimo że domagałem się podziękowania dla Foxmana. Tak sprawę przywalił czas i zapomnienie. Po paru latach przybył do Nowego Jorku Aleksander Kwaśniewski, niedawno wybrany prezydentem RP. Miał w planach spotkanie z Foxmanem, bo prezydentowi się nie odmawia. Miałem z nim chwilę czasu na rozmowę w przeddzień, więc relacjonuję jak było i sugeruję podziękowanie. Następnego dnia Kwaśniewski zaczyna od słów: „Panie przewodniczący, chciałem panu bardzo podziękować...”. Foxman zmienia się na twarzy i nagle mówi: „Panie prezydencie, Polska and Anti Defamation League to som dwie najwspólniejsze rzeczy na świecie!” (z taką mniej więcej wymową).

Na tym skończyła się jego wyniesiona z dzieciństwa polszczyzna. Żydowski dziecko urodzone w Baranowiczach przygarnęła pocziwa Polka i ochrzciła w Wilnie jako swego syna, aby mieć jakikolwiek papier sankcjonujący niemowlę. Oczywiście pozostałych bliskich czekał straszny żydowski los Zagłady. Po wojnie tłumaczono chłopakowi w Izraelu, że Polacy chcieli go wynarodowić, stąd później nie najlepszy jego stosunek do naszego kraju. Studia ukończył już w USA. Ale ten incydent pokazuje tajemnicze duszy nie tylko żydowskiej: potrzebę dobrego słowa, znaczenie prostego sformułowania „dziękuję”. ■

LESZEK KAMIŃSKI

BRONISŁAW, BRAT JÓZEFA

Przed kilkunastoma miesiącami w litewskim Zuto-
wie odstonięta została tablica pamiątkowa. Znalazły się
na niej dwie twarze i dwa podpisy: „Bronislavas Petras
Pilsudskis oraz Juozapas Klemensas Pilsudskis”. Tekst
w języku litewskim ma przypominać, że tu właśnie
przyszli na świat bracia, którzy zdobyli sławę i zapew-
nili sobie miejsce w historii, choć w zupełnie różnych
dziedzinach.

Trudno oczywiście liczyć, że Litwini uznają ich
(a zwłaszcza Józefa) za swoich bohaterów narodowych.
Niemniej fakt wspólnego przypomnienia braci Piłsud-
skich jest znamienity, zwłaszcza że w Polsce starszy
z nich został praktycznie zapomniany i z tego zapomnie-
nia jego ciekawa postać dopiero zaczyna się wyłaniać.

Przyczyni się do tego niewątpliwie wydana niedaw-
no książka *Bronisława Piłsudskiego pojedynek z losem*
(Iskry 2018). Jej autorem jest Jerzy Chociłowski, dzien-
nikarz i tłumacz, autor książek o Azji, przed laty redak-
tor naczelny miesięcznika „Kontynenty”. Może właśnie
reporterskie doświadczenie sprawiło, że podjął się on
opisania drogi życiowej postaci, którą zawodowi histo-
rycy mogliby uznać za mało znaczącą i niewartą ich tru-
du. Notabene pierwszym, który zaczął przywracać oso-
bę i dzieło Bronisława Piłsudskiego polskiej pamięci
w latach trzydziestych ubiegłego wieku był też reporter,
i to nie bylejak, bo Aleksander Janta-Pończyński.

Reporterskie oko pozwoliło Chociłowskiemu do-
strzec w dramatycznych losach Bronisława materiał
na fascynującą opowieść o człowieku, który na pozór
niewiele w życiu osiągnął, w pewnym sensie je przegrał
(czego potwierdzeniem może być samobójcza śmierć
w Sekwanie), ale po latach okazało się, że jego spu-
ścizna ma ogromną wartość naukową, co uznają dziś
uczeni z wielu krajów.

Dzieciństwo w litewskim dworku, w dużej – matka
urodziła łącznie dwanaścioro dzieci – i nękaney licz-
nymi problemami materialnymi i chorobami rodzinie
Piłsudskich starszy brat późniejszego marszałka opi-
sał w dziennikach. Niewydane drukiem, ale dostępne
w internecie dzięki nowojorskiemu Instytutowi Józefa

Piłsudskiego pokazują oczyma nieco egzaltowanego
młodzieńca życie codzienne tej rodziny.

Dla kolejnego, już studenckiego i petersburskiego
etapu jego życia istnieje zupełnie inna dokumentacja.
Bronisław po rozpoczęciu studiów znalazł się w krę-
gu rosyjskich i polskich radykałów o rewolucyjnych
ambicjach. „Prowincjonalny patriota” napotkał wśród
zwolenników Narodnej Woli bratnie dusze i pokrewne
umysły. Wdał się w konspirację, która zapewne z dzi-
siejszej perspektywy nie wygląda poważnie, ale skutki
miała niezwykle poważne. Jak wielu innych rosyjskich
ówczesnych rewolucjonistów postanowili mianowicie
zabić cara i rozpoczęli do tego przygotowania, łącznie
z produkcją bomby z nabytych w Wilnie przy pomocy
Bronisława i Józefa chemikaliów.

Skończyło się to oczywiście niedobrze, konspira-
torzy zostali aresztowani i stanęli przed sądem. Wy-
roki zapadły zgodnie z ówczesnym rosyjskim kodek-
sem karnym i tradycją – piętnaście wyroków śmierci,
choć ostatecznie dotknęło to tylko pięciu spiskowców.
Był wśród nich student biologii Aleksander Ilijcz Uli-
anow, który przyjął na siebie ciężar odpowiedzialności
za przygotowanie spisku. Bronisław początkowo też
otrzymał wyrok śmierci, który został jednak ostatecznie
zamieniony na piętnastoletnie zesłanie na Sachalin –
wyrok jak na owe czasy łagodny, bo pomiędzy szubie-
nicą a zesłaniem były jeszcze kazamaty Szliselburga
(w których wylądował na dziewiętnaście lat jeden ze
współoskarżonych). Łuźniej związany ze spiskowcami
Józef Piłsudski dostał „tylko” pięć lat zesłania na Sy-
berię.

Można oczywiście snuć rozważania nad ironią
losu, który sprawił, że na jednej ławie oskarżonych
znaleźli się wspólnie starszy brat późniejszego wodza
rosyjskiej rewolucji oraz przyszły współtwórca polskiej
niepodległości, pogromca rewolucyjnej armii i jego
starszy brat.

Tragiczny etap życia rozpoczął człowiek za-
ledwie dwudziestojednoletni. Już podczas procesu
i w pisanych po nim listach deklarował, że polityka go

właściwie nie interesuje, że zaplątał się w nią przypadkiem, w sens terroryzmu nie wierzy, że to nie jest jego świat. Chociłowski podkreśla, że krucha psychika Bronisława doznała w więzieniu wstrząsu, którego efektem było przewartościowanie dotychczasowej drogi życiowej i szukanie sensu własnego życia na innych polach.

Na Sachalin skazańcy podróżowali wtedy, oczywiście, dość długo, w kajdanach, z Odessy przez Morze Czerwone, Ocean Indyjski; na najdalszy fragment państwa carów docierali płynąc dookoła Azji. Na tej wielkiej wyspie o niegościnnym surowym klimacie, gdzie znalazło się już wcześniej wielu skazańców, żyła grupka carskich urzędników i wojskowych oraz nieliczni już dawni mieszkańcy tych terenów, Niwchowowie, Ajnowie i Orokowie.

I właśnie ci ludzie przyciągnęli uwagę Piłsudskiego. Na Sachalinie nie spiskował, nie próbował uciekać. Zainteresował się Ajnami, ich życiem codziennym, kulturą, wierzeniami, językiem. Język ten szybko opanował, a nawet poślubił kobietę z tego ludu i miał z nią dzieci. Spisywał ich opowieści, utrwał słownictwo, zajął się poważnie etnografią. Gromadził eksponaty dla muzeów. Gdy warunki jego pobytu złagodzone, zaczął pracować we Władywostoku jako konserwator zbiorów Towarzystwa Poznania Kraju Amurskiego. Podróżował intensywnie po Dalekim Wschodzie, nadal zbierał materiały, pisywał do lokalnej prasy. Po kilku latach wraca na Sachalin, ale tym razem już z ramienia Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego, ponadto wyposażony w wynalazek Edisona, czyli fonograf.

Trudno tu nie dostrzec paraleli do losów innego zesłańca, też wywodzącego się z tych samych niepodległościowo-socjalistycznych kręgów, czyli Wacława Sieroszewskiego. Ten z kolei trafił do Jakucji, zawarł małżeństwo z Jakutką i miał z nią córkę. Zainteresował się kulturą ludów syberyjskich i zaczął ją systematycznie badać. Pisał i ogłaszał swoje prace – po polsku (początkowo pod pseudonimem) i po rosyjsku. Zdobył sobie uznanie w rosyjskim środowisku naukowym, został członkiem Cesarskiego Towarzystwa Geograficznego, które nagrodziło nawet jego dzieło o Jakutach złotym medalem (Bronisława wyróżniono w 1903 r. srebrnym medalem). Drogi Piłsudskiego i Sieroszewskiego skrzyżowały się, gdy wspomniane już stowarzyszenie naukowe powierzyło im badania nad Ajnami na Hokkaido.

Jest to jeden z przejawów paradoksalnej sytuacji niektórych polskich twórców w ówczesnej Rosji. Z jednej strony poddawani byli okrutnym represjom, ale z drugiej mogli skorzystać z szansy wypłynięcia na szerokie wody dzięki twórczości naukowej i literackiej, którą carski reżim tolerował, a nawet ceniał. W życiu Sieroszewskiego „przyjaciele Moskale” odegrali ważną rolę, a rosyjskie edycje książek niewątpliwie sprzyjały rozgłosowi i uznaniu poza granicami. Piłsudskiemu też pomogli, choć rozgłos nie mógł się on równać z autorem *12 lat w kraju Jakutów*, bowiem jego najważniejsze dzieło: *Materiały do studiów nad językiem i folklorem Ajnów* ukaże się drukiem dopiero w 1912 roku w Krakowie, i to po angielsku.

Bronisław opuścił Sachalin, pozostawiając rodzinę (żona była wtedy w ciąży) i wrócił do Polski – przez Japonię, Stany Zjednoczone, Londyn i Paryż – w 1906 roku. Próbował ułożyć sobie życie osobiste, poszukując dość rozpaczliwie i bezowocnie życiowej partnerki.

Związek sachaliński najwyraźniej starał się wymazać ze swojego życiorysu i pamięci.

Poszukiwał pracy i miejsca w społeczeństwie, ale nie było to łatwe. Poza pobytem w Zakopanem, gdzie zainteresował się podhalańskim folklorem i współpracował z Muzeum Tatrzańskim, nie był w stanie znaleźć zajęcia odpowiadającego jego pasjom.

Wybuch pierwszej wojny światowej oznaczał w jego wypadku jednak powrót do polityki. Podczas pobytu w Wiedniu, Lozannie, później w Paryżu współpracował z organizacjami i politykami próbującymi promować sprawę polską na Zachodzie i ulżyć losowi rodaków. Nie potrafił jednak odnaleźć się w środowisku podzielnym politycznie. Wykazywał, zdaniem nielicznych znajomych, objawy choroby psychicznej. Pewnego ranka rzucił się do Sekwany i utonął.

Nie znalazł dla siebie miejsca w ówczesnym świecie. O powrocie na Wschód mówił, ale chyba go nie planował. Choć pisał o nim Żeromski (wzorowana na nim jest postać Gustawa Bezmiana w *Urodzie życia*), fotografował go Stanisław Witkiewicz, współpracował z nim m. in. Władysław Zamoyski, został zapomniany. Odszedł kilka miesięcy przed odzyskaniem niepodległości przez Polskę, w której jego bracia – nie tylko Józef, ale też Adam (wiceprezydent Wilna i senator), Kazimierz, (bankowiec i urzędnik państwowy) i Jan (wicemarszałek Sejmu i minister) – odegrali tak ważne role.

Sprawił to zapewne jego charakter – jak napisał we wspomnieniach jeden z towarzyszy z sachalińskiego wygnania – „miękkki, marzycielski, podobny raczej do kobiecego niż męskiego”. Można też doszukiwać się tu wpływu rozmaitych dolegliwości, także nerwowych, nękających licznych przedstawicieli tej rodziny.

Nie ulega jednak wątpliwości, że dzieło życia Bronisława, czyli zbiór materiałów o Ajnach, a zwłaszcza szczęśliwie ocalone nagrania ich mowy i śpiewów, ma ogromną wartość i do dziś jest analizowany i wysoko ceniony przez badaczy dawnych kultur Azji. Znaczenie jego jest tym większe, że Ajnów dziś praktycznie nie ma – ulegli „japonizacji”.

Chociłowski nie ogranicza się do życia samego Bronisława, lecz opisuje także dzieje jego pośmiertnej sławy oraz losy rodziny, także kontakty polskich i japońskich gałęzi potomków Bronisława i Józefa. A czyż nie jest zabawnym aspektem globalizacji fakt, że „jedynym w prostej linii po mieczu potomkiem Piłsudskich z Żułowa, mającym całkowite prawo do tego nazwiska” okazuje się Kazutasu Kimura?

Oprócz wspomnianej na początku recenzji tablicy w Żułowie, Chociłowski wymienia dwa pomniki Bronisława – w Jużnosachalińsku i w Shiraoi na Hokkaido. Zapewne już po napisaniu książki pojawił się kolejny – w maju 2018, w Muzeum Miejskim w Żorach, w ramach projektu *Bronisław i Józef Piłsudscy. Piórem i karabinem ku niepodległości* odsłonięto pomnik Bronisława Piłsudskiego, zaprojektowany przez ajnuską artystkę Maki Sekine. To znak, że pamięć o starszym bracie Marszałka pomału powraca.

LESZEK KAMIŃSKI

Jerzy Chociłowski, *Bronisław Piłsudskiego pojedynek z losem*, Iskry, Warszawa 2018.

STANISŁAW ZYGMUNTOWICZ

JAK WIELKOPOLSKA WALCZYŁA O NIEPODLEGŁOŚĆ?

(z udziałem mojej rodziny w tle)

Setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości to wyjątkowa okazja dla szerokiej akcji edukacyjnej i propagandowej, a także do pogłębienia badań nad niezmiernie interesującym i złożonym procesem odradzania się Rzeczypospolitej. Niestety, władze państwowe, organizując wiele rocznicowych wydarzeń i przedsięwzięć, traktują rzecz niezmiernie jednostronnie, eksponując, w myśl przedwojennej tradycji, rolę Czynu legionowego, Rady Regencyjnej, Polskiej Organizacji Wojskowej i Józefa Piłsudskiego osobiście, usuwając w cień liczne inne inicjatywy o historycznym znaczeniu. Intencjonalnie przedstawiana jest rola Ignacego Daszyńskiego, brygadiera Józefa Roji, czy niezmiernie istotnej nie tylko dla ziem b. Galicji, Polskiej Komisji Likwidacyjnej, Niewiele uwagi poświęca się Polskiemu Komitetowi Narodowemu z Romanem Dmowskim i Ignacym Paderewskim na czele. Podobnie traktowane są wywodzące się z innych, całkowicie niezależnych od ruchu piłsudczykowskiego źródła, wydarzenia związane z powstaniem wielkopolskim.

W przeciwieństwie do warunków galicyjskich, gdzie paramilitarne polskie organizacje, piłsudczykowski „Strzelec” i związane z Narodową Demokracją Drużyny Bartoszewskie, były nie tylko tolerowane, ale i wspierane przez austriackie siły zbrojne, w Wielkopolsce ruch narodowy musiał zmagać się naciskiem państwa niemieckiego. Zresztą tu Polacy już od dziesięcioleci rozbudowywali własną spółdzielczość, organizowali się w stowarzyszeniach oświatowych i sportowych z których każde miało swe wyraźne oblicze polityczne.

O wojnę narodów...

W Wielkopolsce z chwilą wybuchu wojny światowej polskie organizacje wiązały nadzieje ze zwycięstwem koalicji fransusko-rosyjsko-brytyjskiej. Już od 1913 r. tajna Rada Narodowa koordynowała działalność polskich organizacji, a w styczniu 1916 r. powstał Tajny Międzypartyjny Komitet Obywatelski skupiający polskich posłów do Reichstagu. Wielkopolanie zdecydowanie osadzali się na pozycjach antyniemieckich, ponieważ ogłoszony w Warszawie w imieniu Niemiec i Austro-Węgier *Akt 5 listopada* zapowiadający powstanie państwa polskiego nie wspominał ani słowem o losach ich ziemi. Mimo sukcesów armii niemieckiej, w której znalazło się ok. 700 tys. Polaków, rósł opór i oczekiwanie na upadek zaborcy.

Paradoksalnie, klęski wojsk rosyjskich, których konsekwencją stały się rewolucje lutowa i październikowa nie przyczyniły się do umocnienia państw centralnych. Tak zwany kryzys przysięgowy spowodował destrukcję Legionów działających w ramach wojsk austriackich. Piłsudski mimo początkowego flirtu z Niemcami trafił do twierdzy w Magdeburgu, część żołnierzy z rozformowanych jednostek znalazła się w obozie w Szczypiornie, część pod dowództwem brygadiera Józefa Hallera przebiła się na stronę rosyjską. Inaczej wyglądała sytuacja w Wielkopolsce. Tu polskie organizacje paramilitarne działały dalej w podziemiu, szczególnie że od listopada 1917 r. ferment polityczny wzorujący się na rewolucji bolszewickiej z jej pacyfistycznymi hasłami zaczął ogarniać także niemieckie siły zbrojne.

Wiatr od wschodu

Zawarty w lutym 1918 separatystyczny pokój Rosji Radzieckiej z Niemcami i Austrią dowiódł, że zawarcie pokoju pod naciskiem rewolucji jest możliwe. Pokój umożliwił wprowadzić przesunięcie dużych sił niemieckich na front zachodni, ale żołnierze często odmawiali dalszej walki. Po przegranej bitwie nad Marną i wejściu do walki dywizji amerykańskich rozpoczął się systematyczny odwrót armii kajzera. 28 października skutecznie zbuntowali się marynarze w Kilonii, masowo powstawały tworzone na wzór radziecki Rady Robotników i Żołnierzy, a cesarz poprosił o azyl w Holandii.

„Znalazłem się wówczas na froncie belgijskim – wspominał po latach b. uczestnik powstania wielkopolskiego Zygmunt Zygmuntowicz (1894-1966; notatki z tych wspomnień zachowały się fragmentarycznie w rodzinnym archiwum). Moja jednostka, kiedyś wstawiona walkami z Rosjanami pod Tanenbergiem, co propaganda niemiecka przedstawiała jako „rewanż za Grunwald”, była już zupełnie zdemoralizowana. Wziąłem więc nogi za pas. Wespół z kolegą, pamiętam tylko jego pseudonim: „Berlińczyk”, zorganizowaliśmy cały wagon modnego wówczas „alasz” i ruszyliśmy do kraju. Po drodze opłacaliśmy się tą wódką i jakoś dotarłem do domu, do Czempinia. W tym miasteczku moja rodzina, wywodząca się z pogranicza Litwy, Białorusi i Inflant siedziała bodaj od stu lat, w obrębie oddziaływania majątku Chłapowskich. Moi bracia, a było nas aż pięciu, zajmowali się rzemiosłem – jeden był fryzjerem, inny stolarzem, trzeci zajmował się ślusarstwem, a kolejny dzierżawił drzewa owocowe ciągnące się wówczas wzdłuż dworskiej alei. Najstarszy, Antoni został piekarzem... Gdy przybyłem do miasteczka, okazało się, że czterech moi bracia już są związani z podziemnymi grupami zbrojnymi. Czekaliśmy na wybuch powstania, bo pora już była najwyższa”.

Wówczas, podobnie jak w Niemczech, także w Poznaniu, utworzono Radę Żołnierską, w której skład weszli Polacy, a do miasta wracali zrewoltowani żołnierze. Otwierali więzienia, wypuszczali aresztantów, zrywali oficerom epolety. Z twierdzy w Magdeburgu zwolniony został także Piłsudski.

Tu wypada dodać, że pokój brzeski, którego elementem było przekazanie niepodległej Ukrainie Ziemi Chełmskiej, wywołał dodatkowy, antyniemiecki ferment w polskim społeczeństwie. Dotąd antyrosyjska z natury Polska Organizacja Wojskowa – tajne skrzydło środowisk piłsudczykowskich – przyjęła kurs antyniemiecki, powołała też struktury w Wielkopolsce (15 lutego 1918). Szersze znaczenie i lepsze osadzenie w społeczności miała sieć lokalnych Komitetów Obywatelskich z jej milicjami powstałymi z „Sokoła” czy „Skautingu”.

Polska „ni z tego ni z owego”?

O ile, jak wówczas mawiano, w Galicji i Kongresówce „ni z tego, ni z owego” była Polska na pierwszego, to w Wielkopolsce proces wyzwolenia kraju spod panowania zaborcy był trudniejszy, ale też miał silne uwarunkowania społeczne i oparcie w tradycji pracy organicznej, jednostkach spółdzielczych, parafiach katolickich czy związkach sportowych.

Od 10 do 26 listopada 1918 żołnierze narodowości polskiej w armii niemieckiej w Ostrowie Wielkopolskim

opuścili koszary i uformowali tzw. 1. Polski Pułk Piechoty i choć zostali spacyfikowani, to efekty wystąpienia stały się głośnie w całej Wielkopolsce.

11 listopada 1918 r. Niemcy skapitulowały przed aliantami, polskie organizacje działające w Rzeszy wydały wspólny komunikat opowiadający się jawnie za niepodległością, a w Wielkopolsce powstał polski Komisarjat i Tymczasowa Naczelna Rada Ludowa. Członkowie podziemnych polskich organizacji szkolili się w szeregach parytetowej Służby Straży i Bezpieczeństwa (*Wach- und Sicherheitsdienst*) i w ten sposób, w oparciu o niemiecką infrastrukturę, powstawała sieć polskich oddziałów.

Trzeba też pamiętać o ogólnopolskich uwarunkowaniach. Po ustąpieniu powołanego 7 listopada w Lublinie rządu Polskiej Republiki Ludowej z Ignacym Daszyńskim na czele, 11 listopada nastąpiła konsolidacja władzy w rękach przybyłego do Warszawy Piłsudskiego i powstał nowy rząd z b. ministrem pracy u Daszyńskiego, pochodzącym z Wielkopolski Jędrzejem Moraczewskim jako premierem. 20 listopada podczas expose nowego rządu padła jasna deklaracja, że „przyłączenie Wielkopolski będzie jednym z pierwszych naszych zadań”, co wywołało ruch po stronie niemieckiej – zintensyfikowanie nadsyłania z głębi Rzeszy niemieckich oddziałów Grenzschtutzu (wcześniej Heimatschutz-Ost). Mimo tego, przybyli do Warszawy delegaci Wielkopolski z Władysławem Seydą na czele nie weszli do rządu, traktując przejęcie formalnie władzy przez Piłsudskiego z rąk Rady Regencyjnej jako podporządkowanie nowo powstałego rządu – zaborcy!

Wkrótce wybrano Polski Sejm Dzielnicowy składający się z delegatów z Wielkopolski, Śląska, Pomorza Gdańskiego oraz Warmii i Mazur. 3 grudnia 1918 Sejm rozpoczął obrady w Poznaniu i przyjął uchwałę wyrażającą wolę połączenia tych ziem z pozostałymi zaborami w zjednoczonej Polsce. Wszystkie te zabiegi nie miały jednak znaczenia praktycznego, bo siły zbrojne podporządkowane były formalnie centralnym władzom niemieckim, a w praktyce Radom Delegatów Robotniczych i Żołnierskich organizowanym na różnych szczeblach.

Wkrótce jednak miało dojść do przełomu. 26 grudnia, w drodze z Paryża do Warszawy, zajechał do Poznania Ignacy Paderewski, a Niemcy, wzburzeni demonstracjami towarzyszącymi tej wizycie zorganizowali przemarsz oddziałów wojskowych przez miasto, co stało się przyczyną wybuchu starć w Poznaniu i w całej prowincji.

Wielkopolska rusza

Na wieść o walkach, także w Czempiniu, ujawniła się tzw. Rezerwa Skautowa i do Poznania wyjechała grupa około 60 ochotników, w tym trzech spośród braci Zygmuntowiczów: Antoni, Józef i Władysław. W niedalekim Kościanie polscy skauci przejęli miejscowy magazyn broni i zaczęła się organizować polska jednostka. Także w Czempiniu powstała nowa, licząca blisko setkę uzbrojonych ludzi grupa bojowa. Do powstania przyłączyła się nie tylko piątka starszych spośród braci Zygmuntowiczów, ale i dwie siostry, które działały jako sanitariuszki.

Ten początkowy okres powstania to wzajemne szachowanie się sił polskich i niemieckich, ciągłe reorganizacje, ale też rozmowy „dyplomatyczne” na naj-

niższym szczeblu. Jako sierżant armii niemieckiej, trzykrotnie poważnie raniony na niemieckim „polu chwały”, miał Zygmuntowicz swój udział w tych rozmowach i udawało się nieraz, zdobyć dodatkowe ilości broni i amunicji, szczególnie od żołnierzy wycofujących się jednostek armii regularnej.

28 grudnia w Poznaniu Polacy zdobyli Cytadelę i arsenał, a jeden z oddziałów, wtargnął do siedziby dowództwa V Korpusu Armii i zaaresztował obecnych tam generałów. Tego samego dnia po południu Wydział Wykonawczy Rad Robotniczych i Żołnierskich, pragnąc uspokoić sytuację powołał do życia Komendę Miasta o mieszanym, polsko-niemieckim składzie. Następnego dnia do Poznania przybyła delegacja rządu pruskiego, a efektem była ewakuacja najpoważniejszej niemieckiej jednostki – pułku grenadierów.

Poza samym Poznaniem Polacy zamieszkiwali środkowe i wschodnie tereny prowincji. W Środzie Polacy przejęli kontrolę nad miastem już 11 listopada, a garnizon niemiecki wkrótce poddał się powstańcom, na zachodzie stopniowo, w ciągłych utarczkach formowała się linia frontu.

8 stycznia 1919 r. Komisarjat NRL przejął władzę cywilną i wojskową, i mianował gen. Józefa Dowbora-Muśnickiego na wodza naczelnego powstania. Nie obyło się przy tym bez tarć między piłsudczykami z Narodową Demokracją. Jednym z istotnych objawów kryzysu politycznego był w Warszawie tzw. zamach Januszajtisa. Ruchawka stłumiona przez oddziały wierności Piłsudskiemu skłoniła go jednak do zdymisjonowania Moraczewskiego, szukania porozumienia z prawicą i powołania Paderewskiego na funkcję premiera. W nowo utworzonym rządzie znalazło się dwóch Wielkopolan. Aby uniknąć reperkusji międzynarodowych, zrezygnowano z przeprowadzenia planowanych wyborów z zaborze pruskim, dając prawo udziału w obradach polskiego Sejmu 16 polskim reprezentantom w Reichstagu.

Był też i inny element zmuszający naczelnika do podjęcia takich kroków. 18 stycznia rozpoczęły się obrady konferencji pokojowej w Wersalu, a najznacniejszym z polskich reprezentantów był szef działającego od lat we Francji i mającego ugruntowaną pozycję Komitetu Narodowego Polskiego, Roman Dmowski, mający też silne wpływy w Wielkopolsce.

Na froncie

W styczniu 1919 r. głównym celem wojsk polskich na zachodzie było, w oparciu o bazy w Grodzisku Wielkopolskim, opanowanie Zbąszynia i Wolsztyna, gdzie osadziły się poważne grupy Genzschutzu. Siły polskie uderzyły z dwóch stron – z południa i zachodu, a w natarciu brał udział także pluton czempiniński z dwoma braćmi Zygmuntowiczami, Zygmuntem i Stefanem. Szereg szczegółów na temat walk w Ziemi Kościańskiej przynosi wydana na 50-lecie wydarzeń okolicznościowa broszura Bogusława Polaka. 2 lutego zapoczątkowano rozmowy polsko-niemieckie w Berlinie. Jednocześnie 3 lutego załamała się niemiecka ofensywa na froncie północnym. Polacy odrzucili wroga za Noteć. Charakterystyczne, że jednostki powstańcze z reguły gromadziły ludzi z jednej miejscowości i tak też je określano – w walkach o Zbąszyn brały udział np. kompanie z Grodziska, Rakoniewic, Wielichnowa, Wilkowa Polskiego, Karmina,

Krzywinia i Czempinia. Zdobyto Wolsztyn, zgarniając przy okazji niemieckie działa, zajęto Kopanicę. W lutym jednostki powstańcze wstąpiły się bohaterską obroną Kargowej. 12 lutego powstańcy podeszli pod Międzychód, wzięty został Babimost wyznaczając najdalszy na zachód zasięg powstania. Niestety miasteczko to potem, w rozmowach pokojowych, przyznane zostało stronie niemieckiej.

16 lutego 1919 r. podpisano w Trewirze układ przedłużający rozejm między ententą a Niemcami, którym objęty został też front wielkopolski, choć walki epizodycznie trwać miały jeszcze blisko pół roku. Podpisany 28 czerwca Traktat Wersalski przyznał Wielkopolskę (poza kilkoma skrawkami) Polsce.

Trzeba podkreślić, że powstanie wielkopolskie to jedyne w naszych dziejach powstanie, które zakończyło się bezdyskusyjnym sukcesem także dzięki masowemu poparciu ludności i blisko półtorawiekowej pracy Polaków świadomych interesu narodowego.

Po odzyskaniu niepodległości

W II Rzeczypospolitej różnie toczyły się losy braci Zygmuntowiczów. W zasadzie pozostali przy swych rzemiosłach, jedni mieszkając w Czempinie, inni w Poznaniu: jeden z nich, kolejarz, za udział w strajku zapłacił długotrwałym bezrobociem. Czynni byli w towarzystwach Powstańców i Wojaków grupujących kombatanów...

Zygmunt, także właściciel zakładu fryzjerskiego w Międzychodzie, objął funkcję strażnika granicznego na placówce w Sowiej Górze i tam poznał swą późniejszą żonę, wracającą z Westfalii do Polski córkę tamtejszego Polaka pana Czajki. To zresztą osobna, ciekawa historia, bo jej brat, wcielony do Kriegsmarine służył karnie na łodzi podwodnej, a w tej służbie zetknął się z innym Wielkopolaninem, późniejszym polskim admirałem Józefem Unrugiem, dowódcą marynarki i obrońcą Pomorza przed hitlerowcami.

Po wybuchu II wojny światowej i włączeniu Wielkopolski do Rzeszy byli powstańcy byli przez Niemców dyskryminowani. Cała rodzina Zygmuntowiczów z Międzychodu została wysiedlona, a ojca aresztowano na podstawie listy sporządzonej przez tzw. 5 kolumnę. Zamieszkaliśmy z moją matką w Jabłonnie koło Warszawy. Powróciliśmy do Międzychodu po wojnie i tam dotarł też mój ojciec po wyjściu z obozu jenieckiego. Cały dobytek nasz został rozgrabiony przez Niemców i niestety, także przez Polaków. Nigdy nam nie zrekompensowano tych strat. Z około 700 wysiedlonych z Międzychodu mieszkańców wróciło mniej niż 50 procent.

W początkach PRL powstanie wielkopolskie, jako zdominowane przez „narodową” ideologię nie miało dobrej prasy i dopiero Październik’56 przyniósł ponowne uznanie powstaniu i Ppowstańcom. W 1957 roku ustanowione zostało odznaczenie Wielkopolski Krzyż Powstańczy, a w ramach obchodów półwiecza wybuchu powstania wielkopolskiego liczni uczestnicy walk powstańczych, w tym także pięciu braci Zygmuntowiczów, odznaczeni zostali Krzyżami Kawalerskimi Orderu Odrodzenia Polski.

STANISŁAW ZYGMUNTOWICZ

PAWEŁ KOZŁOWSKI

(nowy) Dziennik Profesora Nadzwyczajnego

PIRAMIDA Z CHORAĞIEWKĄ

To było wczoraj. Szedłem ulicą. Lewym chodnikiem. Raczej nie jest płaski. W innych miastach chodzi się po równych, w moim są inne. Trudno takie zrobić. Jeździły po nim samochody, niektóre stały.

Mijałem je, wykorzystując elastyczność ciała. Własnego. Korzystam też ze wsparcia cudzego. Jeździły rowery. Także dzieci, szczególnie na wrotkach. Co pewien czas ktoś się przewracał. Ludzie też chodzili. Wszyscy pili. Teraz jest taki wymóg. Gdy się idzie lub jedzie, to trzeba pić z butelki.

Pokonałem trochę metrów, nie więcej niż trzy kilometry. Mogę dodać jeszcze połowę, wtedy wyjdzie ponad trzy. Oglądałem drzewa. Stały i się ruszały. U góry. Zszedłem w dół. Zrobili schodki. Zjechałem po poręczy. Była blisko ściany. Niewygodnie. Gdzie indziej zrobili schody ruchome. Tutaj nie. Znalazłem się w dole. Podeszedł jakiś mężczyzna. Chciał, żeby mu pokazać. Był wiekowy. W związku z tym dojrzały. Poczuję skrępowanie. Pokazałem. Podziękował. Sprawiał wrażenie zadowolonego. Podjechało kilka wagonów. One jeżdżą spięte w szóstki. Kiedyś policzyłem i właśnie tyle mi wyszło. Pokazują się co jakiś czas. Gdyby jeździły pojedynczo, mogłyby to robić ciągle. Jednak złączono je w kupy.

Byłem w dole i jechałem. Skierowałem wzrok do przodu. Wybrałem ten kierunek. Wsiadłem. Ciągle byłem nisko. Szedłem tu, gdzie wszyscy. W stronę powierzchni. Po siedemnastu krokach przestałem. Gdzie indziej też zrobili wyjście. Otwarte i puste. Skorzystałem. Najpierw wjechałem pod górę. Poręcz też jechała. Znalazłem się na ulicy. Była podobna do tej poprzedniej. Tu też chodnik zrobili inaczej. Trochę. Składał się z płytek. Co pewien czas wprowadzili kamienie. One tworzyły urozmaicenie. Niebieskie i szare. Niektóre wypadły, a wszystkie były nierówne. Chodnik w moim mieście tak właśnie musi leżeć. Mieszkańcy się nie rozpędzają.

Wędrowałem nim sobie. Spotykałem ludzi, czyli przechodniów. Wszyscy szli w przeciwną stronę. Patrzyłem pod nogi. Swoje. Oni robili co innego. Zupełnie. Nie patrzyli pod moje nogi. Każdy szukał dziur. Domyśliłem się tego w lot. Dzięki doświadczeniu. Sta nałem. Obróciłem się w lewo. Trochę. Następnie też w lewo. Wykorzystywałem tylko jedną stronę. Uważałem, żeby nie przesadzić. Udało się. Skręciłem tu, gdzie chciałem. Zobaczyłem kątem oka, że cztery osoby robią to, co ja przed chwilą.

Szliśmy. Minąłem fontannę. Woda lała się z góry i spadała. Na ogół jej nie ma, a tym razem była. Ukryłem zdziwienie. Wokół stały ławki. Na jednej leżał mężczyzna. W butach. Nie musi ciągle ich zakładać. Tak jak ja. Szedłem dalej i dotarłem. Lubię, gdy jestem na miejscu. Wtedy zaczyna padać deszcz. Na ogół. Teraz nie zaczął.

Na placu ustawili pudło. Niedawno. Jest nierówne. Ma zęby, ale nie zaczynają się one od początku. Miały nie przypominać schodów. Nie przypominają. Początku nie mają. Prowadzą do góry. Tymczasowo. Wokół pudła jest dół. Ludzie do niego nie wpadali, więc przykryli go szybą. Jak ją zdejmą, to mają te zęby odwrócić. Zrobią schodki prowadzące w dół. Czyli w głąb. W ten sposób całość nabierze wymowy. Nie wiedziałem, jakiej. A chciałem wiedzieć.

Obok stał policjant. Pomyślałem, że to pomnik, bo tu mieli gdzieś jakiś ustawić. Szukałem czapki. Nie miałem. Włożyłem chusteczkę na głowę. Najpierw zawiązałem rogi. Zasalutowałem. On mnie wylegitymował. Pokazałem mu, co miałem. Wyraził zadowolenie. Zapytałem, czy stoi służbowo. Dowiedziałem się, że absolutnie, a nawet bynajmniej. Poprosiłem, by mi wyjaśnił, obok czego się znajdujemy. On służbowo i jak najbardziej. Ja przeciwnie. Nie odpowiedział. Rozmowa się urwała. Wylegitymował mnie raz jeszcze. Zostałem prawie sam. Z niepewnością. Niedużą.

Złapałem za głowę i przekręciłem ją w bok. Przeniosłem wzrok. Ujrzałem wykop. Wielki dół. Usłyszałem, jak ktoś krzyczał. Zwracał się do kobiety w wieku dziewczęcym. Sprawdziłem jej wiek. Chciałem ustalić, czy przekracza osiemdziesiąt czy jest mniejszy niż dwadzieścia. Lub odwrotnie. Wyszło mi, że to drugie. Coś koło dziesięciu. Znów zawołał. To było imię, zaczynało się na Na. Czekałem na trzeci raz. Zamknąłem oczy, żeby lepiej usłyszeć. Usłyszałem, trochę. Po chwili z uszu dźwięk dotarł mi do rozumu. To była Nastia. Trzymała w ręku suszarkę do włosów. Z wtyczką. Chyba imię znałem. Skądś. I w ogóle.

Spojrzałem gdzie indziej. Wykop okazał się dołem. Dużym. Ruszali się w nim ludzie. Wokół niego również. Na nogach mieli kalosze, a na głowach coś innego. Niektórzy pracowali. Trzymali łopaty. Kopali ziemię i wrzucali ją do koparki. Ta przenosiła ją dalej. Najpierw podnosiła. Taki miała plan. Gdzieś musiał być inżynier.

Przesunąłem się w bok. Trochę. Stałem przed planszą. Ona też stała i pokazywała, co ma być w tym miejscu. Dlaczego robią wykop. Zobaczyłem. Zamknąłem oczy i ujrzałem. Wyraźnie i kolorowo. Wznosiła się piramida. Poszczerbiona, ze schodami wszędzie. Czubek ostry. Piramidę zaprojektowano jako najwyższą. Na świecie, czyli w ogóle. Napisali, że zbudujemy ją wspólnie. Narodowo.

Przeczytałem omówienie. Piramida będzie największa, żeby była większa od wszystkich mniejszych. One są podobno wszędzie. A nas stać na piramidę pierwszą. Z marmuru oraz z kryształu. To są materiały. Mają wyrażać piękno oraz symbolizować. Wiedziałem, co: pałac, grób i łazienkę. Wykwintne.

Piramida powstaje i się pnie. Do góry. W kosmos. Ma być widoczna z wszechświata. Najbardziej ze wszystkiego, co jest na dole. Chmury są niżej, szczyt wyżej. Żeby go zobaczyć z dołu, trzeba dmuchnąć. Zbiorowo. W czubek zostanie wbity drucik. Antena. Oraz także będzie chorągiewka. W środku piramidy zrobią trzy dziury. Czyli wydrążenia, które nazywają się komory. Trudna nazwa, ale się przyjęła.

W najniższej są ludzie. Wszyscy ubrani tak samo: czarne garnitury, białe koszule, czarne krawaty. Wąskie. Na górze czarne włosy, krótko strzyżone, z długą kreską. Na dole buty ze sznurowadłami i czubami. Wystają, lecz niewiele. Oni wytworzą sygnały, które przewodem pomkną do drutu na wierzchu. Ten je wyśle dalej. Ustalono już, gdzie: do mgławic Andromedy i Medy. To podobno kawał drogi, ale tam jest odbiorca, który potrafi zrozumieć. Jedyne, czyli najbliższe. Chorągiewka składa się z dwóch pasków. Będzie co pewien czas opuszczana, a co inny pewien czas podnoszona. Opuszczanie jest konieczne do podnoszenia. A podnoszenie niezbędne, by mogły grać trąby. Złote i duże. Z dziurą. Oczywiście oraz naturalnie.

Druga komora to miejsce pracy innej grupy. Eksper-tów. Oni dmuchają. Wytwarzają prąd, który podniesie sygnał do góry, a także poruszy chorągiew. Musi łomotać, bo po to jest. Nasi inżynierowie zaprojektowali jeden dmuch dla dwóch celów. Duży wynalazek.

Trzecią komorę umieszczono najwyżej. Już ją zrobili. Podstawę zrobią później. Wejście ma u góry. Komora na szczycie mieści ośrodek zarządzający. Wszystkim. Zasobami ludzkimi zwłaszcza oraz szczególnie. Również powstanie toaleta. Centralna. Powszechnie dostępna, dla niektórych. W niej prysz-nic. Też miejsce do siedzenia. Z deską bardzo wolno opadającą. Po jednej stronie klamka. Zainstalowano złotą. Z boku przewidziano inne miejsce. Też do sie-dzenia, ale bez dziury. Dla kogoś, raczej mężczyzny. Będzie grał. Na trąbie, często, a zwłaszcza ciągle. Trąbę ma trzymać przed sobą, za sobą ma skrzydła. Własne i wspólne.

Otworzyłem oczy i zobaczyłem. Piramida już stała. Nastia płakała i się śmiała. Ona to robi jednocześnie. Zawsze.

Zacząłem wracać. Wpadłem do dziury. Niewielkiej. Dlaczego tutaj, gdzie mieszkam, robią małe dziury, skoro mają wykop ? Duży. Wypełniony piramidą. Największą.

Paweł Kozłowski
Świeci

24.05.2018, godz. 16.43

KLUCZ NUMER PIĘĆ

Kraków to jest miejscowość. Ona z jednej strony ma Zakopane i góry, a z drugiej strony nie ma nic. Trochę dalej jest Szwecja, którą zamieszkują Polacy oraz, w kilku skupiskach, Szwedzi.

Kraków zbudowano niedawno. Uprzednio były tam lody i zwierzęta futerkowe. Nie jeździły tramwaje, bo nie doprowadzili prądu. Z czasem ktoś wymyślił wtyczkę do kontaktu i pojawiła się elektryfikacja. Za jej pomocą pokazują teraz różne mury. Uwidaczniają w ten sposób, że opanowali budownictwo z kamienia. Stosują wapien oraz cegły własnego wyrobu. Kamienie

ustawiają poziomo i pionowo, i łączą je ze sobą za pomocą ajek. Najpierw je rozbijają. Z tego prostego choć nie wszystkim znanego powodu na środku tego miasta ciągle ktoś gra na trąbce. Także z tej przyczyny wydobywa z siebie dźwięk cienki, niekiedy przerywany.

Miejscowość składa się z księży, policjantów, Anglików i koleżeństwa Piotra Skrzyneckiego. Mieszczą się oni w miejscu, które przewodnik Michalina, Duplona i, do niedawna, Stomila nazywa Rynkiem. Oznacza on okolice Zwisu, czyli centrum. Zwis jest na parterze, bo nie ma w nim windy. Jak się do niego wchodzi, to po

lewej stronie są barany, a po prawej policjanci. Gdy się wychodzi, to oni zamieniają się miejscami: barany są bliżej prawej ręki, a policjanci – lewej. Owa zamiana miejsc jest specyficzną właściwością Krakowa. Niektórzy w związku z tym uważają, że to miasto cudowne.

Blisko Zwisu zbudowano dwa kościoły. Różnej wielkości. Większy ma jedną wieżę dłuższą, a drugą krótszą. Ustawiono te wieże pionowo i dzięki takiemu odważnemu posunięciu ta pierwsza jest wyższa, a druga niższa. Gdy się idzie od strony Zwisu, tak właśnie jest. Ale jeśli ze środka kościoła się wychodzi, to jest zupełnie inaczej. Tak zupełnie, że odwrotnie. Co potwierdza zdanie, że Zwis jest miejscem cudownym i że to on wyznacza aktualnie obowiązujące strony świata.

Blisko Zwisu leży czyjaś głowa. Naprzeciwko. Sama i się nie rusza. Dalej są toalety. Powszechne. Specjalnie połączono je osłoniętym przejściem. W ten sposób chętni i jeszcze niepewni unikają wilgoci. Kraków uczy wygody. Przy okazji, wyżej powieszono obrazy. Żeby było ładniej. Są również kawiarnie, a zwłaszcza jedna. Nieprzypadkowa. Nauka twierdzi, że człowiek składa się głównie z cieczy i należy dbać o jej wysoki poziom. Oraz proporcje składników. Kawiarnia ma napoje i trochę łyżeczek. Tych ostatnich niektórzy używają. W korytarzu umieszczono też stoiska ze sztuką ludową. Miejscową. Produkują ją Chińczycy i najczęściej robią jakiegoś faceta na osle. Obydwaj, a zwłaszcza mężczyzna, są w stroju raczej azjatyckim. Taki wyrób ma charakter symboliczny i podkreśla rozległość miejscowości, a także obrazuje panujące w niej stosunki. Nieopodal płynie rzeka. Na ogół w jedną stronę. Zrobili jej zakręt, żeby było bliżej. W rzece jest woda. Krakowianie wpuszczają ją tam z kranów, a kilku również z wanien. Dlatego pod ziemią umieszczono tu rury, które łączą krany z rzeką. Dobry pomysł. Niektóre inne miasta zapożyczyły to rozwiązanie. Bezwrotnie. Krakowianie słyną ze szczodrości. Nie szczycą się nią, co świadczy o ich skromności. Co pewien czas robią dziurę w ziemi i rozbijają rurę, gdyż chcą dowiedzieć się, czy coś w niej płynie i w którą stronę. Krakowianie ciągle ugruntowują swoje zaufanie. Wnikliwość przy okazji także.

W okolicy Zwisu jest też inna budowla. Na dole leżą w niej zmarli. Muszą, bo tam mają swoje groby. Wyżej zrobiono dużą nadbudowę. Obok drugą. Niektórzy to wszystko oglądają. Zwłaszcza dzieci ze szkół. Przychodzą, bo przywożą ich nauczyciele. Nauczycieli przywozi kierowca, a kierowcę przywozi autobus. Tak im nakazuje tradycja, którą utrwala się na lekcjach.

Zwis jest wyposażony w krzesła i stoliki. Gdy roślinność się ożywia, to stolików i krzeseł jest więcej, a gdy roślinność zanika, to stoliki również. W większości. Na krzesłach siedzą tubylcy, przy stolikach także. Na ogół są to ci sami. Choć zdarza się, że ktoś na krzesło nie siedzi, ale w pobliżu stolika miejsce zajmuje wytrwale. Stoliki utrzymują parasole oraz kilka rodzajów drobnych przedmiotów. Są za szklą, które wszystkiemu nadaje lekkość. Zwłaszcza w ostatniej części dnia. Te małe naczynia szklane są funkcjonalne. Służą do utrzymywania więzi społecznej. Podobno ktoś kiedyś wypił tu herbatę. Z powodów niejasnych. Ale odszedł w niepamięć i zupełnie już

nie żyje. Przedmioty szklane są wypełniane czym innym. Przy stolikach, na krzesłach i w ich okolicach toczą się rozmowy. Poruszana jest droga literatury od Cervantesa do Prousta, spór nominalizmu z realizmem, kontrowersje wokół teorii Festingera oraz rozmaite drobiazgi z fizyki kwantowej i współczesne miejsce boskiej cząstki.

To ostatnie budzi szczególnie gorące wymiany zdań. Wcześniej osiągnięto już oczywistość, obejmującą muzykę dodekafoniczną, obrazy Hoppera i rolę prawa Soya w rozwoju ludzkości. Dyskusje zawsze są gęste i głębokie, szczególnie gdy odbywają się w milczeniu. Wtedy opadał tylko ten jeden typ co pewien czas cienko trąbi. Narusza nastrój kontemplacyjny, ale Zwisowcy nie narzekają. Są delikatni i afirmatywni, co im uniemożliwia sprzeciw.

Kiedys tam byłem. Z boku siedział ktoś. Mężczyzna z wąsami. Gęste włosy, być może z przedziałkiem. Wysoki. Podoba się każdemu oraz żonie. Także niektórym psom, kotom i myszom. Wygląda na dyplomatę z Kostaryki lub Wysp Wielkanocnych. Naprzeciwko siedział inny, choć też mężczyzna. Bez wąsów, bo z całą brodą. Gęste włosy miał również. Kobiety zwracają na niego uwagę, zwłaszcza gdy śpiewa, mówi, milczy, śpi i robi coś innego. Rozmawialiśmy o drodze wiodącej od Państwa Bożego do Hegla i z powrotem. Zwyczajna, płynna wymiana lekkich myśli.

Wtedy on, ten drugi, zabrał głos. To był Mieczysław Świąćicki. Poruszył ważne zagadnienie, tzn. rolę klucza numer pięć, służącego do wkręcania śrubek numer pięć. Trzeba trafu, występuje tu taki związek. Miałek wykazał, że ten związek jest nieprzypadkowy. Mówił o tym przez dwie godziny i czterdzieści dwie (też) minuty. Sprawdziłem na zegarze własnym i okolicznym. Mówił fascynująco. Z przejęciem. Napięcie rosnęło. Co pewien czas wysychało mu gardło. Do jego ponownego uruchomienia używał jakiegoś napoju na wiśniach. Po zwilżeniu swego wnętrza wypowiedź kontynuował. Im głębiej siedział na krześle, tym bardziej przekształcał go w fotel. Razem zaczęli się unosić, stolik także. Pokazał klucz piątkę, który miał ze sobą. Nosi zawsze w kieszeni marynarki. Usunął z niej osobisty dowód, żeby mu antykwarycznie spatynowanego narzędzia nie porysował. Przedstawił rolę, funkcje i miejsce występowania obiektu. Objął słowami Opole, Amerykę, wspominał o Włoszech, a także innych okolicach Zwisu. Przejrzyście dowiódł, że każdy mężczyzna i również człowiek powinien zawsze mieć ze sobą ten klucz. Myślmy, rzecz jasna, o typach normalnych, czyli takich jak my. Sformułował też konkluzję: bez klucza numer pięć nie należy się ruszać. Nie warto, świat jest wtedy nieprzydatny.

Później Mieczysław umarł. Nie rozumiem, dlaczego, nie wiem po co. Na pewno zrobił to chwilowo. Z tytu za nami siedział z kwiatem (jak zawsze) Piotr Skrzynecki. To dzięki niemu jest to wszystko: barany, Zwis i jego załoga, mundurowcy i nieumundurowani, bliższe i dalsze tereny. Żebyśmy mogli być w cieniu, ktoś musiał kiedyś posadzić drzewo.

Konkurs im. A. Polewki (korespondencja)

Redakcja „Zdania”

Prosimy o opublikowanie naszej korespondencji z red. Mariuszem Szczygłem, autorem m.in. *Antologii polskiego reportażu XX wieku*, w której zwracamy uwagę na nie stosowność przemilczenia w rozległych wstępach do obu tomów *Antologii* (ma się ukazać tom trzeci), konkursu im. A. Polewki organizowanego w latach 70. i 80. przez „Gazetę Krakowską”.

List do Mariusza Szczygła:

Szanowny Panie Redaktorze!

Z całym szacunkiem odnosząc się do Pańskiej *Antologii polskiego reportażu XX wieku*, od której wydania upłynęło już parę lat, pragniemy dorzucić pewien pominięty w Pańskim wstępie fakt, który wpisuje się w charakterystyczny dzisiaj obraz deformacji rzeczywistości lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych kraju oraz wypacza rzetelność pokolenia reporterów, którzy na miarę możliwości kreślili prawdziwy obraz współczesności.

Mamy na myśli zorganizowany po raz pierwszy w 1974 roku przez „Gazetę Krakowską”, kierowaną wówczas przez Zbigniewa Reguckiego ogólnopolski, otwarty konkurs na „wypowiedź dziennikarską” o nagrodę im. Adama Polewki, który od pierwszej edycji przerodził się w najważniejszy w kraju konkurs reporterski, na który wpływało po kilkaset prac.

Wśród laureatów były nazwiska, m.in. Hanny Krall, Teresy Torańskiej (dwukrotna zwyciężczyni), Barbary Seidler, Anny Strońskiej, Ryszarda Wójcika, Krystyny Jagiełto, Barbary Łopieńskiej, Marty Wesołowskiej, Michała Mońko, Jagienki Wilczak, Marka Rymuszko, Ireneusza Sewastianowicza i wiele, wiele innych. Oczywiście byli także krakowianie m.in. Jerzy Surdykowski, Dorota Terakowska, Zbigniew Święch, Ryszard Niemiec, Leszek Konarski, Stanisław M. Jankowski, Jerzy Skrobot.

Nie ma sensu mnożenie nazwisk laureatów, warto jednak przypomnieć, że w skład jury, obok naczelnych „Gazety” wchodzili m.in. Stefan Kozicki (dwukrotnie przewodniczący), Jacek Maziarski, Zbigniew Kwiatkowski, Andrzej Kurz (Wydawnictwo Literackie), Krystyna Goldbergowa, Maciej Szumowski, oczywiście „równoważeni” nazwiskami Ryszarda Wojny, Zbigniewa Siatkowskiego (kreatora haseł programowych), Klemensa Krzyżagórskiego, Artura Howzana czy Sławomira Tabkowskiego, któremu trzeba oddać honor, iż reprezentując określoną linię polityczną podczas kierowania „Gazetą” i później dbał o byt konkursu i jego możliwą niezależność ideologiczną. Świadectwem – m.in. perypetie z wyróżnionym w 1987 roku i nagrodą reportażem Jacka Stachewicza z Rzeszowa za pracę *Sztandar Pracy*, W rezultacie starań Tabkowskiego zawarty w reportażu opis nadużyć władzy w Krośnie dotarł do samego Jaruzelskiego.

Łącznie w ciągu dziewięciu edycji konkursu (odbywał się do 1989 roku) nadeszło przeszło 2000 prac, z których sporo o szczególnych walorach autentyzmu, kreślących panoramę polskiego losu po wojnie. Przekazano je do archiwum Ossolineum we Wrocławiu. Niektóre miały unikatowy charakter, jak np. Stanisława Jadczaka z Lublina *Diariusz lipcowych dni*, w szczegółach dokumentujący strajk 12-tysięcznej załogi Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego w Świdniku, poprzedzający latem 1980 roku hi-

storyczne wydarzenia sierpniowe w Stoczni Gdańskiej. Oczywiście tylko nieliczne reportaże znalazły się w trzech wydanych, jako dorobek określonych edycji, tomikach: *Corrida po polsku*, *Nagłe zaskoczenie*, *Bez retuszu*.

Za ten pierwszy, za *Corridę* otrzymaliśmy z red. Haliną Kleszcz w 1980 roku nagrodę Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, a „Życie Literackie” ogłosiło go „najbardziej nonkonformistyczną książką 1979 roku”. Wspólnie byliśmy przez te wszystkie lata bezpośrednimi organizatorami konkursu, którego patron budzi dziś wątpliwości.

Syn murarza z Półwsia Zwierzynieckiego oraz bony z językiem francuskim służącej w bogatych domach, Polewka jako działacz i pisarz był idealistą komunizmu i miłośnikiem Krakowa, wciąż uwikłanym w jakieś spory ideologiczne, szczególnie z Bolesławem Drobnierem (PPS). Mieszkał w latach powojennych w słynnym budynku literatów przy ul. Krupniczej 22, którym wstrząsały pono głośne awantury z sąsiadem Stefanem Kisielewskim. Uczciwy do bólu i próbujący godzić politykę z moralnością, odważnie stanął w obronie tego ostatniego, gdy nabrała rozgłosu publicznie wygłoszona w 1950 roku przez Kisielewskiego kwestia (po ukazaniu się dzieła generalissimusa o językoznawstwie), że „Stalin był głupi”. Mogło się to wtedy naprawdę źle skończyć.

Zaś dla samej „Gazety”, jako jej były felietonista, wyjątkowo dobrze się kwalifikował na patrona. A sama „Gazeta”, mimo szyldu organu wojewódzkiego partii, zapisała się m.in. pod wodzą Macieja Szumowskiego, wyjątkowym w skali kraju demokratycznym charakterem. Zapłaciła. Z 64-osobowego zespołu, pierwsze 20 osób wyleciało natychmiast w wyniku tzw. weryfikacji, a drugie 20 w sposób bardziej cywilizowany zmuszono do odejścia w ciągu kilkunastu kolejnych miesięcy.

To tyle refleksji z przeszłości. Może ukaże się wznowienie *Antologii* i nowy do niej wstęp, a w nim miejsce na przypomnienie...

Z poważaniem:

Stefan Cieplý, Halina Kleszcz

ODPOWIEDŹ MARIUSZA SZCZYGŁA

Szanowni Państwo,

bardzo dziękuję za list.

Miałem wrażenie, że wszystkie trzy tomy *antologii*, a szczególnie dwa pierwsze (w drugim umieściłem trochę szuj) są właśnie opowieścią o tym, jak w latach 70. i 80 reportaż starał się być oazą przyzwoitości.

„Gazecie Krakowskiej” i np. Jerzemu Sadeckiemu poświęcam uwagę na stronie 788 trzeciego tomu. Wymieniam także nazwiska: Dziwisz, Lazar, Nowak, Terakowska, Wcisło, Piekarczyk... Niestety, antologia, mimo prawie 3 tysięcy stron nie była z gumy, a z papieru...

Niemniej bardzo dziękuję za te uwagi – przydadzą się mi się na pewno. Nie wiem, czy „100/XX” będzie miało wznowienie, bo produkcja tych tomów to bardzo drogie przedsięwzięcie i trudne ze względu na dość okropnych spadkobierców niektórych reporterów i reporterek, ale ja planuję żyć jeszcze 30 lat i coś na temat reportażu popętnić... Dziękuję za wzbogacenie wiedzy.

Pozdrawiam bardzo serdecznie,

Szczygiel

CYWILIZACJA WIZERUNKU

Niektórzy światowi przywódcy potrafili panować zarówno nad rzeczywistością, jak i nad jej wizerunkiem. Często jednak główne uderzenie zmierza tylko w kierunku wizerunku, po czym się rozplywa. Za czasów Króla Ubu było to na przykład opanowanie Poczty Głównej i rogatek. Obecnie – będzie raczej chodziło o Trybunał Konstytucyjny, Sąd Najwyższy i „dobrą zmianę”. Tak to już jest; walka o wizerunek w tysiącach form, od makijażu począwszy, towarzyszy ludzkości od zawsze. Nie byłoby więc sensu marudzić, gdyby nie to, że starania o wizerunek zaczynają już bardzo mocno dominować nad staraniami o fakty, a zjawisko to opanowuje z wolna wszystkie dziedziny życia.

Cywilizacja wizerunku zaczyna się wtedy, gdy starający się o wizerunek w zasadzie przestają się w ogóle interesować rzeczywistością. Cywilizację wizerunku można by opisywać po prostu jako propagandę. Ale jest różnica. Propagandyści i marketingowcy chodzi o to, by ludzie uwierzyli w pewien przekaz. W cywilizacji wizerunku chodzi jedynie o stworzenie konsekwentnego i spójnego obrazu oficjalnego. Robi się to tylko po to, by jego twórcy mogli mówić: „właśnie tak jest”. Władysław Gomułka swego czasu wprost powiedział, że w Polsce istnieje wolność myśli, ale nie wolno działać przeciwko socjalizmowi, a wygłaszanie poglądów jest również działaniem. Antonin Liehm, filozof czeski, sformułował w latach 70. teorię „nowej umowy społecznej”, zgodnie z którą obywatele w zamian za godziwe warunki życia rzekli się na rzecz partii wolności słowa i w rezultacie miało się wrażenie, że narody Czechosłowacji popierają partię. Kościół katolicki walczy o prawo antyaborcyjne i zupełnie nie interesuje się tym, że żadne zakazy prawne nie zmniejszą faktycznej liczby aborcji.

Cywilizacja wizerunku polega więc na obfitości pozorów i niechętnym lub żadnym zajmowaniu się rzeczywistością. Tworzy ona świat równoległy, w którym wszystko jest zgodne z pewnym poglądem naczelnym – na przykład takim, że Polska wstaje z kolan, albo że sędziowie są kastą.

W przypadkach szczególnych i raczej rzadkich może się zdarzyć, że pewna część ludności autentycznie w te pozory wierzy, mimo że nie widziała i nie widzi żadnych działań, które by wskazywały, że chodzi nie tylko o pozory. W sytuacji takiego konfliktu społecznego, jaki obecnie występuje w Polsce, grupa ta może liczyć nawet około 40 proc. elektoratu.

Każda akcja propagandowa może przerodzić się w akcję wyłącznie wizerunkową, co następuje wtedy, gdy starania o zmiany rzeczywiste są zbyt trudne, niebezpieczne, albo nie ma ludzi, którzy mieliby choćby cień pomysłu na działanie autentycznie zmierzające do celu, na przykład jakiś pomysł polityczny dotyczący całego kraju.

Warunkiem koniecznym cywilizacji wizerunku jest bogactwo form komunikacji i ubóstwo rzeczywistych możliwości sprawdzenia, czy określony wizerunek jest zgodny z prawdą. Na przykład: posiadanie pieniędzy na bannery szkalujące sędziów i brak możliwości sprawdzenia przez adresatów tych bannerów (czyli obywateli) czy zarzuty są prawdziwe, czy poważne i ilu sędziów dotyczą. Tam, gdzie istnieje równowaga między rzeczywistym działaniem a wizerunkiem, ten ostatni jest rezultatem komunikacji. Tam natomiast, gdzie starania o wizerunek dominują lub są elementem jedynym, jest na odwrót: komunikacja jest pochodną wizerunku.

Oparcie życia społecznego na cywilizacji wizerunku sprawdza się w dolnych rejestrach kultury – na przykład w świecie celebrytów, popmuzyków, poppolityków, popdziennikarzy, popautorytetów popmoralnych, itp. W całej reszcie świata wzory propagowane przez cywilizację wizerunku raczej hamują aktywność i poczucie sensu wysiłków.

Prawdziwy rozkwit cywilizacji wizerunku zaczął się w Polsce po roku 1989. Niemal codziennie telewizja donosiła, że znowu ktoś nas pochwalił, że znowu zauważono, jak wspaniali jesteśmy. Zainteresowanie opinią zagraniczną było wręcz obsesyjne. Głównym, a właściwie jedynym argumentem przeciwko antysemityzmowi i antysemitom było i jest to, że psują oni wizerunek Polski za granicą.

Tworzenie kłamliwych konstrukcji wizerunkowych na wielką skalę ma czasem niespodziewane i chyba niechciane efekty. Na przykład Kościół katolicki jednoznacznie kwalifikuje aborcję jako morderstwo i wywalczył dla winnych zabiegu karę 3 lat więzienia. Ale morderstwo jest w polskim prawie karane znacznie ostrzej. Innymi słowy, walka z aborcją wprowadziła do polskiego systemu prawnego dwie kategorie życia: bardziej i mniej zasługujące na ochronę prawną. Ale to już było – w czasie wojny, w stosunku do Cyganów. W przyszłości stopniowość wartości życia ludzkiego może odegrać bardzo złowrogą rolę.

Walka o wizerunek ewoluuje podobnie jak propaganda. Jej realizatorzy z czasem tworzą coraz bardziej hermetyczne środowisko i coraz silniej zaczynają sami wierzyć w stwarzany przez siebie obraz. Oznacza to, że metody oddziaływania stają się coraz bardziej prymitywne. Jakiś czas temu ciekawym obrazkiem ilustrującym to zjawisko był poseł Stanisław Piotrowicz skandujący „Precz z komuną”.

W radzieckich łagrach wyróżniano trzy rodzaje pożywienia: „na prikusku”, „na prigladku” i „na pridumku”. Gdy cywilizacja wizerunku zapanuje powszechnie, wszystko, nie tylko żywność, będzie „na pridumku”. Poza rządem, który, oczywiście, sam się wyżywi.

PREZES OTWIERA WOLIERY

Od Nowego Roku liczba mieszkańców Wójtowic spadła poniżej 100 sztuk. Najpierw odeszła 93-letnia Elżbieta Komaniecka, nee Brauner, jedyna pozostała nam autochtonka, kopalnia wiedzy: Kto? Kogo? Za ile? I dlaczego? Wystąpiła już raz w *Liście z Wójtowic* jako pomost między epokami, kiedy to komputer nachalnie drukował Jej nazwisko panińskie Bruner, za co przepraszaliśmy Ją na piśmie. Maszyna przekręcała wtedy prof. Waszkiewicz na Iwaszkiewicz, zaś wicewojewodę jeleniogórskiego Pezdę na.....

Kilka dni po Pani Elżbiecie umarła moja 98-letnia Matka – Profesor Anna Komornicka zabierając ze sobą do grobu doktorat o Arystofanesie napisany na UJ u prof. T. Sinko i habilitację nt. Pindara przygotowaną na UW u prof. K. Kumanieckiego. Nadawała szczególnie międzynarodowy sznyt naszej wsi, będąc Jej Honorowym Obywatelem, prowadząc szeroką korespondencję w 4 językach, m.in. z Jean d'Ormesson, Akademikiem (nr krzesła 12 pod Kopułą). Znaleźliśmy także w Jej papierach list od JP 2 z wyrazami uznania nt. działalności oświatowej Mamy i Jej starań o utrzymanie nauki łaciny w polskiej szkole średniej.

Wiadomość o naszych stratach rozeszła się jak pożar buszu docierając do nowej elity, w którą tak owocnie pączkuje krzew „dobrej zmiany”. Uzupełnić je postanowił front włosko-węgiersko-francusko-holendersko-belgijsko-austriacki. Na Nowogrodzkiej przez moją lunetę – inicjując z Kaczyńskim nową Międzynarodówkę w obiektywie Sky-Watcher Telescope śmiał się Włoch Salvini, zaś między nogami Prezesa, Brudzińskiego i tego naszego europarlamentarzysty z Krakowa „co to mówi po grecku” kręcił się taki z wielką głową z Senatu oddelegowany do posprzątania refektarza, niepodania herbaty na stole bez obrusu i z lekka tylko obrobionych desek. PR-owska akcja obejmuje także znoszone trzewiki Prezesa i nie do końca wyprasowane ubranko, Prezes nie ma też konta lecz wizażystki przewidzieli niedawno, że będzie miał po prostu bank.

Cały ten Front, który powoli zaczyna krążyć po Europie podbierze nam niestety kolejnych trzech obywateli. Znanych z poprzednich wydań *Listu*, czyli Rypsa, Bidery i Porwisiaka. Stanowią oni nasz ważny asset wójtowski, wymyślony i uformowany na miejscu. i służący przede wszystkim wypracowywaniu fakenewsów i oddający się radosnemu fałszowaniu anti-PIS-owskich sondaży. W uznaniu tychże zasług Front wyznaczył ich na przyszłych stypendystów spośród młodzieżowców noszących baldachim i rozeznających różnicę między złotem, kadzidłem a mirrą.

Front przygotować ma pomocniczą kadrę do najbliższych eurowyborów poprzez niemal tajemne kursy w przepięknym 800-letnim klasztorze Trisulti na południowy wschód od Rzymu. Mieści się tam Instytut Godności Ludzkiej (Dignitatis Humanae), zaś patronem założycielem jest Benjamin Harnwell z Parlamentu Europejskiego, pozostający od lat w bliskiej komitywie z kolegą Trumpa,

słynnym Bannonem. Istnieje depesza Reutersa cytująca Bannona, że zamierza poświęcić większość czasu na budowanie „populistycznego Ruchu z siedzibą w Brukseli” i „populistycznej frakcji w Kościele katolickim”. Ultra-konserwatywny kardynał Raymond Burke przewodniczy Radzie Doradców Instytutu i w tej samej depeszy cieszy się na współpracę z Harnwellem i Bannonem „w dziele promowania projektów, które w sposób znaczący wniosą wkład w obronę Chrześcijaństwa i tradycji Judeo-Chrześcijańskiej”. Na obrzeżach tej grupy płał się jeszcze do niedawna Rocco Buttiglione, który jako *confidante* JP II zostać miał Komisarzem ds. Sprawiedliwości i Bezpieczeństwa. Wspierany przez Berlusconiego skompromitował się przed komisją, nazywając homoseksualizm „poważnym grzechem”.

Jednym słowem waga ciężka, do której daleko socjalistyczno-katolickim działaczom o zapaszkę narodowym z Nowogrodzkiej. Ci jednak z uporem rozważają różne scenariusze przed eurowyborami. Rozstrzygają dylemat czy lepiej przejąć Unię od środka, czy też zabrać się za serię kolejnych „exitów”? Sprzysiężenie Bannona, emnencji Burke'go i pozostałych troglodytów wołałoby położyć łapę na Europie i tak sterować rozwojem całości kontynentu. A w naszej krajowej perspektywie musimy zacząć organizować powszechne sikanie ludzi przyzwyczajonych do wnętrza wrażego namiotu.

Trójka naszych janczarów – już wkrótce pobierać zacznie w klasztorze Trisulti naukę dywersji. Mieliśmy ich w zeszłym tygodniu w domu na włoskim obiedzie i podaliśmy tagliatelle z przepysznyim sosem na bazie cukierni – żółtej i zielonej z parmezanem, wcześniej półmisek zupełnie im nieznanego prosciutto, na deser żona sołtysa zreferowała kilka stron książki Eichengreena nt. źródeł popularności populistów. Nic trudnego, bo to tylko dwa filary. Nie wpuszczamy obcych, żadnych czarnych, żółtych i beżowych, jeżeli któryś się przedrze – to kuracja DDT i kastracja. Zaś na otwarcie roku szkolnego przewidujemy *sudecką wołowinę made by lokalny cluster oraz kopy dolnośląskich jaj*. Na murach pojawi się największy specjalista polski od jaj Humboldczyk Rektor Trziszka („Jajcarz”) w otoczeniu eunuchów z kindżałami Na „dzień dobry” odrzucimy także tradycyjną politykę w ogóle i pozbędziemy się skorumpowanych elit. Czyli „osuszmy bagno”. A tak naprawdę wpuszczymy tam nasze własne potwory – Ryps – aligatory, Bidera – karaluchy i inne ohydne wije, zaś Prezes Kaczyński – bardzo własnych przedstawicieli dobrej zmiany czyli pterodaktyle, którym szeroko otworzyć kazał woliery. Podkarmiane przez Porwisiaka na wysokości 190 m same wypatrywać sobie będą cele i z chrzęstem swych jurajskich łusek nurkować na co bardziej soczyste kąski Śródmieścia.

Gdy nasze janczary powrócą, każdemu z nich nadana zostanie – jak niegdyś legionistom – działka pod uprawę dyni (zucca), fasoli (fagioli) i fenkułu (finocchio)

KRZYSZTOF KOMORNICKI

POSTRUTH, BULLSHIT I FAKE NEWS

(refleksje posttischnerowskie)

„Niech ci prawda nie przeszkadza w pisaniu”.¹

„Nie mogą to być kłamstwa, ale rzeczy przejawione, ubarwione.

Gazeta to nie konfesja, dziennikarz to nie ksiądz, a opinia publiczna to nie Bóg”.²

– postdziennikarstwo

Postruth czyli postprawda, to słowo opisujące kulturę polityczną, w której fakty straciły znaczenie.

Bullshit to bzdura!, wciskanie kitu! Harry Frankfurt, ceniony profesor filozofii moralnej z Princeton, w eseju *On bullshit*, pisze:

„...wciskanie kitu różni się od kłamania pod względem celu fałszywego przedstawienia. Warunkiem koniecznym i wystarczającym, by miało miejsce wciskanie kitu, jest zamiar sprawcy, by oszukać nas co do charakteru przedsięwzięcia, w które się zaangażował. Wciskający kit ukrywa przed nami to, czy mówi prawdę, czy nie; mamy się nie zorientować, że nie przyświeca mu ani chęć powiedzenia prawdy, ani też chęć jej ukrycia”.³

Zdaniem Frankfurta to nie z kłamstwem mamy największy problem. Gdy wiemy, co jest kłamstwem, wtedy do prawdy daje się dotrzeć. Ale wiele przekazów służy jedynie wywarciu pewnego wrażenia na odbiorcach, wzbudzeniu emocji bez względu na ich związek z rzeczywistością spoza słów oraz emocji. Istnieją nawet specjaliści od emocjonalnego szumu informacyjnego, od ekscytacji tzw. wpadkami.

Z kolei „fake news”, krócej fejk, to dosłownie „fałszywa wiadomość”.⁴ Fek ma wiele wspólnego z tradycyjną plotką, tyle że rozchodzi się jeszcze szybciej i na niewspółmiernie wielką skalę. Tutaj dobrym polskim słowem może być „błaga”, o której śpiewał w piosence Władimir Wysocki⁵:

Mówią, że ktoś tam o prawdę zaciekle wojuje,
Lecz w jego słowach tej prawdy nie widać ni krzty!
(...) A Błaga tymczasem już gdzieś
koniał z rękodem ukradł,
Na którym butnie przemierza do dziś cały świat!

Oczywiście w tym przywołaniu trzech angielskich słów odwołuję się do znanego trójpodziału rodzajów prawdy wedle góralskiej teorii poznania ks. prof. Józefa Tischnera. Głosi ona, że są trzy prawdy: *świnto prawda*, *tyz prawda* i *gówno prawda*. W posttischnerowskim dyskursie to postprawda, wciskanie kitu, fejk.

Psycholog Dan Ariely biada: „W epoce »dobrych starych kłamstw«, jeśli coś powiedziałem wczoraj, to przy-

znawałem, że powiedziałem to wczoraj. Wiedziałem, że źle robię, kiedy mówię co innego. Nieprawda istniała, ale zasadą była zwykle prawda. Obie strony politycznego podziału w jakimś stopniu kłamały, wszyscy o tym wiedzieli i było to społecznie akceptowane, ale kłamstwa krążyły wokół reguły prawdy oraz silnego pnia prawd powszechnie uznanych i szanowanych. To się praktycznie skończyło”.⁶

A Yuval Harari wskazuje na podkład socjologiczny kłamstwa: „Nieprawdziwe opowieści mają w rzeczywistości wrodzoną przewagę nad prawdą, jeśli chodzi o moc jednoczenia ludzi. Jeśli jakiś wielki wódz mówi: »Słońce wschodzi na wschodzie, a zachodzi na zachodzie«, nikt nie musi być wobec niego lojalny, by przyklasnąć jego słowom. Ale gdy wódz mówi: »Słońce wschodzi na zachodzie, a zachodzi na wschodzie«, jedynie prawdziwi lojaliści będą bili brawo. Podobnie jeśli wszyscy sąsiedzi wierzą w tę samą szokującą bujdę, można na nich liczyć, że w kryzysowej sytuacji będą trzymać się razem”.⁷

Jan Hartman komentując obalenie pomnika ks. Janowskiego zauważa: „Fakt, że ludzie z władz »Solidarności« wciąż bronią Jankowskiego, szydząc ze świadectw jego zbrodni, świadczy o głębi ich demoralizacji. ...Wszak pan Piotr Duda i jego koledzy nie spodziewają się chyba, że ktokolwiek uwierzy, iżby mieli oni jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, czy Jankowski był przestępcą seksualnym. Nie, po prostu te przestępstwa i ich ofiary nic ich nie obchodzą”.⁸

„Obecny kryzys światowy ma w moim przekonaniu bardzo prostą przyczynę – to efekt wielkiego błędu edukacyjnego ...Właśnie dlatego zdolność oddzielania prawdy od chłamu jest ważniejsza niż znajomość logarytmów czy historii wojen i powstań – podkreśla prof. Łukasz Turski, przewodniczący Rady Programowej Centrum Nauki Kopernik”.⁹

Na razie jest to głos wołającego na puszczy.

TOMASZ GOBAN-KLAS

1 Paweł Zarzeczny

2 Rafał Kalukin, *Niezlomna*, „Polityka” nr 13/2017.

3 Harry G. Frankfurt, *O wciskaniu kitu*, tłum. H. Pustuła, Warszawa 2005.

4 Zmyślona wiadomość – słowo rozpowszechnione przez przez Donalda Trumpa w kampanii wyborczej w 2016 roku, a australijski słownik Macquarie uznał je za słowo roku.

5 Włodzimierz Wysocki, *Правда и Ложь*, tłum. Aleksy Awdiejew, <http://www.eska.pl/tekst-piosenki-tlumaczenie/alosza-awdziejew-prawda-i-bлага/55114>

6 Dan Ariely, *W pułapce kłamstwa*, „Polityka”, 15.03.2017,

7 Yuval Noah Harari. 21 lekcji na XXI wiek (Kindle Locations 4408-4414), Wydawnictwo Literackie, Kraków 2018.

8 Jan Harman, <https://hartman.blog.polityka.pl/2019/02/21/za-nas-zwalili-jankowskiego-teraz-nas-potrzebuj/>?nocheck=1, 22.02.2019

9 <http://wiadomosci.onet.pl/kraj/triumf-nieuctwa/86hjhvlv>, dostęp 20.05.2018



NAUCZYCIELOM MNIEJ WOLNO?

Strajk, w dzisiejszym rozumieniu, jest wynalazkiem XIX wieku. Panujący wtedy wszechwładnie kapitalizm wcale nie miał ludzkiej twarzy, gdyż jego istotą była pogoń za zyskiem. Z tego wziął się nieludzki wyzysk tych, co mieli do zaoferowania tylko ręce do pracy.

Prawo do strajku dzisiaj jest prawem nabytym, zagwarantowanym w konstytucji, ale zanim tak się stało, trzeba było je wywalczyć tracąc pracę, a nieraz także życie. Przez długie lata strajk kojarzono tylko z kapitalizmem, gdyż w niego był wymierzony, natomiast w realnym socjalizmie uznano, że skoro PRL jest państwem ludu pracującego miast i wsi, to strajkować nie ma przeciwko komu. Aliści już w 1956 roku klasa robotnicza w Poznaniu miała inne zdanie na ten temat, a później stocznioowcy na Wybrzeżu dwukrotnie pokazali, jak ogłaszając strajk zwyciężać mamy. W karnawale „Solidarności” strajk stał się chlebem powszednim całej Polski, a tracąc poczucie odpowiedzialności za skutki podejmowanych działań w skali masowej zamienił się w swoją karykaturę. W takim wydaniu odżywa co jakiś czas w Najjaśniejszej Rzeczypospolitej.

Po broń strajkową sięgają różne grupy społeczne, gdyż w walce o swoje prawa jest ona ciągle skuteczna i najłatwiej dostępna. Ostatnio stróże prawa i porządku w mundurach pokazali, jak idąc gremialnie „na chorobowe”, czyli nie przychodząc do pracy, można wyjść na swoje. Trzeba tylko wyczuć odpowiedni moment. A takim okazał się międzynarodowy miting w Warszawie w sprawie pokoju na Bliskim Wschodzie, zwołany pośpiesznie na życzenie Amerykanów, któremu trzeba było zapewnić ochronę. Po otrzymaniu satysfakcjonującej podwyżki mundurówi cudownie powiedzieli przez jedną noc i z honorem wywiązali się z powierzzonego im zadania. Na leśne wojsko Macierewicza władza, niestety, nie mogła liczyć.

Jak było do przewidzenia, za nimi poszli inni. Ale uwaga opinii publicznej i mediów skupia się na nauczycielach. Ci bowiem ostatni raz nie podjęli pracy z uczniami na początku lat 90. i z tego powodu było wiele hałasu. W społeczeństwie panuje bowiem przekonanie, że nauczyciele mają wystarczająco dużo przywilejów, aby mieli prawo upominać się o tysiącłotową podwyżkę. Najbardziej w oczy kole 18-godzinne pensum w tygodniu i wakacje. Te ostatnie w mniemaniu wielu trwają nieustająco. Natomiast władza patrzy na stan nauczycielski pod kątem matrymonialnym. W tym zawodzie zdecydowaną większość stanowią kobiety, które na ogół mają mężów i to oni są głównymi żywicielami rodziny. Pensja żony to zaledwie dodatek, przeznaczony nieraz – w części lub w całości – na zakup ciuchów i kosmetyków. Tak o tym sfeminizowanym zawodzie myślała władza w PRL-u, nie rozpieszczając osób go uprawiających wysokimi zarobkami i niewiele się pod tym względem zmieniło w III RP. Ale każda władza miała i ma na podorzędnym mnóstwo frazesów na temat etosu i misji tego zawodu, po-

wołania do niego, specjalnych predyspozycji, wysokiego morale i przeświadczenia, że „takie będą Rzeczpospolite, jakie ich młodzieży chowanie”. Ostatnio znajomością tego cytatu popisał się pan premier. Takimi sposobami buduje się na pokaz prestiż zawodu, który przy braku wsparcia materialnego traci coraz bardziej na znaczeniu. I jeśli nic się pod tym względem nie zmieni, pauperyzacja nauczycieli spowoduje skutki trudne do przewidzenia. O społeczeństwie wiedzy będziemy mogli sobie tylko pomarzyć.

Problemy płacowe w szkolnictwie znalazły się teraz na pierwszym planie. I trudno się dziwić, skoro Prezes rozdaje naokoło prezenty, które będą kosztowały 50 miliardów rocznie, a na podwyżki dla nauczycieli państwa PiS nie stać. Między innymi z tej przyczyny, że korupcją polityczną tej grupy zawodowej – poza jednym wyjątkiem – nie da się przekupić. Dlatego prezydencki minister ze stopniem doktora habilitowanego namawia do prokreacji, gdyż na każdym nowonarodzonego dziecku można dorobić 500 plus. A czołowy intelektualista rządowy porównał swoje dochody poselskie z nauczycielskimi i mu wyszło, że mają prawie po równo.

Jaka praca, taka płaca. Takie „argumenty” też są w obiegu, zwłaszcza w internecie. Zanim jednak polska szkoła i pracujący w niej nauczyciele poddani zostaną ocenie, zapytajmy, co uczyniła dla niej i dla środowiska oświatowego obecna władza w ramach „dobrej zmiany”. Przede wszystkim zlikwidowała gimnazja, które co prawda rodziły się w bólach, ale z czasem dopracowały się formuły zapewniającej im autonomiczną pozycję, a nade wszystko zgromadziły wokół siebie nauczycieli przekonanych do tej formy kształcenia i na takim poziomie. Otóż to środowisko zostało kompletnie rozbite, zdeintegrowane, bez własnej bazy lokalowej, którą razem z samorządami współtworzyło. Gimnazja w małych miastach i większych gminach były symbolem awansu prowincji, wylęgarnią miejscowych aspiracji i pomysłów, centrami życia kulturalnego. I żadna ośmioklasowa szkoła podstawowa w tej roli i funkcji ich nie zastąpi. Ale takich argumentów nie brali pod uwagę realizatorzy „dobrej zmiany” w oświacie z panią – pożałuj Boże – minister Anną Zalewską na czele. Jak się jej słucha, to widać wyraźnie, że ona nie ma świadomości, co uczyniła i do czego rękę przyłożyła. I za to trybunał stanu ją niewątpliwie czeka.

Związek Nauczycielstwa Polskiego, jeśli ogłosi strajk, będzie zewsząd atakowany. A podwyżki rozłożone na dwie raty wywalczy niezastąpiona w takich razach nauczycielska „Solidarność”. Tę próbę trzeba jednak przejść z podniesionym czołem i nie dać się zastraszyć argumentem, że nauczycielom mniej wolno. A niby dlaczego, skoro władza pozwala sobie na wszystko.

SCEPTYK

IMAGO

CENTRUM SZTUKI LUDOWEJ
SP. Z O.O. W KRAKOWIE

Zapraszamy na imprezy w 2019 roku:

*43 Międzynarodowe Targi Sztuki Ludowej
pod hasłem „Co dała Cepelia polskiej kulturze i sztuce”
w 70-lecie istnienia*

8 – 25 sierpnia 2019 r., Rynek Główny, przy Wieży Ratuszowej

„Na Świętego Józefa”

Patrona Krakowa

15 – 24 marca 2019 r., Mały Rynek

2 Świętojański Jarmark Smaku i Folkloru

„Na Świętego Jana”

21 – 30 czerwca 2019 r., Mały Rynek

15 Kjermasz Pogranicza Kultur

4 – 13 października 2019 r., Mały Rynek

Dyrektor Promocji i Handlu

Paulina Pawlik

tel. 668 847 015

e-mail: pawlik@imagokrakow.pl

IMAGO Centrum Sztuki Ludowe Sp. z o.o.

ul. Słowiańska 3, 31-141 Kraków

tel. 12 422 19 29

e-mail: tsl@imagokrakow.pl

Prezes Zarządu

Józef Spiszak



#Włącz się do akcji!

Aktywność mieszkańców i ich zaangażowanie w życie miasta jest gwarancją zrównoważonego rozwoju. Kraków stawia na rozwój partycypacji, dialog z mieszkańcami. Tak budujemy obywatelską aktywność.

Budżet obywatelski

Budżet Obywatelski (BO) stanowi wydzieloną część budżetu miasta Krakowa, o której przeznaczeniu decydują mieszkańcy. To jedna z form partycypacji realizowanych w Gminie Miejskiej Kraków.



Pszczółki na dachu. Projekt zrealizowany w ramach Budżetu Obywatelskiego Miasta Krakowa



Rewitalizacja zielonego skweru przy Krowoderskich Zuchów. Projekt zrealizowany w ramach Budżetu Obywatelskiego Miasta Krakowa

Zgłaszając projekty do Budżetu Obywatelskiego Miasta Krakowa mieszkańcy mają bezpośredni wpływ na zagospodarowanie wspólnej przestrzeni publicznej, decydują o wyglądzie najbliższego otoczenia. Pomysły na projekty w Budżecie Obywatelskim pozwalają też dodatkowo rozwijać lokalny kapitał społeczny.

Budżet Obywatelski pełni również rolę edukacyjną. Mieszkańcy uczą się funkcjonowania samorządu, poznają mechanizmy i możliwości realizacji zadań zgłaszanych w Budżecie Obywatelskim. Głównym celem BO jest dialog między mieszkańcami, a szeroko rozumianym urzędem. Krakowianie włączają się do dyskusji o priorytetach lokalnej społeczności z perspektywy nadrzędnego, wspólnego dobra.

Istotną częścią procesu Budżetu Obywatelskiego Miasta Krakowa jest składanie propozycji zadań. Na tym etapie rozpoznawane są potrzeby mieszkańców w poszczególnych obszarach życia miasta, w tym m.in. związanych z przestrzenią miejską, zielenią, ochroną środowiska, infrastrukturą, sportem, zdrowiem, bezpieczeństwem. W edycji BO 2019 etap ten zostanie poprzedzony aktywnym dialogiem z mieszkańcami. W poszczególnych dzielnicach systematycznie organizowane są spotkania informacyjne, których celem jest zachęcanie mieszkańców do wypracowania pomysłów i tworzenia wniosków. W każdej edycji Budżetu Obywatelskiego ważny jest etap głosowania, który pozwala mieszkańcom na wybranie zweryfikowanych pod względem formalnym i prawnym przez Wydziały Urzędu Miasta Krakowa lub miejskie jednostki organizacyjne projektów dzielnicowych oraz ogólnomiejskich.

Ostateczny kształt harmonogramu tegorocznej edycji Budżetu Obywatelskiego Miasta Krakowa będzie znany na przełomie marca i kwietnia tego roku.

W Krakowie odbyło się już 5 edycji Budżetu Obywatelskiego. W tym czasie mieszkańcy zgłosili 2054 projektów poddanych pod głosowanie, zaś do realizacji.

zostały wybrane 482 zadania o charakterze dzielnicowym i ogólnomiejskim.

Obecnie w VI edycji Budżetu Obywatelskiego, na realizację zadań, które zostaną wybrane w głosowaniu w roku 2019 do zrealizowania w roku 2020 przeznaczono ok. 30 mln zł. Szczegółowe informacje na temat Budżetu Obywatelskiego Miasta Krakowa dostępne są na stronie www.budzet.krakow.pl oraz na Facebooku – Budżet Obywatelski Miasta Krakowa.

Inicjatywa lokalna

Każdy Krakowianin może wyjść z inicjatywą na zagospodarowanie podwórka, odnowienie lokalu, klubu osiedlowego, czy zamontowania ławki na lokalnym skwerze. Jest też możliwość organizacji warsztatów, dotyczących propozycji zmian w obszarze kultury, sztuki, ekologii lub zieleni.

Wobec tego – włącz się w inicjatywę lokalną.

Inicjatywa lokalna to narzędzie, które umożliwia realizację działań zgłaszanych przez mieszkańców w ich bezpośrednim otoczeniu, jako uzupełnienie funkcjonujących instrumentów, w tym budżetu obywatelskiego. W ramach inicjatywy lokalnej mieszkańcy zgłaszają pomysły i deklarują udział w ich realizacji, w formie wkładu rzeczowego, finansowego lub pracy społecznej.

Jak z niej skorzystać?

Wniosek o zorganizowanie inicjatywy lokalnej może zostać złożony bezpośrednio przez mieszkańców albo przez reprezentującą ich organizację pozarządową lub inny podmiot określony w art. 3 ust. 3 ustawy o działalności pożytku publicznego i o wolontariacie, posiadające siedzibę na terenie miasta Krakowa. Wniosek składa się do Wydziału Polityki Społecznej i Zdrowia Urzędu Miasta Krakowa.

Inicjatywa lokalna powinna mieć wstępny projekt, w którym zostaną opisane planowane działania oraz oczekiwania w stosunku do Miasta. Szczegółowy opis zwiększa szanse na zrealizowanie pomysłu. W planie warto podkreślić liczbę osób, które mogą skorzystać na realizacji. W opisanym projekcie ważną częścią są finanse. Projekt powinien zawierać wstępnie oszacowany całkowity koszt realizacji inicjatywy, obejmujący sumę wkładów wszystkich partnerów: mieszkańców, zgłaszającego inicjatywę oraz miasta, przeznaczonych na realizację tej konkretnej inicjatywy. Przy opracowaniu projektu warto uwzględnić, ile zgłaszający mieszkańiec może zapewnić wkładu własnego, rzeczowego czy finansowego, w zależności od wybranej formy.

Więcej informacji na temat inicjatywy lokalnej można znaleźć na stronie www.dialoguj.pl.



Przykłady materiałów promocyjnych wykorzystanych podczas konsultacji społecznych w Krakowie

Konsultacje społeczne

Od 2008 roku w Krakowie prowadzone są na szeroką skalę konsultacje społeczne z mieszkańcami. Dla podniesienia jakości toczących się procesów konsultacyjnych została zaktualizowana uchwała, w której zebrane zostały zasady i tryb prowadzenia.

Konsultacje społeczne w Krakowie, jak mówi Uchwała Nr CXI/2904/18 RMK z dnia 26 września 2018 r., „są formą dialogu mieszkańców i NGO z władzami Miasta, wpływają na zaangażowanie mieszkańców w jego rozwój, kształtują wśród mieszkańców postawę współodpowiedzialności za podejmowane decyzje, budują współpracę międzysektorową pomiędzy NGO a Miastem oraz zapewniają mieszkańcom uczestnictwo w procesie podejmowania rozstrzygnięć bezpośrednio wpływających na sposób i jakość ich życia.”

Koordinacja prowadzonych konsultacji społecznych realizowana jest przez Wydział Polityki Społecznej i Zdrowia, poprzez Miejskie Centrum Dialogu (MCD). Liczba przeprowadzonych konsultacji w Krakowie wzrasta, a konsultacje stają się preferowaną formą kontaktu z mieszkańcami przy podejmowaniu istotnych dla rozwoju miasta decyzji.

W 2018 roku podjęta została nowa uchwała o konsultacjach społecznych, w której szczególnie akcent położony został na transparentną i precyzyjną komunikację, bezpośredni udział mieszkańców w procesie konsultacji oraz budowanie realnego dialogu.

Procesy konsultacyjne w Krakowie dotyczące wszystkich obszarów życia miasta. W 2018 roku dotyczyły one m.in. transportu (np. Projekt analizy kosztów i korzyści związanych z wykorzystywaniem autobusów zeroemisyjnych, w celu świadczenia usług komunikacji miejskiej na terenie aglomeracji krakowskiej), zieleni i zwierząt (np. konsultacje odno-

śnie ustalenia lokalizacji profesjonalnego ośrodka rehabilitacji dzikich zwierząt na terenie Gminy Miejskiej Kraków), czy kultury (np. konsultacje obchodów jubileuszu 70-lecia Nowej Huty). Podczas konsultacji najczęściej wykorzystywaną formą dialogu są spotkania z mieszkańcami, dyżury konsultacyjne z ekspertami i konsultacje online w postaci formularzy bądź ankiet.

Aktualne informacje, ciekawe publikacje oraz szkolenia e-learningowe dotyczące konsultacji społecznych można znaleźć na stronie www.dialoguj.pl. Jesteśmy również na Facebooku jako Miejskie Centrum Dialogu. Włącz się do akcji i razem z nami zbuduj Miasto.

#Włącz się do akcji!

Przekazując 1% od podatku na „Zdanie” i „Kuźnicę”

KRS 0000300613

wspomagasz polską lewicę

Przypominamy, że „Zdanie” jest dostępne w sieci **empik** w 80. polskich miastach. **Szukajcie nas w megastorach oraz salonach I i II kategorii.** Informujcie o tym wszystkich, którzy są zainteresowani kupnem oraz lekturą naszego pisma. Egzemplarze archiwalne można otrzymać w sekretariacie Stowarzyszenia „Kuźnica” (30-018 Kraków, Al. Słowackiego 44) oraz w Klubie Księgarza (Warszawa, Rynek Starego Miasta 22/24).

„Zdanie” jest też w internecie: w Małopolskiej Bibliotece Cyfrowej (za lata 1994-2018) oraz w internetowym Katalogu Czasopism (okładki i spisy treści wszystkich numerów za ten sam okres). Bieżące informacje można znaleźć na stronie internetowej „Kuźnicy” oraz na facebooku.

REDAKCJA

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY
ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA



ZDANIE

PISMO STOWARZYSZENIA >>KUŹNICA<<

Redaguje zespół:

Edward Chudziński (redaktor naczelny), Tomasz Goban-Klas, Krzysztof Komornicki, Adam Komorowski,
Paweł Kozłowski, Krzysztof Mroziewicz, Lech M. Nijakowski, Filip Ratkowski,

Andrzej Ruchałowski (sekretarz redakcji), Paweł Sękowski.

Makieta wg projektu Mściwoja Olewicza

Adres Redakcji: 30-018 Kraków, Al. Słowackiego 44

www.kuznica.org.pl; e-mail: kuznica41@interia.pl

Wydawca (na zlecenie Stowarzyszenia „Kuźnica”):

Neurokwiat, 30-057 Kraków, ul. Chocimska 7/4

Skład komputerowy i łamanie: Joanna Byczyńska

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne „Zapolex” sp. z o.o.

Nakład: 1000 egz.



**NOWEJ
HUTY**



Niech żyje